R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
Part Code ST1316
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

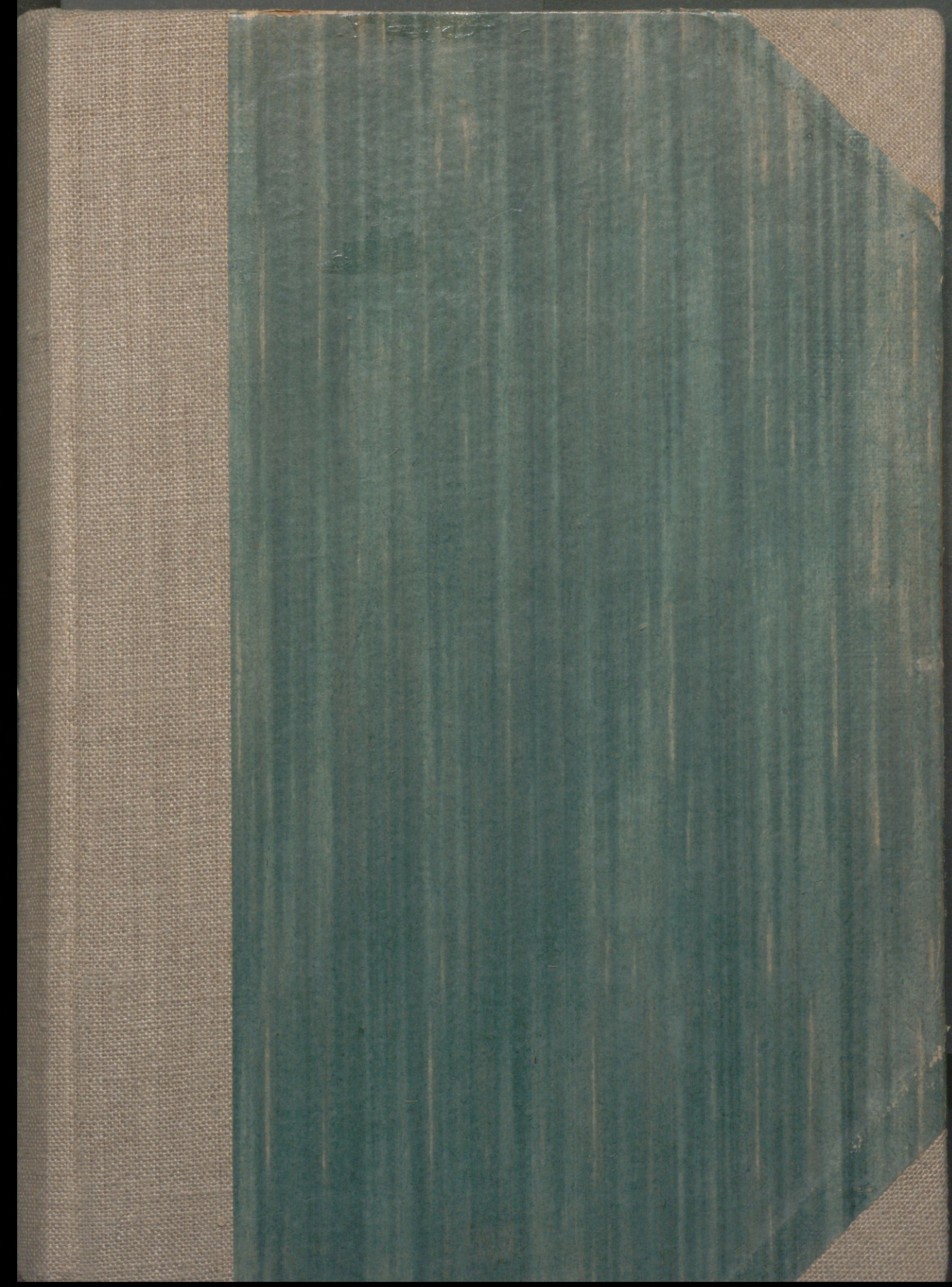

Inches
Centimetres
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES-PICTA.COM

SŁUŻBA OJCZYŹNIE.

a 50

SŁUŻBA OJCZYŹNIE

WSPOMNIENIA UCZESTNICZEK WALK
O NIEPODLEGŁOŚĆ
1915 — 1918

KOMITET REDAKCYJNY:
AL. PIŁSUDSKA PRZEW., W. PEŁCZYŃSKA, H. POHOSKA,
J. BARTHEL DE WEYDENTHAL, D. WYSZYŃSKA

REDAKTORKA: M. RYCHTERÓWNA

WARSZAWA 1929
GŁOWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

WSPOMNIENIA UCZESTNICZEK WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ

TOM I WIERNA SŁUŻBA
TOM II SŁUŻBA OJCZYŹNIE
TOM III *w przygotowaniu*

WSZELKIE PRAWA PRZEKŁADU I PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE

28343/2
BIBLIOTEKA

OKŁADKĘ ZAPROJEKTOWAŁ R. BISKE
TŁOCZONO W DRUKARNI M. S. WOJSK.

OD REDAKCJI.

W rok po ukazaniu się „Wiernej służby" opuszcza prasę tom II wspomnień uczestniczek walk o niepodległość jako „Służba ojczyźnie".

Książka obejmuje zkolei lata 1915 — 1918 t. j. czasy okupacji i pierwsze miesiące Polski niepodległej, odrodzonej w dniu przyjazdu z Magdeburga Komendanta Józefa Piłsudskiego. Te dwa okresy stanowią naturalny podział treści.

Możność sformowania frontu przeciw okupantom i drogie nam Imię Komendanta — to dźwignie duchowe okresu „WALKI z NIEMCAMI". Ruch wyzwoleńczy rozwija się i krzepnie, nabierają też mocy nasze ówczesne wspomnienia. Dotyczą one: pracy w Legjonach, w Polskiej Organizacji Wojskowej, Lidze Kobiet, harcerstwie i stronnictwach niepodległościowych. Pracę przeplatają wspomnienia więzienne tak charakterystyczne dla owej epoki.

Drugi dział książki zawiera radosny okres ZARANIA POLSKI NIEPODLEGŁEJ. Wieść o wolnej Rzeczypospolitej wywołuje odzew dalekich kresów nieledwie w granicach Polski przedrozbiorowej, obejmujący Poznańskie i Wileńszczyznę, Białoruś, Ukrainę i Podole.

„SŁUŻBĘ OJCZYŹNIE" zamykają karty, poświęcone pamięci naszych zmarłych.

Nie rościmy sobie bynajmniej pretensji, abyśmy dać miały całokształt tak ciekawych i skomplikowanych wydarzeń dzjeiowych. Jest to tylko materjał pamiętnikarski, spisany przez uczestniczki ówczesnych wypadków, zebrany planowo i ujęty w formę układu historycznego. Dla ścisłości relacji staramy się przytaczać nazwiska współpracujących z nami osób.

Redakcja zdaje sobie sprawę z trudności, jakie ta praca pociągnąć musiała za sobą, tem więcej, że autorki z powodu ówczesnych metod

konspiracyjnych, często ograniczyć się musiały do wspomnień własnych i koleżanek. Brak źródeł tłumaczyć będzie nie uniknione w podobnem wydawnictwie luki i przeoczenia.

Do pracy nad książką wezwałyśmy szereg koleżanek, mamy też nadzieję, że książka nasza stanie się własnością wszystkich tych, które walczyły o Niepodległość.

Byłoby serdecznem życzeniem Redakcji, aby „Służba ojczyźnie" doszła do rąk wzrastającego w wolnej Polsce pokolenia, aby trafiła do serc młodych uczestniczek przysposobienia wojskowego, które przygotowują się do obrony kraju, jak my ongi do walki o Niepodległość.

Staną kiedyś na posterunkach, gdy Ojczyzna potrzebować ich będzie.

SPIS RZECZY.

W WALCE Z NIEMCAMI.

Str.

Praca niepodległościowa w Polsce okupowanej.

Akcja niepodległościowa. Aleksandra Szczerbińska 3
Z wędrówek oświatowych. Helena Witkowska 5
Młodzież akademicka we Lwowie (1916 — 1918). Marja Herburtówna 9
W pruskiem więzieniu. Dioniza Lipińska 15
Wspomnienie z obozu w Holzminden. Janina Benedekówna 18
Więzienie austrjackie. Władysława Weychert-Szymanowska 24

Zaczątki Rządu Narodowego.

Z czasów Wydziału Narodowego w Lublinie. Zofja Szturm de Sztrem 31
Z pracy w Komisji Wojskowej Rady Stanu. Hanna Rzepecka . . . 34

Legjony (1915 — 1917).

Z walk II Brygady na Wołyniu. Marja Wołoszynowska 43
W pierwszym pułku artylerji. Wanda Gertzówna 49
Opieka Kaliskiej Ligi Kobiet nad Szczypiornem. Alicja Maruszewska i Zofja Janiszewska 60
Z czasów Benjaminowa. Anna Minkowska 67

Polska Organizacja Wojskowa.

Oddział Żeński P. O. W. Jadwiga Barthel de Weydenthal i Helena Stattlerówna 77
Poczta listów prywatnych. Marja Rychterówna 85
Ze wspomnień listonosza. Zofja Budzińska 91
Służba ordynansowa w Komendzie P. O. W. Halina Ciąglińska . . 94
Poczta organizacyjna. Hanna Grodecka 97
Komunikat Informacyjny. Marja Gieysztor 102
Administracja „Rządu i Wojska". Stefanja Flekówna 105
Polska Stacja Sanitarna. Ina Żulińska 110
Peowiacy w Modlinie. Stefanja Hanna Kudelska 118
Oddział Żeński P. O. W. w Krakowie. Marja Korniłowiczówna . . 112
Polska Organizacja Niepodległościowa we Lwowie. Łucja Kipowa . 125
Oddział Żeński P. O. W. we Lwowie. Helena Bujwidówna . . . 128

Str.

Harcerstwo Żeńskie.

Harcerki w ruchu niepodległościowym. Marja Wocalewska 133
Ze wspomnień harcerskich (1915 — 1918). Wanda Prażmowska . . . 137

Liga Kobiet.

Liga Kobiet Galicji i Śląska. Zofja Moraczewska 143
Lwowskie Koło Ligi Kobiet. Helena Waniczkówna 151
Liga Kobiet Pogotowia Wojennego. Leokadja Śliwińska 157

Z Pracy Stronnictw Niepodległościowych.

Na posterunku. Marja Rychterówna 169
Liga Niezawisłości Polski we Lwowie. Marja Jaworska 176
Więzienie niemieckie (S. N. N.). Stanisława Krasuska 180
Burzliwe dni powiatu Miechowskiego. Zofja Zawiszanka 188

W otwartej walce.

W pracy Pogotowia Bojowego P. P. S. Janina Benedekówna 199
Rozbrojenie Austrjaków w Krakowie. Ludmiła Modzelewska 202

ZARANIE POLSKI NIEPODLEGŁEJ.

Przed otwarciem Rządu Lubelskiego. Helena Orsza-Radlińska . . . 209
Wspomnienia Lubelskie. Halina Różycka 216
Powrót Komendanta z Magdeburga. Anna Minkowska 220

Obrona Lwowa.

W obronie Lwowa. Marja Herburtówna 225
W przededniu Legji Ochotniczej. Aleksandra Zagórska 229
Służba kurjerska. Stanisława Paleolog 236
Krzywczyce. Danuta Kolbuszewska 245
W walkach o Lwów. Helena Bujwidówna 248
Harcerki w obronie Lwowa. Marja Csesznakówna 261
W służbie sanitarnej. Lili Mokłowska-Dobranicka 266
„Głos Polski". Helena Waniczkówna 277

O polskość Wilna.

W Wilnie. Apolonja Makowska 285
Wileńskie Harcerstwo Żeńskie. Ewa Gulbinowa 288
Ku wyzwoleniu Wilna. Marja Truszkowska 292

W Poznańskiem.

Na przełomie. Jadwiga Gulińska 297
W Witkowie Poznańskim. Michalina Świerkowska 306

Prace na Wschodzie.

Na wschodniej rubieży. Hanna Hubicka 311
Związek Broni. Zofja Wańkowiczowa 321
Z pracy P. O. W. w Mińsku Litewskim. Józefa Michałowska . . . 339
Ruch Niepodległościowy w Kijowie. Halina Nowacka 345
Na szkolnej ławie. Marja Wittekówna 350
Moja pierwsza podróż kurjerska. Rena Boguszewska 357
Harcerki kijowskie. Marja Iżykiewiczówna 361

Str

Uwolnienie legjonistów z więzienia. Wanda Wasilewska 363
Placówka w Winnicy. Halina Trentowska 368
Młodzież niepodległościowa w Żytomierzu. Władysława Andrzeykowiczówna 371
Z Żytomierza do Winnicy. Irena Kańska 377
Z tamtej strony frontu. Irena Kosmowska 383
Do Polski! Halina Chełmicka 386

PAMIĘCI ZMARŁYCH.

Te, które odeszły... 397
Walerja Golińska 399
Marja Dulębianka 401
Marja Turzyma - Wiśniewska 403
Marja Domańska 405
Marja Przyjemska 407
Stefanja Jastrzębowska 410
Wanda i Zofja Szafirówny 411
Bronisława Ziemiańska 413
Marja Iwanowska 415
Janina Przybyszewska 416

W WALCE Z NIEMCAMI.

PRACA NIEPODLEGŁOŚCIOWA W POLSCE OKUPOWANEJ.

Aleksandra Szczerbińska.

AKCJA NIEPODLEGŁOŚCIOWA.

Warszawa wolna od Moskali... Ileż nadziei i ileż zawodów... Pierwszy okres walki o niepodległość skończony, okres, w którym Legjony są pierwszym szczeblem na drodze do odzyskania wolności. W ciągu pierwszego roku walk zdobyły one wielkie walory moralne, ale brak im Rządu Narodowego, za który nie można było uważać N. K. N-u lojalnego wobec Austrji. Rozumieją to dobrze stronnictwa niepodległościowe i w myśl wskazań Komendanta jeszcze za rządów Moskali skupiają się i, tworząc wspólne przedstawicielstwa, kładą podwaliny przyszłego Rządu.

Dążenia te nie idą po myśli Niemiec ani Austrji: władze okupacyjne nie chcą słyszeć o niepodległości. W związku z tem stanowiskiem okupantów Komendant wstrzymuje werbunek do Legjonów. Decyzję tę przyjmują jako rozkaz wszystkie stronnictwa niepodległościowe, biorąc na siebie wraz z P. O. W. ciężar uświadomienia społeczeństwa wśród zaostrzającej się wciąż walki z okupantami.

Niemcy, niezadowoleni z rozkazu wstrzymującego werbunek, chwytają się systemu represyj. Zaczynają się aresztowania i wywożenie ruchliwszych jednostek do obozów w głąb Niemiec. Wtedy to ruch niepodległościowy przechodzi przez jeden z najprzykrzejszych okresów w czasie wojny.

W rok po wzięciu Warszawy rządy zaborcze zdobywają się na ogłoszenie niepodległości. Jest to tylko manewr , obliczony na efekt w polityce zagranicznej. Zbudowana na tym akcie Tymczasowa Rada Stanu nie wywiera wpływu na społeczeństwo. W następnym roku powstaje kryzys, związany z odmową złożenia przysięgi przez większość legjonistów oraz osadzenie ich w Benjaminowie i Szczypiornie.

W lipcu 1917 roku następuje aresztowanie Komendanta. Równocześnie zaczynają się liczne aresztowania, rozbijające pracę P. O. W.

treści, ducha, przemawiać donośnie do serc i umysłów. Między prelegentem a słuchaczami nawiązywały się sympatyczne nici, które osobliwego uroku nadawały pracy.

Poruszone wspomnienia oświatowych wędrówek wywołują obrazy miejsc, osób, czasów... Jako przykład niech służy kilka ledwo zarysowanych szkiców, osnutych na tle osobistych wrażeń i wspomnień.

Działo się to na kilka miesięcy przed pamiętną jesienią 1918 roku w Nadbrzeziu, w wiosce położonej nad Wisłą, naprzeciwko Sandomierza. W późny wieczór izba w chacie, oświetlona ledwo tlejącą lampą, natłoczona po brzegi przez wieśniaczki, od młodych dziewcząt począwszy do pochylonych wiekiem starców. Twarze rozciekawione — coraz nowe padają uwagi i pytania. Pociąg spóźnił się o kilka godzin i zebranie, mające odbyć się po południu, zaczęło się ledwie wieczorem. Pytam — czegoście mnie tutaj sprowadziły z Krakowa? Poco tylokrotnie wzywałyście Zarząd Ligi Kobiet, by wam koniecznie przysłać prelegentkę? — A bo wiedzieć chcemy, co dzieje się w świecie — odpowiadają chórem — gazetka nie wystarcza, pragniemy opowiadania.

I przez długie godziny, do samej północy ciągnie się żywa wymiana myśli, ponawiają pytania, wyjaśniają wątpliwości i obawy. Łączy nas ze sobą wspólne odczucie owej Polski, która już ma lada chwila „wybuchnąć", której godzina wydzwaniać poczyna radośnie na zegarze dziejowym. I jawi się przed nami w całej swej krasie nasza ziemia,

„ziemia tak bogata,
„że wyżywić mogłaby pół świata" [1]),

byleśmy tylko umieli własnemi siłami wydobyć z niej skarby przyrodzone, zużytkować niewyczerpane, drzemiące w narodzie zasoby energji.

Echa walk, przygotowujących wyzwolenie, dotarły do cichej wioski nad Wisłą, do kobiet z pod strzechy wieśniaczej, biernych dotąd i nieświadomych, a które niebawem chwila dziejowa powołać miała do czynnego udziału w życiu publicznem.

Najniespodziewaniej w świecie napadła na mnie znajoma działaczka społeczna z Zagłębia Dąbrowskiego i obrzuciła gradem wymysłów. — „Co warta wasza inteligencka ideologja — mówiła gwałtownie, — niby obchodzi was ziemia i naród, niby dlań pracujecie,

[1]) K. Ujejski.

a tam ludzie marnują się, giną z pragnienia wołają napróżno o pomoc — głusi jesteście i obojętni". Po chwili wyjaśniła się przyczyna jej oburzenia. Oto na pograniczu b. Królestwa, we wsi Bobrowniki garstka młodzieży oddawna domagała się, by choć na dni kilka przyjechał do nich instruktor, któryby pouczył ją o Polsce, zorganizował kółka samokształcenia, założył bibljoteczkę, do którego mogliby się zwracać potem piśmiennie po dalsze rady i wskazówki. Mimo usilnych starań i nalegań, nikt się dotąd nie dał uprosić. Widocznie gwałtowna wymowa orędowniczki owej młodzieży odniosła pożądany skutek, bo w tydzień potem byłam już w Bobrownikach. W pamięć wryła mi się tam postać młodej, ślicznej wieśniaczki, której mąż od lat kilku przebywał na froncie. W prostej, ale plastycznej mowie, wyrazić usiłowała dręczące ją pragnienie nauki, nieprzeparty pociąg do książek i umysłowej pracy. Niepokój myśli ludzkiej, w odwiecznem dążeniu do prawdy, z żywiołową siłą przejawił się tutaj, w cichej wsi polskiej, do której zrzadka tylko dochodziły echa o zdobyczach nowoczesnej wiedzy.

W rozmowach ze słuchaczami rozmaitych kursów odsłaniały się niekiedy ciekawe, charakterystyczne rysy, konflikty i niepokoje, przez które przechodziło wielu w pamiętnych latach wojny światowej i odrodzenia Polski. Nie zapomnę nigdy gospodarza z pod Jędrzejowa, którego wykłady literatury polskiej i czytanie dzieł Mickiewicza wytrąciło całkowicie z równowagi. Człowiek rozsądny, pracowity rolnik, ojciec licznej rodziny, oddany dotąd wyłącznie zabiegom gospodarczym i życiu domowemu, uczuł się nagle, pod wpływem słów wieszcza, porwany w nowy dlań zupełnie krąg myśli i uczuć. Zobojętniał dla wszystkiego, co dotąd stanowiło treść jego bytu, potężna fala wydarzeń pchała go na pole czynu, w szeregi ochotniczych zastępów. W słowach jego drgało, poprzez łzy, zbudzone nagle uczucie narodowe, walczące z dotychczasową biernością, przyzwyczajeniami, materjalizmem, obowiązkami wobec rodziny i t. p.

Praca oświatowa wiele jeszcze innych nasuwa obrazów i wspomnień. Do najmilszych należą te, które zostawiły po sobie kursy dla nauczycieli ludowych, zorganizowane za czasów okupacji austrjackiej w Zamościu. Na ziemi „mogił i krzyżów", okolonej wieńcem cmentarzy wojennych, przy odgłosie armat, dochodzącym z pobliskiej linji bojowej, uczyliśmy wiary polskiej w chwilach pełnych zwątpienia i niepokoju, szukania właściwych dróg i wskazań.

Między prelegentami a słuchaczami nawiązały się nader serdeczne stosunki. Nie zapomnę nigdy szarego, mglistego ranka, w którym przyszło nam żegnać się ze sobą. Kiedy ruszał już samochód, zgromadzeni słuchacze wyrazili donośnie gotowość swą do bliskiego, cze-

kającego nas czynu. Zgodny chór zaintonował przysięgę Roty — „Pójdziem, gdy zabrzmi złoty róg". Długo, długo dźwięczały w duszy mej słowa pieśni, w której znalazły wyraz nadzieje i uczucia naszego pokolenia...

Różne, nader różne bywały kursy i wykłady, na których wypadło mi pracować. Odbywały się w stołecznej Warszawie i w większych miastach, środowiskach życia umysłowego, a także po małych zaułkach prowincjonalnych, pozbawionych wszelkiej kultury — po wsiach i kopalniach. w zgiełku, ruchu i upale miejskim, w letnich miesiącach, w czasie mrozów i śniegów noworocznych. Bywały kursy starannie przygotowane i zorganizowane, z licznym zastępem prelegentów, jakoby uniwersytety letnie, uczęszczane tak tłumnie, że żadna sala pomieścić nie mogła słuchaczy i trzeba było wykładać w miejscowym kinoteatrze [1]).

Bywały inne, skromne, w słabo oświetlonej izbie, zapowiadane w niedzielę przez księdza z ambony, na które schodzili się ludzie różnego stanu i wieku, co nigdy jeszcze żadnego nie słyszeli wykładu i ciekawie rozglądali się, co to jest i jak wygląda. Bywały wykłady w wielkich salach, ozdobionych obrazami i zielenią, a także w podziemiach zakrystji kościelnej, w domach inwalidów i szpitalach wojskowych dla rozrywki i pociechy nieszczęsnych kalek, dotkniętych przez wojnę. Osobna wzmianka należy się Wilnu, którego piękne tradycje, jemu wyłącznie właściwe nastroje, godne uwagi typy ludzkie, wytwarzają środowisko sprzyjające pracy duchowej. Nigdy też nie udało się osiągnąć takiego porozumienia ze słuchaczami, nigdzie wywołać takiego zainteresowania dziejami Polski, jak wśród nauczycielstwa tej tak niedawno z Rzecząpospolitą zespolonej ziemi kresowej.

[1]) W Radomsku.

Marja Herburtówna.

MŁODZIEŻ AKADEMICKA WE LWOWIE.

(1916 — 1918).

Trudno mi jest dzisiaj odtworzyć w krótkim artykule życie młodzieży, a w szczególności młodzieży akademickiej we Lwowie w okresie przygotowawczym do walki ostatecznej o wolność Ojczyzny. Nie czas było wówczas robić notatki, czy pisać pamiętniki — muszę więc sięgnąć do materjałów, szczupłych zresztą, które, jako sekretarka dwóch organizacyj młodzieży, pozostawiłam u siebie. Nie będzie zatem ten krótki szkic wyczerpywał całości życia młodzieży; pragnęłabym bardzo, aby stał się początkiem szczegółowego opracowania tego niezmiernie ciekawego okresu naszego życia.

Pragnę również zaznaczyć, że mogę pominąć nazwiska wielu osób, wypadki bowiem, które następowały po sobie, stawiając coraz to nowe zadania i ciągle zmieniające się życie — zatarły wiele wspomnień, oddaliły je, pozostawiając tylko w duszy niezatartą pamięć czasów „górnych i chmurnych", pełnych czystego entuzjazmu i głębokiej wiary w odrodzenie ducha polskiego.

Rok 1914 ogołocił prawie zupełnie Lwów z męskiej młodzieży, która albo wymaszerowała z oddziałami legjonowemi, albo, wcielona do wojska austrjackiego, poszła na obce fronty.

Ster życia akademickiego, siłą rzeczy, przeszedł w ręce kobiece.

Charakter działalności uległ jednak zasadniczej zmianie — życie akademickie, w ścisłem tego słowa znaczeniu, zamarło. Nie pora była na dyskusje, wiece i roztrząsania — na froncie stał żołnierz polski. Legjony podniosły sztandar walki o wolność — za frontem trzeba było podjąć realną dla nich pracę.

Jedną z najsilniejszych ówczesnych organizacyj kobiecych była „Liga Kobiet", grupująca ten odłam kobiet, dla których idea reprezentowana przez Komendanta stanowiła wytyczną, a pozytywna pra-

ca dla polskiego żołnierza w polu była siłą przyciągającą niezorganizowaną młodzież akademicką.

We wszystkich agendach Ligi Kobiet bierze żeńska młodzież akademicka wybitny udział, organizując bibljoteki polowe, pomoc szkolną dla uczących się legjonistów, orkiestry polowe, pracuje w gospodach legjonowych i w ochronkach.

W r. 1915, na Boże Narodzenie, St. Anczycówna transportuje przygotowane przez Ligę podarunki na front, a w r. 1916, na Wielkanoc, Wł. Greffnerówna i M. Herburtówna jadą z wagonem darów.

Po ustąpieniu Komendanta z Legjonów i ogłoszeniu przez państwa centralne niepodległości państwa polskiego stają przed młodzieżą nowe zadania.

Hasło „rząd i wojsko" staje się programem politycznym i równocześnie daje się odczuwać konieczność stworzenia organizacji, konsolidującej wyłącznie młodzież.

Ze względu na wyjątkowe stosunki, panujące wówczas we Lwowie i trudności w uzyskaniu zatwierdzenia statutu nie można było myśleć o założeniu odrębnego stowarzyszenia, wobec czego inicjatorki (St. Anczycówna, H. Bujwidówna, M. Domaszewska, Wł. Greffnerówna, M. Herburtówna, M. Janczyszynówna, Z. Petzoldówna i E. Rudnicka) zawiązują dnia 18/II 1917 roku „Koło Młodzieży przy Lidze Kobiet" z przewodniczącą Koła St. Anczycówną i sekretarką M. Herburtówną.

Zadaniem Koła było podniesienie poziomu ideowego nietylko młodzieży akademickiej, lecz przedewszystkiem młodych kobiet, pracujących w urzędach i na polu oświatowem. Organizacja ta w zupełności odpowiedziała swojemu celowi. Członkinie jej oddały nieocenione usługi Polskiej Organizacji Wojskowej, a ponadto były elementem, budzącym bunt przeciw zaborcy w tem środowisku, w którem pracowały zawodowo. One też w znacznej mierze pomagały w kolportażu „bibuły", która dzięki temu przenikała do wszystkich warstw społecznych.

Koło Młodzieży urządzało obchody dla uczczenia momentów związanych z życiem Legjonów, odczyty, w których poruszano aktualne wówczas wypadki polityczne, oraz zaznajamiało z historją i ideologją Legjonów.

Bardzo żywy udział brało Koło w akcji Ligi w sprawie równouprawnienia kobiet i na wiecach wnosiło rezolucje o tworzenie rządowych szkół średnich żeńskich oraz o dopuszczenie młodzieży żeńskiej do wszystkich wyższych uczelni.

Członkinie Koła biorą również bardzo żywy udział w pracach Komitetu Szczypiorniańskiego i w Lidze Niezawisłości.

Wypadki polityczne, toczące się z kalejdoskopową zmiennością, zmuszają Koło Młodzieży do podjęcia inicjatywy w celu stworzenia ściśle akademickiej organizacji, reprezentującej opinję akademickiego odłamu młodzieży niepodległościowej, gdyż dotychczas wyrazem tej opinji była „Czytelnia Akademicka", grupująca młodzież narodowo-demokratyczną.

W lutym 1917 roku dzięki staraniom St. Anczycówny, H. Bujwidówny, M. Herburtówny, J. Köhlerówny i M. Prokopowiczówny powstaje „Akademicka Organizacja Młodzieży Niepodległościowej". Nawiązuje ona kontakt ze słabo wegetującem „Zarzewiem" oraz z „Czytelnią Akademicką", dążąc do wytworzenia jednolitego frontu akademickiego.

Po wybuchu rewolucji rosyjskiej, kiedy już jasne było, że pozostał do zwalczenia jeden wróg, t. j. państwa centralne, cały wysiłek młodzieży niepodległościowej poszedł w kierunku stworzenia tajnych kadr, zdolnych każdej chwili do chwycenia za broń w imię walki o niepodległość.

Muszę podkreślić zasługi lwowskiej młodzieży żeńskiej, gdyż tylko dzięki jej wytężonej i ofiarnej pracy P. O. W. mogła spełnić swoje zadanie na terenie Lwowa i Małopolski Wschodniej.

Dopiero po przysiędze, zakończonej rozbiciem Legjonów i aresztowaniem Komendanta zaczyna powoli napływać młodzież męska, znajdując już gotowe pole pracy.

W ciągu roku 1917 Akademicka Organizacja Młodzieży Niepodległościowej wydała szereg odezw, była ona jednym z głównych czynników protestacyjnego strejku w związku ze strejkiem uniwersyteckiej młodzieży warszawskiej, przeprowadziła akcję wysłania adresu do Koła Polskiego, solidaryzując się z pamiętnemi uchwałami z dnia 28/V 1917 roku.

Równocześnie prowadzi ona pertraktacje z innemi ugrupowaniami młodzieży, aby w imię wspólnej walki z zaborcą połączyć wszystkie odłamy młodzieży w jedną silną organizację. Usiłowania nasze doprowadziły do podpisania formalnego protokółu w dniu 8/II 1918 r., na mocy którego wszystkie partje polityczne młodzieży akademickiej przystąpiły do „Czytelni Akademickiej". Lwowska młodzież umiała zdobyć się w przełomowej dla Polski chwili na akt zgody, jedyny w swoim rodzaju, umiała podporządkować istotnemu zrozumieniu dobra Ojczyzny różnice partyjne, świecąc przykładem starszemu społeczeństwu.

Protokół z 8/II 1918 roku był już zresztą formalnem sfinalizowaniem akcji, oddawna przez nas prowadzonej, wspólnie bowiem występowała cała młodzież akademicka w manifestacjach w dniu 2/II

1918 r. przeciw Zjazdowi Kół Pracy Narodowej, stojącemu na gruncie ugody z Austrją, zakończonych tragiczną śmiercią ś. p. Czerkasa, który legł na ulicach Lwowa od kuli pruskiej. Austrjackie władze wezwały bowiem do pomocy oddziały pruskie, stacjonowane we Lwowie.

Impuls do obydwu manifestacyj dała młodzież akademicka.

Pierwsza z nich, zwołana przez młodzież, przy współudziale P. O. W., odbyła się pod ratuszem lwowskim, gdzie zjazd obradował pod ochroną bagnetów austrjackich.

Policja wykonała szarżę, która napotkała na opór tak, że wprawdzie wśród manifestantów byli ranni, ale i policję poturbowano.

Miasto wrzało i na wiec popołudniowy, urządzony przez Narodową-Demokrację społeczeństwo całe stawiło się niezwykle licznie. Charakterystycznym jednak był przebieg wiecu, który został szybko opanowany przez P. O. W., Ligę Niezawisłości i P. P. S. — tak, że rezolucje nasze w sprawie uwolnienia Komendanta, więźniów Szczypiorna i Benjaminowa przeszły wśród ogólnego entuzjazmu.

Dnia 4/II 1918 roku wiec ogólno-akademicki zażądał usunięcia Niemców ze Lwowa i ogłosił dzień pogrzebu ś. p. Czerkasa za dzień żałoby narodowej.

Równocześnie młodzież akademicka zwróciła się do miejscowych władz z żądaniem usunięcia policji i wojska w dzień pogrzebu z ulic miasta i podjęła się strzec porządku publicznego przy pomocy ad hoc stworzonej straży akademickiej. Żądania te spełniono.

Dnia 9/II 1918 roku zostały ogłoszone pierwsze punkty traktatu brzeskiego, a wślad za tem rozbicie t. zw. Polskiego Korpusu Posiłkowego, stojącego w pobliżu granic Rumunji.

W społeczeństwie zawrzało. Młodzież akademicka występowała z własną inicjatywą, urządzając wiece we Lwowie i na prowincji i z całym entuzjazmem brała żywy udział we wszelkiej akcji społeczeństwa, skierowanej przeciw zaborcom.

We wrześniu 1918 r., kiedy w powietrzu wisiała burza, powstał Akademicki Komitet Wykonawczy, tajna władza młodzieży akademickiej i dnia 13 października 1918 r. wydał odezwę do młodzieży, wzywając ją do karnego posłuchu i zawiadamiając jednocześnie, że: „Zdając sobie sprawę, że chwila obecna wymaga wysunięcia na czoło najbardziej aktywnych czynników w społeczeństwie, któreby śmiało i bez wahania ujęły inicjatywę w sprawach narodowych, wejdzie Akademicki Komitet Wykonawczy w porozumienie z temi żywiołami starszego społeczeństwa, które dają gwarancję, że potrafią w bieżącym okresie politycznym przeprowadzić wspólnie z nim organizację społeczeństwa".

Przytoczę najcharakterystyczniejsze momenty tej ciekawej odezwy.

„A. K. W. ustala:

1) Cała zorganizowana polska młodzież akademicka we Lwowie i wschodniej części kraju winna bezwzględny posłuch i karność w wykonywaniu rozkazów i poleceń A. K. W.

2) Każdy uznający władzę A. K. W. pozostaje w stanie rozporządzalnym dla A. K. W. W myśl tej zasady przeprowadzi A. K. W. racjonalny podział pracy między wszystkie podlegające mu jednostki.

3) Wszelkie akcje natury politycznej ma prawo A. K. W. przeprowadzić na własną rękę.

4) A. K. W. ma prawo zwoływania wieców ogólno-akademickich.

5) A. K. W. posługiwać się będzie własnemi funduszami, które czerpać będzie ze zorganizowanego podatku młodzieży akademickiej, którego normy niezwłocznie ustali i ogłosi. Dlatego już dziś ogłasza jako istniejącą instytucję: Polski Akademicki Fundusz Narodowy, którego odpowiedzialny zarząd spoczywać będzie w rękach każdorazowego przewodniczącego „Czytelni Akademickiej" we Lwowie".

Akademicki Komitet Wykonawczy powstał pod wpływem P. O. W. i pozostawał pod jej kierownictwem, a odezwa ma, jak z przytoczonych wyjątków widać, charakter wojskowy.

Niestety, nie pamiętam imiennego składu A. K. W. — prawdopodobnie znajduje się on w archiwach Czytelni Akademickiej. Podkreślić muszę raz jeszcze niezwykły poziom ideowy młodzieży akademickiej we Lwowie, która, pomimo różnic przekonań, umiała zdobyć się na jednolitość działania i zrezygnować z ambicyj partyjnych.

A. K. W. wspólnie z Wydziałem Czytelni Akademickiej zorganizował Ogólny Zjazd Polskiej Młodzieży Akademickiej z całej Polski na dzień 30/X 1918 roku.

Zjazd rozpoczął się mobilizacją wszystkich organizacyj wojskowych, a sztab P. O. W. urzędował w Czytelni Akademickiej.

Pierwsze inauguracyjne zebranie odbyło się już w atmosferze „bojowej". Po przywitaniu gości z Krakowa i Warszawy i po przyjęciu programu Zjazdu, Akademicki Komitet Wykonawczy w ścisłej łączności z Komendą P. O. W. wydawał rozkazy, przynoszono broń, słowem przygotowania do wyrzucenia Austrjaków szły w całej pełni.

Tymczasem dowództwa trzech organizacyj radziły — a my czekaliśmy do 1-szej w nocy na rozkazy. Przyszedł wreszcie rozkaz rozejścia się.

Dnia 1-go listopada 1918 roku miasto znalazło się w rękach ukraińskich, a młodzież akademicka po odbytych naradach postanowiła

podjąć hasło obrony, rzucone przez garść legjonistów, zamkniętych w szkole Sienkiewicza oraz oddział P. O. W. zebrany w Domu Techników.

Usunęłyśmy jeszcze nagromadzoną w Czytelni Akademickiej broń, w biały dzień przeniosłyśmy ją wśród gęstych patroli ukraińskich w bezpieczne miejsce i poszłyśmy pełnić służbę bądźto z bronią w ręku, bądź jako wywiadowczynie i sanitarjuszki w oddziałach zdobywających miasto.

Dioniza Lipińska.

W PRUSKIEM WIĘZIENIU.

Latem 1915 roku praca niepodległościowa w Łodzi nabrała ogromnego rozmachu: rozwijało się świetnie P. O. W., Liga Kobiet, skauting oraz Zjednoczenie Stronnictw Niepodległościowych, w skład którego wchodziły wszystkie stronnictwa niepodległościowe. Praca wrzała i zakreślała szerokie kręgi.

Nie zwracaliśmy uwagi ani na kręcących się coraz częściej po Łodzi „szpicli", ani na ostre zarządzenia cenzury niemieckiej, która ogłaszała w pismach, że za nielegalne druki i pisma grozi czteroletnie więzienie. Musieliśmy przecież drukować ciągle i dużo: ludzie pragnęli wieści politycznych, pragnęli oświetlenia wielu spraw i zagadnień. „Wiadomości Polskie", dochodzące do Łodzi w tysiącach egzemplarzy, traktowane były jako nić łącząca nas z frontem, nie dawały one jednak właściwego kierunku orjentacji politycznej, wszelkie więc druki nielegalne, jak odezwy i ulotki, miały ogromne powodzenie. W drukowaniu tych odezw brałam czynny udział, będąc w stałym kontakcie z drukarnią, do której zanosiłam rękopisy, umawiałam się o cenę i wreszcie robiłam korekty.

Dziś, po trzynastu latach, jeślibym chciała dokładnie określić rodzaj i zakres swej pracy, nie umiałabym tego uczynić. Pracowało się zarówno w Lidze Kobiet, jak w P. O. W. i w Zjednoczeniu Stronnictw; dnie całe wypełnione były gorączkową pracą, a mieszkanie nasze tak było zajęte przez nie kończące się nigdy zebrania i konferencje, że nieraz marzyło się o tem, ażeby doczekać się takiego wieczora, kiedy dzwonek przy drzwiach wejściowych nie będzie bezustannie dźwięczał.

Jednego właśnie z takich gorączkowych dni, wkrótce po zajęciu Warszawy, otrzymałam wezwanie, abym się stawiła do niemieckiego urzędu paszportowego. Nie przeczuwając nic złego, udałam się pod

wskazany adres, gdzie czekał już na mnie „szpicel" i zaprowadził mnie do bocznego pokoju. Tu znajdował się szef łódzkiej policji tajnej Bartsch, który mi zakomunikował, że jestem zaaresztowana. Na stole przed nim leżały stosy odezw i ulotek, na których widniało wszędzie moje nazwisko. Wszystkie te odezwy, czyto wydawane przez P. P. S. czy N. P. R. czy nawet Ligę Państwowości, według słów Bartscha miałam ja właśnie pisać, drukować, ba, nawet roznosić po miastach i wsiach.

W ciągu dwóch godzin nie mogliśmy dojść do żadnego z Bartschem porozumienia. Nie chciałam podpisać protokółu przezeń skomponowanego, a on narazie tonem ojcowskim, a potem krzykiem starał się udowodnić, że u nas w domu jest główne „siedzenie" dla legjonistów i że to właśnie mnie stale widywał w drukarni.

O zmroku, gdy protokół negujący wszystkie jego zarzuty został podpisany, Niemiec oświadczył mi, że na sprawę poczekam sobie u nich. Zaprowadzono mnie tedy do małego cuchnącego pokoiku, w którym przebyłam aż sześć tygodni. Chwile te były straszne. Nawprost moich okien przez dzień cały odbywały się przeglądy nieszczęsnych dziewczyn ulicznych, widziałam straszny, barbarzyński wprost sposób traktowania ich, słyszałam okropne przekleństwa, lub dziką rozpacz noworejestrowanych, lub prowadzonych gwałtem do szpitala. W nocy znów dochodziły do mnie pijane śpiewy i krzyki ucztujących pod moim pokojem w kasynie policjantów, nad ranem zaś pijane lamenty i przekleństwa ściganych na ulicy kobiet. Cała groza wojny, która dotąd wydawała mi się czemś strasznem, zbladła teraz w moich oczach, bo czyż można było widzieć i słyszeć rzeczy straszniejsze i bardziej poniżające godność ludzką?

Któregoś dnia wreszcie cierpliwość moja wyczerpała się, zażądałam kategorycznie lekarza oraz przeniesienia mnie do więzienia. Doktór przybył wkrótce, pokazałam mu ręką widok zprzeciwka i poprosiłam, aby przez chwilę posłuchał tego piekła i pooddychał choć przez kwadrans zaduchem, idącym z niedomkniętych rur kanałowych. Tegoż dnia jeszcze zalepiono rury wapnem, a na drugi dzień pomalowano okna mego przykrego sąsiedztwa białą farbą. Po kilku dniach wywieziono mnie do więzienia przy ulicy Długiej.

Gdy zatrzasnęły się za mną jedne, drugie i trzecie drzwi, zdawało mi się, że świat zamknął się za mną na zawsze, ale zato cisza, cisza panująca naokół i wzorowa czystość wydawały mi się rajem. Raj ten jednak okazał się bardzo problematyczny, gdyż w więzieniu była tylko jedna duża cela dla kobiet, w której siedziało około szesnastu uwięzionych. Towarzystwo było dziwnie mieszane: kobiety-szpiegi, gospodynie wiejskie, nie chcące płacić podatków, złodziejki, więk-

szość jednak kompanji stanowiły prostytutki. Przyjęto mnie niezbyt czule, tem bardziej, że naczelnik więzienia, Ślązak, kazał mi przynieść nowe i czyste posłanie i ułożyć w oddzielnym kącie. Następnie zapowiedział moim towarzyszkom, żeby „tak brzydko przy pani nauczycielce nie rozmawiały". Wobec tego całe towarzystwo zorganizowało się przeciwko mnie, stosując stały system dokuczliwego docinania.

Wiele trudu, przebiegłości i nerwów kosztowało mnie, zanim przekształciłam stosunki, panujące w celi. Po dwóch tygodniach miałyśmy już pewien regulamin dnia. Po spacerze było codzienne głośne czytanie gazet, przeważnie nielegalnych, które poczciwy Ślązak pozwolił mi dostarczać. Po obiedzie była godzina obowiązującej ciszy, a wieczorem, gdy dziewczęta w ciągu dnia mało, lub zupełnie nie przeklinały, nie kłóciły się i nie opowiadały nieprzyzwoitych anegdot, śpiewałam im i uczyłam je piosenek leguńskich i wszystkich, jakie tylko umiałam.

Tak uregulowany program dnia uczynił życie znośnem i pozwolił mi wytrzymać kilka miesięcy. Nawiasem mówiąc, tylko dzięki staraniom mej matki nie wysłano mnie do któregoś obozu w głąb Niemiec. Karę otrzymałam stosunkowo niewielką, i to zarówno ja, jak i aresztowani wraz ze mną towarzysze z P. P. S. Najsurowszą bowiem karę, t. j. trzy lata ciężkiego więzienia, dostał właściciel drukarni, który nas sypnął ze strachu. Jako motyw, łagodzący nasze „przewinienia", nasz obrońca z urzędu, młody oficer niemiecki, przytaczał fakt, że ja i moi towarzysze pracowaliśmy ideowo z fałszywie coprawda pojętej miłości ojczyzny, a drukarz, „nur fürs Geld und nur fürs Geld" drukował nam pisma i odezwy.

Gdy wreszcie nadszedł dzień uwolnienia mnie, wybrałam się ze starszym bratem na wielki koncert dobroczynny, który tego dnia odbywał się w Łodzi. Wtedy to spotkała mnie przykrość, którą odczuwam po dziś dzień. W mojem mieście rodzinnem, gdzie wszystkich znałam i gdzie mnie wszyscy znali od dziecka, nikt z całego parteru z obawy przed Niemcami nie przywitał się ze mną. Mimo to na koncercie bawiliśmy się pysznie, obserwując z bratem zażenowane miny naszych „serdecznych znajomych". Jednak osad żalu pozostał.

Dopiero przy wyjściu otoczyli mnie znajomi z galerji i balkonów i, gwiżdżąc na niemieckich szpicli i łódzkich burżujów, poszliśmy wesoło wzdłuż ulicy, opowiadając wśród śmiechu, co zrobiono przez czas mego więzienia i ile pracy czeka nas jeszcze.

Janina Benedekówna.

WSPOMNIENIA Z OBOZU JEŃCÓW W HOLZMINDEN.

Wcześniej niż Warszawa poznaliśmy w Płocku „panowanie" niemieckie. Datowało się ono już od lutego 1915 r. Widzieliśmy wszyscy dobrze, że pod maską sprzymierzeńców krył się najzaciętszy bodaj wróg niepodległościowych dążeń Józefa Piłsudskiego i Legjonów. Dlatego też istotna nasza praca musiała być konspiracyjna i tylko powierzchowne jej przejawy miały charakter oficjalno-legalny.

Niemcy początkowo starali się zachowywać w stosunku do nas pewne pozory liberalizmu, wkrótce jednak rozpoczęły się represje, które po zajęciu Warszawy znacznie się wzmogły. U mnie robiono trzykrotnie rewizję i za każdym razem wzywano mnie na policję. Nie zarzucano mi jednak nic konkretnego, zwracano wszystkie znalezione u mnie wydawnictwa N. K. N-u, konfiskując jedynie bibułę P. P. S.

W pierwszych dniach października 1915 r., w czasie, gdy miałam lekcje z dziećmi poza domem, przyszedł ojciec mój z wiadomością, że żołnierze czekają na mnie w domu. Pierwszą myśl ucieczki odrzuciłam, gdyż w takim razie zaaresztowanoby z pewnością moich rodziców.

Po przeprowadzeniu rewizji kazano mi zbierać się do wyjazdu. Żołnierze pilnowali mnie przy pakowaniu rzeczy, a następnie zaprowadzili do komendantury. Schodząc już ze schodów, usłyszałam w korytarzu głośny płacz matki, która przy Niemcach zdołała się jakoś opanować.

W komendanturze ze zdumieniem, lecz i z pewną dozą radości zobaczyłam, że nie będę sama. Siedziała tam już ze swemi rzeczami Leona Przybyszewska, z którą razem prowadziłyśmy pracę niepodległościową. Nie orjentując się jednakże co do dalszych naszych losów, udawałyśmy narazie, że się nie znamy. Dopiero na statku, wiozącym nas do Włocławka, zdecydowałyśmy, że dalsza konspiracja jest już zbyteczna: przez długi czas miałyśmy być towarzyszkami niedoli. Żadnej z nas nie powiedziano ani dokąd, ani na jak długo, ani nawet pod jakim zarzutem jesteśmy aresztowane. Konwojujący żołnierze objaśnili nas tylko, że jedziemy do więzienia w Toruniu.

Obóz jeńców w Holzminden. Szkoła powszechna. 1915 — 1916.

Obóz jeńców w Holzminden. Szkoła dla dorosłych. 1915 — 1916.

Ponuro zarysowały się mury Torunia na tle gwiezdnej nocy, gdy jechałyśmy długim mostem, rzuconym przez łachę wiślaną. Noc spędziłyśmy na posterunku policji polowej. Nie zmrużyłyśmy, naturalnie, oka. Nazajutrz pozwolono nam zjeść śniadanie w jakiejś kawiarence i przy tej sposobności obejrzałyśmy trochę miasto. Wkońcu zatrzasnęła się za nami krata więzienna. Po ukończeniu przepisowych ceremonij, jak rewizja, spisanie rzeczy, odebranie nam pieniędzy, kąpiel i t. d. znalazłyśmy się w celi.

Może nawet nie było nam w tem więzieniu tak źle, ohydny był tylko „Aufseher" o głosie szczekającego buldoga. Z innemi aresztantkami widywałyśmy się tylko podczas kolacji, jadanej na korytarzu. Raz zobaczyłam w ręku jednej z nich agitacyjną broszurkę, apoteozująca wojnę i wspominająca Legjony. Była to zapewne przynęta dla Polaków w wojsku niemieckiem. Za kawałek chleba dostałam tę broszurkę i od tego czasu upiększała ona naszą celkę, a potem ścianę w baraku[1]).

Po trzech tygodniach zawiadomiono nas, że następnego ranka mamy wyjechać do obozu w Holzminden. Gdy prowadzono nas środkiem ulicy, dzieci biegnące do szkół pokazywały nas sobie palcami, wołając: „russische Spioninnen"! Do Berlina dojechałyśmy wygodnie. Magiczne słowo „Transport" zamykało drzwi wagonu przed tłoczącą się publicznością. Z żołnierzami porozumiałyśmy się dość szybko: obaj nie entuzjazmowali się wojną. Jeden z nich, fermer z Ameryki, przyjechał odwiedzić rodzinę do Berlina i trafił akurat na mobilizację. Drugi zaś tęsknił do młodej żony i dziecka: nie widział jej dawno, a że mieszkał w Berlinie, umówiliśmy się, że wyśle z drogi depeszę do domu i parę godzin spędzi z rodziną. My zato będziemy mogły obejrzeć Berlin i załatwimy sprawunki, korzystając, że jesteśmy na półwolnej stopie.

Tak też zrobiłyśmy. Kupiłam sobie parę książek botanicznych, a przedewszystkiem wysłałyśmy listy bez cenzury więziennej i, zjadłszy kolację, objechałyśmy dorożką ważniejsze dzielnice Berlina.

W nocy przyjechałyśmy do Magdeburga. Nocować miałyśmy w małej poczekalni, w obecności pilnujących nas żołnierzy. Na szczęście, wtrąciły się w to Niemki z Ochrony Kobiet i zostałyśmy na parę godzin same: Niemcy spali pod naszemi drzwiami.

Ranek był piękny. Jechaliśmy doliną Wezery, mając przed oczyma śliczne wzgórza Solingen. Gdy jednak jeden z Niemców zaczął

[1]) Broszura zawierała fotografje legjonowe.

zachwycać się krajobrazem, taka mnie ogarnęła żałość i tęsknota za płockim Tumem i za Wisłą, że wybuchnęłam bezsilną złością:

— „Für mich ist ganze Deutschland abscheulich"!

Niemiec zbaraniał, ja jednak dość szybko zapanowałam nad sobą i do Holzminden dojechałam już prawie spokojna.

Obóz sprawił na mnie wrażenie wieży Babel. Oprócz Francuzów, którzy przeważali, byli Belgowie, Moskale, Litwini, Polacy, Anglicy i niewielka liczba Murzynów i Chińczyków. Kogo też tam nie było! Nauczyciele, księża, studenci, artyści, najróżnorodniejsi rzemieślnicy, chłopi z całemi rodzinami, pochodzący z pogranicza litewsko-polskiego, klowni i atleci cyrkowi, rosyjscy anarchiści i szaulisi litewscy.

W baraku żeńskim, oddzielonym siatką od męskiego, był skład podobny z mniejszą tylko domieszką inteligencji. Wśród Polek, oprócz nas dwóch, były zaledwie trzy inteligentki. Ogółem przeważały robotnice rolne i tancerki z berlińskich kabaretów.

Polską kolonję zastałyśmy w idealnej zgodzie ze „słowianami", a nawet niejako pod ich hegemonją. Uderzyło nas to przykro. Po pewnym jednak czasie grupa polska skonsolidowała się i język rosyjski nie panował już wszechwładnie na wspólnych zebraniach „słowiańskich".

Mimo niesprzyjających warunków istniał w obozie szereg instytucyj o charakterze kulturalno-filantropijnym. Ludzie zmieniali się, podejmując pracę na tych placówkach.

Duszą „Komitetu Polskiego", który miał na celu głównie pomoc materjalną dla więźniów, a mianowicie podział żywności i ubrań, przesyłanych ze Szwajcarji oraz komitetów krajowych, — był Bolesław Jędrzycki, człowiek o wyjątkowo czystym charakterze.

Jedną z ważniejszych sekcyj Komitetu była sekcja szkolna. Podczas naszego pobytu szkółkę dla dzieci prowadził młodziutki student z Leodjum, Gerard Zwoliński. W Belgji należał on do Strzelca, ale, aresztowany z grupą studentów, zabiegał daremnie o zwolnienie go do Legjonów. Była też druga szkółka, t. zw. niemiecka, w której uczono polskiego języka dzieci z małżeństw mieszanych — polsko-niemieckich. Prowadził ją Głowacki. „Dyrektorem" męskiej szkoły dla dorosłych był student politechniki lwowskiej — Czesław Knichowiecki. Pracował on z niezmordowaną energją, opiekując się jednocześnie bibljoteką obozu.

Dziewczęta wzięłyśmy pod swoją wyłączną opiekę. Pracując rano w szkółce dla dzieci, a po południu w szkole dla dorosłych i w bibljotece, miałyśmy, niestety, jeszcze aż nadto czasu na tęsknotę do swoich. Najbardziej może dawał nam się we znaki zupełny brak

samotności. Wieczorem tylko, gdy po apelu, t. j. po dziewiątej godzinie, gaszono światło — miało się złudzenie, że się jest samą:

. . . powoli noc zapada,
Pobudkę trębacz gra...
Noc schodzi cicha, blada,
A serce z bólu łka.

Śnią mi się Wisły wody
Cichutki szept jej fal...
Swobody chcę, swobody,
Do swoich lecieć w dal!...

Przez cały dzień miałyśmy przed oczyma, równo, jak pod sznur ustawione, szare baraki, błotniste ulice, kolczasty drut i słyszałyśmy miarowe kroki warty.

Ale nawet i obóz miał swoje jaśniejsze chwile, pobyt tam bowiem uważałam za dalszy ciąg naszej pracy. Mam też poczucie, że nie pozostały bez echa nasze opowiadania o Komendancie i czynie legjonowym. Pomagały mi przytem przesyłane przez Genkę Malinowską wydawnictwa legjonowe z Krakowa. Były to: „Piłsudczycy" Kadena, „Rok 1914 w Karpatach" Merwina i inne, które natychmiast wcielałam do bibljoteki. Otrzymywałam też stale wiadomości z frontu. Nieprzejednanie wrogie stanowisko względem naszej sprawy zajmowali Litwini. Moskalom zaś pojęcie Niepodległej Polski nie mogło poprostu pomieścić się w głowie. Panowie Popowy, Daftjany i in. rewolucjoniści rosyjscy, szukający ongi azylu w Belgji, wyobrażali sobie Polskę jedynie pod opieką Rosji.

Po ośmiu miesiącach pobytu w obozie wskutek starań kuzynów moich Obarskich oraz p. Sczanieckiej zostałam zwolniona z prawem pobytu w domu pp. Sczanieckich w Łaszczynie pod Rawiczem, bez prawa wszakże wyjazdu poza obręb majątku. Było mi tu dobrze i źle. W podobnem, jak ja, położeniu znalazło się i wielu innych jeńców z Kongresówki, rozrzuconych po dworach wielkopolskich bądź w charakterze pracowników gospodarskich, bądź też, jak ja — gości-rezydentów. Poznańskie dało bowiem w tym wypadku dowód zrozumienia obowiązku obywatelskiego, a nawet ofiarności, pomimo jednak serdecznego przyjęcia czuliśmy się wśród nich jak intruzi. Powodem tego były zupełnie odrębne warunki, w których kształtowały się ich

i nasze pojęcia polityczne. Tak mściły się graniczne kordony, narzucone nam przez wrogów.

Wśród polskiego mieszczaństwa w Rawiczu istniało „Koło Kobiet". Na zebrania Koła jeździłam często z p. Sczaniecką (bez której nie mogłam wyjeżdżać z Łaszczyna). Miałam więc sposobność zetknąć się ze społeczeństwem wielkopolskiem i zawsze ogarniało mnie jednakie wzruszenie, gdy słuchałam opowiadań o prześladowaniach i szykanach, jakie im czynili Prusacy. Wypowiadały te skargi z trudem, walcząc z brakiem wyrazów polskich. Sprawę Legjonów widziały w niewłaściwem świetle, starałam się więc należycie je poinformować. Zaczynano już wierzyć w naszą sprawę.

W domu zaś pp. Sczanieckich, pełnym pięknych tradycyj polskich, ileż widziałam obrazków tak charakterystycznych dla społeczeństwa poznańskiego. Pan domu, w niemieckim mundurze, baczący, aby synowie kończyli pacierz codzienny prośbą: „Boże, zbaw Polskę", jasna główka słodkiej Fräulein na tle grottgerowskiego obrazu „Na Sybir" i czcigodna postać nauczycielki, panny Szafarkiewiczówny, wykładającej dzieciom historję Polski na obrazach Matejki. Czuło się, że trzeba tylko usunąć jakąś cienką zaporę, a zrozumiemy się i zbliżymy do siebie. Nie potrafiłam jednak tego dokonać.

W tym okresie prowadziłam bardzo ożywioną korespondencję. Między innemi skomunikowałam się z Jadwigą, która wraz z Olą siedziała w ob. jeńców w Laobanie, z Leoną, która pozostawała w Holzminden oraz z Jaśkiewiczową, którą z Płocka wywieziono do Hammern. Chodziło mi o przeprowadzenie akcji, zmierzającej do wyciągania z obozów jak największej ilości ludzi do pracy na terenie Poznańskiego. Wydawało mi się bowiem nielogiczne, że w obozie ludzie wpadali w rozstrój nerwowy lub apatję i siedzieli bezczynnie, podczas gdy tutaj brak było rąk do pracy.

Plan miałam prosty. Trzeba było zrobić wykazy ludzi z oznaczeniem ich zawodów, z drugiej zaś strony przygotować wykazy miejsc wolnych w przedsiębiorstwach handlowych i rolnych, słowem, stworzyć coś w rodzaju pośrednictwa pracy. O zbiorowej akcji nie można było marzyć, gdyż Niemcy nie dopuściliby do tego nigdy. Starania trzeba było więc przeprowadzać indywidualnie, na co wyrazili już swą zgodę pp. Niegolewscy, Drwęscy i inni.

W tym czasie jednak Niemcy proklamowali niepodległą Polskę i w związku z tem ogłoszono amnestję, dzięki której, po 13-stu miesiącach niewoli, w końcu listopada 1916 roku wróciłam do kraju.

Władysława Weychert-Szymanowska.

WIĘZIENIE AUSTRJACKIE.

W początkach grudnia 1915 roku ob. Prauss, kierownik Centralnego Biura Szkolnego, polecił mi, żebym pojechała do Opoczna i Końskich i zorjentowała się, w którem z tych miast udałoby się urządzić w czasie feryj Bożego Narodzenia kursy dla nauczycieli szkół początkowych. Chodziło o wyjaśnienie im naszego stanowiska, zamierzonego programu szkoły polskiej oraz o danie najpotrzebniejszych wskazówek metodycznych z języka polskiego, historji i geografji Polski. Kursy te — to była najowocniejsza praca Cenralnego Biura Szkolnego. Urządzaliśmy je w lecie w Piotrkowie, Radomsku, Dąbrowie, Jędrzejowie — wyniki bywały doskonałe: ludzie się uczyli i zachęcali do pracy samodzielnej, rozgrzewali uczuciowo i zajmowali front jednolity wobec okupantów. Władze szkolne ustosunkowały się do tych naszych poczynań rozmaicie, ale działała tu bardzo powaga ob. Praussa i jego stanowisko delegata Departamentu Organizacyjnego N. K. N. Inspektorzy byli Polakami — niestety, przeważnie bardzo lojalnymi wobec Austrji. W każdym razie wstyd im było przeciwstawiać się akcji polszczenia szkoły, zwłaszcza, że do programu tej akcji należało wyrzucenie ze szkół języka rosyjskiego.

Centralne Biuro Szkolne miało informacje od oficera werbunkowego z Opoczna, że nastrój tam jest doskonały. Dowódca miejscowy, generał Wiktor — to dobry Polak, syna ma w Legjonach, córka jego zbierała składki na Legjony. Na 1-go grudnia przyjeżdża całe nauczycielstwo z powiatu po pensje, a inspektor urządza konferencję pedagogiczną, trzeba być w tym terminie, bo można odrazu sprawę kursów omówić i zaagitować.

Przyjechawszy do Opoczna, przedstawiłam sprawę inspektorowi, otrzymałam od niego pozwolenie wejścia na konferencję i głos w sprawie kursów. Słyszałam jak „dyrektor" szkoły 2-klasowej, nauczyciel[1]), który już skończył był swą karjerę w Galicji i zaczynał ją na nowo w okupacji austrjackiej, dawał informacje jak uczyć historji Polski, opierając się na materjałach, zawartych w „Czytankach",

[1]) Nie chciałabym, aby cień tego człowieka padał na nauczycielstwo galicyjskie, które też go dezawuowało

które już do Opoczna przywędrowały z Galicji. Nauczycielstwo oddawna atakowało te „Czytanki", ułożone w duchu stańczykowskim i obfitujące w opowiadania o różnych członkach rodziny Habsburgów, tak czy inaczej związanych z Polakami. Te właśnie opowiadania miały być podstawą nauki historji Polski.

Wysłuchałam spokojnie jego wskazówek metodycznych, ale je sobie dobrze zapamiętałam. Wreszcie skończyła się konferencja pedagogiczna i udzielono mi głosu w sprawie kursów. Przedstawiłam program, zapytując, co koledzy o nim myślą i jakie są w Opocznie możliwości dostania lokalu i zorganizowania wspólnej kuchni na kilkadziesiąt osób, któreby na jakieś 10 dni przybyły z Opoczyńskiego i Koneckiego.

W odpowiedzi ów „dyrektor" zaczął krytykować program. Utrzymywał, że jest on jednostronny — tylko polski, geografja i historja Polski. „Naszym nauczycielom, źle przygotowanym do zawodu, trzeba dać metodykę i to przedewszystkiem metodykę arytmetyki; chleba im tu potrzeba, a nie ciastek".

— Kolega nie zna stosunków w Królestwie — odparłam. „Dla nas przedmioty polskie nie są ciastkami, lecz najczarniejszym chlebem. Nie mogliśmy nauczyć się ich w rosyjskich seminarjach. Dziś nauczyciele mają możność uczyć historji Polski — jakże dadzą sobie radę, jeśli sami przedmiotu nie opanowali. Musimy im dać trochę wykładów i wskazówek, skąd czerpać wiedzę, zwłaszcza, że, jak słyszałam na konferencji, mają się opierać na „Czytankach", w których historji jest mało i nie zawsze dobrze ujęta. Pewne ustępy trzeba zupełnie pominąć — odnoszą się one raczej do historji Austrji niż Polski, drażnić mogą ludność tutejszą, bo wszak nie poto pozbyliśmy się Romanowów, żeby mieć Habsburgów".

Jak moje przemówienie oburzyło „dyrektora" z tego sobie narazie nie zdawałam sprawy. Widziałam, że mi nie pomoże w zorganizowaniu kursów. Doszłam zresztą do przekonania, że w społeczeństwie miejscowem nie znaleźlibyśmy odpowiedniego poparcia. Nie było tu Ligi Kobiet, któraby, jak Jędrzejowska, darmo utrzymywała przez 3 tygodnie kilkudziesięciu ludzi, byle się tylko o Polsce i o szkole polskiej mogli uczyć.

Nazajutrz o świcie wyjechałam do Końskich, a że i tam nic nie zdziałałam, wróciłam do Piotrkowa, a stamtąd do Krakowa do domu, gdzie staruszka ciotka opiekowała się moją 4-letnią córeczką. Rok dobiegał, jak widywałam się z niemi tylko, gdy czas mi pozwalał wpaść na dzień, dwa i zobaczyć, czy jest zdrowe i czy urosło to moje maleństwo, bo i listów wtedy się nie pisywało — za wolno szły na tereny okupowane.

Na drugi dzień przyszła do mnie ob. Gumplowiczowa z wiadomością, że żandarmi szukali mnie w Piotrkowie i mogą się zjawić w Krakowie. Istotnie, w godzinę potem przyszedł jakiś jegomość, ubrany po cywilnemu, z wiadomością, że jest dla mnie depesza od rodziny, ale muszę po nią jechać z nim na ulicę Kanoniczną. Zrozumiałam, że grozi mi aresztowanie, więc zjadłam spokojnie obiad i poprosiłam brata, aby mnie odwiózł i dowiedział się czegoś, bo zachodziłam w głowę, o co idzie.

Na Kanonicznej, w więzieniu, dowiedziałam się, że mają mnie zatrzymać i przewieźć do Opoczna, bo mam sprawę o obrazę majestatu. Domyśliłam się, że pozostaje to w związku z ową konferencją nauczycielską.

Umieszczono mnie w celi z jakąś kobietą, która, bawiąc mnie rozmową, opowiedziała o sprawie o obrazę majestatu, która po 48 godzinach skończyła się powieszeniem. Teraz dopiero zrozumiałam, co mi grozi. Była to wojna, a Opoczno leżało na terenie okupowanym, gdzie nie żartowano. Widocznie brat mój podobne zdobył informacje, bo gdy przyszedł mnie odwiedzić, nie mógł opanować zdenerwowania, choć mnie uspakajał i informował, że przez stosunki N. K. N. starają się jak najdłużej zatrzymać mnie w Krakowie, żeby tymczasem uprzedzić władze w Opocznie, że nie jestem moskalofilką i trzeba spokojnie i uważnie rozpatrywać sprawę.

Po dwu dniach wyjechałam w towarzystwie agenta tajnego, który mnie dowiózł do Opoczna.

Jedenaście dni trwało całe moje więzienie austrjackie, ale było o wiele przykrzejsze niż 2 więzienia rosyjskie, przez które w życiu przechodziłam. I nie dlatego, żebym miała trudne warunki. Przeciwnie. Głowiono się, gdzie mnie umieścić, bo było tylko kryminalne więzienie w Opocznie. Narazie nocowałam w mieszkaniu tajnego agenta, przyjaciela mego anioła-stróża. Przez drzwi słyszałam rozmowę tych dwóch przyjaciół z tak obcego dla mnie świata. Opowiadali sobie, kto z ich znajomych i jaką zrobił karjerę na wojnie.

Nazajutrz od 9 do 5-ej po obiedzie prawie bez przerwy indagował mnie sędzia śledczy, Szymak, jak się później dowiedziałam, Czech z pochodzenia. Powiedział mi, że ów nauczyciel złożył zeznanie, powtarzając me słowa: „nie poto pozbyliśmy się Romanowów, żeby mieć Habsburgów". Z początku traktował mnie gniewnie i ostro jak moskalofilkę, która atakuje okupację austrjacką, ale wkrótce zorjentował się, że tak nie jest. Starałam się sprawę przenieść na inną płaszczyznę. Niewątpliwie istnieje przepaść między mojemi a owego „dyrektora" poglądami na politykę szkolną; w Galicji oddawna zmagają się dwa prądy w nauczycielstwie: dawnych stańczyków i ludzi

młodych, którzy chcą wykorzystać szeroką autonomję galicyjską i stworzyć czytanki, które byłyby o tyle polskie, o ile np. czeskiemi są czytanki, układane przez Czechów. Nie wiedziałam wtedy, że mój sędzia jest Czechem, ale to widziałam, że moje rozumowanie trafia mu do przekonania. Oczywiście powoływałam się na to, że mąż mój jest w Legjonach, że ja prowadzę ciągle legjonową agitację, więc życzymy niewątpliwie zwycięstwa Austrji, a nie Rosji. Nie umiałabym dziś, oczywiście, ani w części powtórzyć tego 8-godzinnego magla. Musiałam zręcznie bronić się, musiał też mój sędzia więcej współczuć moim poglądom politycznym, niż owemu Boże, zmiłuj się „polskiemu" nauczycielowi, broniącemu dynastji swego monarchy. O godzinie 5-ej, napisawszy po niemiecku protokół, nad którym głowił się istotnie, żeby winę moją w jakiejś łagodnej formie opisać, co wcale nie było łatwe, pożegnał mnie, prosząc, żebym zaczekała chwilę: on idzie do generała i sądzi, że zaraz będę mogła wracać do Krakowa.

Od generała jednak przyniósł wiadomość, że będą mnie musieli zatrzymać w Opocznie, że on jedzie do Lublina i wiele zależeć będzie od tego, czego się tam o mnie dowie. Troszczył się bardzo, aby mi dać przyzwoity pokoik przy sądzie na to więzienie, uważając, że nie może mnie umieścić razem z kryminalnemi.

Nazajutrz przyjechał mój mąż, który był naówczas w szpitalu legjonowym w Kamińsku. Przychodził do mnie codziennie w asystencji któregoś z sędziów i z przerażeniem przyglądał się miejscowym stosunkom.

Nietylko nikt nie ośmielił się schować pod sukno podłej denuncjacji, ale pan generał „dobry Polak" nie odważył się dać mi sędziego Polaka, naznaczył Czecha i nie przyjął jego propozycji wypuszczenia mnie zaraz, t. zn. utopienia całej sprawy.

Dopiero po jedenastu dniach, na wyraźny telegram z Departamentu Wojskowego zostałam uwolniona. Wracaliśmy z mężem do Krakowa w sam dzień wigilji 1915 roku.

Jakże doskonale rozumieliśmy wtedy borykanie się Komendanta z austrjackiemi porządkami i z austrjackimi Polakami w wojsku. Tak, „niewola sączy jad".

Z całej tej przygody zostało mi tylko wspomnienie jednego domu polskiego państwa Chrostowskich, którzy byli naprawdę przyjaźnie usposobieni do Legjonów i drogą im była idea niepodległości. Gdy siedziałam w więzieniu, opiekowali się mną serdecznie.

ZACZĄTKI RZĄDU NARODOWEGO.

Zofja Sturm de Strem.

Z CZASÓW WYDZIAŁU NARODOWEGO W LUBLINIE.

1915 — 1916.

W dniu 30 lipca 1915 roku wkroczył mały oddział ułanów polskich na ulice Lublina, zwiastując nam wolność, tak upragnioną i oczekiwaną. Zdawało się, że przyroda, chcąc uczynić radość jeszcze większą, oblekła się w szaty świąteczne. Piękne dnie upalne, ptactwo rozśpiewane i nieprzeliczone tłumy, snujące się po ulicach Lublina — oto wrażenie z pierwszego dnia, w którym Moskal opuścił miasto.

Pobudka zebrała wszystkich zaprzyjaźnionych na placu Katedralnym, odbyły się tam ćwiczenia tych, którzy w podziemiach czerpali wiedzę wojskową, aby odrazu stanąć w szeregach. I wówczas to, w ciągu niespełna 3-ch dni, zwerbowaliśmy około 2000 ochotników. Dziwny nastrój panował przez te dnie w mieście. Rekruta ćwiczono, spokojnych obywateli informowano i agitowano. Gromadki peowiaków chodziły po ulicach Lublina, śpiewając pieśni legjonowe.

Praca nie ustawała. Ten, kto nie mógł chwycić za broń, musiał czynem obywatelskim wykazać, iż godnym jest imienia wolnego Polaka.

Lublin czekał Wodza. Komendant przyjechał. Entuzjazm, z jakim Go witano, przeszedł nawet nasze oczekiwania. Uroczystości trwały 2 czy 3 dni. Pamiętam tłumy publiczności w jednej z sal m. Lublina, gdzie urządzono akademję na cześć Komendanta. Tam przypadło w udziale mnie, skromnemu pionkowi, wygłosić przemówienie o tym wielkim człowieku.

Wczesnym rankiem wyjechał Komendant z Lublina. Miasto jeszcze spało. Żegnałyśmy Go tylko my — Oddział Żeński P. O. W. Powóz umaiłyśmy różami i czekałyśmy przy bramie na Jego wyjście z mieszkania dr. Jankowskiego. Przemówiłam doń w paru gorących słowach

i wręczyłam wiązankę róż. Komendant obdarzył nas swym dobrym, tak rzadkim uśmiechem.

Komitet Wykonawczy Zjednoczonych Stronnictw Niepodległościowych, który ukonstytuował się jeszcze w styczniu roku 1915, postanowił, że trzeba za wszelką cenę dać odczuć wchodzącym oddziałom austrjackim czy niemieckim, że ziemia lubelska jest zorganizowana i że potrafi sama sobą rządzić. W tym to celu zorganizował się i odrazu ujawnił się t. zw. „Wydział Narodowy Lubelski", chcący stanowić jawną władzę polską, reprezentującą jednocześnie dążenia ludności miejscowej.

Celem głównym Wydziału Narodowego Lubelskiego było współdziałanie z Legjonami w podjętej walce, oraz patrjotyczne i kulturalne podniesienie społeczeństwa polskiego.

Środki, któremi te cele mogłyby być osiągnięte, były następujące: utrzymanie dla legjonistów szpitala w Lublinie, dostarczanie opieki lekarskiej i sanitarnej, dostarczanie pożywienia i pieniędzy, które napływały ze składek i darów społeczeństwa, opieka nad rodzinami legjonistów i t. p.

Na czele Wydziału stanęli między innymi: inż. Przemysław Podgórski — przewodniczący, prof. Edward Suprenowicz — sekretarz, dr. Paweł Jankowski [1]), prof. Jerzy Mączewski [2]), dr. Wacław Jasiński, Juljusz Poniatowski, Zygmunt Lubicz-Zahorski [3]) i inni.

Oddział Żeński P. O. W. oddał się do dyspozycji Wydziału Narodowego. Pierwszą najbardziej palącą sprawą było nakarmić i przyodziać żołnierza, który orężem miał dalej walczyć o wolność. Niewiasty, nie szczędząc sił, zakasały rękawów i zabrały się do gotowania, szycia i t. p. Komendantka nasza kierowała tem wszystkiem bardzo energicznie, robota więc szła sprawnie.

Wydział Narodowy Lubelski zajął trzy gmachy: Bank Państwa, gmach Dominikański, z którego Moskale, uciekając, nie zdążyli pozabierać swoich rzeczy, co nam było bardzo na rękę, i dawny klasztor Wizytek, ostatnio rezydencja popów.

Pierwsze kroki Wydziału zaczęły się od pracy oświatowej. Powstała Rada Szkolna Ziemi Lubelskiej, tworząc odrazu szereg szkół. Z jakąż radością wyrzucało się z programów szkolnych język moskiewski!

---

[1]) Zmarł w Zakopanem przed kilku laty.
[2]) Poległ w roku 1920 w walce z bolszewikami.
[3]) Zmarł tragicznie w Warszawie 1924 r.

Następnie obudziło się sądownictwo — powstaje sąd polski. W kilka tygodni potem Austrjacy chcieli sąd ten rozpędzić, sędziowie polscy jednak oparli się i pozostali nadal na swych stanowiskach.

Sekcja Informacyjna Wydziału Narodowego miała za zadanie odpowiednie skierowywanie wszelkich skarg, próśb i pilnowanie, aby gdzie nie utknęły i nie zaginęły.

W miarę tego, jak rekrut odchodził na front, praca intendencka zmniejszała się. Oczywiście, szwalnia była stale czynna, gdyż nigdy nie było za dużo ubrania, które trzeba było słać na front.

Praca organizacyjna również nie ustawała. Kadra P. O. W. musiała zostać na miejscu. Rwali się chłopcy do wojenki, każdy chciał chwycić za broń i iść na front, lecz nakaz z góry zatrzymał ich znowu przy szarej i żmudnej pracy. Komendantem P. O. W. w Lublinie był w dalszym ciągu ob. Jan (Tadeusz Herfurt), jego zastępcą ob. Szymon (Wacław Fabierkiewicz), komendantką Oddziału Żeńskiego była ob. Helena (Fabierkiewiczowa), ja byłam jej zastępczynią.

Oddział Żeński, współpracując z Wydziałem Narodowym, wszedł w ścisły kontakt z Lubelską Ligą Kobiet, na czele której stała ob. Jadwiga Marcinowska. Ta utalentowana poetka, przepojona mistycyzmem, kochająca Polskę ponad wszystko, nie znała chwili wypoczynku. Entuzjam, z którym pracowała, udzielał się wokoło. Była starszą od nas wszystkich, lecz jej młodzieńczość w walce o wolność kazała niejednej ospałej duszy zbudzić się do czynu.

Z tych trzech placówek: Wydziału Narodowego, Ligi Kobiet i P. O. W. uczyniliśmy silny i zwarty obóz. Najbardziej, oczywiście, przeciwstawiały nam się pewne odłamy starszego społeczeństwa. Ciężko było przekonywać tych ludzi, że są Polakami.

W tej to pracy nie ustawał Wydział Narodowy. Przez trzy przeszło lata gnębili nas okupanci.

Sieć placówek, uświadamiających masy, rozszerzyła się. Zorganizowaliśmy przy Wydziale Narodowym sekcję odczytową, której kierownictwo wówczas objęłam. Na przedmieściach Lublina powstały podmiejskie wydziały narodowe: na Wieniawie, na Piaskach i na Kalinowszczyźnie. Każde przedmieście miało swój odrębny charakter, jakgdyby psychika tych ludzi była odmienna. Te same moje słowa inaczej przyjmowano na jednem przedmieściu, a inaczej na drugiem. Na Piaskach przychodziły na zebrania niewiasty, przejęte ważnością chwili tylko w momencie, gdy do nich mówiłam. Gdy tylko wyszły, mam wrażenie, że wszystko stawało się dla nich bardziej obojętne, obchodziło je jedynie życie codzienne. Natomiast, gdy przechodziłam na Kalinowszczyznę, a zwykle bywało to dość późnym wieczorem, rozpalone oczy zebranych kobiet i mężczyzn witały mnie, jak zwia-

stuna jakichś nowych, nieznanych dla nich czynów. Skupiali się wokoło mnie w namaszczeniu, a ja opowiadałam im o wielkich czynach naszych dziadów i ojców, stopniowo przechodząc do naszej podziemnej pracy. Niejeden ze słuchaczy przerywał mi, gotów iść na wszystko, niejedna niewiasta gotowa była rzucić dom i iść z nami. Mała iskierka rzucona w te dusze potrafiła wybuchnąć wielkim płomieniem i rozniecić cały pożar.

Słuchano mnie nieraz długo, nie chcąc, bym przerywała tę, jak mówili, „czarodziejską bajkę".

Musiałam częstokroć wracać w porze bardzo spóźnionej, iść sama przez ciemne łąki, pagórki i doły, przez wąskie uliczki, zanim się dostałam do miasta. Lecz nie zwracałam na to wcale uwagi.

Inne niewiasty z ramienia Wydziału Narodowego wyjeżdżały na wieś dla pracy propagandowej. Byłam parę razy na takich zebraniach, na które schodzili się gospodarze z żonami, lub czasem same kobiety. Trzeba tam było przemawiać językiem prostym, dobitnym, aby być należycie zrozumianą.

Hanna Rzepecka.

Z PRACY W KOMISJI WOJSKOWEJ RADY STANU.

W dniu 12 grudnia 1916 roku witaliśmy wszyscy Komendanta, przybyłego do Warszawy. Tłum wielki zaległ plac przed Dworcem Głównym, przerwano wszelkie kordony, wszyscy chcieli stanąć bliżej oczekującego pojazdu. Odprzągnięto konie, a my zarzuciłyśmy powóz kwiatami, w grudniowem słońcu rozbłysłemi. Pamiętam, jak przedostałam się z pękiem konwalij bardzo blisko, by je wprost do stóp Komendantowi złożyć. Nasz radosny pochód, głośny i śpiewający sunął przez Marszałkowską, gdzie koło Siennej Komendant znikł, zmęczony tą hałaśliwą owacją. Ruszyliśmy dalej w stronę Uniwersytetu, śpiewając wszystkie pieśni, jakie nam radość chwili nasuwała.

Wśród studentów Uniwersytetu utrwalało się przekonanie, że przybycie Komendanta oznacza, iż moment czynu się zbliża, że tworzy się nowa forma pracy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że chodzić będzie o stworzenie odpowiedzialności politycznej dla wojska, o sformowanie niezależnego rządu, któremu by to wojsko podlegało — myśli te umacniał w nas organ, idei Komendanta służący, „Rząd i Woj-

sko", kolportowany przez nas, a niosący jakby hasło naczelne: „najpierw rząd, potem wojsko". Stworzył Komendant wojsko, stworzy i rząd, któremu danem będzie nowe siły zbrojne powołać. Taką była nasza wiara; każdego z nas stało się marzeniem, by w tej pracy znowu się znaleźć. Zdawało się, że cały Uniwersytet tylko o wojsku myśli, chłopcy zasilali P. O. W., my chwytałyśmy się każdej pracy, jaką nam podsuwano (P. O. W., C. K. N. i t. d.), ale narazie były to tylko prace agitacyjne, wiece, odezwy, broszurki. Wiele z nas rozpoczęło pracę w partjach politycznych.

Mnie osobiście bardzo już tęskno było za pracą ideową, od paru miesięcy bowiem, poza sporadycznemi wypadkami, raczej manifestacyjnego charakteru, do żadnej realnej pracy nie byłam powoływana. W takim nastroju, w którejś z nie kończących się gawęd politycznych w „niepodległościowych kawiarniach", odezwałam się przy p. Leonie Wasilewskim: „Mój Boże, człowiek byłby szczęśliwy, gdyby w ministerjum tworzonem przez Komendanta mógł chociaż kurze ścierać, bo miałby wrażenie, że służy naszej sprawie, i, że to teraz pożyteczniejsze niż uniwersyteckie studja". Śmiano się wtedy ze mnie, ale niedługo potem, w pierwszych dniach stycznia 1917 roku, zwrócił się do mnie p. Wasilewski: „Jeżeli o tych kurzach pani szczerze mówiła, to proszę zgłosić się na Służewską 5, na trzecie piętro, a znajdzie pani tam coś lepszego do roboty niż ścieranie kurzów". Serce zabiło mi mocno, bo wiedzieliśmy wszyscy, że Służewska 5 — to mieszkanie Komendanta i p. Michała Sokolnickiego, jego ówczesnego sekretarza — byłam tak napełniona dumą, że nie wiem, czy miałam siłę i przytomność podziękować p. Wasilewskiemu.

Nazajutrz rano stawiłam się do pracy i zabrałam się do niej z takim zapałem i przejęciem, że nie wiem, czy do dnia 10 lutego, do czasu, gdy na Służewskiej pracowałam, był moment, w którym nie spełniałabym wszystkich zleceń z takiem uczuciem, jakgdyby od nich istnienie sprawy polskiej zależało. A były to zlecenia rozmaite: w pierwszym rzędzie korespondencja i pisanie na maszynie całego szeregu dokumentów tajnych i jawnych, z których jedno wspomnienie zostało: niezmordowanej pracy Komendanta i tysiąca uczuć serdecznych, jakie się ku Niemu garnęły.

Był to okres organizowania się Tymczasowej Rady Stanu, co do której wierzyliśmy jeszcze wtedy, że potrafi się w Rząd Narodowy przekształcić. Udział w niej Komendanta zdawał się nam to zapowiadać. Na ręce Komendanta nadchodziły też dary od zaczynającej się poruszać i przejmować Warszawy. Były to ofiary przeróżne na wojsko i sprawę polską, składane przez arystokrację i ubogich ludzi. Niejednokrotnie zajmowałam się ich przyjmowaniem i przeka-

zywaniem odpowiednim agendom w Radzie Stanu. Pamiętam, jak w mroźny, śnieżny ranek wiozłam sankami skrzynkę ze srebrem, Komendantowi złożoną, i miałam ją wręczyć osobiście marszałkowi Rady Stanu, Niemojowskiemu. Innym razem polecono mi, bym pojechała gdzieś na krańce Warszawy dziękować w imieniu Komendanta rodzinie rzemieślniczej za jakiś ubogi, ale bardzo wzruszający dar. Tam w małej izdebce, przepełnionej rodziną, od siwowłosego starca do dzieci maleńkich moja wizyta zrobiła na wszystkich takie wrażenie, że, wychodząc od nich, rozpłakałam się na ulicy. Pytali o to, czy rzeczywiście Polska będzie wolna, o Komendanta, o nasze prace i byli głęboko wdzięczni, że Komendant w nawale pracy im podziękować kazał.

Przez cały czas pracy u Komendanta miało się wrażenie, że jeżeli gdzie, to tu żyje ta prawdziwa myśl o Polsce w tak bardzo proste formy ujęta. Pracą na Służewskiej byłam tak przejęta i tak bałam się przeszkodzić w naradach i zatrudnieniach Komendanta, że prawie nie odzywałam się i jak cień przesuwałam do codziennej pracy. Zlecenia otrzymywałam przeważnie od p. Sokolnickiego, Komendantowi kłaniałam się zdaleka, aż mię raz zapytał: „Czemu to panna Hanka nie wita się z Komendantem"?

Gdy Rada Stanu zorganizowała się i Komendant objął już w niej funkcję przewodniczącego Komisji Wojskowej, oraz otrzymał odpowiednie etaty na organizację biura, zostałam przeniesiona tam wraz z całą kancelarją, dotąd prywatnie prowadzoną.

Było to w dniu 10 lutego 1917 roku, odtąd zmienił się charakter mej pracy; obecnie weszłam w skład dużego biura, którego kierownikiem kancelarji został p. Janusz Jędrzejewicz.

W Komisji Wojskowej Rady Stanu pracowali obok Komendanta szef Sosnkowski, jako jego zastępca, komendanci P. O. W.: Jan Zdanowicz-Opieliński [1]), Marjan Kościałkowski i wielu innych. Z kobiet szereg peowiaczek w referacie P. O. W.; organizacji wojska np. H. Skowrońska, W. Piekarska, St. Minkiewiczowa, St. Jeziorkowska i t. d., w kancelarji i archiwum: W. Rybczyńska, H. Ciąglińska i ja. Praca nasza stawała się zewnętrznie typowo biurową, tem różną od normalnego biura, że w tych tysiącach pisanych papierków chodziło o sprawę polską i że byłyśmy pracownicami, które treść pisanych i wciąganych dokumentów przeżywały gorąco. Szła więc walka, poprzez te druki i odbitki ujawniana, o Rząd Polski, o to, by on był niezależny naprawdę, by Hutten-Czapski i Lerchenfeld (przedstawiciele okupantów) nie mieli żadnego wpływu na postano-

[1]) Por. Jan Opieliński zm. w Lublinie w listopadzie 1918 r.

wienia i obrady. I widać było z jaką energją i nakładem sił Komendant i jego ludzie walczyć musieli z biernością i słabością innych członków Rady Stanu. Przy naszem biurze organizowane też były Pomocnicze Komitety Wojskowe, których zadaniem miało być oficjalne organizowanie pomocy społecznej, technicznej i sanitarnej dla wojska, a poza tem faktycznie praca nad politycznem i obywatelskiem uświadomieniem społeczeństwa. W kwietniu 1917 r. zaczęto w Komisji przygotowywać mobilizację wojskową całego P. O. W., przygotowywałyśmy karty ewidencyjne, wezwania i t. d. Odbyły się już ogólne ćwiczenia P. O. W., zdawało się, że lada moment powstanie z naszej ukrytej organizacji jawna siła zbrojna, i oto w przeddzień wysłania wezwań mobilizacyjnych nadszedł rozkaz powstrzymania mobilizacji i jak najściślejszego zakonspirowania organizacji. Pochylone nad stosem papierów, nieraz do późnej nocy je kopjując, przeżywałyśmy wszystkie tragedje „przysięgowe", walkę o niezależność wojska i t. d. Przez agendy naszego biura zaczęło się ujawniać P. O. W., jako rezerwa dla wojska polskiego — przez nasze agendy trzeba je było później ukrywać. W czerwcu i lipcu 1917 roku zaczął się dziwny przepływ przez nasze biuro tych, co szli do „cywila", nie chcąc składać przysięgi, a nie należąc do oddziałów, które poszły do Szczypiorna, przekradali się do Warszawy, by wstąpić do tajnego wojska P. O. W. My, jako kobiety, mniej narażone na śledzenie przez Prusaków, byłyśmy w biurze do końca, t. j. do momentu, kiedy z niego wyszli ostatni nasi ludzie. Przy nas aresztowano szereg naszych zwierzchników i kolegów, przy nas zstępowali oni do życia podziemnego, rzucając pracę jawną. Wreszcie uderzył grom: aresztowano Komendanta! Nazajutrz po dniu 22 lipca, gdy jeszcze nie było pewne, czy rzeczywiście ośmielili się Go tknąć Prusacy, wysłano mnie, jako znającą teren, na Służewską, dla wywiadu. Dowiedziałam się już w bramie, że mieszkanie zajęte jest przez szpiegów pruskich. Tegoż dnia uwięziono i szefa Sosnkowskiego.

Nam polecono jeszcze wytrwać, by informować wszystkich tych, co z prowincji przyjadą, o naszej akcji i skierowywać ich nie do Komisji (zastępcą Komendanta został radca Ludwik Górski), a do tajnej Komendy P. O. W., ukrywającej się przed Prusakami w Warszawie.

Wkońcu zostało nas już tylko trzy (Skowrońska, Rybczyńska i ja); otaczali nas ludzie nowi, godzący się na przysięgę beselerowską — przeciwnicy Komendanta. Ostatnie dnie z trudem pracowałyśmy i ciągle prosiłyśmy naszą komendę o pozwolenie podania się do dymisji. Pamiętam, z jakim trudem dostałyśmy się przed oblicze zakonspirowanego Opielińskiego. Rezydował wtedy w ukrytej kwaterze

w „Res Sacra Miser" na Krakowskiem Przedmieściu — szło się tam niby po zapomogę jakimś szeregiem krętych schodów i korytarzy.

Nareszcie zwolniono nas w początkach sierpnia [1]).

Myślą i sercem byłyśmy w więzieniach, obozach, z niepokojem myślały o Komendancie. Wszystkie też stanęłyśmy przy jakiejś pracy dla uwięzionych, lub konspiracyjnej. Mnie, jako najmniej skompromitowanej, powierzono oficjalną opiekę nad uwięzionemi kobietami, właściwie przedewszystkiem nad Wandą Denhof-Czarnocką, zaaresztowaną w lokalu ekspedycji wydawnictw P. O. W. Zaczęły się wędrówki od urzędu do urzędu o widzenia, przesyłki i t. d. Miałam już pewną praktykę z dawnych czasów, bo jeszcze za Rosjan trzy razy opiekowałam się uwięzioną matką moją. Ale z Prusakami wszystko szło jakoś inaczej, nie umieli sobie poradzić z naszą konspiracją.

Pamiętam jedną wizytę swoją na Wierzbowej w policji. Chodziło mi o uzyskanie widzenia z Wandą Czarnocką. Udawałam jej siostrę cioteczną, przybyłą z prowincji. W dużym pokoju, zarzuconym papierami, zastałam na ścianach zawieszone tak ciekawe wykresy graficzne, że zdumiona stanęłam przed niemi. Były tam zestawienia naszych stronnictw politycznych, prasy legalnej i nielegalnej, konfiskat i t. p. aparat naukowo-policyjny, tak cudownie przygotowany, że zdawało się, że Niemcy nas lepiej znają, niż my sami siebie. Gdy tak przyglądałam się tym tablicom, przypomniałam sobie, że w planie moim leżało udawanie ograniczonej i nieinteligentnej, bo chodziło mi o to, by nie zasypać tych wszystkich, którzy są na wolności i z którymi się widuję. Cofnęłam więc wzrok ze ściany i w tej samej chwili wezwana byłam przed oblicze samego Schultzego [2]). Na prośbę moją o widzenie zapytał „poco"? odpowiedziałam, że bez widzenia się z siostrą nie wiem, z jakich funduszy jej pomagać, bo sama nie mam. Na to mi odpowiedział: „niech pani weźmie z organizacji", „przecież Uniwersytet zamknięty", odpowiedziałam, udając, że o nim myślę. „Nie, z organizacji P. O. W., bo pani siostra tam należała", na to odparłam: „bardzo chętnie, jeżeli jej dadzą, ale proszę o adres, bo ja jestem z prowincji i nikogo nie znam". Na to Schultze: „pani nam musi dać właśnie adres P. O. W., albo męża pani Czarnockiej, który

[1]) Pamiętam, że nowe władze dziwiły się, że występujemy — tak nam argumentowano: „rozumiemy, że panowie z powodów ideowych występują, ale żeby robiły to kobiety, woźni lub ordynansi i gońcy — to śmieszne. Co ma pisanie na maszynie do sprawy polskiej". Mój Boże! Gdyby oni wiedzieli ile myśmy myśli i uczuć wkładały w to pisanie na maszynie i jakeśmy je tylko za formę służenia sprawie uważały, nie za cel.

[2]) Szef policji niemieckiej, zabity w Warszawie w 1918 r.

tam należy". (W. Denhof-Czarnocki [1]) ukrywał się wtedy w Lublinie i przeze mnie szły listy od niego do Wandy). Odpowiedziałam najbardziej przejmującym tonem: „właśnie o szwagra jestem bardzo niespokojna — mieszkanie ich zamknięte, myślałam, że też aresztowany, ale jeżeli nie, to bardzo, bardzo proszę o pomoc w szukaniu go i danie mi znać, jak się znajdzie, bo siostra się niepokoi, a ja nikogo tu nie znam i nic nie wiem; myślę, że policji łatwiej go znaleźć. Jeżeli pan tak uprzejmy, to proszę go szukać, a ja zajdę i zapytam o niego". Na to Schultze otworzył oczy szeroko, do pomocnika swego powiedział „zu dumm" i udzielił mi pozwolenia na kilkakrotne widzenia.

Naturalnie Denhof-Czarnockiego dla mnie nie szukał i mnie nie śledził, tak, że mogłam spokojnie (choć po ostrożnem krążeniu na mieście) do naszej władzy zanieść wieści o tem, co w policji pruskiej słychać. Doświadczenie po rozmowie z Schultzem przekonało nas, że walczyć z policją pruską łatwiej stosunkowo, niż z rosyjską, mimo jej „naukowego i technicznego udoskonalenia".

Okres półjawnej egzystencji P. O. W. pociągnął za sobą ofiary całego szeregu kobiet, które w więzieniu i na robotach rolnych, w twierdzach i na zesłaniu — prawie rok przebywały.

[1]) Kpt. Wacław Denhof-Czarnocki zmarł w r. 1927.

L E G J O N Y.

(1915 — 1916).

Marja Wołoszynowska (Alfred[1]*).*

Z WALK II BRYGADY NA WOŁYNIU.

17/VIII 1915 ...Chorą na czerwonkę odesłano mnie z transportem do szpitala epidemicznego w Czerniowcach. Wszędzie robię sensację, jako „niewiasta w spodniach". Austrjacy takiego typu kobiety żołnierza nie znają.

25/VIII. Całą grupę legjonistów wysyłają do Debreczyna przez Łużany—Śniatyn—Kołomyję i Delatyn, dołączając po drodze moc chorych. W drodze cieszymy się specjalnemi względami lekarza austrjackiego i obsługi sanitarnej pociągu.

27/VIII. Przybyliśmy do Miskolcz, gdzie umieszczono nas w barakach dla zakaźnych. Władze szpitalne otaczają nas troskliwą opieką i karmią nas lepiej, niż własnych chorych. Są razem z nami z 2-giego pułku — Gibas i z 3-go — Drużbacki, Skowroński i Maj. Opiekuje się nami doktór Klein.

8/IX. Opuszczamy Miskolcz. Ładują nas na t. zw. „lory".

10/IX. Przyjechaliśmy w nocy na Marmaros-Sziget. Na legjonowym punkcie zbornym nie mieliśmy gdzie spać, gdyż wszystkie łóżka były zajęte. Po wielkich trudach Gibas zdobył łóżko, które mi ofiarował, sam zaś z kolegami położył się na podłodze. Tegoż dnia po południu odmaszerowaliśmy do domu rekonwalescentów w Akna Sla-

[1]) Autorka niniejszego artykułu Marja Wołoszynowska oraz Ludwika Kepisz-Daszkiewiczówna zostały w końcu sierpnia 1914 r. przydzielone do III bataljonu 2-go pułku p. Legjonów w charakterze sanitarjuszy, noszących imiona: Stanisław Kepisz i Alfred Wołoszynowski. W tymże bataljonie znajduje się także Marja Błaszczykówna, jako sanitarjusz Tadeusz Zalewski.

Pamiętnik niniejszy, pisany w czasie służby, obejmuje całość pracy autorki. Redakcja jednak, będąc ograniczona zakresem niniejszego tomu, drukuje obecnie tylko część drugą nadesłanego rękopisu. Część pierwsza drukowana będzie w 2-em wyd. „Wiernej służby". — Przyp. Red.

tina. Muszę się ukrywać przed ciekawem okiem Akny. Od Węgierek dostaję moc kwiatów, które dają mi z okrzykiem podziwu: „laju katona!", co znaczy dziewczyna-żołnierz. Opiekują się tutaj legjonistami pp. por. Wieleżyńscy, u których znalazłam serdeczny przytułek. Por. Wieleżyński jest komendantem stacji zbornej. W jego domu ześrodkowuje się całe towarzyskie życie legjonowe. Oni to zorganizowali herbaciarnię, dzięki ich inicjatywie powstał zespół chórowy i od czasu do czasu są organizowane przedstawienia amatorskie. Słowem, uprzyjemniają, jak umieją, wszystkim legjonistom przymusowy pobyt na obczyźnie.

24/IX. Państwo Wieleżyńscy opuszczają Akna Slatina z powodu przeniesienia II Brygady na Wołyń. Życie towarzyskie zaczyna przygasać. Herbaciarnię prowadzi medyk Scholtz z moją pomocą.

4/X. Kazano nam pójść do kościoła i modlić się za cesarza... Dużo nas wykłamuje się z tego jak może. Po południu, jakby na ironję, dostajemy w upominku medaljony z podobizną Franciszka Józefa. Węgrzy są dla nas bardzo dobrze usposobieni, karmią nas dobrze, dlatego tak prędko wracamy do sił. Prawie wszyscy z nas są po przebytej czerwonce.

21/X. Odjeżdżamy na dawne stanowisko, t. j. do Rarańczy. Po drodze spotykamy bataljony, jadące już na Wołyń. Radość ogólna, że wreszcie dostaniemy się do kraju. Na dawnych pozycjach nie znajdujemy swoich. Przyłączają nas przeto do transportu sanitarnego. Jedziemy naprzód.

23/X. Minęliśmy Kołomyję, Stanisławów i Halicz. Okolica wszędzie bardzo zniszczona — wszędzie sterczą nagie kominy, tu i ówdzie mogiła z przekrzywionym, naprędce zbudowanym krzyżem... lasy spalone lub wyrąbane. W Przeworsku z cukrowni są tylko szczątki...

27/X. Przejechaliśmy San. Jesteśmy już na terenie Królestwa. Wszędzie mogiły, zniszczone wsie i lasy. Jedziemy na Rozwadów — Kraśnik — Lublin — Kowel.

1/XI. Dojechaliśmy do małego przystanku Brunszwik. Tu wyładowano tabory sanitarne. Po śniadaniu, składającem się z czarnej kawy i chleba, ruszyliśmy o g. 3.30 w stronę Maniewicz.

2/XI. Poszłam na poszukiwanie swego bataljonu (III). Niestety, odmaszerował już o 3-ej rano. Chcąc nie chcąc, musiałam pozostać przy transporcie sanitarnym. Ofensywa w całej pełni.

3/XI. Cofamy się do Maniewicz. Okropny widok czterech chłopców powieszonych — wszyscy w wieku od lat 9—12, podejrzani byli o przecięcie drutów telefonicznych. Obok wisielców stał żołnierz austrjacki z karabinem. Strasznie mi żal mieszkańców, powracają-

cych do wioski, a najwięcej rodziców, którzy wystraszonemi oczyma patrzyli na własne dzieci. Całe popołudnie grały armaty.

4/XI. Dowiedziałam się o śmierci sanitarjusza Zalewskiego, t. j. Marji Błaszczykówny, która zginęła na stanowisku, opatrując rannego na przedpolu podczas walki.

Cały dzień bez przerwy ogień armatni, karabinów maszynowych i ręcznych. Dopędziłam wreszcie w Lisowie swój bataljon. Niestety, znalazłam tam dla siebie rozkaz kpt. Trojanowskiego, abym pozostała przy taborze. Był on wydany zapewne z powodu śmierci Błaszczykówny. Aby nie siedzieć w taborze bezczynnie, postarałam się o zmianę rozkazu o tyle, że idę do pułkowego punktu opatrunkowego pod rozkazy dr. Stefanowskiego. Pracy mi nie zabraknie wobec bliskości frontu, ciągłego napływu rannych i obecności tylko jednego sanitarjusza.

5/XI. Po nocnym dyżurze zabrałam się do uszczelniania okien od zewnątrz. Pracę tę przerwał mi huk granatu, który wybuchnął tuż obok, wyrzucając w powietrze słup dymu i darni. Skryłam się za chatę, ale i tak dostałam w plecy kawałkiem darni. Chatę musieliśmy zaraz opróżnić, gdyż byliśmy wciąż ostrzeliwani. Rannych i aptekę wynieśliśmy w samą porę, w chwilę później granat uderzył w sam środek chaty. Nowe pomieszczenie znaleźliśmy w Hucie Lisowskiej. Ostrzeliwają nas tu również. Roboty moc. Ciągle nadciągają nowi ranni. Chorąży, hr. Tyszkiewicz zabity.

6/XI. Straszne tu piekło! Strzelanina trwa cały dzień. Kuchnia dojeżdża tylko raz w nocy. Mamy wielu ciężko rannych. Tak jest ogromnie smutno patrzeć na zabitych, tych, z którymi rozmawiało się ledwie przed paroma godzinami... Naprzeciwko punktu opatrunkowego powstaje powoli nasz cmentarzyk, na którym grzebie legjonistów kapelan austrjacki.

7/XI. Odwrót Austrjaków i panika na ich odcinku: dwa bataljony czeskie, łączące z naszemi na prawem skrzydle, poddały się w nocy Moskalom, którzy tą luką dostali się na nasze tyły. O 4.30 był atak. Aptekę pakowaliśmy nagwałt pod groźbą zagarnięcia przez nieprzyjaciela całego punktu opatrunkowego. Paliki wynosimy w ogniu karabinowym. Do kontrataku idzie ppor. Z. Lineman (Durski) razem z saperami i ppor. Tałasiewicz z zebranymi naprędce łazikami i maruderami. Po chwili strzelanina ucicha: nasi zpowrotem zajęli swoje okopy. Rannych bez liku. Przynoszą też ułożonego na płótnie namiotowem ciężko rannego por. Linemana. Dnia tego Stan. Kepisz, t. j. L. Daszkiewiczówna, mój były bezpośredni komendant, dostaje się do niewoli.

W czasie nocnego ataku na nasze pozycje zabrakło chłopcom amunicji. Kepisz biegnie więc do łączących na lewo Niemców, bierze od nich skrzynkę z amunicją (normalnie taką skrzynkę nosiło dwóch ludzi) i wśród ognia rozdaje żołnierzom.

Podczas dalszej walki Kepisz wraz z paru legjonistami dostaje się do niewoli, chłopcy jednak odbijają ich natychmiast. Tego samego dnia, po południu, Kepisz wyszła na przedpole, aby opatrzyć rannego i wraz z nim zostaje zagarnięta przez Moskali.

Podczas tych walk z nas trzech kobiet, znajdujących się w bataljonie, ja tylko ocalałam i zapewne stało się to dzięki rozkazowi, zatrzymującemu mnie w punkcie opatrunkowym.

9/XI. Dziś rano był rosyjski atak. Naszych wyparto z okopów, niedługo jednak zajęli znów swe dawne stanowiska. Okopy są fatalne, bo na moczarach. W niektórych miejscach okop stanowiło kilka cegiełek darni — we wszystkich okopach woda — a to zimny listopad.... Walka artyleryjska trwa. Dwóch naszych lekarzy: Bobak i Matczyński dostają się do niewoli razem z komendantem bataljonu Trojanowskim. Komendę obejmuje kpt. Orlik - Łukowski.

15/XI. Z pola zbieramy zabitych i grzebiemy ich. Jak smutno... całe pole jest pokryte trupami. Ziemia poryta głęboko pociskami — wszędzie pełno wystrzelonych gilz — dokoła zniszczenie, drzewa powyrywane leżą na ziemi...

22/XI. Śnieg spadł i zimno nam dokucza. Po południu nasi mieli ostre pogotowie. Zajmujemy stanowiska pod Czartoryskiem. Robię starania, aby wrócić do kompanji.

1/XII. Jesteśmy w Wołczecku; zajęliśmy pozycje w lasku. W rezerwie znajdują się: II bataljon 2 p. p. i tabory bojowe. Bataljon III poszedł dalej i rozlokował się na bagnach.

15/XII. Roboty przy budowie ziemianek w całej pełni.

18/XII. Ostre pogotowie. Dziś przypuszczalnie będzie atak rosyjski, tymczasem spokój.

19/XII. Stale ostre pogotowie i — cisza.

23/XII. Wszędzie przygotowania do świąt.

24/XII. Wigilja odbyła się uroczyście, był miły nastrój. Podarki, które dostaliśmy z kraju, miłe były nietyle z powodu swej zawartości, ile że dowodziły pamięci. Na pozycjach mimo ciężkiej pracy przy budowie ziemianek i umacnianiu okopów — mamy wypoczynek.

31/XII. Ostre pogotowie. — Spodziewamy się nocnego ataku.— Był jednak spokój. Korzystając z względnej ciszy na froncie organizuję naukę czytania i pisania dla analfabetów naszego bataljonu i w oddziale karabinów maszynowych. Pracy dużo i dużo chętnych.

6/I. 1916. Moskale podsunęli się pod placówkę 3 p. i zajęli jej miejsce. Przy pomocy artylerji i miotaczy min usunięto ich rychło.

12/I. Patrol oficerski o 6-ej rano wyruszył, mając za zadanie zbadać ilość żołnierzy rosyjskich, zajmujących odcinek naprzeciw nas i spędzić rosyjską placówkę. — Udało im się w zupełności.

24/I. Wpadł mi w ręce artykuł Adama Grzymały - Siedleckiego— który niemiłe i deprymujące zrobił na nas wrażenie. Autor nawołuje do zlikwidowania Legjonów, uważając za bezcelową pracę żołnierza i ofiarę krwi — my jednak wierzymy, że praca nasza nie pójdzie na marne.

26/I. Przyszło uzupełnienie — nasz bataljon składa się teraz z 3-ch kompanij, liczących po 67 ludzi.

27/I. Kepisz pisała z niewoli — jest w Moskwie.

2/II. Moskale ostrzeliwali komendę 2 pułku, potem wieś Wołczeck.

3/II. Moskale znów ostrzeliwali w nocy naszą wieś — później niepokoili nasz tabor bojowy. Moskale rozrzucali odezwy pod placówkę I bataljonu, w której wzywają legjonistów do poddania się i zapewniają, że Rosja jest bardzo dobrze względem nas usposobiona.

23/II. Moskale atakowali placówkę 3 pułku pod Kostjuchnówką — którą opanowali, mając przewagę liczebną. Podsuwali się też pod placówkę 10 i 11 kompanji. Placówka 12 kompanji wzięła Moskali z flanki. Zaczęły grać karabiny i 3 baterje. Ogniomistrz 1-szej baterji Wojciech Fryda przyczynił się bardzo, że atak odparto, i za dzielne zachowanie się wobec nieprzyjaciela został mianowany chorążym.

27/II. Moskale ostrzeliwają znów wieś Wołczeck. Z II bataljonu przyglądaliśmy się tej kanonadzie. Niemcy opuszczali wieś w tyraljerze — celnie ostrzeliwali ich Moskale. W nocy placówka 3 p. przez pomyłkę puściła czerwoną rakietę. Był to umówiony znak dla rezerw, aby natychmiast maszerowały na pomoc danemu odcinkowi. Rwetes był straszny aż do wyjaśnienia sytuacji.

28/II. Wypadek tyfusu plamistego w II bataljonie 2 p. Bataljon jest izolowany.

2/III. Odbywają się szczepienia ochronne.

11/III. Nie było więcej wypadków tyfusu plamistego — natomiast jest ospa w 3 p. i w artylerji przy II bataljonie.

22/III. II bataljon zmienił III bataljon na pozycjach.

8/IV. Moskale już znaleźli nas i ostrzeliwają.

20/IV. Wyjeżdżam do Lwowa jako ordynans por. Polaka. Tu w legjonowej komendzie miasta spotkała mię przykra niespodzianka.

Kpt. Krzaczyński kazał mi włożyć strój kobiecy „ażebyście się nie afiszowali w mundurze" i wystawił mi legitymację na sanitarjuszkę szpitala polowego, czemu się oparłam. Munduru nie zdjęłam — legitymację zaś zachowałam na pamiątkę.

6/V. Przyjechałam zpowrotem na front.

8/V. Tymczasem zastaję swoich w Karasinie na odpoczynku. Prowadzę w dalszym ciągu lekcje z chłopcami i rada jestem, że zachowali ołówki, kajety i elementarze (które dostarczyły nam panie z Ligi Kobiet w Krakowie).

7/VI. Wymarsz z Karasina do Maniewicz, potem do Gałuzji. W nocy z 8-go na 9-ty VI byliśmy w rezerwie na Krzemieniasze, — potem powrót do Gałuzji. Nocujemy pod namiotami i od wczesnego ranka ostrzeliwają nas Moskale, przepędzając z miejsca na miejsce.

17/VI. Naogół było spokojnie — dziś w południe ostre pogotowie, o 2.30 odmarsz z Gałuzji do Okońska, gdzie stanęliśmy o 10-tej wieczór po uciążliwym marszu pośpiesznym. Deszcz pada, śpimy w namiotach na piasku.

18/VI. Przymaszerowaliśmy do Dołżycy przez Jabłonkę — armaty grzmią, idziemy na pomoc Austrjakom. Sądziłam, że jestem już w kompanji — tymczasem dostaję rozkaz od komendy bataljonu pozostania w taborze. Łzy zakręciły mi się w oczach — czułam, że wyrządzili mi straszną krzywdę...

W nocy z 18 na 19/VI nasi atakowali pod Tumanem — jest wielu rannych, którzy leżą na bagnach. Lżej ranni przyszli sami, by nałożyć im opatrunki.

20/VI. Przesunęli tabory do Gradje. Zbierają naszych rannych, podobno całe bagna jęczą — ranni ciągle napływają. Zgłosiłam się do punktu opatrunkowego, w którym był dr. Szymanowski; przyjęli mnie chętnie do pracy, której mieli moc. Z naszego bataljonu jest dużo rannych.

29/VI. Przyszła wiadomość o powrocie z niewoli Kepisza.

30/VI. Odmarsz ze stacji Maniewicz i tu nocujemy.

1/VII. Maszerujemy do Gałuzji.

2/VII. Mają nam zmienić odznaki i dać maciejówki — radość z tego powodu duża. Oficerowie już pozdejmowali dystynkcje.

3/VII. Wróciłam do kompanji.

4/VII. Jesteśmy w Krzemieniusze pod huraganowym ogniem artylerji — odłamki padają wokoło namiotu. Przed południem zostałam ranną.

6/VII. Wyjechałam na zawsze z frontu. Zameldowałam się do szpitala w Krakowie, okazując świadectwo służby, odbytej na froncie i polecające pismo z komendy pułku.

W Krakowie korzystałam z serdecznej gościny p. dr. Sikorskiej i z jej pomocą, gdyż pieniędzy nie posiadałam wcale, przeistoczyłam się w cywila.

Tak skończyła się moja karjera wojskowa.

Wanda Gertzówna (Kazik Żuchowicz).

W PIERWSZYM PUŁKU ARTYLERJI.

Od najmłodszych lat marzeniem mojem było zostać żołnierzem w wojsku polskiem. Ojciec mój, powstaniec 1863 roku, żył nadzieją ujrzenia niepodległej Polski. Często też zbierali się u nas powstańcy, aby snuć nić rojeń o Polsce wolnej. I ja marzyłam, wychowywana na opowiadaniach bohaterskich.

Marzyłam i czekałam, aż przyszła wielka wojna i wtedy to zaczęto coraz głośniej mówić o konieczności zbrojnego wystąpienia przeciw moskiewskiej nawale i o Strzelcach, co już chwycili za broń.

W tym czasie należałam do skautingu i brałam udział w pracach Konfederacji Polskiej: chodziło tu głównie o budzenie ducha niepodległościowego oraz informowanie ludzi o pracy strzeleckiej. Drukowano więc odezwy, które rozrzucaliśmy po mieście. Przypadło mi w udziale roznoszenie odezw po domach i szycie chlebaków dla żołnierzy P. O. W.

Przed wymarszem Bataljonu Warszawskiego robiłam wszystko, aby móc dostać się do Legjonów. Niestety, nie było o tem mowy, wobec kategorycznego zakazu przyjmowania kobiet do służby linjowej. Chciałam się dostać do szeregu w przebraniu, lecz zbyt dużo miałam znajomych, poznaliby mnie odrazu. Nie zrezygnowałam jednak wcale i w dalszym ciągu czekałam na chwilę odpowiednią.

Był początek roku 1916.

Na rozkaz Komendanta zaprzestano werbunku do I Brygady, były jednak wyjątki, których możność postanowiłam wykorzystać. Ponieważ trwał stale z polecenia N. K. N-u cichy werbunek do II Brygady, chciałam wydostać się tą drogą i przy pierwszej sposobności przejść do pierwszej. Jaga Nadratowska, nasza drużynowa, wiedziała dobrze o moich zamiarach dostania się do Legjonów, to też obiecała mi dopomóc. Zawiadomiła mnie więc o przyjeździe dwóch podoficerów, którzy mieli z rekrutami jechać do Lublina. Przygotowawszy się odpowiednio do wyjazdu, pożegnałam się w domu ze wszystkimi

i poszłam do Jagi, u której miałam przebrać się za chłopca. Trzy wtajemniczone niewiasty dostarczyły męskiego ubrania i pomagały mi gorliwie. Przedewszystkiem obcięły mi włosy. Poczułam wtedy, że mam odwrót zamknięty. Trzeba było przebojem iść naprzód. Nieprzewidziany powrót matki Jagi przeszkodził nam trochę w maskaradzie: musiałyśmy natychmiast opuścić mieszkanie i dokończyć ubrania bodaj na ulicy. Z bijącem sercem wyszłam na ulicę.

Tegoż dnia jeszcze otrzymałam list polecający do nieznajomego mi nauczyciela. Udałam się natychmiast i tu otrzymałam nocleg, a na drugi dzień profesor ów zaprowadził mnie do pokoju, w którym chłopcy dobierali właśnie odpowiednie dla siebie mundury. Po załatwieniu pewnych formalności, t. j. po pokazaniu zdobytego dawniej paszportu na imię Kazimierza Żuchowicza, otrzymałam polecenie przebrania się w mundur. Po śniadaniu ustawiono nas trójkami i pomaszerowaliśmy na dworzec, na pociąg lubelski.

W Lublinie zatrzymaliśmy się na t. zw. etapie przy ulicy Miedzianej. Straszna była to dziura: brak szyb w oknach, zimno i brudno. Spaliśmy pokotem na garstce zużytej słomy. Nazajutrz przyszedł do nas podoficer z rozkazem, aby warszawiacy natychmiast przygotowali się do pójścia na oględziny lekarskie. Oniemiałam, nie wiedząc zupełnie, co robić: pójść, czy zostać. Ku memu pocieszeniu nietylko mnie zależało na pobieżnych oględzinach, gdyż i chłopcy obawiali się wyroku lekarskiego. Pocieszano nas jednak, że badania ograniczą się do oceny „na oko". Wobec tego poszłam. Zaprowadzono nas do biura werbunkowego. Była to wielka sala z dwoma biurkami przy oknach, przy których urzędowali legjoniści. Pozostałam wtyle, aby w razie czego móc zwiać. Podchodziliśmy kolejno do biurek i podawaliśmy swe nazwiska, wkońcu jednak oznajmiono nam, że wszyscy zapisani mają przejść do drugiego pokoju na oględziny lekarskie. Przerażona, chciałam wycofać się, ale stojący przy drzwiach żołnierz z karabinem zastąpił mi drogę, twierdząc, że pojedyńczo wychodzić na miasto nie wolno. Podeszłam tedy do biurka i zapytałam, kto mógłby mnie od tych oględzin uwolnić. Wskazano mi porucznika D., który, zdziwiony trochę, zapytał mnie o przyczynę. Milczałam. Obecny zaś przy tej rozmowie pisarz, wyraził przypuszczenie, iż jestem przebraną niewiastą... Trudno mi było zaprzeczyć. Trzeba było tylko prosić, aby nie odsyłano mnie do domu. Porucznik obiecał mi, że postara się znaleźć „morowego oficera", który zgodziłby się zabrać mnie na front, tymczasem jednak kazał mi przenieść się natychmiast na inny etap, aby nie spotkać się z chłopcami, którzy zaczęli się wszystkiego domyślać.

Na nowym etapie czekałam cierpliwie na obiecanego oficera, lecz nie doczekałam się go wcale. Kazano mi zato jechać do Piotrkowa razem z chłopcami, odrzuconymi przez lekarza lubelskiego. W drodze dowiedziałam się przypadkowo od jadącego z nami sierżanta, że zamierzano mnie w Warszawie „zgubić". Sierżant ów wiedział, że jestem kobietą i powiedział to jadącemu z nami p. Michałowi Romerowi, który obiecał zająć się moim przydziałem.

W Piotrkowie zaprowadzono nas do biura werbunkowego na oględziny lekarskie. Pan Romer uprzedził jednak porucznika Wąsowicza, aby wydzielono mnie z ogólnej listy, to też porucznik, rozejrzawszy się po oczekujących legjonistach, wywołał moje nazwisko. Weszłam do jego gabinetu, w którym znajdował się już p. Romer oraz nieznany mi sierżant. Porucznik „dla niepoznaki" wydał sierżantowi polecenia, które brzmiały: Żuchowicz nie pójdzie na oględziny, dacie mu oddzielny pokój na górze, wiadro, miednicę i t. d. Podoficer, uśmiechnął się: byłam już pewna, że domyślił się wszystkiego. Po wyjściu sierżanta zwróciłam się do porucznika, mówiąc, że nie chciałabym, aby o mnie wiedziano i że podobne postępowanie stawia mnie w trudnej sytuacji wobec chłopców; dlatego też nie mogę korzystać z przydzielonego mi pokoju.

Po powrocie do koszar spotkałam jednego z kolegów, który przywitał mnie okrzykiem:

„Wiecie, co sierżant powiedział? — że jesteście przebraną kobietą i dlatego nie poszliście na oględziny!".

Byłam na to przygotowana, to też roześmiałam się i odrzekłam mu w tym samym tonie, że słyszałam również, jak sierżant mówił to samo o nim. To go całkowicie przekonało.

Przez czas bytności chłopców w Piotrkowie przebywałam razem z nimi, śpiąc na ogólnej sali i dopiero po ich wyjeździe przeniosłam się do wyznaczonego mi pokoju. Po paru dniach kazano mi jechać zpowrotem do Lublina. Cóż miałam robić? Pojechałam.

Przejeżdżając przez Warszawę, dowiedziałam się, że w Lublinie mieszka mój dobry znajomy, inżynier H. Natychmiast więc po przybyciu na miejsce zgłosiłam się do niego, prosząc o pomoc w odszukaniu drogi dostania się do linji. I rzeczywiście po paru dniach pan H. zawiadomił mnie, że mam zgłosić się do porucznika Kierszniewskiego, który zgadza się zabrać mnie do pułku.

Na trzeci dzień już jechałam z paru żołnierzami i transportem różnych zakupów. Komendantem transportu był wyznaczony przez porucznika kapral Kotliński, któremu porucznik mnie polecił, o czem nie wiedziałam.

Gdy pociąg stanął na miejscu, przyszedł do nas jakiś oficer, który po krótkiej rozmowie z kapralem Kotlińskim wywołał moje nazwisko, dając mi polecenie zabrania rzeczy i udania się za nim. Nie wiedziałam, kto to jest. Kapral zdążył mi tylko powiedzieć, że to jest wielka szarża. W przedziale oczekiwało paru oficerów, pociąg ruszył i zauważyłam ze zgrozą, że jedziemy w kierunku powrotnym, a nie na front... Po godzinie wysiedliśmy na jakiejś stacyjce. Oczekiwali tu już na nas legjoniści i czwórka zaprzężonych koni przy wózku. Ruszyliśmy — w drodze chciałam się czegoskolwiek dowiedzieć od siedzącego przy mnie leguna — niestety, obecność „szarży" krępowała mnie i jego. Zajechaliśmy do wsi Czeremosznia, gdzie rozlokowana była 5 baterja 1 p. artylerji.

Zbliżał się wieczór. Umieszczono nas w jakiejś chacie dwuizbowej. W pierwszej izbie mieszkał kpt. Klinger i u niego zakwaterował się „Nieznajomy", mnie zaś umieszczono w przyległej izbie wraz z ordynansem kpt. Klingera. Przy kolacji mój towarzysz się rozgadał trochę — i, dyplomatycznie prowadząc rozmowę, dowiedziałam się, z kim przyjechałam. Miałam według jego słów pełnić służbę ordynansową przy dowódcy pułku majorze Brzozie. Następnego dnia, po jakiejś uroczystości „dekoracyjnej", odjechaliśmy tym samym wózkiem na stację, a później do Kowla. Przez cały czas nie rozmawiałam zupełnie z majorem. Gdyśmy przyjechali do Kowla, musiałam zatrzymać się w mieszkaniu majora, gdyż była noc i nie było innego locum. Dowiedziałam się tutaj, że major został powiadomiony przez por. K. kim jestem, oraz że postanowiono, abym chwilowo pozostała w Kowlu przy magazynach artyleryjskich, celem zapoznania się ze służbą i ludźmi, później zaś miałam otrzymać przydział do baterji.

Nazajutrz wprowadzono mnie w tok zajęć. Praca polegała na prowadzeniu książek i wydawaniu sprzętu artyleryjskiego. Otrzymałam kwaterę z jednym z kolegów, M. Doręgowskim. Zaczęłam zżywać się z kolegami i oddychać pełną piersią na myśl, że pokonałam trudności i że nie jestem poznana. Po jakichś 2-ch — 3-ch tygodniach pracy w magazynach, gdy major B. wrócił po dłuższej nieobecności, zwróciłam się do niego z prośbą o przydzielenie mnie do baterji. Zgodził się. Gdym to opowiedziała kolegom, Doręgowski zdecydował, że i on również poprosi o takiż przydział. Następnego dnia stanął do raportu wraz ze mną i został przydzielony do 2 baterji haubic.

Pojechaliśmy do Maniewicz, a stamtąd pieszo do Ugłów, miejsca postoju baterji. Na froncie była cisza. Po zameldowaniu się u dowódcy por. Mazurkiewicza — umieszczono nas w jakiejś zniszczonej, spalonej ziemiance bez drzwi i nawet bez najprymitywniejszego urządzenia. Przedewszystkiem zabraliśmy się do porządków. Dorę-

Wanda Gertzówna-artylerzysta 1 p. artylerji.

gowski znalazł znajomych, z których jeden przeniósł się do naszej ziemianki i wziął się do pracy, a co ważniejsza — zabrał się do „fasowania". A więc wyfasował stare worki, któremi wybiliśmy całe wnętrze, zdobył piecyk żelazny, drzewo i różne narzędzia robocze. Któregoś dnia wybraliśmy się we trójkę do pobliskiej, zniszczonej wojną i pustej wioski na poszukiwania. Znaleźliśmy tam cynkowe wiadro, stare drzwi, blachę i obładowani, zmarznięci, ale radzi, wróciliśmy do swego „pałacu".

Po paru dniach ziemianka nasza zyskała opinję jednej z najlepiej zagospodarowanych. Ledwieśmy ją urządzili, gdy przyszedł rozkaz, przydzielający nam dwa konie. Strach mnie obleciał, że skompromituję się, gdyż nie wiedziałam zupełnie, jak się należy obchodzić z końmi. Zaczęła się więc nauka. O godzinie piątej rano dyżurny ze stajni budził wszystkich t. zw. jezdnych. Trzeba było śpieszyć się bardzo, aby odrazu otrzymać z rąk stajennego łopatę, zgrzebła i szczotki, gdyż był wielki brak tych rzeczy. Potem następowała praca. A więc trzeba było wyprowadzić konie, uprzątnąć nawóz, wysypać przejście białym piaskiem, konie oczyścić należycie, napoić je, wyfasować obrok i czem prędzej biec na śniadanie. O godzinie ósmej ogólna zbiórka na raport i modlitwę. Dyżurny ogniomistrz zależnie od humoru z lewego lub prawego skrzydła wydzielał ludzi do różnych prac poza obsługą.

Czasami trzeba było skrobać w kuchni kartofle, to znów rąbać i piłować drzewo, a wreszcie dostałam się pod rozkazy jakiegoś plutonowego, który kierował pracą przy rozbiórce starych stajen, zbudowanych z podkładów kolejowych. Dość ciężka to była praca. Najpierw trzeba było kilofem rozbić zmarzniętą ziemię i odgarnąć ją łopatą. Po wbiciu t. zw. klamry żelaznej w belkę i po założeniu drążka należało jednocześnie podciągać oba końce w górę, by wyrwać z ziemi wbity w nią słup. Pracowało się w ten sposób po dwóch. Musiałam wytężać wszystkie siły, by równomiernie ze stojącym obok kolegą na okrzyk „hop!" podciągać w górę koniec drążka. Nie chciałam przecież narazić się na uwagę, że ciągnę zbyt słabo. Praca taka trwała od 8-ej do 11.30 dla jezdnych, dla reszty do 12-ej.

Jezdnych zwalniano wcześniej, by mogli znów konie napoić i przynieść im siana i obroku. Od 12-ej do 2-ej była przerwa obiadowa. Można było wtedy pomyśleć o umyciu się, szło się więc do lasu i menażką czerpało się wodę. Po obiedzie o 2-ej wracałam do pracy aż do 5-ej i pół. Po kolacji następował błogi odpoczynek. Po paru dniach takiej pracy czułam wszystkie mięśnie i kości, — nie chodziłam a powłóczyłam nogami, jak starzec. Myślałam już, że rozchoruję się na dobre, trzymałam się jednak, bo widziałam, że nie-

tylko ja jedna czuję się zmęczoną... Każdą wolną chwilę wykorzystywałam na odpoczynek. Często więc szłam spać, nie myjąc się wcale, bo było za daleko do naszej studzienki.

Najgorsza sprawa była z końmi. Instynktownie wyczuwały brak silnej ręki, odgadywały, że nie mam do nich zaufania, i że zdradzam dużą nieśmiałość w obchodzeniu się, — zaczęły się więc narowić, kopać i gryźć. Chwilami byłam w rozpaczy, że sobie z niemi nie poradzę. Zaczęłam jednak traktować je z góry i okazało się, że koniki moje są to jedne z najposłuszniejszych i najpotulniejszych zwierząt na świecie.

Przemęczona pracą, ale szczęśliwa, że nikt nie wie o mnie, pracowałam z coraz większym zapałem. Któregoś dnia, podczas nocnego dyżuru w stajni — kopnął mnie koń w nogę; na dobitek złego tę samą nogę przygniotła mi przy rozbiórce jakaś ogromna belka — kulałam więc, ale nie przerywałam pracy. Dowódca baterji, widząc mnie kulejącą, polecił mi pójść do sanitarjusza — nie zrobiłam tego. Zwróciło to uwagę dowódcy, który też niezwłocznie wydzielił mnie z liczby pracujących z plutonowym. Zaczęłam więc chodzić na wartę, mając w przerwach większą możność wypoczynku.

Po niejakim czasie dostałam przydział do obsługi dział jako rezerwa, chodziłam więc na ćwiczenia. Baterja nasza mimo nazwy nie miała haubic tylko armaty polowe. Ćwiczono nas i uczono przepisowo w biegu wsiadać i zsiadać z jaszczów i armat. Wkrótce otrzymałam przydział do plutonu łączności, uczono mnie obchodzenia się z aparatami i zakładania linji, naprawiania przerwanych przewodów i t. d. Co pewien czas wypadały nocne dyżury, w czasie których można było czasami drzemać, nie była to więc zbyt uciążliwa praca. W końcu czerwca otrzymałam inny przydział. Major Brzoza dał mi rozkaz prowadzenia bibljoteki pułkowej. Od tej chwili byłam przy dowództwie pułku.

W tym czasie rozpoczął się ruch na linji. Codziennie prawie przelatywały rosyjskie samoloty, badające rozlokowanie naszych sił bojowych. Rozpoczynała się wtedy kanonada armatnia i karabinowa.

Po zwiadach samolotów zaczęło się przygotowanie artyleryjskie. Zaczęto „macać" nasze stanowisko. Cała „wiara" biegła wtedy na skraj lasu, skąd z wierzchołków wysokich drzew jodłowych można było obserwować całe przedpole, posiekane rowami strzeleckiemi naszych oddziałów piechoty, zasieki i pozycje rosyjskie. Wolne godziny spędzałam na drzewie, z zaciekawieniem śledząc z kolegami wybuchy pękających granatów. Czasami ukazywała się kuchnia — dymiąca, ziejąca parą, przejeżdżająca galopem przez odkryte miejsca. Wówczas baterje rosyjskie dosłownie ziały ogniem.

Któregoś dnia byłam świadkiem, jak granat padł opodal pasących się koni: rozpierzchły się na wszystkie strony, para z nich rozszalała — wpadła na teren bagnisty, grząski, zapadając się po brzuch. Nikt z obecnych nie szedł im z pomocą, postanowiłam więc sama je ratować. Domyślałam się, że są to konie austrjackie, tak zresztą twierdzono naokół. Dlatego tem bardziej chciałam je wydostać i sprowadzić do pułku jako zdobycz. Długo się męczyłam, zanim udało mi się wyciągnąć je z błota. Zadowolona, prowadzę konie do lasu, aż tu podchodzi do mnie paru legunów z marsowemi minami, otaczają mnie, pomrukując, że to ich konie i poprostu zabierają mi moją zdobycz. Były to „morusy" z jakiejś baterji. Uważali widać, że konie bardziej przydadzą się w baterji, niż w dowództwie pułku, to też pogalopowali radzi, że bez żadnego trudu udało im się zafasować konie austrjackie.

* * *

W owym czasie ogólna sytuacja Legjonów przedstawiała się mniej więcej w ten sposób: z jednej strony Rosjanie przygotowywali się do ofensywy, — z drugiej — konflikt Komendanta z Austrjakami zaostrzał się coraz bardziej. Pamiętam, jakeśmy oczekiwali przyjazdu Komendanta na odprawę wszystkich wyższych oficerów, jak szeptano sobie na ucho różne przypuszczenia, co się z nami stanie i że Dziadek „gryzie się" z Austrjakami. Po odprawie, zaledwie rozjechali się oficerowie, gruchnęła wieść, że, protestując przeciw Austrjakom, wszyscy postanowili pozrywać gwiazdki i w ciągu paru minut nie było już prawie żadnej szarży.

W parę dni potem, obudziwszy się z rana, dowiedziałam się z prowadzonych dokoła rozmów o zarządzonem ostrem pogotowiu, gdyż w nocy Rosjanie rozpoczęli huraganowy ogień i atak. Ja, niestety, spałam tak mocno, że nic nie słyszałam.

Następnej nocy pełniłam służbę, stojąc na warcie przy jakimś magazynie. Ziemia poprostu drżała od kanonady armatniej, przeplatanej grzechotem karabinów maszynowych i ręcznych. Huk, trzask i ostre błyski oślepiającego światła robiły wrażenie jakiegoś piekła... W pewnym momencie ponad tem wszystkiem, ponad hukiem armat i rozrywających się pocisków doleciał mię jakiś dziki, przeraźliwy, pełen trwogi i grozy okrzyk, wyrywający się z dziesiątek piersi — ...Ura, ura! — Krzyk milknął i potężniał — aż zamarł gdzieś wdali. Uczułam wtedy dreszcz, przebiegający po krzyżu, jak prąd elektryczny.

Z nastaniem dnia milknąć zaczęły działa i karabiny, strzelano, lecz nie tak gwałtownie. Przespałam się trochę i po sutym obiedzie

(dano nam dnia tego podwójne porcje, by odciążyć magazyn prowjantowy), udałam się z kolegami na punkt obserwacyjny, by śledzić toczącą się walkę. W czasie obiadu przeszedł koło nas 7 p. p. I Brygady. Widzieliśmy, jak chyłkiem przemykali się nasi do drugiej linji okopów, jak rezerwa Moskali tyraljerami podchodzi do zasieków, forsując je w niektórych miejscach. Kulki coraz gęściej gwizdały koło nas, siedzieliśmy jednak dalej na stanowiskach. Z prawego skrzydła zaczęli się wycofywać Austrjacy, przypuszczaliśmy więc, że nie utrzymają się dłużej. Jakoby na potwierdzenie tych przypuszczeń, przybiegł jeden z kolegów, wołając, byśmy natychmiast wracali do oddziału, gdyż rozpoczynamy odwrót. Trzeba było pomagać przy ładowaniu wozów. W czasie tej czynności ujrzałam, jak zaroił się lasek rannymi: niektórzy szli, podtrzymywani przez kolegów, innych niesiono...

Gdy mrok zapadł, ruszyliśmy. W nocy parokrotnie otrzymywaliśmy rozkaz zatrzymywania się w marszu. Odwrót trwał całą noc. Pamiętam, że zatrzymaliśmy się we wsi Trojanówce, przepełnionej kawalerją austrjacką. Gdy zaczęto wydawać porcje obiadu, zatrajkotał wpobliżu karabin maszynowy, bezpośrednio potem usłyszeliśmy tumult i krzyki: to kawalerja austrjacka uciekała, tratując się wzajemnie. Wiara szalała z radości, rzucając pod adresem uciekających mocne epitety. Okazało się później, że do wsi zbliżył się podjazd rosyjski z karabinem maszynowym; Moskale przestraszyli się jednak stojącego wpobliżu naszego oddziału, który odpowiedział strzałami — i zwiali. W popłochu Austrjacy pogubili moc rzeczy, które zostały natychmiast przez legunów „zafasowane". Parę razy wpadliśmy nocą na porozbijane austrjackie tabory, pozostawione w popłochu ucieczki. Podobały się nam takie „gratki", bo można było zaopatrzyć się w różne przedmioty i w prowjant.

Ponieważ dotychczas nie brałam bezpośredniego udziału w bitwie, postanowiłam zwiać do piechoty. Namawiał mnie do tego jeden kolega, więc razem z nim mieliśmy pozostać w jakiejś wsi i przyłączyć się do pierwszego napotkanego oddziału piechoty. Zatrzymaliśmy się w Stobychwie i tu miało się odbyć nasze wystąpienie z artylerji. Jakież jednak było moje przerażenie, gdy o zachodzie słońca zaniewidziałam. Nie rozróżniałam zupełnie przedmiotów i ludzi, widziałam jedynie ciemne kontury. Przypuszczałam, że oślepłam. Koledzy moi twierdzili, że to tylko kurza ślepota. Chcieli zaprowadzić mię do lekarza. Nie zgodziłam się na to, bojąc się, jak ognia, wszelkich oględzin lekarskich. Gdyśmy nocą ruszyli, musiałam iść koło wozu, trzymając się mocno, aby nie wpaść gdzie do rowu. Za Stobychwą znaleźliśmy się znów w szczerem polu, ze wszystkich stron paliły

Po dymisji Komendanta.

się zabudowania. Rozeszła się wieść, jakoby Moskale okrążyli nas i że już niema wyjścia. Przezorniejsi radzili, by królewiacy zniszczyli listy. Zabroniono nam głośnej rozmowy i palenia papierosów. Kazano zachowywać jak największą ciszę. Konie prowadzono krótko przy pyskach, by nie parskały. Po godzinie czy dwóch, wydostaliśmy się szczęśliwie do lasu, gdzie nie trzeba było zachowywać takich ostrożności.

Na szczęście z nastaniem dnia widziałam już dobrze, lecz koło godziny 5-ej, 6-ej ogarniał mnie mrok: przestawałam odróżniać przedmioty. Jednak po paru dniach przeszło mi to szczęśliwie.

Odwrót się skończył. Zatrzymaliśmy się pod Piasecznem, za Stochodem. Rozłożyliśmy się obozem na polanie. Zaczęła się znów praca. Trzeba było rąbać drzewa, znosić je i budować prowizoryczną stajnię. Pewnego razu, bezpośrednio po robocie, spotkałam majora Brzozę. Od niego dowiedziałam się o możliwości wycofania Legjonów na tyły. Sytuacja z Austrjakami zaczęła się coraz bardziej komplikować i liczono się z możliwością ustąpienia Komendanta, co byłoby protestem przeciwko knowaniom Austrjaków. Wobec tego, że miałam za sobą przeszło 6 miesięcy służby w artylerji, a przytem całkowicie zniszczony mundur, zaproponowano mi urlop. W tym czasie miała się zdecydować sprawa pozostania względnie wycofania z frontu Brygady. Zależnie od tego miałam powrócić lub pozostać w domu, bo nie chciałem wałęsać się po etapach i prowadzić życia koszarowego.

W parę dni po rozmowie z mjr. Brzozą otrzymałam rozkaz zameldowania się w dowództwie pułku. Tam dowiedziałam się, że mam jechać z kapitanem Rożenem do Warszawy. Ponieważ było brak dokumentów podróży, miałam więc jechać w charakterze ordynansa kapitana. W przeddzień wyjazdu otrzymałam służbę nocną od godziny 12 do 6 rano. Miałam pełnić wartę. Kazano mi pilnować koni, stojących w lasku olszynowym, oraz obozu. Noc była ciemna i wietrzna. Przeszłam parokrotnie przez lasek — nic jednak podejrzanego nie zauważyłam. Poznałam tylko dokładnie ścieżkę, prowadzącą do obozu. Rano zameldowałam się w dowództwie pułku, stamtąd pojechałam końmi do Powurska z paru legjonistami. Jechał z nami do Lublina również major Brzoza. W Lublinie zgłosiłam się do kapitana Rożena, który mię zabrał do Warszawy. W domu nie zastałam Mamusi, która była na letnisku. Pojechałam więc tam, aby spędzić urlop ze swoimi.

Tu doszły mnie wieści, że Komendant podał się do dymisji. Nie było poco wracać. Pozostałam więc w cywilu.

Alicja Maruszewska (Hanka). Zofja Janiszewska (Boruta).

OPIEKA KALISKIEJ LIGI KOBIET NAD SZCZYPIORNEM.

Gdy w 1915 roku powstała w Kaliszu Liga Kobiet, miasto dyszało nienawiścią do Niemców. Stąd niepopularność Legjonów i niezrozumienie myśli Komendanta. Wyruszyło wprawdzie do Brygady około 70 młodych kaliszan, zwerbowanych przez por. Ulrycha, ale mówiono o nich, że to „zapaleńcy i młokosi". Tem większą jest zasługa dziesięciu początkowo „liżanek", które jako nielegalna organizacja pod firmą „Kółka esperantystek" postawiły sobie za cel niesienie pomocy rodzinom kaliskich legjonistów, wysyłanie bielizny i paczek na front oraz zaopatrywanie na drogę legunów, przybywających do Kalisza na urlop. Do roku 1917 Liga rozrosła się znacznie. W okresie przysięgowym było nas już pięćdziesiąt i Kalisz ze skromnego Koła został pasowany na Okrąg, w którego skład wchodziły okoliczne miasteczka. Gdy w lipcu 1917 roku zaczęły do obozu jeńców w Szczypiornie pod Kaliszem napływać oddziały legjonowe, Liga Kobiet natychmiast wzięła na siebie zorganizowanie pomocy internowanym.

Już 19 lipca odbyło się zebranie Ligi, na którem postanowiono, nie bacząc na szczupłe fundusze, które były do dyspozycji, zabrać się do zorganizowania pomocy dla napływających w coraz większej ilości legjonistów. Pracę podzielono w ten sposób: Zarząd Ligi w osobach przewodniczącej Zofji Janiszewskiej, wice-przewodniczącej doktorowej Koszutskiej, sekretarki Felicji Piotrowskiej — w otoczeniu szeregu członkiń Ligi w dalszym ciągu prowadził robotę organizacyjną i agitacyjną, skarbniczka zaś Alicja Sztarkówna podjęła zorganizowanie pomocy dla Szczypiorna. W akcji tej okazały niewiasty niezmierne oddanie dla sprawy, poświęcając jej cały czas wolny, te zaś, które nie miały żadnych zajęć zawodowych przez szereg miesięcy pracowały od ranka do późnego wieczora. Pracowały

Komitet opieki nad Szczypiornem.

sumiennie i wytrwale. Poza popularniejszemi w obozie „Baśką" Świdnicką, „Milą" Laskowską, „Maryną" Sulecińską, „Stellą" Zakrzewską, pracowały z całem poświęceniem: M. Kulawiakówna, J. Szutkówna, W. Guranowska, M. i R. Chrabąszczewskie, J. Kinklówna i inne.

Sekcja Opieki nad Szczypiornem podzieliła pracę w ten sposób, że utworzyła następujące podsekcje: 1) opieki nad chorymi, 2) pośrednictwa w porozumiewaniu się internowanych z ich rodzinami (załatwiano w imieniu internowanych korespondencję poufną), 3) zakupów, której zadaniem było wykonywanie wszelkich zamówień zarówno pojedyńczych internowanych, jak również t. zw. bloków, na które obóz był podzielony. W podsekcji tej pracowało 9 osób, z których jedna zajmowała się wyłącznie dostarczaniem materjałów piśmiennych i książek. Niezależnie od tych prac wszystkie członkinie Ligi zbierały wszystko, co dało się zużytkować dla obozu.

Zakres prac Ligi rozszerzył się wkrótce, a nawet począł nieledwie przerastać nasze siły: rodziny internowanych, dowiedziawszy się o naszej akcji i o taniości Kalisza, rozpoczęły nadsyłać pieniądze z prośbą o dostarczenie poszczególnym internowanym paczek żywnościowych.

Rozpacz ogarniała nas nietylko ze względu na ilość pracy a małą liczbę rąk, ale i z powodu braku pieniędzy.

Posiadałyśmy tylko 804 marek niemieckich i 300 rubli.

Na szczęście, inne Ligi prowincjonalne (z wyjątkiem okręgu warszawskiego — który miał w opiece Benjaminów) poczęły zasilać naszą kasę.

Była i inna trudność! Jak dostarczyć do obozu i pod jaką firmą owe stosy pachnącego chleba, smakowitych kiełbas i papierosów? Ilu to forteli trzeba było używać, by nasz wóz, załadowany po brzegi przez Ligę i miejscowe społeczeństwo dotarł do uwięzionych i by paczki dostały się do właściwych rąk!

Obóz katolicko-narodowy, najliczniejszy w Kaliszu, przyjął internowanych z otwartemi ramionami. Kaliszanie zrozumieli to późno, ale przecież zrozumieli, że Legjony Piłsudskiego nie idą z Niemcami — i nie cofali się przed pomocą. Tak np. wóz po zabraniu naszych paczek zatrzymywał się przed Bankiem Handlowym, gdzie tobołki kaliszan powiększały jego objętość.

Niemcy poczynali węszyć zorganizowaną akcję jakiejś konspiracji i następować nam na pięty. Wóz jednak, eskortowany przez członka P. O. W. Emila Sztarka, docierał stale na miejsce przeznaczenia.

Była już połowa sierpnia. Miesiąc najgorszy był poza nami... W krytycznym bowiem momencie dzięki p. Kamockiej, przybyłej

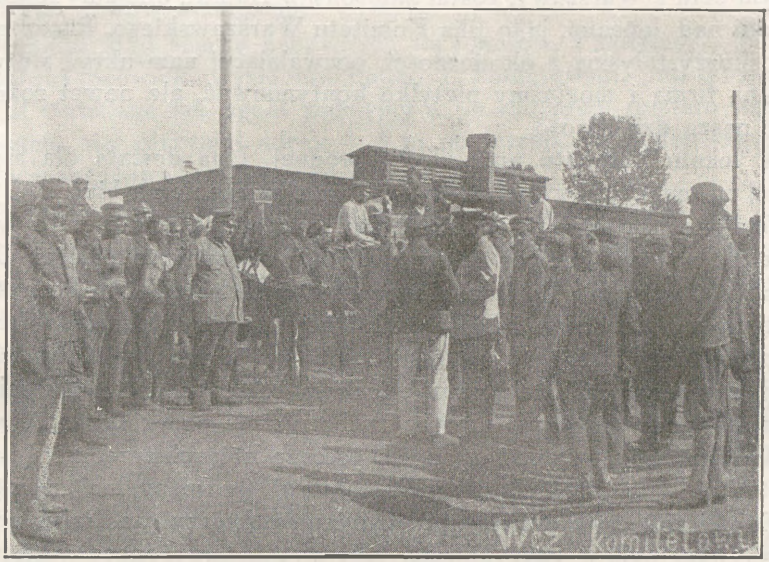

Opieka nad Szczypiornem. Wóz komitetowy.

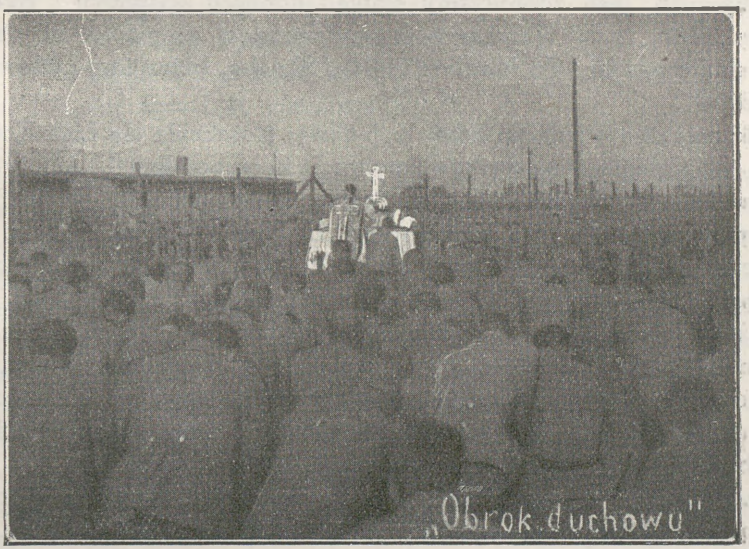

Obrok duchowy.

w tym celu z Warszawy, został założony w Kaliszu oficjalny Komitet Opieki nad Jeńcami, jako filja Komitetu Warszawskiego. Rzecz prosta, skorzystałyśmy z okoliczności, pozwalającej nam ukryć się pod legalną firmą i mogłyśmy nietylko kontynuować, ale nawet rozszerzyć naszą działalność.

W lokalu Komitetu przy ul. Nadwodnej, Liga dostała dla siebie pokój na magazyn żywnościowy oraz pomieszczenie na biuro.

Ustalono następujący podział pracy pomiędzy Komitetem a Ligą. Komitet wysyłał codziennie żywność dla obozu jako całości, Liga natomiast wysyłała kolejno dla poszczególnych pułków. Poza tem zajęłyśmy się obozową izbą chorych i pomocą indywidualną dla tych z internowanych, którzy od nikogo nic nie otrzymywali. Listę ich co pewien czas nadsyłała nam legjonowa komenda obozu i w miarę naszych funduszów wysyłałyśmy im bezpłatnie paczki żywnościowe.

Miałyśmy co czas jakiś w obozie gości, o których trzeba było pamiętać! Byli to działacze niepodległościowi, peowiacy lub wywożeni w głąb Niemiec oficerowie z Benjaminowa, którzy czas jakiś przetrzymywani byli w Szczypiornie, jako w punkcie koncentracyjnym. Pamiętamy te krótkie pobyty por. Polkowskiego, kapitana Kroka-Paszkowskiego, Piotra Góreckiego i wielu innych. W październiku na uroczystość kościuszkowską obdarzyłyśmy wszystkich internowanych chlebem i papierosami.

Widocznie wdzięcznie o nas wspominali „chłopcy" w listach do najbliższych, jeśli zdobyłyśmy sławę „dobrych gospodyń". Bywały fakty takie, że z Warszawy przysyłano nam pieniądze na zakup i wysłanie paczki... do Modlina dla W. Sławka, który tam podówczas „siedział".

Ale nietylko o żołądki braci legjonowej troszczyła się Liga Kobiet! Ileż to nielegalnych druków, poufnej korespondencji, bibuły peowiackiej przedostało się za druty! Zadaniem ob. Hanki było utrzymywanie kontaktu „duchowego" z obozem, a pośrednikami byli oficerowie łącznikowi, kolejno do obozu przydzielani: podporucznik Zamojski, chorąży Fela, ppor. Mokłowski, Tadeusz dr. Kaplicki.

Minął jeszcze jeden miesiąc. Bieg naszych prac niczem nie był zamącony, chociaż agenci niemieccy starali się uchwycić nici, łączące nas z obozem. Zaczęły się wówczas ucieczki ze Szczypiorna. Liga razem z P. O. W. ukrywała legjonistów, dając im ubrania i potrzebne dokumenty.Od czasu do czasu, któraś z członkiń Ligi miewała odwiedziny agentów, starających się różnemi sposobami ustalić jej łączność z obozem.

Nie byli jednak Niemcy dobrymi wywiadowcami. Ustępowali pod tym względem Moskalom.

Strach padał czasem na „liżanki", gdy, zdawało się, że Niemcy są na tropie roboty nielegalnej!

Wynikał stąd szereg zabawnych incydentów. Pamiętamy, jak to ówczesny peowiak, wysłannik Łodzi, J. Poniatowski, potraktowany został nieledwie jak agent policyjny i, po dłuższem dopiero legitymowaniu się, otrzymał adres — i to na wszelki wypadek jakiegoś mało zaangażowanego peowiaka.

Pieniędzy wciąż było mało, a potrzeb było coraz więcej.

Chłopcy byli wycieńczeni i wielu z nich chorowało. Wrzała więc praca w Lidze: ciągle były jakieś zbiórki, przedstawienia, kina, znaczki, loterje.

W połowie grudnia 1917 roku szczypiorniaków przewieziono do Łomży. Żegnaliśmy ich z żalem serdecznym. Stali się nam drodzy, bo byli widomym celem naszych zabiegów i trosk. Nawiązałyśmy z nimi tyle serdecznych nici, że nawet odległość nie mogła ich zerwać. Obawiałyśmy się przytem, czy znajdą w Łomży znośne warunki, czy będzie dla nich zorganizowana pomoc. Przed samym wymarszem miałyśmy wiele pracy. Trzeba było pomyśleć o zaopatrzeniu chłopców na drogę. Wydałyśmy wszystkie pieniądze, nie oglądając się na jutro. Chodziło nam bowiem, ażeby pożegnać godnie „legunów" i dać im możność zniesienia lżej drogi i zmiany warunków.

Oto jak pisze w albumiku Hanki jeden z żołnierzy:

„Wyjeżdżamy i cóż więcej...?
W wagon wsadzą nas bydlęcy
Zamkną i pogonią wdal...
Żal nam Ligi, strasznie żal..."

W ostatni dzień przed wyjazdem do Łomży każda z dwóch partyj transportowanych legjonistów otrzymała oprócz żywności także i papierosy. Ostatnie paczki wręczały „liżanki" osobiście podczas przemarszu z obozu na stację w Szczypiornie najbardziej zbiedzonym żołnierzom. Trzeba dodać, że tylko członkiniom Ligi udało się pożegnać odjeżdżających i życzyć im wytrwania i lepszego jutra. Straszne wrażenie wywierały te maszerujące szeregi więźniów! Wrażenie niezapomniane dla tych, którzy patrzeli. Zamiast płaszczy, wielu z legjonistów okrytych było nędznemi i podartemi kocykami, na nogach — zamiast butów chodaki drewniane, twarze zbiedzone, wymizerowane. Łzy stawały w oczach. Ale żołnierz, którego zły los uczynił nędzarzem, zachował wiarę i humor. Gdy pociąg ruszał, zagrzmiał donośny, serdeczny okrzyk legunów: „Niech żyje Liga ka-

liska!" który wynagrodził sowicie naszą pracę, małą, gdy ją porównywać z wielkością ich poświęcenia.

Pamiętałyśmy o nich stale. Zaraz po ich wyjeździe rozpoczęłyśmy forsowną zbiórkę pieniędzy, aby ofiarować obozowi w Łomży gwiazdkę. Pamiętałyśmy i o święconem. Pamiętałyśmy o nich, póki nie opuścili więzienia.

Koło Ligi kaliskiej opiekowało się także obozem w Werlu w Westfalji, dokąd Niemcy wywieźli 13 oficerów i kilku podoficerów z obozu szczypiorniańskiego. Dla nich także zorganizowałyśmy święcone.

Do połowy więc lipca 1918 roku, t. j. do chwili istnienia obozu łomżyńskiego funkcjonowała w całości sekcja pomocy przy Lidze kaliskiej. Trwała i nadal ożywiona korespondencja, chłopcy nadsyłali swe fotografje, zapełniali albumy nasze „autografami", utworami literackiemi i malarskiemi. O tym serdecznym stosunku świadczy wierszyk, który ob. Hanka posiada w swym albumiku. Wierszyk nie pozbawiony zresztą złośliwości, napisany już w Łomży przez legjonistę Sobieskiego z t. zw. „wesołej siódemki" poetów i malarzy szczypiorniańskich.

Oto jak brzmi in extenso:

„Servus! Bracia pacykarze!;
Jak się masz, poeto miły! —
Cóż Wam tak pobladły twarze?...
W Szczypiornie weselsze były,
Cnej „siódemki", miłe miny...
Oj, w Szczypiornie... dobre czasy...,
Bo kaliskiej tam słoniny,
Miałeś w bród, a i kiełbasy...
Dobre czasy... dobre były...
„Hanka", „Baśka" jako frygi,
Za robotę albumową,
Przesyłały na wyścigi,
Masło, boczek, to i owo,
Wszystko... co cieszyło człeka,
Zda się tylko brakowało,
Twarożku z ptasiego mleka...
Dobrze się „siódemce" działo...
Sto lat żyj i nie nachwalisz,
Łomża, bracie, to nie Kalisz!...

„Zawdzięczając naszym drogim,
„Stelli", „Jance" i „Marynie"
Ich liścikom, pięknym, mnogim
Wiersz poecie snadniej płynie...
A tu... w Łomży... zbladły twarze,
Wierszoklecie myśl zgorzkniała...
Żżal się, Boże... a malarze —
Farba zeschła i skruszała...
Od poranku, aż do spania,
Słychać jęki, narzekania —
Ha!... No trudno,... cierpieć trzeba...
Już niedługo... Idzie wiosna...
Może się zlitują nieba,
Może przyjdzie wieść radosna,
Że... jedziemy do Szczypiorna...
Rozjaśniały wasze twarze...
Błysła znowu myśl oporna,
Malarz zaraz coś namaże...
Sypnie znów się rymów horda...
Do Szczypiorna!... Sursum corda!...

Łomża 17/II. 1918 r.

Anna Minkowska.

Z CZASÓW BENJAMINOWA.

W Benjaminowie była jedyna w swoim rodzaju sytuacja. Okupanci internowali na ojczystej ziemi oficerów polskich, tych samych, którym ogromny odłam społeczeństwa zarzucał sprzyjanie Niemcom.

Ciężkie i nad wyraz przykre było położenie pozostałych rodzin. Wiele osób wpadło w bardzo trudne położenie materjalne. Liga Kobiet, a także Rada Główna Opiekuńcza starały się wynajdywać płatne zajęcie dla niektórych żon, zwłaszcza dla tych, które miały dzieci do utrzymania. Ze względu na ogólny zastój i rządy okupacyjne trudno było jednak bardzo o pracę.

Nierównie ciężka była sytuacja moralna. W społeczeństwie roiło się od dyskusyj, od zupełnie fałszywego rozumienia myśli Komendanta. Wprawdzie dawni nieprzejednani wrogowie Legjonów zaczynali się orjentować, że prowadzą one walkę z wszystkimi zaborcami, w okre-

sie tym istniał jednak nowy odłam, który usiłował przekonać pozostałe na wolności rodziny legjonistów, że gubią nietylko internowanych, ale armję polską — był to obóz aktywistyczny.

Niemcy, nie mogąc złamać internowanych i zmusić ich do przysięgi, rozpuszczali pogłoski, lub wprost mówili żonom i matkom o smutnej przyszłości, która czeka internowanych. Stale też grozili wywiezieniem w głąb Niemiec, skąd o obozach dochodziły ponure wieści. Usiłowali wywołać panikę wśród rodzin, licząc, że tą drogą uda im się oddziałać na internowanych.

Nadzieja ta Niemców zawiodła. Przekonali się bowiem, że ze strony rodzin szedł apel wytrwania za wszelką cenę, w związku z tem, w początkach internowania bez porównania łatwiej można było otrzymać pozwolenie widzenia się z internowanym, niż później, w miarę jak sprawa się przeciągała.

Opieką nad internowanymi zajmował się cały szereg osób, będących członkami najróżniejszych tolerowanych przez Niemców instytucyj. Nie roszczę sobie pretensji, abym mogła dać dokładny obraz tej działalności; prócz tego, co pozostało w mej pamięci, posługuję się garstką wspomnień, któremi podzielił się ze mną dr. Antoni Stefanowski.

Osoby te były członkami bądź Rady Głównej Opiekuńczej, że wymienię tylko prezesa tej instytucji ś. p. Staniszewskiego, którego dom był ostoją dla internowanych, lub powstałe wówczas w okresie represyj Stowarzyszenie Opieki nad Legjonistami Inwalidami, które Niemcy zatwierdzili, nie orjentując się zupełnie w działalności tajnej lub konspiracyjnej.

Celem tej instytucji, oczywiście ukrytym, była opieka nad internowanymi i związane ze sprawą internowania kwestje polityki. Ze stowarzyszenia tego pamiętam ś. p. majora Krzaczyńskiego, którego Niemcy, jako chorego, wypuścili z Benjaminowa, b. sierżanta Kaleńskiego i dr. Antoniego Stefanowskiego, od którego odbierałam często instrukcje, które woziłam do Benjaminowa. Wiem, że czynną była również Liga Kobiet i P. O. W.

Otaczano opieką uciekinierów Szczypiorna za pośrednictwem nas, jeżdżących do Benjaminowa, przesyłano listy, wiadomości, polecenia, konferowano z Radą Regencyjną, z Niemcami, utrzymywano kontakt z P. O. W., które wszyscy uważali za ekspozyturę woli uwięzionego Komendanta, wreszcie dawano nam informacje, jak mamy postępować w stosunku do Niemców.

Na uzyskanie wejścia do obozu musiałyśmy brać przepustkę w Komendzie Miasta w Warszawie. Oczywiście trzeba było być albo żo-

Pod drutami Benjaminowa.

ną, siostrą, matką, albo chociażby uchodzić za narzeczoną lub kuzynkę internowanego. Formalności były skomplikowane.

Należało przedstawić osobiste dokumenty oficerowi, aby na widzenie pozwolił. Następnie odbywała się indagacja. Pytano, o czem się chce z bratem lub mężem rozmawiać. Niemiec był niezmiernie wrażliwy na sprawy dnia codziennego. A więc sprawy gospodarskie, kwestja wynajęcia pokoju, sprzedaży czegoś i t. p. były to tematy, które zyskiwały jego uznanie, można było wtedy liczyć, że przedstawiając tego rodzaju kwestję, o której się chce mówić z internowanym, otrzyma się pozwolenie na wejście do obozu.

Pozwolenie na widzenie się otrzymywało się zazwyczaj raz na 2 tygodnie w niedzielę o 1-ej godzinie. Jechało się kolejką marecką z Pragi. Na skręcie, przed Nieporętem poczciwy zawiadowca zatrzymywał pociąg, aby „goście" do Benjaminowa mogli wysiąść. Potem szedł długi sznur kobiet obarczonych paczkami w stronę obozu. Przed czerwonemi domkami stali już prawie wszyscy więźniowie, oczekując. Już zdaleka rzucało się różne krótkie słowa, „są wiadomości", każdy wiedział, iż z Magdeburga. Trzeba było mówić ostrożnie i dbać o to, aby warty nie drażnić, gdyż groziło to niewpuszczeniem całego towarzystwa. Te nasze wizyty były dla uwięzionych jedynym kontaktem ze światem. To też, ujrzawszy nas zdaleka, wychodzili na nasze spotkanie, zbliżając się aż do drutów.

Warta sprawdzała dokumenty, potem powoli wpuszczano nas do środka. W prowizorycznie urządzonym pokoju zebrani byli wojskowi, do których w dniu tym przybyły rodziny. Przy rozmowach był obecny kapitan niemiecki. Starano się, aby w jednym dniu nie było więcej, niż kilka wizyt, aby mógł on lepiej słyszeć. Jednakowoż w zgiełku choćby dziesięciu osób można było rozmawiać swobodnie. W paczkach, pomimo, że były rewidowane przy wejściu, udawało się przemycić gazety lub tajne pisma, któremi zasilano nas w Warszawie.

Z niewiadomych przyczyn zdarzało się, że nie można było uzyskać pozwolenia na widzenie się z poszczególnymi oficerami. Była to często stosowana represja. Na argument, iż ma się ważne sprawy do omówienia, odpowiadano w komendzie niemieckiej w Warszawie, że bardzo łatwo można wszystko napisać, a list po ocenzurowaniu wręczony zostanie internowanemu. Wówczas nie pomagały argumenty o kłopotach, które nieszczęsna żona, lub matka ma na swej głowie i w których rzekomo sama decyzji powziąć nie może. Natomiast były inne argumenty, które miały wpływ podobno magiczny. Opowiadały mi panie, że sierżant, który wpuszczał do swego wszechwładnego oficera w komendzie, przyjmował chętnie prezenty (ko-

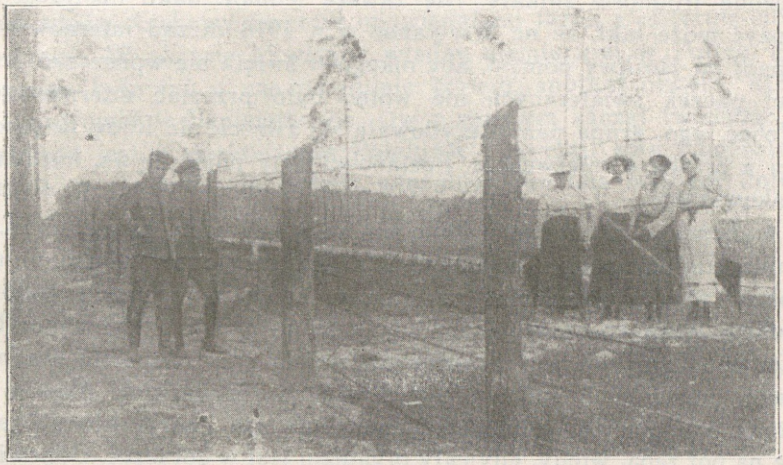

Wizyty w Benjaminowie.

niak, czekoladki i t. p.) wówczas w wielu wypadkach nieprzezwyciężone trudności znikały. Nie zawsze jednak. Jako ilustracja posłużyć może fakt, że na Wielkanoc w r. 1918 zarząd internowanych wpadł na złośliwy pomysł, aby nikogo w święta nie wpuszczać, a nawet paczek świątecznych nie wolno było przesłać internowanym. Wobec tego, grupa pań zdecydowała się zwrócić do Rady Regencyjnej z prośbą o interwencję. Postanowiłyśmy pójść do ks. kardynała Kakowskiego.

Audjencję otrzymałyśmy. Było nas od 5 — 7 osób, pamiętam m. in. panie Kieszniewską i Stamirowską. Szłyśmy przez długie i puste pokoje zamku. Prowadził nas woźny, który w jednym z pokojów stuknął laską, co oznaczało, iż mamy się zatrzymać. Gdy wyszedł ku nam ks. Kardynał, p. Kieszniewska wyjęła cały, wspólnie zredagowany, memorjał w sprawie owych szykan niemieckich. Mówiło się wtedy o drobnych szczegółach, podobnie jak chory, który skarży się na ból zęba, wtedy, gdy cały organizm jest w gorączce. Odpowiedź też była bardzo niepocieszająca. „Jesteśmy bezsilni", powiedział nam Kardynał, „ale w obecnej chwili jest wiele państw, które są bezsilne". Obiecał wprawdzie zająć się tą sprawą, ale uprzedził odrazu, że co do wyniku nastrojony jest pesymistycznie. Podobnie zapatrywał się obecny przy naradzie sekretarz ks. Chełmicki. To też smutne i przygnębione powędrowałyśmy do domu.

Skutki interwencji były istotnie kompromisowe. Niemcy zdecydowali się wpuścić ciasto i wędlinę, ale bez gości. Wobec tego cały szereg osób wybrał się do Benjaminowa „pod druty". Był to specjalny sposób porozumiewania się, polegający na tem, że w odległości kilku kroków, wokoło chodziło się od ogrodzenia obozu niby jakiś obcy przechodzień. Więzień, któremu również pod druty zbliżać się nie było wolno, chodził po obozie, niby spacerując. Na przestrzeni między jedną wartą a drugą można było rzucić kilka słów, często trochę wieści z polityki. Oczywiście dużo słów ginęło, gdyż przestrzeń pomiędzy mówiącymi dochodziła do 20 kroków, a krzyczeć nie można było zbyt głośno. Czasem trafiało się na gorliwego żołnierza, który groził, że będzie strzelać, jeśli przechodzień nie opuści terenu. Kiedyś zabrałam do Benjaminowa mego synka, który liczył wówczas dwa lata. Mieliśmy spacerować pod drutami, gdyż chciałam, aby ojciec go zobaczył. W pewnym momencie dziecko wyrwało mi się i z paczką cukierków przeszło pod drutami, pragnąc zanieść tatusiowi „coś dobrego". Nie mógł się jednak wydostać i pozostał pomiędzy pierwszem, a drugiem ogrodzeniem w ten sposób, że żadne z nas nie mogło dostać się do środka. Jeden z żołnierzy warty wszedł tam i, tknięty tkliwością, zaprowadził dziecko do ojca.

Internowanie w Benjaminowie trwało około roku. Tuż przed jesienią roku 1918, kiedy zachwiała się potęga niemiecka, opustoszał Benjaminów. Ciekawy szczegół opowiadał mi jeden z oficerów-internowanych. W okresie likwidacji władzy niemieckiej w Polsce, gdy Niemcom było już u nas porządnie gorąco, spotkał oficera, który ich dozorował w Benjaminowie. Ów z zapałem zaczął twierdzić, iż właściwie jest z pochodzenia Polakiem i wyraził swe najgorętsze uczucia w stosunku do byłych więźniów. Fortuna bowiem kołem się toczy.

PAMIĘCI JANA WOJSZNAR-OPIELIŃSKIEGO
(ZDANOWICZA).

POLSKA ORGANIZACJA WOJSKOWA.

Jadwiga Barthel de Weydenthal i Helena Stattlerówna.

ODDZIAŁ ŻEŃSKI P. O. W.

Jesień 1915 roku otwiera nowy etap walki o niepodległość. Warszawa, a wkrótce potem i cały niemal obszar b. Kongresówki, wolny był już od Rosjan. Niemcy i Austrjacy, zająwszy ich miejsce, byli tylko przejściowymi „okupantami", których rządy, jakkolwiek przykre i ciężkie, nie mogły jednak stłumić w sercach Polaków tej świadomości, że godzina wyzwolenia uderzy wkrótce na dziejowym zegarze.

Czuli to dobrze sami Niemcy, starając się przynajmniej pod względem gospodarczym wyciągnąć z ziem polskich wszelkie bogactwa, jakie mimo zniszczenia wojną, jeszcze u nas pozostały. Prowadzą tedy na terenach okupowanych gospodarkę rabunkową, znamienną dla tych, którzy nie czują się długowiecznymi gospodarzami.

Czuło to również i społeczeństwo, jakkolwiek różne grupy i warstwy społeczne w różny sposób ją sobie interpretowały. Warstwy ziemiańskie i przemysłowe, oraz tłumy nieuświadomionych politycznie, wystraszone spadkiem waluty i coraz wyraźniej grożącą nędzą kraju, wierzyły jeszcze w powrót Rosjan i w cichości ducha może tego chciały. Galicyjskie zaś ugrupowania ugodowe, skupione koło N. K. N-u i popierające jego kompromisową działalność, oświadczały się z lojalnością wobec Austrjaków, jako „sprzymierzeńców" w walce z Moskalami.

Jedynie nieliczne grupy niepodległościowe, te same, które, skupione koło Komendanta, poszły w bój otwarty z Rosją, nie zachwiały się i teraz w dalszej pracy. Grupy te, wierząc jedynie we własne siły, wysunęły odrazu następujące hasła:

1. dążyć do stworzenia własnego rządu i wojska,
2. nie iść na kompromisy i ustępstwa względem okupantów.

Wyrazem tych dążeń były odezwy, poprzedzające wejście Niemców do Warszawy i nawołujące ludność, aby wstrzymała się od wszelkich manifestacyj względem wojska niemieckiego, a przedewszystkiem szereg wieców i odczytów, urządzonych w ciągu sierpnia i września 1915 roku, na których otwarcie stawiano hasła własnego rządu i wojska. Wyrazem dążeń niepodległościowych była przedewszystkiem dalsza praca w P. O. W.

Wyjście na front Bataljonu Warszawskiego przerzedziło znacznie zastępy młodzieży męskiej, zgrupowanej w P. O. W. Pozostali przygotowywali się również do wyjścia w pole. Siły Oddziału Żeńskiego, jak zawsze w podobnych chwilach, skupiły się narazie przedewszystkiem w pracy gospodarczej około wyekwipowania i wyżywienia żołnierzy.

Władze naczelne P. O. W., nie widząc potrzeby dzielenia pracy gospodarczej między kilka pokrewnych organizacyj, i łudząc się, że nadal pracę O. Ż. może z równem powodzeniem spełniać Liga Kobiet, wydały rozkaz rozwiązania Oddziału Żeńskiego, co też nam w sierpniu w dość bezwzględnej formie zakomunikowano.

Oddział Żeński podporządkował się karnie rozkazowi, w dalszym ciągu jednak pracował we wszystkich, nadających się ku temu środowiskach. Peowiaczki prowadzą więc kuchnię dla żołnierzy, sposobiących się na front (pracuje tu kilka koleżanek pod kierunkiem Marji Gieysztor), oraz „sklepik" z wydawnictwami legjonowemi, założony w mieszkaniu J. Kamińskiej (Jędzy). Prowadzą go kolejno: J. Kamińska, M. Iwanowska (Theresita)[1]) i H. Ciąglińska. Z początkiem września organizuje się, zainicjowana przez M. Rychterównę (Martę), poczta, nawiązująca łączność między Warszawą a pułkami legjonowemi i dająca Naczelnej Komendzie pewien stały dochód. W tymże miesiącu założono Koło Pomocy dla Legjonistów, którego cała prawie praca była skupiona w rękach peowiaczek. Pracują tu m. in. M. Gieysztor, St. Kudelska (Hanna), M. Korniłowiczówna, H. Grodecka i inne. Przy Kole Pomocy funkcjonują: świetlica oraz herbaciarnia dla żołnierzy.

Po upływie dwóch miesięcy (sierpień i wrzesień 1915), stało się jasne, że Oddział Żeński musi być wskrzeszony. Rozkaz Komendanta, wstrzymującego z głęboko politycznych przyczyn werbunek do Legjonów, dał ten pewnik, że P. O. W. masowo nie zostanie powołana na front, że mobilizacja albo nie nastąpi wcale, albo co najmniej odwlecze się jeszcze na długie miesiące. Przed P. O. W. sta-

[1]) Marja Iwanowska (Theresita) literatka i działaczka w pracy niepodległościowej zmarła w 1923 r.

Oddział Żeński P. O. W. w Warszawie. Plutony I i II.

nęły więc liczne zadania: organizowanie i szkolenie oddziałów przyszłego wojska polskiego, urabianie opinji społecznej w myśl ideologji Komendanta, zwalczanie we wszelkich dostępnych dziedzinach władzy i buty okupantów.

Praca ta z konieczności stawała się znowu konspiracyjna. Pomoc więc peowiaczek okazała się niezbędna. To też już w październiku Komenda Naczelna P. O. W. wzywa kobiety do współpracy.

Komendantem naczelnym P. O. W. mianowany zostaje kpt. Kasprzycki (Zbigniew).

Oddział Żeński liczył wówczas około 50 członkiń, komendantką była Marja Stefanowska (Ela). W styczniu 1916 roku objął komendę I Okręgu, której podporządkowany był O. Ż. Warszawski, por. Jan Opieliński (Zdanowicz), człowiek energiczny, wymagający, ale świetny, pełen inicjatywy organizator. Wtedy to nastąpiła przebudowa organizacji: ob. Zdanowicz tchnął w P. O. W. nowe życie i organizacja zaczęła się rozwijać w bardzo szybkiem tempie. Powstają coraz nowe agendy, a cała praca idzie głównie w kierunku wychowywania i szkolenia członków organizacji pod względem ideowym i wojskowym oraz szerzenia ideologji Komendanta w społeczeństwie.

Komendantką O. Ż. od 1916 r. mianowaną została Jadwiga Barthel de Weydenthal (Brzeska), pełniąca ten obowiązek do 1918 roku. W lutym nastąpiło uroczyste zaprzysiężenie Oddziału, zorganizowanego na sposób wojskowy: 3 plutony z podziałem na trzy sekcje oraz pluton rezerwowy. Zastępczyniami komendantki były kolejno: St. Waroczewska (Ewa), H. Ciąglińska, H. Stattlerówna (Stańska). Funkcje plutonowych pełniły w różnym czasie: St. Waroczewska, H. Ciąglińska, H. Stattlerówna, St. Kudelska, H. Krukowska, H. Gałady-kówna, I. Gruszczyńska, M. Gieysztor, St. Jeziorkowska, M. Sawicka i H. Straszewiczówna.

Oddział wzrasta bardzo szybko i w przeciągu kilku miesięcy liczba członkiń wynosi już przeszło sto. Oddział przeznaczony jest do pomocy organizacji męskiej i obejmuje odrazu konkretne prace we wszystkich dziedzinach ogólnej P. O. W. — a wychowanie ideowe członkiń odbywa się na częstych zebraniach sekcyj i plutonów, gdzie wre nieraz pełna zapału dyskusja, oraz na zebraniach ogólnych całego Oddziału, na których odbywają się referaty polityczne i informacyjne.

Pracy było bardzo dużo. Szereg koleżanek pełni służbę w biurach różnych komend, jak: Komenda Naczelna, Komenda Grupy A, Komenda Miasta, Komenda Placu etc., pracują tu: M. Stodolska (Górska), St. Jastrzębowska (Okrzejowa), H. Ciąglińska, H. Skowrońska (Tarłówna), St. Kudelska, H. Grodecka, H. Starczewska, W. Den-

Oddział Żeński P. O. W. w Warszawie. Plutony III i IV.

hołowa i inne. Z wymienionych H. Ciąglińska obok służby ordynansowej I Okręgu (Warszawa) prowadzi w ciągu lat 2 archiwum P. O. W., Starczewska pełni funkcję adjutanta I b. Okręgu.

W biurze paszportowem pracują: H. Starczewska oraz I. Wasiutyńska (Sowa). Zadaniem ich było przygotowanie paszportów dla Legjonistów, odkomenderowanych przez Komendanta z frontu do roboty konspiracyjnej oraz dla dezerterów z wojsk okupacyjnych. Wydane było ogółem 800 paszportów, z których żaden nie był zdemaskowany.

Wszelka troska o kwatery podczas zbiórek i zjazdów P. O. W. była zawsze udziałem kobiet. Pamiętać przytem należy, że jakkolwiek minęły już wówczas czasy rosyjskich żandarmów, jednak zdobywanie tak specjalnych i powszechnie zwracających uwagę kwater pozostawało w dalszym ciągu niezmiernie trudne. Trudne było tem więcej, że społeczeństwo, nawogół dość tchórzliwe, niechętnie było usposobione do P. O. W., niewiele też chciało zrobić wysiłków w tym kierunku. Zapotrzebowania kwater były olbrzymie, jak na organizację konspiracyjną. Zjazdy na odprawę „komendantów okręgów i komendantów obwodów" były dość częste. Zjeżdżało się nieraz po kilkudziesięciu ludzi; dla wszystkich należało przygotować noclegi (naturalnie bez meldowania paszportów), postarać się o wyżywienie ich w ciągu kilku dni i wyszukać salę na odprawy, prócz tego, niemal codziennie, były zapotrzebowania noclegowych kwater dla kilku lub kilkunastu ludzi: dla kurjerów z prowincji lub peowiaków, przyjeżdżających po specjalne instrukcje, albo „wsypanych" w swoim okręgu; później zaś dla uciekinierów ze Szczypiorna i Benjaminowa. Z wdzięcznością należy tu wspomnieć nazwiska osób zawsze radośnie przychodzących organizacji z pomocą: pp. Twardów, p. Sołomowiczównę, p. Federowicza, pp. Kurkiewiczów, p. Budzińską-Tylicką, p. Przyjemską, pp. Kerntopfów i innych, których nazwiska wyszły mi z pamięci.

Koło Pomocy dla Legjonistów ze skromnych początków rozwinęło się niebawem bardzo poważnie, zaopatrując wszelkie potrzeby peowiaków pod względem ubrań, pościeli, żywności nawet mebli. Istniał też klub podchorążych z udziałem peowiaczek a prócz tego O. Ż. urządzał wieczorynki, małe przyjęcia i zabawy dla przyjeżdżających do Warszawy na odprawę komendantów okręgowych i obwodowych.

Sporo koleżanek pracuje w biurach ewidencji, Archiwum, Skarbu Wojskowego, Wydziału Szkolnego, przedewszystkiem jednak największą ilość sił pochłania niesłychanie bujnie rozrosła praca wydawnicza P. O. W. wraz z kolportażem i pocztą. Centralne Biuro

kolportażu prowadzą kolejno: A. Kościałkowska, H. Wojciechowska, I. Gruszczyńska. Ekspedycją warszawską kierują: W. Denhofowa, H. Skowrońska i Węgrodzka (Biruta). Poczta organizacyjna, poczta listów, administracja „Rządu i Wojska", Komunikatu Informacyjnego, podręczników wojskowych grupują wiele koleżanek, których nazwiska wymieniają poniżej zamieszczone artykuły.

Peowiaczki przechowują również, jak za czasów rosyjskich, broń i materjały wybuchowe dla Oddziału Lotnego. Niektóre z nich biorą nawet udział w tej niebezpiecznej pracy oraz w żandarmerji P. O. W.

Z chwilą zorganizowania Centralnego Komitetu Narodowego (C. K. N.) otwiera się przed Oddziałem Żeńskim nowy dział pracy. Odkomenderowane tu zostają: M. Stefanowska, St. Krasuska (Stasiulka), D. Lipińska, J. Szymońska (na terenie Lubelskiego) i inne.

W pracy propagandowej bierze udział w mniejszym lub większym stopniu cały Oddział, przy pomocy kolportażu wydawnictw P. O. W., „Rządu i Wojska" oraz sprzedaży znaczków i pocztówek, a przedewszystkiem przez bezustanne i mozolne urabianie opinji społeczeństwa.

Po ogłoszeniu przez Niemców niepodległości w listopadzie roku 1916, organizuje się t. zw. Tymczasowa Rada Stanu (styczeń 1917). Komisję wojskową w niej obejmuje Komendant. Wtedy to kobiety nasze z radością przystępują do pracy biurowej, jakkolwiek jest żmudna i nudna. Pracują tu: H. Ciąglińska, H. Skowrońska, W. Piekarska, H. Rzepecka, St. Minkiewiczowa, W. Pillichowa i inne.

Najcięższe czasy przyszły na P. O. W. wogóle, a więc i na Oddział Żeński po aresztowaniu Komendanta i licznych „wsypach" organizacyjnych, t. j. jesienią i zimą roku 1917. Masowe aresztowania, wysyłki do obozów i więzień nie szczędzą i kobiet. Tak pada ofiarą W. Gertzówna, W. Denhof - Czarnocka, Z. Czajkowska, Z. Warszawska, E. Wolfkowiczówna, Z. Krakowska, M. Damroschówna, F. Zelcerówna, H. Wojciechowska, St. Krasuska i inne. W tej epoce O. Ż. organizuje stałą pomoc uwięzionym i dostarcza im żywności, ubrania i książek oraz wszelkiemi sposobami stara się ulżyć ich doli. Intensywną też pomoc ma Szczypiorno, Benjaminów oraz peowiacy osadzeni w Modlinie.

Od jesieni 1917 do jesieni następnego roku praca wre najintensywniej. Organizacja sposobi się do bezpośredniego zbrojnego wystąpienia. W tym ciężkim okresie Naczelną Komendę nad P. O. W. obejmuje ob. Adam Koc.

Oddział Żeński liczy już wówczas przeszło 200 członkiń, wprowadzone zostają wykłady wojskowe, specjalnie nauka o broni i o materjałach wybuchowych. Intensywnie prowadzi się kursy sanitarne,

kursy administracyjne. Liczne kurjerki jeżdżą z poleceniami lub bibułą do okręgów prowincjonalnych. Brzeska zostaje mianowana referentką K. N. oddziałów żeńskich Kongresówki. Oddziałów tych istnieje wówczas 18, z ogólną liczbą członkiń przeszło 800. Dzielnie przez cały czas okupacji pracował O. Ż. lubelski, gdzie komendantkami były kolejno: H. Szymańska, Z. Sturm de Strem i P. Rakowiecka. Oddział Ż. włocławski z komendantką M. Francką, O. Ż. płocki z komend. J. Benedekówną; O. Ż. siedlecki z kom. Śluzkowską, O. Ż. kaliski z kom. Z. Janiszewską.

Jesienią 1918 roku, z powodu klęsk na froncie zachodnim, odczuwać się daje upadek Niemców na duchu. Dnie okupacji są już policzone. Oddział Żeński wtedy ulega pewnej reorganizacji. Zamiast poprzedniego podziału na plutony i sekcje, przejętego od formacyj męskich, tworzą się sekcje według podjętych działów pracy. Tak powstają sekcje: wywiadowcza (St. Kudelska), broni (H. Starczewska), kurjerska (J. Wróblewska), ubraniowa (H. Jaroszyńska - Małgorzata) i kwaterunkowa (H. Stattlerówna). Praca tych sekcyj ma na celu zarazem sprostać doraźnym warunkom pracy oraz przygotować kobiety do udziału w wielkiej a przewidywanej już przez cały naród, chwili.

W momencie tym, tak radosnym dla całego obozu niepodległościowego, Oddział Żeński staje z całą gotowością do pracy, spełniając funkcje kurjerskie, biurowe i inne, jakich wymaga potrzeba chwili. W akcji rozbrojenia biorą udział peowiaczki, wchodzące w skład Oddziału Lotnego oraz żandarmerji P. O. W., w której pracują: H. Skowrońska, M. Jaroszyńska, W. Gertzówna, Giga Puławska, M. Stachiewiczowa, H. Sawicka, Z. Szafirówna, M. Bitnerówna i inne.

W grudniu, po ogłoszeniu niepodległości, Oddział Żeński został zlikwidowany. Członkinie jego weszły bądź w skład biur wojskowych, bądź zgłosiły się do służby kurjersko - wywiadowczej, organizowanej przez Naczelne Dowództwo, bądź wreszcie podjęły pracę gospodarczą w zorganizowanej przez O. Ż. Pomocy Żołnierzowi Polskiemu. (P. Ż. P.).

Tak przedstawiałyby się w ogólnym zarysie prace Oddziału Żeńskiego P. O. W. Niepodobna jednak dokładnie wyliczyć wszystkich prac, powierzanych peowiaczkom. Stają one gotowe zawsze do wszelkich zadań i trudów, jakich od nich żąda Komenda, zawsze są jednakowo obowiązkowe, nie szukające rozgłosu i nagród i jednakowo ofiarne.

To też w uznaniu pracy Oddziału przyznany im zostaje krzyż „Virtuti Militari" „na chorągiew".

Największą jednak nagrodą były słowa Komendanta, który w dzień swoich imienin, 19 marca 1917 roku, zechciał przybyć na uroczystą odprawę O. Ż. P. O. W. Na odprawie tej Komendant wyraził podziękowanie dla pracy Oddziału, przyznając, że trzy czwarte pracy nad uświadamianiem społeczeństwa było dziełem kobiet.

Marja Rychterówna (Marta).

POCZTA LISTÓW PRYWATNYCH.

IX 1915 — VIII 1916.

PAMIĘCI STASI WAROCZEWSKIEJ.

Poczta Listów Prywatnych, czyli t. zw. początkowo „nasza poczta", kojarzy się z miłem wspomnieniem pracy pożytecznej, a zarazem zainicjowanej i wykonanej wyłącznie przez nas same. Było to tem dla nas ważniejsze, że czas powstawania poczty wypadł właśnie w epoce przymusowego bezrobocia, t. j. stanu zawieszenia Oddziału Żeńskiego P. O. W.

Projekt ten wywołała potrzeba chwili. Niemcy, chcąc utrudnić kontakt stolicy z resztą okupowanej Polski, wprowadzili przeszkody w komunikacji kolejowej, oraz zabronili kategorycznie wymiany korespondencji z okupacją austrjacką. Najbardziej dotkliwe było jednak zarządzenie, przecinające łączność Warszawy z oddziałami legjonowemi i godzące głównie w Bataljon Warszawski, który właśnie wyruszył na front.

Przyznam się, że te zakazy nie dawały mi spokoju i przez parę tygodni myślałam, w jaki sposób możnaby je udaremnić. Sposób był tylko jeden: nawiązać zerwaną łączność własnemi siłami, t. j. stworzyć prowizorjum poczty.

Zwierzyłam się z temi myślami koleżankom: J. Brzeskiej (Barthel de Weydenthal), Eli Kwiatkowskiej i Fance Flekównie. Wszystkie trzy ucieszyły się bardzo. Omówiłyśmy też zaraz możliwości istnienia takiej poczty. Trzeba było przedewszystkiem ustalić, czy uda nam się zogniskować listy przywożone do Warszawy i czy będziemy mogły odpowiednio zorganizować wysyłkę listów na front i okupację austrjacką. Wzięłyśmy się odrazu do roboty.

Podział pracy nie sprawiał nam żadnych kłopotów. Kol. Brzeska podjęła się utrzymywania łączności z kurjerami, przywożą-

cymi z frontu listy legjonowe, oraz zorganizowania stacji odbiorczej, t. j. zbierającej listy, przeznaczone do wysyłki. Zaproponowała też utworzenie sekcji peowiaczek, które mogłyby roznosić listy po mieście. Fance powierzyłyśmy kasę, obliczając, że za roznoszenie i wysyłkę listów uda nam się zebrać trochę pieniędzy, które przekażemy Komendzie P. O. W. Na mnie wypadła reszta t. j. zbudowanie „sieci pocztowej" na prowincji, wynajdywanie dla poczty warunków rozwoju oraz porozumienie z Naczelną Komendą P. O. W., gdyż, aczkolwiek Oddział Żeński oficjalnie nie istniał, czułyśmy się jednak związane organizacyjnie z Komendą P. O. W.

Projekty te, niestety, nie spotykały zbyt dobrego przyjęcia u naszych władz. Wróżono nam rychłą wsypę i naogół nie radzono brać się do tej pracy. Nie zrażałam się tem jednak wcale, sądząc, że bardziej przekonywającą, niż słowa, będzie nasza praca, jeśli ją potrafimy dobrze zorganizować i wykonać.

Okoliczności nam sprzyjały. Bez trudności, oczywiście, udało nam się zebrać grono peowiaczek, zgłaszających się chętnie na służbę listonoszów. Komendę nad niemi objęła Ewa (St. Waroczewska), która do tej pracy wniosła wiele inicjatywy, energji i trudu. Listy przywożone przez wojskowych napływały stale i dochodziły regularnie do naszych rąk. Dużo bardzo zrobił dla naszej poczty p. Tytus Filipowicz. Wiedziałam dobrze, że otrzymywał on wielkie transporty listów z Departamentu Wojskowego w Piotrkowie. Dlatego też przy pierwszej zdarzonej sposobności zapytałam go, czy listów tych nie mogłyby roznosić nasze peowiaczki. Propozycja ta została przyjęta życzliwie i odtąd dostawałyśmy stamtąd stale listy. Trwało to przez kilka miesięcy, aż póki panie z Ligi A. (t. j. departamentowej) nie upomniały się o nie dość energicznie. Wiedziały one bowiem, że poczta daje pewne dochody, obracane na cele organizacyjne.

Stację odbiorczą urządziłyśmy w lokalu dawnej Komendy P. O. W., oddając ją pod opiekę Marji Gieysztor, prowadzącej kuchnię żołnierską. Poczta sprawiła tu sporo kłopotów. W parę miesięcy później trzeba było stację usunąć z powodu rewizyj, jakie odbyły się na Żórawiej.

Stację odbiorczą przeniosłyśmy wtedy do lokalu Ligi Kobiet, która najchętniej przyszła nam z pomocą, mimo, że poczta narażała organizację wobec okupantów. Co więcej, p. Jadwiga Marcinowska, ówczesna przewodnicząca Ligi zainicjowała i rozesłała okólnik, zalecający współpracę z naszą pocztą kołom prowincjonalnym. Stacja odbiorcza korzystała z gościnności i pomocy Ligi przez parę miesięcy, aż póki, z powodu stałych wizyt policji niemieckiej, dopytu-

jącej się wciąż o pocztę, nie uległa zupełnej likwidacji. Od tej chwili istniała ona tylko w „stanie lotnym" i pocztarki zgłaszały się same po odpowiedzi na listy, które doręczały. Był to już jednak okres końcowy.

Równocześnie z organizowaniem poczty na terenie Warszawy, przystąpiłyśmy do budowania „sieci pocztowej". Miało to na celu dostarczenie nam listów z prowincji i, co ważniejsze, zapewnić miało przyjmowanym przez nas listom w stacji odbiorczej — pewne drogi wysyłkowe. Trzeba było więc przedsiębrać kilka podróży. Punkty wytyczne były: Piotrków i Radom, jako stacje węzłowe dla okupacji austrjackiej, Łomża z drogą ku Wilnu i może ku Rosji, — oraz Kraków, który przy pomocy N. K. N-u mógł nam dać możność wysyłania listów zagranicę. Chodziło tu głównie o Rosję, ponieważ prawie każda rodzina posiadała wówczas na wschodzie swych bliższych lub dalszych „bieżeńców". Tej drogi klijentela nasza domagała się stale.

Do Piotrkowa i Krakowa wyjechałam we wrześniu. W Piotrkowie zatrzymałam się u p. p. Nakoniecznych, jednako jak za dawniejszych czasów, dobrze usposobionych dla naszej sprawy. Kol. Strzelecka, do której zwróciłam się z prośbą o utworzenie stacji węzłowej, zgodziła się bardzo chętnie i przez cały czas istnienia naszej poczty pracowała, jak mogła w swoim zakresie. Do obowiązków jej należało, m. in. przyklejanie znaczków na listach, przysyłanych z Warszawy i wyprawianie poczty normalną drogą na teren okupacji austrjackiej.

W Krakowie skierowano mnie do p. Leona Wasilewskiego, który chętnie przyobiecał swoją pomoc i upoważnił mnie do przysyłania na jego ręce listów zagranicznych, jakie przyjmie nasza poczta. Miały one być wysyłane pocztą N. K. N-u i dalej przez Komitet Polski w Szwajcarji.

Radom zorganizowała Fanka. Pozostała więc ostatnia podróż — do Łomży. Jako pochodząca stamtąd i znająca stosunki, wzięłam to na siebie. Była to jednak, jeśli nie najgorsza, to przynajmniej jedna z najgorszych moich podróży. Kolej nie funkcjonowała, jechałam więc wielką żydowską „karetą", zamknięta w niej na półtorej doby razem z arogancko zachowującymi się żydami. Byłam do pewnego stopnia zdana na ich łaskę, co też dawano mi odczuć. Zatrzymywali się bowiem wśród nocy w ohydnych karczmach, gdzie z całym spokojem uprawiali swe parogodzinne „geszefciarskie" pogadanki.

Do Łomży przyjechałam o wpół do piątej nad ranem. Trochę przestraszona tak niebywale wczesną godziną, tłukłam się samotnie po ciemnem mieście, trzymając w ręku swój „passierschein", na wypa-

dek, jeśliby któryś z patrolujących żołnierzy niemieckich robił mi kwestję, co do mej obecności na ulicy w niedozwolonym czasie. Dość długo stukałam napróżno do drzwi swych krewniaków, aż wreszcie ostatnie drzwi — mego stryja — otworzyły się przede mną.

Pocztowe sprawy nie przedstawiały się jednak najgorzej. Zebrane na naradę koleżanki: J. Grzymkowska, M. Nowacka i J. Cabertówna niewiele wprawdzie miały nadziei, aby można było wysyłać nasze listy do Rosji, rade jednak były z nawiązanej łączności z nami i obiecywały zrobić, co tylko będą w stanie.

Poczta nasza w swem pierwszem stadjum stanowiła jednostkę zupełnie samodzielną. Łączność z Komendą P. O. W. utrzymywała tylko Fanka. Prowadziła ona z całą drobiazgowością książkę kasową i jako kasjerka przelewała nasze dochody do Kasy Głównej P. O. W.

Wiosna sprowadziła zmianę zasadniczą. Istniała już wówczas dobrze prosperująca poczta organizacyjna, której komendę objął ob. Ildefons (Witold Gołębiowski). Niedługo później — specjalnym rozkazem Komendy — weszłyśmy w skład Komendy Poczt i otrzymałyśmy nazwę: „Poczta Listów Prywatnych". Mnie zaś uhonorowano godnością komendantki. Od tej chwili dochody nasze oddawane były kasie pocztowej.

Skala pobieranych przez nas opłat, aczkolwiek wyższa od normalnej, nie była jednak duża. Za odniesienie oraz wysyłkę listu na front pobierałyśmy 10 kop. Listy zaś wysyłane przez osoby prywatne, niezwiązane z Legjonami, oceniane były od 20 — do 30 kop., zależnie od odległości. Były jednak pewne odchylenia od ogólnej normy, np. ustępstwa na rzecz niezamożnych, oraz ewentualne naddatki sympatyków. Suma ogólna zysków pracy pocztowej po potrąceniu wydatków podróży i pokryciu rachunku znaczków węzłowych stacyj w Piotrkowie i Radomiu t. j. czysty zysk wyniósł **rb. 1.300** (po przerachowaniu waluty niemieckiej i austrjackiej według ówczesnego kursu). Suma ta wyglądać będzie dość pokaźnie, jeśli weźmiemy pod uwagę dość niewielką stosunkowo dewaluację rubla. Przez czas trwania poczty t. j. przez niecały rok wysłałyśmy prawie **4.000** listów, a nierównie więcej zaniosły ich nasze niezmordowane pocztarki na różne dzielnice Warszawy.

Aczkolwiek dumna jestem bardzo, żeśmy mogły zarobione przez nas pieniądze złożyć do dyspozycji Komendy Naczelnej, stwierdzić jednak muszę, że właściwym celem naszej pracy nie były pieniądze.

Stanisława Waroczewska (Ewa), jedna z najwybitniejszych członkiń P. O. W., Komendantka sekcji listonoszy. Kurjerka Szt. Nacz. Dow. Instruktorka oświatowa.
Zmarła w 1920 r.

Chodziło nam głównie, aby przynieść pociechę chłopcom walczącym na froncie i tęskniącym do nich rodzinom, chodziło też o pokazanie Niemcom, że jesteśmy w stanie bronić swoich praw obywatelskich. Poczta nasza mimo całej zaciekłości, z jaką poszukiwali jej okupanci, ostała się prawie do samego końca, t. j. do czasu, gdy była już zbyteczna, bo Niemcy znieśli ograniczenia, dotyczące korespondencji. W sierpniu 1916 roku dostałam ostatnie pokwitowanie od ob. Ildefonsa na wpłaconą przeze mnie sumę.

Na zakończenie powiedzieć muszę kilka słów o „personelu" naszego prowizorycznego „Ministerstwa Poczty".

Główną sprężyną pracy wykonawczej była Ewa. Ona to zebrała i zorganizowała sekcję listonoszów. Ona zaprowadziła wszystkie książki pocztowe, t. j. książki doręczeń i książkę kontroli wysyłanych przez nas listów. Ona dawała instrukcje i nie szczędziła słów otuchy zakłopotanym często koleżankom i starała się rozwikłać razem z niemi piętrzące się wciąż trudności. Dostarczało ich stale nasze obojętne, jeśli nie wrogie społeczeństwo, a zwłaszcza ci, którzy otrzymywali listy za pośrednictwem Departamentu Wojskowego, lub rodzice, rozżaleni na synów, zbiegłych cichaczem do Legjonów. Pamiętam nasze długie z Ewą narady, dla których odrywałam ją najczęściej od pracy zarobkowej lub obiadu. Nie niecierpliwiła się jednak nigdy. Zawsze jednako miła i pogodna, głowiła się wraz ze mną, jakby oszczędzić przykrości naszym pocztarkom, jak mają doręczać smutne wieści o stratach i jak trafić do adresatów, których nazwiska były nieczytelne.

Grupa pocztarek była dość liczna. Listy roznosiło około 20 koleżanek. Wszystkie one przeważnie pracowały zarobkowo i sprawowały funkcje listonoszy głównie po południu, oddając tej pracy przeznaczone do wypoczynku chwile. Robiły to jednak chętnie z prawdziwie peowiackiem oddaniem się sprawie i z radością, że są użyteczne. Nazwiska ich według jednego z raportów Ewy brzmią: Irena Kuhnke (Danka), Hena Gałądykówna, Wiga Chodowiecka, Jaga Weinkranzówna, J. Kamińska (Jędza), Z. Brzoskówna, Z. Budzińska, W. Wołkówna (Litwinka), J. Wróblewska, W. Gertzówna, J. Zakrzewska oraz nieznane mi pseudonimy Ola, Rela, Żaba, Władka i Podhalanka. Niech mi te koleżanki wybaczą oraz inne, których nazwisk nie potrafiłam się dowiedzieć.

Zofja Budzińska.

ZE WSPOMNIEŃ LISTONOSZA.

Było to w początku listopada 1915 r. Mieszkałam wówczas na Tamce wraz z kuzynką, zwaną na terenie organizacji „Martą". Ona to przyłożywszy czynnie rękę, a bodaj, czy nie zorganizowawszy pocztę, powiadomiła mnie o nowej pracy i o zapotrzebowaniu na pocztarki. Zgłosiłam się więc odrazu na Nowogrodzką do Ewy i tam otrzymałam instrukcje. Było to tak: Warszawa podzielona została na rejony. Każda z pocztarek otrzymywała swój rejon, bliski miejsca jej zamieszkania, i paczkę listów. Listy te roznosiło się, mając pobierać zasadniczo 10 kop. opłaty za odniesienie. Wyjątki czyniło się dla bardzo biednych lub tych, którym przynosiło się smutne wieści o zgonie lub ranach ich ukochanych, walczących na froncie, lub wziętych do niewoli, ewentualnie zaginionych. Pozostawione to było zresztą do uznania i wyczucia samych roznoszących. Książki odbiorczej z wiadomych powodów nie było i być nie mogło. My same tylko miałyśmy prowadzić kajety kontroli, które jednak zarówno, jak i same listy musiały być skrzętnie schowane. Co pewien czas składało się raporty Ewie: jej oddawało się uzbierane pieniądze.

To było właściwie wszystko. Parę godzin „latania" po mieście z piętra na piętro, z pięknych marmurowych schodów do suteryn wyrobniczych.

Idąc z pierwszą otrzymaną paczką listów, myślałam sobie wesoło o roli listonosza, a pobieranie 10 kop. za odniesienie było jedyną myślą, nadgryzającą pocichu moje wewnętrzne uczucie zadowolenia. Próżno tłumaczyłam sobie, że to dla „sprawy" i przypominałam dodające otuchy słowa Ewy. Naturalnie, miała rację. A jednak jakżeż tu powiedzieć nieznanym obcym ludziom: — „Należy się 10 kop. za odniesienie". „Należy się? — Komu?" „Mnie?". Jeśli to będą ludzie „nasi", to się im powie, oczywiście, ale jeżeli to będą zwykli śmiertelnicy? Sprawa poszła jednak nadspodziewanie łatwo i pomyślnie. Przynajmniej z pierwszym listem. A to było najważniejsze, bo dodało mi odwagi do dalszych moich odnoszeń.

Wdrapałam się, pamiętam, na czwarte piętro pięknej i czystej kamienicy. List przygotowałam. Dzwonię. Otwiera jakaś panieneczka. Pyta — ja wyciągam rękę z listem. I odrazu okrzyk, „Mamo, ma-

mo — to od Janka!" Z różnych drzwi, wiodących do przedpokoju, wypada parę osób. Wydzierają sobie list. Ktoś prosi mnie do pokoju, prowadzi niemal przemocą. Radość napełnia cały dom. Boże, jak długo, jak strasznie długo nie było znaku życia! List przechodzi z rąk do rąk. Zdrowy, cały! Cała wdzięczność za tę boską opiekę nad ich drogim chłopakiem spada na mnie. Jakże dziękują! Moje nieśmiałe słowa o 10 kop. za list znajdują niesłychany odzew. 10 kop! O Boże! ależ oni by dali Bóg wie co za taką wiadomość. Mówię im, jaką drogą można przesłać odpowiedź. Dostaję 10 kop., pudło papierosów dla „naszych chłopców" i najgorętsze słowa podzięki. Wychodzę z ciepłem uczuciem w sercu.

Nie zawsze jednak odbywało się to tak gładko i miło. Ot, pamiętam, jak na Pańskiej ulicy, odnosząc jakiś list — na pewno nie od „naszych chłopców", byłam ciekawie i chłodno indagowana o drogę, jaką list ten dostał się w moje ręce. Żydowski „businessman", grzecznie zaprosiwszy do pokoju, wypytywał mnie uporczywie: „Jakto? to dla panienki te 10 kop. A gdzie pokwitowanie odbiorcy? Niema książki — rewersału?" (Przyznaję, że pierwszy raz wtedy usłyszałam to dziwne słowo). „I od kogo panienka ten list dostała?" „Wszystko jedno?" „No, może nie"... „Jak dla kogo, co?" No, on wie, że są takie różne rzeczy, o których się nie mówi. „Ale 10 kop?" „To nie jest pieniądz!" — „Ale panienka też nie jest listonosz", i pewno lepiej, żeby naprzykład policja nie wiedziała o tem, co?"

Nie było to przyjemne. Wyszłam, oczywiście, bez 10 kop. z poczuciem bezsilnej złości i niepokoju. Bardzo rzadko używane epitety przychodziły mi na myśl w niezwykłej obfitości. Ach! żeby tak być nie dziewczyną a chłopcem i mieć silne ręce i dobry rozmach!

Nosiłam te listy przez listopad, grudzień i styczeń. Byłam świadkiem radości i smutku, łez i milczącej, a strasznej rozpaczy. Mówiłam niezdarne słowa pociechy, tak blado, tak bardzo nikle brzmiące, przy tak prostem i tak zwykłem podówczas zdarzeniu, jak śmierć.

A przecież jedna przygoda z moich dziejów listonosza wryła mi się głęboko w pamięć. Był to ostatni list z rozniesionych tego dnia, na ulicę dawniej Włodzimierską — dziś Czackiego. Przed domem tym szeroką miotłą odmiatał śnieg dozorca domu. On to zapytał mnie, przyglądającej się spisowi lokatorów — „A to do kogo, panienko?" Wymieniłam nazwisko. Stróż spojrzał na mnie, odstawił miotłę i powiedział. „To niby do mnie — „A z czem to?" — „Jest list" szepnęłam. Wprowadził mnie do stróżówki. — „Matka, jest list" powiedział. Jakaś mała kobietka otarła pośpiesznie stołek fartuchem. Podałam im kopertę niezdarnie adresowaną. „A możeby tak panienka przeczytała? bo ja — i owszem piśmienny — ale, że to człek niezwy-

czajny pisanego..." — Patrzyli na mnie z prośbą. Zaczęłam czytać. Ot, zwykły list, zaczynający się, jak tysiące innych: „W pierwszych słowach mojego listu, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus..." I potem słowo po słowie, jak to tam jest temu podpisanemu pod listem Frankowi w Legjonach. — Jak to on wędruje światami, jak kule go mijają i jako całuje ojcu, matce ręce, a więcej to nie pisze i kłania się Janowi, ciotce Marceli i jakimś tam innym krewnym.

Czytałam, a oni stali, słuchając. Matka od czasu do czasu pociągała nosem i ocierała oczy fartuchem. Ojciec kiwał przytakująco głową. Gdy skończyłam i wyciągnęłam ku nim złożoną wpół ćwiartkę papieru, ojciec odezwał się:

„A bo to widzi panienka, ten Franek, ten niby, co tu pisze ten list, to już ostatni... A Józiek i Stasiek — to już w ziemi. Zara z początku. I nawet niewiadomo gdzie. Matka to ta wypłakuje oczy, a ja jej mówię — co tam! Zawszeć my się doczekali, że pod „Dziadkiem" — a nie pod ruskim nasze chłopcy padli. — To i temu, najmłodszemu, nie broniłem iść".

Niedługo potem jakoś oddałam Ewie swoją książkę doręczeń i wyjechałam na wieś, na nauczycielstwo. Trzeba było porzucić Warszawę. W ciszy dalekiej wsi przypominały mi się różne chwile z mej pracy. I nieraz, widząc żołnierskie mogiłki na przydrożach, myślałam sobie o tych stróżowskich synach, co to leżą niewiadomo gdzie — ale przecie za polską sprawę.

Halina Ciąglińska.

SŁUŻBA ORDYNANSOWA W KOMENDZIE P. O. W.

Na wiosnę 1916 roku zostałam odkomenderowana przez ob. Brzeską, ówczesną komendantkę Oddziału Żeńskiego, jako „ordynans służbowy" do biura Komendy I Okręgu P. O. W., obejmującego wówczas Warszawę oraz bliższe i dalsze jej okolice. Komendantem I Okr. był ob. Wojsznar-Opieliński [1]) znany nam wszystkim, jako „Zdanowicz".

Niedawno odwołany z frontu, porucznik I Brygady, znany z brawurowego wypadu za Nidę w czasach walk pozycyjnych wiosną 1915 roku, ob. Zdanowicz z całym żywiołowym pędem zabrał się do pracy nad powierzoną sobie organizacją. Wkładał w nią całą duszę i cały swój czas; tego samego więc żądał od podkomendnych, a zwłaszcza od najbliższego otoczenia.

Biuro Komendy mieściło się w oficynie dużej kamienicy w Alejach Ujazdowskich. Mały pokoik i kuchnia umeblowane były sprzętami, zdobytemi w koszarach żandarmerji rosyjskiej. Mieszkała tu i urzędowała, jako sekretarka, niezapomniana Okrzejowa, oddana sprawie bez zastrzeżeń, bez najmniejszej myśli o sobie. Pamiętam ją dobrze, jak, pochylona nad stolikiem, drukowała cierpliwie rozkazy i listy na maleńkiej dziecinnej drukarni.

Ob. Opieliński przychodził do biura codziennie na kilka godzin i przyjmował interesantów. Obok młodych chłopców z prowincji, cierpliwie oczekujących na swą kolej, a częstokroć na energiczną porcję wymówek za jakieś niedokładności w robocie, przewijali się przez biuro także znani działacze niepodległościowi, a zwłaszcza kierownicy stronnictw robotniczych, organizujących szkoły wojskowe na terenie swych partyj.

Gdy wszystkie sprawy w biurze już załatwiono, ob. Opieliński wręczał mi paczkę listów wraz z odpowiedniemi instrukcjami. Praca

[1]) Por. Jan Wojsznar-Opieliński zmarł w Lublinie w listopadzie 1918 r.

moja polegała z początku na całodziennem bieganiu po mieście, wyszukiwaniu najrozmaitszych ludzi, trafianiu do ich mieszkań bez zwracania niczyjej uwagi. Do obowiązków należało również ostrożne nawiązywanie łączności z oficerami przyjeżdżającymi z Brygady. Ob. Opieliński, uważając, że mój wygląd „solidny" nie może budzić niczyjego podejrzenia, wysyłał mnie również do „zasypanych mieszkań", w których odbyła się rewizja i trzeba było porozumieć się z rodziną aresztowanego, lub usunąć papiery kompromitujące a niezauważone przez policję niemiecką.

Policja niemiecka nie znała jeszcze naszych metod konspiracyjnych, a ich szpiedzy w porównaniu z rosyjskimi „szpiclami" byli zupełnie nieudolni. Pomimo to jednak urzędowanie nasze zwróciło uwagę „Feldpolizei". Pewnego dnia zawitał do naszego biura jakiś dobroduszny rzemieślnik, bardzo naiwnie dopytujący się o remont mieszkania. Ponieważ cukiernia, znajdująca się naprzeciwko naszego mieszkania, mogła być dla Niemców świetnym punktem obserwacyjnym, postanowiliśmy więc usunąć wszystkie dokumenty z naszego lokalu. Okrzejowa, której charakterystyczna sylwetka tak łatwa była do zauważenia i zapamiętania, wyprowadziła się i dostała rozkaz usunięcia się od roboty na czas pewien. Mnie polecono „ucharakteryzować" się inaczej i objąć jej dotychczasowe funkcje, t. j. być sekretarką i ordynansem w jednej osobie. Miałam więc odtąd pracy znacznie więcej.

W ciągu 1916 roku organizacja nasza rozrastała się liczebnie w szybkiem tempie. Roboty przybywało. Trzeba było rzucić uniwersytet i wszystkie zajęcia uboczne. Personel biura oczywiście musiał się również powiększyć. Przy ob. Opielińskim stale urzędował adjutant, a po mieście biegał ob. Iskra[1]), roznosząc listy i rozkazy.

W końcu 1916 roku organizacja była już tak liczna, że zaszła potrzeba podziału Komendy I Okręgu na dwie komendy: Komendę I Okręgu (Warszawa) i Komendę Okręgu I-A (Pułtusk), te dwie zaś komendy łącznie stanowiły t. zw. Komendę Grupy „A", której komendantem był ob. Opieliński.

Odpowiednio powiększyła się też nasza kancelarja. Maszyna do pisania terkotała stale, z dużem poświęceniem pisała na niej ob. Konówna[2]), drżąc z zimna w słabo opalonym pokoju. Kiedy rozchorowała się, zastąpiła ją w pracy ob. Chanecka (Bemówna).

Jednym z ważniejszych działów pomocniczych w pracy P. O. W. był kolportaż nielegalnych wydawnictw wojskowych i niepodległo-

[1]) Józef Iskra-Hnatkiewicz poległ w 1919 r. w walce z bolszewikami.
[1]) Zmarła na gruźlicę w Otwocku.

ściowych. Czynna tu była Hanka Skowrońska (Tarłówna), która prowadziła t. zw. biuro ekspedycji początkowo przy Komendzie I Okręgu, następnie przy Komendzie Grupy A. Ona to utrzymywała kontakt z organizacjami politycznemi, skąd otrzymywała bibułę, przeznaczoną dla różnych środowisk, a więc ludową, robotniczą, inteligencką.

Oprócz pism kolportowane były także wydawnictwa „luksusowe", t. j. książki ilustrowane, opisujące walki Legjonów, zbiory pieśni legjonowych oraz odznaki, orzełki i t. p. Te ostatnie wydawnictwa przynosiły nieznaczny dochód, ale bibuła wszystko to zjadała i nieraz ob. Kuhnke [1]) — skarbnik — trząsł głową ze zgorszeniem, że ekspedycja pochłania tyle pieniędzy. Ob. Tarłównie kolejno pomagały w pracy: H. Pawłowiczówna, Pola Munkówna, W. Pillichowa oraz skaut Jurgielewicz.

W listopadzie 1916 roku ogłoszona przez Niemców niepodległość i związane z tem nadzieje pchnięcia na inne tory sprawy armji polskiej dodały mocniejszego bodźca naszej pracy. Ćwiczenia odbywały się prawie jawnie. Do Warszawy przyjechał Komendant Piłsudski i powstała Tymczasowa Rada Stanu. Wtedy to ob. Opieliński zorganizował wielkie manewry P. O. W., na które przybył Komendant Piłsudski i komendant naczelny P. O. W., ob. Kasprzycki.

Wtedy to P. O. W. stało się poważnym atutem w rękach Komendanta. Losy organizacji ważyły się na szali. Mobilizacja P. O. W. stała się rzeczą zdecydowaną. Opracowanie i wydrukowanie rozkazów mobilizacyjnych, to była ostatnia praca, jaką podjęło biuro Komendy Grupy A. W ostatniej chwili mobilizacja została cofnięta. Legalne stowarzyszenie gimnastyczne „Piechur" objęło gmach przy ul. Hożej 51. Pewnego dnia, idąc do lokalu „Piechura" na zwykłe swe urzędowanie, zostałam zatrzymana na rogu ulicy przez ob. Brzeską. W „Piechurze" była rewizja. Szereg ludzi aresztowano, innym odebrano paszporty, zmuszając do codziennego meldowania się w biurze „Feldpolizei".

Wkrótce też odbyła się rewizja u Tarłówny, która jednak szczęśliwie uniknęła aresztowania.

Represje wzmogły się. Niemcy po aresztowaniu Komendanta Piłsudskiego wszelkiemi sposobami starali się znaleźć por. Opielińskiego. Wobec groźnej sytuacji organizacja zakonspirowała się jak najściślej i zeszła do podziemi, aby tam przygotowywać się do walki, a w społeczeństwie stanowić czynnik siły i odwagi przeciwstawiającej się mocno obcym bezprawiom.

[1]) Ob. Maciej Tadeusz Kuhnke zmarł w Warszawie jesienią 1928 roku.

Hanna Grodecka (Maryna Żarska).

POCZTA ORGANIZACYJNA.

W końcu 1915 roku sprawne przesyłanie rozkazów organizacyjnych, oraz wszelkiej bibuły nielegalnej, wobec wprowadzonych przez władze okupacyjne ograniczeń oraz cenzury pocztowej, stało się dla całego obozu niepodległościowego zagadnieniem wielkiej wagi.

Rewizje na dworcach i pociągach oraz możliwość przerwy w ruchu kolejowym, czyto z racji zarządzeń okupantów, czy też ewentualnych strajków, wytworzyły konieczność zorganizowania specjalnej służby łączności.

Komenda Naczelna P. O. W. zdecydowała się więc uruchomić pocztę etapową do użytku wszystkich organizacyj niepodległościowych. Związane z tem prace organizacyjne i prowadzenie techniki pocztowej powierzono Oddziałowi Żeńskiemu P. O. W.

Komendę Poczty objęła kol. Mierczyńska (Marja Korniłowiczówna) następnie przejął ją ob. Adam Skwarczyński (Stary) po nim zaś ob. Ildefons (Witold Gołębiowski).

Sieć pocztową, ogarniającą teren Komendy Naczelnej P. O. W. Nr. I t. j. teren Królestwa Polskiego, oparto o komendy okręgowe P. O. W., komendy poszczególnych obwodów i stosunki wśród sympatyków ideowych.

W Warszawie, miejscu stałego pobytu naczelnych władz P. O. W. oraz stronnictw niepodległościowych — najwięcej pracy wymagała wysyłka. Utworzono więc stację pocztową „Warszawa", przekazując jej całą pracę nadawczą. Ściśle poufne szyfrowane rozkazy przewozili kurjerzy „Komendy Poczt" — reszta szła etapami.

W Warszawie poszczególne organizacje dostarczały przesyłki na punkt zborny, możliwie najbardziej odpowiadający warunkom konspiracji. Przesyłki te w oznaczonej porze zabierały koleżanki, przydzielone do pracy pocztowej i przenosiły do lokalu stacji.

Przez cały czas trwania poczty takim punktem zbornym w Warszawie była księgarnia p. Marji Kuhnke. Z jej to ruchliwego sklepu na rogu ul. Hożej i Marszałkowskiej dzień w dzień wynoszono dziesiątki eleganckich ruloników, paczuszek, pak i paczek oraz stosy kopert. Koleżanki: Walda (Kazimierska), Bronka Żuławska i Ela Wolfkowiczówna nieraz przybywały do lokalu stacji obładowane

bardzo ryzykownie. A ileż to ofiarności, cierpliwości i wyrozumienia okazywała wtedy pani Kuhnke!

Stacja pocztowa w Warszawie wielokrotnie i z różnych względów zmieniała swój lokal i pracowników — natomiast nie zmieniał się prawie pocztowy klucz organizacyjny, według którego adresowano przesyłki.

Las nazwisk. Po tylu latach wystarczy posłyszeć któreś z nich, aby w oczach stanęły dawne „pocztowe" czasy. Jedne z tych nazwisk oznaczały nadawcę, inne adresata: liczby rzymskie, odpowiadające numerom okręgów P. O. W., wskazywały kierunek. Każda stacja pocztowa również nosiła swe miano. Nie wszystko przechowało się w pamięci — ale zawsze wiem np., że Knobloch — znaczyło: Komenda Naczelna P. O. W., Cikoński — C. K. N., Popowski — P. P. S., Woźnicki — Stronnictwo Ludowe, Kozietulski — Komenda Okręgu, Szyszłowski — komenda obwodu i t. d. i t. d.

Wszystkie tajemnicze paczki, wynoszone z księgarni, miały na sobie szeregi takich zagadkowych nazwisk, które następnie stacja pocztowa wpisywała w rubryki recepisów. Ile paczek i kopert — tyle recepisów. Szły w świat etapami od stacji do stacji, jak się dało— pieszo, końmi, koleją. Po drodze recepisy otrzymywały notatki, kiedy i dokąd przybyły, kiedy zostały wysłane dalej i wreszcie kiedy dotarły do celu. Recepis zasadniczo powinien był wrócić do stacji nadawczej jako oczywisty dowód doręczenia. Na podstawie zwróconego recepisu wolno było dopiero zaznaczyć w księdze (regestr posyłek), iż posyłkę doręczono, można było wówczas określić czas trwania drogi oraz sprawność poczty na danym odcinku. Mimo, iż nie wszystkie z tych karteluszków wracały i nieraz trzeba było polegać na ustnych wiadomościach, jednak na naszej stacji warszawskiej wszystkie szuflady pełne były recepisowych grzbietów i wiązek recepisów zwróconych.

Trudno dziś odnaleźć wiadomości i dane o pracach i istnieniu poszczególnych stacyj pocztowych. Wśród dokumentów archiwalnych udało mi się jedynie odnaleźć, że komendantką poczty w Kielcach w lipcu 1916 roku była ob. Sławska, a komendantką stacji w I Obwodzie Vb okręgu (Zagłębie Dąbrowskie) była ob. Celina. Niewiast zajętych na poczcie był jednak „legjon", a najdobitniej świadczy o tem tekst instrukcji, nakazującej komendantom poczty w poszczególnych okręgach P. O. W. wyznaczanie jako swego zastępcy niewiasty, aby... na wypadek wsypy dała sobie radę z zakonspirowaniem dalszej pracy, utrzymaniem jej ciągłości i sprawności.

Jak zwykle, miernikiem wysiłku musi zostać Warszawa.

Pamiętam lokal Komendy Poczty przy ul. Wielkiej w mieszkaniu Boruty (Zofji Janiszewskiej), gdzie praca trwała często do późnej nocy, a dokąd zachodziłam jako nadawca (prowadziłam wówczas z ramienia P. O. W. t. zw. biuro bibuły). Komendantem poczty był wtedy ob. Ildefons (Witold Gołębiowski). Wskutek nawału pracy nastąpił podział poczty na centralę i stację warszawską.

Po wyjeździe Boruty stację warszawską objęła Zofja Kurkiewiczówna, prowadząc ją do 15 maja 1916 roku w swem mieszkaniu przy ul. Marszałkowskiej. W tym to czasie zostałam komendantką stacji warszawskiej. Do połowy lipca funkcjonowała ona przy ulicy Górnej 8, potem przeniosła się na ulicę Widok 23 do pokoju Eli Wolfkowiczówny, pełniącej wówczas zastępczo obowiązki komendantki, później czas jakiś istniała w mieszkaniu pp. Polińskich przy zbiegu ulic Kruczej i Wspólnej, następnie na Bednarskiej 23 w mieszkaniu Jagi (Weinkrancówny) a wreszcie u pp. Dembowskich na Marszałkowskiej 1. Stamtąd przeniesiono ją na Warecką 10 do t. zw. mieszkania Okrzejowej. Przenosinom tym towarzyszyły zmiany personalne i organizacyjne. Od dnia 11.XI 1916 roku zniesiono pocztę etapową, uskuteczniając wysyłkę trzy razy na miesiąc przez specjalnych kurjerów, co pociągnęło za sobą znaczną podwyżkę kosztów. Podobnie działo się w Komendzie Poczt, która, rozwijając stopniowo sprawność sieci pocztowej, walczyła z mnóstwem nieuchwytnych nieraz trudności.

W biurze Komendy Poczt, t. j. Centrali pracowała wówczas ob. Bogna (Rokicka) — (w jej właśnie mieszkaniu istniało biuro) oraz ob. Krystyna (Minkiewiczowa). W tym składzie (ob. Ildefons, ob. Krystyna, ob. Bogna, ob. Karny[1]), ob. Gordon) Komenda Poczt przetrwała do sierpnia 1916 roku. W sierpniu wyznaczony został ob. Lambert i wreszcie po paru miesiącach ob. Sewer (St. Kirtyklis).

Pamiętam te biura stacyjne od ulicy Górnej do Wareckiej, gdzie nastąpiła „generalna wsypa". Pamiętam wiele momentów natężonej a radosnej pracy, która zdawała się łatwą i miłą zabawą, chociaż w samej rzeczy groziła więzieniem lub wysłaniem do obozu.

Najmniej odpowiednim lokalem pocztowym było mieszkanie na ulicy Górnej, znane dobrze niepodległościowej Warszawie. W tym czasie, w moim pokoiku istniało wspomniane już biuro bibuły, ale ponieważ stacja nie miała się gdzie podziać, trzeba było obie te sprawy zmieścić pod jednym dachem. Do wsypy na szczęście nie doszło, tylko my, domownicy i koleżanki z sekcji pocztowej, rado-

[1]) Ob. Karny — por. Józef Rokicki poległ 6.VIII.1920 w walkach z bolszewikami.

waliśmy duszę widokiem dwóch otoman wypchanych bibułą, stosem półtorametrowej wysokości tejże, złożonej pod piecem oraz masą ukrytych „dokumentów pocztowych". Lokal ten eksploatowałam w ten sposób, że od rana do godziny czwartej ściągałam doń transporty świeżej bibuły, którą następnie pakowałam według rozdzielnika w paczki, poczem zjawiały się objuczone Bronka i Walda i wtedy zaczynało się pisanie, które trwało nieraz do drugiej w nocy. Krótki sen na bibułowej kanapie — i o 7 rano przybywali dwaj skauci. Kto i skąd ich wydobył, nie wiem. Przychodzili z plecakami, otrzymywali należne za drogę pieniądze (trzy kopiejki za jeden kilometr w obie strony) podpisywali przygotowane z wieczora kwity, zabierali transport i szli w świat. Do Pass, do Radzymina, do Skierniewic, Grodziska, Mińska Mazowieckiego. Były to odcinki traktów na Kalisz, Siedlce, Łódź i Kielce. Chłopcy ci różnych używali forteli w czasie mijania rogatek i pertraktacyj z „wachą". Jakoś im szło.

Zostawały jeszcze inne szlaki — Radom, Lublin, Piotrków. Ze zniesieniem poczty etapowej wydano rozkaz, że każdy członek P. O. W. musi wykonać przepisane prace pocztowe, od wypełnienia tego rozkazu uzależniała komenda wszelkie awanse. Dlatego też oprócz nas, stałych pracowniczek, roiło się od chłopców peowiaków, z których każdy na rozkaz i w dążeniu do szarży dopraszał się roboty. Plecaki były wówczas przeżytkiem. Z Bednarskiej ruszały często „dryndy" z paczkami — na Radom via Wola Biejkowska. Był to wymarzony przez tych utrapieńców szlak. Nęcił ich przemiły i oddany sprawie dom pp. Sokołowskich.

Jeszcze inaczej działo się na linji Warszawa — Piotrków — Lublin. Dwa razy na tydzień, obładowany czterema, zdaje się, plecakami (na piersiach, plecach, na głowie i w ręku) zjeżdżał do pani Jastrzębowskiej (matki naszej Okrzejowej) na Smolną 23 kurjer departamentowy z Piotrkowa. Dla nas był to poprostu Gieniek Nowosielski. Jak tłumaczyłby się w Dep. Wojsk. za te kontrabandy, stanowiące częstokroć trzy czwarte całego transportu — trudno przewidzieć. Całe nakłady Polski Ludowej i Sprawy Polskiej, drukowane w Lublinie, przywoził ten chłopak, jednocześnie zasilając rozkazami, biuletynami i komunikatami łakomy tej strawy Lublin i wrogi, bo nastrojony „departamentowo" — Piotrków.

W tym czasie zmieniły się warunki pracy. Wiosna i lato 1917 roku przyniosły szereg wsyp. „Wpadł" lokal przy ulicy Wareckiej, Okrzejowa przemykała się w Lubelskie, Zofja Czajkowska, Wanda Denhof-Czarnocka i inne, zahaczone przez Niemców — meldowały się codziennie w „Polizei Präsidium" dopóty, aż je uwięziono i wywieziono do Sieradza. Mnie jakoś nie ruszyli. Mimowoli tylko przysłu-

żyłam się niefortunnie dobranym pseudonimem p. Marji Żarskiej. Zabrane na Wareckiej recepisy naprowadziły Niemców na pomysł wyszukania osoby noszącej nazwisko „Żarska" a imię „Maryna". Aresztowali tedy p. M. Żarską, zaangażowaną w pracach Ligi Kobiet i nakłaniali ją, aby się przyznała, że to jej podpis widnieje na zbrodniczych recepisach.

W końcu 1917 roku emigracja P. O. W. do okupacji austrjackiej, wywołana aresztowaniami i prześladowaniami rozkonspirowanego „Piechura", wytworzyła konieczność częstej i pewnej komunikacji z Lublinem. Na żądanie Komendy Naczelnej lub Komendy Poczt Sekcja Pocztowa Oddziału Żeńskiego P. O. W. wysyłała kurjerki specjalne. Transport, zależnie od ważności dokumentów, uzupełniano bibułą. Bardzo często rozkaz wyjazdu zastawało się w mieszkaniu na parę godzin przed odejściem pociągu. Zdobycie przepustki kolejowej i zebranie manatków, pozorujących, podróż w „sprawach rodzinnych", co stereotypowo figurowało na każdej przepustce — było dziełem krótkich kwadransów.

Młode osoby, zaopatrzone w przybory toaletowe i beletrystykę, odsuwające wszelkie podejrzenia, z lekkiem sercem pomagały rewidować swe walizki, w których każda fałdka zawartości kryła dowody „zbrodni" przeciw okupantom. Podróże te odbywały się w dość trudnych warunkach. Na odcinku Warszawa — Lublin trzeba było przejść przez 4 a czasem 5 rewizyj. Prowadzony wówczas na wielką skalę „szmugiel" produktów spożywczych, przynoszący cenne zdobycze, wytwarzał dla naszej poczty sytuacje bardzo nieraz trudne, a czasem tylko zabawne. Opowiadanie o sposobach, jakich wówczas używali handlujący, były dla kurjerek szkołą sprytu. Ofiarą tych podróży padła w tym okresie Z. Warszawska, którą przyłapano na stacji Dęblin-austrjacki z wielkim kufrem „Rządu i Wojska". Przywieziona do Warszawy pod silną eskortą, skazana została na ciężkie więzienie, z którego wydobyły ją dopiero wypadki listopadowe 1918 roku.

Dni listopadowe zamknęły okres podziemnych zmagań, których uroku nie czuje dziś nowe, w wolności wychowane pokolenie. Poczta Polska jest jednym z najsprawniej działających aparatów — ale my, bezimienna gromada pocztarek, zawsze z rozrzewnieniem niepoprawnych romantyczek wspominamy naszą pocztę konspiracyjną.

Marja Gieysztor (Mirska).

KOMUNIKAT INFORMACYJNY.

W czasie trzyletniej okupacji niemieckiej (od sierpnia 1915 do listopada 1918) cenzura była tak ostra, tyle wiadomości było przeinaczonych lub wprost skreślonych przez Niemców, że społeczeństwo polskie, czytając gazety warszawskie, nie mogło się zorjentować w wielu rzeczach lub też tworzyło mylne sądy o wypadkach bieżących. Wynikła więc stąd konieczność informowania społeczeństwa drogą prasy konspiracyjnej. Zaczęły więc pojawiać się odezwy, ulotki, broszury oraz pisma stałe — tygodniowe jak „Rząd i Wojsko" oraz wychodzący mniej więcej dwa razy w tygodniu „Biuletyn", a następnie „Komunikat Informacyjny". Zawierały one krótkie, jakby telegraficzne, wiadomości polityczne, wieści z frontu zachodniego, z Rosji, z oddziałów legjonowych z działalności P. O. W. oraz stronnictw niepodległościowych i wreszcie wieści, zdobyte rozmaitemi drogami a tyczące się tajnych rozporządzeń władz okupacyjnych i t. p.

Biuletyn był wydawany przez Centralny Komitet Narodowy (C. K. N.) i wychodził od 18 lipca 1916 roku do 12 maja 1917. Redaktorami byli T. Szpotański i St. Thugutt.

Po wyjściu 100-u numerów wydawnictwo przeszło w ręce P. O. W. i pod zmienioną nazwą „Komunikat Informacyjny" było redagowane przez T. Święcickiego. Pierwszy numer Komunikatu wyszedł z datą 9.XI maja 1917 r. i do grudnia tegoż roku pisany był na hektografie. Takich numerów wyszło również 100. Następnie redakcję wydawnictwa objął Komitet.

Kierunek pisma pozostał jednak ten sam i pod tem samem hasłem, jak o tem pisze Redakcja w setnym numerze wydawnictwa: „Polska Niepodległa — sama przez siebie. Sejm i armja narodowa". Od 101-ego numeru Komunikat Informacyjny wychodził już jako druk.

Komitet redakcyjny zbierał materjały do pisma przy pomocy Hanny Łosiowej i Hanki Straszewiczówny. Chodziły one po materjały do „Wehrmachtu", do jakiegoś oficera - Czecha z armji austrjackiej, do A. Macieszy, Z. Chrzanowskiego, Badera i in., wreszcie do Redakcji „Kurjera Warszawskiego" i innych czasopism warszawskich, skąd otrzymywały różne wiadomości, artykuły lub nawet krótkie wzmianki, skreślone przez cenzurę niemiecką.

Obszernych wiadomości dostarczała w swych listach p. Helena Radlińska, okręgi prowincjonalne P. O. W. oraz tajni emisarjusze, wracający z Rosji lub z zagranicy.

Z tego materjału układał się numer. Czasami, gdy chodziło o pośpiech, Hanka Straszewiczówna przychodziła do mnie i razem układałyśmy Komunikat. Kiedy np. doszła wieść o przebiciu się w dniu 15.II 1918 r. przez front austrjacki oddziałów legjonowych i przejściu ich na Podole, wywołanem haniebnym traktatem pokojowym w Brześciu w dn. 11 lutego, Sokolnicki, który w tym czasie brał udział w komitecie redakcyjnym, wezwał natychmiast Hankę i podyktował jej tę wiadomość, polecając ułożyć i wydać numer jak najprędzej. Hanka przyszła wtedy do mnie, ułożyłyśmy numer same, potem ona dyktowała mi, a ja pisałam na maszynie. Numer ten wyszedł dla pośpiechu odbity na hektografie, jako dodatek nadzwyczajny. O tak ważnej, wprost emocjonującej wiadomości Warszawa dowiedziała się najpierw z Komunikatu.

Administracją i kolportażem wszelkich druków nielegalnych zajmowały się koleżanki z P. O. W. Administrację Komunikatu Informacyjnego objęłam z rozkazu Komendy w dn. 1 maja 1918 r. z rąk J. Kamińskiej (Jędzy), która od dłuższego czasu prowadziła tę robotę, ale po jakiejś wsypie musiała na pewien czas stać się niewidoczną.

Jako administratorka, miałam stały kontakt z drukarzem (żałuję, że nie znam jego nazwiska). Przychodził on do mnie wieczorami, przynosił korektę, którą robiłam najczęściej przy nim, a drukował pismo zapewne w nocy. Gdy numer był gotowy, przynoszono mi pismo na umówione miejsce; przez długi czas otrzymywałam je na Złotej u jakiejś zacnej właścicielki magazynu kapeluszy damskich. Tam odbywała się segregacja, wiązanie paczek i ekspedycja. Do pomocy miałam kilka dziewcząt z kursów wieczorowych p. Cecylji Walewskiej. One to za małą opłatą roznosiły komunikat po domach do stałych prenumeratorów. Były to: Zosia Bilińska, jakaś Kazia, Władzia, dwie Janki.... był nawet skaut, Przemko Zwierzyński, brat oficera legjonowego Sława Zwierzyńskiego [1]).

Gdy przypomnę sobie, jak umiejętnie to oni robili, podziwiać muszę ich odwagę, spryt i dar konspiracji. Następnie zjawiały się koleżanki, pracujące w poczcie peowiackiej i zabierały egzemplarze przeznaczone dla okręgów P. O. W. Z poczty zabierali paczki kurjerzy z prowincji, albo też peowiaczki, które pisma te woziły na sobie. Najbardziej ryzykowne było przewożenie bibuły z jednej oku-

[1]) Kpt. Sław Zwierzyński poległ w Legjonach 1915 r. w bitwie pod Kostjuchnówką.

pacji do drugiej, zwłaszcza przez Dęblin, gdzie się podlegało podwójnej rewizji: niemieckiej i austrjackiej. Pozostałe egzemplarze peowiaczki brały w komis i rozprzedawały je same lub z pomocą znajomych. Tą drogą zdobywało się dość dużo grosza i dzięki staraniom peowiaczek, mimo, że stałych prenumeratorów było niewielu, a okręgi P. O. W. nie zawsze były w możności płacenia — administracja prowadzona była w sposób samowystarczalny i subsydja, łożone na wydawnictwo, były zawsze skrupulatnie zwracane.

Nakład Komunikatu wynosił 1200 — 1300 egzemplarzy. Może to dziś wydaje się bardzo mało, ale wtedy, kiedy każdy egzemplarz trzeba było samym roznieść i sprzedać, to było jednak dużo.

Gdy czasami niesposób było wynająć lokalu zupełnie pewnego na ekspedycję pisma, a numer był gotowy — dostarczano mi cały nakład do domu, i tu odbywało się wiązanie i adresowanie paczek i kopert. Wtedy byłam już komendantką O. Ż. P. O. W., mnóstwo ludzi przewijało się u mnie przez cały dzień, a tu leżały stosy pism, które trzeba było za każdym dzwonkiem pośpiesznie chować gdzieś za piecem lub pod szafami w korytarzu. Dziwię się dotąd, że Niemcy nie nakryli tej roboty. Tłumaczę sobie tem, że tracili już wtedy głowę z powodu rozpaczliwego położenia na froncie zachodnim.

W sierpniu 1918 r. wydawnictwo Komunikatu Informacyjnego przejęło z rąk P. O. W. Wyzwolenie. Redaktorami wtedy zostali K. Bagiński i Al. Bogusławski, ja zaś otrzymałam rozkaz oddania administracji ob. Gutowskiej (Kazik z Lublina).

Komunikat Informacyjny wychodził jeszcze przez parę miesięcy aż do niezapomnianych dni listopadowych.

Stefanja Flekówna (Fanka).

ADMINISTRACJA „RZĄDU I WOJSKA".

Od pierwszej chwili powstania pisma „Rząd i Wojsko" byłam z niem ściśle związana. Prowadziłam bowiem przy pomocy koleżanek jego administrację aż do „wsypy" i później, już za czasów niepodległości, pracowałam w niem nadal.

Trudno mi dzisiaj odtworzyć dzieje naszej pracy. Wszak i wówczas i dzisiaj tyle zdarzeń obciążało pamięć, że z natury rzeczy zbladły dawniejsze obrazy. Niech mi więc koleżanki, które brały udział w pracy, wybaczą wszelkie niedokładności, oraz to, że ich przez przeoczenie nie wspomnę.

We wrześniu 1916 roku powstało nasze pismo. Utkwiły mi w pamięci cudowne jesienne zachody słońca, które często po zebraniach podziwialiśmy z okien poddasza w mieszkaniu W. Sławka. Pamiętam nastrój naszego ówczesnego środowiska i oddanie się zupełne ofiarnej pracy.

Pierwszym redaktorem „Rządu i Wojska" był St. Thugutt. Niedługo potem objął redakcję Ad. Skwarczyński (Stary), do lutego 1918 r. po nim zaś Janusz Jędrzejewicz aż do końca 1918 roku. W roku 1919 wzniowione pismo zaczęło wychodzić już legalnie pod redakcją Andrzeja Struga, od 1920 znów objął redakcję ob. Stary i prowadził ją aż do końca istnienia pisma.

Mnie kazano prowadzić administrację pisma. Komenda Oddziału Żeńskiego przydzieliła mi do pomocy szereg koleżanek. Było to nielada zadanie dla nas, które nigdy w życiu podobnych prac nie wykonywałyśmy i nie miałyśmy pojęcia o tem, jak powinna być zorganizowana administracja pisma. Ale zapał nasz nie znał trudności. Wiedziałyśmy bowiem jedno: **musimy** wywiązać się jak najlepiej z powierzonego nam zadania.

Mieszkałam wówczas na Mokotowskiej, w mieszkaniu porzuconem przez Moskali, którego gospodyni wynajęła mi 2 pokoje z kuchnią. Duży pokój t. zw. czerwony, z powodu czerwonych tapet i takiegoż koloru pospolitych wyścielanych mebli służył za miejsce zbiórek, narad i posiedzeń w sprawach „Rządu i Wojska" i innych, w których wówczas brałam udział. Drugi pokój, mniejszy, zajmowała Ola Szczerbińska, a kuchnia była właściwą administracją. Pamię-

tam, jak dziś, dzień 29 września, pogodny i jasny, kiedy do zalanej słońcem kuchni przywieźli nasi ludzie z drukarni Jana Kamińskiego, (która zwana była popularnie drukarnią P. O. W.), pierwszy numer „Rządu i Wojska". Jakaż emocja! Pierwszy numer! Z drżeniem serca czekałyśmy tego pierwszego transportu. Zaczęła się gorączkowa praca. Pierwszy nakład wynosił, zdaje mi się, około 3.000 egzemplarzy, rychło jednak powiększyliśmy go do 5-ciu tysięcy, potem zaś do 10.000 egzemplarzy. Początkowa praca polegała na jak najszybszem zapakowaniu i wytransportowaniu każdego numeru na prowincję. W tych kilku słowach mieścił się cały ogrom wysiłków i trudności, nieraz istotnie prawie nie do pokonania. Wszak na świecie szalała wojna. Kraj gnębiła okupacja niemiecka, poczty jakby nie było.

Z początku rozporządzałyśmy tylko tym lokalem i kilku parami ochoczych rąk. Poza tem kilka pierwszych numerów dostarczono nam z drukarni w formie zwiniętych wałków, musiałyśmy więc same przecinać numery, potem pakować paczki na Warszawę i prowincję. Paczki te przeznaczone do tej pracy dziewczęta woziły na prowincję bądź na sobie, bądź w specjalnych kuferkach. Wreszcie należało pismo roznieść. Trzeba było pracować szybko i sprężyście, a przytem z zachowaniem wszelkiej konspiracji wobec Niemców. To też żyłyśmy w ciągłej obawie wsypy. Mieszkanie miało dwa wejścia. Korzystałyśmy z tego, wnosząc i wynosząc paczki raz jednemi, raz drugiemi schodami.

Pamiętam epizod bardzo zabawny, z powodu którego jednak najadłyśmy się wówczas niemało strachu.Miałyśmy umówiony dzwonek (raz, krótko), celem zabezpieczenia się od nieproszonych gości w godzinach pracy. Kiedyś, gdy ruch w kuchni wrzał w całej pełni, dzwonek zaczął dzwonić długo, przeraźliwie. Byłyśmy pewne, że to wsypa. W popłochu zaczęłyśmy chować pismo, gdzie się dało, potem wyprawiłam koleżanki na schody kuchenne, a sama z determinacją poszłam otworzyć drzwi frontowe, skąd naciskany dzwonek szalał bez wytchnienia. Wyobrażam sobie, jaką głupią musiałam mieć minę, skoro na schodach nie spostrzegłam nikogo. Zdaje mi się, że wówczas dopiero przeraziłam się naprawdę, „wietrząc" w tem jakieś niewyjaśnione niebezpieczeństwo. Za chwilę jednak wszystko się wyjaśniło. Oto jedna z dziewcząt spóźniła się do pracy. Dzwoniąc, w pośpiechu nacisnęła sprężynę tak mocno, iż ta zacięła się, powodując gwałtowny alarm. Widząc, że nie otwieramy, przerażona sama tym alarmem, pobiegła czem prędzej na drugie schody, gdzie zastała już całą spłoszoną gromadkę dziewcząt.

Zczasem, gdy administracja nasza bardzo się rozwinęła, wprowadziłyśmy specjalizację pracy i ścisły jej podział. Założyłyśmy, kierując się więcej intuicją, niż znajomością księgowości, księgi kasowe, konta odbiorców i ich ewidencję, konta druku, papieru i t. d. Zorganizowałyśmy też dział propagandy i korespondencji.

W krótkim czasie, gdy P. O. W. wynajęła na nazwisko Okrzejowej własny lokal przy ul. Wareckiej, przeniosłyśmy tam naszą pracę.

W biurze tem panował ruch i ożywienie. Lokal mieścił w sobie administrację i ekspedycję wydawnictw P. O. W. (Kierowała nią Wanda Denhofowa), jak również świetnie zorganizowaną tajną pocztą, która rozwoziła nietylko pisma, ale i rozkazy organizacyjne.

Nakład „Rządu i Wojska" wynosił już wówczas około 10.000 egz. i w tym właśnie lokalu praca nasza doszła do szczytu swego rozwoju.

Z koleżanek, pracujących wówczas w administracji, pamiętam, niestety, tylko kilka. W. Piekarską (Pociecha), Z. Czajkowską, Z. Krakowską i Z. Warszawską, inne pracowały dorywczo.

Pracując w administracji, kolportażu i w poczcie, przyczyniłyśmy się poważnie do tego, iż pismo nasze rozchodziło się po całej Polsce w olbrzymiej, jak na ówczesne warunki, ilości. Nawet Komendant był z nas zadowolony. Kiedyś powtórzono mi słowa Komendanta: „Obywatelka Fanka świetnie prowadzi pracę, o której nie ma najmniejszego pojęcia". Byłam, oczywiście, bardzo dumna z tej pochwały, ale równocześnie zmartwiona, bo wyobrażałam sobie, że właśnie świetnie znam się na administracji. Pamiętam, że potem rozważałyśmy nieufnie, jak to można lepiej znać się na organizacji tego rodzaju pracy i co należałoby zmienić, lub co wprowadzić, aby wykazać, że się istotnie rozumiemy na rzeczy. Pamiętam, że dyskretnie i niby odniechcenia starałyśmy się wybadać peowiaków, mających opinję dobrych organizatorów, jakby oni taką administrację poprowadzili. Ale i oni, przeważnie akademicy,i również nieobeznani z tego rodzaju pracami, nie mogli nic lepszego wymyśleć. Tem bardziej więc utwierdziłyśmy się w dobrem o sobie mniemaniu. Ta dziecinna i w gruncie rzeczy nieszkodliwa pycha oraz poczucie dobrze spełnionego obowiązku, to była jedyna nasza nagroda za uciążliwą nieraz pracę.

Tymczasem warunki pracy utrudnione były coraz bardziej wskutek obudzonej czujności Niemców i nieprzejednanego stanowiska naszego pisma. Raz po raz donosił ktoś o „szpiclach" niemieckich, kręcących się po ulicy Wareckiej, o konieczności większej konspiracji i t. d. Zanim jednak zdążyliśmy wyciągnąć z tego konsekwencje,—„wpadliśmy" w końcu maja 1917 roku. Byłam w tym czasie współpracow-

niczką Uniwersytetu Ludowego, gdzie prowadziłam kursy dla analfabetów. W dniu wsypy, załatwiwszy, co trzeba było w administracji, wyszłam nieco wcześniej, na jedną z moich wieczornych lekcyj. Reszta niewiast, zatrudnionych w administracji i na poczcie musiała jednak pozostać, bo właśnie wyszedł świeży numer. Opowiadano mi później, że w pięć minut po mojem wyjściu, wtargnęła do lokalu naszego policja, która zabrała cały nakład „Rządu i Wojska", wszystkie broszury, wydawnictwa, księgi i korespondencję i co gorsza, wszystkich obecnych urzędników. Z zaaresztowanych wówczas pamiętam tylko Z. Czajkowską, Z. Krakowską, Z. Warszawską oraz kierowniczkę składnicy Wandę Denhofową. Odwiezione do więzienia, prawie rok przesiedziały tam w bardzo ciężkich warunkach.

Dla mnie był to pod każdym względem wielki cios. Zdawało mi się zrazu, iż cały warsztat pracy został rozbity i unieruchomiony, poza tem czułam dręczący wstyd, że ja ocalałam, a tamte zostały aresztowane. Przez długi czas pragnęłam szczerze i gorąco, żeby i mnie Niemcy znaleźli i żebym mogła podzielić los moich koleżanek. Zwłaszcza nieznośny był dla mnie później okres, gdy, jako zdekonspirowana, zostałam przymusowo odsunięta od roboty.

Zaczął się męczący czas rewizyj i prześladowań. Szukano redaktora i mnie. Koleżanki, siedzące w więzieniu, z niepokojem oczekiwały wiadomości o moich dalszych losach. Kiedyś zapowiedziano im, że dostaną nową towarzyszkę niedoli, p. Romanowską. (Używałam wtenczas pseudonimu „Romanowska"). Były pewne, oczywiście, że to ja. Tymczasem okazało się, że był to tylko chytry wybieg, celem wydobycia od nich mego adresu. Niemcy bowiem, orjentujący się na szczęście, bardzo powoli w zdobytym materjale, nie zdołali jeszcze odnaleźć adresu mego mieszkania. Przez kilka dni więc spokojnie mieszkałam nadal w mojem dawnem mieszkaniu, pomagając w zorganizowaniu nowej administracji w innym, lepiej zakonspirowanym lokalu. Któregoś dnia jednak, wróciwszy do domu z wykładu, zastałam w mieszkaniu kilkoro ludzi, siedzących pociemku. Zapaliwszy światło, spostrzegłam przedewszystkiem skrzywioną wskutek nagłego światła, drogą twarz Komendanta, ob. Olę i kilka innych osób. Komendant przywitał mnie słowami: „Dobrodzika jeszcze tu? Proszę mi się stąd zaraz wynosić!"

Rozkaz był rozkazem — należało go zaraz spełnić. Tego samego dnia jeszcze „wyczyściłam" mieszkanie, spakowałam moje rzeczy i wyjechałam do Konstancina, do p. Sawickiej, której córki również były członkiniami P. O. W. W kilka dni po mnie, Ola również opuściła zagrożone mieszkanie. Będąc już w Konstancinie, dowiedziałam się z przerażeniem o aresztowaniu Komendanta i wywiezieniu go do

twierdzy w Magdeburgu. Ciężki nastrój zapanował wśród całej naszej gromady, lecz należało go zwalczyć i pracować dalej. Ja jednak musiałam wycofać się z tej pracy. Uznano mnie za rozkonspirowaną, musiałam więc ukrywać się. Administrację objęła J. Pechkranzowa „Luta". Pracowała ona wówczas w Kasie Pożyczkowo - Oszczędnościowej „Pomoc Wspólna" na Brackiej 17. Tam w godzinach poobiednich załatwiano kolportaż pisma, tam również, po wsypie poczty, chodzono po gotowe już paczki, które roznoszono pod wskazane adresy i rozwożono na prowincję. Razem z Lutą pracowały wówczas Z. Rusiecka, Paulina i Krystyna Munkówny, Marja Koszkówna [1]), kol. Lilka i inne, których nazwisk, niestety, nie pamiętam. Po niejakimś czasie, gdy i ten lokal został wykryty przez szpiclów zaczęto ekspedjować każdy numer z innego mieszkania, które, mniej lub więcej chętnie, udzielali nasi sympatycy. W biurze na Brackiej załatwiano tylko interesantów, którzy udawali interesantów Kasy. Więc lokale biurowe mieściły się przez jakiś czas u pani Sołomowicz, dentystki, u p. p. Gaładyków i u Poli Munkówny. Prace administracyjne, niezwykle trudne w tych warunkach, prowadziła w dalszym ciągu z poświęceniem i wytrwałością p. Luta.

O charakterze pracy ówczesnej świadczy fakt, iż kiedyś udzieliła nam lokalu stróżka pewnego domu, której nazwiska, niestety, nie pamiętam, a która wręczyła naszej skłopotanej administratorce z uroczystą i tajemniczą miną klucz do pokoju, którego lokator był w Rosji. Kolporterki nasze narażały się w tym czasie na ciągłe rewizje i wsypy. Zdarzały się one nawet w sklepach, które od nas brały pismo np. (sklep p. Karskiej na Kruczej „Pod Złotem Piórem").

W tych trudnych warunkach dobrnęliśmy do końca okresu walki o niepodległość. Niemcy, którym zaraz po wsypie wysłaliśmy następny numer „Rządu i Wojska" na znak, że pismo istnieje, nie posiadali się ze złości. Zdwoili więc szykany, chcąc koniecznie przeszkodzić w wydawaniu wrogiego dla nich pisma. W kilka dni po opuszczeniu przez nas, t. j. Olę i mnie naszego mieszkania, wpadli doń, zbyt późno jednak, bo nikogo tam nie zastali i nic już tam nie znaleźli. Wszelkie też dalsze usiłowania odnalezienia nowej administracji spełzły na szczęście na niczem. Pismo wychodziło aż do końca, t. j. do chwili, gdy, po powrocie Komendanta z Magdeburga stało się legalnym tygodnikiem w Niepodległej Polsce.

[1]) Marja Koszkówna, kurjerka Sztabu Naczelnego Dowództwa, rozstrzelana przez bolszewików w 1919 roku.

Ina Żulińska.

POLSKA STACJA SANITARNA.

(1917 — 1918).

Ostatnim etapem naszej służby sanitarnej w Legjonach był szpital w Warszawie, t. zw. „Festungslazarett III — Polnische Station". Przybyłyśmy tu wiosną 1917 r. z różnych oddziałów legjonowych: Miriam Dudzińska [1]), Z. Goetzówna, Ela i Genia Guzikówny, Br. Hesinkówna, M. Janicka, A. Krzymuska, L. Kosowska, J. Niewiadomska[2]), M. Siemieńska[3]), M. Siegmajerówna, E. Staszewska, dr. L. Woyczyńska, Ina Żulińska i inne.

W chwili urządzania szpitala pracowało z nami wiele peowiaczek i członkiń Ligi Kobiet; kiedy jednak szpital zaczął funkcjonować normalnie i pomoc dorywcza okazała się zbyteczna, osoby niefachowe usunęły się. Pozostały z nich tylko trzy: M. Bormanówna, Z. Maxowa i H. Pawłowiczówna, które weszły do naszej „siostrzanej rodziny".

Przełożoną naszą aż do przysięgi była E. Staszewska, bo dawna komendantka sanitarjuszek legjonowych, Marja Siegmajerówna, po krótkim pobycie w szpitalu, wyjechała gdzie indziej.

Po aresztowaniu Komendanta pozostałyśmy nagle zdezorjentowane. Pierwszym naszym odruchem było podanie się do dymisji, otrzymałyśmy jednak rozkaz wytrwania na stanowisku. Pozostałyśmy więc, prócz kilku koleżanek, które poszły dzielić ciężką dolę legjonistów w Huszt i Marmaros-Sziget. Po wyjeździe Staszewskiej, zostałam na jej miejsce mianowana przełożoną.

Przez cały czas naszej „niewoli niemieckiej" miałyśmy wiele zajęcia: z jednej strony praca fachowa, z drugiej zaś uważałyśmy za swój obowiązek informowanie chorych o faktycznym stanie poczynań politycznych i dostarczanie im niepodległościowej bibuły. Miało to na celu podtrzymywanie ducha tych, co nie składali przysięgi. W rezultacie tych usiłowań cały personel szpitala oraz chorzy odmówili jej złożenia.

[1]) Miriam Dudzińska, zm. 2 czerwca 1924 r.

[2]) Janina Prus-Niewiadomska, zginęła w obronie Lwowa 6 stycznia 1919 r.

[3]) Marja Siemieńska zmarła na stanowisku w szpitalu zakaźnym 1919 r.

Polska Stacja Sanitarna.

Sanitarjuszki Pol. St. San.

Wyleczonym „dezerterom" dostarczałyśmy niezbędne dokumenty osobiste i ubrania cywilne oraz starałyśmy się o kwatery i posady dla nie posiadających środków utrzymania. Dopóki przygotowania te nie były ukończone, zatrzymywałyśmy „chorych" w szpitalu. Stały kontakt też utrzymywałyśmy z jeńcami w Szczypiornie, Łomży, Werl i Havelbergu, przesyłając im paczki, wiadomości polityczne i bibułę, dostarczaną przez P. O. W. Jako osoby wojskowe, posiadające wolność ruchów i nie podlegające rewizji, starałyśmy się o jak najczęstsze wyjazdy służbowe, aby mieć sposobność przewożenia rozkazów i bibuły wysyłanej przez pocztę peowiacką.

Podobne okoliczności nie mogły nie wywołać odpowiednich konsekwencyj i ofiar: wydalono siostrę Bormanównę w ciągu jednej godziny za dostarczanie „fałszywych papierów", a siostrę Cholewiankę przyłapano na gorącym uczynku, gdy wyprowadzała „cywila" za bramę szpitalną; cudownym tylko sposobem udało nam się uratować od aresztowania. Najwięcej dostało się siostrze Maxowej, którą aresztowano z transportem bibuły. Osadzono ją w więzieniu na Dzielnej i miano wywieźć do Niemiec. Dzięki jednak interwencji por. M. Dąbrowskiego[1]) wywiezienie jej zostało odroczone. Uwolniły ją dopiero władze polskie.

Byłyśmy tu wszystkie „politisch verdächtig", — co odbiło się na stosunkach z władzami polskiemi, t. j. wehrmachtowemi, tem bardziej, iż zapatrywań naszych nie ukrywałyśmy. Podczas każdej inspekcji robiono nam awantury o portrety Komendanta, które zawiesiłyśmy we wszystkich salach szpitalnych i w naszych prywatnych pokojach. Po pewnym czasie zauważyłyśmy, że Niemcy są informowani o tem, co się dzieje w szpitalu. Wyłoniła się więc z pośród chorych komisja do zbadania tej sprawy. Znaleziono wtedy u świeżo zaciągniętych litwaków legitymacje szpiegowskie. Po tem odkryciu oburzenie było tak wielkie, że rzecz skończyła się dotkliwą rozprawą ze zdrajcami. Władze niemieckie zrobiły z tego wielką sprawę, rozdmuchując ją odpowiednio i czyniąc z naszego szpitala co najmniej jakieś ognisko rewolucji. Zarządzono więc ostrą rewizję, podczas której szpital był otoczony żołnierzami z bronią gotową do strzału. Szukano broni, której na szczęście nie znaleziono, mimo, że nasi chorzy mieli ją zwykle przy sobie, nie oddając jej ani też mundurów do magazynu. Zawiadomione o rewizji, zdołałyśmy wynieść część broni na miasto, resztę zaś ukryłyśmy na swych kwaterach. Pomógł nam w tem bardzo por. 5 p. p. Leg. Leszek Broniowski, który często przychodził nam z radą i pomocą.

[1]) Major Marjan Dąbrowski zmarł w Kosowie we wrześniu 1927 r.

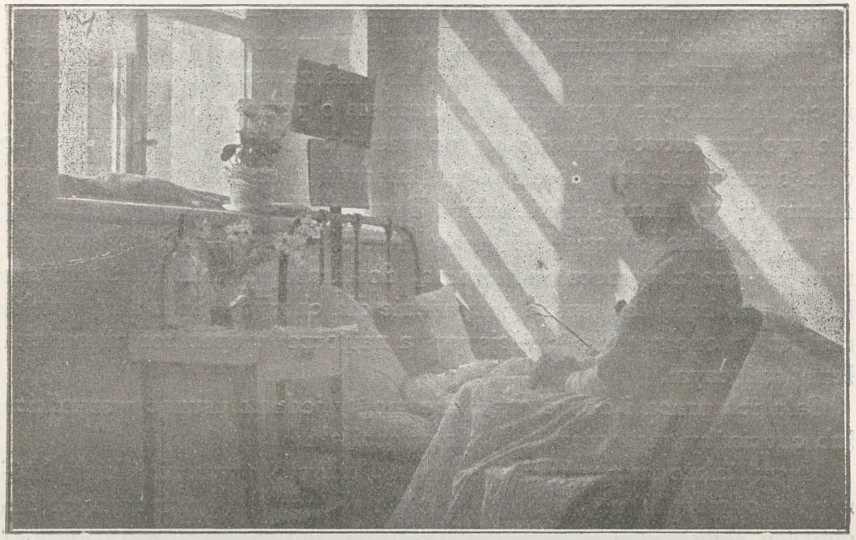

Czwarty dzień po operacji.

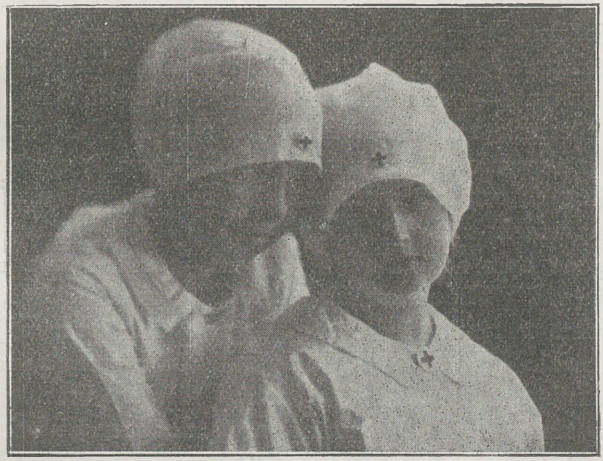

Siostry: Ina Żulińska i Zofja Goetzówna.

Burza skończyła się szczęśliwie udaną ucieczką głównego sprawcy „samosądu". Siostrom zaś Niemcy wstrzymali wydawanie stałych przepustek na miasto.

Pracę zawodową pełniłyśmy w bardzo trudnych warunkach. Niemcy ograniczali do minimum wszelkie wydatki w stosunku do „Polnische Station". Władze zaś polskie odsyłały nas zawsze do władz szpitalnych. Można było wprawdzie zwrócić się o pomoc do społeczeństwa, ale społeczeństwo odnosiło się do nas tak obojętnie, jak zresztą do całego ruchu niepodległościowego. Zaledwie kilka osób, z których wymienię tu pp. Irenę Jeleniewską i Blumenthalównę, które zajmowały się gorliwie bibljoteką i świetlicą dla żołnierzy. One też przychodziły nam zawsze z pomocą materjalną, dostarczając nam bądź droższe lekarstwa, bądź też lepsze pożywienie dla chorych. Specjalną opiekę roztaczały one nad najliczniejszym, a najgorzej zaopatrzonym oddziałem gruźliczym.

Cała ich praca i dobre chęci nie mogły jednak usunąć wszystkich lub chociażby zasadniczych braków szpitala.

Muszę także tu podkreślić ofiarność artystów warszawskich, którzy nie odmawiali nigdy swego udziału w specjalnie urządzanych dla chorych koncertach, ówczesna zaś dyrektorka opery warszawskiej p. J. Korolewicz-Waydowa przesyłała często do szpitala bezpłatne bilety, z których nasi rekonwalescenci chętnie korzystali.

Jesień 1918 r., zimna i dżdżysta przyniosła nam, sanitarjuszkom, chwile bardzo ciężkie. Nadciągnęła bowiem straszna epidemja grypy. Zaczęli do nas napływać chorzy z „wehrmachtu" jak i z różnych formacyj polskich na wschodzie. W przeciągu kilku dni szpital został przepełniony; chorzy leżeli pokotem na słomie, bez pościeli, bez bielizny — w salach nieopalanych i często nawet bez szyb. Sale były niesprzątane, bo sanitarjusze przeważnie byli chorzy, a przytem brakowało lekarstw nawet najkonieczniejszych, bo Niemcy, przeczuwając ostatnie swe chwile w Polsce, stale skreślali nam wszelkie zapotrzebowania.

W tej epoce było nas zaledwie siedem, każda miała na swojej opiece kilka sal, przepełnionych ciężko chorymi. Nie byłyśmy więc w stanie, mimo wszelkich usiłowań z naszej strony, zapewnić chorym minimum opieki. Wśród jęków rannych, wśród nieprzytomnych krzyków gorączkujących, wśród wyrzekań, niestety często słusznych, krzątałyśmy się od świtu do ciemnej nocy zrozpaczone wskutek swej bezsilności. Będąc same chore, nie mogłyśmy się położyć, nie miałyśmy bowiem nikogo, ktoby nas mógł zastąpić. Było to prawdziwe pie-

Komendant wśród grona chorych i sióstr.

kło na ziemi dla nas i dla tych biednych chorych, z pośród których wielu zmarło wskutek braku odpowiedniego leczenia i opieki. Zdawałyśmy sobie z tego sprawę i cierpiałyśmy niepomiernie, widząc łzy i rozpacz osieroconych żon i matek.

I pomyśleć, że to się działo w sercu Polski, w Warszawie, która nie przyszła z pomocą swoim obrońcom (było to już bowiem po wypędzeniu Niemców z Polski). Chorzy nasi rekrutowali się już wówczas nietylko z wehrmachtowców, lecz i z cywilów: skautów, studentów, robotników i t. d. Zwróciłam się tedy do dra Rudzkiego, aby poruszył sumienie stolicy. W odpowiedzi na wezwanie, zjawiło się sporo pań, lecz niewielki ich procent zajął się rzetelną pracą dla chorych. Najczęściej bowiem, rozdawszy z miłym uśmiechem swe papierosy, z pośpiechem opuszczały „zadżumione" sale.

Po rozbrojeniu Niemców trzeba było od nich przejąć szpital Ujazdowski i zakład uzdrowieńców w instytucie Maryjskim. Niewiadomo było co robić, czy siedzieć przy chorych czy ratować polskie dobro, zostawione przez Niemców, tem więcej, że uciekającym Niemcom pozwolono zabrać pakunki. Trzeba było ratować, co się da.

Dr Rudzki został mianowany szefem sanitarnym, a na jego miejsce przyszedł dr. Meyer, nie znający organizacji naszego szpitala i musiałyśmy mu być we wszystkiem pomocne. Każdej z „naszych" sióstr dałam pod opiekę jeden pawilon lub też jakiś dział gospodarczo-administracyjny, dodając im do pomocy siostry ochotniczki. Wyczerpane pracą ostatnich tygodni, wzięłyśmy się jednak energicznie do organizowania pierwszego szpitala wojskowego Polski niepodległej.

Brud i nieporządek — mimo „przysłowiowej" czystości Niemców— były nie do opisania, zaczęło się więc szorowanie podłóg, ścian i okien, oraz sporządzanie inwentarza. Robota paliła się nam w rękach. Chodziło o to, aby jak najprędzej móc umieszczać chorych, napływających obficie z prowincji. Poza pracą w szpitalu Ujazdowskim obie z moim „adjutantem", jak żartobliwie nazywano siostrę Hesink, obejmowałyśmy instytut Maryjski.

W tym okresie zgłaszało się już dużo chętnych do pracy. Cały ten materjał należało przebrać. Ponieważ Czerwony Krzyż nie zajmował się narazie kwestją sanitarjuszek, dr. Rudzki, najwyższa ówczesna władza sanitarna, zwrócił się do mnie z propozycją, żeby wszystkie osoby, zgłaszające się na sanitarjuszki, były skierowane do mnie i dopiero, po dwutygodniowym okresie próby, mogłyby być zatwierdzone lub odrzucone.

Ten wysoki dowód zaufania włożył na mnie nowe, bardzo niemiłe zresztą obowiązki i wielką odpowiedzialność. Stawałam się bowiem de facto, chociaż nie de nomine najwyższą władzą sanitarjuszek. Mia-

łam ich wówczas pod komendą około 150 sióstr, nie licząc różnych „paniuś", które według wydanych rozkazów mogły przychodzić na kilkugodzinny dyżur. Stanowisko to nie odpowiadało mi, bo oddalało mnie od bezpośredniej pracy dla żołnierza, którą tak bardzo lubiłam, a zmuszało mnie do „użerania" się ze zdrowymi i do ciągłych pertraktacyj personalnych z władzami szpitalnemi.

Z radością przeto powitałam chwilę, kiedy Czerwony Krzyż przejął na siebie sprawy sanitarjuszek i kiedy szpital zaczął funkcjonować normalnie. Wtedy to oddałam stanowisko przełożonej w ręce kol. Staszewskiej, która miała już zadanie znacznie łatwiejsze. Po zorganizowaniu szpitala grupa sanitarjuszek legjonowych stopniowo przeszła bądź do szpitali polowych, bądź też do służby frontowej.

Na zakończenie chciałabym podać parę słów charakteryzujących sanitarjuszki, które miałam pod swoją komendą. Wszystkie one należały do t. zw. inteligencji i miały przeważnie wykształcenie średnie, a nawet niektóre z nich miały za sobą parę lat uniwersytetu. Należały one przeważnie do przedwojennych organizacyj strzeleckich, to też pod względem ideowym był to materjał wyborowy, oddany sprawie Legjonów i Komendantowi. Jako sanitarjuszki cechowała je umiejętność obchodzenia się z chorymi, pracowitość i poświęcenie, czego dowodem były liczne pochwały i odznaczenia. Odkomenderowywane chwilowo do szpitali austrjackich, pracowały najczęściej w oddziałach epidemicznych, chirurgicznych lub umysłowo chorych, zajmując często stanowiska kierownicze.

Reasumując wyniki pracy w szpitalu Ujazdowskim, możemy powiedzieć śmiało, że, pełniąc ciężką służbę za czasów niemieckich, wpłynęłyśmy na ideologję chorych i personelu, ułatwiając, jak mogłyśmy, pracę konspiracyjną P. O. W. O pracy zaś w Polsce niepodległej świadczą mogiły sióstr, zmarłych śmiercią żołnierską.

Hanna Stefanja Kudelska.

PEOWIACY W MODLINIE.

Rok 1917 — rozbicie Legjonów, Benjaminów, Szczypiorno, Huszt i inne obozy internowanych nałożyły na niewiasty z obozu niepodległościowego jeszcze jeden obowiązek — obowiązek opieki nad internowanymi więźniami. Lipiec 1917 r. zapędził za druty kolczaste znaczną część ludzi, co Polskę nieśli w swych sercach, prostym więc obowiązkiem tych, co pozostali na wolności, było zorganizowanie pomocy dla więźniów internowanych. Stwierdzić jednak muszę, że w porównaniu z tem, co należało zrobić, robiło się zbyt mało, mniej nawet, niż mogło zrobić społeczeństwo. Nie zapomnę nigdy jednego z zebrań w Lidze Kobiet, podczas którego ś. p. kpt. Krzaczyński z głębokim żalem mówił, jak mało się u nas pamięta o legjonistach ze Szczypiorna. A mówił to właśnie do niewiast, które pamiętały całem sercem i ze wszystkich sił starały się więźniom dopomóc.

W lutym 1918 r. dostałam rozkaz od władz naczelnych P. O. W. nawiązania kontaktu z grupą więźniów-peowiaków, którzy w tym właśnie czasie mieli być z Havelberga [1]) i Holzminden przewiezieni do obozu internowanych w Modlinie. Termin ich przyjazdu był organizacji wiadomy, — zaopatrzona więc w zaświadczenie Komitetu Pomocy jeńcom i internowanym, zjawiłam się przy bramie do twierdzy w Modlinie, z workiem prowjantu.

Niemcy długo studjowali moje zaświadczenie, a ja łamaną niemczyzną starałam się ich przekonać, że mam pełne prawo wejścia do obozu. Poprowadzono mię wreszcie w głąb twierdzy i po pół godzinnym marszu stanęłam przed drutami, u bramy obozu.

Wpuszczą czy nie wpuszczą? Eskortujący mię podoficer poszedł zameldować o mojem przybyciu. Pamiętam, występowałam wtedy w roli narzeczonej któregoś z więźniów, nie pamiętam jeno, kto miał nim być naówczas i, oczywiście, nie mogłam się przyznać do znajomości z innymi. Tymczasem, zaledwie stanęłam u bramy, z drugiej jej strony pojawił się Beniek Wądołkowski. Przyjrzał mi się uważnie i — radosny okrzyk: „Hanna!" rozległ się po całym obozie. Nie

[1]) Razem z więźniami z Havelberga przywieziono Stanisławę Jaśkiewiczową, aresztowaną za pracę niepodległościową w Płocku.

dziwię mu się zupełnie, bo i ja ze wzruszeniem i radością myślałem o tem, że zobaczę naszych chłopców, ale konspiracja moja była już mocno nadszarpnięta.

Byłam pewna, że Niemcy wszystkiego się domyślą i — albo nie wpuszczą, albo—poproszą za druty na czas dłuższy, co też było możliwe. Jednak wpuścili—oczywiście tylko do kancelarji obozu—do której za chwilę weszli ob. Adam Skwarczyński i jeszcze dwóch, z których jeden miał być moim narzeczonym. Ku „narzeczonemu" rzuciłam się z naturalnym wybuchem radości. Pozostałym przedstawiałam się jako delegatka Komitetu. Zrozumieli. Zaczęła się gorączkowa, urywana rozmowa, rzucanie informacyj w krótkich chwilach, gdy obecny przez cały czas podoficer wysunął się za próg lub odszedł w inny kąt izby. Tymczasem weszło jeszcze kilku więźniów-peowiaków, kilku zgromadziło się przed drzwiami. Trzeba było kończyć rozmowę, jak o tem uprzejmie przypominał podoficer.

Wyszłam przed barak. Gromadka chłopców: błyszczące oczy, wyciągnięte do uścisku ręce. Patrzyłam na wymizerowane twarze, ściskałam dłonie. Oczywiście, że moją konspirację djabli wzięli. Niemcy nie mogli mieć najmniejszych wątpliwości, że z tymi chłopcami łączy mię coś więcej niż „narzeczeństwo" z jednym z nich. To też zrezygnowałam już z roli narzeczonej, bo to było bezcelowe. W tydzień potem znów stanęłam u bramy obozu z transportem żywności. Tym razem Niemcy na dostarczenie żywności zezwolili, ale do obozu mnie nie wpuszczono. Wszelkie więc próby porozumienia się z chłopcami spełzły na niczem.

I tak już pozostało nadal. Dodać bowiem muszę, że z polecenia władz organizacyjnych zajęłam się na stałe opieką nad modlińską grupą więźniów. Odtąd co tydzień, a czasem i dwa razy tygodniowo, jeździłam do Modlina, zaopatrzona w żywność i bieliznę, dostarczaną częściowo z Ligi Kobiet, częściowo przez rodziny internowanych i wreszcie przez organizację. Początkowo zaopatrywałam tylko grupę peowiacką, w następstwie jednak nasi internowani wyrazili życzenie, by zająć się i innymi kolegami-więźniami ideowymi z innych ugrupowań. Moje władze ogranizacyjne zgodziły się na to, weszłam więc w porozumienie z drugą instytucją opiekuńczą: Patronatem nad Więźniami.

W Patronacie bardzo wydatnie pracowała p. Gąsiorowska(?) sympatyzująca z nami i bardzo dzielna niewiasta, która mi bardzo wiele pomogła w pracy. Pod auspicjami tedy dwóch już instytucyj społecznych jeździłam dalej do Modlina, zawożąc już teraz paczki dla bardzo licznej grupy więźniów (przeszło 40 osób); żywność ta była mi

dostarczana bądź przez rodziny tych internowanych, bądź przez ich organizacje. Z Oddziału Żeńskiego współpracowało ze mną dorywczo szereg koleżanek, zastępując mię od czasu do czasu, lub towarzysząc mi w moich wędrówkach. Wszystkich ich dziś nie pamiętam — wymienię nazwiska kol. Stattlerówny, Romanówny, J. Benedekówny i (zdaje się) Hanki Grodeckiej.

Bardzo wydatnie dopomagał modlińskim więźniom Komitet Pomocy w Zakroczymiu, na czele którego stał miejscowy rejent Rybicki. Dzięki temu, że przez osobiste znajomości mógł on porozumiewać się z więźniami, chociaż stale pod troskliwą „opieką" Niemca, miałam zawsze możność wskazania mu, gdzie i w jakiej paczce ukryte są „grypsanki", które stale przesyłaliśmy więźniom, odbierając od nich odpowiedź tą samą drogą. Ten wypróbowany sposób korespondencji zyskał na wadze z chwilą, gdy zaczęło się przygotowanie do zorganizowania masowej ucieczki przez podkop, co zresztą potem nie doszło do skutku.

Dużą też pomoc nieśli członkowie P. O. W. w Zakroczymiu a szczególnie dwoje: ob Zosia i ob. Scyzoryk (nazwisk ich, niestety, nie pamiętam); na każde wezwanie czujni, zawsze gotowi do spełnienia rozkazu. Miałam też sprzymierzeńców i w samej twierdzy: podoficer wojska niemieckiego, Polak ze Śląska, który dość już miał „okupacyjnej" służby we własnej ojczyźnie i sanitarjuszka ze szpitala obozowego, panna Stasia. Ci przyjeżdżali do mnie nawet do Warszawy i służyli jako stali łącznicy. Przypadkowo poznani, stowarzyszyli się z peowiacką dolą i okazali mi nieocenione usługi, szczególnie przy dostarczaniu różnych przedmiotów, niezbędnych do robienia podkopu, których nie można było przemycić między paczkami z cukrem i słoniną.

W ciągu 8 miesięcy mej pracy w tym dziale przez obóz w Modlinie przewinął się szereg wybitnych osobistości ze świata niepodległościowego, zarówno z P. O. W., jak i ze stronnictw politycznych. Jedni, jak ob. ob. Wądołkowski, Górecki — wyszli, na ich miejsce przybyli inni, jak: W. Sławek, St. Thugutt, W. Jędrzejewicz i szereg „mniejszych szarż" z różnych krańców Rzplitej. Pamiętam dzień, gdy z dwoma olbrzymiemi workami, naładowanemi żywnością i odzieniem, znalazłam się na dworcu kolejowym w Warszawie i zobaczyłam wsiadających do wagonu w asyście żołnierzy i „schutzmanów" Wacława Jędrzejewicza, Szymona Liljenfelda i kilku innych, którzy już od szeregu miesięcy „zamieszkiwali" więzienie mokotowskie. Machnęłam ręką na wszelkie konspiracje, rzuciłam się ku nim i, legitymując się wobec Niemców wszelkiemi posiadanemi zaświadczeniami, poprostu par force wpakowałam się razem ze swemi workami do

zajmowanego przez nich przedziału. Niemcy trochę mruczeli, ale jakoś mię nie wyrzucili. A my ściskaliśmy sobie dłonie i patrzyliśmy na siebie; chciało się im w jednej chwili powiedzieć wszystko: że praca idzie, że się rozwija, że bunt przeciw okupacji coraz szerszą falą przelewa się po kraju — a mówić nie można było: żołnierze nas słuchali. Toczyła się bezładna urywana rozmowa, pełna niedomówień i domyślników w której najważniejszemi były nie słowa, a ta treść istotna, która często tkwi poza słowami.

Zdarzały się i w tej pracy ciężkie momenty: czasem szykany, a czasem — co było jeszcze gorsze — nadmierna uprzejmość Niemców. A czasem trzeba było przy 40 stopniach gorączki w ataku ostrej grypy jechać do Modlina, bo ze względu na toczące się przygotowania do ucieczki, nikt inny jechać nie mógł. Zachodziły wtedy krwawą mgłą oczy i głowa ciężyła, jak stufuntowa kula, ale to były drobnostki. Bo praca ta, to była nietylko pomoc swoim towarzyszom broni, ale przedewszystkiem i zawsze jednaka służba. Bo różnemi drogami szło się do wolnej Polski — nawet dźwigając worki z chlebem i bielizną pod kolczaste druty obozów i bramy więzień.

Marja Korniłowiczówna.

ODDZIAŁ ŻEŃSKI P. O. W. W KRAKOWIE.

Na terenie b. Królestwa Kongresowego P. O. W. rozwijała się niemal bez przerwy od sierpnia 1914 roku, a chociaż, po zajęciu Warszawy przez Niemców, zmieniło się wiele w metodach i w charakterze pracy, to jednak organizacja, przeszedłszy przez te zmiany, — trwała nadal.

Inaczej było w t. zw. Galicji. Cała ideowa młodzież znalazła się w Legjonach i dopiero kryzys przysięgowy w lipcu 1917 roku sprawił, iż niewielka grupka dawnych legjonistów znalazła się „w cywilu" i powróciła do domów. Umożliwiło to zawiązanie organizacji. W pierwszych miesiącach 1918 roku powstaje zawiązek P. O. W. jako Komenda Naczelna 2 w Krakowie.

Kobiety nie zaraz doczekały się przyjęcia do roboty. Narazie organizacja była bardzo nieliczna i dość silnie zakonspirowana, nie wzbudzała też większego zainteresowania w miejscowem społeczeństwie.

Pokój brzeski, wstrząsnąwszy całą Polską, na gruncie Krakowa wywołał olbrzymie demonstracje, zwrócone przeciwko państwom centralnym i najwięksi nawet „optymiści", którzy dotąd ufali dobrej woli Austrji, poczuli się boleśnie zawiedzeni. Oczywiście, nastrój ten sprzyjał peowiackim zamierzeniom i od tej pory P. O. W. zaczęła się szybko rozwijać, nawiązując coraz rozleglejsze stosunki wśród starszego społeczeństwa.

W tym samym czasie, po przełamaniu szeregu trudności ze strony Komendy Naczelnej II, Halina Kowalska i Wanda Jabłońska zorganizowały Oddział Żeński P. O. W.

Sekcję, której komendantką została H. Kowalska, przeznaczono do prac wywiadowczych i do zajęcia się bronią. Obydwa działy pracy wymagały teoretycznego przygotowania. Rozpoczęto więc od wy-

kładów z zakresu organizacji wojska austrjackiego, terenoznawstwa i nauki o broni. Potem przyszedł okres działalności praktycznej. Oddział Żeński rozpoczął pracę wywiadowczą, zorganizował składy na broń i zajął się „przygotowaniem dokumentów" to znaczy t. zw. praniem paszportów. Z biegiem czasu O. Ż. zaczął spełniać większość funkcyj organizacyjnych, wywiązując się doskonale z tych zadań. Przełamał też stopniowo pewną nieufność w stosunku do siebie ze strony władz organizacyjnych i coraz częściej zaczął zdobywać wyrazy uznania od kapitana Mieczysława Więckowskiego [1]), szefa sztabu kierującego wszystkiemi pracami P. O. W.

Dowodem tego zaufania było powołanie H. Kowalskiej na stanowisko sekretarki Komendy Naczelnej. Ponieważ Halina nie mogłaby podołać podwójnym obowiązkom, komendantką Oddziału Żeńskiego mianowano W. Jabłońską. Jednocześnie, wskutek napływu nowych członkiń, podzielił się Oddział na dwie sekcje — jedną, która zajmowała się tylko kwestjami związanemi z bronią (składy, transporty, utrzymywanie porządku) kierowała H. Gałkówna, — drugą, — która miała cele wywiadowcze — oddano M. Korniłowiczównie. Obowiązkiem tej sekcji było sporządzenie szkiców sytuacyjnych wszystkich objektów w Krakowie i jego okolicach, stwierdzenie stanu liczebnego i narodowościowego oraz nastroju oddziałów wojskowych austrjackich, stanu magazynów i obserwowanie ruchów tegoż wojska. Dla zdobycia tych wiadomości czasem wyzyskiwałyśmy stosunki towarzyskie, najczęściej jednak rozmaitemi przemyślnemi sposobami dostawałyśmy się w obręb wojskowych budynków.

Przy końcu czerwca walną pomocą w zdobywaniu wszelkich informacyj stała się kol. Freireichówna, która z rozkazu K. N. 2 wystarała się dla siebie o posadę w jednem z ważnych biur wojskowych.

Nad ruchem oddziałów na linjach kolejowych czuwały cztery urzędniczki dyrekcji kolejowej, one również dostarczyły planów dworców i mostów; z telegrafu np. dawała nam materjał p. Jadwiga Dobrowolska.

Zorganizowanie wywiadu przedstawiało się więc zupełnie dobrze, niemniej sprawnie pracowała sekcja broni.

Gdy w pierwszych dniach czerwca rozpoczęły się aresztowania wśród członków P. O. W. — włożono na O. Ż. obowiązek zorganizowania nowej sekcji kontrwywiadu. Praca ta polegała na śledzeniu austrjackich „szpicli", czuwaniu nad bezpieczeństwem organizacyjnych władz i lokali.

[1]) Ppłk. Szt. Gen. M. Więckowski zmarł tragicznie w Chełmie 13 maja 1926 r.

Czwartego października na wieść o klęskach niemieckich na froncie zachodnim, postawiono Oddział Żeński P. O. W. w stan pogotowia wojennego. Równocześnie kierownictwo całego oddziału objęła M. Korniłowiczówna, obowiązki zaś adjutantki sprawowała ob. „Baśka" Morawska. W parę dni potem Komenda Miasta w osobie ob. J. Wiatra przejęła składy broni a dotychczasowa sekcja broni została przemianowana na sekcję kontrwywiadu.

Bliski moment wybuchu wymagał wytężenia wszelkich sił i wyczerpującej pracy.

Stan liczebny Oddziału Żeńskiego wynosił 26 członkiń, z tego 2 przydzielono do Komendy Naczelnej, 2 do Oddziału Lotnego i 2 do Komendy Miasta, 5 koleżanek z powodu choroby było na urlopie. Całą więc służbę wywiadowczą, dyżury w biurze organizacyjnem od 8 rano do 9 wieczór, oraz służbę ordynansową musiało pełnić 15 peowiaczek.

Dzień 29 października wyznaczyła Komenda jako ostateczny termin przygotowania całego materjału wywiadowczego, uzupełnionego nazwiskami żołnierzy austrjackich, którzy zostali pozyskani dla naszej sprawy.

Rozkaz spełniono na termin i szef sztabu Komendy Naczelnej 2 ob. Mieczysław Więckowski, po przejrzeniu szkiców i raportów wyraził nam zupełne zadowolenie z ich wykonania. (Pracami wywiadowczemi kierowała W. Jabłońska).

Dnia 30 października nocnym alarmem zmobilizowano całą krakowską P. O. W. Na miejscu zbiórki (pierwszy niemal) w komplecie stawił się Oddział Żeński, który później aż do świtu pełnił służbę ordynansową, zawiadamiając o mobilizacji i dostarczając broń ze składów.

Rankiem 31 października miało P. O. W. uderzyć na załogę austrjacką.

Nie doszło jednak do tego. Miasto opanowano bez przelewu krwi

Nocy tej skończyła się rola Oddziału Żeńskiego. Ostatnia zbiórka odbyła się dnia 4 listopada. Szef sztabu i komendant biura Wywiadu Komendy Naczelnej 2, udzielając nam bezterminowych urlopów, wyrazili zupełne zadowolonie z całokształtu prac Oddziału Żeńskiego P. O. W.

Łucja Kipowa.

POLSKA ORGANIZACJA NIEPODLEGŁOŚCIOWA WE LWOWIE.

Jesień 1916 roku zastała wiele z nas zpowrotem we Lwowie. To też wszystkie marzyłyśmy o tem, aby znaleźć się przy wspólnym warsztacie pracy ideowej, który nie oddalałby od nas niebezpieczeństw, na jakie narażali się wokół nas inni.

Warsztat ten znalazłyśmy niebawem.

W listopadzie 1916 roku Anka Szmalówna i ja zwróciłyśmy się do bawiącego chwilowo we Lwowie por. Legjonów Adama Lisiewicza z prośbą o przedstawienie ob. A. Skwarczyńskiemu (Staremu) w Warszawie naszej prośby o zawiązanie oddziału P. O. W. we Lwowie. Zamiarem naszym nie było właściwie utworzenie wyłącznie oddziału żeńskiego, jednak siłą faktu dysponowałyśmy z małym wyjątkiem tylko materjałem żeńskim. Na pierwsze zebranie zaprosiłyśmy wszystkie byłe członkinie Związków i Drużyn Strzeleckich, kilka harcerek i inne, związane z nami ideowo, koleżanki.

Nie mogę tu, niestety, przytoczyć nazwisk wszystkich osób, które brały udział w naszej pracy. Nie mam bowiem potrzebnych ku temu materjałów, bo raporty nasze, wysyłane stale do ob. Starego, jak również i otrzymywane odeń instrukcje, zostały zniszczone w obawie rewizji.

Ze szczegółowym charakterem i zadaniami naszej przyszłej pracy zapoznałyśmy się dokładnie na dużem zebraniu, na którem wygłosiła referat ob. Fanka Flekówna. Po powrocie do Warszawy ob. Fanka przedstawiła ob. Skwarczyńskiemu nasze warunki pracy i możliwości jej rozwoju. Wynikiem tej konferencji było ostateczne ustalenie naszej nazwy: „Polska Organizacja Niepodległościowa". W danej chwili nie mogłyśmy bowiem stawiać sobie zadań ściśle wojskowych, jak również zbyteczne było ustanowienie wojskowej komendy. Zadania nasze ogarniały dziedzinę propagandowo-polityczną, a władzą naszą był zarząd. Jednakże byłyśmy stale uważane za oddział

lwowski P. O. W., a same również cieszyłyśmy się, że powstałyśmy jako pierwszy oddział peowiacki na terenie b. Galicji.

Zadania wojskowe spadły na nas natychmiast prawie po zorganizowaniu się. Mianowicie oddział chłopców w wieku lat 14 — 16, noszący nazwę Związku Polskiej Młodzieży Niepodległościowej, zorganizowany przez Romka Felsztyna [1]), przyłączył się do nas. Musiałyśmy więc wystarać się dla nich o plan ćwiczeń i komendę wojskową. Nie było to rzeczą łatwą, ani prostą. Ostatecznie ustaliłyśmy im dowódcę w osobie 16-letniego ob. Wójcika, który czas jakiś przesłużył w Legjonach, a przejezdni oficerowie (w szczególności por. Lisiewicz) przeprowadzali doraźną kontrolę wyszkolenia.

Władzą naszą, jak już wspomniałam, był wybieralny zarząd w składzie: Marja Jaworska — przewodnicząca, M. Domańska, J. Ryglówna, A. Szmalówna, Br. Tynikówna, ja i ob. Zygmunt Janiszewski [2]). Obok nich brały udział w pracach organizacji: H. Bujwidówna, J. Dybowska, M. Herburtówna, M. Janczyszynówna, J. Jaworska, Z. Krajewska, J. Köhlerówna, M. Lanżanka, Z. Petzoldówna, M. Prokopowiczówna oraz wiele innych, których nazwisk, niestety, nie pamiętam.

Naszą pracę o charakterze propagandowo - politycznym prowadziłyśmy przez zebrania w coraz liczniejszem gronie, przez kolportaż bibuły, przez ulotki, oraz przez docieranie do możliwie wszystkich organizacyj i grup społeczeństwa (Liga Kobiet, Liga Niezawisłości, P. P. S., harcerstwo, młodzież szkolna i akademicka, młodzież rzemieślnicza i t. d.), każdą bowiem dziedzinę wykorzystywałyśmy do krzewienia naszej ideologji. Kolportaż zorganizowałyśmy dobrze, bo udawało się nam dotrzeć prawie wszędzie i, co było charakterystyczne, cała nawet młodzież endecka karmiła się wyłącznie naszą bibułą.

Zachęcone tem powodzeniem, postanowiłyśmy rozszerzać kolportaż bibuły również zapomocą sprzedaży przez księgarnie. Zadanie to przypadło w udziale mnie, jako znającej mniej więcej wszystkich księgarzy lwowskich. Chodziłam więc od jednego do drugiego, żądając, by na widocznem miejscu w witrynie umieszczali „Rząd i Wojsko", przytem targowałam się tak zawzięcie o procent, że nikomu nawet na myśl nie przyszło, by tu mogło iść o prasę nielegalną. Usunęliśmy jednak równocześnie skład bibuły z mojej piwnicy.

Poza tem postanowiłyśmy wydać odezwę i afisz na dzień 3-go maja 1917 roku. Tekst przygotowała Marja Jaworska, techniczną stronę wzięła na siebie Anka Szmalówna, jako inicjatorka.

---

[1]) Zginął w obronie Lwowa 19 kwietnia 1919 roku, odznaczony po śmierci krzyżem walecznych i wymarzonym przez siebie krzyżem P. O. W.

[2]) Niezwykłych zdolności młody matematyk, idealista, powołany z Legjonów na Uniwersytet Lwowski, zmarł w styczniu 1920 roku.

Z ulotką uporałyśmy się łatwo powielając ją poprostu, ale z afiszem ciężka była przeprawa. Nie miałyśmy własnej drukarni, czcionki z drukarń oficjalnych były „meldowane" w policji, a tu na afiszu miało się znaleźć tak niecenzuralne słowo jak „niepodległość". Ostatecznie odkryłyśmy małą drukarenkę, używaną zazwyczaj tylko do drukowania biletów wizytowych. Właściciel drukarni zgodził się nam jej użyczyć. Afisz, dobrze rozplakatowany, zrobił duże wrażenie i podziałał ożywczo na społeczeństwo lwowskie.

Od chwili założenia naszego oddziału kładłyśmy specjalny nacisk na pracę na wsi. Urządzałyśmy więc przedewszystkiem częste „wypady" agitacyjne po okolicznych wsiach polskich. Wówczas to powstał plan usunięcia z chat wiejskich portretów cesarzy austrjackiego i niemieckiego, a zastąpienie ich przez obrazy o charakterze narodowym. Pracowite ręce naszych najmłodszych członkiń zabrały się z zapałem do pracy i wykonały w krótkim czasie tyle arcydzieł, że mogłyśmy nawet otworzyć własny kram ze świętemi obrazami na największym odpuście w Winnikach.

Równocześnie jednak prowadziłyśmy robotę poważniejszą i bardziej systematyczną wśród nauczycielstwa. Największe znaczenie w tym kierunku miał zorganizowany na dużą skalę, przy współudziale wybitnych sił naukowych, kurs „Nauki o Polsce", cieszący się wielkiem powodzeniem wśród nauczycielstwa z prowincji.

Działalność naszą, będącą w pełnym rozkwicie, przerwały nagle aresztowania, dokonane przez Niemców w Komendzie Naczelnej P. O. W. w Warszawie. Jednym z najpierwej aresztowanych był ob. Stary-Skwarczyński. Oddział nasz został bez instrukcyj, zdany wyłącznie na własną inicjatywę. Rezultatem tego było rozproszenie się członków organizacji, a zwłaszcza tych, którym groziły obozy jeńców. Wreszcie przyszedł cios najstraszniejszy: aresztowanie Komendanta. Odpowiedzią na to była duża manifestacja uliczna przeciw władzom zaborczym, pierwszy czynny odruch społeczeństwa lwowskiego przeciw Austrjakom, zahamowany zbrojnie przez wojsko austrjackie. Niełatwo było tę manifestację urządzić. Mieliśmy przeciw sobie starsze społeczeństwo, z którego złudzeniami w stosunku do Austrji trzeba było wciąż walczyć.

Po tej manifestacji następuje przerwa w działalności oddziału. Kontakt z Warszawą był zerwany, z Krakowem jeszcze nie zadzierzgnięty. Dopiero w początku 1918 r. nawiązują się stargane nici, przyjeżdża garść oficerów legjonowych, ocalałych z pogromu. W porozumieniu z Komendą Naczelną w Krakowie organizują oni na zasadach ściśle wojskowych oddział lwowski. Rozpoczyna się druga faza naszej pracy — wojskowo ujęty Oddział Żeński P. O. W.

Helena Bujwidówna.

ODDZIAŁ ŻEŃSKI P. O. W. WE LWOWIE.

Pierwszym organizatorem P. O. W. we Lwowie był wydelegowany przez pułkownika Rydza Śmigłego[1])—kapitan I Brygady Juljan Stachiewicz, który w pierwszych miesiącach 1918 r. zgrupował młodzież akademicką, byłych legjonistów oraz ludność cywilną w Polską Organizację Wojskową.

P. O. W. w odezwie swojej do obywateli miasta Lwowa przemawia temi słowy:

„Nie od dziś, ani od wczoraj do czynu się gotujemy.
Czynił to obóz wyzwoleńczy polski na wiele lat przed wojną.
Z woli i pracy Józefa Piłsudskiego odrodził się polski ruch wojskowy.
Jego dziełem jest orężny czyn polski w tej wojnie, poczęty 6 sierpnia 1914 r.
Celem, który on realnie ruchowi temu postawił, jest Armja Polska, Rządowi polskiemu podległa. Młodzież, która niejednokrotnie oświadczała swoją gotowość, w pierwszym rzędzie powołana jest teraz do realizacji. Zaszczyt wystąpienia jako żołnierze polscy czeka was, obywatele. Możność zwycięskiej walki w imieniu Polski dla jej istnienia i potęgi".

Niewiasty lwowskie nie pozostały głuche na ten zew, który płynął z serca, i odrazu przystąpiły do pracy w P. O. W.

W styczniu i lutym 1918 roku tworzy się we Lwowie Oddział Żeński, którego komendę objęłam. Celem naszej pracy było współdziałanie z oddziałem męskim, który miał za zadanie skupienie ludzi, dążących do samodzielnego czynu polskiego, w ścisłe i karne szeregi, w celu dokonania przygotowań wojskowych i wyszkolenia kadr przyszłego wojska polskiego.

Sytuacja nasza we Lwowie w 1918 roku była trudna. Z jednej strony cały aparat austrjacki, który w listopadzie poparł akcję ukraińską, dając im do pomocy wyborowe oddziały wojska. Z drugiej strony — ta część społeczeństwa, która przyjęła taktykę gadulstwa i wygodne stanowisko obserwatora. Jasne więc, że praca nasza musiała być zakonspirowana.

Oddział Żeński we Lwowie składał się z 4-ch sekcyj (około 30 członkiń). Dwie sekcje akademickie i dwie, składające się z uczenic

---

[1]) Pułkownik Rydz Śmigły od aresztowania Komendanta był Komendantem Głównym P. O. W. (Przyp. Red.).

szkół średnich. Oddział Żeński traktowany był jako pomocniczy. Ćwiczeń i kursów wojskowych nie przechodziłyśmy.

W zakres czynności lwowskiego Oddziału Żeńskiego P. O. W. wchodziły:

1) dział polityczny, 2) służba kurjerska i wywiadowcza, 3) poczta i kolportaż, 4) organizowanie młodzieży gimnazjalnej i akademickiej, 5) przygotowanie kwater i ubrań potrzebnych dla legjonistów, uciekających na Ukrainę, 6) wyrabianie odpowiednich dokumentów cywilnych i wojskowych, 7) przewożenie i przechowywanie broni, 8) skarb.

Dział polityczny, poczta i kolportaż, a następnie wyrabianie dokumentów prowadzone były przez Marję Herburtównę. Kwaterunkiem zarządzały: St. Anczycówna, J. Gibowska i Ł. Kipowa. Służba wywiadowcza, kurjerska, organizowanie młodzieży gimnazjalnej oraz dostarczanie ubrań, przewożenie broni i amunicji prowadziłam sama przy bardzo wydatnej pomocy sekcyj gimnazjalnych, kierowanych przez J. Gibowską. Do sekcyj tych należały uczenice wyższych klas, które roznosiły bibułę, dostarczały ubrań, kwaterunku dla mniej eksponowanych, a nawet używane były do służby wywiadowczej. Niestety, nie pamiętam dziś nazwy gimnazjum ani też nazwisk członkiń sekcji. W skład Oddziału Żeńskiego wchodziły: M. Domaszewska, J. Frenklówna, J. Gibowska, W. Grefnerówna, Z. Hołubianka, J. Köhlerówna, Lili Mokłowska, Z. Petzoldówna, M. Prokopowiczówna, J. Ryglówna, Br. Tynikówna i inne.

Skarb P. O. W. prowadził prof. Stanisław Anczyc, który go zasilał przeważnie z własnych funduszów.

Już przy końcu lutego 1918 roku Oddział Żeński rozwinął intensywną pracę na terenie Lwowa, sięgając nawet poza jego granice. Jako fakt wydajności pracy przytoczyć muszę, że kiedy po rozłamie legjonowym, żołnierze podążali do formacyj, tworzących się na wschodzie poza kordonem, przez Oddział Żeński we Lwowie przeszło 270 oficerów i żołnierzy, którzy, zaopatrzeni w ubrania i dokumenty, wyjeżdżali na Murman i Ukrainę. Pomiędzy nimi wielu było takich, których przejazd przez Lwów, ewentualnie krótszy lub dłuższy pobyt w mieście musiał być otoczony najściślejszą tajemnicą i trzeba było mieć dla nich „murowane kwatery". Kwater takich dostarczały stale gościnne domy, p. p. Mościckich, prof. Anczyca, p. p. K. Bartlów oraz Dom Techników, który niejednokrotnie przypominał obóz. Kiedy przypomnę sobie tych bezradnych, szukających u nas pomocy, to naprawdę dochodzę do przekonania, że swoją skromną pracą O. Ż. przyniósł dużo pożytku.

Służba wywiadowcza była wyjątkowo dobrze zorganizowana. Już na kilkanaście dni przed zajęciem Lwowa przez Ukraińców oddział wywiadowczy miał dokładne dane o rozlokowaniu oddziałów ukraińskich, o planach sytuacyjnych, o składach broni, o punktach, które mają być pierwsze zajęte przez Ukraińców. Przypominam sobie jednak z przykrością, że dokładne i, jak się później okazało, prawdziwe informacje były częstokroć przez oddział męski lekceważone.

Krótkie to sprawozdanie nie daje jasnego poglądu na całokształt dokonanej pracy. Na usprawiedliwienie swoje powiem tylko, że nie miałam czasu na robienie notatek, całe zaś archiwum P. O. W. zostało zniszczone podczas wojny bolszewickiej. Trudno, po tylu latach podać fakty, które wówczas miały miejsce, tem więcej, że później tyle silnych wrażeń przeszłam i okres pierwszych moich poczynań w Oddziale Żeńskim we Lwowie zatarł się w mojej pamięci.

Pominąć też nie mogę nazwisk kilku panów, z którymi oddział nasz był w bezpośredniej styczności, a więc komisarz Piątek, który z narażeniem stanowiska i bezpieczeństwa oddał nieocenione usługi przy wyrabianiu paszportów, następnie ś. p. Wiktor Kopeć, Józef Mościcki oraz dr. Adam Próchnik, przy których pomocy byłyśmy w stanie zaopatrzyć w dokumenty wojskowe b. legjonistów, udających się poza kordon.

Praca P. O. W. we Lwowie rozszerzała swój zakres działania, zaczęła się utrwalać i wybitny wywierać wpływ na społeczeństwo lwowskie. W czerwcu 1918 roku komendantem okręgu lwowskiego był porucznik Legjonów — Ludwik de Laveaux.

P. O. W. przygotowywała się gorączkowo do stawienia zbrojnego oporu zaborcom.

Do czasu pamiętnych zmagań o Lwów przewodziłam garstce dzielnych peowiaczek. Następnie z rozkazu komendanta okręgu, ob. Ludwika de Laveaux, który nie miał upoważnienia do powołania nas pod broń, poleciłam koleżankom, aby uczyniły tak, jak im obowiązek i serce nakazuje i opuściłam szeregi P. O. W.

HARCERSTWO ŻEŃSKIE.

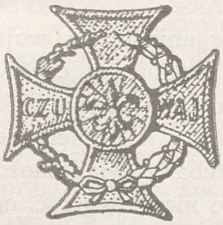

Marja Wocalewska.

HARCERKI W RUCHU NIEPODLEGŁOŚCIOWYM [1]).

Oczekiwanie czegoś niezwykłego, poczucie, że coś wielkiego musi stać się właśnie w ciągu naszego życia — oto atmosfera, w której rodziło się polskie harcerstwo. Pragnienie służby Ojczyźnie, entuzjastyczny stosunek do ostatnich naszych walk o niepodległość — to elementy, które pracy codziennej dawały życie i sens, a gdy nadeszła pora, pchały dziewczęta do P. O. W., do szpitali, do czynów doraźnej pomocy przy organizowaniu świetlic, a nawet do radosnych odznak żołnierskich.

Dziewczęta miały nadzieję, że programy prób, przywiezione z wolnej i szczęśliwej Anglji, a obliczone na wszechstronne usprawnienie i rozwój młodzieży — że te programy, u nas przydadzą się w walkach o Polskę. Stąd owe przygotowania harcerek w zakresie terenoznawstwa, pełne zapału ćwiczenie się w sygnalizowaniu alfabetem Morse'a, semaforami, stąd gorące zdobywanie sprawności pielęgniarek i ponad siły nieraz praktyka w szpitalach. Pobudką i tłem zdobywania tych wiadomości technicznych było ciągłe rozgorzenie wewnętrzne i nieugięta wola zdobycia i rozwijania sił moralnych i fizycznych, aby nic nie mogło zaskoczyć harcerek nieprzygotowanych, wszak pozdrawiały się: „Czuwaj!"

Od wybuchu wojny — harcerki rozpoczęły swą służbę wojenną — różnorodną, zależnie od potrzeby: służbę w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, samarytańską dla ludności i rannych i służbę dla wojska polskiego. Zakres i charakter tej służby były rozmaite, zależnie od potrzeb i warunków: harcerki często pomagały in-

[1]) Artykuły o pracy harcerskiej znajdują się również w działach: obrony Lwowa, Wileńszczyźnie i t. d. Pomieszczone są tam ze względów na pracę, związaną z terenem.

stytucjom starszego społeczeństwa, np. Lidze Kobiet—bardzo często brały inicjatywę w swoje ręce — harcerki starsze zajmowały niekiedy wybitne stanowiska w organizacjach wojskowych i pomocniczych. Pracę swoją uważały za organiczną część zajęć harcerskich, to też krótkie notatki o niej pozostały jedynie w książeczkach i raportach— i razem z niemi często ginęły w zawierusze.

Zgóry zrezygnować trzeba z wiadomości wyczerpujących z tego pierwszego okresu walki o niepodległość, ograniczyć się można jedynie do charakterystyki ogólnej i do przykładów. Okres ten (sierpień 1914 — listopad 1918 r.) cechuje postawa psychicznie baczna niewielkiego wówczas jeszcze ogółu harcerek. — Jest w niej oczekiwanie na rozkaz, pewien niepokój wobec zadań nieznanych, ofiarność, posunięta do najdalszych granic i radość. Spełniała się modlitwa mickiewiczowska, szła „wojna powszechna o wolność ludów" — wiara w tę przyszłą wolność była wśród nas absolutna.

Praca w tym okresie była bardzo różnorodna. Przedewszystkiem trzeba było nieść pomoc materjalną i moralną, podnosić na duchu, krzepić ludność zaskoczoną niespodzianie przez wojnę — trzeba było uczyć wiary w idącą wolność, przygotowywać do jej przyjęcia. Pomoc ta niezorganizowana przypuszczalnie istniała we wszystkich środowiskach harcerskich, zorganizowaną pomoc dla ludności miały harcerki łódzkie. Dalej szła pomoc — niekiedy kierownictwo — w szpitalach i na punktach opatrunkowych. Taką pracę prowadzono w Łodzi, w Przemyślu i prawdopodobnie w innych miejscowościach. — Wreszcie pomoc dla legjonów. — Niesłychanie trudno określić dzisiaj, kiedy i gdzie harcerki występowały pod znakiem swojej organizacji, a kiedy pomagały innym organizacjom niepodległościowym osobiście, jako tych organizacyj członkowie lub ochotniczki. Były wtedy takie czasy, że nie pytała o to żadna z nas, tylko szła do pracy — są na to świadectwa członków organizacyj wojskowych i pomocniczych, którzy zgodnie stwierdzają, że wszędzie spotykali pomoc skautek — harcerek; są wreszcie, przechowywane, jak relikwie, listy żołnierzy-legjonistów. Dokoła szalały walki orjentacyjne, społeczeństwo dzieliło się na obozy i partje — harcerki nie miały na to ani czasu, ani zdolności zapewne. Kierowały się mądrością serca, intuicyjnie odgadywały, czego trzeba żołnierzowi, i żołnierz bojownik o niepodległość był przedmiotem ich troski najserdeczniejszej. Nieznana jeszcze wtedy była w Polsce organizacja „chrzestnych matek wojennych". Opieka harcerek nad harcerzami w wojsku wyglądała bardzo podobnie: korespondencja, przesyłanie paczek, stała pamięć. Trzeba przytem dodać, że były długie miesiące, kiedy listy do Legjonów i z Legjonów szły pocztą tajną — w obsługiwaniu tej poczty, która służyła również

społeczeństwu i była dosyć rozgałęziona, brało udział sporo harcerek. Przygotowywanie paczek było trudne przy ogólnem ogłodzeniu kraju i kartkach żywnościowych — a jednocześnie harcerki uważały sobie za punkt honoru, żeby wszystko to, co szło do „chłopców" było w możliwie najlepszym gatunku — a więc ciasto z prawdziwej pszennej mąki z prawdziwym cukrem, pierniki z prawdziwym miodem. — Przedziwne były pomysły harcerek przy zdobywaniu tych niezwykłych produktów. — Najprostszym np. sposobem zdobycia cukru było odkładanie swojej porcji przez kilka miesięcy. Bielizna, ciepłe rzeczy, rękawiczki, różne drobiazgi i książki (tak o nie prosili harcerze - legjoniści!) — wszystko to musiało być, a środki materjalne były takie małe: harcerki były przeważnie uczenicami, rodzice ich z trudem zdobywali środki wyżywienia — ubrania nicowało się wprost do nieskończoności.

Z opieką roztoczoną nad żołnierzem ściśle łączyła się opieka nad rodzinami legjonistów — materjalna i moralna. Z wojska szły listy— cudne listy młodziutkich żołnierzy - bohaterów. Biła od nich moc wielka i potęgowała siły i wiarę harcerek — coraz lepiej rozumiały swoje obowiązki, coraz mocniej spajały się z wielką ideą, coraz silniej przywiązywały się do Wodza — aż wreszcie stały się jakby kadrą wojskową, która na wszelkie polecenia miała jedną żołnierską odpowiedź: „rozkaz!" i nie umiała już zrozumieć, że mogą być jakieś przeszkody nieprzezwyciężone.

Ta moc i wiara musiały udzielić się otoczeniu, często sceptycznemu, niekiedy wrogiemu, zazwyczaj obojętnemu. Jednym z wyrazów oddziaływania owej siły moralnej był szybki wzrost liczebny harcerstwa. — W okręgu, który wówczas prowadziłam, liczba harcerek z 60 w początku 1915 roku wzrosła do 1060 w r. 1918. Dziewczęta masowo niemal szły do harcerstwa. Okres ten jest bardzo trudny do ujęcia i odtworzenia ze względu na zamęt wojenny, brak łączności i na to, że bardzo wiele notatek zaginęło bezpowrotnie: ludzie również odeszli. Przechowała się tradycja udziału w pracy pomocniczej w Łodzi (od października 1914 r. do lutego 1921 r.), Lwowie, Wilnie, Piotrkowie, Radomiu, Kielcach, Częstochowie, Krakowie, Warszawie i zapewne innych jeszcze — zostało w pamięci trochę nazwisk, parę faktów — listy z frontu — fotografje ze Szczypiorna — i na tem koniec.

Listopad 1918 roku — okres następny otwiera obrona Lwowa. — Harcerstwo żeńskie w głębi kraju prowadzi swą pracę pomocniczą po dawnemu, tu i owdzie wzmaga się ta pomoc wobec zaciągu ochotniczego do wojska polskiego. Najsilniejsza i najgorętsza akcja jest prowadzona we Lwowie i na kresach wschodnich. Walki o Lwów znane są o tyle, że tutaj wspomnieć tylko należy raz jeszcze, że har-

cerstwo swoją ofiarę i krew dorzuciło do ofiary ogólnej. Charakter pracy był taki, jak tego wymagała potrzeba: służba z bronią w ręku łączyła się i splatała ze służbą harcerską, sanitarną, wywiadowczą.— Trzeba też dodać, że kilka harcerek z Warszawy wyjechało wtedy do Lwowa, jako ochotniczki - sanitarjuszki i w służbie wojskowej pozostało do końca wojny. Służba pomocnicza harcerek z obu stron frontu szła równolegle do działań wojennych na kresach wschodnich. Każde nawet niewielkie środowisko może poszczycić się pracą dla wojska polskiego. Siłą rzeczy na czoło wysuwają się dwa wielkie ogniska: Kijów na południu i Wilno na północy. Właściwie całe harcerstwo żeńskie, szczególnie kresowe, było wtedy na służbie wojennej: sanitarjuszki, wywiadowczynie, kurjerki, „gospodynie" — można tu zanotować wszelkie rodzaje i odmiany pracy pomocniczej. Trudno jest twierdzić, że jakieś środowisko kresowe pracowało lepiej czy gorzej — nie było pracy, w którejby młodsze czy starsze harcerki nie brały udziału, — czyto jako organizacja czy pojedyńczo. — Służyły z najlepszą wolą. — Obok Lwowa, Kijowa, Wilna był wtedy Przemyśl, Żytomierz, Biała Cerkiew, Bobrujsk, Mińsk i wiele wiele innych harcerskich środowisk.

We wszystkich tych miastach starsze harcerki pomagały P. O. W. ile ich odeszło do organizacji peowiackiej, tam widząc realizację haseł, przyjętych w drużynie harcerskiej, ile zginęło od kul, od tyfusu i szkarlatyny — wie jedna Ojczyzna.

Z oddali lat staje przed nami zalatana Ela Wolfówna, która „naszych chłopców" (Legjonistów) kradła Rosjanom z cytadeli lwowskiej — (r. 1915) i uradowana rozdawała „Wiadomości Skautowe" z Piotrkowa... Niektórzy z nas znali i kochali Zosię Szafirównę o oczach promiennych, która w momentach decydujących wszystkie swe siły oddała P. O. W.

Wszyscy pamiętamy ten stan „ostrego pogotowia" drużyn harcerskich, w których rosły nasze druhny, aż dorósłszy — były gotowe do służby 1920 r. — w roku naszej ostatniej wojny.

Wanda Prażmowska.

ZE WSPOMNIEŃ HARCERSKICH.

(Warszawa 1915 — 1918 r.).

Pisać o udziale harcerstwa żeńskiego w pracy pomocniczej dla wojska to praca, jakiej nie podjąłby się żaden historyk. Gdy dziś z odległości dziesięciu lat patrzę na tę naszą pracę, nie umiem powiedzieć, czy zrobiłyśmy dużo czy też nic prawie. Bo kiedy wspominam te dawne lata, to pamiętam, że miałyśmy ciągłą i nieustanną pracę, a gdy dziś chciałabym zrobić bilans działalności warszawskiego harcerstwa w tej dziedzinie, to tak trudno o fakty, o konkretne dowody pracy. Dlaczego?

Żeby na to odpowiedzieć, trzeba sobie uprzytomnić, czem było harcerstwo żeńskie w Warszawie w latach 1915 — 1918. Nie była to organizacja otoczona, jak dziś, opieką starszego społeczeństwa; była to organizacja, której starsze społeczeństwo w ogromnej swej większości uznać nie chciało i utrudniało nam pracę wszelkiemi sposobami. Znalazło się zaledwie parę pań, które otoczyły harcerstwo swoją opieką, poza tem cała odpowiedzialność spoczywała na młodych drużynowych, które w najlepszym razie były początkującemi studentkami, a czasem nawet uczenicami.

Harcerstwo całe wyrosło z ruchu niepodległościowego, to też młodzież, skupiona w drużynach warszawskich, nastrojona była prawie zupełnie jednolicie. To wzmagało jeszcze nieufność starszego społeczeństwa, które tak bardzo obawiało się wszelkich radykalniejszych nastrojów młodzieży. W wielu szkołach nie pozwalano na zakładanie drużyn, w innych rozwiązywano już istniejące. Młodzież nie mogła stanąć do otwartej walki z kierownictwem szkół, trzeba było ograniczyć się do takiej pracy, która nie napotykała sprzeciwu i oto pierwsza przyczyna, dla której harcerstwo nie mogło zupełnie oficjalnie współpracować z Legjonami i z P. O. W. Harcerstwo było na terenie szkoły organizacją jawną, na terenie społeczeństwa ujawniło się w początkach 1916 roku (rozkonspirowanie Naczelnej Komendy) i musiało się liczyć z temi czynnikami, które w każdej chwili mogły zabronić młodzieży należenia do drużyn.

Drugą przyczyną było to, że harcerstwo skupiało w sobie dziewczęta w wieku od lat 12-stu do 17-stu, starsze jednostki były to już

szarże. Trudno było masy tej młodzieży wciągać w wir roboty konspiracyjnej, roboty politycznej, bo pamiętamy przecie, że walka o niepodległość uznawana była za robotę polityczną. I dlatego harcerstwo ujawniało się rzadko, harcerki natomiast pracowały wszędzie, ale praca ich nie była notowana w rejestrach organizacji.

Wszelkie zastrzeżenia starszych nie miały jednak wpływu na młodzież. Pamiętam dobrze, jak w pierwszym roku wojny, gdy Warszawa była nastrojona tak bardzo reakcyjnie, zjawił się czynnik, który więcej niż jakiekolwiek zdania starszych urobił opinję młodzieży. Była to piosenka legjonowa. Niewyszukana w swej formie, prosta, żołnierska piosenka stanęła do walki z opinją autorytetów i... zwyciężyła. Drużyny harcerskie, śpiewające z zapałem pogróżki dla Moskala, co „rozłożył się po polskiej krainie", te drużyny stanowiły jednolity front młodzieży.

Na czele harcerstwa żeńskiego, po opuszczeniu go przez druhnę Elę Kwiatkowską, która poświęciła się wyłącznie pracy niepodległościowej, stanęła druhna Helena Gepnerówna. Nie była ona formalnie najwyższą władzą, ale dla nas stała się nią faktycznie. Nie znałyśmy zakonspirowanej Komendy i największym autorytetem były dla nas drużynowe z druhną Helą na czele. O ile wiem, drużynowe były w kontakcie z Wolną Szkołą Wojskową, jedną z nich Zofję Steynównę, sekretarkę tej szkoły zaaresztowali Rosjanie w lipcu 1915 roku. Więziona w Petersburgu, jedynie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności uniknęła gorszych następstw. „Wsypane" dzięki znalezionym u niej papierom drużynowe, musiały ukrywać się poza Warszawą, dopóki cofanie się Rosjan nie pozwoliło na powrót do stolicy.

Natychmiast po wyjściu Rosjan harcerki stanęły do pomocy Bataljonowi Warszawskiemu. Starsze pracowały w koszarach, my zajmowałyśmy się szyciem i zbieraniem ekwipunku. Nie było wtedy dla nas niemożliwego rozkazu. Każde zapotrzebowanie, zgłoszone do drużyn harcerskich, pokrywane było natychmiast.

I zaczął się okres pracy, który trwał przez cały ciąg niemieckiej okupacji. Praca nieefektowna, tak rzadko bowiem mogłyśmy występować jako harcerstwo, a przecież tyle rzeczy robiłyśmy jako harcerki. Harcerki były wszędzie przy każdej pracy. Pakowały paczki dla żołnierzy, przechowywały broń i papiery, bo ich mieszkania nie były „wsypane", zjawiały się wszędzie na każde wezwanie, a wszędzie były tą bezimienną masą, na którą zawsze można było liczyć, ale po której wszelki ślad tak łatwo ginie.

Kilka drużynowych, jak Gepnerówna, Zdziarska i parę innych było w P. O. W. I tam jednak pracowały nie jako harcerki, a personalnie, i oto znowu trudność z zestawieniem harcerskiej pracy.

I może być, że praca nas wszystkich, starszych i młodszych niewiele zaważyła na tej szali ogromnego wysiłku całego odłamu społeczeństwa, być może... W oczach historji tak wszystko maleje. Miała jednak ta praca ogromne znaczenie dla całej młodzieży. Od najmłodszych lat uczyłyśmy się kochać wielkie czyny i czcić wielkich ludzi. W dziecinnych swych umysłach byłyśmy przeświadczone, że pracą naszą budujemy Polskę; wciągnięte raz w krąg poczucia odpowiedzialności społecznej, wchodziłyśmy po wojnie do dalszej pracy z tem samem nastawieniem.

Gdy przyszedł listopad 1918 roku, Gepnerówna, wówczas naczelniczka Głównej Kwatery oraz Zdziarska wraz z kilkoma innemi harcerkami poszły pod Lwów, zaczynając tem nową kartę swej pracy wojennej.

A drużyny harcerskie pozostały nadal przy swej pracy bezimiennej. I z tych ciężkich lat pierwszego okresu wojny pozostały nam, cośmy dziećmi nieledwie były, radosne wspomnienia tego, że ofiarnie pełniłyśmy swoje zadanie i że intuicja młodzieńcza, wbrew wszelkim łudzącym nas racjom stanu, skierowała nasze uczucia i nasze czyny na właściwą drogę.

LIGA KOBIET.

Zofja Moraczewska.

LIGA KOBIET GALICJI I ŚLĄSKA.

W chwili, gdy, spełniając życzenia Redakcji, przyrzekłam zobrazować działalność Ligi Kobiet Galicji i Śląska w najpiękniejszym i najświetniejszym jej rozwoju w latach od 1915 do 1918 roku, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo trudnego podejmuję się zadania.

Wróciwszy myślą do przebrzmiałych, cudnych chwil wielkiej wspólnej naszej pracy dla idei, przeglądając cenne, już dla archiwum wielkiej wojny przeznaczone pamiątki, spostrzegłam, że zadanie przerasta o wiele moje siły!

Zbyt niedawne są to dzieje, zbyt wiele zawierają momentów bolesnych i zawiłych obok promiennych i radosnych, aby można o nich mówić objektywnie i spokojnie...

Ale ponieważ żadną miarą nie może braknąć w tej książce wspomnień o Lidze Kobiet — pisać trzeba. Niechaj mi Liżanki wybaczą, że zgodziłam się zamknąć w tak krótkim z konieczności i suchym artykule całą olbrzymią i żywą, ofiarną i twórczą, niezmordowaną i wielostronną ich działalność, która doczekać się powinna osobnego, z wielką miłością napisanego pamiętnika!

Pamiętnik taki wyjdzie. Opracujemy go wspólnemi siłami w najbliższej przyszłości.

Pierwsze miesiące wielkiej wojny niosły rozwijającej się szybko Lidze Kobiet same radosne przeżycia. Niesienie pomocy młodemu żołnierzowi polskiemu, idącemu w bój z wrogiem, jak do tańca, zbieranie funduszów na własny — nareszcie na własny Skarb Narodowy, organizowanie gwiazdki, święconego, połączone z posłaniem najmilszych listów do żołnierzy - chłopaków, których się nawet z nazwiska nie znało, wspólne marzenia i wspólne prace w atmosferze radości

i wiary, że dobrą idziemy drogą i że ta droga na najwyższe szczyty prowadzi!... były jednem pasmem radosnych wzruszeń, niczem nie zamąconych....

Witaliśmy w powstającym Naczelnym Komitecie Narodowym swoje przedstawicielstwo, które miało się stać wykładnikiem naszej myśli politycznej orędziem wobec wrogów, oparciem i podstawą dla Legjonów, przewodnikiem dla społeczeństwa, budzącego się z długiego snu niewoli!

Z jakąż radością rzuciliśmy się wszyscy do pracy w komitetach powiatowych N. K. N. i w kołach Ligi Kobiet, które związane organicznie z N. K. N., w jednej chwili gęstą siecią pokryły Galicję i Śląsk, budząc śpiących, zmuszając do wysiłku wygodnych, karcąc niedowiarków!

Nawet transport pierwszych rannych strzelców z pola bitwy nie zdołał rzucić żałobnego cienia na tę powszechną żywiołową radość— niosło się im kwiaty i serca, jak na dłoni — ale nie łzy! Zdawało się nam wszystkim, że przeżywamy krótki rapsod rycerski, pełen chwały, że oglądamy cudem z dalekiej przeszłości wyczarowane wojsko polskie — cudem spełniony sen o szpadzie...

Nic jeszcze nie mąciło harmonji, żaden rozdźwięk, żaden zgrzyt...

W miarę przedłużającej się wojny, rosła, rozszerzała się, różniczkowała działalność Ligi — trzeba było myśleć o żołnierzach chorych, superarbitrowanych, umierających, o ich rodzinach, wdowach i sierotach, o jeńcach, rozsianych po różnojęzycznych obozach, o ofiarach wojny, gnanych na tułaczkę, lub dręczonych w barakach na obczyźnie — trzeba było całą tę gehennę ludzką sercem objąć i opieką otoczyć. Szły zimy mroźne i śnieżne — zawieje i zamiecie — długie miesiące postoju w okopach — a wślad za niemi konieczność dostarczenia odzieży ciepłej, tak niedostatecznie wyekwipowanym żołnierzykom legjonowym...

Każdą nową potrzebę wlot chwytała Liga Kobiet i wlot zaspakajały ją wielotysięczne ręce, sercom kochającym posłuszne...

Szybko biegnące wypadki nie pozwoliły jednak, by działalność ogromnej, bo przeszło 13.000 członkiń liczącej organizacji kobiecej, ograniczyła się wyłącznie do akcji samarytańskiej.

Inaczej było sądzone.

Olbrzymiej wagi wypadki wojenne, gra o najwyższą stawkę dla Polski, ciężkie kolizje i powikłania wewnętrzne, które społeczeństwo samo rozstrzygać musiało, — nie pozwoliły Lidze Kobiet pozostać na uboczu.

Ponosząc narówni z całem społeczeństwem odpowiedzialność za dalsze losy sprawy polskiej — musiałyśmy reagować żywo i czujnie na grożące jej niebezpieczeństwo.

Niestety, prawdziwe niebezpieczeństwo groziło od wewnątrz, leżało bowiem w psychice narodu. Kultura niewoli zrobiła swoje, karki, przywykłe przez tyle lat do ukłonów wiernopoddańczych, nie mogły wyprostować się odrazu...

Za wielki musiałby być przeskok „do racji stanu", szukającej kompromisów i ugody do śmiałego, zuchwałego zerwania pęt i stawiania czoła idącej burzy...

Zbyt górne i zuchwałe wydały się czyny Komendanta!

Nasze przedstawicielstwo narodowe nie dotrzymało kroku, nie mając samo wiary we własne siły narodu, wplątane w zdradliwą sieć milczenia i polegania na cudzej woli i sile — nie mogło zdobyć się na jasną, zdecydowaną, świadomą celu energję, nie potrafiło stać się oparciem dla Legjonów, które, walcząc bohatersko na froncie, pragnęły mieć za sobą jednolitą, pełną sankcję moralną społeczeństwa...

Z polityką i taktyką N. K. N. Liga Kobiet pogodzić się nie mogła. Od pierwszej chwili swego istnienia, Liga zajęła stanowisko aktywne, jasne, prące do czynu. Zjazd delegatek z całego kraju, zwołany do Krakowa 12/VI 1916 roku, uchwalił ogromną większością głosów:

a) wezwać N. K. N. do prowadzenia jednolitej akcji ze zwalczanym dotąd przez N. K. N. Centralnym Komitetem Narodowym w Królestwie, akcji, mającej na celu proklamowanie całej zjednoczonej niepodległej Polski;

b) potępić artykuły pojawiające się w wydawnictwie N. K. N., przeznaczonem dla zagranicy, p. t. „Polen", przedstawiające Legjony jako kadry ochotników galicyjskich, pozostających na usługach Austrji i najściślej z nią związanych;

c) wysłać depeszę z wyrazami najgłębszej czci i hołdu do Komendanta Piłsudskiego, do Rady Pułkowników Legjonowych, przeciwstawiających się Dep. Wojsk. N. K. N. do wielbionego przez Legjony księdza Bandurskiego, oraz do komitatów węgierskich, głoszących hasło niepodległości Polski.

W najbliższych miesiącach po tym zjeździe Naczelny Zarząd Ligi uchwala:

a) domagać się rewizji stosunku do Dep. Wojsk.;

b) wydać odezwę, wzywającą całe społeczeństwo polskie, aby śmiałą, energiczną swą postawą poparło żądania Komendanta, w sprawie usamodzielnienia Legjonów i przeciwstawiło się grożącemu podaniu się do dymisji Wodza i Twórcy Legjonów;

c) zwrócić się do N. K. N. z żądaniem, aby zajął odważne i niezależne stanowisko wobec rządu austrjackiego.

Nie zważając na sprzeciwy N. K. N., lekceważąc kordony graniczne, zakazy, rewizje i system szpiegowski władz zaborczych (posterunki graniczne otrzymały nakaz osobistej surowej rewizji delegatek Ligi Kobiet, przekraczających granicę b. Królestwa) zacieśnia Naczelny Zarząd Ligi węzły gorącej sympatji z Ligą Kobiet Pogotowia Wojennego, bierze udział w zjazdach Ligi w Piotrkowie i najzupełniej podziela i solidaryzuje się ze stanowiskiem Ligi Królewiackiej, wiernie stojącej przy Komendancie.

Wskutek tych wystąpień Naczelnego Zarządu Ligi, rwać się zaczęła, nadwątlona już oddawna, nić porozumienia i współdziałania z N.K.N. Prezydjum N. K. N. zmieniło dotychczasowy swój do Ligi stosunek, uważając ją za czynnik szkodliwy i warcholski, usiłowało narzucić Lidze pęta i uniemożliwić jej samodzielność. Odmówiono N. Z. L. prawa wysyłania delegatek z głosem stanowczym na zebranie Komisji Wykonawczej N. K. N., cofnięto prawo wstępu na zebrania poufne Departamentu Opieki N. K. N. — żądając jednak nadal, z tytułu określonej organizacyjnej zależności — ścisłego współdziałania i uległości.

Naczelny Zarząd Ligi na mocy uchwały ogromnej większości swych członkiń, nie podporządkował się tym represjom i reagował na nie bardzo żywo. Ponieważ groziło rozwiązanie i następnie ściganie przez władze z powodu nielegalnego istnienia organizacji, trzeba było pomyśleć o zalegalizowaniu odrębnego statutu. Naczelny Zarząd postanowił: zwołać nadzwyczajny zjazd delegatek do Krakowa, który miał rozstrzygnąć o kierunku ideowym i dalszych losach Ligi.

Tymczasem zaszły na wielkiej arenie politycznej wypadki ogromnego znaczenia. Bieg wypadków wojennych zmuszał mocarstwa centralne do ustępstw, sprawa polska nabierała międzynarodowej wagi. Z chwilą proklamowania niepodległej Polski z ziem b. Królestwa Kongresowego, z chwilą powołania do życia Tymczasowej Rady Stanu i zamierzonego powierzenia jej pieczy nad przyszłem wojskiem polskiem, którego kadrami miały być Legjony—nastąpić miało rozwiązanie Legjonów, a tem samem kończyła się działalność N.K.N.

Zjazd Ligi Kobiet, zwołany w tych warunkach, musiał mieć dla organizacji olbrzymie przełomowe znaczenie. Liga Kobiet wchodziła w nowy okres swego istnienia i działalność jej odtąd oprzeć się miała na zupełnie nowych podstawach.

Zjazd nadzwyczajny, obradujący w Krakowie 1-go i 2-go lutego 1917 r. przy udziale 250 delegatek kół Galicji i Śląska oraz owacyj-

nie witanych gości z Ligi Pogotowia Wojennego odpowiadał w całej pełni swemu zadaniu. Zjazd ustalił, że z chwilą zniknięcia Legjonów, jako przejściowej formy wojska polskiego — Liga Kobiet nie traci wcale racji bytu. Wypisawszy na swym sztandarze hasło walki o niepodległość, przechodzi Liga w chwili żegnania Legjonów — a witania wojska państwa polskiego — w nowy okres realizacji swojej wielkiej idei. Z ideologji Legjonowej wysnuwa ideologję służby czynnej i wiernej rodzącemu się państwu, służby, która gorącem sercem i czujnem sumieniem kobiety polskiej pojęta, odsłania nowe niezmierzone, radosne widnokręgi pracy i walki aż do zupełnego zwycięstwa!

Następnie uchwalono olbrzymią większością głosów, w entuzjastycznym nastroju cały, nowy, opracowany przez Naczelny Zarząd, program działalności na najbliższą przyszłość i przyjęto projekt statutu samodzielnej już, w całem tego słowa znaczeniu, organizacji.

Cel i wytyczne dalsze działalności ujęto w proklamacji następującej:

„Bez własnego rządu i państwa — niema możności rozwoju dla całego narodu. Karłowacieliśmy w niewoli—odrodzimy się tylko we własnem wolnem państwie.

Obecna zawierucha światowa otworzyła nam możność walki o nasze prawa, chcemy ją wykorzystywać krok za krokiem, aż do zupełnego zwycięstwa.

Trzeba stworzyć silny własny rząd, skarb i wojsko. Aby się to stało, musi społeczeństwo polskie w Galicji dotąd nie objętej aktem 5-go listopada w całość z b. zaborem rosyjskim — jak najściślej współdziałać ze społeczeństwem Królestwa Polskiego, stwierdzając na każdym kroku naszą nierozerwalną jedność narodową.

Naród polski musi dążyć do połączenia wszystkich dzielnic dawnej Polski w jedno wolne, samodzielne państwo polskie. Naród pragnąć musi w tej chwili jak najdalej idącego wyodrębnienia Galicji od Austrji. Musi wykorzystywać nowe warunki z wyodrębnienia tego płynące, w kierunku stworzenia typu samorządu w Galicji, jak najbardziej zbliżonego do ustroju państwowego Królestwa.

Jednakowe szkoły, realizujące idealny typ wychowania narodowego, ujednostajnienie sądownictwa, administracji, gospodarki krajowej, celowo obmyślana sieć komunikacyjna, jednakie podstawy umożliwiające rozwój rodzimego przemysłu i handlu i t. d. umożliwia przy sprzyjających warunkach zewnętrznych połączenie narazie dwu dzielnic Polski: Galicji i Królestwa w jedną całość państwową.

Naród, który umie przelewać swą najcenniejszą krew w walce o niepodległość, musi umieć tę niepodległość stworzyć i utrzymać. Do tego trzeba: woli, rozumu i wiary we własne siły. Te trzy potęgi musimy w sobie za wszelką cenę wskrzesić.

Liga Kobiet musi część olbrzymiego zadania wziąć na swoje barki. Musi rozbudzać i skupiać wszystkie aktywne siły w społeczeństwie, pragnące niepodległości państwowej. Musi trafiać do najszerszych sfer polskich w mieście i na wsi. Musi podtrzymywać słabnącą wolę narodową. Musi wedle swych sił

i możności współpracować na wszystkich polach gospodarki krajowej, ofiarując swe najlepsze siły fachowe, kształcąc nowe, zapełniając skrzętnie wszelkie luki i braki. Musi podjąć się olbrzymich tych zadań, bo kobieta Polka czuje się obywatelką swego kraju, musi, gdyż wojna wybrała najlepsze siły męskie, musi, bo nie wolno nikomu być biernym widzem wypadków — od których cała przyszłość i istnienie Ojczyzny zależy!"

Dążąc do zrealizowania powyższego programu, postanowiono pracować w następujących kierunkach:

1. Zjednywanie jak najszerszych warstw społeczeństwa w mieście i na wsi dla idei niepodległości. Środki: zakładanie kół w całym kraju, zwłaszcza na wsi — wezwanie do pracy sfer nauczycielstwa i duchowieństwa, bibljoteki ruchome, uniwersytety ludowe i t. d.
2. Opieka nad żołnierzem polskim i jego rodziną.
3. Współudział w rozwoju gospodarki krajowej przez czynny udział w unarodowieniu przemysłu i handlu — stworzenie organizacji zbytu dla wytworów rodzimych, szerzenie znajomości bogactw naturalnych kraju, zawiązywanie spółdzielni spożywczych i wytwórczych oraz polskich spółek handlowych i t. p.
4. Praca nad stworzeniem idealnego typu wychowania narodowego, jednolitego dla obu dzielnic Polski.
5. Uspołecznienie instytucyj dobroczynnych, opartych dotąd na filantropji.
6. Akcja za równouprawnieniem obywatelskiem kobiet w odradzającem się państwie polskiem. Akcje te wiążą się ściśle ze wszystkiemi pracami, objętemi programem. Aby móc wpływać na kształtowanie się nowych warunków życia w Ojczyźnie, trzeba być tej Ojczyzny obywatelem, w całem tego słowa znaczeniu. Trzeba mieć prawo głosu we wszystkich sprawach i w każdej chwili. Domagać się musimy tego prawa przedewszystkiem ze względu na dobro Polski, która, wstając z długiej niemocy, wszystkich sił swoich potrzebuje do odrodzenia.

   Współdziałając w budowie własnego państwa, chcemy mieć prawo do szczęścia, jakie daje poczucie pełnych praw i obowiązków obywatelskich.

W głębokiem skupieniu wysłuchano referatów mówczyń, fachowych we wszystkich poruszanych w programie dziedzinach (Weychert-Szymanowska, dr. Daszyńska-Golińska, dr. Ada Markowa, Jadwiga Markowska, Marja Gerzabkowa, Helena Radlińska i Zofja Moraczewska) poczem wśród nieopisanego entuzjazmu i żywego

udziału w dyskusji wszystkich delegatek uchwalono wszystkie powyższe wnioski. Zjazd kończył się w najpodnioślejszym nastroju. Zjednoczenie ideowe z siostrzaną Ligą w Królestwie było dokonane — organizacyjne połączenie nastąpić miało w najbliższej przyszłości — świetny rozwój olbrzymiej, zwartej, 13.000 członkiń liczącej, jedynej w swoim rodzaju, organizacji zdawał się zapewniony.

Niestety, bezpośrednio niemal po pięknych dniach zjazdu zbliżała się burza. Rosły fale niechęci i zawiści, zazdrości i współzawodnictwa, podsycane krecią robotą tych, którym samodzielność, odwaga a nadewszystko zdecydowane oblicze polityczne Ligi było nienawistne i wrogie.

Niechęci te i wrogie nastroje wzrosły, oczywiście, bardzo z chwilą, gdy Liga Kobiet uchwałą, powziętą jednomyślnie na zebraniu Naczelnego Zarządu z dnia 29/IX 1917 roku zadecydowała wystąpienie swoje z N. K. N. i ogłosiła je publicznie.

Historja poda kiedyś nazwiska i odkryje wszystkie ukryte sprężyny. W tej chwili nie czas na to jeszcze. Ogólnikowo tylko powiedzieć tu muszę, że były, niestety, w łonie Ligi osoby, które, ulegając podszeptom z zewnątrz, podłożyły pierwsze żagwie płonące pod gmach ukochanej organizacji.

Burza przyszła od strony najmniej spodziewanej. Odezwało się duchowieństwo. Źle, rozmyślnie fałszywie informowany arcybiskup Bilczewski wydał po zjeździe biskupów orędzie, potępiające Ligę Kobiet na całej linji za jej działalność, rzekomo przewrotową, antyreligijną, kierowaną przez czynniki liberalne w Polsce. Słowo za słowem tej głośnej w swoim czasie odezwy było błędem wielkim, krzyczącą niesprawiedliwością i ogromną krzywdą wyrządzoną Lidze, a pośrednio sprawie walki o niepodległość. Sam episkopat poznał swój błąd poniewczasie (ks. biskup Pelczar w Przemyślu i książę biskup Sapieha w Krakowie) ale już było za późno. Są słowa i czyny, których odwołać niepodobna...

Żałuję bardzo, że nie mogę tu podać tej odezwy w całości. Wyręczy mnie pamiętnik Ligi. Tam ogłosimy także prześliczną odpowiedź, napisaną i opublikowaną w obronie Ligi przez hr. Maurycego Mycielskiego, pełną żalu do duchowieństwa za niszczenie rzeczy wielkiej i bardzo pięknej. Nikt więcej nie zadał sobie trudu wystąpić w naszej obronie — wszak chodziło tylko o sprawę kobiecą!

W Lidze Kobiet zawrzało. Dzielne, odważne liżanki broniły się zawzięcie. Koło za kołem zgłaszało deklaracje, wykazujące całą bezpodstawność tego oskarżenia. Odbywały się zebrania i wiece protestujące, doszłyśmy do samego źródła wrogiej akcji, aż udało nam się wkońcu powstrzymać i osłabić jej cios.

Liga rozwijała się i pracowała niezmordowanie dalej, ale rozmach jej rozwoju, rokujący tak świetne nadzieje został osłabiony i powstrzymany właśnie w chwili, gdy był najbardziej potrzebny i pożądany.

Frondujące jednostki założyły w Krakowie „Towarzystwo Pracy Narodowej Kobiet Polskich", które zgłosiło program dosłownie niemal wzorowany na programie Ligi i wystąpiło wrogo w stosunku do Ligi na terenie Krakowa.

Cała ta akcja była oczywiście wodą na młyn naszych wrogów zewnętrznych. Policja śledcza austrjacka, z rozkazu komendy wojskowej twierdzy, dotąd (ze względów politycznych) szpiegująca naszą akcję z ukrycia — wystąpiła teraz jawnie i z całą pewnością siebie. Posypały się rewizje i prześladowania, właśnie w chwili, gdy sytuacja wymagała największego wysiłku i największego rozmachu w pracy. Odmowa przysięgi, narzuconej wojsku, „bunt" w szeregach, wślad za tem idący Benjaminów i Szczypiorno, uwięzienie Komendanta, irredenta polska P. O. W., ucieczka żołnierzy z frontów do armji rewolucyjnej w kraju — umożliwianie tej dezercji wszelkiemi środkami, na jakie tylko wpaść mogła pomysłowość walczącej o niepodległość garstki narodu, niebezpieczne ukrywanie i przewożenie zbiegów, podsycanie iskry buntu aż do wybuchu rewolucji, wypełniły długie miesiące 1917 i 1918 r.

Liga Kobiet, szpiegowana czujnie, musiała przeistoczyć się w organizację napół nielegalną, podziemną. Nie mając zatwierdzonego przez władze statutu (dzięki staraniom wewnętrznych „przyjaciół") istniała nadal jako „Komitet Obywatelski Kobiet Polskich" i, wydając tajne okólniki, brała udział we wszystkich bez wyjątku akcjach rewolucyjnych, szczęśliwa i dumna, że wbrew nadziei wewnętrznych i zewnętrznych wrogów przetrwała wszystkie ciosy i wytrwała na swym posterunku ideowym do samego końca.

Karząca ręka sprawiedliwości dosięgnąć ją miała u schyłku 1918 r. Akta śledcze tajnej austrjackiej policji zostały oddane sądowi i miał się rozpocząć wielki proces, wytoczony Lidze Kobiet o zdradę stanu.

Ale przyszły wielkie dni listopadowe 1918 roku i zmiotły tajną policję, sądy wojenne i... monarchję austro-węgierską[1]).

[1]) Niepodobna w krótkim zarysie omówić obszernie działalność kilkuset kół Ligi Kobiet Galicji i Śląska. Wszystkie mają jednakowe zasługi i jednakowo piękną kartę w historji. W ramach niniejszej pracy zadowolić się musimy sprawozdaniem z jednego tylko koła Ligi, koła lwowskiego, które wybrano dlatego, że Lwów w walce o niepodległość najcięższe przechodził koleje i najkrwawsze złożył ofiary, należy mu się zatem wyjątkowe miejsce w księdze wspomnień z tego okresu.

Helena Waniczkówna.

LWOWSKIE KOŁO LIGI KOBIET.

Lwowska Liga Kobiet jest jedną z organizacyj społecznych, których powstanie, racja bytu i działalność wiąże się najściślej z przeżyciami wojennemi Lwowa. Zarówno w okresie wielkiej wojny, jak w czasie zajęcia i oblężenia miasta przez Ukraińców, jak wreszcie w czasie wojny bolszewickiej odegrała ona wybitną rolę. Była najliczniejszą (około 800 członkiń) i najczynniejszą organizacją kobiecą i jednem z najruchliwszych i najżywotniejszych stowarzyszeń w mieście. Przez liczne zaprzyjaźnione z nią koła Lig prowincjonalnych oraz przez swe stosunki z ziemiaństwem, nauczycielstwem i klerem wiejskim promieniowała na szereg miasteczek i wsi Galicji Wschodniej.

Założono ją 11 lipca 1915 r., a więc w kilkanaście dni po oswobodzeniu Lwowa od najazdu rosyjskiego.

Stworzyły ją gorliwe bojowniczki idei niepodległości, które pracowały dla tej idei już od szeregu lat w różnych stowarzyszeniach i związkach, a, z chwilą wybuchu wielkiej wojny, wzięły czynny udział w akcji legjonowej.

Na czele Ligi stanęła uczestniczka powstania 1863 r. Zofja Romanowiczowa, która mimo podeszłego wieku gorącem swem sercem i młodą myślą umiała sharmonizować się z ruchem młodego pokolenia i swą piękną i ukochaną przez wszystkie członkinie Ligi postacią symbolizowała niejako łączność naszą z ostatnim zbrojnym ruchem niepodległościowym. Obok niej sprawowały urząd wiceprzewodniczących p.p. Michalina Mościcka, H. Pawlewska, oraz J. Tomicka, które pełnię swych sił i wszystkie godziny pracowitych dni poświęcały wytężonej pracy w Lidze.

Nie mogąc wziąć udziału z bronią w ręku w walce o wolną Polskę, podjęła się Liga ważnego zadania popierania moralnego i materjalnego Legjonów, opiekowania się rodzinami legjonistów i pozostałemi po nich sierotami oraz organizowania szerokich mas kobiet do zadań, które domagały się spełnienia.

Opieka nad legjonistami i ich rodzinami, jako najbliższe zadanie chwili, skupiła w sobie najliczniejsze grono członkiń. Sekcja opieki nad legjonistami w polu, na czele której do 1917 r. stała niestrudzona p. Pawlewska, dokazywała cudów. Pokrywała ona braki w wyekwi-

powaniu legjonistów, pozostających na froncie, w kadrach, w koszarach, szpitalach, zaopatrywała w bieliznę i t. p. odchodzących ze Lwowa rekrutów oraz dostarczała ciepłych rzeczy na zimową kampanję, załatwiała żołnierzom różne sprawy rodzinne i majątkowe, których z powodu oddalenia, lub zbyt krótkiego urlopu załatwić nie mogli, zbierała, przygotowywała i wysyłała dary świąteczne i t. d.

Wspaniale wypadały dary gwiazdkowe i wielkanocne. Okres przedświąteczny był najruchliwszym z całego roku. Odezwy, odwołujące się do ofiarności społeczeństwa drukowane w pismach i rozrzucane po mieście w tysiącach egzemplarzy, docierały do wszystkich warstw. To też śpieszono z darami w naturze i datkami pieniężnemi.

Wysyłka większych ilości rzeczy odbywała się na żądanie dowództw poszczególnych grup bojowych, izb chorych, szpitali i t. p. za pośrednictwem przysłanych żołnierzy lub przez odkomenderowaną w tym celu eskortę z lwowskiej stacji zbornej.

Członkinie Ligi szyły w domu rękawice, pasy nabrzuszne, chlebaki i plecaki, chorągiewki, futerały na instrumenty muzyczne. Uczenice szkół średnich wyrabiały kamasze i kominiarki z wełny, dostarczanej przez Ligę, obrębiały chustki i robiły pudełka na papierosy do darów świątecznych.

Sekcja prowadziła ożywioną korespondencję z żołnierzami na froncie dla podtrzymania ich ducha i zaznaczenia solidarności społeczeństwa z ideologją Legjonów. Pośredniczyła również na żądanie rodzin w zbieraniu wiadomości o zaginionych żołnierzach. Nadesłane z frontu przez lekarzy lub kapelanów rzeczy, znalezione przy poległych, przechowywała w biurze Ligi i zwracała rodzinom, w miarę ich zgłaszania się, po odpowiednim komunikacie w pismach.

Z powodu rozrostu agend sekcji wyłoniła się potrzeba utworzenia kilku jeszcze sekcyj specjalnych. We wrześniu 1915 r. założyło Koło nową instytucję opieki legjonowej a mianowicie „Dom Superarbitrowanych" pod opieką obszerniejszego komitetu, na którego czele stała p. E. Jędrzejewiczowa. W lutym 1916 r. powstała sekcja szpitalna z p. Z. Obmińską na czele, mająca na celu opiekę nad chorymi legjonistami w szpitalach lwowskich i zamiejscowych. W kwietniu zaś tego roku wyodrębniła się sekcja książkowa, zaopatrująca w książki legjonistów w polu, przyjezdnych, szpitale, uzdrowiska, „Dom Superarbitrowanych", gospodę legjonową i obozy jeńców z Królestwa w Czechach. Dzięki umiejętnemu kierownictwu przewodniczącej p. Tomickiej i wytrwałej pracy p. p. Wł. Grefnerówny i Domaszewskiej oraz ofiarności wydawców (Altenberg) i osób prywatnych, sekcja książkowa wysłała do 1/XII 1916 r., a więc w ciągu pierwszych 7 miesięcy swego istnienia przeszło 22 tysiące książek. Można śmiało po-

wiedzieć, że nietylko z powodu ilości, ale i doboru książek sekcja ta miała ogromne znaczenie, które chociaż może nie było widoczne bezpośrednio, niemniej jednak było doniosłe. W r. 1917 sekcja zajęła się również dostarczaniem podręczników do nauki dla legjonistów analfabetów i uczniów. W paru wypadkach zostawiała bibljoteczki dla akcji oświatowej, prowadzonej przez nauczycielstwo wiejskie.

Ostatnią wreszcie instytucją Ligi lwowskiej z zakresu opieki nad legjonistami była gospoda legjonowa, założona w listopadzie 1916 r. utrzymywana z subwencji miasta, ofiar, przedsiębiorstw i opłat za posiłki. Gospoda ta, pod wytrawnem kierownictwem p. J. Bogdanowiczowej, z sekretarką p. Bartlową i skarbniczką p. Zgórską na czele, stała się ośrodkiem życia towarzyskiego legjonistów i kół zwolenników idei legjonowej.

Liga Kobiet otoczyła także opieką rodziny legjonistów, udzielając im zapomóg pieniężnych, dostarczając im odzieży, prowjantów, obiadów w swej kuchni, starając się o zajęcie, pośrednicząc w stosunkach z władzami wojskowemi, urządzając wspólne wigilje, święcone i t. p. Pracami tej sekcji kierowały kolejno p. Topór-Kisielnicka, ś. p. Stankiewiczowa i ś. p. A. Stachiewiczowa.

Najmilszą instytucją Koła, która przetrwała dotąd i skupia dokoła siebie dzisiejsze członkinie lwowskiej Ligi Kobiet, była ochronka im. Piłsudskiego, wychowująca dzieci legjonistów. Z początku czynna tylko w ciągu dnia, otworzyła niebawem internat i wychowywała w swych murach kilkadziesięcioro dzieci, które corocznie w miesiącach letnich wywoziła na letnisko. Kierowniczką ochronki była p. F. Lazarusówna, pełna nie słabnącego nigdy zapału i poświęcenia, zasobna w fachową wiedzę, przewodniczka dzieci, pod której kierunkiem pracowały ochroniarki. Po p. Lazarusównie oddała się całą duszą swej pracy p. Nina Kelles-Krauzówna. Ochronka ta z powodu wysokiej wartości pedagogicznej była chlubą lwowskiego Koła Ligi, a wartość jej uznana została przez wizytujących ją inspektorów Rady Szkolnej. Była ona terenem praktyki dla młodych kandydatek na ochroniarki i zwiedzana była przez seminarzystki państwowego seminarjum we Lwowie. W r. 1916 odwiedził ochronkę Swego imienia Komendant Piłsudski, witany serdecznie przez dziatwę.

Ochronka pozostawała pod opieką sekcji ochroniarskiej, która dbała o jej potrzeby. Przy ochronce funkcjonowała kuchnia dla dzieci z ochronki i rodzin legjonistów. Kuchnia ta była założona wraz z ochronką już w lipcu 1915 r. i pozostawała pod kierunkiem sekcji gospodarczej, której przewodniczyła niestrudzona p. M. Dolińska.

Cała praca opieki legjonowej w Lidze lwowskiej zasilana była finansowo z różnych źródeł. Dawał w naturze, t. j. w postaci prowjan-

tów, lokalu, opału, światła, oraz subwencji zarząd miasta. Płynęły hojne datki pieniężne ze wszystkich kół społeczeństwa, towary od ofiarnego kupiectwa, wreszcie dary w naturze od ubogich rodzin i okolicznych włościan.

Ile pracy i zachodu trzeba było, aby nagromadzić potrzebne fundusze, wie o tem najlepiej szereg pań, które tę niewdzięczną i żmudną pracę wykonywały w sekcji dochodowej z p. Bogdanowiczową na czele, wie o tem niestrudzona skarbniczka Koła Ligi p. Michalina Mościcka, która cudów dokonywała, aby zaopatrzyć sprawiedliwie wszystkie sekcje.

Imprezy artystyczne Ligi miały swe ustalone powodzenie, dzięki ofiarności naszych artystów: p. p. Korolewicz-Waydowej, Barwińskiej, Ottawowej i in. Przedsiębiorstwem nietyle dochodowem, ile propagandowem był sklep Ligi Kobiet z wydawnictwami legjonowemi, założony w październiku 1915 r.

Liga lwowska miała później i własne wydawnictwa jak: Kalendarzyk Kieszonkowy na r. 1916 z artykułem o Lidze, Ilustrowany Kalendarzyk Obrońców Lwowa na r. 1919 z opisem obrony Lwowa i wydawnictwo książkowe „Serce Polskie", którego treścią są ostatnie walki o wolność.

Opieka legjonowa była pierwszem i najgłówniejszem naszem zadaniem. Niemniej jednak została dokonana i druga bardzo ważna praca: Liga zorganizowała szerokie masy kobiet i skupiła wielki, można powiedzieć przeważny, w owych czasach, liczebnie odłam społeczeństwa lwowskiego około myśli niepodległościowej. Setki kobiet, bez względu na ciężkie czasy, trudności aprowizacyjne i wszystkie kłopoty i utrapienia wojenne, uczestniczyły w różnych zebraniach Ligi, na których informowały się o sprawach narodowych, politycznych i wojskowych.

Wiedziałyśmy i czuły, że od nas zależy postawa i duch tego kresowego miasta. To też we wszystkich momentach natury politycznej wypowiadałyśmy swoje słowo. Od nas wychodziła inicjatywa i my reprezentowałyśmy społeczeństwo lwowskie.

Widomym tego znakiem było uroczyste przyjęcie, zgotowane przez Ligę Kobiet Józefowi Piłsudskiemu we Lwowie 18 marca 1916 r. Nietylko my, ale i On pamięta zapewne ten uroczysty nastrój na galowem przedstawieniu „Halki" w Teatrze Miejskim, w wigilję Jego Imienin i ten z konieczności milczący, a mimo to wymowny hołd, jaki mu złożyła elita duchowa ówczesnego Lwowa, następnego dnia w sali Kasyna Miejskiego. Tysiące nazwisk położone pod adresem, wręczonym Mu przez Ligę Kobiet, świadczyły o Jego wpływie na serca i umysły Lwowa.

Liga Kobiet zorganizowała kilka kół pomocniczych, np. koło urzędniczek Namiestnictwa „Pomoc" (50 członkiń), „koło samokształcenia" wśród młodzieży szkół średnich, „koło młodzieży" złożone głównie ze studentek uniwersytetu. Jako koło stołeczne wywierała Liga Kobiet wpływ na bliższe miasta prowincjonalne.

Liga Lwowska pracowała w ścisłym kontakcie z Naczelnym Zarządem w Krakowie i uczestniczyła w licznych zjazdach w Krakowie i Warszawie. Rolę łącznika spełniała p. M. Krauzowa, jedna z głównych podpór Ligi lwowskiej.

Nie ograniczając się do spraw pomocy i opieki legjonowej, podejmowała Liga Kobiet cały szereg akcyj społecznych zgodnie z nakazem chwili i po linji swej ideologji.

Kwestję kobiecą ujęła w swe ręce specjalna sekcja z p. Dekańską i Laskownicką na czele. Sekcja ta domagała się równo uposażonych szkół dla młodzieży i politycznego równouprawnienia kobiet. Jedną z jej akcyj w marcu 1916 r. były: sprawa ochrony kobiet od chorób wenerycznych i poparcie projektowanych przez lekarzy zmian i ulepszeń w odnośnych szpitalach. Memorjał do władz w tej sprawie podpisały wszystkie lwowskie stowarzyszenia kobiece. Sekcja ta przekształciła się wkrótce w sekcję kulturalno-społeczną, która zainicjowała akcję zwalczania zbytku (odezwa, odznaki) oraz opiekę nad opuszczonemi dziećmi. Dzięki p. M. Dobrzyckiej, Liga założyła w sierpniu 1916 r. i utrzymywała przy wydatnej pomocy miasta „Gniazdko Dziewczęce", które było pierwszą tego rodzaju instytucją we Lwowie. Również z inicjatywy i staraniem Ligi powstała 15.I 1918 r. i pod jej kierunkiem rozwijała się pierwsza we Lwowie „Świetlica" dla uczenic szkół lwowskich, która oddawała im na popołudniową naukę salę opaloną i oświetloną i zapewniała opiekę i fachową pomoc nauczycielską. Kierownictwo tej świetlicy spoczywało w rękach p. Z. Napadiewiczówny.

W kwietniu r. 1917 powstał pod kierunkiem p. Czerszyk-Bąkowskiej i p. M. Jaworskiej tygodniowy kurs dla działaczy oświatowych, na który uczęszczało 50 osób, głównie nauczycielek z prowincji. Obejmował on w 22 wykładach wskazówki dla pracowników oświatowych.

Realny wpływ na uzdrowienie stosunków gospodarczych i walkę z dokuczliwą drożyzną i rozwielmożnionem paskarstwem, starała się Liga lwowska wywrzeć przez założenie towarzystwa utrzymującego spółdzielnię spożywczą. Na czele stanęła inicjatorka tej akcji p. Feldsteinowa.

Rok 1917 był rokiem ciężkich walk dla Ligi lwowskiej. Przyjacielskie stosunki i zgodna współpraca z lwowską Delegacją N. K. N. popsuły się w tym roku w związku ze zmianą kierunku politycznego,

jaki zaszedł w kierownictwie tej Delegacji. Delegacja lwowska w pierwszej fazie swego istnienia, w której czynni byli ludzie tej miary, co prof. Ignacy Mościcki, ś. p. rektor Padlewski, rektor Anczyc, ś. p. dyr. Tomicki, prof. Obmiński, ś. p. poseł Lisiewicz, dawała pełną gwarancję nieskazitelnej wierności hasłom rzuconym przez Józefa Piłsudskiego. Idealne te warunki współpracy skończyły się jednak w r. 1917 i wówczas musiała Liga pomyśleć o zupełnym rozdziale swych agend.

Na przełomie r. 1917 i 1918-go zaczęło być również za ciasno Lidze Kobiet we Lwowie ze względu na zwrócone na nią baczne oko władz austrjackich. Wszelkie imprezy dla zdobycia funduszów na cele legjonowe napotykały na przeszkody ze strony „Opieki Wojennej", która tylko nikły procent swych dochodów przeznaczała na formacje legjonowe. Wreszcie „nieprawomyślność" członkiń Ligi lwowskiej ściągnęła na nią grozę zamknięcia. Przestrzeżone zawczasu musiałyśmy zmienić co rychlej firmę.

Chcąc skonsolidować dwa pokrewne ideowo odłamy kobiet, weszła Liga w porozumienie z Komitetem Pracy Obywatelskiej, którego duszą była niezapomniana ś. p. M. Dulębianka i ś. p. Hozerowa. Oba towarzystwa złączyły się do wspólnej pracy dnia 20 stycznia 1918 r. i przyjęły wspólną nazwę Komitetu Obywatelskiego Polek. Wobec klęsk i krzywd, które dotknęły w czasie wojny Polskę i wobec politycznych konjunktur, godzących w najżywotniejsze interesy narodu, uznałyśmy organizację narodową za pierwszy środek samoobrony a więc za najaktualniejszą kwestję doby bieżącej. Żywiłyśmy nadzieję, że organizacja kobiet stanie się podstawą przyszłej organizacji narodowej, zapoczątkowanej przez Delegację Stronnictw Politycznych.

W związku z odzyskaniem niepodległości charakter naszej pracy zmienił się. Opieka nad żołnierzami zeszła na plan drugi, na pierwszy wysunęła się kwestja organizacji mas kobiecych do zadań społecznych i politycznych rozpoczynającej się nowej ery.

Leokadja Śliwińska.

LIGA KOBIET POGOTOWIA WOJENNEGO.

Okres lat 1915 — 1918 był okresem największego rozwoju Ligi Kobiet P. W. na terenie byłej Kongresówki.

Gdy w r. 1914 na ziemiach b. zaboru rosyjskiego konspiracyjnie funkcjonowało tylko 6 kół: w Warszawie, Ząbkowicach, Dąbrowie Górniczej, Będzinie, Kielcach i Końskich — po wycofaniu się wojska rosyjskiego koła Ligi zawiązują się niemal samorzutnie wszędzie, gdzie tylko ukaże się żołnierz polski.

Prace Ligi Kobiet P. W. skupiają się w pierwszej linji około potrzeb żołnierza. Niosąc mu pomoc materjalną, Liga Kobiet usiłuje otoczyć go jak najsilniejszem poparciem moralnem i dlatego wkracza na pole działalności politycznej, budząc społeczeństwo polskie z wygodnej bierności, wzywając je do poparcia czynu zbrojnego. Podporządkowana nakazom, idącym od Komendanta Piłsudskiego, bierze Liga udział we wszystkich przejawach życia narodowego, czujna na każdy ruch, na każdy zew.

W ciasnych ramach niniejszego artykułu postaram się dać obraz faktyczny całokształtu prac Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego.

Długo jeszcze po zajęciu byłego Królestwa przez wojska państw centralnych, żołnierz polski boleśnie się uskarżał, że czuje się tu, jak w kraju obcym, i tylko zawsze i niezawodnie witała go z całym entuzjazmem Liga Kobiet.

Wśród społeczeństwa, przeważnie obojętnego, jeżeli nie wręcz wrogiego Legjonom, nieliczne narazie koła Ligi z niesłabnącym zapałem pokonywały trudności, by zdobyć środki konieczne do zaopatrywania Legjonów.

Wszystkie niemal koła Ligi organizowały gospody, herbaciarnie, schroniska, kantyny na dworcach, szwalnie i pralnie.

Stale posyłano na front paczki z bielizną, ciepłą odzieżą, obuwiem, artykułami żywności. Załączano papierosy, książki i pisma, materjały piśmienne, a serdeczne listy do drogiego, choć często nieznanego osobiście żołnierza, mówiły o gorącej chęci ulżenia mu w trudach.

Ze szczególną radością członkinie Ligi przygotowywały gwiazdkę i święcone, zagrzewając stopniowo coraz szersze koła kobiet dotąd obojętnych i wciągając je do współpracy.

W trosce o rannych koła organizowały kursy sanitarne i niosły wydatną pomoc, pielęgnując rannych w szpitalach.

By ułatwić legjonistom utrzymywanie kontaktu z ich rodzinami, koła Ligi na mocy umowy z Pocztą listów prywatnych delegowały swoje członkinie, jako stałe funkcjonarjuszki, do tejże poczty kierowanej przez Oddział Żeński P. O. W.

Żołnierz urlopowany znajdował na tyłach serdeczne przyjęcie. Herbaciarnia, zebrania towarzyskie, wieczornice umilały mu chwile odpoczynku, a widowiska, odczyty, pogadanki dla żołnierzy, kursy dla analfabetów, bibljoteki zaspakajały jego pragnienia kulturalne.

Koła Ligi z okręgu Zagłębie w r. 1914 zorganizowały pierwsze na terenie Kongresówki koszary strzeleckie.

Koło olkuskie, z pietyzmem gromadząc pamiątki z bojów o wolność w r. 1916, założyło Muzeum Wojenne.

Gdy w r. 1916 Komendant Piłsudski podał się do dymisji i znaczna część I Brygady przeszła do „cywila", koła Ligi zajęły się ukrywaniem nielegalnych, wyszukiwaniem pracy dla superarbitrowanych i aresztowanych. A po uwięzieniu Komendanta w Magdeburgu, odmówieniu przysięgi przez legjonistów i wślad zatem po uwięzieniu ich w Szczypiornie i Benjaminowie, Liga zorganizowała pomoc dla internowanych i zainicjowała szereg ostrych manifestacyjnych protestów.

Ale ten moment odnosi się już do politycznej działalności Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego, o czem będzie mowa poniżej.

Z dziedziny prac, mających za zadanie pomoc dla żołnierza walczącego na froncie, wymienić jeszcze należy troskliwą opiekę, jaką Liga Kobiet otoczyła rodziny legjonistów. Liga otrzymywała od P. O. W. spisy żołnierzy, którym trzeba było udzielić pomocy, odszukiwano ich rodziny, organizowano akcję pomocy, bądź przez wydawanie żołnierzom bezpośrednich zasiłków i wynajdywanie dla nich pracy, bądź przez otaczanie serdeczną opieką ich dzieci, tworzenie dla nich kolonij i ochronek, wreszcie przez dożywianie dzieci, tak często w czasie okupacji gnębionych głodem.

Niech mi wolno będzie przytoczyć parę cyfr. Z zestawienia kasowego kół Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego za czas od sierpnia 1915 r. do czerwca 1917 r. wynika, że:

na rzecz	żołnierzy L. K.	wydała	62%	swoich	funduszów
„ „	rodzin żołnierzy	„	20%	„	„
„ cele	kulturalne	„	5%	„	„
„ „	organiz. i administr.	„	8%	„	„
„ „	P. O. W.	„	4%	„	„
„ „	inne	„	1%	„	„

P. Jadwiga Marcinowska, jedna z założycielek Ligi Pogotowia Wojennego w 1913 r., przewodnicząca Koła Warszawskiego. Niestrudzona działaczka niepodległościowa.

Dwie ostatnie pozycje: pomoc dla P. O. W. i innych organizacyj prowadzą nas do omówienia drugiej strony działalności Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego: jej udziału w akcji niepodległościowej.

Udział ten łatwo jest scharakteryzować.

Bez wahań, bez zboczeń, niezłomnie Liga kroczyła drogą, wskazaną przez Komendanta Piłsudskiego. Czujna na każdy zew, brała udział we wszystkich przejawach życia narodowego.

Gdy w pierwszym roku po wycofaniu wojska rosyjskiego na większą część społeczeństwa polskiego w Królestwie padł blady strach, gdy było ono jak sparaliżowane myślą o tem, co będzie, gdy wojsko to wróci.... Wówczas całą niemal niwę narodową trzeba było przeorać ostrzem myśli wyzwoleńczej.

I do tej to pracy z entuzjazmem i wiarą przystąpiła Liga Kobiet Pogotowia Wojennego.

W większych ośrodkach, jak Warszawa, Lublin, gdzie skupiały się zwarte polityczne organizacje niepodległościowe, siłą rzeczy Liga Kobiet podejmowała się tylko części pracy.

Lecz we wszystkich mniejszych miastach i miasteczkach — twierdzę to na mocy relacyj, dochodzących naówczas od członkiń P.O.W.— ruch niepodległościowy był budzony i rozwijany przez Ligę Kobiet. Biorąc na swe barki całą odpowiedzialność i całą pracę, Liga wywiązywała się z niej znakomicie.

Niezliczone wiece, odczyty, pogadanki, dyskusje... Manifestacje w każdej chwili doniosłej, w każdą rocznicę narodową, pochody ze sztandarami, na których radośnie powiewał symbol wolności od lat stu ukrywany w głębi marzeń i tęsknoty, manifestacje, które budziły serca, a na usta przywoływały okrzyk triumfu i wiary...

Własne pismo „Na posterunku", wydawane wspólnie przez Ligi Królestwa, Galicji i Śląska pod redakcją p.p. J. Marcinowskiej i Z. Daszyńskiej-Golińskiej...

Wydawanie odezw, ulotek i broszur, kolportaż pism niepodległościowych, kolportaż, który wymagał narażania się władzom okupacyjnym, ciężkiej pracy i pokonywania ogromnych trudności...

Sklepy, zakładane przez Ligę, gdzie dostać można było zakazaną przez okupantów bibułę, odznaki, karty, a przedewszystkiem fotografje z frontu Komendanta i chłopców...

Jakiż to długi łańcuch niezapomnianych chwil upojenia, gdy od tak dawna przytłoczona kamieniem pierś nareszcie odetchnąć mogła wiewem wolności.

Tymczasem szeregi nasze pomnażały się wciąż; nabierały w pracy tężyzny i hartu, musiały krystalizować swą wolę.

Jednem z pierwszych zagadnień, które rozstrzygnąć musiała Liga, stał się stosunek jej do dwu ugrupowań politycznych, które w przeciągu pierwszego roku ukształtowały się w Polsce. Z jednej strony Naczelny Komitet Narodowy w Galicji, Departament Wojskowy i Liga Państwowości Polskiej na terenie Królestwa opierały się na sojuszu z Austrją. Z drugiej strony Centralny Komitet Narodowy, który reprezentował działalność polityczną P. P. S., N. P. R., Stronnictwa Ludowego, Związku Patrjotów i Związku Radykałów Narodowych, nie krępując ich zależności organizacyjnej, idąc pod wodzą Komendanta Piłsudskiego, uniezależniał swą politykę od okupantów i dążył do stworzenia już w czasie wojny — Rządu Narodowego, który da oparcie polskiemu wojsku.

Wśród członkiń Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego ujawniło się ciążenie do obu tych obozów. W końcu 1915 r. nastąpił rozłam największego Koła Ligi — Koła Warszawskiego. Zdawało się, że grozi on całej organizacji.

Tymczasem zjazd delegatek wszystkich kół, który się odbył w Piotrkowie w sierpniu 1916 r., doprowadził tylko do secesji 2 kół na ogólną liczbę 173 członkiń, które jednomyślnie wypowiedziały się za zsolidaryzowaniem działalności politycznej Ligi z działalnością C. K. N-u przy zachowaniu całkowitej niezależności organizacyjnej.

Na mocy tej uchwały przewodnicząca Ligi Kobiet weszła do Zarządu C. K. N-u.

Wagę zjazdu sierpniowego w życiu Ligi odźwierciedla następująca depesza, wysłana do Komendanta Piłsudskiego:

Naczelniku!

„Pragniemy Cię zawiadomić, że L. K. P. W. przeżyła w ciągu dni ostatnich ciężkie wstrząśnienie.

Ścierała się myśl śmiała i bezwzględna, myśl walczącej Polski, ta myśl, której Ty jesteś wyrazicielem wśród Narodu, z myślą kompromisową.

Twoja myśl zwyciężyła.

Czeka nas wiele przeciwieństw i trudów, ale się wobec nich nie zawahamy".

Istotnie, niejedna trudność po zjeździe piotrkowskim ze strony Departamentu Wojskowego była do pokonania, ale skrzepiona poczuciem swej jednomyślności organizacja Ligi szybko poczęła zdążać ku swemu najwyższemu rozwojowi.

Zjazd w czerwcu r. 1917 zastaje Ligę więcej niż zdwojoną. Ilość kół wzrosła z 71 do 164. Ilość członkiń wzrosła do 4000. W poczuciu siły i znaczenia organizacji, Zjazd ten powziął szereg doniosłych

uchwał politycznych, z których dla braku miejsca przytoczę tylko trzy naczelne. W pierwszej:

„Zjazd wypowiada się za bezwzględną walką z okupantami i za koniecznością skupienia wszystkich aktywnych sił Narodu dla tworzenia własnej siły narodowej do walki o faktyczną władzę na ziemiach polskich".

W drugiej uchwale w logicznym związku z pierwszą:

„Zjazd uznaje konieczność dalszego współdziałania z P. O. W., która, będąc wyrazem samodzielnego dążenia narodu do wytworzenia własnej armji, pracą swą wzbudziła w narodzie wiarę w możność posiadania własnego wojska narodowego".

W trzeciej wreszcie uchwale Zjazd zaleca jak najenergiczniejszą działalność niepodległościową wśród kobiet wiejskich, która to działalność już w r. 1916—17 dała Lidze Kobiet 39 kół ludowych na ogólną liczbę 164 (obok 39 kół ludowych Liga liczyła czysto inteligenckich — 64, mieszanych — 51 i drobno-mieszczańskich — 10).

Koła ludowe powstały licznie w okręgach kieleckim, olkuskim, lubelskim, łukowskim, t. j. tam, gdzie Liga pracowała obok stronnictw ludowych. Organizując dla kobiet wiejskich placówki kulturalne i pociągając je jednocześnie do niesienia pomocy legjonistom i peowiakom, Liga Kobiet znakomicie przyczyniała się do przekształcenia psychologji chłopa.

Koła ludowe rozwijały się najlepiej i pracowały najdłużej w okręgu łukowskim. W okręgach olkuskim i kieleckim nie ostały się wobec wrogiej akcji kleru. Odmawiając członkiniom Ligi posług religijnych, wytykając je z ambony, szykanując w szkołach, księża doprowadzili w r. 1917—18 do zlikwidowania kół wiejskich i do znacznego przetrzebienia kół inteligenckich.

By zamknąć okres rozwijania się Ligi, jej sił i znaczenia od sierpnia 1915 r. do sierpnia 1917 r. pozwolę sobie przytoczyć odpowiedź Tymczasowej Rady Stanu na adres, który złożyła Liga jednocześnie z adresami, składanemi przez inne organizacje niepodległościowe Tymczasowej Radzie Stanu, wkrótce po jej powołaniu w styczniu 1917 r.

Odpowiedź brzmi, jak następuje:

„W adresie Czcigodnych Pań znajdujemy słowa gorącej miłości Ojczyzny, widzimy cześć i zrozumienie dla wagi czynu polskiego. Wysoko ceniąc dotychczasową działalność L. K. P. W., wierzymy, iż dalsza jej praca niejedną przyniesie korzyść dla tych szeregów, które może już wkrótce staną na nasze wezwanie, by bronić wolności odrodzonej Polski. Wierzymy, iż w zaszczytnej pracy dla Polski nigdy nie zbraknie twórczej inicjatywy i gorącego zespołu kobiet polskich".

Niech mi wolno będzie porównać rozwój Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego z rozwojem Ligi Kobiet Galicji i Śląska. Różnice między niemi doskonale uzmysławia zestawienie liczby kół i członkiń. Gdy w r. 1917:

L. K. P. W. liczyła 164 kół i 4.000 członkiń,

L. K. Galicji liczy 102 kół i 13.500 członkiń.

Większa ilość kół w Królestwie tłumaczy się zakładaniem kół ludowych (39) i drobnomieszczańskich (10), których nie widzimy w Galicji.

Ogromna przewaga ilości członkiń w Galicji w zestawieniu z ilością członkiń Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego jest spowodowana tem, że Liga Kobiet Galicji i Śląska powstała w r. 1915, w momencie powszechnego entuzjazmu dla Legjonów; że popieranie polskiej akcji zbrojnej nie przeciwstawiało się zaborcy; że wreszcie Galicja miała liczne momenty, budzące żywiołowy poryw entuzjazmu, jak formowanie kadrów strzeleckich, wymarsz tychże do Kielc oraz stały z niemi kontakt.

Tymczasem Liga Kobiet Pogotowia Wojennego, zawiązana w roku 1913 w ciągu dwóch lat zmaga się z groźnemi warunkami pracy podziemnej; po wybuchu wojny działa wśród społeczeństwa, wzburzonego barbarzyńskiem zniszczeniem Kalisza, obrazem stratowanej Belgji i Francji, pracująca wśród społeczeństwa, dla którego wojsko rosyjskie było osłoną przed niszczycielskim pochodem Atylli. Trzeba też pamiętać, że w zachodniej i południowej połaci kraju front bojowy wielokrotnie posuwał się i cofał i że tam inicjatywa założenia Koła Ligi przez wracającego zaborcę była traktowana, jako zdrada stanu.

Zjazd czerwcowy 1917 r. był momentem najwyższego rozwoju Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego.

W miesiąc później Komendant został osadzony w Magdeburgu, oddziały legjonowe, które odmówiły przysięgi Beselerowi—internowane.

Liga Kobiet bez wahania wkracza na drogę ostrego protestu przeciw okupantom. Wysyła memorjał do Tymczasowej Rady Stanu wzywający do uwolnienia internowanych, wydaje ostre odezwy, które piętnują uwięzienie legjonistów, agituje za wydawaniem takich samych protestów przez rady miejskie, powiatowe i gminne.

Ostre jej wystąpienia ściągają niebawem represje ze strony okupantów. Koła warszawskie, siedleckie, łódzkie i częstochowskie zostają zamknięte przez władze i razem z szeregiem innych zakonspirowują swoją działalność. Członkinie Ligi p. p. D. Lipińska, M. Żarska i inne zostają uwięzione. Następują liczne rewizje, szykany.

Trudności w komunikacji osobistej i pocztowej, jak również prześladowanie ze strony władz okupacyjnych dezorganizują Ligę K. P. W., której szeregi w r. 1918 topnieją o 50% członkiń.

Ośrodki jednak organizacji mężnie stawiają czoło burzy. Pozbawione swej pracy podstawowej, akcji pomocy wojsku, którego szczątki są internowane w obozach dla jeńców, koła Ligi z całem oddaniem zajmują się losem uwięzionych i ukrywających się legjonistów i peowiaków, dostarczają im paszportów, pomocy, pracy zarobkowej i schronienia.

W zmienionych warunkach żywotna organizacja Ligi szuka dalszej ekspansji swej energji i wkracza na nowe pola pracy w zakresie opieki społecznej, zwłaszcza opieki nad dzieckiem, w pracy kulturalno-oświatowej, w agitacji za równouprawnieniem kobiet, nie ustając w działalności niepodległościowej i demokratycznej.

Wreszcie Liga stawia sobie za zadanie pracę nad podniesieniem etyki życia publicznego, w którego czystości widzi gwarancję zdobycia i utrwalenia niepodległości. Ten dział pracy zainicjowała pięknie i głęboko ujętym projektem p. J. Marcinowska (w r. 1917).

W momencie szukania nowych dróg zastaje Ligę Kobiet rewolucja niemiecka, powrót Komendanta i rozbrojenie okupantów. Raz jeszcze porwana upojeniem walki, śpieszy z pomocą Polskiej Organizacji Wojskowej. A z chwilą wyzwolenia Polski od najazdu rozpoczyna nowy okres swojego istnienia.

Okres ten nie wchodzi już jednak w ramy zakreślone dla niniejszego artykułu.

W trudnem zadaniu zobrazowania tak wszechstronnej działalności Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego na łamach krótkiego artykułu z konieczności pominąć muszę milczeniem nazwiska długiego szeregu osób, które zasłużyły się pracom Ligi.

Pomijam je i dlatego, że sprawozdania z poszczególnych okręgów, na podstawie których zestawienie powyższe zostało opracowane, nie wymieniają nazwisk licznych a bardzo zasłużonych działaczek.

Sprawozdania te raz jeszcze ujawniły cechę, którą zawsze odznaczała się organizacja Ligi. Jest nią gotowość do ofiarnej pracy bez szukania rozgłosu i sławy.

Wspomnę tu jeszcze, że wybitną cechą wewnętrznego życia Ligi były jednomyślność i zapał do pracy oraz wysoki poziom obradowania, który uderzał zwłaszcza w licznie obsyłanych zjazdach ligowych.

Historja Ligi, wszystkie szczegóły drogiej nam pracy, życiorysy i wspomnienia, nazwiska członkiń utrwali pamiętnik, do którego opracowania przystępuje obecny Zarząd Naczelny Ligi Kobiet.

Na tem zaś miejscu wspomnę tylko, że od 1914 r. do 1917 wielce zasłużoną i niezapomnianą przewodniczącą Ligi, jej duszą i ogniem, jej sumieniem była p. Jadwiga Marcinowska.

Po jej ustąpieniu w r. 1917 zjazd Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego obrał za przewodniczącą p. Z. Moraczewską, która pod światłym swoim kierunkiem zjednoczyła Ligi Królestwa, Galicji i Śląska, wiodąc je wytrawną dłonią ku nowym celom.

Przed przybyciem P. Moraczewskiej do Warszawy pracami Zarządu Naczelnego Ligi kierowała w r. 1917 — 1918 wiceprzewodnicząca p. H. Sujkowska.

Członkiniami Zarządu Naczelnego Ligi Kobiet P. W. w latach 1915 — 1918 były p. p. Z. Berbecka, M. Chmieleńska, B. Grzędzińska, H. Eysmonttowa, W. Filipkowska, K. Grodecka, M. Kwiatkowska, D. Lipińska, M. Pawlikowska, Z. Praussowa, M. Przyjemska, H. Rapacka, K. Schrenclówna, A. Szczerbińska, H. Sujkowska, W. Weychert-Szymanowska, L. Tomaszewska, L. Śliwińska i M. Żarska.

Przewodniczącemi okręgów prowincjonalnych i członkiniami Naczelnego Zarządu były: p. p. St. Ambroziewiczowa, M. Chorzewska, Dreszerowa, Z. Janiszewska, M. Kelles-Krauzowa, J. Kossobudzka, L. Kozłowska, Z. Łopuska, S. Łoppattowa, H. Piwowarowa, K. Rajdecka, M. Rudnicka, W. Szczawińska, R. Tacikowska, M. Tomorowiczowa, E. Wróblewska, Z. Wójcikowska i Zdanowska.

Z PRACY STRONNICTW NIEPODLEGŁOSCIOWYCH.

Marja Rychterówna (Marta).

NA POSTERUNKU.

Z pracy niepodległościowej P. P. S. (1915 — 1916).

Gdy myślę o tym ciężkim dla nas wszystkich i tak pracowitym roku — trudno mi jest usystematyzować swoją ówczesną robotę i poszczególne fragmenty związać w jedną zwartą całość. Najbardziej bowiem wryło się w pamięć owo smutne uczucie zawodu, z jakiem łączy się wspomnienie „oswobodzenia" stolicy.

Z „tamtej" strony przyjechałam w kilka dni zaledwie po wejściu Niemców. Dzięki uprzejmości por. Biłyka, który reprezentował w Dep. Wojskowym I Brygadę, — otrzymałam offene ordre i jako „zlikwidowana urzędniczka D. W." dostałam się do miasta.

Byłam przygotowana na to, co zastanę w Warszawie, w myśli jednak snuły się uparcie obrazy wchodzących do stolicy oddziałów legjonowych z Komendantem na czele. Smutnie też patrzyłam na obecność wroga.

Praca niepodległościowa była w całej pełni. Szły tu o lepsze: stara o rewolucyjnej tradycji, od ćwierćwiecza prawie walcząca P. P. S. i młoda, ale silną swą tężyzną, prowadzona przez oficerów legjonowych, Polska Organizacja Wojskowa. Obok nich organizowały się inne ugrupowania niepodległościowe. (Związek Radykałów Narodowych, Związek Patrjotów, Nar. Związek Robotniczy i in.).

Niemcy, nie obeznani jeszcze z terenem, oczekiwali od Polski rekruta, mającego zasilić kadry legjonowe. Dlatego może w ciągu pierwszych miesięcy nie byli groźni. W tym czasie stronnictwa niepodległościowe rozwijały energicznie swą działalność; w myśl instrukcyj Komendanta miały one stanowić naszą siłę.

Od chwili przyjazdu, weszłam odrazu w kontakt z P. P. S., nie biorąc narazie tu stałej pracy (organizowałam wtedy pocztę listów w P. O. W.). Partja, zasilona kilku działaczami, odkomenderowanymi

z Legjonów, rozrastała się coraz bardziej. Kierownicze stanowiska w niej zajmowali: dr. Feliks Perl[1]), i B. Czarkowski. Nadciągali też powoli: F. Turowicz, M. Sulkiewicz[2]), Ola, R. Jaworowski i inni. Czynną też była stale tow. Jadwiga. Tereny pracy zwiększyły się znacznie: P. P. S. weszła w skład Wydziału Narodowego, będącego zaczątkiem własnego rządu, uczestniczyła w szkoleniu kadr wojskowych w porozumieniu i pod komendą P. O. W. Prowadzono też w ramach organizacji intensywną pracę na dzielnicach oraz organizowano sympatyzującą z partją inteligencję, która garnęła się do roboty. Pracę tę podjął F. Turowicz, który założył klub P. P. S. na Szpitalnej pod 12-tym, w domu p. Bohdana Straszewicza[3]). Klub ten otrzymał nazwę „Kuchni Społem" i funkcjonował pod zarządem p. Teresy Perlowej.

Praca zawrzała, nie potoczyła się jednak wartko. Trzeba ją było zaczynać prawie odnowa. Czynniki natury ekonomicznej musiały być usunięte na dalszy, nie istniejący prawie, plan. Zamiast nich zostały rzucone hasła własnej państwowości, walki o byt narodu i konsolidacja wszystkich tych, co szli pod sztandarem niepodległości. Robotnicy, podtrzymywani dotąd hasłem walki z rządem zaborczym i strajków ekonomicznych, nie odrazu zrozumieli nowe wytyczne, tem bardziej, że warunki materjalne spadały wciąż po równi pochyłej. Było jednak w nich — zwłaszcza wśród towarzyszy z pod sztandarów rewolucji 1905 roku — tyle oddania i wiary w Komendanta, że mimo wzrastającej biedy, front wewnętrzny robotników konsolidował się i krzepł coraz bardziej.

Powoli zato, ale coraz wyraźniej zaostrzał się stosunek z Niemcami. Wstrzymanie przez Komendanta werbunku, postawa stronnictw niepodległościowych, fala buty niemieckiej z powodu rozlokowania się na stałe w Polsce i poznanie zgrubsza warunków miejscowych — spowodowały szereg represyj, rewizyj i aresztowań w P. P. S. i P. O. W. Te jednak okoliczności umożliwiły nam stworzenie zwartego frontu walki z Niemcami.

W listopadzie odbyła się rewizja w świeżo zalegalizowanym klubie i zaaresztowani zostali: Ola, Jadwiga, F. Turowicz i Michał Sulkiewicz. Wtedy to tow. Res, wezwał mnie do roboty.

— Musicie nam pomóc — powiedział stanowczo.

Nie było trzeba mnie przekonywać. Do P. P. S. przywiązana byłam bardzo, wiedziałam przytem, że muszę zastąpić te, którym zabrano

---

[1]) Dr. Feliks Perl, zmarł w Warszawie w kwietniu 1927 r.

[2]) Michał Sulkiewicz — sierżant Legjonów, zmarł śmiercią żołnierską 18.IX.1916 r.

[3]) Bohdan Straszewicz — poległ 1920 roku w walce z bolszewikami.

wszelką możność pracy i — wolność. Martwiłam się tylko myślą, że nie będę mogła pracować tak owocnie, jak one.

Najpilniejszemi rzeczami do zrobienia były: urządzenie biura i zajęcie się „techniką", t. j. kolportażem pism i odezw. Ostatnich zwłaszcza wychodziło bardzo dużo. Zorganizowanie biura było rzeczą dość skomplikowaną. „Kuchnia Społem" musiała być, oczywiście, wykluczona z racji niewątpliwej baczności na nią Niemców. Pieniędzy prawie nie było. Pamiętam dobrze zdobyte wreszcie lokale. Główne siedlisko władz partyjnych Centralnego Komitetu Robotniczego mieściło się w pensjonacie p. M. Kurowskiej na Nowogrodziej 12, nasze zaś stałe „biuro" ulokowało się na Nowowiejskiej u. p. Rayzacherowej. Pamiętam też gościnne mieszkanie p. Zofji Maxowej—Krucza 5— stała nasza ucieczka w czasie zjazdów konferencyjnych (P. Maxowej należała się wielka wdzięczność, gdyż mieszkanie po odbytej konferencji zmieniało swój wygląd nie do poznania).

„Biuro" na Nowowiejskiej było stale nieogrzewane z powodu braku opału, a ze względu na prośbę właścicielki, nie mogliśmy również zapalać lampy. Zwykle więc przynosiłam ze sobą świecę i wiązkę drzewa, które, paląc się w otwartym piecu, dawało złudzenie ciepła i rzucało fantastyczne światło na nasze, niezbyt liczne wtedy grono. Przychodzili tam wówczas tow. dr. Perl, B. Czarkowski, W. Straszewski (Zbigniew)[1]), Br. Ziemięcki (Zenon), M. Niedziałkowski, M. Baumgarten (Fryk), M. Klott (Bohdan), J. Czarnocki (Marcin) oraz dojeżdżający z Łodzi M. Malinowski (Wojtek), T. Arciszewski (Stanisław) i inni.

Technikę prowadziłam na współkę z tow. Marcinem, do którego należały mieszkania „składowe", na które zwożono wprost z drukarni ówczesny organ Okr. Kom. Robotniczego „Do Czynu". Raz, pamiętam, jak po daremnem szukaniu odpowiedniego składu, sprowadzono cały nakład pisma do naszego biura. Byłam tem trochę przerażona tak ze względu na p. Rayzacherową, jak i na bezpieczeństwo zebranych, nie mogłam się jednak powstrzymać od śmiechu na myśl, co powiedziałby tow. Res na to przekroczenie, jeśliby mógł dowiedzieć się o niem. Pozostało to jednak w tajemnicy. Pismo nasze, jak również i dostarczanego nam regularnie „Łodzianina" rozsyłaliśmy na dzielnice, ba, nawet na cały kraj, korzystając z poczty, zorganizowanej środkami wszystkich grup niepodległościowych — przez P. O. W.

W styczniu kazano mi zająć się korektą założonego świeżo „Przedświtu", centralnego organu P. P. S. Redagował go początkowo dr. Wi-

[1]) Wiesław Straszewski (Zbigniew) zmarł wiosną 1917 roku.

told Jodko[1]), a następnie Włodzimierz Kunowski (Kornel)[2]). Miałam być łącznikiem z drukarnią na Żelaznej, która zgodziła się drukować nam wydawnictwo, oczywiście, nielegalne. Z drukarnią komunikowałam się początkowo przez znajomego tow. Ziemięckiemu zecera, później zaś jeździłam tam sama. Wkrótce po objęciu redakcji „Przedświtu" przez tow. Kunowskiego, administrację pisma wraz z całą techniką centralną (C. K. R.) objęła St. Minkiewiczowa (Westa).

Do obowiązków, jakie przypadły mi wówczas w udziale, należało sporządzanie dokumentów osobistych. Nauczyła mnie tego jeszcze w Zagórzu (O. W. I. Brygady) Ola, nasza ówczesna komendantka. Nie pamiętam jednak mych, dość licznych, zresztą, odbiorców, prócz ob. Skwarczyńskiego, który, poszukiwany przez Austrjaków, musiał „zmienić nazwisko". Stosując się do jego prośby, aby nowe nazwisko zaczynało się od tej samej litery, a imię pozostawało to samo, nazwałam go „Adamem Śliwińskim", co, niestety, bardzo zakłopotało ob. Starego, zmuszonego nolens volens „podszywać się", jak sam to określał, pod znane nazwisko p. Artura Śliwińskiego. Nie zaszkodziło to jednak paszportowi, który służył szczęśliwie ob. Skwarczyńskiemu, aż do czasu wyjazdu jego do Brygady.

Najbardziej jednak leżała mi na sercu myśl o naszych uwięzionych, t. j. Oli i Jadwidze, które nie miały rodzin w Warszawie. Wobec kategorycznego zakazu tow. Resa, nie usiłowałam się z niemi widzieć, biegałam zato prawie codziennie do p. mec. Paschalskiego, polecając je stale jego uwadze i pamięci, i dopytując się o ich dolę. Raz tylko, wyłamując się z pod zakazu — zjawiłam się w niemieckiej policji, prosząc o pożegnalne widzenie przed wywiezieniem ich do obozu. Trzeba było zanieść im choćby najniezbędniejsze rzeczy — a wydawało mi się też niesprawiedliwem, aby wyjechały bez żadnego serdecznego słowa, jakby się o nich zapomniało.

Pojechałam więc na dworzec kaliski. Wcale się mnie nie spodziewały. Zauważyłam, że obie były mizerne i smutne. Siliłam się więc na humor, chcąc je rozweselić, ale niezbyt mi się to udawało.

Pamiętam ostatnie słowa Oli, już w chwili pożegnania:

— Szkoda, że nie jedziecie ze mną, Marteczko!—

— Szkoda — odpowiedziałam w tymże samym tonie.

I roześmiałyśmy się obie. W tej chwili rozdzieliły nas groźne pikelhauby.

[1]) Dr. Witold Jodko, późniejszy wice-minister Min. Spraw Zagranicznych i poseł Rzplitej — zmarł w Warszawie 22 października 1924 roku.

[2]) Włodzimierz Kunowski (Kornel) minister pracy i op. społ. w Tymczasowej Radzie Stanu zmarł w roku 1917.

Niewiast, pracujących wówczas w warszawskiej P. P. S., było niewiele. Oprócz kilku sympatyczek, pracowały wówczas: Boruta, (Zofja Wolfkowiczówna) — pomagająca tow. Ziemięckiemu prowadzić rachunkowość organizacji, Henia Sokołowska (moja imienniczka organizacyjna), prowadząca robotę na dzielnicy Jerozolimskiej. Marja Chmieleńska (Klara) i Pela Rakowiecka. Kilka też towarzyszek pomagało mi w pracy, związanej z lokalem „Kuchni Społem".

Trzeba się było nim zająć. Wiedziałam, że to jest okres przejściowy, który trzeba jakoś przetrzymać i w odpowiednim momencie zwrócić lokal partji, która na pewno potrzebować go będzie. Po krótkim namyśle, jeden pokój odnajęłam sympatyzującym z ruchem niepodległościowym p. p. Chmieleńskim, dawny zaś pokój Oli zajęłam sama, chcąc być na miejscu. Nie było to zbyt rozsądnie, bo za mną przywędrować musiały podręczne składy bibuły, pracownia paszportów i listy poczty peowiackiej. Nie miałam jednak czasu zbyt długo się nad tem zastanawiać, więc tylko jako tako zorganizowałam zewnętrzne „decorum".

„Gospodynią" lokalu kazałam być służącej. Frania, dzielna Rusinka z Chełmszczyzny — z całą energją rozprawiała się z nachodzącymi nas Niemcami, nie dopuszczając ich do mnie. Z drugiej strony, chcąc niejako usprawiedliwić nazwę „Kuchni Społem", urządziłam stołownię dla swoich, którzy w pokaźnej liczbie około 40 osób przychodzili na obiady „organizacyjne"[1]). O dochodach ze stołowni nie było, oczywiście, mowy.

Źródłem pokrycia kosztów czynszu była opłata za wynajęte pokoje, oraz urządzane dosyć często koncerty. Z osób występujących wtedy, oprócz sił „organizacyjnych" — wspomnieć muszę przedewszystkiem zawsze bezinteresowne występy: p. Marji Borkowskiej oraz p. Tadeusza Mayznera, którego cudowna gra na skrzypcach była najświetniejszym punktem programu większości naszych koncertów. W te dni zbieraliśmy się wszyscy i peowiacy i pepeesowcy, zapominając trochę o naszych stałych troskach.

Koncerty trzeba było legalizować w policji. Załatwiała tę czynność zwykle J. Nadratowska (Kama). Legalizacja dawała nam swobodę ruchów, nie krępując nas też zbytnio: podając do cenzury Niemców treść projektowanych do deklamacji lub śpiewu utworów, dawałyśmy

[1]) Na obiady te, wydawane najczęściej przeze mnie, uczęszczała przeważnie P. O. W. Największe prawa mieli tu przyjezdni z frontu kurjerzy, dla których stołownicy zgadzali się nieraz uszczuplać swe porcje. Musiałam, niestety, kazać dawać koninę, bo na inne mięso nam nie starczało. Miałam na to, zresztą, upoważnienie zebrania „najmniej mających przesądów".

je bez najmniejszego skrupułu w zupełnie odmiennem brzmieniu. Niemcy „odwiedzali" nas czasami, czynili to jednak tak niedołężnie, że byli zgoła nieszkodliwi.

Najwspanialszy koncert odbył się 19 marca. Był to, zdaje się, pierwszy obchód imienin Komendanta w stolicy. Oprócz stale pomagających mi: J. Nadratowskiej, J. Zaczkiewiczówny (Ewy), Eli i Zosi Wolfkowiczówien — zgłosiło się do pomocy kilka koleżanek z P. O. W., z których pamiętam tylko Hankę Grodecką, która zajęła się dekoracją sali. Koncert odbył się wśród podniosłego nastroju wypełnionych szczelnie sal. Wieczorem zaś specjalnie zaproszeni pepeesowcy pili miodem zdrowie Naczelnego Wodza przyszłej armji polskiej.

Tegoż dnia — na kategoryczne żądanie robotników — urządziłam dla nich nielegalny odczyt o Komendancie w małej sali Handlowców. Patrzyłam wtedy z radością na setki oczu wlepione w twarz ob. Downarowicza i znieruchomiałą, zasłuchaną rzeszę. Część koncertową musieliśmy jednak — ku wielkiemu żalowi robotników — usunąć, wskutek wtargnięcia do lokalu „szpicla". Bojąc się o los naszych organizacyjnych artystów, a przedewszystkiem o pracującą w komendzie Hankę Skowrońską, wyprawiłam ich co rychlej z lokalu. Skończyło się jednakże tylko na popłochu, bo Niemiec był najgłębiej przekonany, że odczyt był jawny.

Nawał codziennych trosk — wśród których najtrudniejszemi były dla mnie rachunki — pochłaniały mnie tak dalece, że nie byłam w stanie reagować, jak należy, na smutne listy z obozów, a zwłaszcza Oli, z którą, oprócz organizacyjnych, łączyły mnie stosunki osobiste— dlatego też wspominam te czasy ze szczerym wyrzutem sumienia.

Pomimo ciężkiej sytuacji politycznej praca niepodległościowa szła naprzód. Wydział Narodowy przekształcił się w Centralny Komitet Narodowy, obliczony już na większy zakres działania. Organizacje niepodległościowe i P. O. W. wzrastały wciąż tak pod względem liczebnym, jak zyskiwały na moralnej sile i znaczeniu. Zwolna, ale stale przebijaliśmy się przez mur niechętnego nam społeczeństwa.

P. P. S., uczestnicząc we wszystkich przejawach ruchu niepodległościowego — rozszerzała swą działalność wewnętrzną, walcząc na dzielnicach z esdekami i narodową demokracją. Wtedy to zdobyła wpływ na organizację tramwajarzy, regulując ich zatarg ekonomiczny z Niemcami. Ofiarą tej akcji padł tow. Ziemięcki, którego uwięziono i wysłano do obozu w Havelbergu.

Na dzień 1 maja P. P.S. zarządziła manifestację przeciwko Niemcom. Mieliśmy się zejść w Alejach Ujazdowskich o godzinie 12 w po-

łudnie. Dzień był, pamiętam, jasny, ale chłodny. Szliśmy małemi grupkami — każde z nas miało schowaną czerwoną kokardkę, których zapas przygotowałyśmy uprzednio, a które wraz z czerwonym sztandarem zabłysnąć miały w jednej chwili. W Alejach jednak czekała nas niespodzianka. Niemcy, bojący się, jak ognia, zjawy rewolucji, postawili wszerz ulicy karabiny maszynowe wraz z obsługą, gotową w każdej chwili dać ognia.

Już w pobliżu „maszynek" włożyliśmy swe kokardki, ale tow. Arciszewski, nie chcąc narażać organizacji na niechybne straty, nakazał odwrót. Nie zdejmując kokardek, cofaliśmy się w porządku w kierunku Nowego Światu. Niemcy, rozwścieczeni naszym spokojem, parli na nas ztyłu; obawiali się widać, abyśmy nie powrócili.

W parę dni później — w dniu 3 maja — odbył się obchód rocznicy — legalizowany przez Niemców — jedyny może, w którym brały udział wszystkie odłamy polityczne. P. P. S. przygotowywała się również do wzięcia w nim udziału. Postanowiono ufundować sztandar „nowożytny" — bo mieliśmy dotąd jedynie stare sztandary z 1905 roku, sztandary, oblane krwią męczenników, niemniej jednak sztandary przeszłości. Kazano mi więc zająć się sporządzeniem nowego. Oprócz cyfr P. P. S. — i rocznicy I-go maja — kazałam hafciarce wypisać złotemi literami hasło Niepodległej Polski Ludowej. Sztandar wypadł prześlicznie. Całą noc zszywałam obie już wyhaftowane połowy — ciesząc się o jasnym, różowym świcie, że sztandar jutro zakołysze się nad tłumami.

Pochód wypadł imponująco. Policja niemiecka gdzieś znikła. Bez zewnętrznego przymusu szły grupy ze sztandarami w przepisanym ordynku. Szli wszyscy składnie, milczącą powagą wyrażając protest przeciw okupacji. Najliczniejsza jednak grupa — w liczbie około 1000 zgrupowała się około sztandaru P. P. S.

We wrześniu 1916 r., kiedy zostały rozpisane wybory do Rady Miejskiej — partja wyraziła chęć objęcia lokalu zpowrotem. Rada byłam bardzo, że udało mi się wytrwać i oddać mieszkanie z należnym tylko bieżącym czynszem.

Po wyborach, na których P. P. S. otrzymała 2 mandaty, weszli do Rady miasta: Tomasz Arciszewski i Gustaw Daniłowski [1]).

Niezależnie jednak od jawnego przedstawicielstwa, P. P. S. uczestniczy owocnie w całej tajnej pracy niepodległościowej aż po Rząd Lubelski.

[1]) Gustaw Daniłowski zmarł w 1927 roku.

Marja Jaworska.

LIGA NIEZAWISŁOŚCI POLSKI WE LWOWIE.

W początkach roku 1917 coraz cięższe stawało się życie dla niepodległościowych sfer lwowskich. Coraz jaskrawsze szykany rządu austrjackiego wobec zwolenników Komendanta z jednej strony — z drugiej zaś coraz wyraźniejsze zbaczanie N. K. N. z linji polityki niepodległościowej stwarzało bardzo duszną atmosferę duchową dla działaczy lwowskich. W takich warunkach życia jasną się stawała potrzeba zorganizowania tych sfer, nie mających wobec zmiany linji N. K. N. żadnego wspólnego terenu pracy, żadnej możności konsolidacji. Gdy bowiem młodzież postępowa pracowała w Polskiej Organizacji Niepodległościowej (zawiązek późniejszego P. O. W.) — gdy terenem pracy kobiet lwowskich była Liga Kobiet — ogół postępowego społeczeństwa we Lwowie był w zupełnej rozsypce.

W takich warunkach powstała myśl stworzenia we Lwowie Ligi Niezawisłości Polski. Kto ją pierwszy podjął — trudno dziś ustalić. Mam wrażenie, iż autorem tego pomysłu był dr. Zygmunt Janiszewski, członek Polskiej Organizacji Niepodległościowej. W każdym razie z jego inicjatywy i w jego mieszkaniu odbyło się dnia 13.V 1917 r. pierwsze organizacyjne zebranie Ligi Niezawisłości Polski, na którem przewodniczył Ignacy Mycielski, referat o sytuacji politycznej miał dr. Kazimierz Świtalski, projekt zaś organizacji przedstawił dr. Zygmunt Janiszewski. Na tem posiedzeniu wybrano komisję, która miała się zająć ułożeniem programu i regulaminem L. N. [1]).

[1]) Uważam, iż warto podać niektóre nazwiska członków tej komisji, jak ś. p. Władysław Szaynok, ś. p. prof. Anczyc, ś. p. dyr. Józef Tomicki, ś. p. Marja Dulębianka, prof. Ignacy Mościcki, p. Michalina Mościcka, same one bowiem w sobie zawierają już pewnego rodzaju charakterystykę organizacji.

Wybrana komisja programowo-regulaminowa rozważała przedewszystkiem problem jawności czy też tajności organizacji. Zwyciężył pogląd prof. Mościckiego, iż organizacja powinna być jawna. Na wniosek tegoż uchwalono przyjąć program istniejącej już Ligi Niezawisłości w Warszawie i Krakowie.

Konieczną rzeczą wydaje mi się podać cele i drogi nowej organizacji. Wedle brzmienia programu celem było: dążenie do osiągnięcia niezawisłego, zjednoczonego i demokratycznego państwa polskiego.

Drogami zaś wiodącemi do tego celu:

1) skonsolidowanie żywiołów niepodległościowych we wszystkich warstwach społeczeństwa, bez względu na ich przynależność partyjną, jako też stojących poza partjami; krzewienie w całym narodzie silnej świadomości, że niezbędnym warunkiem wszechstronnego i normalnego jego rozwoju i wydobycia z niego maksymum sił jest odzyskanie samodzielnego bytu państwowego.

2) Dążenie do wytworzenia ogólno - polskiego przedstawicielstwa, celem ujednostajnienia polityki polskiej i zewnętrznej.

Tedy nie była Liga Niezawisłości partją — była natomiast organizacją polityczną. Tego jej nadpartyjnego charakteru strzegł Zarząd Ligi, czego dowodem było uchwalenie na posiedzeniu w dniu 24.VI 1917 r. wniosku prof. Mościckiego, by nie wciągać do Ligi Niezawisłości zdecydowanych partyjników, tudzież wykaz członków, mieszczący nazwiska ludzi, należących do rozmaitych odcieni postępowych ugrupowań.

Komisja programowo-organizacyjna ciekawie ujęła sprawę zarządu Ligi Niezawisłości. Początkowo aż po dzień 25.XI 1917 nie było stałego przewodnictwa, natomiast członkowie komisji kolejno przewodniczyli na zebraniach, wybrano jedynie stałą sekretarkę Marję Jaworską. Dopiero w dniu 25.XI 1917 wybrano stały Zarząd L. N. w następującym składzie: przewodniczący Kazimierz Bogdanowicz, zastępca, dr. Kazimierz Świtalski, sekretarka, Marja Jaworska, zastępczyni, dr. Helena Waniczkówna, skarbnik, Aleksander Frankowski, zastępca: Juljusz Dreszer. Członkowie Zarządu: Marja Kelles-Krauzowa, Jadwiga Bogdanowiczowa, Michalina Mościcka, Ida Wieniewska, Bolesław Pochmarski, Józef Tomicki.

Najważniejszą, mojem zdaniem, formą działalności L. N. były tygodniowe zebrania dyskusyjne, urządzane stale od dnia 10.VI 1917. Kierownikiem tego działu pracy był od dnia 19.VIII 1917 dr. Kazimierz Świtalski. Na tych zebraniach dyskusyjnych wygłaszali referaty: dr. Kazimierz Świtalski, Roman Dreszer, Artur Hausner, Jędrzej Moraczewski, dr. Zygmunt Janiszewski, Ida Wieniewska, Wa-

cław Sieroszewski, Aleksander Rutkowski, Juljan Smulikowski, Mikołaj Hankiewicz, Diamand i wielu innych. Tematem referatów i dyskusyj były rozmaite aktualne zagadnienia polityczne, jak sprawozdania z sytuacji politycznej pod zaborami, z sytuacji wojskowej, rozważania taktyki na wypadek ponownej inwazji rosyjskiej, omawianie problemu mniejszości narodowych, przedstawienie sprawy polskiej zagranicą, problem składu i zadań Sejmu Polskiego i t. d. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, iż te zebrania dyskusyjne były jedynym rzetelnym informatorem o rozmaitych przejawach naszego życia politycznego, które starannie a celowo fałszował rząd austrjacki, a jeszcze staranniej fałszowała plotka endecka. W zrozumieniu potrzeby należytego informowania opinji społecznej przewija się przez posiedzenia Zarządu myśl stworzenia stałego pisma. Rozpoczęto od tego, iż zaraz na pierwszem posiedzeniu komisji programowo-regulaminowej w dniu 20.V.1917 powzięto uchwałę stworzenia we Lwowie filji „Kultury Polskiej", miesięcznika, wydawanego w Krakowie. Na posiedzeniu w dniu 3.VI 1917 na wniosek ś. p. Władysława Szaynoka powzięto myśl zorganizowania spółki wydawniczej, myśl tę zrealizowano w bardzo krótkim czasie, ale powstała instytucja, będąc początkowo ideowem przedsięwzięciem, przerodziła się z biegiem czasu w zwyczajne dochodowe przedsiębiorstwo i jako taka istnieje do dziś dnia w Poznaniu.

Ponieważ „Kultura Polski" nie obejmowała całokształtu ideologji Ligi — przeto już na posiedzeniu w dniu 24.VI 1917 wybrano specjalną komisję, celem realizacji powstałego projektu wydawania własnego pisma. Na następnych posiedzeniach ustalono charakter pisma jako polityczno-kulturalno-społeczny i nazwę: Tydzień Polski.

Ponieważ projekt ten rozbił się o trudności finansowe, powzięto na posiedzeniu 26.VIII 1917 myśl wydawania „Informatora" — którego kilka numerów ukazało się jedynie w odbitce maszynowej.

Nie obcą była Lidze Niezawisłości troska o sprawy finansowe społeczeństwa. Przez posiedzenia Zarządu przewija się projekt stworzenia Banku Polskiego, rozbijający się jednakże o trudności nietylko finansowej, ale i politycznej natury.

A że tymczasem nasze życie polityczne stawało się coraz barwniejsze, żywsze — chociaż narazie wcale nie jaśniejsze — przeto prócz tej pracy wewnętrznej, organizacyjnej spadła na Ligę Niez. konieczność zabierania publicznego głosu w tych wszystkich wypadkach politycznych, które w coraz szybszem tempie następowały po sobie. I tak: jak grom spadła na Lwów wieść o aresztowaniu Komendanta. Na posiedzeniu Zarządu L. N. w dniu 29.VII po referacie dr. Z. Janiszewskiego w tej sprawie powstał projekt urządzenia poli-

tycznej manifestacji w dniu 6.VIII (inicjatywa wyszła z P. O. N.). Terenem manifestacji było zebranie w ratuszu z referatem Jędrzeja Moraczewskiego, formą — ostra rezolucja przeciw aresztowaniu Komendanta z równoczesnem żądaniem jednolitego niepodległego Państwa.

Liga Niezawisłości była inicjatorką Komitetu Szczypiorniańskiego, tudzież autorką projektu przekształcenia Opieki Legjonowej w Bratnią Pomoc Legjonistów. Gdy rozbitki N. K. N. jeszcze w lutym 1918, idąc po linji wierno-poddańczej polityki w stosunku do rządu austrjackiego, powzięły myśl proklamowania Karola Franciszka Habsburga królem polskim — Liga Niezawisłości łącznie z P. O. N. obmyśliła projekt kontrakcji, który wyraził się w manifestacji politycznej w dniu 2.II 1918. Formę takiej manifestacji nadano także obchodowi rocznicy powstania listopadowego w dniu 29.XI 1917. W dniu 19.III. 1918 urządziła Liga Niezawisłości łącznie z P. O. N., P. P. S. D., ludowcami i Związkiem Narodowym Kolejarzy uroczysty manifestacyjny obchód imienin Komendanta.

Ponieważ w tym właśnie czasie policja lwowska zabroniła urządzenia publicznego zebrania z referatem Jędrzeja Moraczewskiego, przeto uchwałą Zarządu z dnia 9.IV 1918 upoważniono radnego Kazimierza Bogdanowicza do wniesienia interpelacji w tej sprawie na posiedzeniu Rady Miejskiej. Interpelacja ta stała się także rodzajem manifestacji politycznej.

Z wiosną roku 1918 myśli Zarząd L. N. o zorganizowaniu kursu dla działaczy oświatowych i stworzeniu milicji obywatelskiej.

Ścisły kontakt utrzymuje lwowska L. N. z krakowską i warszawską przez udział w zjazdach. I tak na zjeździe L. N. w dniu 21.VII 1917 w Krakowie reprezentował lwowską L. N. prof. Ignacy Mościcki, 29.IX 1917 dr. Kazimierz Świtaski, w dniach 8 i 9.XII 1917 również dr. Kazimierz Świtalski. Do Komitetu Centralnego weszli ze Lwowa: prof. Anczyc, Kazimierz Bogdanowicz, Marja Kelles-Krauzowa, Michalina Mościcka, Ignacy Mycielski, dr. Kazimierz Świtalski, Władysław Szaynok, Józef Tomicki, Marja Jaworska.

Ostatnie posiedzenie L. N. odbyło się w dniu 24.X 1918. Wojna ukraińska przerwała jej działalność, powstanie niepodległego Państwa na inne tory zwróciło pracę tkwiących w niej ludzi.

Czy była potrzebną? Czy ma jakie zasługi? Mojem zdaniem — tak. Skonsolidowała żywioły niepodległościowe we Lwowie, strzegła czystości linji w dniach najgorszych — oddała ludzi zespolonych ideą i pracą niepodległej Polsce. Najlepszy z jej członków jest dziś prezydentem Rzeczypospolitej, najenergiczniejszy pracownik — ministrem oświaty.

Stanisława Krasuska (Stasiulka).

WIĘZIENIE NIEMIECKIE

(S. N. N.).

W kilka dni po wzięciu Warszawy otrzymałam polecenie od tow. Jadwigi, abym, jako delegatka P. P. S., wzięła udział w pracy Komisji Gospodarczo-Wojskowej przy Komitecie Naczelnym Zjednoczonych Stronnictw Niepodległościowych (późniejszym C. K. N.). Szło o zaopatrzenie I Bataljonu Warszawskiego. Lokal Komisji G. W. mieścił się na Żórawiej 44, t. j. w lokalu Komendy.

Pracowałam wtedy nad zdobywaniem funduszów wraz z przedstawicielami innych stronnictw. Potrzeba nagliła, to też Komisja zaciągnęła dług, który miało się spłacać. Pracowaliśmy więc na ową spłatę. Wymienić tu muszę panie: M. Pawlikowską, M. Przyjemską [1]), M. Strońską i inne. Z pośród imprez urządzanych na ten cel pamiętam zwłaszcza „Wieczór pieśni legjonowej" urządzony w sali techników. Komisja G. W. została zlikwidowana w jesieni 1915 r., zaś w wigilję Bożego Narodzenia Niemcy w Komendzie zrobili rewizję, znaleźli pozostałą jeszcze broń i zaaresztowali ob. Ostrożnego (Wł. Kusińskiego, mieszkającego tamże. Skazano go wyrokiem sądu wojskowego na karę śmierci i tylko dzięki energicznym staraniom — via Kraków — uniknął szczęśliwie wypełnienia wyroku).

W początkach sierpnia 1915 r. wstąpiłam do Ligi Kobiet, gdzie pod kierunkiem ob. Śliwińskiej pracowałam w Komisji Finansowej.

Po likwidacji Komisji G. W. czasowo pracowałam — zawsze w kierunku zdobywania funduszów — w Kole Pomocy dla Legjonistów.

Z chwilą jednakże, kiedy „St. Konopacka"[2]) przestała istnieć, Krasuska zmuszona była pomyśleć o pracy zarobkowej i odciążyć wreszcie rodzinę i znajomych, dzięki którym utrzymała się do tej chwili na powierzchni życia. Pewnego dnia odwiedziłam więc starych przyjaciół, ob. Tytusa Filipowicza oraz Wł. Wiskowskiego,

[1]) Marja Przyjemska, niestrudzona długoletnia działaczka niepodległościowa zmarła w Warszawie w kwietniu 1927 r.

[2]) Nazwisko to nosiłam, stosownie do nielegalnego paszportu, otrzymanego w Oddziale Wywiadowczym I Brygady. Z powodu dawniejszej pracy w P. P. S. nie mogłam za pobytu Moskali używać własnego nazwiska.

którzy prowadzili Biuro Prasowe z ramienia Departamentu Wojskowego. Ci, dowiedziawszy się, że nie mam środków do utrzymania, zaproponowali mi płatne zajęcie u siebie. Zaczęłam więc u nich pracować i rada byłam niezmiernie, że mogłam przez kurjera Departamentu Wojskowego wyprawiać pocztę peowiacką, którą dostarczała mi stacja warszawska.

Niemcy nie patrzyli zbyt chętnem okiem na pracę Biura Prasowego i pewnego wieczora, podczas obecności tylko Filipowicza, wtargnęli do lokalu, aresztując naszego szefa. Lokal cały opieczętowano wraz z różnemi dobrze ukrytemi „nielegalnościami", których wszakże Niemcy nie znaleźli.

Pracowaliśmy następnie już tylko z Wiskowskim, ukryci w mieszkaniu Marji Przyjemskiej. Trwało to dopóty, póki panowie z Departamentu Wojskowego nie poczęli patrzeć krzywo na moją obecność z racji mej przynależności do innego obozu.

Przedtem jeszcze ob. Janusz Kozłowski zaproponował mi pracę w Wydziale Skarbowym C. K. N., który, przenosząc się z miejsca na miejsce, znalazł również przytułek u Przyjemskiej. Objąwszy więc tę pracę, przechodziłam tylko z jednego pokoju do drugiego. W ten sposób miałam zajęty cały dzień.

Dnia 1 stycznia 1916 C. K. N. ujawnił swe czynności i rozpoczął pracę w wynajętym specjalnie lokalu na ul. Foksal 17. C. K. N. cieszył się wówczas wielkiem poważaniem w dobrze myślącem społeczeństwie. Grupy ludzi z różnych sfer społecznych zgłaszały swe przystąpienie i pomagały w licznych jego pracach. Była to już na wielką stopę placówka polityczna, w której zbiegały się wszystkie stronnictwa niepodległościowe.

Tłumy całe garnęły się tu po żywe słowo. „Kramik" z bibułą zaopatrywany był stale w najświeższe wydawnictwa. Prowadziła tę pracę Ela Tuszkówna.

Ponieważ, jak zawsze w tych czasach, trzeba było myśleć o funduszach — zorganizowano też zaraz sekcję dochodów niestałych. Stanęłam odrazu do pracy, trochę zapewne mozolnej, ale uwieńczonej powodzeniem, bo wszystkie nasze „imprezy" były najczęściej gorąco poparte przez naszych zwolenników.

Urządziliśmy w czasie od połowy kwietnia 1916 r. do stycznia 1917 m. in.: podwieczorek w hotelu Bristol na cześć pułkownika Sosnkowskiego; obchód powstania listopadowego w Filharmonji; podwieczorek na cześć Komendanta w grudniu 1916 i w styczniu 1917 obchód powstania styczniowego z udziałem artystów scen polskich. Pamiętam też, że wydaliśmy celuloidowe „orzełki", które były wprost rozchwytywane przez tłumy na stokach Cytadeli podczas poświęcenia krzyża

Traugutta, która to uroczystość zbiegła się z rocznicą „Kadrówki". Do uroczystego obchodu Imienin Komendanta nie doszło wskutek zakazu Niemców już w ostatniej chwili, gdy wszystko było gotowe i nawet ogłoszenia w pismach już były wydrukowane.

Trudno mi jest bardzo dzisiaj rozgraniczyć dokładnie pracę moją nad zbieraniem funduszów dla C. K. N. i później założonego Stronnictwa Niezawisłości Narodowej, zwłaszcza, że pracowało się wśród tych samych ludzi, a długo jeszcze po rozpadnięciu się bloku niepodległościowego i przeniesienia S. N. N. do nowego lokalu na Nowy Świat 49, używaliśmy stempli C. K. N., co się zaś tyczy kierunku politycznego i zebrań, to pozostały one przy Stronnictwie Niezawisłości Narodowej bez zmiany i były niejako spuścizną tradycji C. K. N.

Kramik z bibułą na Nowym Świecie prowadziła ś. p. Ela Szeligowska. W komisji niestałych dochodów gorliwie pracowali m. in. ob. Z. Dzierdziejewska, M. Gorzechowska, Januszostwo Kozłowscy, Z. Kurkiewiczówna, Czesławostwo Młodzianowscy, Z. Pruszkowska, M. Przyjemska, M. Rotwandowa, H. Smorońska, F. Laudyn (skarbnik), Szumowska oraz przygodni sympatycy, wśród których dominowali artyści teatrów Polskiego i Małego z ob. Zelwerowiczem na czele.

S. N. N. przedewszystkiem rozwijało akcję uświadamiania społeczeństwa, a sala zebrań politycznych zaledwie pomieścić mogła słuchaczy, spragnionych cennych i dokładnych wiadomości o sytuacji bieżącej.

Biuro Klubu, którego prezesem był inż. St. Twardo, było czynne tylko po południu. Zebrania polityczne odbywały się stale co soboty. Czy jednakże nie wchodzili niepowołani — trudno było dociec. Pozornie wyglądało na to, że Niemcy pozostawili nas w spokoju, bo o ile na Foksal zachodzili stale, pytając o ob. Downarowicza i Szpotańskiego, tu nie pokazywali się jakoś wcale. Wyjątek stanowił młody człowiek w bekieszy, stale zgłaszający się po wydawnictwa. Pan ten wdawał się w rozmowę z naszą woźną, p. Dominiką Karczmarkową, którą jeszcze na Foksal obsadziliśmy, jako wierną ruchowi niepodległościowemu sympatyczkę, znaną ob. Downarowiczowi i mnie z dawnej pracy w P. P. S. Obie z p. Dominisią nie miałyśmy zaufania do pana w bekieszy i bibuły dla niego nigdy nie było. Niejednokrotnie poruszał on sprawy polityczne z p. D. lecz zawsze z jednakowo ujemnym skutkiem: nie wierzyła mu zupełnie.

Tymczasem ucisk najeźdźców zwiększał się. Polsce groziły coraz to nowe zakusy państw centralnych. Wydano gorącą odezwę w dniu 14/II 18 r., zakończoną słowami: „Niech się skupiają w zwarte szeregi bojownicy wolności. Nie pora dać się zżerać rozpaczy i zniechęceniu. Przed nami walka, przed nami czyn i przed nami musi być

zwycięstwo! Niech żyje niepodległa zjednoczona Polska! Niech żyje republika demokratyczna!". Odezwę tę wraz z P. P. S. i P. S. L. podpisało Stronnictwo Niezawisłości Narodowej.

Po tej odezwie jeszcze jedno zebranie odbyło się spokojnie, w następną zaś sobotę, dn. 23/II 18 r., wtargnęli Niemcy z Schultzem na czele. U siebie miałam „czysto", z klubu bibuła jednak nie była usunięta. W sali zebrań było już dużo osób i przemówienia się rozpoczęły. Niemcy rozbiegli się po lokalu, nie zatrzymując się w przedpokoju, to też wielu z nadchodzących gości, ostrzeżonych przeze mnie wycofało się zawczasu. Wizyta Niemców ograniczyła się do odebrania paszportów i polecenia stawienia się nazajutrz po ich odbiór na Wierzbową, poczem wszyscy wyszliśmy, oni zaś lokal wzięli w swe posiadanie. Ja paszportu nie dałam, wręczyłam im tylko jakiś list, adresowany do siebie. Chciałam tą drogą odwlec badanie i dowiedzieć się, w jakim kierunku będzie szło śledztwo.

Okazało się, że Niemcy wszystkich pytali jednako o nazwisko prezesa klubu czy też stronnictwa. Jeszcze w przeddzień ob. Wacław Sieroszewski powiedział im, że on właśnie jest tym prezesem, widocznie jednakże nie śmieli go aresztować czy też poprostu niedowierzali. Woźną naszą wypytywali o „bibułę" i kto się nią zajmuje. Odpowiedziała im, że, „pani, którą wszyscy nazywali p. Elą", ale nazwiska jej nie zna (podczas wtargnięcia Niemców, Eli nie było w klubie).

Czekałam tedy na wizytę w domu, pozostawiwszy na drzwiach napis: „zastać można o 5-ej". Na trzeci dzień punktualnie o 5-ej weszli dwaj panowie — wysoki blondyn i drugi z czarną brodą. Zapytali mnie z miejsca: — Dlaczego pani nie przyszła w niedzielę po paszport? — Bo mi go panowie nie zabierali wcale, pocóż więc miałam przychodzić? — A na badanie. — „W jakim celu? Byłam płatną urzędniczką, cóż ja mogę wiedzieć?" Zrobili powierzchowną rewizję i zabrali mnie z sobą, oznajmiając, żebym, jeżeli już sama nie chcę powiedzieć, kto był w Zarządzie, skłoniła jego członków, aby się sami zgłosili, bo dopiero wtedy oddadzą klucze od lokalu. Wypuścili mnie jednakowoż, mówiąc, że mogliby mnie wprawdzie zatrzymać, ale chcą, abym namówiła Zarząd do ujawnienia się.

Lokal więc straciliśmy. Bibuła chwiliwo była wydawana u Marji Przyjemskiej, a pan w bekieszy zjawił się niespodziewanie u p. Dominisi w domu (adres mógł mieć tylko od Niemców), pytając, gdzie możnaby nabyć „Biuletyn". Oczywiście, że nowego adresu nie otrzymał.

W niespełna miesiąc po tem, w Wielkim Tygodniu, o 2 i pół w nocy, tuż przed moim wyjazdem na święta, przyszli ciż sami dwaj Niemcy, przewrócili wszystko, wygrzebując nawet popiół z pieca i wyszli.

zabierając zupełnie niewinne wydawnictwa i... mnie. Gdy zrobiłam uwagę, że biuro moje nic o aresztowaniu nie będzie wiedziało, pan z brodą okazał gotowość zawiadomienia ich. Nie mogłam skorzystać z jego „dobrych" chęci, gdyż tam właśnie w biurku miałam całą pakę świeżych odezw P. P. S. W czasie mego przygotowywania się do więzienia, wyprawiłam ich za drzwi; korzystając z wolnej chwili zrobili niespodziewanie rewizję u moich sąsiadów.

O 5-tej rano zawieziono mnie na Wierzbową, gdzie czekałam do 9-tej na dalszą ekspedycję. Nie badali mnie już, ograniczając się do oznajmienia, że biorą mnie dlatego, bo nikt z S. N. N. nie zgłosił się do nich.

Wsunęłam do mufki kartkę i ołówek i, czekając ze szpiclem, odstawiającym mnie do tramwaju w stronę Dzielnej, napisałam parę słów w mufce do biura i podałam nieznacznie jakiemuś przechodniowi. Natrafiłam widać na człowieka nieuczynnego, bo kartki nie doręczył.

Na Dzielnej powitałam dobrze znane mi mury. „Serbją" zarządzała teraz „oberka". Twarda to była niewiasta, jak zresztą prawie cały jej sztab, pochodzący ze Śląska niemieckiego. Ze starych oddziałowych spotkałam tylko jedną poczciwą Truszczyńską.

Przyzwyczajona, że za rosyjskich czasów liczono się z politycznemi, poprosiłam jakieś jasnowłose dziewczę, które wprowadziło mnie do zimnej celi, o szklankę herbaty. Odmówiła mi, twierdząc, że jest już po śniadaniu i trzeba poczekać na obiad.

W celi tej, jako całkowite umeblowanie, znajdował się niski tapczan, służący do siedzenia i ewentualnego spania (bez pościeli). Przetrzymywano w niej różne aresztantki często tylko przez dobę, w całkowitem ubraniu, sprowadzone wprost z ulicy. Pod wieczór przyprowadzono jedną z odnalezionych „El", p. Eleonorę Janczurowiczównę, stałego gościa zebrań politycznych S. N. N. Nie rozstawałyśmy się z nią aż do czasu zwolnienia jej, do chwili, gdy Niemcy spostrzegli swoją omyłkę. Druga „Ela", siostra Elwiry Szeligowskiej, zajmującej się bibułą, Eleonora, została zaaresztowana również. Elwira ukrywała się i szczęśliwie uniknęła więzienia.

Równanie politycznych z kryminalnemi zaczęło się nazajutrz od wspólnego rozbierania się, kąpieli i następnie przebierania się w strój kryminalny. Do każdej z tych czynności służył oddzielny pokój. Zdjęte ubranie wkładano do worków i, po dezynfekcji — magazynowano. Nasze worki wyłączono z dezynfekcji, dzięki czemu ubranie było tylko wygniecione, ale nie zniszczone. Kosztowności i gotówkę w kopertach przechowywano oddzielnie. Zabrano nam wszystko dosłownie, prócz grzebieni i szczoteczek do zębów. Na nogi dano okropne trepki drewniane, w których po schodach było chodzić niezmiernie trudno.

Nie chciałam ze Szwabkami wcale rozmawiać, ani prosić je o cośkolwiek, lecz p. Janczurowiczówna prosiła, abyśmy mogły być razem w celi. Na trzecią dobrałyśmy sobie kryminalną, która sprzątała celę, bowiem utrzymanie porządku należało do „lokatorek".

W celi były trzy łóżka, t. zw. „legimaty", podnoszone na dzień. 1 stół, 3 stołki, miska do mycia, dzban i kubeł, półka na bieliznę więzienną oraz zapasowe jadło, o ile je dostarczano z miasta. Mimo, że się nic nie spodziewałam, patronat rozpoczął nadsyłanie cotygodniowych „wałówek", złożonych z niezbędnego pożywienia. W kilka dni po zaaresztowaniu mnie dostarczono mi również książki, co w przymusowej bezczynności było ogromną osłodą. Warto też wspomnieć o pościeli. Do dziś dnia mam kawałki drzewa, wyskubane z siennika i poduszki, napychano je bowiem wiórami z pod hebla. Drzewo kłuło niemiłosiernie i trzeba było, kładąc się do snu, dopasowywać się po kilka razy do gładszych warstw wiórów. Zimno przytem dokuczało bardzo, tem więcej, że koce były bardzo cienkie. Po dopasowaniu się, trzeba było leżeć do rana w tej samej pozycji.

Ranna gimnastyka i oblewanie się wodą orzeźwiały i rozgrzewały organizm. Wszystko szło jak w zegarku: o 6-ej wstawanie, chodzenie po wodę z kubełkami, śniadanie, 15 minut „miłego" spaceru w spadających z nóg trepkach, z rękami trzymanemi ztyłu, idąc w odstępach o 3 — 5 kroków jedna od drugiej, w absolutnem milczeniu. Trzeba było stosować się do regime'u, jeśli nie chciało się narażać na grubiaństwa dozorczyni. O 12-tej obiad i wypuszczanie na korytarz, przed 6-tą kolacja i jeszcze ostatni spacer po wodę. Po jedzenie należało stanąć w kolejce, trzymając miski w rękach a oddziałowa z kryminalnemi roznosiły kadzie z niezawsze dobrze pachnącą strawą. Rano była przeważnie rzadka kasza gryczana (przyszła mi kiedyś chęć policzenia ziarnek kaszy w litrze zupy i było ich aż pięć!), na obiad litr rozgotowanej jarzyny, na kolację litr kartoflanki lub innego rarytasu. Okrasę to już chyba kto inny widział, bo my nie! Obok tego trzy razy na dzień dawano nam $^1/_4$ małego t. zw. „komitetowego" bochenka chleba.

W dzień wolno było chodzić po sali lub siedzieć — o leżeniu nie było mowy, a nawet o drzemce w pozycji siedzącej, z głową opartą o stół. Zdobyłam od zacnej sąsiadki kawałek ołówka bez drewienka (skrzętnie przechowywany w szparce od podłogi), od przynoszącej wałówki oddziałowej p. Kujawy papier z opakowania produktów (pod wielkim sekretem) i zrobiłam talję kart, służącą do stawiania pasjansów. Siadało się wtedy plecami do „judasza", inne nadsłuchiwały, czy niebezpieczeństwo nie zbliża się i czasem udało się pasjansa dokoń-

czyć. Wogóle słuch nam zaostrzył się, a z dochodzących odgłosów z korytarza snuło się różne przypuszczenia i brało poniekąd udział w życiu więziennem. Ponieważ przy wejściu znienacka bądź oddziałowej-Szwabki lub naczelniczki Uliczko należało wstawać, słuch ostrzegał nas i gdy klucz wkładano do zamka, wówczas rozpoczynałyśmy spacer po celi.

Razu pewnego posłyszałam jakimś przyjaznym szeptem wymówione swe nazwisko. Ktoś widać odczytywał „bilet wizytowy" na drzwiach. Nagle otworzyły się drzwi celi i ukazała się twarz miła, uśmiechnięta i dająca jakieś znaki. Była to dr-owa Lipińska. Weszła do celi pod pretekstem zbadania, czy wszystko jest w porządku i szybko powiedziała do mnie:

„Jestem tu na praktyce, bo władze polskie wkrótce przejmą więzienia. Jestem bratową Dyzi. Polecono mi z P. O. W. odszukać panią i co można — ułatwić".

Pierwszą była prośba o papieros. Kochana dr-owa z wielkim strachem przyniosła mi jednego, zalecając wypalić dopiero, gdy się zmierzchnie i dym puszczać po ścianie, co też dosłownie wykonałam. Pani Lipińska była mi odtąd jedynym łącznikiem ze światem, dzięki czemu miałam widzenie ze swą stałą i wierną opiekunką, ilekroć siedziałam u Moskali — Marychną Biesiekierską. Niemcy udzielili mi pozwolenia na widzenie, chcąc je dla siebie wykorzystać.

We własnem wygniecionem ubraniu, które przed chwilą, po 2-ch miesiącach pozwolono mi włożyć, czułam się okropnie. Stanęłyśmy nawprost siebie, bokiem do szpicli, tak, że wygadując różne głupstwa dla Niemców, mruganiem lewego oka wszystkiemu zaprzeczałam. Rozumiałyśmy się doskonale. Niemcy pozwolili, aby Marychna zgłosiła się po klucz od mego mieszkania i dostarczyła mi trochę rzeczy, oraz szydełko i jedwab. Od tej chwili było mi znośniej. W tym czasie wypuszczono p. Janczurowiczównę, a mnie przeniesiono do usłużnej sąsiadki, na jej życzenie i wniosek dr-owej. Sąsiadka bowiem, znająca język niemiecki, pomagała Uliczce, t. zw. oberce, w kancelaryjnych pracach i zasłużyła sobie na jej względy, gdyż lepiej od niej orjentowała się w pracy.

Przeniosłam się więc do pani Hanny, czyli do celi znajomej z czasów rosyjskich i tu dopiero odżyłam i odżywiłam się. Hania, z którą do dziś łączą mnie serdeczne stosunki, nietylko dzieliła się ze mną wszystkiem, ale ułatwiała stosunki ze światem, a synek, odwiedzający ją z boną, w kieszonkach paltocika przenosił moje „grypsiki". Nieszczęśliwie zaplątana przez Niemców finansowo, pokutowała tu, wyrwana z domowego ogniska.

Badano mnie dwa razy, pytając zawsze w jednej i tej samej formie: „kto był w Zarządzie S. N. N.?" Wkońcu ostro powiedziałam, że mi już wszystko jedno, czy długo więzić mnie będą, bo dla mnie więzienie nie jest nowością, a denuncjatorstwem plamić się nie będę. Zostawili więc mnie w spokoju. Mieli mnie podobno wysłać do Modlina, bo węszyli „peowiactwo", lecz nie zdążyli, gdyż powinowaci moi szczęśliwie wydobyli mnie z więzienia.

Pewnego czerwcowego popołudnia, przed 6-tą, wpadła dr-owa, wołając od progu: „Krasuska na wolność!" Nie bardzo spodziewając się wolności, nie ruszyłam się ze stołka: „Prędzej, prędzej, bo pani nie zdąży i zatrzymają do jutra!" — nawoływała p. Lipińska.

Zebranie manatków nie trwało długo, tylko pakując je z pośpiechem, wpakowałam sobie szydełko w dłoń i nie mogłam wyjąć haczyka, ale wyrwałam go sama i chociaż krew broczyła i nie miał mi kto jej zatamować, najrychlej, jak mogłam, opuściłam więzienie. (O nikczemnych Niemkach pamiętałam kiedy indziej i gdzie indziej i żadna z nich przy polskiej administracji nie została, choć miały chęć po temu).

Tak tedy wyszłam na Wierzbową w letni dzień czerwcowy ubrana ciepło, konwojowana przez tego samego szpicla, co mnie przyprowadził do więzienia. Otrzymałam polecenie stawiania się co tydzień na policję.

Z paczką w rękach dotarłam do Marychny Biesiekierskiej po klucz od mieszkania, a stamtąd wprost do domu, gdzie, niestety z powodu zrobionego podczas rewizji nieładu, niepodobna było nocować.

Zofja Zawiszanka.

BURZLIWE DNI POWIATU MIECHOWSKIEGO.

Rok 1916 musiałam spędzić na terenie życia prywatnego. Dom mój jednak pozostał, jak i przed wojną, stacją tranzytową dla wszelkiej bibuły, mniej lub więcej tajnie wydawanej i rozpowszechnianej przez tych, co nie umieli się pogodzić z obcym najazdem.

W czerwcu 1917 r. dowiedziałam się dość niespodziewanie, że świeżo założona w naszym powiecie organizacja „Polskie Stronnictwo Ludowe" pozostaje bez kierownictwa, gdyż jej założyciel, p. Nowicki, musi na stałe wyjechać. Skomunikowaliśmy się więc ze sobą i doszliśmy oboje do przekonania, że moja współpraca, jako jedynego narazie „inteligenta", może tu być pożyteczna.

Rozmyślnie nazywam ówczesne „P. S. L." nie stronnictwem, jak siebie mianowało oficjalnie, lecz organizacją. Element bowiem klasowo-partyjny był jeszcze wówczas słabo zaznaczony.

Był to okres, gdy okupacja zaciążyła bardzo na życiu wsi. Rodziło się już powoli szczere dążenie do samoistnego bytu, zachodziła jakaś wielka zmiana; pomimo ciężkiej sytuacji wojenno-politycznej, dusza ludu odradzała się gwałtownie, samorzutnie.

Wyczułam to już po paru zebraniach Zarządu, do którego mnie zaraz wybrano. Kolegami moimi byli tam, między innymi: Doniec, bardzo światły gospodarz z pod Miechowa, nauczyciel Karkowski, Manterys, były poseł do Dumy, Przybycień i Tabor, późniejsi posłowie na Sejm. Były to przeważnie świeże siły, pełne zdolności i dobrej woli.

Nietylko w tem ciele kierowniczem, ale wogóle w miejscowej organizacji byłam jedyną kobietą. A jednak stosunki wzajemne ułożyły się odrazu bardzo przyjaźnie, co tem było dziwniejsze, że wiedziano tu przecie o mojem „obszarnictwie". Mimo przysłowiowej nieufności polskiego chłopa, uwierzono jakoś łatwo w szczerość moich intencyj.

Ze skromnych zebrań małej grupki, odbywanych w Miechowie co wtorek (jako w dzień targowy), wyłoniły się stale odbywane wiece, często pod gołem niebem, które przyciągały coraz większe masy, zjeżdżających się z całego powiatu, chłopów. Już z końcem lata tegoż roku opanowaliśmy i zupełnie skoncentrowaliśmy w swem ręku ich opinję. Pytano nas o wszystko, rozpraszając, zresztą, nawałem drobiazgowych trosk, porządek naszych dyskusyj — niemniej jednak

uświadomienie polityczne rosło w dziwnie szybkiem tempie, połączone z naiwnym trochę rozmachem i zapałem.

Centralą naszą w Miechowie stał się dom pp. Kuleszów — on sam wszedł niebawem do Zarządu, jako czynny i gorliwy członek — ona, jedna z najdzielniejszych kobiet, jakie znałam, dopomagała nam we wszystkiem.

Gdy spadła na nas hiobowa wieść o uwięzieniu Komendanta, — udało nam się zgromadzić, na odpuście w Zielenicach, tłum kilkotysięczny, który słuchał w skupieniu, mimo ulewnego deszczu, mojej przemowy. Choć żniwa były w całej pełni, rozwinęliśmy z powodzeniem gorączkową akcję zbierania podpisów na proteście następującym:

„Aresztowanie i uwięzienie przez Niemców Twórcy żołnierza polskiego uważamy za ciężką obelgę, rzuconą całemu Narodowi naszemu. Jako obywatele, bez względu na odcienie przekonań politycznych i społecznych, przeciw gwałtowi temu protestujemy! Oba Państwa Centralne poręczyły uroczyście Niepodległość, oba zatem są wspólnie odpowiedzialne za uwięzienie Tego, który, przez całe życie swoje o tę ideę tylko walczył. Żądamy, aby Józef Piłsudski wypuszczony został natychmiast na wolność!"

Mimo krótkiego terminu, zebraliśmy prawie 3.000 podpisów, niemal wyłącznie chłopskich i wysłali je do Głównego Zarządu Polskiego Stronnictwa Ludowego w Warszawie.

Ciężki cios nie przygnębił ludzi, przeciwnie stał się nową podnietą do rozrostu pracy. Prócz cotygodniowych zjazdów powiatowych, rozwijała się coraz mocniej organizacyjna robota po wsiach, w pojedyńczych kołach, których liczba, o ile pamiętam, dosięgła 40-stu. Staraliśmy się wglądać od czasu do czasu w ich życie, co utrudniała jednak rozległość powiatu, przy fatalnym stanie dróg, zwłaszcza w porze roztopów. Urządzaliśmy też małe lokalne zjazdy w takich zakątkach, z których trudno było ludziom liczniej zjeżdżać do Miechowa.

Związek nasz z miejscową P. O. W. stawał się coraz ściślejszy — kwitł kolportaż „Rządu i Wojska", „Strzelca" i różnych innych nielegalnych pism, jak i broszur niepodległościowych. Przechowywaliśmy masowo „legunów", zbiegłych z więzień lub z włoskiego frontu — ułatwialiśmy przejazd tym, co dążyli na Murman.

W ciągu zimy 1917 — 18 r. konflikty z Austrjakami poczęły zdarzać się coraz częściej, tak na tle ich forsownych rekwizycyj, jak i życia samorządowego. Doprowadziwszy swą celową agitacją do wyboru licznych rad gminnych na terenie powiatu, nie chcieliśmy później poddać się biernie ich zamknięciu przez Komendę Obwodową — szły więc

energiczne protesty, nawet do Generał-Gubernatorstwa w Lublinie — i, oczywista, potęgowało się rozgoryczenie ogólne.

Austrjacy, czując w nas znaczną siłę, nie śmieli zakazywać zebrań — niemniej jednak, rosnąca wciąż bezwzględność „kursu" ich polityki ówczesnej odbijała się i u nas, krępując ruchy, budząc reakcję. Jakieś ostre starcie stawało się nieuniknione...

I padł wreszcie grom, który je rozpętał: traktat brzeski.

Ogromne wzburzenie ogarnęło płomieniem cały powiat. Chłopi zaczęli wręcz odmawiać danin w naturze, nakładanych przez Komendę, opowiadając jawnie, że już nadchodzi kres panowania okupantów. W pewnej wsi, tuż pod Miechowem, nie dano wcale podwód pod zarekwirowane zboże — a gdy specjalna ekspedycja wojskowa władowała je na własne fury, wszyscy gospodarze otoczyli je ciasnym i groźnym tłumem, nie dopuszczając do wywiezienia. Tylko wyjątkowemu taktowi komendanta tej wyprawy oficera-Polaka, p. Dubaja zawdzięczać można, że nie przyszło wówczas do rozlewu krwi.

Ale lud miechowski już i przed tą myślą się nie cofał, uniesiony oburzeniem, upojony poczuciem swych praw i siły, podniecony zbiorowym głosem całej Polski, wołającym o pomstę i sprawiedliwość. Minęły czasy ostrożności i zwlekania. W powietrzu pachniało burzą...

Uspakajaliśmy, jak się dało, tłumacząc, że przecie na własną rękę powstania urządzać niepodobna. Narazie trzeba było skoncentrować całą uwagę na dzień 18 lutego, wyznaczony, jako chwila solidarnego protestu na całym obszarze okupacji.

17 lutego odbył się w Miechowie wspólny zjazd ziemiańsko-ludowy, którego celem było uzgodnienie stanowiska w tych czasach przełomu. Ku memu zdziwieniu, chłopi z P. S. L. uparli się, abym ja właśnie reprezentowała ich, jako generalna mówczyni. Pamiętam, że dyskusja była gorąca, gdyż sąsiadów moich przerażał i dezorjentował wzrost ruchu ludowego, któremu przypisywali cele głównie klasowe. Wyniku obrad nie pamiętam — zdaje się jednak, że ustalono chwilowo jakieś porozumienie, pod naciskiem groźnych pogłosek, że Austrjacy do demonstracji nie dopuszczą.

Przed oknami naszej sali obrad przeciągnęło, jak na paradzie, wojsko z oddziałem sanitarnym, z noszami, jakby dla zaznaczenia, że będzie ono potrzebne na dzień jutrzejszy.

Idąc wieczorem na wielkie zgromadzenie na cmentarzu, nie byłam wcale pewna, czem się ono skończy. Wokoło mogiły powstańców z 1863 r. zgromadziło się parę tysięcy wzburzonego tłumu. Jego nastrój ogarnął mnie niewstrzymanie, gdy silne chłopskie ramiona

dźwignęły mnie i postawiły na jednej z najbliższych płyt grobowych. Nie wiem, czy kiedy w życiu mówiłam, wbrew własnym zamiarom, tak namiętnie, tak nie licząc się z niczem, jak wówczas, z tej dostojnej mównicy.

— Usuwajcie na każdym kroku austrjackich donosicieli — wołałam donośnie, — nie dopuszczajcie ich do naszych zgromadzeń!

I zaraz uderzył mnie jakiś ruch w ścieśnionej masie ludzkiej: doniesiono mi po chwili, że to przepędzono jakiegoś żandarma, który się ukrył w tłoku. Tak silny był wówczas kontakt mówcy ze słuchaczami!

Przemawiało jeszcze kilku chłopów, wzywając do okazania mocno nazajutrz naszej zbiorowej woli. Pod tem hasłem rozchodziliśmy się pomału, zdziwieni, że żaden oddział wojska nie zagradza nam drogi.

Ze sfer zbliżonych do Komendy Obwodowej nadeszły pocieszające wieści, że demonstracja będzie mogła odbyć się spokojnie. W ścisłem naszem kółku uradziliśmy już w nocy, że miechowską demonstracją zajmie się Kulesza, zaś ja z Masłowskim, byłym legjonistą, zostaliśmy wyznaczeni na Działoszyce (powiat pińczowski), gdyż stamtąd domagano się mówców.

Wczesnym, niezwykle mroźnym rankiem, w nastroju dość pogodnym, wyruszyliśmy do tej mieściny, zupełnie nam nieznanej. Przyjął nas tam ob. Rawicz, komendant P. O. W. Na rynku oczekiwały nas tłumy. Masłowski zaczął właśnie przemawiać, gdy nagle przerwał mu okrzyk:

— Milczeć! Proszę się rozejść. Zebranie zakazane.

W tej chwili dopiero zauważyliśmy plutonik żandarmów, który wynurzył się z jakiejś uliczki. Oboje z Rawiczem poskoczyliśmy ku komenderującemu podoficerowi, tłumacząc mu dobitnie, że w całej austrjackiej okupacji zgromadzenia w dniu dzisiejszym są dozwolone. Daremnie! Masłowski musiał przerwać swoją mowę, gdyż żandarm krzyczał w dalszym ciągu na całe gardło.

„Idziemy pochodem wokoło rynku!" — wołaliśmy, by opanować zamieszanie: Rota! — śpiewać Rotę"!

Tłum ruszył z miejsca. Potężny chór już wybuchł, głusząc krzyk rozwścieczonego podoficera.

Nagle zdarł on karabin z ramienia. Przyskoczyłam do niego wrzeszcząc:

„Co pan robi ? proszę się opamiętać!

„Rozejdziecie się, czy nie"?

„Za nic w świecie"!

„Strzelaj, łajdaku", wołał jakiś stary chłop, rozrywając odzienie na piersiach. Inny wyciągał przed siebie, modlitewnym ruchem, mały drewniany krzyżyk.

— Nie damy ziemi! przysięgała pieśń. Zdawało się, że czas się cofnął dziwnem zaklęciem, że jestem chyba na jednym z placów Warszawy w 1861 r.

„Ognia"! zakomenderował podoficer, zwracając się do swego plutonu.

Lecz wyprostowana linja żołnierzy stała martwa i głucha, z bronią u nogi. Odmówili posłuszeństwa. Nieprzytomny z pasji dowódca począł odciągać zamek karabina.

„Ależ panu strzelać nie wolno!" darłam się do niego z odległości piętnastu kroków. Nie wierzyłam jeszcze wcale, aby się poważył...

Nikt nie uciekał, ani się próbował bronić; ludzi ogarnęła ekstaza przetrwania skupionej zbiorowej woli. Wtem padł strzał i wali się tuż koło mnie jakiś starszy włościanin... Trup. Kilka kobiet poczęło uciekać z ogłuszającym piskiem i lamentem, lecz tłum stał, zwarty i groźny — posypały się obelgi i okrzyki bezładne:

— „Bezprawie, stój, morderco!"

Obejrzałam się za Rawiczem... Czemuż nie rzuci swoich chłopów choćby z gołemi rękami na tego zbója? A ten znów przykłada broń do oka...

W tym momencie ze ścieśnionych szeregów oddziału P. O. W. poza mną, wyskakuje młody chłopak [1]) z widocznym zamiarem rzucenia się na wroga — już biegnie — i w biegu pada nagle z jękiem rozdzierającym... Kałuża krwi wokół niego rozszerza się szybko.

Już się przerzedza koło naszej garstki — powstaje panika — człowiek z karabinem staje się panem położenia.

„Ratunku, bracia, ratunku!" woła młodzieniec ze strzaskaną nogą.

Widząc, że nie opanujemy rosnącego zamętu, zwracam się ku niemu. Próbuję dźwignąć go... ani mowy! przez mózg przebiegają błyskawiczne myśli „Trzeba zatamować krew — jak najprędzej — ale jakże obnażać ranę przy 18 stopniach mrozu? Zakażenie gotowe..." Łapię za ramię pierwszego z brzegu człowieka:

„Chodźcie, przeniesiemy rannego!"

„Iij"... wycofuje się zaczepiony i znika gdzieś w tłoku. To samo drugi, trzeci...

Teraz dopiero spostrzegam, że lufa żandarmskiego karabina skierowana jest specjalnie na rannego i na tych, co się do niego zbliżali.

Bądź co bądź stoi jeszcze w miejscu kilkuset ludzi — a rozszalały podoficer strzela w tę masę co chwila — położył już pięciu... Masłowski, ja i kilku mieszczan kręcimy się ciągle w pierwszej linji, nie-

[1]) Stefan Starkiewicz.

pojęta rzecz, dlaczego nas oszczędza? „Tchórze, łajdaki"! wołam, nie hamując się... ranny omdlał już... dajecie mu skonać bez ratunku? Za mną, natychmiast! Brać go!

Ten ton dokazał więcej, niż prośba: już trzech tęgich chłopów dźwiga bezwładne ciało. A może to dlatego, że pochód już rozproszony, a kat, syt ofiar, wycofuje się nareszcie ze swym zbuntowanym oddziałem.

W jakiejś pobliskiej kuchence złożono rannego na podłodze. Rozcinam mu nożyczkami grube spodnie, bandażuję mocno udo powyżej przerwanej arterji: chwała Bogu, krew już nie uchodzi!

„Ależ on nie żyje"... mówi cicho jakiś nieznajomy, pochylony nad bladą głową, opartą o podłogę. Protestuję gorąco, próbuję wyczuć puls, przykładam ucho do serca — tak, tak! Złowróżbna cisza...

„Więc taki wymarzyłeś sobie koniec, bohaterze!" Woła ze straszliwym patosem boleści jakiś głos kobiecy. Z trudem przywołuję świadomość, kojarzę poplątane myśli: czyż krwotok tak szybko może zabić. Ach, czemuż tam na bruku natychmiast nie założyłam jakiejkolwiek opaski, nie ścisnęłam choćby ręką otwartej tętnicy. Ten wyrzut miał prześladować mnie przez długie lata... Ale teraz spada na mnie także poczucie pogromu, gnębiące, jak ciężki kamień.

— Pewnie zaczną nas aresztować, myślę, obmywając jako tako ręce, całe unurzane we krwi. Jak się tu wymknąć, gdzie szukać Masłowskiego i Rawicza?

Pożegnawszy jeszcze wzrokiem naszego poległego, wychodzę, jak błędna, na rynek, przekonana, że zastanę tam martwą pustkę i świeże trupy tylko — żniwo terroru. A tymczasem cały plac wre od krzyków podnieconej ludności. Teraz już nikt się nie boi — ludzie skupiają się w grupki, słychać coraz śmielsze głosy oburzenia. Dzwon kościelny poczyna bić przeciągle, ponuro, jak na trwogę. Rawicz i Masłowski, spotkani po drodze, zabierają mnie na nadzwyczajne zebranie Rady Miejskiej, odbywające się w tej chwili.

Powitano nas tam niemal owacyjnie, prosząc poprostu o radę, co robić z zupełnie zrewoltowaną ludnością miasteczka, aby nie doszło do gorszego jeszcze nieszczęścia. Żandarmi wprawdzie zamknęli się w swoim budynku, ale niewiadomo, co będzie dalej... Przy nieustającym głuchym dźwięku dzwonów, przekładaliśmy gorąco zatrwożonym „ojcom miasta" konieczność jakiegoś publicznego protestu. Nie zgodziliby się na to z pewnością, gdyby nie groźny pomruk rozdrażnionych tłumów coraz silniej szturmujący do okien.

„Proszę wyjść, uspokoić ich jakoś! Nas zapewne nie posłuchają"... wołał płaczliwie jeden z rajców. Stanęło na tem, że za dwie godziny

urządzimy wielki wiec na cmentarzu. Wtem wpadł ktoś z alarmującą wieścią, że ludność zabiera się już do szturmowania żandarmerji.

Wybiegliśmy na rynek, w poczuciu odpowiedzialności za rozpętane tak groźnie wypadki. Tu odrazu otoczyli mnie jacyś ludzie, serdecznie wspominając mój udział w demonstracji.

„Nasza pani, nasza pani", wołali, wyciągając ręce. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że wtedy, w najtragiczniejszym momencie byłam jedyną kobietą, która nie uciekła i widać dlatego tak mię zapamiętano. Skorzystałam z tej niespodziewanej popularności, aby wejść odrazu w żywy kontakt ze zbiorową duszą miasteczka, z tem nagle obudzonem, gorączkowem tętnem jej życia...

Z przerażeniem dowiedziałam się na wstępie, że istotnie zanosi się na jakiś doraźny akt zemsty na żandarmach. Rozszalałe z oburzenia kobiety, może matki i żony poległych, przebiegały rynek, podburzając ludzi, zbierając cegły i kamienie, z któremi podkradały się do wylotu wąskiej uliczki; powiedziano mi, że tam właśnie w jednej z kamienic zatarasowali się Austrjacy. Krew mi w żyłach zastygła na widok tej sytuacji taktycznej...

„Ludzie, opamiętajcie się"! zaczęłam krzyczeć z całych sił. — Cóż z tego, że wybijecie im okna, kiedy oni was wystrzelają, jak kaczki".

„Zatłuczemy ich na śmierć" — wrzasnęła jakaś babina. — „Niech będzie, co chce. — Życie za życie"!

Jakieś głosy zaoponowały, stając po mojej stronie, ale widziałam dobrze, że kilka najzajadlejszych mieszczek podążyło cichaczem na ów niebezpieczny róg placu, dźwigając w chustach swoją amunicję. Słychać już było brzęk rozbijanego szkła — na szczęście, nie strzelano jeszcze. Takie kobiety musiały szturmować Bastylję... przemknęło mi przez głowę. Przyskoczywszy, schwyciłam jedną z nich za rękę, która wznosiła właśnie cegłę do ciosu.

„Stójcie, moiściewy! wołałam prawie ze łzami. — Wy się nie boicie o siebie, ja też nie... Ale tu chodzi o innych, o wszystkich. Jak jeszcze kilka kamieni rzucicie, to oni przecie zaczną strzelać, karabiny mają dobre, a patrzcież, jak tu ciasno... W tym tłoku jeden strzał kilku ludzi położy — setka może zginąć przez was!"

Kilka rozsądniejszych osób zaczęło mi pomagać i z trudem wstrzymaliśmy nareszcie zapał mścicielek. Nad wszystkiem zapanowało teraz hasło „na cmentarz", „schodzić się na cmentarzu". W niecałą godzinę później złożyliśmy tam naprędce naradę, jakby prezydjum wiecu, w gronie nas trojga, reprezentantów Rady Miejskiej, kilku z ziemiaństwa okolicznego i paru dzielniejszych chłopów. Cała sztuka była w tem, żeby ludzi uspokoić. Dać godny wyraz oburzeniu, a nie dopuścić już za żadną cenę do nowego rozlewu krwi.

I znów mówiliśmy ze wzniesień mogilnych do ogromnego morza głów, w poczuciu jakiejś szczególnej odpowiedzialności za każde słowo. Groza krzywdzącego traktatu stawała się ponurem tłem dla jaskrawej tragedji, która się tu rozegrała przed chwilą... Właśnie, po kilku innych, ja przemawiałam, gdy jeden z naszej gromadki, wspiąwszy się ku mnie, szepnął mi do ucha:

— Podobno oddział dragonów pędzi na nas od Pińczowa i są już o kilka wiorst. Mają szarżować... Niechże pani prędko kończy i wezwie do rozejścia się! Ale nic im nie zdradzić, co zagraża, boby było jeszcze gorzej"...

— „No, oczywiście! — odszepnęłam — bądźcie spokojni... Jeszcze tylko kilka słów".

Bóg jeden wie, jak je zdołałam wypowiedzieć bez drżenia głosu, bez przerwania toku myśli — mając wciąż w oczach wstrząsający obraz tego, co się tu może dziać za chwilę. Los mi sprzyjał: udało mi się obudzić jakąś ufność, że krew niewinna nie popłynęła nadaremno— nie obniżając nastroju, zainicjować nieznacznie przejście do dnia powszedniego. Rozchodzono się karnie i dość szybko, a zapowiedzianej kawalerji nie było widać. Odetchnęliśmy.

W ciasnej stancyjce zajazdu napadłam na Rawicza:

„Bójcie się Boga, czemuż te wasze peowiaki nie zadusiły tego łotra?" To już była wasza rzecz, jako dowódcy, żeby ich porwać! Starkiewicz chciał to sam zrobić, za was... Trudno, może jeszcze jeden byłby padł, ale już nie nadaremno!"

Za chwilę siedzieliśmy już na bryczce, ostrym truchtem zmierzającej do Miechowa. Ujechaliśmy tak może dwa kilometry, gdy z poza zakrętu drogi wyłoniła się nagle jakby procesja z rozwiniętemi sztandarami kościelnemi, lecz bił od niej w powietrze nie hymn pobożny, tylko jakaś rewolucyjna pieśń. Zdumieni, zeskoczyliśmy z bryczki, witając się z Przybytniem, który szedł na czele dziwnego pochodu.

„Idziemy bronić Działoszyc!" wołał gorączkowo, wymachując rękami. „Tam naszych mordują. Nie, nie damy się zatrzymać. Kiedy wyście ich wypuścili zdrowo, to my spalimy żandarmerję. Dość już cierpliwości. Wszystko jedno, co będzie potem".

„Naprzód, naprzód na te psiekrwie Austrjaki" odpowiedziały mu zażarte głosy z gromady. Cała wieś wyległa na odsiecz, ze staremi jakiemiś karabinami, kosami i pałkami. Ręce mi opadły, lecz oczy gorzały zachwytem... Rwała się dusza, żeby ściskać tych ludzi, jak braci, żeby biec z nimi... Ach, tu trzeba było grać.

Z trudem wyperswadowaliśmy Przybytniowi i jego zacnym towaszyszom, że mogliby wymierzyć sprawiedliwość zbrodniarzowi tylko

za cenę kilkudziesięciu jeszcze ofiar, a paląc jeden budynek, wzniecililby pożar w całem miasteczku. Obiecawszy nam, że raz zlikwidowanego, krwawego zajścia nie wznowią, poszli jednak, żeby zaznaczyć swą solidarność z demonstracją i dowiedzieć się o rannych.

W Miechowie obyło się szczęśliwie bez rozlewu krwi, chociaż wojsko próbowało rozpędzić tłum bagnetami. Z całego powiatu nadchodziły wieści o imponującym, lecz spokojnym przebiegu zgromadzeń.

Lecz już w parę dni potem w Miechowie postrzelono jednego z gospodarzy za czynny opór przy rekwizycji. Wrzenie potęgowało się — trzeba było używać całego wpływu, by hamować nieskoordynowane odruchy oburzenia i odwagi.

Byłam w ciągłych rozjazdach — aż pewnego dnia powstrzymało mnie nagle ostrzeżenie, że lada chwila mam być aresztowana. Przemykałam się nazajutrz do Krakowa, by na czas jakiś zniknąć z oczu lokalnym władzom, pozostawiając nasz powiat w stanie niemal rewolucyjnym. Można było poważnie obawiać się, że cała ludność lada chwila pocznie się rzucać na posterunki austrjackie.

Lecz doszło do tego dopiero w 8 miesięcy później, gdy wszyscy chłopi, objęci naszą organizacją, dzielnie wspomagali P. O. W. w wypędzaniu okupantów. Byłam już wówczas oddawna znów na posterunku razem z innymi.

Mogliśmy sobie powiedzieć, że i nasze „stronnictwo" współdziałało w swoim zakresie w przygotowaniu epokowego przewrotu.

W OTWARTEJ WALCE.

Janina Benedekówna.

W PRACY POGOTOWIA BOJOWEGO P. P. S.

Po przyjeździe z obozu zamieszkałam na stałe w Warszawie. Kolportowałam tu nielegalną bibułę, od czasu do czasu woziłam ją na prowincję i chodziłam na zbiórki P. O. W. Wszystko to jakoś mi nie wystarczało, inaczej bowiem wyobrażałam sobie swoją walkę z Niemcami. Dlatego też postanowiłam zgłosić się do bardziej ryzykownej pracy.

Ob. Piotr (Józef Korczak) [1]), ówczesny komendant P. O. W. w Płocku, skierował mnie do ob. Małego i wkrótce potem byłam czynnym członkiem oddziału bojowego P. P. S. Z niewiast zetknęłam się wtedy z Lucyną Woliniewską, Haliną Chełmicką, Wirą i Okrzejową, a potem Bronką Wojciechowską.

Był to okres przygotowywania i wykonywania zamachów na przedstawicieli władz niemieckich. Wszystko to, z natury rzeczy, robione było konspiracyjnie, to też o tych pracach wiedziałam naogół niewiele. Zamachy musiały być poprzedzane przez długie i żmudne wywiady. W nich to brałam udział, otrzymując zlecenia najczęściej w małym pokoiku Uniwersytetu Ludowego na Oboźnej. T. zw. „terenów wyjazdu" miałam niewiele; najczęściej były niemi Wilanów i Mińsk Mazowiecki.

W Warszawie, między innemi, robiłam wywiad na niemieckiego oberszpicla — Wołkowicza, który swego czasu prowadził śledztwo w mojej sprawie w Płocku.

W tym samym czasie brałam żywy udział w życiu partyjnem P. P. S., pracując na Woli i „Starówce".

[1]) Por. J. Korczak zginął w 1920 r. w walce z bolszewikami.

Ludzie byli tak przygnieceni biedą, tak zmaltretowani przez Niemców, że dziś, kiedy wspominam owe zebrania dzielnicowe, czy wiece, mam zawsze uczucie, że P. P. S. w tym czasie była dźwignią duchową dla wielkich rzesz ludzkich, że krzepiła zmęczonych walką o byt i świeciła czystym blaskiem swej ideowości.

Niemcy śledzili P. P. S. nieustannie i nic dziwnego, że wściekali się, gdy przywódcy wymykali im się z rąk, jak np. tow. Jaworowski, który podczas zebrania na „Starówce" wyskoczył z balkoniku na pierwszem piętrze w chwili, gdy weszła do lokalu policja.

Podczas doskonale udanego zamachu na Schultzego, byłam właśnie na jakimś wywiadzie poza Warszawą i w pociągu dowiedziałam się o popłochu, jaki ten zamach wywołał. Nietrudno było mi domyśleć się, kto był tego planu wykonawcą. Po tym zamachu wyznaczono kilka innych, to też wywiady robić trzeba było w tempie przyśpieszonem. Na tej niebezpiecznej grze przeszedł październik i pierwsze dni listopada. Atmosfera była tak ciężka, że trudno było oddychać. Aż naraz nastąpił wybuch rewolucji w Niemczech, rozbrajanie Niemców w Warszawie i radosne wieści, że przyjedzie Komendant.

Pamiętam jedną z ówczesnych manifestacyj. Wielki pochód P. P. S. ciągnął od Dworca Głównego. Na czele, przy sztandarze, oprócz tow. Arciszewskiego i Jaworowskiego byli liczni członkowie Oddziału Bojowego. Wielu z nich szło rozrzuconych w regularnych odstępach, utrzymując karność w pochodzie. Ja szłam jakoś luźno. Za nami, bokiem pochodu, jechał wolniutko tramwaj. Gdy przechodziliśmy Alejami koło Brackiej, zauważyłam, że na przedniej platformie tramwaju stoi oficer. Drobny, chudy, z ryżawą, szpiczastą bródką. Jest wściekły: krzyczy, pieni się, wreszcie wyjmuje rewolwer i strzela w tłum. Jakiś krzyk, płacz kobiety i oto znów pada strzał... Oficer chwieje się i zwisa bezwładnie na poręczy tramwaju... Nie zatrzymując się, idziemy dalej. Przy gmachu dzisiejszego Ministerstwa Komunikacji są ustawione karabiny maszynowe. — Będą strzelać — myślę. Ale czoło pochodu idzie naprzód i na rogu Nowego Światu widzę powiewający sztandar. Złamane przez chwilę szeregi znów płyną zwartą falą.

A potem — każda godzina przynosiła zmianę. Jakbyśmy wyszli z podziemi na słońce. Radość wybuchała burzą.

Podczas rozbrajania Niemców otrzymałam wraz z dwoma towarzyszami rozkaz aresztowania szpiegów niemieckich w ich mieszkaniach. Nie było to teraz ani trudne, ani niebezpieczne. Nie potrzebowaliśmy nawet użyć broni, bo pod grozą lufy rewolwerowej wszyscy oni skwapliwie oddawali swą broń, a często nawet i papiery.

Wyniosłam z tej wyprawy tylko wstręt i obrzydzenie do ich tchórzostwa, pokory, braku hartu ducha oraz poczucia godności osobistej.

W mieszkaniu jednego z agentów zobaczyłam zawieszony na ścianie nowiutki portrecik Komendanta; w tym zapewne celu, jak święte obrazki, które ongi zawieszano w obawie pogromu. Portrecik ten — to moja zdobycz wojenna; mam go do dziś dnia i patrzę nieraz nań z uśmiechem, jak na promyk słoneczny, który zjawił się po burzy.

Agenci niemieccy — z całego tego połowu — sprowadzeni byli do ich tajnego lokalu przy ulicy Sadowej. Był wśród nich i Wołkowicz, który, blady i drżący ze strachu, prosił o darowanie mu życia. Późną już nocą przewieziono ich na ulicę Wierzbową, gdzie sprowadzono również innych aresztowanych i w parę dni później odstawiono ich wszystkich do granicy niemieckiej.

Tymczasem Oddział Bojowy, odrzuciwszy maskę konspiracji, stał się gwardją ochotniczą, której komendę objęli Piotr i Jarosław. Pracy było dużo. W opróżnionych przez Niemców lokalach natychmiast instalowały się nasze biura. „Gwardja" ulokowała się w pałacu Staszyca. Poczynano sobie energicznie, wesoło, z pieśnią na ustach i z wielką wiarą w przyszłość.

W tym czasie miałam w swej ewidencji składy broni i materjałów wybuchowych. Nasz „arsenał" przedstawiał się nieźle. Oprócz dwóch karabinów maszynowych mieliśmy sto karabinów ręcznych, poza tem były Nagany, Mausery, Steyery, Parabellum i duża ilość naboi. Był też spory zapas granatów, około 700 sztuk petard i bomb oraz materjały wybuchowe: dynamit, proch, kapsle piorunianu rtęci, detonatory do bomb i zwoje lontu. Mieliśmy często dużo kłopotu z przechowaniem tych skarbów, zawsze jednak znajdowali się ludzie, którym można było to powierzyć.

W tym okresie przyjechał z Krakowa stary rewolucjonista P. P. S. tow. Ludwik Mańkowski[1]). Pod jego kierunkiem przypomniałam sobie praktyczne wiadomości o materjałach wybuchowych, nabyte podczas wykładów w lwowskim „Strzelcu". W ustronnym pokoiku w pałacu Staszyca niejedną godzinę spędziłam przy pracy z tow. Ludwikiem. Robiliśmy najczęściej bomby i petardy. Chwalił mnie wtedy, twierdząc, że nadaję się do tej pracy, bo mam spokojne i opanowane ruchy. Przypominam też sobie, z jak wielką radością biegłam z gwarnych pokojów biurowych, aby znaleźć się w zaciszu naszego „laboratorjum".

[1]) Ludwik Mańkowski zmarł w Krakowie w końcu 1922 r.

Pociągały mnie tam prócz pracy, długie rozmowy z tym pełnym słodyczy starcem-idealistą. Dziś jeszcze, przerzucając kartki z książki jego: „Złoty dar człowieka", widzę tę siwą głowę, cierpliwie pochyloną ku mnie i pomarszczone ręce, zwijające kluski dynamitu.

Ochotnicza gwardja rozszerzyła się następnie w milicję ludową i przeniosła się do koszar Blocha. Zorganizowałyśmy tu we dwie z Wirą kursy dokształcające. Lekcje odbywały się regularnie. Tam też 19 marca w zapełnionej szczelnie sali mówiłam o Komendancie i widziałam we wszystkich oczach wierność dla Józefa Piłsudskiego. Wyszłam z poczuciem, że tu bez wahania każdy odda życie za Komendanta, a hasło „wolny człowiek w wolnej Polsce" jest w tem gronie głęboko odczute, zrozumiane i ukochane.

Wkrótce po tej uroczystości skończyła się moja praca w milicji ludowej.

Ludmiła Modzelewska.

ROZBROJENIE AUSTRJAKÓW W KRAKOWIE.

(Kartki z pamiętnika).

Po kryzysie przysięgowym uwięziono wielu oficerów i żołnierzy legjonowych. Kilkuset z nich staje przed sądem austrjackim w Przemyślu, wielu wcielono przymusowo do wojska austrjackiego i wysłano na front wołyński i włoski. Wtedy to dezercja ich z wojska przybiera wielkie rozmiary. Ratuje się, kto może, uciekając z szeregu. Kraków staje się w tym czasie głównym etapem „dezerterów".

Rozkaz kapitana Więckowskiego przydzielił mnie do pracy kwaterunkowej i wywiadowczej na terenie Krakowa. Kierowali temi pracami: mjr. Sokołowski i por. Robak z I Brygady. Kazano mi dostarczać: kwater (z całem utrzymaniem), cywilnych ubrań, bielizny, przygotowywać dokumenty osobiste, umieszczać rzekomych chorych w odpowiednich szpitalach, wysyłać „rekonwalescentów" na robotę peowiacką oraz wynajdywać im płatne zajęcia.

Prawie w każdem miasteczku, a nawet wsi, znajdowało się choć paru legunów na robocie. Rozbiegli się oni po całej Polsce, mając wszędzie pomoc ze strony kolejarzy. (Robak był w stałym kontakcie z delegatem organizacji kolejowej P. P. S. — Packanem).

W końcu 1917 r. zostałam oskarżona przez c. i k. sąd wojskowy o „pomoc w dezercji" i o dostarczanie fałszywych „dokumentów".

Wtedy jedynie dzięki nadzwyczajnej obronie mec. Ostrowskiego uniknęłam losu mjra Sokołowskiego, który następnie został aresztowany. Posypały się wtedy rewizje i aresztowania wybitnych działaczy z Krakowa.

12 luty 1918. Pertraktacje pokojowe w Brześciu wywołały ogólne oburzenie. Wybuchły żywiołowe demonstracje. W ratuszu odbyły się protestacyjne zebrania najpoważniejszych obywateli Krakowa m. in. posłów Sejmu Galicyjskiego. Wielu z nich złożyło urzędy, tytuły i ordery.

Legjoniści i żołnierze Polacy z wojska austrjackiego zawieszali swe ordery na parkanach, na pośmiewisko tłumu i złość Austrjakom.

C. i k. komendant miasta, oszołomiony i przerażony siłą protestu, chcąc nie chcąc, musiał się zgodzić na strajk, zapowiedziany na 18 lutego. Kierowany jednak tchórzostwem, wezwał na pomoc bataljon Węgrów z prowincji przeciw strajkującym. Nie udało mu się jednak wcale. Nasi dzielni kolejarze zatrzymali cały transport wojska w Chrzanowie....

7 październik. Wypadki idą w szybkiem tempie. Demonstracje — protesty, strajki, zrywanie orłów austrjackich i t. d.

16 październik. Niemało uciechy wywołał spóźniony manifest cesarza Karola, zapowiadający przekształcenie Austrji oraz połączenie ziem polskich pod berłem austrjackiem.

29 października. Utworzono Komisję Likwidacyjną z J. Moraczewskim i Ignacym Daszyńskim na czele. Komisja radzi nad sposobem rozbrojenia Austrjaków. W samym Krakowie jest jednak 12 tysięcy wojska: Niemców, Węgrów i Czechów.

Na szczęście jednak ani komenda austrjacka ani policja niczego nie przeczuwają.

30 październik. Mobilizacja P. O. W. Powiadomiona o 11-tej w nocy przez ob. Leszka i Robaka o ogólnej mobilizacji P. O. W., udaję się na ulicę Gołębią (lokal N. K. N.).

Chłopcy gotowi są do zbrojnej rozprawy ze znienawidzonem wojskiem austrjackiem, czekają tylko rozkazu.

1 listopad. W koszarach pułku niemieckiego zapowiedziano zbiórkę na dziedzińcu. Zebranym żołnierzom oficer zapowiedział, że przemawiać będzie po niemiecku i po polsku. Podzielono ich więc na dwie grupy: Niemców i „Słowian".

Bezbronnych „trepów" otoczył oddział złożony z Polaków i Czechów. Wprowadzono ich przemocą do koszar, z których wtajemniczeni usunęli przedtem całą broń. Zwycięzcy udali się tymczasem na Rynek.

Zorjentowawszy się w sytuacji, udałam się wraz z zebranym naprędce oddziałkiem legjonistów (byli tam także robotnicy, a nawet uczniowie) na „polowanie" — na orły austrjackie. Robiliśmy to z zapałem. Zdzieraliśmy znienawidzone czarno-żółte godła oraz „bączki" z czapek przechodzących oficerów austrjackich. Oficerowie byli bezradni, niezdolni do jakiejkolwiek opozycji. Nigdzie zbrojnego oporu, ani rozlewu krwi...

9-a rano. Wieść o przewrocie zelektryzowała cały Kraków. Na Rynek płyną tłumy. Z ulicy Grodzkiej przy dźwiękach muzyki maszeruje oddział — kolejarze idą na przedzie.

Przed ratuszem kołyszą się tłumy. W ratuszu jeszcze jest warta austrjacka. Wzdłuż ratusza w szyku rozwiniętym stanęła nasza kompanja wraz z orkiestrą.

Chwila oczekiwania... Wśród zgromadzonych tłumów panuje uroczysta cisza... Wreszcie do ratusza wpada oddział wojska, który wyrzuca stąd obcą wartę wraz ze wszystkiemi portretami cesarza.

Już niema ani jednego Austrjaka... niema c. i k. napisów, ani jednego dwugłowego orła. Jakiś legun zawiesza pośpiesznie portret Komendanta...

W tym momencie uderza w górę potężny okrzyk zgromadzonych na Rynku tłumów. Radością i zapałem wezbrane głosy wybuchają w okrzyku:

— Niech żyje niepodległa Polska! Niech żyje Józef Piłsudski!

Orkiestra gra. Hejnał z wieży Marjackiej płynie w przestworza na skrzydłach pieśni... Biały orzeł łopoce na skrzydle sztandaru, zawieszonego na starym ratuszu krakowskim.

Tłum śpiewa i płacze z radości. Są jakieś mowy, przerywane łkaniem.... Zabiło serce tłumu...

Niepodobna tych chwil wyrazić słowami...

11 rano. Koszary przy ul. Rajskiej zajmuje 5 pułk Legjonów. Pułk „urzęduje". Są tu oficerowie: kpt. J. Stachiewicz, Bortnowski, Kordjan Zamorski, Broniowski, Robak I, Robak II, Zielan, Krok-Paszkowski. Kogo tam niema!

Zielan z Jaworskim obejmują kancelarję pułku, Robak-Modzelewski jest oficerem inspekcyjnym.

Wszyscy przejęci są doniosłością chwili. Co moment wpada ktoś ze starej wiary. Ciągłe są powitania, okrzyki, gwar i wesele.

Rozpoczyna się praca: wysyłanie wart, a przedewszystkiem przyjmowanie ochotników do wojska polskiego.

„Leguny" są zmęczone i głodne. Improwizuję więc, jak za czasów strzeleckich, kantynę żołnierską. Wokoło zastawionego naprędce stołu zasiada stara gwardja strzelecka.

1 po południu. Z koszar wysłano mnie na wywiad. Przed magistratem stoją tłumy, wnosząc wrogie okrzyki pod adresem Austrji.

W magistracie są szarże austrjackie z gen. Beligny'm na czele. Rokowania są w toku.

Telefoniczne połączenia są przerwane z rozkazu Komendy P. O. W.

Groźna postawa zgromadzonych tłumów niemało przyczyniła się do przyśpieszenia podpisania aktu kapitulacji. Austrjacy oddają miasto i wszelki materjał wojskowy naszej Komisji Likwidacyjnej.

Komendantem Krakowa zostaje płk. legjonowy Roja.

2 listopad. Jeszcze nie mogę otrząsnąć się z przeżytych wrażeń.

Dziś z rozkazu ob. Broniewskiego objęłam służbę w magazynach wojskowych. Spisuję więc ogólny inwentarz i segreguję materjał, otrzymany w spadku po Austrjakach.

3 listopad. Nieopisany chaos z powodu masowego wyjazdu „Niemiaszków". Trzeba zabezpieczyć i obejmować wszystkie magazyny, szpitale, koszary. Brak rąk do tej pracy. Wreszcie wszystko prawie jest obsadzone.

Dziś ogłoszono mobilizację. W ciągu 24-ch godzin żołnierze mają złożyć przysięgę.

9 listopad. Wymarsz I kompanji 5 p. p. Legjonów do Przemyśla z odsieczą przeciw Ukraińcom.

Z pod starych gotyckich murów kościoła Marjackiego wyrusza oddział wojska — pierwszy oddział polski z wolnego już Krakowa.

Żołnierze idą równym rzędem — twarze, jakby wykute z marmuru. Maszerują w pełnym rynsztunku bojowym. Równomierny ich krok wśród ciszy jesiennego poranka jest czemś żywem, tchnie młodością i energją czynu.

Przed memi oczyma, zamglonemi łzami radości i rozrzewnienia — przesuwają się szeregi, jak zjawa fantazji. Zdają mi się być rycerzami z legendy tatrzańskiej. Mają przed sobą i za sobą — szlak bojów, zlany krwią serdeczną i zasłany grobami. —

Mundur ich skromny, jak skromną jest ich odznaka „Za Wierną Służbę", — mundur wojska polskiego, na który wielu czekało już od szeregu lat.

Sztandar ich — imię Komendanta — drogiego tego imienia nikt im nie wydrze.

Idą ulicą Sławkowską. Zrywa się huragan pieśni. Zabrzmiała stara pieśń strzelecka. Pożegnalnym szumem wtórują im drzewa plant kra-

kowskich. — Zakołysały się, jak sztandary, zarzucając im drogę stubarwnem liściem jesieni...

W jesiennej mgle nikną szare mundury. Echo pieśni drga. Coś w niej porywa, coś woła...

Płynie śpiew: „Hej Strzelcy wraz!".

Echo słabnie, aż wreszcie ginie w poszumie jesiennych drzew.

Może nie wszyscy z nich wrócą — może darń pokryje mogiły bohaterów.—Lecz wróci na pewno P o l s k a N i e p o d l e g ł a i ż y w a.

ZARANIE POLSKI NIEPODLEGŁEJ.

Helena Orsza-Radlińska.

PRZED UTWORZENIEM RZĄDU LUBELSKIEGO.

(Ze wspomnień Krakowskiego Sekretarjatu Łącznikowego).

Szeroko rozgałęziona była „poczta" galicyjska. Pomoc kolejarzy, zarówno maszynistów, jak i konduktorów (i licznych konduktorek w r. 1918) umożliwiała niezmiernie szybkie i sprawne przesyłanie paczek z wydawnictwami. Komunikaty lubelskie szły do miasteczek małopolskich wraz z numerami „Rządu i Wojska". Z zagłębia naftowego, wzamian za stałą przesyłkę informacyj, szły niemal regularnie zasiłki pieniężne dla pracy niepodległościowej. Wiele osób, nawet z poza organizacji, zgłaszało się na kurjerów. W krakowskiej „stacji" — w redakcji „Kultury Polski" (na ul. Floriańskiej 53) ciągły był ruch. Telefonicznie komunikowano z urzędowej stacji telegraficznej, interesujące wiadomości o telegramach, wysyłanych przez władze (ob. J. Dobrowolska). Nasze telegramy, specjalnie ochraniane i pośpiesznie przesyłane w umówiony sposób, dopomagały komunikacji, robionej „okazjami". Mnóstwo materjałów pozostało z tych czasów. Pozwolą one kiedyś odtworzyć bieg wydarzeń, — będą jednak musiały być uzupełnione wspomnieniami osobistemi, gdyż chwilami korespondencja ustawała niemal, ustępując bezpośredniemu porozumiewaniu się pracowników. Oto garść notatek i uzupełniających je wspomnień z końca października i pierwszych dni listopada 1918 roku.

Rozbrajanie Austrjaków w Krakowie należy do najpiękniejszych wspomnień. Radość opanowała miasto. Chodziło się najruchliwszemi ulicami przez cały dzień, w tłumie rozentuzjazmowanym i śmiejącym się lub płaczącym z radości. Niebo październikowe było dziwnie jasne, w duszach ludzi wzbierały uczucia braterskie. Wyprawiano Czechów (tak dawniej nienawidzonych) do domu z kokardami narodowemi. Odbieranie austrjackich porte-épée i „bączków" odbywało się bez gwałtów. Nikt się, zresztą, nie opierał.

Radości pracowników niepodległościowych nie przytłumiał fakt, że nie byliśmy całkowicie zwycięzcami, że przygotowywane organizacyjnie objęcie wszystkich placówek poszło inaczej, niż pójść

miało. (Dopiero dni następne poprawiły sytuację pod tym względem). Upajaliśmy się wolnością, pierwszym w życiu wolnym oddechem!

Trzeba było jak najprędzej przedostać się do Warszawy i zawieźć wieści, które zaważyć miały na organizowaniu siły polskiej.

Komunikacja pocztowa była zupełnie zerwana. O działalności kolei krążyły sprzeczne wieści.

Wyruszyłam z prof. G. Dybiczem. Podróż — trochę powolna — wśród pytań, co było wczoraj i opowiadań wzajemnych, wydawała się zaczarowanym snem; podróż przez wolną ziemię. Ale dawne postoje pomiędzy „Galicją" i „okupacją austrjacką" przypominają wczorajszą rzeczywistość, gniewają i niepokoją.

Okupacja jeszcze istniała. Władze są w komplecie, ale na każdem prawie miejscu czuwają już zastępcy, gotowi do objęcia obowiązków, gdy sytuacja pozwoli. Wzdłuż linji, na dawnych miejscach urzędowań, czekają pracownicy kolejowi, ściągający zewsząd, z całej Polski, z poza granic okupacyjnych, z przymusowej tułaczki.

Kto miał wprawę w spostrzeganiu — z radością stwierdził przy przypadkowych nawet spotkaniach, ile nowych form organizacji tworzyło się wówczas niemal samorzutnie wokoło kadr P. O. W. Przed kilku dniami poznałam liczne przykłady w Lublinie, na zjeździe działaczy ludowych. Pamiętam owe proste, jakież mocne słowa opowieści z powiatów janowskiego, krasnostawskiego, zamojskiego i innych, o tem, jak faktycznie brano władzę, wobec rozprzęgania się porządku austrjackego, jak tworzono sieci urzędów. Stawało przed nami nietylko poczucie wyzwalającej się siły, lecz i niebezpieczeństwo „republik powiatowych" ze splotem różnorodnych trudności organizacyjnych i aprowizacyjnych, z grozą rozproszkowania sił polskich.

Każda niemal rozmowa przynosiła podobne wieści z różnych okolic okupacji austrjackiej.

W jaki sposób przedostaliśmy się wówczas do okupacji niemieckiej, nie pamiętam. Tyle razy się tę drogę przebywało różnemi sposobami!

Panowanie niemieckie zaznaczało się znacznie silniej niż austrjackie, rósł jednak odpór. Spodziewaliśmy się wiadomości o walkach. Nie tak dawno przecież przewoziłam najbardziej utartym szlakiem (na Goszyce) granaty, których zażądał ob. Witold. Niejeden podobny transport szedł na okupację niemiecką z zapasów austrjackich, do których mieliśmy łatwiejszy dostęp.

List ob. Świtka z 25.X donosił: „P. O. W. narobiła w różnych miejscach kraju dużo kłopotu Niemcom. W Ciechanowskiem i kilku powiatach płockiej ziemi doszło do formalnych utarczek. Straty głównie po stronie niemieckiej. Złapanych ludzi z P. O. W. Niemcy torturowali w literalnem tego słowa znaczeniu. Kilku zginęło... W Płocku Niemcy stosują masowe represje — zabierają ludność męską z całych wsi, bydło i konie".

Dla dalszej pracy trzeba było wszechstronnie rozważyć sytuację. Szereg informacyj stwierdzał, że Niemcy są gotowi do najdalej idących zarządzeń przeciw ludności ziem okupowanych. Liczne wieści o rewolucyjnych nastrojach wojska niemieckiego, o rozkładowych wpływach klęski na froncie zachodnim na sytuację frontu wschodniego — potęgowały grozę położenia. Tłumy zrewoltowanych żołnierzy niemieckich nie miały innej drogi do domu, jak — przez Polskę.

Wśród młodzieży rosło pragnienie zbrojnego czynu. Oddziaływało ono na polityków, rozumiejących liczne niebezpieczeństwa, które czyhają na Polskę w chwili runięcia obcych potęg. Stronnictwa lewicy poczęły myśleć o utworzeniu rządu w Lublinie (obejmującego narazie okupację austrjacką i Galicję), który zaprowadzi ład, powoła wojsko, weźmie w ręce komunikację, pokieruje walką powstańczą na okupacji niemieckiej. Koło Międzypartyjne skłaniało się, przynajmniej pozornie, do wspólnego z lewicą działania. Pertraktacje odbywały się.

Wieści z Krakowa miały dodać mocy obozowi niepodległościowemu z Warszawy. Obóz ten działał. Ruszali się też ludowcy, którzy już w czasach wiernopoddańczej polityki ugodowej wobec Rosjan umieli się zdobyć na protest. Tomasz Nocznicki, czołowy przedstawiciel ruchu ludowego (i dzielny, mimo wieku, współpracownik P. O. W.) przybył na zaproszenie chłopów — ogłoszone z jego podpisem — do Warszawy na wielki wiec ludowy na 1-go listopada 1918 r.

Przyjechaliśmy wczesnym rankiem w dniu owego wiecu. Po załatwieniu spraw organizacyjnych, po niezapomnianym raporcie u płk. Śmigłego, informującym o przebiegu wydarzeń krakowskich, poszłam do sali Towarzystwa Krajoznawczego.

Tłumy dążyły na wiec. Był on jawny — lecz nielegalny, bez specjalnego zezwolenia. Policja była skonsygnowana w bramach okolicznych domów. Czy przeszkodzi?

Postawa tłumów chłopskich była mocna. Nikt nie przeszkadzał. W nastroju napiętego oczekiwania zaczyna się wiec. Mówię z uniesieniem takiem, jakiego nigdy przedtem nie odczuwałam.

— Bracia, przynoszę wam pozdrowienie z Krakowa. Niema już Galicji. Jest wolna Małopolska. Rozbroiliśmy Austrjaków!...

Przeżywamy wszyscy chwile niewypowiedzianej radości. Po niej długie, trochę bezładne, zapalne mowy. Hasła narodowe i społeczne splatają się ze sobą. Nadzieje i żądania rosną z godziny na godzinę.

Tymczasem dziennikarze z niedowierzaniem wypytują o wypadki krakowskie. „Wedle niesprawdzonych wiadomości z Krakowa"... pojawiła się wzmianka w jednem z ostrożnych pism warszawskich.

Wiec odbywa się prawie bez udziału prezydjum. Gdzieś w ubocznych pokoikach naradzają się, co robić. Zapada postanowienie natychmiastowego wyjazdu do Lublina, wezwania przedstawicieli ludowych stronnictw galicyjskich.

Wieczorem jeszcze jedno liczne, lecz konspiracyjne zebranie. Czyn samodzielny lewicy, opartej o P. O. W. — postanowiony.

Rokowania z Kołem Międzypartyjnem zostały zerwane krótkiem: „za późno".

Wypadło mi zostać w Warszawie i przeprowadzać szereg robót organizacyjnych. Łączność z Lublinem utrzymywałam z wysiłkiem codzień większym. Wiadomości stamtąd z drżeniem odczytywane w chwilowo głównym punkcie informacyjnym, w mieszkaniu ob. Artura Śliwińskiego, dawały taki oto obraz wydarzeń (bardzo ogólnikowo szkicowany):

„Okupacja austrjacka bezboleśnie skonała". Pragnienie ładu, żądza natychmiastowego czynu sprawiły, że żołnierze austrjaccy i b. dowborczycy przysięgali z radością — Radzie Regencyjnej, jako jedynej władzy, o której istnieniu wiedzieli. Lecz „w ciągu dnia" „spolonizowani Austrjacy" rozleźli się całkowicie, zostawiając broń i dobytek, dowborczycy nie dawali wyraźniejszych znaków życia, natomiast P. O. W. rozwinęła swą działalność. Rozbrajano Austrjaków, wynoszących się z Lublina, na dworcu, na ulicach i w koszarach. Broń, amunicję i wszelki sprzęt wojenny zabierano od Kom. Nacz. 4 lub obstawiano wartami. Były wypadki rozbrajania całych kompanij austrjackich przez 2 — 3 peowiaków przy pomocy publiczności. Ludzie wciąż się zwracali do P. O. W. jako do czynnika decydującego. W K. N. 4 znalazło się około 60 karabinów maszynowych, kilka tysięcy manlicherów; były tam bagnety, szable, amunicja, ekwipunek, prowjanty. W koszarach i magazynach, obsadzonych przez P. O. W., znajdują się b. poważne ilości wszelkiego dobra. Są 4 aeroplany, kilkadziesiąt samochodów i zapas benzyny.

Sprawa opanowania zapasów była najbardziej paląca. Od niej i od objęcia komunikacji zależała przyszłość uratowania ziem pol-

skich od najścia szarańczy obcych przechodniów, którzy lada dzień uciekać będą z za Brześcia, dziś uciekają z całego obszaru c. k. gubernatorstwa.

Kolejarze biorą w swe posiadanie koleje, uruchamiają je z trudem, lecz sprawnie na odcinkach byłej okupacji austrjackiej. Puszczanie pociągów dalej jest jednak niebezpieczne, bo grozi rekwizycją wagonów.

Szeregi młodych chłopaków w granatowych maciejówkach ze zdobycznemi karabinami zjawiają się, aby strzec torów.

Podczas, gdy płk. Śmigły rozwiązuje trudności formalne obejmowania władzy wojskowej w Lublinie, gdy członkowie przyszłego rządu przedostawali się do Lublina, w Warszawie odbywały się gorączkowe narady. Omawiano wszelkie możliwości i trudności objęcia rządu. Konieczności — szukania uprawnień tego rządu w walce z Niemcami. Największą rolę odgrywały nadzieje na oparcie o lud wiejski. Wieści z różnych okolic pozwalały na te nadzieje. Mniej sił wykazywał na okupacji niemieckiej ruch robotniczy, szczególnie krępowany, pozbawiony aresztowywanych wciąż przywódców.

Nie tu miejsce na szczegóły historji owych dni, w których każda niemal godzina dostarczała materjału do korespondencji. Trzeba było umożliwić porozumienie i skoordynowanie robót. Porozumienie to przy rozprzężeniu ruchu kolejowego było trudniejsze, niż dawniej.

List z Krakowa stwierdza 2.XI, że olbrzymia fala wojskowych zdobywa szturmem pociągi. Na dworcu nasi odbierają wyjeżdżającym żołnierzom broń. W całej Austrji rozruchy. „Zachodnia Galicja" jest jedyną oazą idylicznego spokoju na całym obszarze, byłego c. k. imperjum.

Wyjazd przedstawicieli stronnictw galicyjskich był jednak trudny, gdyż obecności ich wymagała tworząca się w Krakowie Komisja Likwidacyjna. Ks. W. Czartoryski, mianowany przez Radę Regencyjną na stanowisko rządcy Galicji, przyjęty został źle. Próby rządów Rady Regencyjnej wypadały wszędzie jak najgorzej. Bezsilność jej wobec Niemców zmusiła premjera Świeżyńskiego do zapowiedzi — Rządu Narodowego, z przedstawicielami pracującego ludu. Nazajutrz rząd Świeżyńskiego otrzymał dymisję.

Tymczasem wśród Niemców panował ciągły ruch, pilnie przez nas obserwowany. Napływały wieści, że chcą zająć Piotrków, że przygotowują marsz na linję kolejową, by ją utrzymać w swoim ręku. Spodziewano się wprowadzenia stanu oblężenia w kilku powiatach. W Warszawie skoncentrowano kilkanaście tysięcy wojska. Równocześnie czynione były przez komendy przygotowania do usunięcia się

w ciągu najbliższych dni czy tygodni. Można było przewidywać ucieczkę Niemców, połączoną z rabunkiem, z wywiezieniem zapasów Polskiej Kasy Pożyczkowej.

Warszawa budziła się, dozór policyjny stawał się bezsilny. Na ulicach tłumy, młodzież żądała zamknięcia wyższych uczelni, chciała iść do wojska. Na murach pojawiały się coraz to nowe barwne afisze, nawołujące: „w wojsku siła".

Najbardziej palące stawało się zagadnienie — w czyjem ręku będzie ta siła.

Narady pomiędzy stronnictwami, prowadzone całemi dniami i nocami w Warszawie, niewiele mogły posunąć sprawę. „Uzgadniano" poglądy, szukano formuły rozwiązania sprawy rolnej, któraby zadowoliła ludowców i P. P. S.

Porozumienie z Krakowem było trudne. Małopolscy działacze, zajęci sprawami likwidacji władzy austrjackiej, zwlekali. Zjawiła się wśród nich koncepcja tworzenia nie rządu, lecz tymczasowego dyrektorjatu. Przybył z nią do Warszawy ob. Hipolit Śliwiński i zakomunikował swój projekt w gorących słowach Radzie Regencyjnej. Zapanowała pewna dezorjentacja.

Trzeba było sprawę pchnąć naprzód. Ob. T. Hołówko i Br. Ziemięcki pojechali wraz ze mną do Krakowa, żeby przyśpieszyć decyzję polityków galicyjskich. Moraczewski był chory. Prauss również. Do Lublina wyjechali samochodem: Daszyński, Stapiński, Witos. Po drodze katastrofa samochodowa omal nie pozbawiła życia Stapińskiego, uderzonego w głowę.

Była to już ostatnia chwila. Sprawa rządu dojrzewała pośpiesznie. Wieści z prowincji skłoniły do decyzji przedstawicieli stronnictw niepodległościowych, przebywającyh już od kilku dni w Lublinie.

1 listopada, późnym wieczorem, przybywszy do Lublina z Br. Ziemięckim, przeczytaliśmy rozlepiony na murach manifest Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej. Widniał pod nim i podpis Ziemięckiego.

Czytaliśmy w drżącem świetle latarni. Więc już się stało! Polska wychodziła z chaosu. Po tylu zapowiedziach: chcemy wolności, odezwał się głos — jesteście wolni! Jedyny czynnik ładu i organizacji, Polska Organizacja Wojskowa, oparta o ruch ludowy i robotniczy, wzięła na siebie odpowiedzialność czynu.

Członków Rządu znaleźliśmy w hotelu. Dopiero rozpoczynali pracę — bez jakiegokolwiek aparatu (prócz działających sprawnie biur płk. Śmigłego). Stapiński, ciężko chory, nie był zdolny do działania. Witos znikł.

Nazajutrz pamiętne, nie pozbawione wesołych momentów, obejmowanie pałacu gubernatorskiego, wprowadzanie jakiego takiego ładu do siedziby pierwszego Rządu niepodległej Rzeczypospolitej.

Zaraz potem wypadło mi jechać z ministrem Nocznickim do Krakowa. Trzeba było zawieźć tam wieści o wydarzeniach, wyjaśnić, że celem rządu jest między innemi połączenie okupacji z Galicją i wyjaśnić rolę Witosa w Lublinie.

Premjer Daszyński odwoływał się przez nas do robotników Krakowa, chciał wiedzieć — czy siedzibę rządu można będzie przenieść narazie do Krakowa.

Konieczny był pośpiech, ale jedyny cały aeroplan nie był „pewny". Do samochodów naszych i do stanu dróg zaufania nie było. Płk. Śmigły oceniał, że pociągiem będziemy prędzej.

Pociąg o wozach brudnych, bez szyb, z trudem uratowany przed falą uciekających Austrjaków, wiózł nas przez kraj rozbudzony, pełen najdziwniejszych wieści i sprzecznych pojmowań. W Tarnobrzeskiem wsiadający podróżni opowiadali o namiętnych przemówieniach majora Dąbala. Gdzieś żalono się, że „pawiacy" nie puszczają żywności. Opowiadano o wypadkach spadania z dachów pociągu żołnierzy, którzy w wagonach nie znaleźli miejsca.

Coraz jaśniejsze stawało się, że branie władzy — to przedewszystkiem organizowanie życia zbiorowego.

Osobiście we mnie budziło się gorące pragnienie przeprowadzania jak najszerszego nauczania o Polsce, państwie i prawie. Narazie trzymała mnie jeszcze służba.

Wydarzenia następowały szybko. Po dniach paru nowy raport. Zamiast do Lublina — należało wrócić do Warszawy.

Komendant powrócił i objął władzę.

Służba łącznikowa po dwóch jeszcze podróżach szlakiem „zawsze gotowym": od Warszawy do Krakowa, skończyła się ostatnim raportem już w Belwederze przy herbacie, podanej w filiżankach z cyfrą Mikołaja II.

Halina Różycka (Oleńka).

WSPOMNIENIA LUBELSKIE.

(Urywki z pamiętnika).

...W roku 1918 był taki wir zajęć, że każdy z nas uczestniczył odrazu w kilku działach pracy. Sama miałam aż pięć rodzajów czynności, nie licząc pracy zawodowej.

Przydzielono mnie do wydziału drugiego, t. j. do wywiadów. Nie chciałam tego się podjąć, ale ob. „Braciszek" postawił mnie na baczność i dał rozkaz. Nie było więc apelacji.

Szła również gorączkowa praca w Pogotowiu Wojennem. Horyzont polityczny ubarwiały tarcia Austrjaków z Prusakami.

Policmajstrem Lublina był wtedy Styczeń, Polak z pochodzenia, niestety! Kierownikiem zaś tajnych agentów był Terlecki. Styczeń był tchórzliwego usposobienia, bał się naszych ludzi. Terlecki zaś był osobnikiem o czarnym charakterze dręczyciela. Nieraz, gdy się późnym wieczorem przechodziło koło trybunału, słychać było jęki katowanych.

Mieliśmy tego dosyć. Wyrok padł. Wysypano ulicę na większej przestrzeni tłuczonym dynamitem, który tak trzeszczał, że głuszył całkowicie strzał rewolwerowy. Terlecki został zabity, a sprawca zamachu szczęśliwie zbiegł. Słyszałam, że na wieść o zabójstwie Styczeń zemdlał tak, iż musiano posyłać po krople walerjanowe.

W tym czasie byłam łącznikiem Komendy P. O. W. Biuro prowadził ob. Tatar. Naczelnym komendantem P. O. W. był por. Jan Opieliński-Zdanowicz, sekretarką jego była Janka Szymońska (Lubiczówna).

Jednego z dni wrześniowych 1918 r. ob. Jur (Jerzy Ostrowski) naznaczył przegląd Pogotowia Wojennego. Na miejsce zbiórki — wyznaczony został ostentacyjnie — Chełm[1]). Przegląd wypadł imponująco. Chłopcy, jak dęby, szli żołnierskim krokiem, zorganizowane wsie za wsią, każda ze swoim sztandarem. Chodziło głównie, aby „pokazać się" Austrjakom i żeby im strachu napędzić.

[1]) Było to po zawarciu traktatu brzeskiego, który Polsce zaprzeczał prawa do Chełmszczyzny (przyp. Red.).

Szybkiemi krokami szły wypadki. Na co zwykliśmy patrzeć jak na fakty, potrzebujące dziesiątków lat, to stawało się teraz z dnia na dzień.

Dla „zagrzania serc" naszych „nowobrańców" Jur postanowił napisać do nich odezwę. I to zaraz. Ponieważ z całego biura prasowego byłam tego dnia w Chełmie tylko ja jedna — Jur powierzył to mnie. Przestraszyłam się trochę, pisywałam wprawdzie, ale nie odezwy — bałam się też Adama (ob. Kaufman), kierownika biura prasowego, bez którego pozwolenia i cenzury nie wolno było nic pisać, ani ogłaszać drukiem. Ale Jur — jako mój zwierzchnik również, z innego działu pracy, wziął to na siebie. Jakoś napisałam. Całą noc biło się odezwę na linotypie, aby ją móc rozdać rano na zbiórce. Ale burę od Adama dostałam swoją drogą, pomimo wstawiennictwa Jura.

Zaczęły się u nas gorące dni. Przebąkiwano o rozbiorze Austrji. Komendantem Okręgu został ob. Konrad (Tuszyński). Wziął on w mocną dłoń nas wszystkich. Bezpośrednie instrukcje dla organizacji przychodziły do Komendy od płk. Rydza-Śmigłego, jako zastępcy Komendanta, uwięzionego w Magdeburgu.

Myśmy nie wiedzieli o wszystkiem, ale czuliśmy, że „coś" się stanie. Nastrój oczekiwania dawał się wyczuć w całem mieście. Były jakieś „nieustające" posiedzenia „starszyzny" — przyjeżdżali ludzie z Warszawy — St. Thugutt, P. Nocznicki, W. Sieroszewski, J. Poniatowski. Ob. Konrad rozsyłał na wszystkie strony kurjerów i kurjerki. Coś się miało stać, to było widoczne. Całą pracą kierował wtedy Konrad i Tatar, bo Zdanowicz ciężko zachorował na hiszpankę.

Nagle — i to w tajemnicy nawet przed swoimi — kilku z nas zostało powiadomionych, że postanowione zostało ogłoszenie Rządu z siedzibą w Lublinie.

Austrja rozlatywała się na kawałki, jak stara szmata. Zbierało się broń, amunicję, szarpie i różne prowjanty — „bo może wypadnie się bić". Niewiadomo było przecież, czy Austrjacy bez wystrzału Lublin oddadzą. Ob. Konrad już zmobilizował oddziały P. O. W. Jur zwołał Pogotowie Wojenne. Konrad jednak wahał się wziąć na siebie całą odpowiedzialność, bo komendantem naczelnym był Zdanowicz. A Zdanowicz miał się coraz gorzej — w tym właśnie okresie (początek listopada) — był już nieprzytomny. Wreszcie Konrad, widząc, że decyzja musi być natychmiastowa, obliczył jeszcze raz swe siły — i zdecydował się bronić Lublina, w razie oporu Austrjaków.

A więc zostało postanowione! W nocy z 7-go na 8-my listopada bito pośpiesznie w drukarni Dziennika — odezwy do mieszkańców Lublina. Był to manifest Rządu. W tym właśnie momencie — Zdano-

wicz odszedł. Odszedł nieprzytomny, nie doczekawszy niepodległości Polski — ani pierwszego jej rządu.

Nocy tej nigdy nie zapomnę. Nie myśleliśmy nawet o spaniu. Przy ul. Zamojskiego był arsenał, skąd Tatar i Konrad wydawali broń i wysyłali oddziały na różne odcinki. To znów przygotowywano rezerwy. A wszystko robione było pod osłoną nocy, cicho. Konrad chciał bowiem koniecznie, aby rano Austrjacy obudzili się — w Polsce niepodległej. Chciał, by ich to zaskoczyło i przeraziło. Mogło się wtedy obyć bez rozlewu krwi.

Ponieważ postanowiono, iż w dniu ogłoszenia Rządu odbędzie się przysięga, udali się do ks. Wacława Kościelniakowskiego[1]), a z nim razem do „wehrmachtowców", ażeby nakłonić ich do złożenia przysięgi. Wehrmacht przysięgi odmówił i manifestu Rządu nie uznał. Nie było innej rady, jak odebrać im broń i przy aresztowanych postawić straż.

Świtało. Na mieście gęsto porozlepiano manifesty — nasze oddziały zaczęły zajmować wojskowe placówki austrjackie. Co chwila ściągano na Zamojskiego nową broń, którą Austrjacy oddawali bez protestu. Zaraz bowiem po aresztowaniu „Wehrmachtu" — nasi pojechali do władz austrjackich, które złożyli z urzędu. Polacy z wojska austrjackiego mogli wstępować do naszych oddziałów. Niemcy, rozbrojeni — wracać do kraju. Niemal wszystkich dygnitarzy austrjackich zastano w łóżkach i pozostawiono w areszcie domowym.

W naszej księgarni tysiącami szły orzełki (których zapas przygotowany był na tę chwilę). Polacy z wojska austrjackiego zrzucali bączki, zastępując je orzełkami.

Ani jednej kropli krwi nie przelano. Lublin był w polskich rękach.

Rząd zajął t. zw. pałac Chrzanowskich. Na drugi dzień odbyć się miała przysięga. Jeszcze teraz widzę plac przed Katedrą — widzę na krużganku Rząd in gremio — Komendę P. O. W. i ks. Wacława w pontyfikalnym stroju.

[1]) Ksiądz Wacław... Kto z nas, będących w tych latach w Lublinie — nie pamięta go? Wysoka, szczupła postać o ascetycznej twarzy średniowiecznego mistyka. Należał do Stronnictwa Ludowego. Z ramienia P. O. W., ob. Helena i ja bywałyśmy na zebraniach ludowych, które odbywały się w jego mieszkaniu. Ks. Wacław był aniołem pokoju, który łagodził zbyt ostre często dyskusje. Oddawał on pracy niepodległościowej wszystko, czem rozporządzał — czas, pieniądze, stosunki, a nadewszystko dobre, mądre słowo i wielkie serce. Był opiekunem naszym, opiekunem moralnym i nierzadko materjalnym. Każdy z nas, gdy naprawdę potrzebował pomocy — takiej czy innej — był pewien, że u księdza Wacława ją znajdzie. Odszedł nagle — tak cicho, jak żył. Jakiś atak sercowy go zabił. Głośnym płaczem żegnaliśmy go wszyscy.

Pochyliły się sztandary. Jadą nasze oddziały — a wygląda to wszystko! Boże, Boże! Jeszcze nie wyekwipowane, jeszcze ubogie. Jak kto stał, tak przyszedł, co miał — to włożył na siebie. Oddziały P. O. W., Pogotowie Wojenne, P. P. S., P. S. L., wszystkie organizacje cechowe, jeden barwny tłum, głowa przy głowie.

Furkot sztandarów, tupot kopyt końskich i miarowy odgłos kroków. I te twarze, jedna w drugą, radosne, natchnione, świetliste.

I nagle jeden wielki szloch, jakby z jednej wybuchnął piersi, ludzie, dotąd nieznani, rzucają się sobie w ramiona.

A potem, impulsywnie, bez jakichkolwiek nakazów ruszył w pochodzie cały ten barwny tłum. Jak stał, tak szedł. Jedna wielka żywa fala, jedna myśl, jedno serce.

A tego samego dnia po południu, te same tłumy, tylko już w karnym ordynku, zebrały się poraz drugi przed Katedrą.

Przed krużgankiem karawan w cztery konie. Pogrzeb Zdanowicza-Opielińskiego. Wszystkie latarnie na Krakowskiem Przedmieściu płoną, zasłonięte kirem.

Kondukt zorganizował ob. Braciszek. Każda organizacja, każdy oddział miał swe wyznaczone miejsce. Do niesienia wieńców i kwiatów ob. Braciszek zmobilizował cały Oddział Żeński P. O. W. Ksiądz Wacław prowadził kondukt. Za trumną szła żona, Rząd i Komenda P. O. W. Orkiestry grały, dzwony biły bez przerwy.

Naczelny Komendant P. O. W. odchodził. Wytężonym wysiłkiem zdobywał niepodległość; ona była mu celem, dla którego nie poskąpił nawet życia.

Nie było mu dane żyć w wolnej Polsce, lecz w wolnej Polsce niesiono go na spoczynek.

Nad trumną, u mogiły — pożegnał Go Poniatowski, imieniem Polski, dla której Zdanowicz życie oddał, pożegnali Go salwą trzykrotną Jego chłopcy...

Anna Minkowska.

POWRÓT KOMENDANTA Z MAGDEBURGA.

Wspomnienie to, o którem mam pisać, przesłonięte jest w pamięci mojej obrazem osoby Komendanta, gdy wychodził z dworca i szedł po schodach. Utkwił mi w pamięci ten wzrok Wodza, w którym już gasło zmęczenie po przebytem więzieniu, a odradzało się poczucie władzy konkretnej i bezpośredniej.

Za tą chwilą tęskniliśmy niepomiernie wszyscy, którzy go kochamy i dla których walka o Polskę i jej wolność złączona jest z jego osobą!

Na jednem z posiedzeń Stronnictwa Niezawisłości Narodowej mówił kiedyś Wacław Sieroszewski: „podobnie, jak rewolucja niemiecka 1848 roku uwolniła z więzienia Ludwika Mierosławskiego, podobnie rewolucja niemiecka zwolni Komendanta Józefa Piłsudskiego". Prorocze te słowa przyjęte zostały wtedy przez uczestników z ogromnem wzruszeniem, ale i z westchnieniem. Po sali tłukł się niepokój. Kiedyż to nastąpi? W jakich warunkach? Jak wytrzyma to kraj, ogłodzony i wyniszczony przez Niemców? Ile ofiar jeszcze pociągnie ten ich system okrutny, brutalny i perfidny, czy nie przyjdą jakieś niespodziewane komplikacje?

To też niełatwo było pogodzić się z tym stanem biernego oczekiwania. Niewiadomo przecież, jak długo ma się to przeciągnąć. W Polskiej Organizacji Wojskowej powstały plany uwolnienia Komendanta siłą lub podstępem [1]). Nie znam bliżej szczegółów tej sprawy, tylko słyszałam o tych projektach.

Następnie chciano Niemcom stale przypominać, że społeczeństwo nie zapomniało o Komendancie. Na imieniny w więziennym roku posypały się do Magdeburga tysiące kart z całej Polski. Niemcy je zatrzymali i dopiero po ich wyjściu z Polski znaleziono całą tę konfiskatę na poczcie.

Mimo tych trosk, kłopotów i smutków jednego byliśmy pewni, że Komendant wyjdzie zdrów i cały i weźmie władzę w swe ręce. Nie wierzyliśmy nigdy w trwałość rządów niemieckich.

[1]) W akcji związanej z temi planami brały udział m. in. Sława Długoszowa, Halina Chełmicka, Zofja Gulińska (przyp. Red.).

W październiku przyszła chwila, w której było jasne, że Niemcy wojnę przegrają. Gdy Niemcy przyjęły orędzie Wilsona, było już wiadome, że jest to klęska na całej linji i że pobyt ich w Polsce się kończy. Jednakże dygnitarze i chudopachołki niemieckie nadrabiały miną. Odrazu zaroiło się od pogłosek, że Komendant wraca. Tłumy zaczęły zalegać dworzec. Niemieccy żołnierze pytali się ze zdumieniem, co to znaczy? To Komendant Piłsudski wraca z Magdeburga. „Nic o tem nie słyszałem" — mówił niejeden z Niemców, wzruszając ramionami. „Ale my to wiemy na pewno!" — śmiał się peowiak, nie ruszając się z miejsca mimo groźnych zapewnień niemieckich, że oczekiwanie jest daremne.

Kiedy Niemcy spędzili tłum z samego dworca, wyrastał w innych punktach miasta. To przed dworcem, to w Alejach Jerozolimskich, to od strony Chmielnej i Marszałkowskiej, a zawsze twierdził z uporem toż samo!

Trudno mi dziś określić, jak długo stan ten trwał — może tydzień, a może tylko dwa dni. Były to ciągłe, radosne alarmy, że tym, a nie innym pociągiem, że już na pewno jedzie, że tym razem niema wątpliwości!

Naraz gruchnęła wiadomość, że Komendant przyjeżdża nie koleją, ale samochodem! I znów tłumy rzuciły się gromadnie na rogatki miasta w oczekiwaniu upragnionego samochodu! Ileż to kwiatów, które miały być Komendantowi ofiarowane lub pod nogi rzucone, zwiędło w tem oczekiwaniu! Ale jak to często bywa, radość przychodzi nie w tej chwili, kiedy na nią czekamy!..

Tak się też stało, że gdy Komendant przyjechał wczesnym bardzo rankiem dnia 11 listopada do Warszawy, mała tylko garstka osób wiedziała o tym przyjeździe. Wiadomość bowiem przyszła do Warszawy przypadkowo. W nocy, około czwartej nad ranem zadzwonił do naszego mieszkania obywatel Czarski. Było jeszcze ciemno, kiedy grupka osób znalazła się na Dworcu Głównym.

Pierwszy był Adam Koc — komendant Warszawskiego Okręgu P. O. W.

Potem przybył regent, ks. Zdzisław Lubomirski, w towarzystwie adjutanta, rotmistrza St. Rostworowskiego.

Niemcy zpodełba patrzyli na oczekujących. Zdaje się, że tym razem wiedzieli na pewno, że się nie mylimy. Na peron chcieli wpuścić tylko ks. Lubomirskiego z adjutantem, lecz za nimi ob. Koc, Stamirowski oraz Krzaczyński (dziś już nie żyjący), przeszli tak szybko i zdecydowanie, że nie śmiano ich zatrzymać. Natomiast resztę osób zatrzymano z całą energją.

Wreszcie około 6½ — był szary świt, dzień był bowiem pochmurny i deszczowy — ukazał się Komendant wraz z szefem Sosnkowskim, a po obydwóch stronach szli, oczekujący na peronie.

Komendant był blady, cerę miał ziemistą; ubrany był w płaszcz legjonowy i maciejówkę i przepasany pasem niemieckim, na którym zawieszony był krótki, również niemiecki sztylet. Broń tę zwrócili Komendantowi Niemcy przy wypuszczeniu go z więzienia, na znak, że jest wolny[1]).

„Niech żyje!" — wołali wszyscy zebrani przed dworcem. Komendant salutował długo, patrząc głęboko w oczy tej garstce, która pierwsza witała go w Warszawie. Nie było, niestety, kwiatów tego ranka! Były tylko serca, które biły wzruszeniem. Oczy rozradowane, które widzą, że staje się rzeczywistością baśń o wolności.

Komendant, zaproszony przez ks. Lubomirskiego, pojechał do Frascati — prywatnej rezydencji księcia. Razem z nim pojechał Adam Koc. Po godzinnej rozmowie, Komendant przejechał na ulicę Moniuszki Nr. 2, gdzie mieścił się pensjonat panien Romanówien, peowiaczek. Tam narazie zamieszkał, potem przeniósł się do mieszkania majora Świrskiego.

Kiedyśmy wracali z dworca, zauważyliśmy, że wieść o przyjeździe Komendanta rozchodziła się po mieście z błyskawiczną szybkością. Na dworzec ciągnąć począł cały szereg osób, jakby tam jeszcze mogli Komendanta zastać! Potem tłumy zaczęły podawać sobie, gdzie Komendant mieszka, aby móc go powitać! W miasto wstąpiła otucha.

Około trzech dni przeszło, zanim Rada Regencyjna zrzekła się swej władzy. W obozie Komendanta panowała radość i spokój — wiedziano, że Komendant jest blisko i ufnie składano losy Polski jego dyspozycji. Ale i nastrój całego społeczeństwa był wtedy jednem oddaniem władzy w ręce Józefa Piłsudskiego. Nie słychać było żadnego sprzeciwu. Niespodzianką był raptowny odwrót niemiecki przed wyrastającą z podziemi P. O. W.

W radości, oczekiwaniu i niepewności jutra, nawet przeciwnicy oddychali z ulgą, że jest Józef Piłsudski, który za wszystko i wszystkich bierze odpowiedzialność. Radosne, pełne wiosennego słońca wydają się we wspomnieniu te pochmurne dni listopadowe!

Jakże mało w te dni myślano o Komendancie, jako o człowieku, który wracał z więzienia i miał prawo do wytchnienia i wypoczynku. Nie myślano o tem, ile przecierpiał. Czekano, czekano znów na Jego myśl i Czyn.

---

[1]) W opisie tym korzystam z niektórych not, których łaskawie mi udzielił pułkownik Koc.

OBRONA LWOWA.

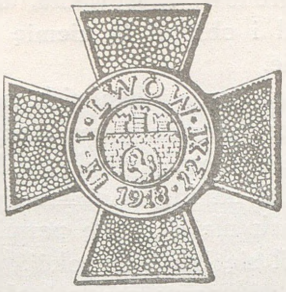

Marja Herburtówna.

W OBRONIE LWOWA.

(Przed odsieczą).

Już pod koniec września 1918 r. głuche wieści, dochodzące ze wszystkich stron, o rozpadającej się potędze „państw centralnych", wzniecały rozgorączkowanie wśród całego społeczeństwa i coraz silniej przejawiała się dążność do wyzwolenia się z nienawistnych więzów, do połączenia wszystkich ziem polskich w jedną nierozerwalną całość. O ile jednak przewidywana oddawna przez Polską Organizację Wojskową możliwość walki zbrojnej z okupantami na terenie całej Rzeczypospolitej nie przedstawiała żadnych komplikacyj, o tyle trudna była sytuacja w t. zw. Galicji Wschodniej z powodu mieszanej ludności, ten kraj zamieszkującej. Organizacja nasza zdawała sobie jasno sprawę z tych trudności, zwłaszcza, że wywiad przynosił coraz bardziej określone, a niepokojące wiadomości. Należało za wszelką cenę uniknąć takiej sytuacji, któraby zamiast walki z okupantami — mogła spowodować zatarg zbrojny z bratnim narodem ukraińskim.

Pomimo jednak wszelkich wysiłków ze strony organizacyj, stojących na gruncie ideologji, symbolizowanej przez Komendanta, czynniki, których hasłem od początku wojny światowej było... czekać — sparaliżowały akcję, zdążającą do przejęcia miasta z rąk okupanta drogą bezkrwawej rewolucji, jak to miało miejsce w Krakowie.

Ranek 1-go listopada 1918 r. przyniósł mieszkańcom Lwowa nieoczekiwaną niespodziankę. Z wieży ratusza lwowskiego powiewała flaga o barwach narodowych ukraińskich, miasto zajęli Ukraińcy!

Był to ostatni cios, wymierzony Polsce przez perfidję zaborcy, którego naczelną zasadą w rządzeniu było zawsze: „Divide et impera".

Rzucono staremu grodowi kresowemu, temu samemu grodowi, który kiedyś zasłaniał i obronił tę ziemię przed zalewem dziczy tatarskiej — wyzwanie.

I dziwna rzecz. Ukraińcy, jakkolwiek mieli w rękach cały materjał wojenny, pozostawiony im przez Austrjaków, oraz garnizon, rekrutujący się prawie wyłącznie z ludności Małopolski Wschodniej, jakkolwiek wiedzieli, że na Lwów maszerują od Stryja wyborowe pułki siczowe — jednak nie czuli się pewnie. W postawie gęsto krążących patroli czaił się lęk i niepokój. Czegóż lękał się zwycięzca? Lękał się potęgi powstającej z grobu niewoli Polski. Nie mogła przecież go przerazić garstka byłych legjonistów, zamkniętych w Szkole Sienkiewicza, która natychmiast podjęła rzucone nam wyzwanie, nie mogła go przerazić grupka peowiaków w Domu Techników, gotująca się do walki, a jeszcze bezbronna. Tę garść „szaleńców" łatwo mogła zgnieść ogromna przewaga liczebna chwilowych władców miasta. A jednak tak się nie stało. Dlaczego?

Nigdzie może podczas wojny światowej tak jaskrawo nie przejawiała się ta prawda, że potęga narodu tkwi w sile jego ducha, jak wówczas we Lwowie.

Ani przez chwilę nie uwierzyli mieszkańcy Lwowa w trwałość dokonanego faktu.

Lotem błyskawicy obiegła miasto wieść, że obrona się rozpoczęła. Entuzjazm buchnął jaskrawym płomieniem.

Zdawało się, że duch dziejów Polski zjawił się na ulicach miasta, by wydobyć wszystkie moce, drzemiące w narodzie, i powołać je do czynu.

Jak pod tchnieniem wiosny znika śnieg zimowy, tak w porywie najszlachetniejszego patrjotyzmu zniknęły rozdźwięki partyjne, stopiły się różnice klasowe.

Stawali obok siebie w szeregach żołnierskich inteligenci i robotnicy, andrus z Zamarstynowa obok wytwornego panicza, studentki i robotnice — wszyscy ożywieni jedną myślą, jednem pragnieniem: zachować miasto dla odradzającej się Rzeczypospolitej.

Czyż potrzeba mówić o ofiarności, bohaterstwie tej ludności kresowej, czyż byłabym w stanie wyliczyć wszystkich, nie pomijając nikogo. Chcę bodaj w krótkich słowach oddać hołd tym, o których mało się pisze, mało się mówi, a którzy znajdą dla siebie chlubną kartę w historji.

Mam na myśli przedewszystkiem kolejarzy polskich, którzy już podczas naszej roboty konspiracyjnej oddawali nieocenione wprost usługi i śmiało należy powiedzieć, że bez ich ofiarnej a grożącej ciężkiemi konsekwencjami pomocy, robota peowiacka była nie do

Odcinek Cytadela.

pomyślenia. Na hasło walki stanęli do apelu, każdy na swojem stanowisku; ich bohaterstwu i zupełnemu oddaniu się sprawie zawdzięcza Lwów w znacznej mierze zwycięstwo.

Mam na myśli szare rzesze robotnicze, które bez słowa protestu przez długie miesiące znosiły głód i nędzę, dając najlepszych swoich synów w szeregi żołnierskie.

Jedną z najpiękniejszych kart w obronie Lwowa mają kobiety polskie. Walczyły w linji, jako żołnierze, pracowały w szpitalach i w linji, jako sanitarjuszki, pełniły ciężką służbę wywiadowczą z taką prostotą, że ich postawa budziła otuchę i wiarę w najcięższych chwilach i nie pozwoliła zakraść się zwątpieniu w serca obrońców.

Nic też dziwnego, że obrońcy przetrwali najcięższy okres, 21 dni, i doczekali się odsieczy pod dowództwem płk. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, nic dziwnego, że przetrwali ciężki okres oblężenia, trwającego do kwietnia 1919 r. Wiedzieli mieszkańcy Lwowa, że stanowią przednią straż Rzeczypospolitej, serca ich napełniała duma, wszak byli pierwszymi żołnierzami odrodzonej Ojczyzny — wiedzieli, że Wódz Narodu wrócił z magdeburskiego więzienia i czuwa, że Jego wielkie serce ogarnia miłością głęboką ten kresowy gród. Wiara ich nie zawiodła, za poniesiony trud spotkał miasto zaszczyt najwyższy — herb miasta udekorowany został ręką Naczelnego Wodza krzyżem „Virtuti Militari", by trwała po wieczne czasy pamięć spełnionego bohatersko obowiązku.

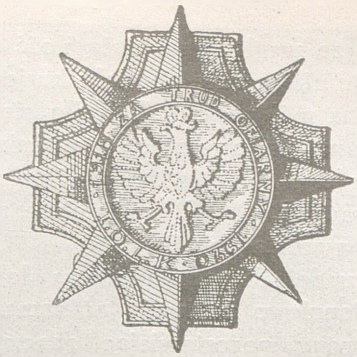

Aleksandra Zagórska.

W PRZEDEDNIU LEGJI OCHOTNICZEJ.

(Kurjerki — Milicja Kobieca).

Słoneczną, przesnutą mgłami, ciszę jesieni zmąciła wieść niespodziewana: w nocy z 1 listopada Ukraińcy, przy pomocy likwidującego się wojska austrjackiego, opanowali Lwów, na urzędowych budynkach powiewają ich chorągwie. Żołnierze ukraińscy przeciągają ulicami i grożą karabinami spokojnym przechodniom. Tu i owdzie rozlegają się strzały.

Zabiły mocno serca polskie. Najgorętsi poszli w pierwszy bój, z gołemi rękami zdobywając broń. Szkoła im. Sienkiewicza — to pierwsza niezapomniana twierdza obrony Lwowa. Znalazło w niej miejsce i wyraz wszystko, co później walczyło o Lwów: legjoniści, wojsko, peowiacy, cywilna młodzież, kobiety, dzieci.

Nie mojem zadaniem jest pisać o całości tych wielkich chwil, niewiele zresztą wiedziałam, pochłonięta udziałem w drobnej części obrony miasta. To jedynie, w czem sama uczestniczyłam bezpośrednio, mogę podać wiernie i ściśle.

Należałam w tym czasie do Komitetu Obywatelskiego Polek, który powstał ze Zjednoczenia Ligi Kobiet i Komitetu Obywatelskiego Pracy Kobiet. Przewodniczącą tej organizacji była Marja Dulębianka (a oprócz tej niepospolitej i prawdziwie wyższego ducha kierowniczki należało tam sporo niewiast o wybitnej indywidualności, jak: W. Hozerowa, M. Mościcka, M. Kelles-Krauzowa, H. Pawlewska, M. Jaworska i in.).

Na pierwszą wiadomość o zajęciu Lwowa, pośpieszyłam do Komitetu Obywatelskiego Polek, ażeby tam wspólnie z innemi członkiniami obmyśleć plan akcji. Zastałam obrady nad utworzeniem posterunku sanitarnego w lokalu Komitetu. Spora ilość kandydatek na sanitarjuszki oczekiwała już na przyjęcie. Ta akcja nie wydała mi się

dostatecznie celowa, ze względu na dużą ilość szpitali w mieście. Zaproponowałam więc utworzenie oddziału kurjerek. M. Dulębianka odrazu zgodziła się na mój projekt. Zgłosiło się kilka ochotniczek z pośród kandydatek na sanitarjuszki. Tegoż dnia zjawiła się w Komitecie H. Bujwidówna i obiecała przysłać kandydatki do służby kurjerskiej z organizacji P. O. W., co istotnie niezwłocznie wykonała.Liczba kurjerek wzrosła do 17.

W następnych paru dniach zaczęły się na dobre walki o Lwów. Ruch na ulicach stopniowo ustawał, aż zamarł prawie zupełnie. Ustaliła się linja obrony, pozostawiając znacznie większą część miasta w rękach nieprzyjaciela. Okazało się, iż myśl utworzenia oddziału kurjerek była dobra, bo od początku stały się one potrzebne wojsku, które stale korzystało z ich usług.

Punkt zborny oddziału znajdował się w lokalu K. O. P. przy placu Akademickim, a więc w części Lwowa, zajętej przez Ukraińców.

Zadaniem kurjerek było: werbowanie i przeprowadzanie okrężnemi drogami ochotników do wojska polskiego, przenoszenie przez linję bojową raportów z Komendy Uzupełnień i Biura Wywiadowczego, działających na terenie zajętym przez Ukraińców, zbieranie wywiadów i wreszcie kolportaż „Głosu Polskiego", który po zawieszeniu pism polskich i zdemolowaniu ich urządzeń, był jedynem pismem polskiem w okupowanej przez nieprzyjaciela części Lwowa. „Głos Polski" redagowały dr. Waniczkówna i B. Ancówna, kurjerki zaś odbijały je na hektografach i maszynach do pisania.

Kurjerki czynne były przez cały czas walk listopadowych, mimo, iż były to przeważnie młode dziewczęta z inteligencji, nieobeznane z niebezpieczeństwem i nieprzyzwyczajone do trudów. Wszystkie pełniły służbę swą z poświęceniem, nie cofając się nigdy przed wykonaniem rozkazu i przechodząc przez linję bojową w dzień i w nocy, nieraz pod gradem kul. Co gorsza, narażone bywały na rewizję osobistą i brutalne zaczepki ze strony patroli ukraińskich, spotkania, na które zgóry musiały być wszystkie przygotowane. Zdarzały się i spotkania miłe. Pamiętam raz o świcie, opuszczając „polską stronę", spotkałam wracającą właśnie z pozycji odpowiednio zasmoloną Bujwidównę.

A dzień na linji bojowej... Byli tam kilkunastoletni, czasem nawet zupełnie mali chłopcy. Jakże wzruszał i rozrzewniał widok powagi i dzielności, z jaką trwali na posterunkach, czasem oddalonych i samotnych, bo obrońców było wciąż zbyt mało.

Ze względu na stałe duże zapotrzebowanie, kurjerki przez cały czas walk listopadowych były w ciągłem pogotowiu, sypiając jedynie

Na Wysokim Zamku.

Odprawa warty.

dorywczo w ubraniu, i prawie o głodzie, bo o jakiemś możliwem zaprowjantowaniu oraz wypoczynku niepodobna było pomyśleć.

Przechodząc kilkakrotnie linję bojową, widziałam na różnych odcinkach naszego frontu walczące kobiety, co stwierdza już w dniu 9 listopada artykuł wstępny „Pobudki", wydawanej po stronie polskiej, w następujących słowach; „Kobieta polska zajęła ważne stanowisko w służbie pomocniczej, a wiele jest między niemi takich, które śpieszą na placówki z karabinami"...

Już wtedy myślałam, że byłoby dobrze z tych kobiet utworzyć osobny oddział, ale byłam tak pochłonięta służbą kurjerską, że nie miałam możności zająć się tym projektem.

Nadszedł, pamiętny w dziejach Polski i Lwowa, dzień 22 listopada. Niepodobna opisać entuzjazmu, z jakim spotkaliśmy wiadomość o oswobodzeniu miasta. Przytem, szczególnym zbiegiem okoliczności, po dniach ponurych i wilgotnych zajaśniał piękny, słoneczny ranek. Kurjerki otrzymały urlop i pośpieszyły do nie oglądanych długo rodzin. Dwie tylko, Stanisława Paleolog i Wanda Lechowin, później bardzo oddane idei legjonistki, pozostały ze mną. Radosne zwycięstwem i poczuciem spełnionego obowiązku, chodziłyśmy po ulicach Lwowa, na które wyległ rozentuzjazmowany tłum. Poszłyśmy pod Sejm, którego dach jeszcze płonął. Ulicami przeciągały ogromnie utrudzone oddziałki naszych żołnierzy, witane gorąco i owacyjnie przez lwowian.

Parę następnych dni spędziłam w domu, z powodu śmierci czternastoletniego syna Jurka, który 21 listopada poległ w walce o Lwów.

Na drugi dzień po pogrzebie poszłam dowiedzieć się o stanie obrony miasta i o swoje dotychczasowe podkomendne. Chciałam powziąć decyzję, co robić dalej. Poinformowano mnie, że zwycięstwo nasze jest nader niepewne, i że Ukraińcy z powodu znacznej przewagi sił mogą w każdej chwili zpowrotem opanować miasto.

Wówczas powzięłam myśl, aby z kurjerek, z kobiet walczących w obronie miasta w listopadzie i z nowych ochotniczek utworzyć oddział wojskowy do spraw, związanych z obroną Lwowa.

Nie chciałam zgóry przesądzać ani treści ani formy przyszłej pracy, chcąc zastosować ją ściśle do wymagań chwili. O moim zamiarze powiedziałam kurjerkom — większość przyjęła go z zapałem. Udałam się więc do władz wojskowych z odnośną propozycją, ale przyjęto moją myśl niechętnie, a nawet drwiąco. Był to pierwszy objaw niechęci, z jaką wielu mężczyzn traktowało służbę wojskową kobiet, zwalczając ją często nieszlachetną bronią oszczerstw i złośliwych insynuacyj. Nie zrażona tem, zwróciłam się do swego ko-

mendanta z dni listopadowych, kapitana Wita Sulimirskiego, którego poznałam z najlepszej strony, a który organizował właśnie miejską straż obywatelską. Zaproponowałam utworzenie oddziału kobiecego tej straży. Kapitan Sulimirski zastrzegł sobie czas do namysłu, a gdy następnego dnia ponowiłam swoją propozycję, obiecał porozumieć się w tej sprawie z władzami. Wreszcie po paru dniach otrzymałam decyzję przychylną i obietnicę pomocy w tworzeniu milicji kobiecej. Wprawdzie moim pierwotnym zamiarem było zorganizowanie oddziału wojskowego, lecz przedewszystkiem szło mi nie o formę akcji, ale o to, aby akcja ta była pożyteczna.

Powiadomiłam tedy kurjerki o zgodzie władz na utworzenie oddziału kobiecego. Kilka z nich przystąpiło natychmiast do pracy.

Ogłosiłam w paru pismach lwowskich odezwę, wzywającą kobiety do służby w Milicji.

Komenda Milicji i Służby Obywatelskiej mieściła się w dużym budynku Instytutu Technologicznego. Dla Milicji Kobiet przeznaczono ciasne pomieszczenie od podwórza, do którego dostęp był utrudniony. Po paru dniach i ten lokal nam odebrano. Wobec czego, zaczęłyśmy szukać odpowiedniego pomieszczenia na własną rękę, a narazie przyjmowałyśmy zapisy ochotniczek w lokalu Komitetu Obywatelskiego Polek, który ofiarowała nam czcigodnej pamięci Marja Dulębianka, przewodnicząca Komitetu. W tym początkowym, trudnym okresie pomagała mi gorliwie Stanisława Paleolog.

Skutek odezwy był odrazu pomyślny. Lwowianki nie zawiodły i stawiły się licznie. Zgłaszające się ochotniczki należały z początku prawie wyłącznie do inteligencji: były tu nauczycielki, urzędniczki, słuchaczki uniwersytetu, uczenice wyższych klas gimnazjum i seminarjum. Przypominam sobie, że po kurjerkach pierwsza stanęła do apelu nauczycielka Marja Szymańska, która następnie prawie przez cały czas istnienia Legji Ochotniczej Kobiet dzielnie współpracowała ze mną, od połowy zaś roku 1920 pełniła obowiązki komendantki bataljonu lwowskiego.

Wobec napływu ochotniczek dotychczasowe pomieszczenie przestało wystarczać — szczęśliwie jednak udało się nam uzyskać dużą salę (nieczynnej w owym czasie giełdy) na zbiórki i ćwiczenia, a budynek Sokoła na prowizoryczne koszary, co było niezbędne wobec ciągłych alarmów nocnych.

Kpt. Sulimirski, widząc nie byle jaki zastęp ochotniczek i zapał do pracy, przydzielił nam broń i instruktora. Tym pierwszym instruktorem M. O. K. był por. Nawarecki, który w parę lat później poległ w walce z bolszewikami. Por. Nawarecki bardzo serjo traktował swoje obowiązki i gorliwie ćwiczył pełne, zresztą, dobrej

woli ochotniczki we wszystkich elementarnych umiejętnościach służby wojskowej.

Nie było czasu na długie nauki i ćwiczenia wobec tego, że we Lwowie literalnie dach palił się mieszkańcom nad głową. Ukraińcy, których siły wciąż rosły, otaczali miasto ciasnym pierścieniem i w każdej chwili mogli je znowu opanować.

Pierwszy oddział kobiet do służby z bronią stanowił, jak wspomniałam, część składową Milicji, której komendantem był kapitan W. Sulimirski.

Od Komendy M. S. O. otrzymywałyśmy rozkazy i przydział służby, ale zdarzało się, że milicjantki wpadały pod tym względem na samorzutne pomysły, które okazywały się w skutkach nader szczęśliwe. Naprzykład służba wartownicza, tak rozwinięta później, miała następujący początek. Dwie milicjantki, przechodząc przez Cytadelę, zobaczyły stojące bez żadnej ochrony działa, przy których manipulowały jakieś podejrzane indywidua. Ponieważ Lwów zamieszkany był przez dużą ilość Ukraińców, którym bardzo zależało na pomaganiu w jakiejkolwiek formie stojącym pod miastem pobratymcom, było oczywiste, że nie można pozostawić cennych dział na zrządzenie losu. Wspomniane milicjantki, za moją zgodą, zwróciły się do dowódcy odnośnej baterji z propozycją postawienia przy działach straży. Dowództwo, z początku usposobione sceptycznie, po bliższem zapoznaniu się z wartością służby milicjantek, zażądało stałej warty na cały czas obrony Lwowa.

Oprócz służby wartowniczej, milicjantki pełniły służbę kurjerek, były stale czynne w mieście i na jego krańcach w charakterze patrolów. Współdziałały one z komisją poborową, sprawdzając spisy mieszkańców domów i odprowadzając uchylających się od stawiennictwa mężczyzn w wieku poborowym, pilnowały porządku przy rozdziale żywności dla mieszkańców miasta, nadto zaś od początku grudnia 1918 r. zastęp Milicji Kobiecej pełnił służbę frontową przy 4 pułku artylerji ciężkiej na Wysokim Zamku, tak bardzo ważnej naszej pozycji.

Milicja Obywatelska Kobiet, zależnie od rodzaju pracy, dzieliła się na trzy grupy:

1) bojową, obowiązaną na wypadek walki w mieście przyjąć w niej udział;

2) straż obywatelską, bez tego zobowiązania;

3) kurjerską, pełniącą służbę łącznikową między komendami wojskowemi i M. S. O.

W dniu 27 grudnia 1918 roku, na rozkaz kpt. Sulimirskiego, grupa bojowa M. O. K. udała się pod dowództwem por. Nawareckiego na

zagrożone i ostrzeliwane pozycje w Krzywczycach, gdzie zajęła przednie placówki. Dnia 28 grudnia, po zluzowaniu przez oddział wojska, milicjantki, ogromnie zadowolone z pierwszego chrztu wojennego, wróciły bez strat do koszar.

Tymczasem niebezpieczeństwo, grożące miastu, bynajmniej się nie zmniejszało, a posiłki przybywały w ilości nie odpowiadającej potrzebie. Wobec tego, okazało się konieczne rozszerzenie grupy bojowej M. O. K. Grupa ta, ściśle biorąc, pełniła od początku służbę wojskową, absorbującą cały czas milicjantek nietylko w dzień, ale i w nocy wśród ciągłych alarmów, zarządzeń ostrego pogotowia, wart i t. p.

Służba ta, ogromnie wyczerpująca, bo nie mogło być mowy o jakimś normalnym jej przydziale, pełniona była bez żadnego wynagrodzenia, co powodowało głodzenie milicjantek, brak obuwia, opału i t. d. Wydawało się wskazane przekształcenie grupy bojowej M. O. K. w formację ściśle wojskową, skoszarowaną i zaprowjantowaną przez władze wojskowe. Kapitan Sulimirski był tego samego zdania i na konferencji z dowódcą miasta, pułkownikiem Jasińskim, postanowiono stworzyć Ochotniczą Legję Kobiet.

Legjonistki miały składać przysięgę wojskową, mieszkać w oddzielnym budynku, przeznaczonym na ten cel przez dowództwo miasta, otrzymywać broń, żołd i wikt oraz umundurowanie żołnierza wojska polskiego. O opracowaniu odnośnego statutu miałam pomyśleć dopiero później.

Służba nowej formacji pozostawała mniej więcej ta sama, co dawniej, a więc: wartownicza, etapowa, patrolowa i w wyjątkowych razach frontowa.

Milicjantki z grupy bojowej radośnie przyjęły wiadomość, że staną się żołnierzami i prawie wszystkie wstąpiły do Ochotniczej Legji Kobiet.

Część Milicji, która nie weszła w skład Ochotniczej Legji Kobiet pozostała narazie nadal pod moją komendą i pełniła służbę bezpieczeństwa w mieście, ale również często na ochotnika brała udział w czynnościach Ochotniczej Legji Kobiet nawet w służbie patrolowej i łącznikowej na ostrzeliwanych krańcach miasta. W pierwszych dniach kwietnia 1919 r. M. O. K. przeszła pod wyłączną komendę M. S. O.

Na pierwsze koszary Ochotniczej Legji Kobiet przeznaczono budynek nieczynnego gimnazjum bernardyńskiego. Dom ten składał się z kilkunastu sal, przeważnie dużych, obszernej klatki schodowej i korytarzy, oraz dużego podwórza na ćwiczenia. W tym czasie liczba ochotniczek doszła już do 300, a nowe zgłoszenia nie ustawały.

Liczba ta wzrosła jeszcze bardziej w czasie dalszych walk z Ukraińcami, bo napływały ochotniczki z innych dzielnic Polski, głównie zaś z Warszawy, gdzie Marja Rodziewiczówna zajęła się werbunkiem.

W roku 1919 bataljon lwowski liczył przeszło 600 legjonistek. Ta liczba utrzymała się, ulegając pewnym zmianom, aż do końca wojny z Rosją. W czasie tej wojny czynnych było w różnych dzielnicach Polski 8 bataljonów Ochotniczej Legji Kobiet. Dzieje Legji z tych czasów podane będą w III tomie wspomnień.

Obecnie chciałabym jeszcze podkreślić fakt zasadniczej wagi, który miał, mojem zdaniem, wielkie znaczenie dla rozwoju Ochotniczej Legji Kobiet. Była nim całkowita samodzielność tej formacji, zależnej od władz wojskowych jedynie pod względem przydziału służby. Jedynie takie pozostawienie kobiet własnym siłom na nowem dla nich polu działalności mogło wykazać ich rzeczywistą wartość w stosunku do zadań służby wojskowej, tem bardziej, że we wszystkich prawie działach tej służby brały udział i zawsze spotykały się z dużem uznaniem i pochwałami, co stwierdza znaczna ilość odnośnych dokumentów. Nie można mieć chyba wątpliwości, że taka ocena służby kobiet przez władze wojskowe nie wynikała z pobłażliwości, bo z początku dał nam się bardzo we znaki sceptyzm tych władz. Trzeba było dużego wysiłku, ażeby przeszkody stawiane nam przezwyciężyć i zyskać podobne uznanie.

Stanisława Paleolog.

SŁUŻBA KURJERSKA.

Pamiętnej jesieni roku 1918 mieszkałam we Lwowie i pracowałam jako urzędniczka w Namiestnictwie. Koleżanki i koledzy biurowi mówili wówczas często o Radzie Regencyjnej, o tem, że ma zjechać do Lwowa, i o zmianach, jakie z tego powodu zajść miały.

Oprócz tego, umysły lwowian zajęte były sprawą ukraińską — dochodziły nas głuche wieści o organizowaniu przez Ukraińców jakiejś akcji bojowej z powodu Lwowa i Galicji Wschodniej.

Ostatniego października, w wigilię Wszystkich Świętych, o godzinie 12 w nocy wracałam z siostrą i znajomymi z teatru. Idąc ulicą Teatyńską, usłyszeliśmy przeciągły, żałosny jęk. Serce ścisnęło mi się w przeczuciu czegoś groźnego, a zarazem czegoś niezmiernie ważnego. Jak się wkrótce dowiedziałam, był to śmiertelny jęk legjonisty, zabitego przez Ukraińców.

Po niespokojnie przespanej nocy, nazajutrz rano, o godzinie 9-ej wyszłam na ulicę w kierunku mego biura. Ku wielkiemu memu zdziwieniu przy bramie zagrodził mi drogę żołnierz ukraiński w austrjackim mundurze; na moje żądanie wpuszczenia mnie do gmachu pchnął mnie kolbą karabina i krzyknął z wściekłością: „uriadowaty sia ne bude".

Zrozumiałam, że sprawdziły się obawy lwowian — miasto zajęli Ukraińcy i stali się panami sytuacji.

Owładnął mną gniew. Pragnąc zasięgnąć informacyj o stanie oblężenia i o zamiarach polskiego społeczeństwa, udałam się na plac Akademicki 1, do Komitetu Obywatelskiego Polek. Ani przez chwilę nie wątpiłam, że będziemy walczyć o Lwów i że go obronimy.

W Komitecie zastałam kilkanaście osób, obradujących nad utworzeniem posterunku sanitarnego w lokalu Komitetu Obywatelskiego Polek. Dowiedziałam się też, że młodzież polska wszczęła już akcję obrony miasta i że legjoniści, peowiacy i studenci walczą już w okolicy Dworca Głównego i Szkoły Sienkiewicza, stanowiącej w tej chwili rodzaj obronnej twierdzy. Miasto zostało podzielone na dwie części — polską i ukraińską; linja polskiego Lwowa sięgała w tej chwili od Dworca do Techniki. Następnie dowiedziałam się, że są już zabici i ranni. Rannym trzeba było nieść pomoc.

Natychmiast zgłosiłam się do służby sanitarnej, pozostawałam w niej jednak tylko dzień jeden, gdyż sanitarjuszek było bardzo wiele, żołnierzy zaś walczących z bronią w ręku — bardzo mało.

W lokalu Komitetu Obywatelskiego Polek, na Placu Akademickim, urządzono punkt opatrunkowy i zakonspirowano jego załogę, składającą się z kilku żołnierzy.

Dnia 1 listopada, w nocy, w przewidywaniu jakiejś akcji ze strony otaczających dom patroli ukraińskich, zarządzono ostre pogotowie. Oprócz załogi były tam sanitarjuszki, brakowało jednak lekarza. Z pośród obecnych w lokalu kobiet jedna zwróciła moją szczególniejszą uwagę; uderzyło mnie mocne spojrzenie jej pięknych oczu i stanowczy wyraz twarzy. Była to p. Aleksandra Zagórska. Ona to zdecydowała, że trzeba natychmiast sprowadzić lekarza. Wobec późnej godziny i ogłoszonego przez Ukraińców stanu oblężenia, zabraniającego wychodzić na ulicę po godzinie 5-ej, chętnych do wykonania wyprawy na miasto nie było. Ja jednak wzięłam to jako rozkaz dla siebie i udałam się na ulicę Pańską do jednego z mieszkających tam lekarzy. Po pewnym czasie wróciłam z nim do Komitetu Obywatelskiego Polek bez żadnych szczególnych przygód.

Po powrocie zaczęłam rozmowę z p. Zagórską. W nastroju niespokojnego oczekiwania, przy zabarykadowanych szafami oknach, słuchałam opowiadania o udziale jej w rewolucji 1905 roku. W toku rozmowy dowiedziałam się następnie, że obecnie na ukraińskiej stronie Lwowa została zorganizowana Polska Komenda Uzupełnień, mająca na celu utrzymywanie kontaktu z Komendą Wojsk Polskich na polskiej stronie Lwowa (ul. Grunwaldzka 8). W tym celu p. Zagórska przy Komendzie Uzupełnień organizuje oddział kurjerek. Zadaniem ich będzie przedzieranie się przez linję bojową i przenoszenie wszelkich raportów o ruchach wojska ukraińskiego do Komendy Wojsk Polskich oraz przeprowadzanie ochotników, zgłaszających się do szeregów wojska polskiego. Do oddziału kurjerek zgłosiła się już Wanda Lechowin, z zawodu szewc, bardzo dzielna dziewczyna.

Bez chwili namysłu wyraziłam chęć pełnienia tej służby i prosiłam panią Z. o przyjęcie mnie do oddziału.

Z niecierpliwością oczekiwałam świtu, gdyż pani Z. obiecała wysłać mnie z rannym raportem na tamtą stronę. O godzinie 7-ej przyniesiono z Biura Wywiadowczego zwiniętą kartkę. Był to właśnie raport.

Pani Z. oświadczyła mi, że pójdziemy razem przez linję bojową, gdyż zamierza przedostać się do swego domu na Kulparków. Wybrałyśmy drogę koło Cytadeli, jako najpewniejszą. Po drodze spotkałyśmy Wandę Lechowin, która poszła z nami. Na murach Cytadeli

Obsługa karabina maszynowego

W kantynie.

było wojsko ukraińskie, na południowych stokach stali nasi oficerowie. Żeby przedostać się do naszych, trzeba było przejść ulicę Pełczyńską, gęsto ostrzeliwaną przez Ukraińców. Na chwilę przystanęłyśmy; pierwszego przykrego wrażenia doznałyśmy nie z powodu strzałów, lecz na widok trupów, leżących wpoprzek ulicy. Były to osoby cywilne, prawdopodobnie dążące do sklepiku po zakupy. Pomimo gęstych strzałów przeszłyśmy szczęśliwie. Pani Z. pożegnała nas i poszła do domu, my zaś udałyśmy się na ulicę Grunwaldzką do Komendy Wojsk Polskich.

Po doręczeniu raportu, zabrałyśmy z redakcji „Pobudkę" (dziennik wydawany przez Komitet Obrony Lwowa). Ukrywszy 10 numerów tego pisma pod ubraniem na plecach, udałyśmy się zpowrotem tą samą drogą. Gdy doszłyśmy pod Cytadelę, gdzie stali nasi, jeden z oficerów przydzielił nam żołnierza. Spostrzegli to Ukraińcy i natychmiast podwoili ogień, kierując go wyraźnie w naszą stronę. Kule zaczęły tak gęsto świstać nam koło uszu, że zmuszone byłyśmy prosić naszego towarzysza, by nas zostawił własnemu losowi.

Na ulicy św. Zofji zatrzymał nas żołnierz ukraiński, wprowadził do bramy i zaczęła się rewizja osobista. Serca nam przestały bić na chwilę. Nie było wątpliwości, że, w razie znalezienia „Pobudki", spotka nas śmierć pod murami tejże kamienicy, bez sądu, z rąk tego oto żołnierza. Rewizja była bardzo dokładna. Obejrzał uważnie zdjęte na rozkaz obuwie, kapelusze, przesunął rękami po sukni — „Pobudki" jednak nie znalazł. Jakieś dziwne, niewytłumaczone szczęście uratowało nas od niechybnej, jak nam się zdawało, śmierci. Za chwilę szłyśmy dalej, ciesząc się, że jesteśmy uratowane i że możemy spragnionym przynieść wiadomości z „tamtej" strony.

Od tego czasu kursowałam stale, jak wszystkie nasze kurjerki, bądźto linją bojową, bądź drogą okólną. Często bardzo towarzyszyła mi w tych wędrówkach niestrudzona Wanda Lechowin. Takich wypraw miałyśmy wiele, wobec konieczności utrzymywania stałego kontaktu między Komendą Uzupełnień a Komendą Wojsk Polskich. Jako przykład wymienię tu parę przejść charakterystycznych.

Dnia 8 listopada otrzymałam polecenie zrobienia wywiadu na Wysokim Zamku, dla ustalenia, ile dział i jakie posiadają Ukraińcy na tej pozycji. Wywiadu dokonałam, ale w drodze powrotnej zostałam lekko raniona w lewe ramię.

Tego samego dnia, około godziny 12 w nocy przybył do lokalu Komitetu Obywatelskiego Polek kpt. Sulimirski i oznajmił, że Ukraińcy przygotowują wielki atak na godzinę 1-ą w nocy. Wiadomość tą należało zanieść niezwłocznie do Komendy Wojsk Polskich. Od pomyślnego wykonania tego polecenia zależało nasze zwycięstwo. Wo-

bec tego, że chwila do przejścia linji bojowej była bardzo nieodpowiednia i niebezpieczna, kpt. S. proponował pójście „na ochotnika". Zgłosiłam się odrazu. Pani Zagórska nie pozwoliła mi jednak iść samej — na drugą zgłosiła się Wanda Lechowin.

Krótka przemowa pani Z. o ważności zadania, o niebezpieczeństwie i konieczności zachowania największych ostrożności, kilka serdecznych słów kpt. S. na drogę i — poszłyśmy.

Postanowiłyśmy iść przez park Stryjski i Szkołę Kadecką. Zaraz na placu Akademickim zatrzymał nas oficer ukraiński i, przykładając rewolwer do piersi Wandy, zapytał, dokąd idziemy. W pierwszej chwili byłyśmy przerażone postawą oficera, zdawało się, że lada moment zastrzeli nas; wiedziałyśmy dobrze, że tego rodzaju wypadki zdarzały się często w czasie tej wojny. Po chwili zaczęłyśmy się tłumaczyć, mówiąc, oczywiście, po rusku; podałyśmy się za Rusinki, w dowód czego Wanda pokazała jakąś metrykę grecko - katolicką, w którą przezornie zaopatrzyła się przedtem. Tłumaczyłyśmy, że śpieszymy do umierającego ojca, że iść musimy. Argumenty te przekonały go widać, bo nas puścił.

Idąc w stronę parku Stryjskiego, ujrzałyśmy zdaleka kilku żołnierzy ukraińskich i oficera przy karabinie maszynowym. Natychmiast zbliżyli się ku nam. Nastąpiły te same pytania i te same nasze tłumaczenia. Mówiłyśmy, że poprzedni patrol nas puścił i że nie powinni nas zatrzymywać. I tym razem jakoś nie zaaresztowano nas. Poszłyśmy dalej.

W parku ciemność, pustka! Liście szeleszczą nam pod nogami. W ciszy nocnej słychać każdy nasz krok. Od Szkoły Kadeckiej padają strzały. Tam są nasi. To oni strzelają do nas. Przypadłyśmy do ziemi, chwilę leżymy spokojnie, potem wstajemy i idziemy dalej. Znowu strzały! Znów więc padamy na ziemię i zaczynamy czołgać się w kierunku strzałów. Wreszcie głos cienki ni to męski ni niewieści zapytuje: „Kto idzie?" „Swój!" „Hasło?"

„Nie znamy hasła, idziemy z rozkazem do Komendy Wojsk Polskich! Ten sam cienki głos rozkazuje: „Stać"!

Po chwili słyszę rozmowę w ciemności, ale, nie widząc nikogo, posuwam się dalej.

„Obywatelko, czy macie papierosa?" zapytano mnie nieoczekiwanie.

Zabłysły dwa światełka. Zobaczyłam wówczas dwie postacie, była to Wanda Lechowin i ów żołnierz — dzieciak, nie mający więcej ponad 16 lat. Wanda rozmawia z żołnierzem, leżącym w okopie.

Zapytuję: „To wy strzelaliście do nas?"

„Ja z drugim kolegą" brzmiała odpowiedź.

Powiedziałam, że chcemy pójść do Szkoły Kadeckiej, że niesiemy rozkaz do Komendy Wojsk Polskich.

„Przeprowadzimy was" proponuje żołnierzyk.

„Dziękujemy, najgorsze już minęło, pójdziemy same".

„W takim razie powiedźcie tam w Szkole, żeby nas zmienili, zostajemy na posterunku od 24-ch godzin — jesteśmy głodni, zmęczeni i brudni!"

W Szkole Kadeckiej nie chciano puścić nas dalej bez hasła lub okazania kartki, którą niosłyśmy do Komendy Wojsk Polskich. Mając wyraźny rozkaz oddania tej kartki tylko majorowi Kmicie, nie chciałyśmy oddać jej nikomu innemu. Wyratował nas z kłopotu znajomy mi dr. Leszek Jakliński, który za nas zaręczył. Przepuszczono więc i poszłyśmy, a raczej pobiegłyśmy dalej, aby zdążyć do Komendy przed godziną 1-ą w nocy. Udało się nam na czas wręczyć raport majorowi Kmicie. Kilkakrotnie dziękował nam za dostarczenie tak ważnej wiadomości i pytał, czy rzeczywiście nie było mężczyzn, którzyby przynieśli ten rozkaz. Powiedziałyśmy wtedy, że poszłyśmy „na ochotnika".

Zapytał nas, czy nie mamy jakiego życzenia.

„Jeść", powiedziałyśmy obie jednocześnie, bo z aprowizacją w tych ciężkich dniach było bardzo trudno i od 2-ch dni nic prawie nie miałyśmy w ustach.

Podano nam trochę zimnej baraniny i wskazano nocleg w niemniej zimnym pokoju. Tu, mimo zmęczenia i chłodu, czułyśmy się dziwnie szczęśliwe.

Rano wzięłyśmy kilka numerów „Pobudki" i na Zubrzę i Sokolniki, drogą wynoszącą około 13 kilometrów, wracałyśmy do Komitetu Obywatelskiego Polek.

W parę dni później spotkałam na ulicy siostrę moją Helenę [1]), która mi opowiedziała, że stan zdrowia jednej z kurjerek, Felicji Sulimirskiej, jest bardzo ciężki i że prosi o sprowadzenie do niej rodziców, których chciałaby przed śmiercią pożegnać. Mieszkali na ulicy Piotra i Pawła. Schylając się pod murami kamienic, aby się uchronić od strzałów, padających od cmentarza, szłyśmy ulicą Łyczakowską w kierunku mieszkania pp. S. Na rogu ulicy Piotra i Pawła zatrzymał nas ukraiński żołnierz i nie chciał nas przepuścić. Z ciężkiem sercem musiałyśmy powrócić, nie spełniwszy ostatniej woli naszej koleżanki.

---

[1]) Helena Faleolog, kurjerka Komendy Uzupełnień wraz z Felicją Sulimirską przechodziły wielokrotnie w chwilach bardzo ciężkich linję bojową. Felicja Sulimirska, jedyna córka płk. Sulimirskiego, przechodząc na tamtą stronę, została ciężko ranna.

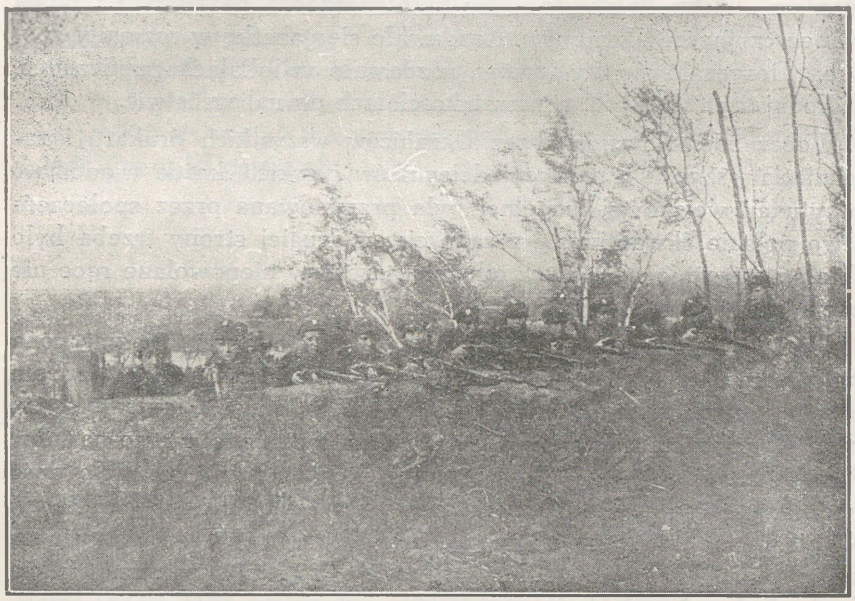

Okopy na Wysokim Zamku.

Nie pożegnana przez nikogo z najbliższych, umarła w parę godzin potem.

Prócz wywiadów i przenoszenia raportów do Komendy Wojsk Polskich, do obowiązków naszych należało przeprowadzanie na polską stronę mężczyzn, chcących wstąpić w nasze szeregi. Przeprowadzanie takie odbywało się najczęściej okólnemi drogami, z koszykami lub torbami na plecach, pod pozorem, że się idzie po zakupy prowjantów.

W chwilach wolnych od swych zajęć zajmowałyśmy się kolportowaniem „Głosu Polskiego". Nie było to rzeczą bezpieczną i łatwą wobec czujności Ukraińców. Rozdawało się gazetkę w rozmaity sposób. Doręczało się do domów, rozdawało w lokalach publicznych, jadłodajniach polskich, a nawet kościołach po nabożeństwie.

Wobec zdemolowania przez Ukraińców wszystkich drukarń i zamknięcia wszystkich redakcyj dzienników polskich, każda wiadomość o sytuacji wojskowej i ogólnej była przyjmowana przez społeczeństwo polskie skwapliwie i z radością; z drugiej strony trzeba było działać ostrożnie, aby przez oddanie gazety w niepowołane ręce nie zdemaskować całej naszej roboty.

Dnia 21 listopada wróciłam późno z „tamtej strony" i zmęczona położyłam się w lokalu Komitetu Obywatelskiego Polek na jednem z łóżek, przeznaczonych dla rannych. Rano obudził mnie straszny huk. Wyszłam na balkon i zobaczyłam, że jedna z kamienic na ulicy Akademickiej została uszkodzona granatem, słychać też było dość oddalone strzały. Ulicami maszerowały całe szeregi żołnierzy. W pierwszej chwili myślałam, że to są Ukraińcy. Wtem usłyszałam słowa piosenki — „Wojenko, wojenko!" Zrozumiałam wreszcie, że Lwów jest wolny, że to są nasi.

Wybiegłam na rynek — na Ratuszu powiewały polskie chorągwie.— Nieprzytomna radość rozsadzała serce. Zawiadomiłam niezwłocznie panią Zagórską i we trzy razem z Wandą Lechowin udałyśmy się na miasto. Sejm stał cały w płomieniach. Był to widok cudowny, ale pełen grozy. Smutno było patrzeć na poszarpane kulami drzewa w ogrodzie Jezuickim.

Radość tego dnia została zmącona straszną wieścią o śmierci 14-stoletniego Jurka, syna p. Zagórskiej. Zginął tej nocy śmiercią żołnierską na cmentarzu Łyczakowskim.

Przez dni kilka grzebałyśmy naszych bohaterów.

Z chwilą oswobodzenia Lwowa skończyła się służba kurjerska. Wstępowałyśmy wówczas do zorganizowanej przez p. Zagórską Obywatelskiej Milicji Kobiecej.

Jedna tylko Wanda Lechowin, z którą odbyłam większość moich wywiadów i wypraw „na tamtą stronę", wyjechała jako kurjerka do Mikołajowa i tam dostała się do niewoli ukraińskiej. Po wielu tygodniach więzienia ukraińskiego, udało się jej, przy pomocy komendanta P. O. W. w Drohobyczu, uciec z niewoli, na Węgry. Po długiej tułaczce o chłodzie i głodzie wróciła do Lwowa z początkami gruźlicy. Organizm jej, nadszarpnięty ciężką pracą służby kurjerskiej i okropnemi warunkami niewoli, nie mógł już zwalczyć choroby. Zmarła w Krakowie po kilku latach cierpienia.

Była jedną z najlepszych i najdzielniejszych kurjerek. Niezmordowana w pracy, niezmiernie odważna, znająca świetnie teren, niejednokrotnie pomimo niesłychanego zmęczenia po trzy razy jednego dnia przechodziła linję bojową, oddając sprawie polskiej niezmierne usługi. Cześć jej pamięci!

Danuta Kolbuszewska.

KRZYWCZYCE.

W grudniu 1918 r. podczas owych pamiętnych bojów o polskość Lwowa niewiele jeszcze dziewcząt należało do Ochotniczej Legji Kobiet. Zaledwie trzydzieści nas było, przeważnie ze szkół średnich i uniwersytetu, żywych, niecierpliwych, rwących się do czynu żołnierskiego, do prawdziwej wojny w okopach i na placówkach, do walki takiej, jaką prowadzili nasi bracia w szeregach.

Nie wystarczały nam patrole po zaułkach miasta i na jego przedmieściach, nie zadowalniały niebezpieczne wyprawy poza rogatki, gdzie od kul, świszczących koło uszu, chciało się nam oganiać, jak od much uprzykrzonych. Więc też, gdy przyszedł ów rozkaz, ażeby legjonistki zluzowały zmęczonych żołnierzy z 5-go pułku Legjonów, stojącego na pozycji w Krzywczycach, wsi położonej o kilka kilometrów od Lwowa, oczy zapłonęły nam radością, serca żywiej zabiły. Nareszcie prawdziwy front!

Uzbrojone w karabinki belgijskie, zaopatrzone obficie w amunicję, wyruszyłyśmy. Spokojnie przeszedł marsz do Krzywczyc, do których doszłyśmy o zmroku. Kwatery naznaczono nam w chałupie wiejskiej, której dość obszerna izba ledwie zmieścić mogła naszą kompanję. Niedługo jednak zabierałyśmy sobie wzajem miejsca. Większa część z nas poszła natychmiast na placówki i do służby łącznikowej — reszta czekała na zmianę. Było nas trochę mało, ale rwałyśmy się

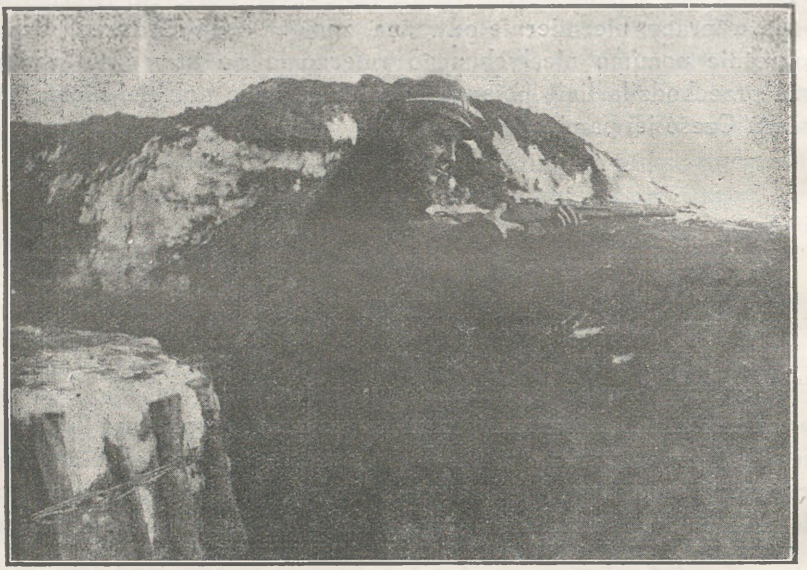

Okopy w Krzywczycach. Br. Tynikówna.

wszędzie. To też pełniłyśmy swoją służbę przez podwójną ilość godzin, na trzaskającym mrozie, w płaszczykach wiatrem podszytych, nie czując prawie skostniałych nóg . Ale nie znaczyło to dla nas nic. Nie robiłyśmy sobie wiele z takich przykrości, jak zmarznięcie czy głód, lub niewyspanie. Zapał i wiara, oto cud, ciepło i pokarm dający, i zabijający znużenie. Im bardziej marzły nam nogi, tem więcej gorzało serce, im silniej członki z niewygody bolały, tem mocniej jaśniały oczy.

Nie dane jednak nam było wtedy jeszcze potykać się z wrogiem w orężnej walce. Zaciągnięte przez nas placówki nie były niepokojone przez przeciwnika. Czas upływał na wymianie strzałów w kierunku okopów ukraińskich, z których odpowiadano nam ogniem karabinowym. Klekotanie karabinów maszynowych, naprzemian naszych i nieprzyjacielskich, nie psuło nam nerwów, a odległe strzały armatnie nie zaprzątały naszych myśli.

Nocna strzelanina Ukraińców nie przyniosła nam, na szczęście, strat żadnych, natomiast każda z nas była przeświadczona, że kulka wysyłana z jej karabina, przyczynia się wielce do oswobodzenia Lwowa.

Jak ważną dla nas rolę odegrały Krzywczyce! Przekonałyśmy się wtedy, że potrafimy należycie pełnić służbę żołnierską, a służba ta pasowała nas na prawdziwych obrońców Ojczyzny!

Helena Bujwidówna.

W WALKACH O LWÓW.

Mam dać garść wspomnień z okresu, który budzi dziś jeszcze w każdej duszy polskiej — nie mówiąc już o bezpośrednich uczestnikach — podziw i entuzjazm. Pomimo, że dziennika nie prowadziłam — ktoby tam miał czas o tem wówczas myśleć — wspomnienia te jednak są tak żywe, jakbym je przeżyła wczoraj. Nie zdołały ich zatrzeć przeżyte później wrażenia z całego okresu wojny polsko-bolszewickiej, ani jakiekolwiek inne współdziałania w pracy nad utrwaleniem bytu odrodzonej Ojczyzny.

Do Lwowa przyjechałam w 1916 r. po maturze, aby poświęcić się studjom uniwersyteckim, odrazu jednak wpadłam w wir politycznej pracy akademickiej, a następnie w P. O. W. Wspomnienia z tych czasów opisałam na innem miejscu, łączą się one ściśle z „Obroną Lwowa", która niezaprzeczenie na naszej ideologji wyrosła.

Jako komendantka Żeńskiego Oddziału P. O. W. byłam przed rozpoczęciem działań wojennych w kontakcie z całą robotą peowiacką na terenie lwowskim i mając do rozporządzenia oddział naszych wywiadowczyń, ostrzegałam Komendę P. O. W. okr. Lwów o mającym nastąpić ze strony ukraińskiej zamachu na Lwów.

I tak już około 24 października 1918 r. otrzymałam pierwsze informacje od peowiaczki Janiny Wicher-Gibowskiej, że Ukraińcy przygotowują zamach na dzień 25.X. Natychmiast dałam znać o tem por. Maksymiljanowi Landauowi i por. de Laveaux, komendantowi P. O. W. we Lwowie.

Na podstawie tych informacyj Komenda P. O. W. zainicjowała akcję w kierunku porozumienia się z innemi organizacjami, działającemi na terenie Lwowa (kpt. Mączyński, komendant Polskich Kadr Wojskowych) w celu niezwłocznego ich połączenia pod jedną komendą. Stworzenie jednolitej komendy i uzgodnienie ewentual-

nego działania było zdaniem przedstawicieli P. O. W. najważniejszym momentem w przygotowawczej pracy przejęcia miasta z rąk austrjackich zaborców.

Dnia 28.X taż sama peowiaczka Janina Gibowska dostarczyła ponownie informacyj, tym razem już zupełnie ścisłych. Zamach oznaczony został na noc z dnia 31.X na 1.XI 1918 r. — późniejsze wypadki potwierdziły to z całą dokładnością. Wywiad podawał prawie zupełnie dokładny i co do joty później potwierdzony ukraiński plan operacyjny, a w szczególności podawał następujące punkty, które miały być w pierwszym rzędzie zajęte tej nocy: Cytadela, Dworzec Główny, Poczta, gmach Sejmu, Dyrekcja Kolejowa, Ratusz i kopiec Unji Lubelskiej. Wywiady wskazywały dalej, że ukraińscy strzelcy siczowi byli w porozumieniu z Austrjakami i w różnych punktach miasta mieli składy broni i amunicji, bardzo sprytnie przechowywanej. Np. skład broni w t. zw. Augen und Ohren — Spital, późniejsza Reduta Piłsudskiego, urządzony był tak, że wystarczyło tylko przy zmianie warty przysłać wartę złożoną z zaufanych ludzi i skład ten przechodził w ich ręce. Tak, zresztą, odbyło się zajęcie szpitala i Poczty.

Pod wpływem tych informacyj, jako też dochodzących ze wszystkich stron przeróżnych wieści, nastrój we Lwowie panował gorączkowy. Czuło się w powietrzu nadchodzącą jakąś burzę, której nikt dokładnie jeszcze określić nie potrafił.

Napięcie nerwów rosło z godziny na godzinę i my, peowiacy, czekaliśmy tylko na jakiś znak z Krakowa, aby wszcząć akcję. Do jakiego stopnia napięcie dochodziło, świadczy fakt, że ob. de Laveaux zwołał na dzień 30.X odprawę komendantów obwodów, mając głębokie przeświadczenie, że lada moment rozkaz z Krakowa nadejdzie.

Przebieg tej odprawy, której znaczenie i powagę każdy z nas odczuwał z całą siłą, pozostanie mi na zawsze w pamięci. Przed samą odprawą przyjechał z Krakowa sierżant Wacław Lipiński, którego przyprowadziłam na odprawę. Przywoził on z sobą oczekiwany przez nas rozkaz mobilizacyjny Komendy Głównej, na mocy którego komendant Okręgu Lwowskiego miał przedewszystkiem organizację ujawnić i zarządzić mobilizację. Po przeczytaniu rozkazu, ob. de Laveaux wydał rozkaz ogólnej zbiórki wszystkich czynnych członków P. O. W. Okręgu Lwowskiego na dzień 31.X do lokalu Domu Akademickiego (Czytelni Akademickiej), gdzie miało nastąpić rozdzielenie funkcyj, zdążających do przejęcia miasta z rąk austrjackich.

Równocześnie z temi zarządzeniami Komenda lwowskiego P. O. W. prowadziła w dalszym ciągu pertraktacje z kpt. Mączyńskim i kpt. Kamińskim (zastępca płk. Sikorskiego, ówczesnego d-cy „Wehrmachtu") w sprawie jednolitej akcji wszystkich organizacyj.

Dnia 31.X o godzinie 4-tej po południu zebrali się w mieszkaniu mjr. Śniadowskiego przy ul. Łyczakowskiej: por. de Laveaux, kpt. Mączyński, kpt. Kamiński, Pieracki, Kron, na którem to zebraniu ob. de Laveaux zakomunikował zebrane przez wywiad peowiacki wiadomości oraz otrzymane z Krakowa rozkazy. Narady nie dały jednak pozytywnego wyniku. Ponowne zebranie naznaczono na g. 9 min. 30 wieczorem w Czytelni Akademickiej.

Na ten dzień zwołany był Zjazd Ogólnoakademicki z całej Polski i pierwsze zebranie inauguracyjne (z herbatką koleżeńską) odbywało się również w „Czytelni Akademickiej". Program zebrania został zmieniony — ograniczono się tylko do wyboru Prezydjum Zjazdu (zostałam sekretarką) i zasiedliśmy do herbatki.

Podniecenie, potęgowane nadchodzącemi wiadomościami, o planowanym zamachu przez Ukraińców, oraz głuchemi wieściami o kunktatorstwie komendantów tajnych organizacyj wojskowych w sprawie jednolitego dowództwa wojskowego, dochodziło do ostatecznych granic. Czemże były nasze akademickie sprawy wobec tych wszystkich nadciągających wydarzeń, a choćby wobec odgłosu repetowanych karabinów i komendy wojskowej sekcyjnych, ćwiczących swoje oddziały w sąsiednim pokoju.

Do sali zjazdowej co chwilę wpadały grupki peowiaków, padały rozkazy, szeptem podawano wiadomości. Nastrój bojowy rósł z minuty na minutę. Co chwila wybuchała gdzieś piosenka żołnierska, legjońska. Czekaliśmy na moment, kiedy padnie komenda wymarszu na miasto, aby je objąć w posiadanie z rąk ustępujących Austrjaków.

Tymczasem w jednej z sal bocznych toczyły się obrady przywódców, o wielkiem historycznem znaczeniu. Pomimo oświadczenia por. de Laveaux, który rozporządzał najsilniejszą liczebnie P. O. W., gotową już do działania, że podda się każdej komendzie, byle spoczywała w ręku jednego człowieka, byle tylko nie wypuścić inicjatywy z rąk polskich, nie umiano dojść do konkretnego planu działania. Przedewszystkiem ani kpt. Mączyński, który, będąc komendantem austrjackiego składu broni i amunicji na Dworcu Głównym, szachował por. de Laveaux kwestją broni — ani kpt. Kamiński nie wierzyli w możliwość zamachu Ukraińców, opierając się na wiadomościach otrzymanych od hr. Aleksandra Skarbka i posła St. Głąbińskiego, jakoby Austrjacy przyrzekli oddać nam Lwów w posiadanie i jakoby najpóźniej 1-go lub 2-go listopada mieli przyjechać

Odcinek Cytadela.

z Krakowa przedstawiciele Komisji Likwidacyjnej i objąć władzę nad Wschodnią Galicją. Na tych przewlekłych obradach, na targach o ambicje i na układach upływał drogocenny czas, a młodzież, zgromadzona w Czytelni Akademickiej, po kilkugodzinnem wyczekiwaniu, zamiast rozkazu wymarszu na miasto, otrzymała rozkaz rozejścia się do domów. W ten sposób został zmarnowany cały entuzjazm i gotowość do natychmiastowej akcji. Inicjatywa przeszła do rąk Ukraińców. Sprawdziły się co do joty wywiady peowiackie.

Do dnia dzisiejszego pamiętam tę chwilę rozpaczy, jaka mnie wówczas ogarnęła i jeszcze teraz nie mogę się oprzeć wrażeniu, że gdyby wtedy, zamiast targów, przeprowadzono zdecydowaną akcję— kto wie, czy nie bylibyśmy uniknęli tej strasznej bratobójczej walki.

Ranek 1.XI 1918 r. szary, jesienny ranek — powitał nas wiadomością o zajęciu miasta przez Ukraińców.

Ponieważ na g. 9-tą naznaczone było zebranie Zjazdu, udałam się do Czytelni Akademickiej. Po drodze spotykałam ciężarowe automobile, przepełnione „landsturmistami" austrjacko - ukraińskimi w rynsztunku bojowym. Tu i owdzie strzelanina — to strzelają Ukraińcy „Panu Bogu w okno". Docieram wkońcu do Domu Akademickiego, gdzie już jest pełno. Ruch, wrzenie! O regularnych obradach niema mowy. Słychać ciągłą strzelaninę, wreszcie wpada któryś z kolegów z wiadomością, że szkoła Sienkiewicza stawia opór zbrojny, że akcja polska już rozpoczęta — zapada uchwała przyłączenia się do niej i podjęcia rzuconego nam wyzwania.

Rano w mieszkaniu adwokata Wexlera zebrali się ponownie komendanci organizacyj i wybitniejsi wojskowi, aby wybrać dowódcę, któryby pokierował działaniami wojennemi. Dowództwo powierzono kpt. Rożenowi, który, niestety, po przeprowadzeniu akcji na dworzec, rozchorował się.

Od mojego komendanta otrzymałam polecenie przeprowadzenia krakowskiej grupy akademickiej do Domu Techników przy ul. Issakowicza, gdzie już zorganizowano punkt operacyjny. Orjentując się doskonale w terenie poprzez ciemne ulice, kryjąc się po opuszczonych kawiarniach i bramach, dotarliśmy do Domu Techników, znajdującego się już w ogniu ukraińskim.

Grupka nasza wpadła jak w młyn. Ruch szalony. Po korytarzach, pokojach uwijają się cywile, których biało-amarantowe opaski wskazują, że to już żołnierze Rzeczypospolitej. Przez nikogo nie zatrzymani, docieramy do por. Bujalskiego — komendanta Domu Techników. Grupa krakowska otrzymała broń i przydziały. Na moje zgłoszenie się do służby, por. Bujalski, nie dając mi broni, polecił zorganizowanie punktu sanitarnego.

Nie mogłam się na to zgodzić — porywała mnie myśl o walce w szeregach i po raz pierwszy nie wykonałam rozkazu wojskowego. Zorganizowanie punktu opatrunkowego powierzyłam dwóm peowiaczkom, a sama wyszłam z zamiarem zdobycia broni. Ale gdzie? Tylko od Ukraińców, co zresztą praktykowane było we Lwowie, gdyż w ten sposób uzbrajały się całe oddziały i poszczególni ludzie.

Wyszłam więc z Domu Techników i po drodze spotkałam dwóch „mikrusów", takich, jak ja, amatorów na broń ukraińską. Wspólnemi siłami napadliśmy na placówkę ukraińską przy ul. Leona Sapiehy (pod d-wem żandarmerji ukraińskiej). Podeszliśmy ztyłu na palcach do pełniących służbę starych „landsturmaków" i, poturbowawszy ich gołemi pięściami, wyrwaliśmy wystraszonym żołnierzom karabiny i, nie czekając na ich otrzeźwienie, zwialiśmy czem prędzej.

Wróciłam zatem do Domu Techników aby się „wcielić" do jakiegokolwiek oddziału linjowego. Kol. Lipińskiego przydzielono jako adjutanta bojowego, dano mu oprócz tego funkcję oficera frontowego i powierzono mu jeszcze wiele innych funkcyj, wobec czego wziął mnie sobie do pomocy.

Tego samego wieczora i przez całą noc obeszliśmy we dwójkę całą linję frontu, podlegającą por. Bujalskiemu. Rano zostałam wysłana na Wulkę na wedetę. Wśród drobnego, listopadowego deszczu w mojem „cywilnem", niezbyt ciepłem ubraniu pozostałam przez 12 godzin w jakimś sadzie, szczękając zębami z zimna, kurczowo ściskając w ręku karabinek. Nie mogę powiedzieć, żeby te 12 godzin należały do najprzyjemniejszych w mojem życiu. Była to pierwsza moja służba z karabinem. Dookoła terkot karabinów i trzask karabinów maszynowych, gwizd kul, zmieszany z jękliwym szumem drzew, szarość dnia i świadomość zupełnego zdania się tylko na własne siły, a przytem kompletna bezczynność wpływały niesłychanie denerwująco. Wreszcie przyszła zmiana.

Wróciłam do Domu Techników i zakwaterowałam się w jakimś pokoiku wraz z W. Lipińskim, W. Denhofem[1]) oraz właścicielem lokalu.

Linja bojowa była jako tako ustalona. Pełniłam służbę łącznikową i nieraz nasłuchując kierunku strzałów, przebiegałam wspólnie z W. Lipińskim ulice, przenosząc rozkazy lub zbierając raporty dla naszej komendy.

Kiedyś znów znalazłam się na Wulce, ubrana już w gruby płaszcz i „komyśne" buty z cholewami w czapce studenckiej. Oddział nasz, stanowiący placówkę w pobliżu rogatki Wuleckiej, miał na celu

---

[1]) Kpt. W. Denhof-Czarnocki zmarł 1927 r.

zabezpieczenie odcinka Domu Techników i otrzymał rozkaz posunięcia się w kierunku na koszary dragońskie, dla wsparcia akcji por. Dzieduszyckiego. Posunąwszy się kilkadziesiąt kroków naprzód, dostaliśmy się pod ogień karabinów maszynowych. Padła komenda „padnij, okop się". Zaledwo dwoje z nas miało łopatki saperskie. Padłam w pobliżu młodziutkiego chłopca w mundurku gimnazjalnym, który był szczęśliwym posiadaczem łopatki. Okopywałam się więc, jak mogłam, rękami — ale szło mi trudno. Zwróciłam się do mojego młodziutkiego sąsiada, z prośbą, aby po ukończeniu swojego okopu dał mi łopatkę. Niestety, szybciej otrzymałam ją niż myślałam, bo chłopiec, którego tylko imię „Staś" pamiętam — padł, ugodzony kulą w czoło.

Ogień karabinowy szybko ustał... Posłyszeliśmy głośną wrzawę i okrzyki w kierunku koszar dragońskich. To por. Dzieduszycki zdobył koszary Wuleckie. Placówkę naszą ściągnięto do Domu Techników.

Od tej chwili walki lwowskie przyjęły charakter nieomal walk pozycyjnych. Odcinek Domu Techników, znajdujący się na skrajnem prawem skrzydle, nazwany został I-szym. Między innemi w skład tego odcinka wchodził pododcinek „Cytadela" dowodzony przez por. Monda Bernarda.

Nie pamiętam już, oczywiście, wszystkich nazwisk — bo i trudno, ale oprócz por. Monda w tej „norze zbójeckiej" zastałam ś. p. ppor. Kazimierza Boguckiego, ppor. Antoniego Olszewskiego, por. Olszańskiego, por. Adama Świtalskiego, no i sierż. Wacka Lipińskiego.

Równie dzielnych i bohaterskich towarzyszów trudno sobie wyobrazić.

Por. Mond wiedząc, że znam dobrze teren lwowski, wyznaczył mnie na łącznika bojowego.

Służba moja polegała na przenoszeniu meldunków sytuacyjnych do Domu Techników, innych pododcinków i plutonów kompanji por. Monda. O ile wieczorami i w nocy służba nie była zbyt trudna, o tyle w dzień przedstawiała duże niebezpieczeństwo. Trzeba było czasami czołgać się wzdłuż kamienic, zwłaszcza na ulicy Kadeckiej, której front wychodził na Cytadelę, a dalej całym pędem przebiegać przez otwarte przestrzenie, aby uniknąć kul karabinowych. Niebezpieczeństwo zwiększał bardzo ukryty w bastjonie Cytadeli świetny strzelec ukraiński, który codziennie celnemi strzałami siał ogromne spustoszenie w szeregach naszej kompanji.

Pamiętam raz por. Mond ze mną i drugim łącznikiem bojowym, Heiderem Romanem, wyszedł celem skontrolowania naszego odcinka. Zabraliśmy przy tej okazji zaprowjantowanie dla pozostających

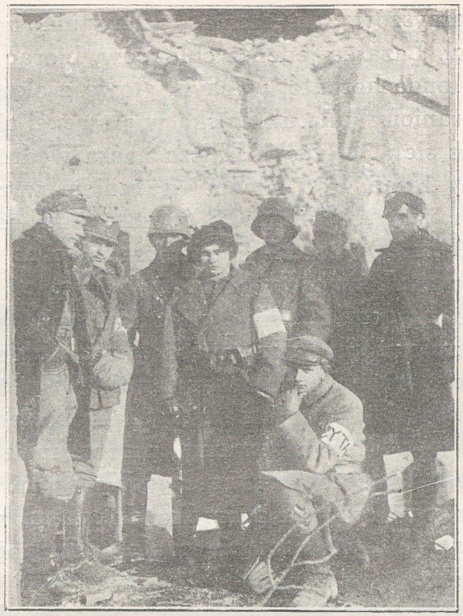

Odcinek Cytadela.

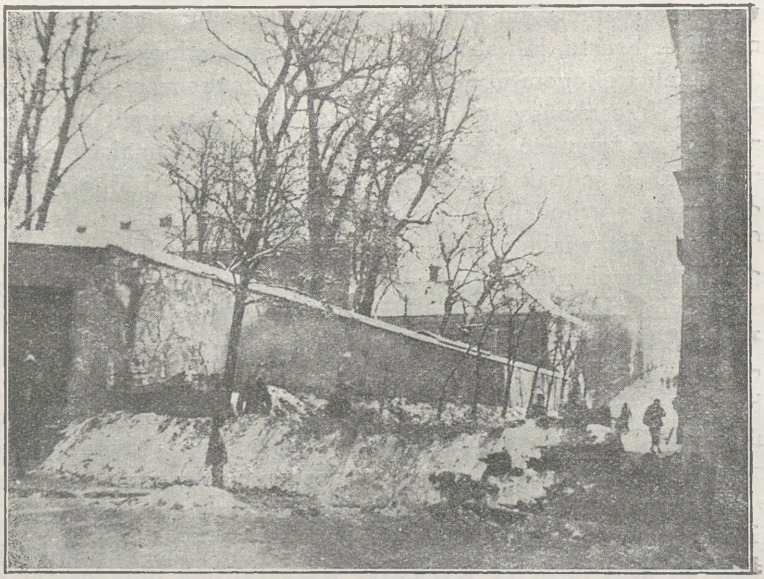

Okop św. Łazarza.

w okopach towarzyszów. W czasie rozdawania herbaty i chleba, w okopie przy ul. Łazarza jeden z chłopców, biorąc w ręce podaną mu przez por. Monda herbatę, wychylił głowę z okopu i w tejże samej chwili padł raniony kulą ukraińską w głowę. Z ul. Łazarza przyłączył się do nas sierż. Lipiński. Dalsza nasza wędrówka szła przez zupełnie otwarty teren. Pod silnem wrażeniem wypadku z żołnierzem w okopach, zachęcałam moich towarzyszów do przebiegnięcia pędem niebezpiecznego terenu i, nie czekając na nich, poczęłam biec. W pewnym momencie dostałam się pod ogień karabinów maszynowych i nagle poczułam silne uderzenie w bok. Wypuściłam trzymane pod pachami bochenki chleba, przeznaczone dla żołnierzy i padłam na ziemię, chcąc przeczekać chwilę. Wkrótce poderwałam się znowu i szczęśliwie dobiegłam do kwatery komendy odcinkowej. Dopiero później zebrał pozostawiony przeze mnie chleb Heider, i stwierdzono, że było sporo przestrzelonych nawylot bochenków.

Takie przyjemności były na porządku dziennym, nie można było nosa wysunąć, aby natychmiast nie znaleźć się pod ogniem karabinów ukraińskich.

Kompanja nasza wobec bliskości nieprzyjaciela była w ciągłem pogotowiu. Wskutek skąpych sił a wielkiej rozciągłości odcinka, służba była ogromnie wyczerpująca, czasami po kilka i kilkanaście godzin niezmieniana. Dlatego też niejednokrotnie, oprócz mojej stałej służby łącznika bojowego, wysyłano mnie na zmianę posterunków.

Najniebezpieczniejszym był okop przy ulicy Św. Łazarza, jak też i sama ulica. Prosta, jak strzelił, zakończona z jednej strony bastjonem Cytadeli i okopem ukraińskim, dawała znakomite pole ostrzału Ukraińcom. Mieszkańcy tej nieszczęsnej ulicy nie mogli zaopatrzyć się zupełnie w żywność, gdyż jeżeli ktokolwiek wysunął się z domu, padał od kul. A jednak trzeba było żyć i odważniejsi albo zmuszeni głodem ludzie wychodzili i często nie wracali już więcej. Tragiczna ta ulica przedstawiała widok straszny. Leżały wzdłuż ulicy ciała poległych, których nieraz przez długie dni nie można było pozbierać i trzeba było czekać na zawieszenie broni, aby je pochować. Woń krwi i rozkładających się ciał, długo jeszcze unosiła się w powietrzu po uwolnieniu Lwowa.

Aby silniej niepokoić nieprzyjaciela, por. Mond robił wycieczki o nadzwyczaj zabawnym charakterze. Były one jedyne w swoim rodzaju i mogły mieć miejsce tylko w walkach, toczących się w mieście. Wyprawy te specjalnie mnie entuzjazmowały. Odbywały się pomiędzy innemi i drogami kotów, to jest poprzez dachy i ganki przyległych kamienic. Na wycieczki wyruszaliśmy obładowani granatami ręcznemi i po dojściu na najbardziej wysunięty ku frontowi

nieprzyjacielskiemu punkt, rzucaliśmy w okopy ukraińskie granaty, prześcigając się w celności, częstokroć zmuszając Ukraińców do wycofywania się ku bastjonom Cytadeli. Wyprawami temi przyczynialiśmy niemało kłopotu Ukraińcom.

Mimo niesłychanego przemęczenia wyczerpującą służbą, nigdy nam humoru nie brakło. W takt umieszczonego w okopie karabina maszynowego (zdobytego rozumie się na Ukraińcach) śpiewaliśmy leguńskie i lwowskie piosenki jak np. „Co użyjem to dla nas, jutro już nie będzie nas", a największe wzięcie na naszym odcinku miała łyczakowska piosenka: „Cylinder, cylinder, frak, frak, frak", bo najbardziej wpadała w takt karabina maszynowego.

I tak mijały dnie, przynosząc radosne, ale często i smutne wiadomości z reszty odcinków. Codziennie otrzymywaliśmy „Pobudkę", w której z dumą wyczytywaliśmy poza wiadomościami ze świata także i nasze nazwiska w pochwalnych rozkazach.

Przywykliśmy na naszym odcinku „Cytadela" do twardej służby, jakiej nie zaznałam później nawet podczas wojny polsko - bolszewickiej, tak, że wkońcu stała się ona rzeczą zwykłą, normalną.

W miarę zbliżania się do daty 21 listopada, wzmagało się jednak wyczerpanie nielicznego żołnierza, broniącego miasta. Ataki Ukraińców stawały się coraz gwałtowniejsze.

Jednym z najcięższych był dla mnie dzień 17 listopada. Wczesnym rankiem poderwano nas alarmem — to prawoskrzydłowemu pod-odcinkowi (rtm. Bieńkowski) przerwano front.

Pluton naszej kompanji pod dowództwem sierż. Lipińskiego dostał rozkaz biegiem pójść z pomocą rtm. Bieńkowskiemu i zająć okopy, zwrócone frontem ku cmentarzowi Stryjskiemu. Atak ukraiński był bardzo silny, wsparty ogniem artylerji i karabinów maszynowych. Zaraz po wyjściu Lipińskiego zostałam wezwana przez por. Monda, aby mu towarzyszyć na pozycję odcinka Szkoły Kadeckiej. Docierając do Szkoły, gdzie por. Mond miał się porozumieć z rtm. Bieńkowskim, wpadliśmy w szalony ogień miotaczy min. Detonacje były oszałamiające. Po uzgodnieniu sytuacji, udaliśmy się na pozycję plutonu Lipińskiego, która znajdowała się pod ogniem artylerji nieprzyjcielskiej. Stąd, już nie pamiętam jakim sposobem, znalazłam się w kontrataku na park Stryjski. Atak prowadził z nadzwyczajną brawurą rtm. Bieńkowski. Rezultaty były wspaniałe. Zajęliśmy cały park Stryjski wraz z przylegającemi ulicami aż do ul. Zyblikiewicza. Zdobyliśmy masę sprzętu wojennego i karabinów maszynowych oraz wzięliśmy dużo jeńców. Wrażenie tego ataku pozostanie dla mnie niezatarte. Jak żywy stoi w mych myślach obraz okropnego pobo-

jowiska. Z opresji tej wyszłam obronną ręką, straciwszy tylko dwa zęby, które wybił mi kolbą jakiś Ukrainiec.

Chciałabym na tem miejscu wspomnieć, że w ataku tym brały udział, walcząc po bohatersku Br. Tynikówna (Wanda) i ob. Janka (nazwiska nie pamiętam). Tynikówna brała, poza tem, udział na pododcinku Szkoła Kadecka od samego początku walk.

Ale oto zbliżała się radosna chwila — mieliśmy otrzymać odsiecz. W dniu 19/XI rozeszły się głuche wieści, że odsiecz już jest. Por. Mond wysłał na zwiady sierż. Lipińskiego. Wkrótce wrócił zziajany z wiadomością — Na dworcu „piątacy"[1]). — Radość niebywała.

Por. Mond zdał dowództwo pododcinka młodszemu koledze, sam zaś ze mną i Wackiem Lipińskim udał się na dworzec, aby naocznie sprawdzić radosną nowinę. „Piątacy" są! Wybuchają entuzjastyczne powitania, okrzykom niema końca. Dla mnie osobiście radość nieopisana, gdyż w odsieczy odnajduję moich dwóch braci i masę znajomych z Krakowa. Postanawiamy godnie przyjąć naszych gości na kwaterze. Prosimy też ilu tylko się dało na żołnierską ucztę na ul. Kadeckiej Nr. 4. Z dworca zabieramy prowjanty i trunki, resztę dostarczają przyjaciele cywilni i wojskowi.

Wieczorem kwatera rozbrzmiewa od okrzyków, hałasów i piosenek. Opowiadaniom niema końca. Wśród zaproszonych gości znalazła się Marja Herburtówna, która przyszła na kwaterę na zwiady, a potem z odcinka Szkoły Kadeckiej przyszedł witany radośnie ś. p. Franciszek Mościcki. Walczył on — podówczas uczeń gimnazjalny, od samego początku na sąsiadującym z nami odcinku Szkoły Kadeckiej. W ciasnocie ogromnej, po skończonej uczcie, spędziliśmy resztę nocy na kwaterze. Ja z Herburtówną zajęłyśmy jakieś łóżko, na którem prócz siatki drucianej — nie było nic. Koledzy wraz z Franciszkiem Mościckim leżeli pokotem na ziemi. O spaniu oczywiście mowy nie było. Oto mieliśmy wreszcie wiadomości z całej Polski. Dochodziły one do nas ale skąpe i niepewne. Wiedzieliśmy coprawda o uwolnieniu Komendanta z Magdeburga, wiedzieliśmy o tworzącym się rządzie, wiedzieliśmy o organizowaniu regularnego wojska polskiego i serca nasze napełniały się dumą, że byliśmy jednak pierwszymi żołnierzami Rzeczypospolitej, którzy zdobywali dla Polski jej kresowy gród Myśl ta dodawała nam mocy wytrwania wśród najcięższych momentów.

Następnego dnia rano tubalny głos por. Monda przywołał nas do rzeczywistości. Mamy atakować wspólnie z 5 p. p. Leg. górę Św

[1]) 5 p. piechoty Legjonów.

Jacka. Nad ranem zajęliśmy bursę, znajdującą się naprzeciw góry Św. Jacka.

Zaraz po skończeniu zawieszenia broni rozpoczął się obopólny ogień. Zajęliśmy okna, wychodzące na górę Św. Jacka. Mało intensywna akcja trwała dzień cały. Widzieliśmy, że 5 p. p. Leg. posuwa się w ustawicznym ogniu w kierunku na cmentarz i rogatkę Łyczakowską, celem obejścia nieprzyjaciela. Następnego dnia mieliśmy rozpocząć atak poprzez górę Św. Jacka.

W niesłychanej ciasnocie spędziliśmy kilkanaście godzin bezsennej nocy. Ranek krył niezwykłą niespodziankę. Rozeszła się radosna wieść: Ukraińców w mieście niema!

Dzień 22 listopada pozostanie mi do końca życia w pamięci jako najgłębiej i najsilniej odczute wrażenie. Choć później przeżyłam jeszcze oswobodzenie Wilna, walki o Kijów i Dynaburg — nigdy jednak nie doznałam tak silnego uczucia, jak we Lwowie. Czułam, że stanowię jedno z tem przedziwnem miastem o tak niesłychanej sile przyciągającej, czułam, że jestem cząstką nierozerwalną tej ziemi, okupionej krwawym trudem, czułam się drobną cząstką zbiorowej duszy Lwowa.

Ze wszystkich stron wmaszerowaliśmy do miasta. Jak się okazało, Ukraińcy zlękli się naszych zwiększonych sił i zanim wojsko nasze zdążyło ich obejść, wycofali się w nocy.

Nasza kompanja ze śpiewem wkroczyła ulicą Św. Zofji i Zyblikiewicza, kierując się do śródmieścia. Zbudzeni śpiewem, mieszkańcy otwierali okna i, nie wierząc własnym oczom, nawpół ubrani wypadali z domów. Nieopisane szczęście malowało się na twarzach, witających nas z niesłychanem entuzjazmem ludzi. Padali sobie w objęcia cywile i żołnierze, płacz radości rozlegał się szerokiem echem w czystem, chłodnem powietrzu jesiennego poranka. Mieszkańcy Lwowa wpadali pędem do domów i wynosili, co kto miał i mógł, zasypując nas formalnie papierosami, bułkami, cukierkami i owocami. Obdarowywali nas wszyscy i uboga kobieta i elegancka dama — czuliśmy, że to przecież nie zwykłe podarunki sypią się na nas, ale żywe, gorące serca pełne umiłowania miasta ukochanego i nieskończonej wdzięczności dla tych, którzy ochotnie rzucali życie swe na szalę wolności grodu. W miarę posuwania się ku śródmieściu rósł tłum i wzrastał entuzjazm.

Na rogu ulicy Kochanowskiego miałam miłe zdarzenie. Podbiegła do mnie jakaś kobiecina i pyta mnie, czy nie wiem, jak zginęła Bujwidówna? Ja w śmiech! — Odpowiadam, że to ja jestem właśnie Bujwidówną, a ona, całując mnie, obejmuje: O, paniusieczku, a tośmy słyszeli, że ją granat na połowę rozwalił!" Jak się potem okazało,

H. Bujwidówna z braćmi.

była to żona funkcjonarjusza Akademji Weterynarji, gdzie studjowałam.

Podchodząc do Ratusza, z trudem przeciskaliśmy się przez szalejący radością tłum. Było w tem coś z wiosennej burzy. Z Ratusza powiewał sztandar biało-amarantowy. Zdawało się, że bije od niego glorja zwycięstwa i chwały. To spotkały się wszystkie oddziały ze wszystkich odcinków. Zdawało mi się, że serce nie wytrzyma tej fali szczęścia, która pierś rozpierała. Pomimo woli z ust wybuchała pieśń lub okrzyk. Takiego zbratania się żołnierza ze społeczeństwem nie przeżyłam już nigdy więcej.

Po parogodzinnym postoju, dowódca nasz poprowadził nas do koszar w Cytadeli, pod której murami walczyliśmy tak długo i z takim trudem.

Marja Cseszнakówna.

HARCERKI W OBRONIE LWOWA.

Dzień 1 listopada 1918 r. przeraził lwowskie harcerki. Wprawdzie w przeczuciu młodych dusz jawiła się często możliwość, a nawet konieczność walki wyzwoleńczej, w której i harcerkom dane będzie ofiarnie uczestniczyć, — ale nigdy, ani przez chwilę, wyobraźnia nie malowała walki takiej, jaką przyniósł właśnie ów listopadowy poranek. Nie myślano nigdy o tragiźmie wyzwalania Lwowa od Ukraińców, nie przypuszczano, że mieszkańcy tego samego nieraz domu staną w dwóch wrogich obozach.

Rozmyślano więc, jak dostać się do polskich redut, które przecie być muszą, chociaż na Ratuszu powiewa sztandar żółto-niebieski. W owym dniu po raz pierwszy przydały się dane, zebrane przez harcerki, nawpół dla zabawy, nawpół w nadziei, że mogą się przydać. Harcerki te miały spisy bram przechodnich i podwórzy, łączących posesje, pozornie obce sobie i odległe; miały też, niepełne, niestety — dane o korytarzach piwnicznych, przechodzących niekiedy pod taką ilością domów, że jeden wylot korytarza znajdował się w domu po ukraińskiej stronie miasta, a drugi w innym domu w polskiej części Lwowa[1]).

[1]) Dane te zebrała głównie Marja Dobiecka, harcerka III lwowskiej drużyny skaut. im. R. Traugutta i dziewczynki z jej zastępu.

Kto pamięta Lwów w tych czasach, kiedy to jeden chodnik uliczny był „polski", a drugi „ukraiński", kiedy walczyły ze sobą posterunki, stojące na dwóch poprzecznych, najbliższych ulicach, a polscy ochotnicy przedostawali się do swoich oddziałów, prześlizgując się rowami kanalizacyjnemi — ten zrozumie znaczenie planów połączonych z sobą piwnic i podwórzy. Wiadomości te, zebrane kiedyś, w czasie „ćwiczeń terenoznawczych w mieście", kiedy zastępy harcerskie wpadały na ślady tajemnic starych podwórzy, nie obcych pewnie żadnemu większemu miastu — miały się teraz przydać. Istotnie oddały duże usługi.

Zaraz pierwszego dnia drużynowa II drużyny skautowej, studentka Helena Paliwodzianka, zorganizowała pogotowie sanitarne. Było to w mieszkaniu prywatnem pani Antoniny Zdobnickiej, dyrektorki szkoły powszechnej, wielkiej przyjaciółki harcerstwa i młodzieży. Mieszkanie to znajdowało się na placu Bilczewskiego 6, w sąsiedztwie historycznej już dzisiaj szkoły Sienkiewicza. Na tym punkcie pracowały oprócz wymienionych: Marja Zdobnicka, Teresa Majchrowiczówna, Jadwiga Sagańska. Rannych przynoszono, przyprowadzano.... Dyżury harcerek trwały tak długo, jak służba żołnierzy, to znaczy nie krócej, niż 24 godzin. Czasem — w napięciu nerwów, — wśród trzasku karabinów maszynowych — pracowały bez przerwy po 70 godzin. I nietylko one: w probostwie na placu Bilczewskiego niestrudzenie pracowały „stare" harcerki: E. i H. Czechowiczówny, E. Jaroszówna, E. Trzcińska [1]) i L. Chrzanowska. Na punkcie sanitarnym przy ul. Bema pracowały: J. Włodkówna, I. Czernecka, w szkole Marji Magdaleny: J. Syniewska, I. Piotrowska, I. Torosiewiczówna, L. Grabska; w Szkole Kadeckiej: Z. Tyszkowa. W szpitalu na Politechnice służbę ponad siły pełniła harcerka-medyczka Z. Zdobnicka, dokonywając dziennie po kilka operacyi i paręset opatrunków przewożono bowiem do Politechniki i żołnierzy-obrońców i dużo ludności cywilnej, ranionej „zabłąkanemi" kulami. Jako sanitarjuszka pracowała tam uczenica: Irena Obmińska. Daleko na Kleparowie, w smutnym szpitalu „tytusowym" pełniła służbę lekarza i sanitarjuszki zarazem medyczka J. Zduńczykówna. Po stronie „ruskiej" Lwowa placówkę sanitarną zorganizowała pani dr-owa Opieńska, czł. Naczelnictwa Skautowego; na tej placówce pracowały: Bieniedzka Jadwiga i Helena Nowiówna. Praca sanitarjuszek była wówczas we Lwowie inna, niż w większości szpitali świata cywilizowanego: kiedy Ukraińcy zniszczyli elektrow-

[1]) Zginęła w czasie walk o Lwów.

nię (koniec grudnia 1918), sanitarjuszki asystowały przy operacjach, godzinami całemi trzymając lampy nad stołami operacyjnemi. Po paru dniach wszystkie szpitale miały już swoje własne oświetlenie elektryczne, działające niezależnie od elektrowni. Kiedy znów wodociągi zawiodły, „siostry" nosiły wodę ze studzien ulicznych, w wiaderkach, razem ze służbą szpitalną.

Wogóle życie w ciągu tych kilku miesięcy bohaterskiej obrony miasta miało wygląd nie spotykany w wielkich miastach: wszyscy Polacy byli sobie bliscy w drobnych codziennych troskach o chleb i mięso dla swoich rodzin i w wielkiej trosce o „miasto najmilsze".

Kule błąkały się po ulicach, czasem strzał, dany „półżartem" przez ukraińskiego żołnierza, kosił młode ludzkie życie. W obliczu śmierci, która była zawsze tuż obok — ludzie stawali się sobie tak bardzo bliskimi. Jak najbliżsi — pomagali sobie i czuli, że mają prawo do cudzej pomocy.

W tem dziwnem mieście, gorącem i bezpośredniem — utworzyła się też przedziwna formacja: „Legja Kobieca". Niby to do pilnowania magazynów w ciągu dnia, — ale tylko „niby"... Bo wszystkim wiadomo, że kobiety zdobywały Cytadelę — razem z mężczyznami — piędź po piędzi — i biły się na Persenkówce — i na wielu innych odcinkach. I pamiętamy też te noce „ostrego pogotowia" — noc wigilijną 1918 roku i sylwestrową, kiedy to „legjonistki" — kolendy śpiewając — czekały na służbę, jeśli front ukraiński zbliży się do miasta. W tej Legji Kobiecej pracowały też harcerki, m. in. Marja Dragonówna i Janina Burska. Codziennie pełniły służbę, często już o wpół do 6-tej rano, zgłaszając się po karabiny do lokalu Izby Handlowo-Przemysłowej (ul. Akademicka).

Opieka nad bronią powierzona została harcerkom, one rozdawały broń rano, a odbierały wieczorem... Tam pracowała studentka Marja Csesznakówna, ówczesna komendantka drużyn lwowskich. Do Izby Handlowo-Przemysłowej zgłaszały się też od początku grudnia — codziennie rano, przed lekcjami, zastępy młodych harcerek, aby otrzymać adresy osób, które należało powiadomić osobiście o przypadającej na nich kolejno służbie w Straży Obywatelskiej. Bywało, że — jeśli front ukraiński przysunął się znacznie, np. do ul. Torosiewicza — dziewczynki zawiadomienia o służbie przenosiły pod kulami. Od 27 grudnia miasto było bombardowane przez Ukraińców, codziennie prawie od wpół do pierwszej w południe do zmroku, to też zdarzało się często, że pociski rozbijały się prawie u stóp dziewczynek, biegnących z rozkazami, czy listami.

Bo te małe harcerki nietylko naramienniki szyły dla żołnierzy i oznaki służbowe, one często zanosiły im listy i papiery; liczne

z nich — jak i inne lwowskie dzieciaki — dzieliły się z żołnierzami wszystkiem, co tylko można było dostać na święta w mieście, raz po raz odcinanem od reszty Polski. A w szeregach spotykało się moc znajomych, był tam i groźny profesor z łaciny i kolega 13-latek, i syn stróża, i stary listonosz!

Tym naszym malcom, dziewczynkom, które zawsze wyrastały „gdzie ich nie posiano", zdarzały się czasem prawdziwe przygody. Polecono im wykryć, kto daje znaki świetlne np. z ulicy Długosza. Zauważono bowiem, że po pewnych błyskach świetlnych, widocznych od ul. Pełczyńskiej czy Supińskiego, rozpoczyna się uporczywy trzask ukraińskich karabinów maszynowych. Dziewczynki odczuwały ważność swej misji. Odczuwały, że im ją polecono, bo nie zwrócą na siebie uwagi. Szły więc i ochotnie przynosiły potrzebne wiadomości.

Z bijącem sercem, wzruszone i uszczęśliwione przynosiły adresy, nazwiska, dane co do stanu cywilnego — wszystko. Czasem pomogło im dziecko stróża z danej kamienicy, czasem w rozmowie ze sklepikarzem umiały sprawę wyświetlić, różnie bywało... Wogóle wykazywały w tem dużo sprytu, odwagi, spokoju i pomysłowości.

Prawdziwym triumfem metody harcerskiej było wykrycie przez dwie harcerki, — a każda z nich miała wówczas lat 13 — szpiega ukraińskiego, którego fotografji dobrze się przypatrzyły. Zadanie było o tyle trudniejsze, że szpieg był bardzo ostrożny i ustawicznie zmieniał miejsce zamieszkania. Małe jednak (Jadzia B. i Bepa P.) — przyniosły parę jego adresów, dzięki czemu władze polskie mogły go unieszkodliwić.

Starsze harcerki narażały się niekiedy w stopniu dość znacznym. Wiele z nich przechodziło przez linję wojsk raz lub parę razy, liczne brały stały udział w służbie kurjerskiej. Są to: S. Wasilewska, E. Trzcińska, H. Nowiówna, J. Kuliczówna, J. Ogibowska, E. Jaroszówna, L. Chrzanowska, J. Porębianka, J. Jaremczykówna[1]), I. Szczęsikiewiczówna. Obok nich w służbie kurjersko-wywiadowczej odznaczyły się trzy harcerki. Są to: Ela Grabska, I. Piotrowska i Iza Torosiewiczówna. Z narażeniem życia służbę pełniły też te harcerki, które niosły pomoc sanitarną na froncie lub w pociągach sanitarnych. Do tej ciężkiej i ofiarnej służby stanęły w styczniu 1919 roku dwie harcerki z Warszawy: Helena Gepnerówna i Maryla Zdziarska. Zostały one w Małopolsce Wschodniej do końca jej walk wyzwoleńczych. Z druhen miejscowych też kilka pracowało na fron-

[1]) J. Jaremczykówna zginęła w 1920 r. przy obronie Warszawy.

cie pod znakiem Czerwonego Krzyża; jedna z nich ś. p. Stanisława Wasilewska, studentka, została wzięta do niewoli ukraińskiej, skąd wywiozła początki nieuleczalnej gruźlicy.

Kilkanaście harcerek pracowało w działach gospodarczym i intendenturze, w szkołach Konarskiego, Sienkiewicza i Żółkiewskiego.

Poza tą pracą znać było usilne starania o to, by życie Lwowa miało fizjognomję jak najspokojniejszą, jak najnormalniejszą. To też od grudnia mniejsze chodzą do szkoły, starsze uczą w tych szkołach, pracują w biurach i warsztatach. Te, które zwykle chodziły do ochronki im. Piłsudskiego, chodzą tam i teraz; ale w tych tragicznych i podniosłych czasach nietylko trzeba było uczyć i pomagać w nauce dzieciakom — trzeba im było także wody na kąpiel przynieść z ulicy. Czyniły to harcerki wespół z wychowawczyniami i innymi przyjaciółmi ochronek.

Taki był mniej więcej udział harcerek w bohaterskich walkach Lwowa o przynależność do Rzeczypospolitej. — Było wówczas we Lwowie 396 harcerek w siedmiu drużynach, większość stanowiły dziewczynki od 12 do 15 lat.

Artykuł ten nie jest ani pełnym, ani dokładnym obrazem prac harcerek. Nie odbierano wtedy żadnych pisemnych raportów, jedynym sprawdzianem wartości pracy były żądania władz o dalsze przydziały harcerek przedewszystkiem do służby sanitarnej i gospodarczej.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że pracy wykonano więcej i liczniejszemi rękami, niż możnaby to wnosić na podstawie wymienionych nazwisk. Cóżby bowiem — jak mówią w harcerstwie — robić miała buchalterja niebieska, jeśliby człowiek wszystkie czyny ludzkie umiał odpowiednio „zaksięgować".

Lili Mokłowska-Dobranicka.

W SŁUŻBIE SANITARNEJ.

31 października 1918 roku wróciłam ze szczepienia ospy w powiecie krośnieńskim, nie przypuszczając, że się zanosi we Lwowie na zamach ukraiński. Nazajutrz, 1 listopada, wybrałam się najspokojniej na grób ojca, na cmentarz Łyczakowski. Zdziwiona byłam pustką na ulicach. Dochodząc do cmentarza, słyszałam pojedyńcze strzały karabinowe. Uciekający chłopak tłumaczył mi natarczywie, żeby nie iść dalej, bo, jak mówił, przed chwilą zabłąkana kula zabiła przy bramie wdowę, idącą z małemi córeczkami. W mieście już dowiedziałam się, że Ukraińcy obsadzają Lwów. Bliższych szczegółów udzielił mi wieczorem brat peowiak, który chodził do Rzęsny Polskiej, wysłany z rozkazem do oddziału artylerji, złożonego z Polaków.

2 listopada wybrałam się do Ligi Kobiet. Właśnie wydawano rewolwery dla oddziału P. O. W., w którym był mój brat. Chciałam przejść z nimi na „polską stronę", ale brat żądał, abym zgłosiła nasze mieszkanie przy ulicy Obertyńskiej jako punkt opatrunkowy. Leżało bowiem prawie „na granicy", twierdził więc, że z pewnością będą tam ranni. Posłuchałam go. Dostałam w Lidze nieco opatrunków, resztę dokupiłam, urządziłam jeden pokój jako opatrunkowy, w drugim przygotowałam 4 łóżka. Matki nie było wówczas we Lwowie, byłam w domu sama z małym podówczas bratem, miejsca było więc dość. Zaczęłam skupowywać, gdzie mogłam, mąkę, kaszę, chleb i cukier (bardzo trudne wtedy do zdobycia we Lwowie) oraz opał, aby móc zapewnić utrzymanie ewentualnym rannym.

3-go czy 4-go listopada dowiedziałam się, że w bliskiem sąsiedztwie urządziła i zgłosiła p. Sobierańska podobny punkt, o tyle lepszy, że syn jej skończył medycynę i miał praktykę w szpitalach chirurgicznych. Ja zaś miałam za sobą tylko rok medycyny i 3 lata pielęgniarstwa chorych epidemicznych.

Kiedy wezwano mnie do rannego przy ul. Świętego Marka, zwróciłam się o pomoc do dr. Sobierańskiego. Poszliśmy, biorąc ze sobą jeszcze jednego kolegę. W ciasnym pokoiku zastaliśmy młodego mężczyznę ze strzaskaną szczęką, właściciele mieszkania wnieśli go z ulicy, nie zważając na strzały.

Nadszedł 5-ty listopada. Siedzenie w domu było więcej niż przykre, a okazywało się bezcelowe. Zgłosiłam więc w Lidze Kobiet, że przechodzę „na polską stronę". Braciszka zostawiłam w domu pod opieką dawnej nauczycielki. Panna Zitta, austrjacka Niemka, przywiązała się bardzo do Polaków i Lwowa.

Spokojna o dom, poszłam w górę ulicą Stryjską wśród bezładnej strzelaniny. Niedaleko Szkoły Kadeckiej spotkałam grupkę osób, którym udało się przejść przez park Kilińskiego i dalej szliśmy razem. Przy bramie Szkoły Kadeckiej niemłody już „obrońca Lwowa" powiedział nam, że Polacy drugi raz zajmują Szkołę, bo w nocy musieli ją opuścić, nie mając dość ludzi do jej utrzymania. Są zmęczeni i głodni. Zawróciłam więc do domu, ażeby przynieść coś do jedzenia.

Panna Zitta obeszła swoje znajome zamożne domy, wyprosiła kaszy, słoniny, mąki; nagotowałyśmy jedzenia, sąsiedzi dali spory woreczek jabłek i kociołek kartofli ze skwarkami. We czwórkę z p. Zittą, jedną z jej uczenic oraz służącą sąsiadów, która uparła się, że pójdzie z nami, zaniosłyśmy gorącą jeszcze strawę.

Pożegnawszy towarzyszki, zgłosiłam się do służby w Sanitarjacie. Składał się on z absolwenta medycyny Wł. Koskowskiego, jako dowódcy, Maryli Prokopowiczówny, również absolwentki med., ich kolegi, Tyszki i studenta Techniki, Czartoryskiego, któremu wada słuchu nie pozwoliła służyć w linji. W parę dni po mnie przyszły do pracy dwie pielęgniarki z Sanatorjum Czerwonego Krzyża przy ul. Łyczakowskiej, p. Leniecka (Basia) i p. Stembartówna (Dziucha). Stosunki służbowe były bardzo „cywilne" i szanowny d-ca wraz z podkomendnymi mył menażki i zamiatał sale. A nie była to robota ani lekka ani przyjemna, bo trudno opisać brud, który zostawił po sobie oddział świerzbowy szpitala austrjackiego. Na szczęście, przez jakiś czas nie mieliśmy rannych, chociaż Ukraińcy dość często ostrzeliwali Szkołę szrapnelami, a „poważni" obrońcy Lwowa — między innymi mój braciszek (którego po paru dniach przyprowadziłam z domu) — polowali na gorące jeszcze „zegary".

Codziennie zgłaszali się do nas chorzy, którym do wyzdrowienia trzeba było tylko pożywniejszego jedzenia i snu w ciepłej izbie, tak bardzo byli wyczerpani. Sporo też było odmrożeń. Co wieczór odnosiłyśmy z Marylą raport dzienny dr. Kalinie do Domu Techników przy ul. Issakowicza. Komitet pań żywił wspaniale tamtejszą załogę i gości z odcinków. Widziałyśmy nawet „na własne oczy", że tam podają jedzenie na talerzach. Nic dziwnego, że w Sanitarjacie u dr. Kaliny można było wyprosić kiełbasę, chleb, a nawet wino. W Szkole bowiem kuchnia była najmniej fachowym oddziałem naszego bardzo jeszcze niefachowego wojska. Prócz okraszonego pęczaku, stale suro-

wego, ale zato mocno przypalonego, okraszonego mięsem, które wystarczyło raz widzieć w stanie surowym, aby przestać być głodnym, niczego nie dawano. Pacjentów dożywialiśmy więc prowjantami, zdobytemi przeważnie od dr. Kaliny, choć nie zawsze za jego wiedzą.

Któregoś dnia (daty nie pamiętam) dostaliśmy ku wielkiej radości rozkaz towarzyszenia wyprawie do wsi Sokolniki, którą Ukraińcy podpalili i ostrzeliwali. Miało tam być wielu poparzonych i rannych. Niestety, wyprawa nie dotarła poza wał toru kolejowego na Persenkówce, ponieważ Ukraińcy mieli w domku koło stacji dobrze wstrzelaną maszynkę, której ogień był wystarczającą zaporą dla naszych młodziutkich chłopaków, wyprowadzonych po raz pierwszy z poza chroniących murów Szkoły, zbyt mało było „starych" legunów, ledwo ich na szarże starczyło. Oprócz nich, byli przeważnie chłopcy jeszcze w uczniowskich mundurkach. Poleżawszy dość długo na łące, pod torem, wróciliśmy do swej „twierdzy". W czasie tego nudnego leżenia, Sanitarjat w komplecie zbierał stokrotki, wesoły i roześmiany, bo ubawiony tremą naszych dzieciaków.

Bywały jednak dnie zupełnie niewesołe. Kiedyś Koskowski i Baśka Leniecka poszli do willi, leżącej po stronie Persenkówki pomiędzy linjami, dowiedziawszy się od patrolu, że tam leży chory. Zastali staruszka ciężko chorego i siostrę jego żony. Trup żony leżał od kilku dni w kuchni. Zabił ją zupełnie bez powodu żołnierz ukraiński, jeden z tych, którzy rekwirowali w willi żywność, rzekomo szukając Polaków. Baśka i Koskowski wykopali koło domu grób i pochowali biedaczkę, a w ciągu następnych dni zanosili żywym prowjant i leki.

Najcięższym dniem w Szkole Kadeckiej był 17 listopada. Ukraińcy zaatakowali niespodzianie o świcie od strony parku Kilińskiego. Opowiadano potem wśród załogi, że byliby zaraz w pierwszym impecie sforsowali bramę, gdyby nie zamieszanie, które wywołały wśród nich strzały, padające z tyłu i krzyki „hura". Była to kol. Tynikówna z jeszcze jednym legunem, którzy pełnili służbę na wysuniętej do parku wedecie. Głogowski z małym oddziałkiem wypadł przez bramę i przegnał Ukraińców wdół ku miastu, zajmując przytem w parku biwak z dużą ilością broni. W ciągu dwu godzin mieliśmy trzech zabitych i kilkunastu rannych. Nie byłam przy zakończeniu walki, bo w czasie, kiedy opatrywałam ciężko rannego Ukraińca u zbiegu ulic Zyblikiewicza i św. Zofji, nasze patrole cofnęły się i dostałam się do niewoli.

Podczas mego pobytu w niewoli, zauważyłam wielką różnicę pomiędzy ideowymi strzelcami siczowymi, podobnymi zapewne do naszych legunów, a hołotą z wojsk zaborczych. Chorąży siczowy miał przesiąknięty krwią bandaż na dłoni i czole, ledwie dyszał ze zmę-

Pomoc sanitarna w czasie obrony Lwowa.

czenia, ale pełnił służbę jeszcze nazajutrz, kiedy mnie zwolniono. Jemu zawdzięczam, że żołnierz z jego patrolu nie uderzył mnie kolbą po raz drugi, że nie zastrzelił mnie z rewolweru „bohaterski" lejtnant austrjacki, zaraz przy koszarach przy ul. Jabłonowskich i że tego nie uczynił drugi podobny „bohater" w drodze do więzienia przy ul. Kurkowej.

W zimnej, bez szyb, izbie zastałam cztery kurjerki, aresztowane za przechodzenie linji. Nazwisk ich, niestety, nie pamiętam. Tu też dokuczali nam austrjaccy landsturmiści, opowiadając o rzekomych ukraińskich zwycięstwach i szykanując nas na każdym kroku. Dopiero audytor siczowego Sądu Polowego, który nas przesłuchiwał, dowiedziawszy się, że drzwiczki z pieca wyjęto i że nie dano nam opału, ani obiadu, zrobił awanturę i sam dopilnował oddania drzwiczek, przyniesienia drzewa i gorącej zupy. Przyniósł mi nawet aspiryny, bo apteczkę mi odebrano, a od kilku dni miałam grypę i w mundurze, przemoczonym krwią rannego, przemarzłam niemiłosiernie. Protokół zredagował sprawiedliwie i bezstronnie; natychmiast zarządził sprawdzenie, czy rannym, opatrywanym przeze mnie, był żołnierz ukraiński.

Na drugi dzień zwolniono mnie, proponując mi równocześnie objęcie służby w którymś z ukraińskich szpitali. Ale że, naturalnie, chciałam wrócić do swoich, powiedziałam więc, że przykro mi byłoby zostać tu, tem bardziej, że moi uważają mnie pewno za zabitą. Nie nalegano więcej. Dostałam zpowrotem swoją apteczkę, prosili mnie tylko o zostawienie jodyny, której im pono brakowało. Na zapytanie, dokąd mają mi wystawić glejt, podałam ul. Issakowicza, nie będąc pewna, czy nasi zdołali się utrzymać w Szkole Kadeckiej. Byli tak rycerscy, że dali mi nawet eskortę, żebym, idąc w mundurze, nie była, jak dnia poprzedniego, narażona na niebezpieczeństwo. Ten sam chorąży strzelców siczowych odprowadził mnie do połowy drogi poza placówki ukraińskie. Glejt[1]) ten zachowałam na pamiątkę rycerskości przeciwnika.

18 listopada było zawieszenie broni. W Szkole Kadeckiej mimo zwycięstwa było cicho i ponuro. Z załogi sześćdziesięciu kilku ludzi ubyło przeszło dwudziestu. Najdotkliwszą stratę stanowiła śmierć Głogowskiego, legjonisty, który był duszą obrony Szkoły. Kiedy jego zabrakło, nie było nawet komu schować pod dach zdobytych kara-

[1]) Oto jego brzmienie: „Antonina Mokłowska, sanitetka z widznakoju czerwonoho chresta po wysłuchanju wypuszczena na wilnist' może udaty sia na ul. Isakowycza. Lwiw, 18/XI.1918 — podpis — nacz. Sudu Połewoho. Pieczęć.

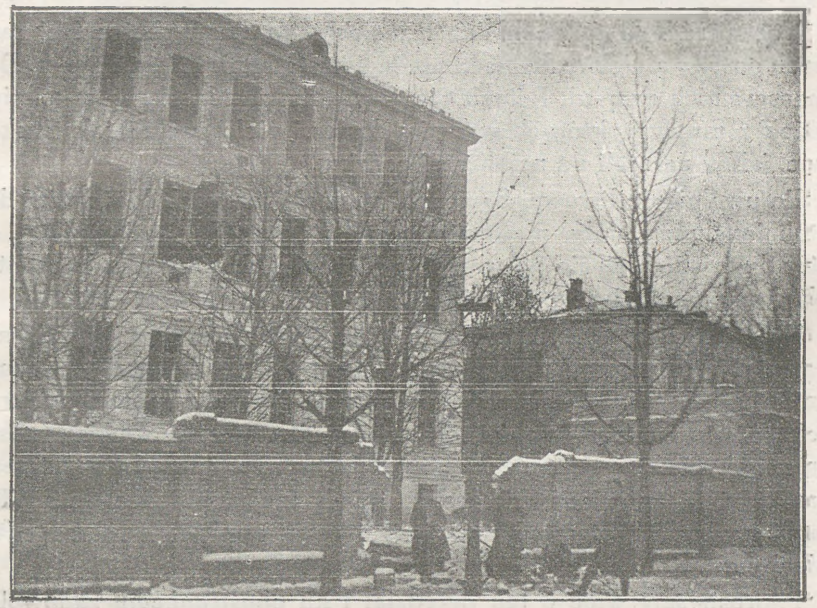

Szkoła Kadecka.

binów: stały jeszcze na tym samym wozie, grubo przysypane śniegiem.

Po pogrzebie poszłyśmy na Technikę odwiedzić naszych rannych. Szpital ten odziedziczył całą obsługę austrjacką wojennego autoramentu. Chory mógł żyć albo nie żyć, mógł mieć łóżko prześciełane, ale tylko w dniu opatrunku, musiał podnosić się sam, kiedy powinno go się było ostrożnie podnosić. Cała „troskliwość" ograniczała się do tego, by koce leżały równo na łóżkach i by posadzka doskonale świeciła. Oczywiście, były tam również i dobre pielęgniarki, ale przecież tylu ciężko rannych, skazanych było na leżenie na tamtych salach.

Technika była przepełniona i znalazły się domy, które lżej rannych gościły u siebie. Jednego np. legjonistę odnieśliśmy do p. p. Domaszewskich przy ul. Potockiego. Było tam wtedy chyba z dziesięć łóżek z rannymi, których wszyscy domowi pielęgnowali tak troskliwie, jakby należeli do najbliższej rodziny.

Po uwolnieniu Lwowa, Sanitarjat nasz się rozsypał. Mężczyźni dostali inne przydziały, niewiasty „wisiały" przy Sanitarjacie 1 p. p. strz. lwowskich, gdzie pełno było pań z miasta i niewiele do roboty. Na front nie chciano nas puścić.

Wreszcie 5-go grudnia, kiedy Bóg wie po raz który, próbowałyśmy szczęścia, trafiłyśmy w Szefostwie Sanitarnem na następującą scenę: szef sanitarny był nieobecny, a adjutant, Maryli znajomy, odbierał telefoniczny rozkaz wysłania patrolu sanitarnego do Dublan, gdzie są ranni, pozbawieni opieki. „Skąd ja wytrzasnę medyka i trzech sanitarjuszy" powiada do Maryli, „kiedy medycy siedzą po szpitalach, trudno ich stamtąd wydobyć, a mam wysłać patrol o godzinie 3-ciej".

Poprosiłyśmy więc o ten przydział i ku obustronnemu zadowoleniu dostałyśmy odrazu wszystkie potrzebne papiery: Maryla jako d-ca patrolu, Baśka i ja jako sanitarjuszki, trzecią była jakaś Czeszka, źle mówiąca po polsku, ale odważna i mocna, jak maszyna. Przez czas wojny światowej była stale na punktach opatrunkowych pierwszej linji i mimo, że kilka razy ranna, nie mogła słuchać strzelaniny, „siedząc na hinterlandzie". Konie, wóz i materjały sanitarne dała Technika i wyruszyłyśmy w drogę na Zboiska.

Mróz był silny, wóz skrzypiał. Chude koniska ledwie się wlokły, więc, mimo pośpiechu, posuwałyśmy się wolno. Przed Zboiskami minął nas wóz, otoczony żołnierzami. Zapytywali nas, kto jesteśmy. „Patrol sanitarny do Dublan", „Rychło wczas", zawołał któryś — „wieziemy zwłoki kpt. Starcka. Ranny w nogę, umarł z upływu krwi".

Gorzko nam się zrobiło. Więc tyle trzeba było łazić i prosić, zanim dostało się ten przydział, a tu były oddziały bez sanitarjuszy i najdzielniejsi ludzie ginęli z braku opatrunku!

Późnym wieczorem dowlokły biedne koniska wóz do Zboisk. Stała tu artylerja, której dowódca nie puścił nas do Dublan ze względu na podchodzące patrole ukraińskie.

Rano 6 grudnia uciekły z Dublan nasze tabory, ostrzeliwane gęsto z Laszek Murowanych. Odesłałyśmy więc wóz zpowrotem do Lwowa i, rozdzieliwszy bagaż między siebie, poszłyśmy naprzełaj przez pola. W Dublanach przygotowywano odwrót. Ukraińcy bili salwami armatniemi, budynki wyglądały żałośnie. Z rozbitej rury wodociągowej na 1 piętrze lała się woda, zalewając pracownie i sale wykładowe. Rannych i to niezbyt ciężko było, na szczęście, tylko trzech. Owinięto ich w koce internatowe i ułożono na wozach amunicyjnych. Z nastaniem zmroku załoga w zupełnej ciszy opuszczała otoczone z trzech stron Dublany, kierując się na Zboiska przez pola, bo droga była już zajęta. Wozy w głębokim śniegu utknęły, trzeba więc było nieść rannych i bagaż sanitarny. Maryla i Baśka z żołnierzami zajęły się rannymi, my z Czeszką byłyśmy tak obładowane, że do dziś pamiętam, jak ostatnim wysiłkiem woli wlokłyśmy się w tyle kolumny, pozostając same z kilku maruderami w ciemnem, pustem polu.

Nie wiedząc, którędy pomaszerowała kolumna, skręciłam na drogę, którą przyszłyśmy rano i trafiłam akurat na placówkę Legji Oficerskiej. Kolumna zaś poszła inną drogą na folwark Malechowski i Maryla, nie mogąc się doczekać mego przybycia, udała się z wysłaną po nas strażą, mimo, że nie mniej była zmęczona. Drugi to już raz narażała się dla mnie, bo w listopadzie, kiedy dostałam się do niewoli, przeszukiwała silnie ostrzeliwany park Kilińskiego, obawiając się, czy nie leżę tam ranna lub zabita.

Postanowiłyśmy nie wracać do miasta. Czeszka odwiozła rannych, a Maryla zameldowała się z Baśką i ze mną w Zboiskach. Cały następny dzień spędziłyśmy przy baterji, strzelającej z gościńca, nosząc „na rozgrzewkę" amunicję do dział, w braku (na szczęście) fachowego zajęcia.

Późnym wieczorem dostałyśmy rozkaz pójścia do Malechowa z plutonem piechoty, który tam maszerował. Żołnierze witali nas niemal owacyjnie, bo dotychczas nie mieli „łapiduchów". Pluton ten należał do oddziału warszawskiego, którego rdzeń stanowiła skąpa kompanja wehrmachtowców, zwana „szturmówką".

Były prócz tego dwie kompanje piechoty i osobny oddziałek karabinów maszynowych. Całość, zwana szumnie „grupą", zmienia-

jąc nazwę zależnie od chwilowych dowódców, dotrwała jako samodzielna jednostka aż do wojny bolszewickiej. Oficerowie przyjęli nas niechętnie, nie kryjąc bynajmniej niezadowolenia, ale, kiedy z dwoma żołnierzami wydobyłyśmy rannego z opuszczonej chałupy tuż przed placówkami ukraińskiemi, przekonali się, że nadajemy się do wojska i nazajutrz nasz dowódca załatwił we Lwowie drogą służbową nasz stały przydział.

Nasza „grupa" została skierowana do Przemyśla, stamtąd marszem do Hermanowic. Pierwszy raz byłyśmy tu z oddziałem w bitwie i czułyśmy się pokrzywdzone, bo kazano nam zostać przy rezerwie. Później los okazał się dla nas łaskawszy. Przedzieraliśmy się bowiem przez teren zajęty przez Ukraińców, których koło zamykało się zaraz za nami, tak, że z natury rzeczy musiałyśmy iść w szeregu. Rzecz weszła w zwyczaj i odtąd w bitwie szłyśmy zwykle każda przy swojej kompanji.

W następnej wsi, Niżankowicach, zatrzymaliśmy się 5 dni. Maryla przyjmowała chorych. Widziałyśmy tam zwłoki sanitarjuszki, zabitej dzień przed naszem przyjściem. Jakiś oddział cofał się przed Ukraińcami, jeden z żołnierzy padł, sanitarjuszka została, myśląc, że ranny. Dostała lekki postrzał w szczękę, co gorsza, dopadli ją Ukraińcy. W jakimś chlewku zobaczyłyśmy jej zwłoki, przebrane w okropne gałgany obok trupa żołnierza, przy którym się zatrzymała, aby spełnić obowiązek sanitarjuszki. Miała złamany obojczyk, pokłute bagnetem bose nogi, otwarte oczy i usta. Chłopki ruskie żałowały jej bardzo i opowiadały straszne rzeczy o swoich żołnierzach. Jakiś Komitet w Przemyślu pochował biedactwo z honorami. Czytałam nazwisko, lecz dziś go nie pamiętam. Od tego czasu postanowiłyśmy mieć przy sobie rewolwery.

Bez bitew maszerowaliśmy na Dobromil i Chyrów wśród innych oddziałów pod dowództwem gen. Zielińskiego. 23 grudnia byliśmy zpowrotem w Przemyślu. Wieczorem wyjechaliśmy do Gródka Jagiellońskiego. Przed wyjazdem mianowano Marylę podchorążym, Baśkę i mnie kapralami.

W słoneczny dzień szłyśmy z Gródka przez pola, po głębokim śniegu, wśród ciągłej strzelaniny. Od jednej serji maszynki miałam dwóch rannych i jednego zabitego. Kończyłam właśnie opatrunki, kiedy nasi byli już we wsi. Marylę zastałam ranną w zajeździe, w którym miało kwaterę Dowództwo. Baśka opatrywała jej właśnie rękę: kula strzaskała kość tuż nad stawem nadgarstkowym. Przed odjazdem do Lwowa, Maryla dzieliła się opłatkiem z oficerami i szeregowymi. Odwiozła ją Baśka. Po ich odjeździe, po odśpiewaniu kolend i po wilji, składającej się z rosołu z mięsem i śledzia z chlebem, dowódca

oddziału, kpt. Jaklicz, obszedł wraz ze mną wszystkie placówki i wedety, dzieląc się ze wszystkimi opłatkiem. Nikt się tego nie spodziewał i może dlatego wrażenie było tak silne.

Następne dni mijały w ciągłych potyczkach. Oddział nasz zależał od większej grupy, mającej za zadanie rozluźnienie od strony południowo-zachodniej pierścienia ukraińskiego, zaciskającego się dokoła Lwowa. W skład naszej grupy wchodził Warszawski Bataljon Akademicki. Akademicy, idący gęstą linją i dość wolno po zaśnieżonem polu, mieli duże straty. Nasi oficerowie prowadzili rzadką linję biegiem, bez padania, zatrzymując na moment do wystrzelenia magazynku. W biegu ładowali żołnierze następne. Mieliśmy tylko dwu lekko rannych i jednego, który dostał wstrząsu nerwowego no bliskim wybuchu szrapnela.

26 grudnia byliśmy w Stawczanach. Wieczorem wybuchła strzelanina i nasz oddział, wyrwany z kwater, biegł w ciemnościach wśród płoszących się koni jakiejś artylerji i taborów. Dobiegliśmy do folwarku, kiedy już był spokój. Na folwarku stał znów oddział akademicki. Mieli moc rannych. W dwu pokojach leżeli pokotem na słomie, a w kuchni jakiś biedak ze strzaskanem ramieniem. Ktoś opatrzył mu to ramię, ale słabo, bo bez założenia szyny. Na szczęście nosiłam zawsze przy tornistrze kilka drucianych szyn. Oddział ten miał porządnych „łapiduchów" i felczera, ale też miał duże straty, tak, że zaczynało im brakować opatrunków. Przydała się też moja strzykawka i ampułki z morfiną i kamforą. Pierwszy raz widziałam tam rany od ekrazytówek. Wyglądały tak strasznie, żem się nie zgorszyła wcale, patrząc, jak w chwilę potem jakiś mały żołnierzyk uderzył w twarz jeńca, ogromnego draba w papasze, krzycząc: „Wy — syny, ekrazytówkami strzelacie"!

27 grudnia Obroszyn był zajęty przez kpt. Jaklicza od strony, od której się Ukraińcy najmniej nas mogli spodziewać i tak szczęśliwie, że mieliśmy zaledwie trzech lekko rannych. Miejscowość tę zajmowaliśmy już po raz drugi. Poprzedniego dnia opuścił go oddział, który był mimowolnym sprawcą wczorajszego zamieszania w Stawczanach. Ja pozostałam z rozkazem zabrania trzech naszych rannych. Dwu z nich było razem ze mną na plebanji, trzeciego mieli mi z końca wsi przywieźć sanitarjusze.

Tymczasem zaczęła się niewielka, ale bezładna strzelanina. Jacyś dwaj kawalerzyści wpadli kilkakrotnie na plebanję, nagląc mnie do opuszczenia wsi, która za chwilę miała zostać bez obrońców. Widząc, że nie mam ani koni ani sań, zaprzęgli ci poczciwi chłopacy swoje wierzchowce do sań księdza i w ten sposób wywieźliśmy rannych. Zostałam jeszcze na skrzyżowaniu dróg, czekając na wy-

słanych sanitarjuszy. Kpt. Jaklicz dowiedziawszy się w Zimnej Wodzie od odesłanych rannych o mojem położeniu, przysłał po mnie patrol. Okazało się, że sanitarjusze zabrali rannego i, nie wstępując na plebanję, pojechali wprost do Zimnej Wody.

28 grudnia weszło do Lwowa moc wojska, w tem i nasze 3 kompanje. W celu podniesienia ducha lwowian kazano temu wojsku defilować po całem mieście, przyczem nas z Baśką pozdrawiano owacyjnie, jako „dzielne warszawianki".

Odwiedziłyśmy w Sanatorjum Czerwonego Krzyża ranną Marylę. Stan jej ręki pogorszył się, a że ze Lwowa i tak o ile możności odsyłano rannych, robiąc miejsce dla innych, odwiozłam ją do Warszawy. Do Krakowa jechałyśmy całą dobę pociągiem sanitarnym. Był elegancko urządzony, ale obsłużony marnie.

W Krakowie zabrałam swą ranną do pociągu pośpiesznego, gdzie w przedziale kurjerskim było jej o wiele wygodniej. W Warszawie dała nam się we znaki popularność Lwowa. Nawet w kościele otaczano nas natrętnie, mówiąc wzniosłości, które nas śmieszyły i drażniły.

Wracając, dowiedziałam się w Przemyślu, że oddział nasz stoi koło Mszany. Tam w Bartatowie zastałam Baśkę, ale na drugi dzień i ona została ranna. Jednak wróciła szczęśliwie po paru tygodniach i znów byłyśmy razem przy oddziale aż do momentu, gdy gen. Iwaszkiewicz wydał surowe rozkazy, zabraniające kobietom służby na froncie. Rozkaz ten, zresztą, przyszedł w samą porę, bo na naszym odcinku pozycja się ustaliła i straty należały do rzadkości. Lwów był blisko, kolej funkcjonowała. Nasza służba ograniczała się więc do obsługiwania telefonów. Wolałyśmy tedy wrócić do pracy szpitalnej. Tak też uczyniłyśmy w marcu. Basia wróciła do Sanatorjum Czerwonego Krzyża, ja zaś dostałam się na Technikę.

Helena Waniczkówna.

„GŁOS POLSKI".

(Garść wspomnień z czasów obrony Lwowa).

Od pięciu dni szalała na ulicach Lwowa krwawa walka z najazdem ukraińskim.

Linja bojowa podzieliła Lwów na dwie części: jedną, szczęśliwszą, polską, gdzie życie szło torem prawie normalnym i drugą, pozostającą w rękach ukraińskich, która musiała, zewnętrznie przynajmniej, ulec terorowi. Ulice opustoszały, bramy domów i sklepy pozamykane, ludzie wygłodniali, z powodu odcięcia dowozu żywności ze wsi okolicznych.

Po zapadnięciu zmroku, gdzie niegdzie tylko przemykała się ulicami samotna postać zapóźnionego przechodnia. O g. 6-tej wieczór nie wolno już było wychodzić z domu bez posiadania specjalnej przepustki ukraińskiej, wydawanej tylko Ukraińcom. Nieraz, zmuszona wracać później do domu, biegłam z bijącem sercem pod ścianami domów, lękając się więcej odgłosu kroków w zamarłej ulicy, aniżeli „śpiewających" kul. Raz nawet napotkałam patrol ukraiński. Mały wózek wypełniony był szczelnie żołnierzami z najeżonemi bagnetami. Widocznie nie czuli się pewnie w zajętem podstępnie mieście i z każdego zaułka spodziewali się zasadzki.

Oprócz głodu oraz obawy o życie i mienie, gnębiła ludność obawa o ukochany Lwów, to ognisko myśli i kultury polskiej.

Największą jednak męką pierwszych, beznadziejnie długich dni był brak wiadomości o tem, co się dzieje na linji bojowej, co słychać w wolnej części miasta i jak się odnosi Polska do faktu niespodziewanego zagarnięcia Lwowa. Czy przyjdą posiłki? Jakie są losy innych miast kresowych. Jaki jest dalszy przebieg pełnych wagi wypadków na terenie wojny i dyplomacji?

Dnia 6 listopada, rano, zdemolowali żołnierze ukraińscy drukarnie pism polskich: Kurjera Lwowskiego, Gazety Wieczornej, Wieku Nowego i Gazety Codziennej, doręczając zarazem redakcjom rozkaz, zabraniający wydawania i rozpowszechniania tych pism pod grozą sądu wojennego. Następnego dnia zdemolowano urządzenie kawiarń Romy i Szkockiej oraz zamknięto inne kawiarnie w mieście.

W ten sposób zostali mieszkańcy ukraińskiej części Lwowa pozbawieni wszelkich wiadomości i informacyj. Wychodzące we Lwowie dwa pisma ukraińskie: „Diło" i „Ukraińskie Słowo" oraz żydowska „Neue Lemberger Zeitung" siały tylko zwątpienie i obrażały uczucia Polaków.

Jak przerwać to groźne milczenie, jak podtrzymać ducha, jak dementować insynuacje ukraińskie i uspokoić tych wszystkich, którzy mają na froncie lub z drugiej strony frontu swych najdroższych, jak wreszcie skupić się do wspólnej akcji?

Oto myśli ,które snuły mi się po głowie, gdy, w dniu 6 listopada, wśród grona towarzyszek pracy w Komitecie Obywatelskim (dawna Liga Kobiet), podałam myśl wydawania jakiegoś, choćby najskromniejszego biuletynu o wypadkach dnia po ukraińskiej stronie Lwowa. Myśl ta podchwycona została z entuzjazmem. Obok akcji samarytańskiej i kurjerskiej, podjętej od pierwszych chwil walki, uznałyśmy zrealizowanie planu wydawania polskiego biuletynu za najważniejsze zadanie w obecnej sytuacji.

Urzeczywistnienie projektu wydawania pod bokiem Ukraińców, po ich stronie miasta, wrogiego dla nich biuletynu wojennego było jednak rzeczą trudną i prawie niemożliwą do wykonania. Udałam się o pomoc do przyjaciółki mojej Bogumiły Ancówny[1]), redaktorki „Gazety Wieczornej". Wiedziałam, że nietylko jako fachowiec, ale jako człowiek wielkiej odwagi i bezwzględnej gotowości do ofiary dla dobra sprawy narodowej, podejmie się tej pracy.

Cudownym zbiegiem okoliczności i ona, nic nie wiedząc o naszych planach, przemyśliwała nad tem samem. Zawarłyśmy tedy spółkę: Ancówna dała nam do dyspozycji lokal „Gazety Wieczornej", maszyny do pisania i swą zawodową umiejętność redagowania pisma, „Komitet Obywatelski Polek" podjął się dostarczania przy pomocy kurjerek komunikatów Naczelnej Komendy Wojsk Polskich we Lwowie i tajnej Komendy Wojskowej polskiej po ukraińskiej stronie frontu, oraz kolportowania tego pisma wśród Polaków.

Pozostała do załatwienia sprawa papieru i maszyny drukarskiej. Papier uzyskałyśmy z Polskiego Towarzystwa Wydawniczego, instytucji stworzonej przez lwowskie koło Ligi Niezawisłości dla zamaskowania jej politycznych zebrań i akcji. Stamtąd otrzymałyśmy także cyklostyl, zapomocą którego powielałyśmy następne numery. Pierwsze numery były pisane na maszynach i hektografach.

Nie tracąc czasu, zaczęłyśmy zaraz następnego dnia, t. j. 7 listopada, wydawać nasze skromniutkie pismo, zatytułowane „Głos Pol-

[1]) Zmarła w lutym 1923 roku.

ski". Forma jego zewnętrzna była więcej, niż skromna, ale chyba nie było wtedy na świecie pisma więcej wyczekiwanego, bardziej gorączkowo rozchwytywanego i sumienniej wyczytywanego.

Dwie strony arkusza były gęsto zapisane wiadomościami bieżącemi. Na wstępie numeru widniał komunikat Naczelnej Komendy Wojsk Polskich we Lwowie, podający wypadki wojenne ostatniej doby na froncie lwowskim i najbliższej okolicy. Następowała często ocena sytuacji wojennej, podawana przez tajną polską Komendę Placu po ukraińskiej stronie frontu. Telegraficznym stylem podawane były wiadomości polityczne z różnych dzielnic Polski i ta masa śpiesznie rozwijających się zdarzeń historycznych, składających się na powstawanie nowego porządku świata z gruzów rządów, opartych na przemocy i gwałcie.

Dalej szły komunikaty sanitarne, wiadomości o zarządzeniach ukraińskich, o próbach porozumienia się i pertraktacjach, wreszcie krwawa i pełna grozy kronika codzienna nadużyć Ukraińców: egzekucje nad jeńcami i aresztowanymi, strzały do przechodniów, rewizje i rabunki mieszkań oraz nieszczęśliwe wypadki wskutek zabłąkanych kul. Kronika ta miała swoisty charakter, dzięki konieczności zatajania nazwisk i adresów tak informatorów, jak poszkodowanych.

Przez 16 dni, t. j. aż do chwili odsieczy Lwowa wrzała praca około wydawania „Głosu Polskiego", jednocząca wysiłki kilku odrębnych grup pracowniczek. Kurjerki przenosiły przez front bojowy sobie tylko znanemi przejściami wieści na kawałkach papieru, ukrytych przemyślnie, czasem zaś cały numer Pobudki, jedynego polskiego dziennika, wychodzącego w polskiej części miasta, który był natychmiast eksploatowany dla naszej gazetki. Maszynistki z siostrami Krochównemi na czele obsługiwały 5 maszyn w lokalu Gazety Wieczornej i parę maszyn zakonspirowanych w sąsiednich domach, w mieszkaniach prywatnych. Hektograf i cyklostyl obsługiwały p. p. Z. Dobijanka, Noworytowa, Muszyńska w swoich mieszkaniach. Szereg osób jak p. p. Janina Jaworska, M. Kuryłowiczówna, Z. Krajewska, Waniczkówna Anna przenosiły bruljony lub gotowe numery do lokalu K. O. P. W redakcji czynne były: Ancówna, Jaworska Marja i ja. Wreszcie codziennie około g. 1-ej gromadził się w lokalu K. O. P. szereg pań, które z niecierpliwością czekając na wieści, zabierały po kilka lub kilkanaście numerów gazetki i zanosiły je na swoją ulicę. Tam doręczały lokatorom różnych domów, którzy znowu ze swej strony pożyczali je do odczytania współmieszkańcom danego domu. Gdy, po wprowadzeniu cyklostylu, liczba egzemplarzy „Głosu" doszła do kilkuset, p. Paleolog i inne dzielne kurjerki odważnie rozdawały je w kościołach lub restauracjach, nie bacząc, że

w razie, gdyby doniesiono o tem Ukraińcom, czekałby je za to sąd wojenny, a raczej kula w łeb bez sądu.

Cała ta praca nie należała wogóle do bezpiecznych, zwłaszcza, że nie można było zakonspirować jej należycie. Zbyt wiele osób wiedziało o tem, że w K. O. P. można dostać „pisemko". Nieraz osoby, nie znane nam nawet z widzenia, zgłaszały się do lokalu Gazety Wieczornej po gazetkę i gdy odpowiadałyśmy, że nic o żadnej gazetce nie wiemy, legitymowały się albo odchodziły głęboko urażone Najwięcej, oczywiście, narażała się Ancówna. Mieszkając sama jedna w lokalu redakcyjnym, opuszczonym przez wszystkich współpracowników Gazety Wieczornej, którzy przebywali wówczas po polskiej stronie miasta, brała na siebie całą odpowiedzialność za dokonywaną w lokalu redakcji robotę i narażała się tem samem na pewną śmierć, gdyby Ukraińcy dowiedzieli się o istnieniu „Głosu Polskiego". A było to bardzo prawdopodobne, jeżeli się uwzględni niezbyt ścisłą konspirację, sposób kolportażu, oraz fakt, że choć miasto dzieliło się na dwa zwalczające się obozy, to jednak izolacja jednostek obu narodowości nie była możliwą do przeprowadzenia, bo służba domowa rekrutowała się w wielkim procencie z pośród Rusinów i wiele rodzin było spokrewnionych z Rusinami.

Nie zdziwiłyśmy się przeto, gdy pewnego poranku, około 15 listopada, wpadła do redakcji jedna z zakonspirowanych współpracowniczek z otrzeżeniem, że ulica Sokoła, przy której mieściła się redakcja Gazety Wieczornej, jest z obu stron zamknięta przez wojsko ukraińskie i że najprawdopodobniej ma to na celu rewizję lokalu redakcji.

W mgnieniu oka na dany rozkaz, choć całkiem spokojnie, wyjęły maszynistki zaczęte artykuły z maszyn i opuściły lokal redakcji.

Marja i Janina Jaworskie oraz p. Kuryłowiczówna wyniosły maszynę, która nie była własnością redakcji. Pozostałyśmy z moją siostrą i Ancówną, aby wynieść najbardziej kompromitujące teksty. Nie udało nam się jednak skłonić Ancówny, by z nami wyszła. Uparła się, że zostanie na miejscu. Przytem schowała całe pakiety numerów „Głosu Polskiego" i innej przemycanej prasy za ścienne wieszadło, zasłaniające zamknięte drzwi. Z żalem i niepokojem zostawiłyśmy ją zatem na miejscu, aby wynieść na sobie kompromitujące papiery. Niedługo potem ukraińscy żołnierze istotnie zjawili się w redakcji i pytali o maszyny do pisania. Ancówna wyszła do nich, powiedziała z zupełnym spokojem, że są to maszyny redakcyjne i prosiła, by weszli do środka. Widocznie spokój jej przekonał ich o bezpodstawności podejrzeń, bo wycofali się bez sprawdzania.

Praca została podjęta na nowo, a wkrótce rozszerzyła się, gdy okazała się potrzeba dorywczego wydawania odezw do polskich wsi w okolicy, lub innych komunikatów i odezw do ludności.

Praca ta była gorączkowa, tak, że raz, pamiętam, musiałam bez przygotowania podyktować dla emisarjuszek, wychodzących na wieś, do polskich Sokolnik, spalonych i skatowanych przez żołnierzy ukraińskich, odezwę, pisaną przez pięć naszych maszyn odrazu.

Przyszedł wreszcie pamiętny dzień 21 listopada, gdy ochotnicze oddziały lwowskie, poparte regularnem wojskiem, przybyłem na ods' cz, poszły do ogólnego ataku oskrzydlającego, pod wodzą ppłk. Tokarzewskiego. Poranny atak dn. 21 zastał nas przy pracy nad ostatnim, 16 numerem „Głosu Polskiego".

Numer ten nie został ukończony z powodu zbliżania się linji bojowej i podnieconego do najwyższego stopnia nastroju w ukraińskiej stronie Lwowa. Wiedzieliśmy już wtedy wszyscy, że zbliża się decydująca chwila. Z szeregu jednak oznak, wierzyłyśmy z całą niezachwianą pewnością, że godziny naszej niedoli są już policzone i że wkrótce obie połowy miasta znajdą się pod jedną wspólną opieką polskich władz i polskiego oręża. Pamiętam, jak wyszedłszy z siostrą z redakcji „Głosu Polskiego" przy ul. Sokoła i dążąc do Izby Handlowej i Przemysłowej, gdzie miałam otrzymać pewne informacje od urzędującego tam Komitetu Obywatelskiego, byłam świadkiem, jak żołnierz ukraiński, widocznie zdenerwowany ostatecznie grozą sytuacji, stojąc na placu Akademickim, strzelał wzdłuż ulicy z karabina do przechodniów wychodzących z tego placu. Kryjąc się pod murami i wbiegając do wnęk bram, zdołałyśmy się wycofać z linji jego strzałów. W tym właśnie czasie i z rąk tego żołnierza padła na ul. Fredry dzielna kurjerka, p. Sulimirska.

Jakoż były to już ostatnie godziny inwazji ukraińskiej. W nocy z 21 na 22 listopada wycofały się w pośpiechu oddziały ukraińskie i władze przez rogatkę Żółkiewską. Mroźny i pogodny ranek piątkowy 22 listopada pozwolił nam wśród łez radości i niemilknących okrzyków i dziękczynień powitać zwycięskich żołnierzy naszych, wśród których widać było niejedną twarz kobiety lub dziecka.

Tegoż samego dnia po południu pojawiły się wszystkie polskie dzienniki z wyjątkiem „Kurjera Lwowskiego", który nie zdążył jeszcze naprawić zdemolowanych maszyn. Skromne nasze pisemko zostało zapomniane i żadne z pism nie wspomniało nawet o tym niepozornym ochotniku, który jednak obowiązek swój w najcięższych okolicznościach dobrze wypełnił.

O POLSKOŚĆ WILNA.

Apolonja Makowska.

W WILNIE.

Okupacja niemiecka, to najcięższe przeżycia Wilna, a zwłaszcza dla nas kobiet, związanych z miastem duszą, sercem i czynem. Prócz wszystkich niedoli wojny, głód straszny zawitał do naszych domów. Gospodynie, matki wystawały po wiele godzin, nieraz noce całe na mrozie, aby otrzymać porcję zupy z kuchni ludowej, lub ćwiartkę chleba, wypiekanego z grzybem drzewnym. Biegły one na krańce miasta po kęs koniny lub szczyptę soli, odbywały kilkomilowe wędrówki i w zamiennym handlu za suknię, broszkę lub obrączkę otrzymywały trochę zboża lub kartofli, które przynosiły na plecach, a skarb ten często na rogatce, lub u progu domu odbierał spotkany Niemiec. Więc szły znów w swoją drogę krzyżową, bo za tę cenę utrzymywały życie rodziny. Białe, spuchnięte z głodu, dzieci snuły się po ulicach i padały bezsilne. A rady nie było. Niemiec plądrował po naszych domach i zabierał ostatnią garść żywności.

Mimo tych najbliższych trosk, mimo stałej walki z grubjańską i brutalną przemocą niemiecką, wilnianki nie upadały na duchu. Troski materjalne nie pochłaniały ich sił moralnych. Pracują pojedyńczo i zbiorowo, łączą się w związki konspiracyjne i prowadzą robotę dobroczynną, społeczną i polityczną. W stowarzyszeniach mieszanych niosą wydajną pracę: „Komitet Pomocy Ofiarom Wojny" (Emilja Węsławska) „Opieka nad Młodzieżą Szkolną" (Jeleńska, Mohlówna). Tworzą dla młodzieży ogniska, „Komitet Pań", z księżną Ogińską na czele, dociera do największej nędzy, stawia w szpitalu łóżka dla rannych, prowadzi w tychże szpitalach pracę samarytańską.

W P. O. W. pracują i kształcą się przyszłe legjonistki i pomocnicza służba dla wojska.

Panie Maciejewiczowa, Rodziewiczowa, Świdowa tworzą szkoły polskie, w których prowadzą naukę bez środków materjalnych, bez książek, bez pomocy naukowych, których zdobycie przy Niemcach było niemożliwością. A w szkołach tych kształci się element dziwny, nerwowy, pochłonięty chwilą — prawdziwe dzieci wojny.

Otwierały się liczne szkoły powszechne, a nie było książek. Dziatwa biegała do księgarń, pytając: „Ci książki polskie jest?" Przy głuchym huku armat układają się elementarze, czytanki, wypisy dla dzieci i dla analfabetów dorosłych, które się rozchodzą w dziesiątkach wydań i tysiącach egzemplarzy.

„Liga Kobiet" (Stanisława Pietraszkiewiczówna) niesie pomoc żołnierzowi polskiemu, przekradającemu się z wojska rosyjskiego do Legjonów.

„Związek Patrjotek", który powstał pod hasłem połączenia Litwy z Polską, wysłał do Warszawy odpowiedni memorjał. Zbierał deklaracje na terenie Litwy historycznej z tysiącami podpisów: „Chcemy być z Polską". Wysyłał protesty, skargi do Rzeszy Niemieckiej, do Sejmu austrjackiego, do prezydenta Wilsona. Założył szkołę przemysłowo-gospodarczą, która, obecnie upaństwowiona, nosi nazwę swej założycielki, a ówczesnej prezeski Związku Patrjotek, Emmy Dmochowskiej, gospodę dla przyjezdnych włościan, gdzie dyżurujący członkowie przez rozmowy i pogadanki informowali i uświadamiali przybyłych. W tymże celu wydawano pisemko „Unja". Organizowano zebrania towarzyskie, t. zw. „czwartki polityczne", gdzie przy szklance cienkiej herbatki dzielono się wieściami, jakie przez kordony niemieckie przeniknąć zdołały. Związek bierze czynny udział w organizowaniu obchodów, nabożeństw, rozmaitych manifestacyj, jak np. w rocznicę mickiewiczowską, kościuszkowską, 3-go Maja. A gdy, po ogłoszeniu niepodległości, samorzutnie zorganizowany pochód z Katedry do Ostrej Bramy wstrzymała i rozproszyła salwa niemiecka, kobiety ratowały rannych, piersią osłaniając młodzież.

W 1917 r. otrzymano od niemieckich władz wojskowych pozwolenie postawienia krzyża na Górze Zamkowej, ku czci bohaterów, straconych przez Murawjewa w 1863 r. W kilka godzin po postawieniu niemieckie władze cywilne krzyż spiłowały. Trzy dni stała warta na miejscu tak „bohaterskiego" zwycięstwa przemocy niemieckiej nad krzyżem męczenników polskich, lecz czwartego ranka był na tem miejscu krzyż wielki, ułożony z cegieł.

Harcerki, ściśle zakonspirowane, działały w tej ciężkiej szarzyźnie życia, jak smuga świetlana. Na ustach miały piosenkę, w oczach pogodę, a ręce zawsze dla innych gotowe do pomocy. One to przy-

gotowywały przyszłe kadry samarytanek, zdobywały broń i rynsztunek wojenny, wydobywały z więzień niemieckich t. zw. „braci", „narzeczonych", ukrywały od zesłania na roboty do Niemiec chłopców naszych. Wszak z tego zesłania wracali ludzie, jak strzępy, zgnębieni, chorzy, z odmrożonemi rękami, nogami. W szpitalach leżały całe szeregi kalek bez stóp, bo stóp tych żaden lekarz wyratować nie potrafił.

Rozklejać na ulicy odezwy i proklamacje, drukować je w biurze niemieckim, zrobić w mieszkaniu „policaja" skład granatów, wywieźć z magazynów niemieckich w pożyczonej trumnie karabiny w sam dzień Bożego Narodzenia, to potrafi tylko tak zwana przez Niemców nieustępliwa „baba wileńska" i dziecko-harcerka.

A był ich legjon. Któż ich nazwiska wyliczy i poco? Wszak nie to jest ważne, jak się zwała, ale to, jaki udział brała kobieta w ogólnym czynie odrodzenia.

Naczelnik Państwa we Lwowie spytał kobiety: „co w historji odpowiecie dzieciom swoim, gdy was spytają: Matko, gdzie byłaś czasu wielkiej wojny, w tych dniach trwogi i męki, gdy się Polska do nowego życia budziła"?

„Naczelniku — odpowiemy śmiało: — Byłyśmy wszędzie, gdzie wołało serce i obowiązek, bo szłyśmy wpatrzone w jasną postać „Wodza Narodu". Polska była nam celem. — On — drogowskazem. Szłyśmy pogodne, bo wierzące, a że tam któraś osobiste szczęście i dolę straciła po drodze, to już taka wola Boża. Wszak to dla Polski i na Twój rozkaz".

Ewa Gulbinowa.

WILEŃSKIE HARCERSTWO ŻEŃSKIE.

Wejście Niemców do Wilna we wrześniu 1915 roku zastało drużyny harcerskie w rozproszeniu. Część dziewcząt, które wyjechały na wakacje, wskutek nagłego przesunięcia się linji frontu została najniespodziewaniej na lat kilka odcięta od Wilna. Inne uległy przymusowej ewakuacji wraz z rodzinami w głąb Rosji. Odczuwał się brak zwłaszcza sił kierowniczych. Trzeba było naprędce tworzyć nowe kadry zastępowych, aby zorganizować nowe, a licznie zgłaszające się do szeregów harcerskich dziewczęta.

Warunki polityczne zmienione zasadniczo były narazie temu rozwojowi drużyn harcerskich przychylne. Większa swoboda działania, możność odbywania wycieczek, urządzania uroczystych obchodów i zbiórek, noszenia mundurów dopomogły do utworzenia silnej i karnej organizacji. Z drugiej strony tworzące się szkolnictwo polskie i szybkie tempo przeżywanych wypadków, połączone ze wzrostem nadziei niepodległościowych, sprawiły, iż harcerstwo wzniosło się odrazu na wysoki poziom ideowy, wytworzyło siłę wewnętrzną, która mu pozwoliła przetrwać wszelkie próby.

Pierwsza, ale odrazu najcięższa i najdłużej trwająca próba nadeszła wkrótce.

Wilno, które w dniu okupowania przez Niemców nazywane było w urzędowych enuncjacjach „perłą w Koronie Polskiej" miało następnie w ciągu 3-ch lat ulegać brutalnej przemocy niemieckiej. Miało znosić wszelkie, coraz ostrzejsze ograniczenia, szyderstwo, aż do okrucieństwa posunięte, bezwzględność, upokorzenia, głód, a nadewszystko zupełne odcięcie od reszty kraju, całkowity brak wieści o tem, co się dzieje naprawdę.

Mimo to trzeba było żyć. Harcerstwo znowu stało się organizacją konspiracyjną. Każdy zastęp pracował oddzielnie, nie wiedząc

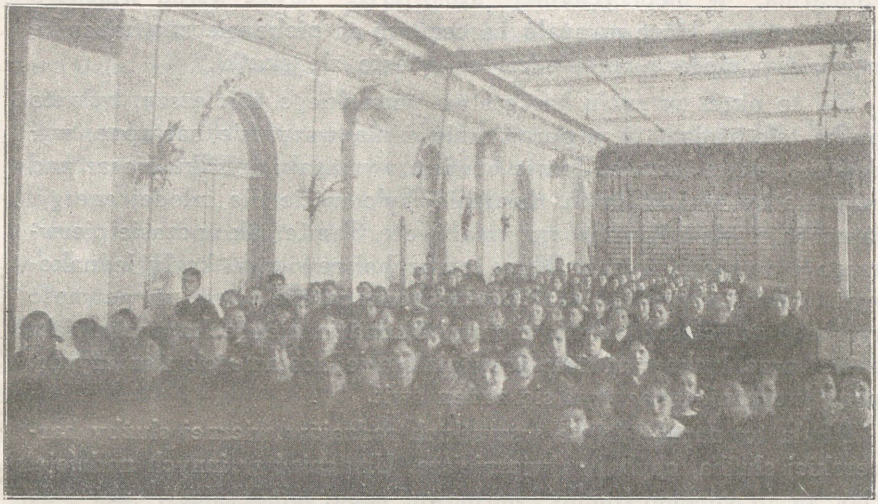

Harcerki Wileńskie.

o innych, w ciągłej trwodze przed czujnem okiem niemieckiego żandarma, w nieprzychylnej atmosferze, nawet wśród własnego społeczeństwa,które uważało harcerstwo za niebezpieczną zabawkę młodzieży, mogącą sprowadzić na miasto złe skutki.

Był to okres w życiu harcerstwa wileńskiego najcięższy, była to próba tak trudna, iż w porównaniu z nią wszystkie następne, wydają się lekkie i łatwe. Tamte bowiem wymagały wysiłku nieraz nad siły, ale był w nich ruch, działanie, było ujście dla młodej energji, ta próba niosła tylko bezczyn i martwotę. Tamte, jak w czasie pierwszego i drugiego zajęcia Wilna przez bolszewików, kryły jednakowoż, mimo wszystko, wiarę, przechodzącą nieledwie w pewność rychłego zwycięstwa nad wrogiem. Okupacja niemiecka pozbawiała nawet przebłysków nadziei, przygniatała jednostajnością i szarzyzną, poza którą nie ukazywał się żaden świt.

I była to, naprawdę, ze wszystkich rodzajów wiernej służby harcerskiej służba, chyba, najwierniejsza. Umacniać w innych nadzieję, choć się ją samemu traciło, normować zapał młodzieńczy, aby nie przygasł w przymusowym bezczynie, lub nie spalił się w jakimś porywie przedwczesnym, więc daremnym, przechowywać święty ogień w duszach na czas, który nadejdzie, nadejść musi, choć niewiadomo jeszcze kiedy.

Wszelka akcja nazewnątrz była powstrzymana. W oczekiwaniu na wielki czyn, który był przedmiotem najtajniejszych marzeń, trzeba było spełniać zwykłe, codzienne, szare obowiązki. I czekać.

Sytuacja pozornie zmieniła się na lepsze, ale właściwie nastręczała nowe trudności, może jeszcze większe, gdy w jesieni 1917 r. zaczęli pokazywać się od czasu do czasu legjoniści. Przybywali po kilku i na krótko, ale byli to pierwsi, żywi, prawdziwi żołnierze polscy, jakich Wilno widziało. Przywozili ze sobą wieści, mówili z zapałem o czynach wojennych polskiego oręża, mówili z miłością o Wodzu Naczelnym, o „Dziadku". Słuchaliśmy. Tego, co się wówczas działo w naszych sercach, nikt nie wyrazi. Ale oto legjoniści odjeżdżali, a dla nas wracały znowu długie, szare, coraz cięższe dni czekania.

Jeszcze my, harcerki, znosiłyśmy to łatwiej, ale druhowie nasi, harcerze, już się gotowali do odlotu. W tym samym czasie bowiem Niemcy ogłosili werbunek na roboty, lub do wojska polskiego. Zapisywali się więc harcerze w tajemnicy przed domem i szkołą, ze względu na swój wiek, bardzo jeszcze młody. W zaufaniu wielkiem nam tylko zdradzali niekiedy swe plany. O, z jakimże trudem wyszukiwało się odpowiednio mocnych słów i argumentów, aby ich

poryw zatrzymać, aby im nie dać zmarnieć — bo jeszcze czas nie nadszedł.

— Druhowie, wracajcie do książki. Rozkazu nie było, wiecie sami. Czekajcie, aż Komendant zawezwie, on już będzie wiedział kiedy, i nie zapomni o was.

Komendant. Słowo to miało wśród nas moc czarodziejską, było wyrazem wszystkich naszych podówczas marzeń i nadziei. Nikt go z nas nie znał, słyszeliśmy o Nim jeszcze tak mało, fotografij Jego nawet nie widzieliśmy nigdy. A jednak żył wśród nas w legendzie bohaterskiej, w naszej serdecznej ku niemu i Polsce tęsknocie.

Tymczasem próba długa i ciężka zbliżała się już ku końcowi. W listopadzie 1918 roku nieoczekiwanie zgoła dla nas, pozbawionych od szeregu miesięcy wszelkiej z Warszawą łączności, napłynęła, nie wiedzieć w jaki sposób, słoneczna wieść o ogłoszeniu i uznaniu niepodległości Polski. Nim się władze niemieckie spostrzegły, wieść obiegła już całe miasto.

Drgnęło serce Wilna. Odruchem żywiołowej manifestacji miasto zawołało, że ono także jest polskie. Spłynęła wtedy pierwsza krew na ulicach Wilna, jeszcze nie w walce o wolność, ale w obronie pierwszej o niej wieści.

Obudziły się, ożyły drużyny harcerskie, wydobyte zostały gdzieś z ukrycia mundury i oznaki. Promieniały twarze, chwila wytęskniona nadeszła. Przez 6 tygodni jeszcze Wilno zostawało pod władzą Niemców, lecz nikt się już z nimi teraz naprawdę nie liczył. W podnieceniu upływał każdy dzień, niosąc nowe wieści, gotując nowe prace. Pomoc w pracach P. O. W., służba łączności, drukowanie, rozklejanie odezw, zdobywanie i przenoszenie broni. Ręce harcerskie ochotne, a wierne nie próżnowały, jakgdyby powetować sobie chciały długą, przymusową bierność czekania.

Najwięcej radości sprawiało, oczywiście, to, co było połączone z pewną dozą niebezpieczeństwa: więc rozklejanie odezw do ludności miasta i przenoszenie broni. Jakichże się przytem nie używało forteli. Ileż było szczęścia, gdy się dostawiło na miejsce wyznaczone pełen koszyk naboi lub ukrytej w rękawie paczki rewolwerów. Czasami udawało się przemycić przed oczami niemieckiego żandarma, pod długim płaszczem, mocno do piersi ramieniem przytulony karabin. Kiedy indziej przenosiło się ich aż kilka, bezpiecznie, bo w trumnie, przez ulice miasta.

Zima była na świecie i mróz tęgi, nam się ten okres jednak wydawał najpiękniejszą wiosną.

Marja Truszkowska.

KU WYZWOLENIU WILNA.

Wilno i wileńszczyzna ujęte w silne kleszcze okupacji niemieckiej przez szereg lat odcięte od reszty Polski niezmiernie silnym i brutalnym kordonem, pozornie spokojne, zgnębione i wyniszczone przez najeźdźcę, nosiło w głębi duszy silną wiarę w osiągnięcie niepodległości Polski.

Koniec roku 1918 jest pełen przygotowań jawnych i tajnych. Okupanci nie opuścili jeszcze miasta, lecz zbliża się już chwila decydująca. Wiemy, że choć serce Polski, Warszawa, jest wolna, nam tu przyjdzie przeżyć wiele chwil ciężkich, nim zasłużymy na upragnioną wolność.

Powołanie sił niewieścich do pracy w Polskiej Organizacji Wojskowej znajduje w Wilnie grunt dobrze przygotowany.

Warunki, wytworzone przez wypadki wojenne, kazały kobietom wileńskim objąć wiele samodzielnych placówek i prowadzić odpowiedzialną pracę.

Przybycie do Wilna ob. kom. Gołębiowskiego nadaje żywe tempo pracy w P. O. W. Do Oddziału Żeńskiego powołano cały zastęp niewiast. Prowadzą one rozpoczętą już dawniej pracę nad utworzeniem w całem mieście punktów sanitarno-opatrunkowych. Niedługo ma opuścić Wilno wojsko niemieckie, ale ze wschodu szykuje się na nas drugi wróg — czerwona armja bolszewicka. Niewiadome losy zawisną nad miastem.

Wilno zbiera gorączkowo pieniądze na broń. Tworzy się samoobrona wileńska. Młodzież męska wstępuje do oddziałów wojskowych. Niewiasty pracują w sekcjach zaopatrzenia, a te, które należą do P. O. W., pomagają w zdobywaniu broni i pełnią służbę wywiadowczą. Pełne niespokojnych oczekiwań, lecz i gorących nadziei, wierzymy głęboko, że Wilna nie oddamy!

Dość już obcej przemocy, dość łez wylanych w obcej szkole, czas zniszczyć pęta nakładane na duszę! — mówiły nam serca.

Nastrój ten ogarnia najszersze warstwy kobiet wileńskich. Po odezwie Komitetu Polskiego, wzywającej do obrony Wilna, wszystkie biura są oblężone przez zgłaszających się do pracy. Tłumy kobiet proszą o wciągnięcie ich nazwisk na listę. Są zupełnie zdecydowane. Wiedzą one, że cięższa praca je czeka, że kule wyboru nie czynią; jednak idą niewzruszone, spokojne i niezachwiane w swych postanowieniach. Serca nasze, nas zapisujących je, są pełne radosnej dumy. Chwile te jednoczą nas jeszcze bardziej z duszą Wilna. Jedno w nas tętni uczucie — Wilna nie damy!

Akcja przygotowawcza do obrony napełnia serca radością, wierzymy, że urzeczywistni się nasz złoty sen.

Pierwszy cud staje się w dzień Nowego Roku 1919. Na ulicach ani śladu wojska obcego — w całem mieście porządek utrzymują nasi chłopcy, nasi właśni, źle uzbrojeni i źle odziani, ale są dumni i zapał patrzy im z oczu. Niebywała radość i podniecenie w całem mieście. Panie urządzają gospody w różnych dzielnicach miasta. Otrzymujemy rozkaz utworzenia stałego punktu żywnościowego na Zarzeczu dla peowiaków, którzy objęli służbę w tej dzielnicy. Dzień i noc pracują tam dyżurne niewiasty z P. O. W. Komenda nasza ma tam stałe „locum". Karmimy wszystkich zgłaszających się żołnierzy-ochotników, w nocy roznosimy żywność i gorącą herbatę. Mamy tu swoje królestwo, mieści się ono niemal na poddaszu, lecz czynimy tu honory dumnie, jakgdybyśmy były królowe. A humoru nam, usmolonym często od ustawicznego gospodarowania przy samowarach, starczy, zda się, na całe życie. Więc pracują tam zawsze pełne werwy: ob. W. Potkańska, ob. L. Ruszczycówna, Bułhakówna, H. Kadenecówna, M. Nagrodzka. Załatwiamy tu jednocześnie wszelkie polecenia komendantów.

Pewnej nocy wpada do naszej kwatery oddział ułanów — częstujemy ich herbatą i chlebem razowym, bo nic innego nie mamy. Ale pomimo to chłopcy są bardzo wdzięczni, a my ocieramy łzy wzruszenia. Podobno idą już do walki. Żegnamy ich serdecznie.

Całe pięć dni trwa to święto radości i nasza wiara, że Wilno naprawdę jest wolne. Chmury jednak zaczynają się gromadzić. Wieści o zbliżających się bolszewikach są zupełnie pewne. Wilno przystępuje do obrony. Oddział P. O. W. broni Wilna od strony Kuczkuryszek. Jedziemy tam z żywnością: pp. Lila i E. Dawidowskie, W. i J. Potkańskie, M. Truszkowska i M. Kiewliczowa. Dojeżdżamy. Spotykają nas radosne okrzyki chłopaków. A kule bolszewickie, jak złośliwe osy,

lecą w naszą stronę. Oburzony woźnica robi nam gorzkie uwagi, że „to nie kartofle, tylko kule" i że mogą narazić na szwank jego osobę i konie.

Odjeżdżamy, pozostawiając na miejscu p. M. Kiewliczową, która obejmuje opiekę sanitarną. Jedziemy po nowy transport prowjantów. Nastaje wieczór. W sztabie, gdzie mamy otrzymać nowe przepustki, panuje dziwne zamieszanie. Patrzą na nas w zdumieniu i odsyłają jedni do drugich. Wreszcie otrzymujemy żądaną przepustkę i wyruszamy. Tuż na Zarzeczu, pod krzyżem, spotykamy oddział żołnierzy peowiaków. Musieli się cofnąć z Kuczkuryszek. Tu będą bronić miasta, zostajemy im do pomocy.

Po paru chwilach znowu przychodzi zmiana, tym razem jeszcze gorsza. Odchodzą, odchodzą zupełnie. Taki rozkaz. Polecają nam powiadomić chłopców pozostałych w koszarach o wycofaniu się wojska polskiego. Radzą nam zdjąć oznaki służby pomocniczej, bo, kto wie, kogo już tam spotkamy, bolszewicy wchodzą do Wilna. Spełniamy te polecenia. Wracając, zastajemy miasto jakby wymarłe, wszystkie światła pogaszone. W domu wszyscy, jak po pogrzebie. Siedzimy bez słów, w rozpaczy, jakby się czarny grób otworzył przed nami.

Za chwilę zjawia się żal i bunt: więc odeszli, więc nie bronili i skądś płyną słowa pociechy, że powrócą, na pewno powrócą, jak tylko będą mogli, najprędzej...

W POZNAŃSKIEM.

Jadwiga Gulińska.

NA PRZEŁOMIE.

(Wspomnienia poznańskie z lat 1915 — 1918).

W ostatnich latach przed wojną mieszkałam z rodziną na emigracji w Lipsku (za udział w pracach P. P. S. władze rosyjskie usunęły mnie z granic zaboru rosyjskiego). Na wieść o wybuchu wojny syn mój poszedł do Legjonów, a my obie z córką starałyśmy się o zainteresowanie kolonji lipskiej sprawą Polski i Legjonami.

Nie mogę dotąd zapomnieć pewnego dzielnego robotnika, który na emigracji ciułał grosze na skrawek własnej ziemi w kraju. Zapamiętawszy mnie z dawnych przemówień na wiecu, który organizowaliśmy po wywłaszczeniu pierwszych majątków polskich przez Kolonizację, mówił do mnie z żalem w roku 1915: „I Pani, Pani także idzie teraz z Niemcami przeciw nam!" Daremne były moje słowa — nie słyszał ich — tak zapamiętał się w pojmowaniu: „tu Polak — tam Niemiec! Nigdy razem dobrowolnie!"

W czasie wakacyj letnich 1915 roku postanowiłyśmy obie z córką za wszelką cenę przedostać się do Kongresówki. Chciałyśmy zobaczyć syna, który po przebyciu tyfusu znajdował się w kadrze pod Piotrkowem. Poza tem zależało nam bardzo na zbliżeniu się do naszej pracy, myślałyśmy o wzięciu w niej bezpośredniego udziału. Tak się też stało. Córka moja rozpoczęła niebawem pracę w Biurze Prasowem Departamentu Wojskowego w Piotrkowie, gdzie jako studentka Uniwersyteu Lipskiego, była pożyteczna w referacie wydawnictw niemieckich. Ja zaś podjęłam się w porozumieniu z temże Biurem nawiązać kontakt ze społeczeństwem poznańskiem, w Poznaniu bowiem mieszkałam uprzednio przez czas dłuższy, zaznajomienia tej dzielnicy z ideologją Piłsudskiego i Legjonów. Miałam na myśli rozmowę z drem Felicjanem Niegolewskim. Był on patrjotą, pochodził z rodziny o wiel-

kich tradycjach politycznych, wiedziałam, iż stronnictwo narodowo-demokratyczne szczyciło się nim i że wywierał na nie duży wpływ.

Po długiej, żmudnej i pełnej przygód „wojennych" podróży przybyłam do Poznania. Jakież przygnębiające wrażenie wywarło wówczas na mnie to miasto. Wszędzie pełno jeszcze pruskiego żołdactwa, atmosfera teroru wojennego z jednej strony — z drugiej — przygnębienie. Twarze Polaków smutne, usta milczące, po polsku nie słyszałam prawie ani słowa, chyba mówione zcicha.

Rozmowa z d-rem Niegolewskim wypadła, zdawało mi się, dobrze. Rozumiał on konieczność walki zbrojnej o wolność, gdy się chwila po temu nadarza i nie widział w Legjonach sojusznika Niemiec. Rozumiał też, że dzięki Legjonom pozbędziemy się z Polski Moskali. Bronił jednak stanowiska Narodowej Demokracji w tem, że zabiega o względy koalicji. Twierdził on, że w razie przegranej Niemiec, Polska znalazłaby się cała w obozie zwyciężonych. Powiedziałam wtedy, że jeżeli — niewzmacnianie Rosji było, a w danym razie byłoby z pewnością w interesie państw zachodnich — to Polska, idąca przeciw Rosji miałaby w ich oczach większy walor, niż Polska — wierna i pomagająca Rosji.

Przytem — mówiłam, że jeżeli już stało się faktem, że Polacy, może z natury samego położenia swego, podzielili się na dwa obozy, to dlaczego nie mieliby z tego wyciągnąć dla siebie konsekwencyj? Można przecież czasami i dwiema drogami dojść do wspólnego celu. Tylko — czy ten cel jest istotnie wspólny?... Tu uderzyłam ostro na „Kurjer Poznański" jako organ naczelny stronnictwa, przyłapując go niejako na gorącym uczynku, z powodu dwóch niedawnych artykułów, z których jeden nosił tytuł „Niepodległościowcy". Było w nich przecież całkiem wyraźne i pełne zjadliwości przeciwstawienie się samemu dążeniu do niepodległości.

— „Tak, tak — rzekł Niegolewski niechętnie, tu Marchlewski jakoś się nie spisał, dostał też od nas burę, drugi artykuł jest już nieco lepszy, ale przyznaję i ten jeszcze można poddać krytyce. Młody jest jeszcze, niewyrobiony, ale bajecznie zdolny, bajecznie!" — „Wie pani co, ożywił się, niech pani spróbuje z nim mówić. Niech pani powoła się na mnie i niech pani spróbuje. Jego tutaj ogromnie cenią. Po chwili wahania odpowiedziałam: Dobrze, spróbuję".

Zastałam Marchlewskiego w redakcji. Człowiek młody, bardzo pewny siebie, energiczny, chłodny. Mówił ze mną dość swobodnie. Śmieszyła go „mrzonka" o niepodległości. — „Albanja jest także niepodległa" — dowcipkował. Porządna autonomja jest dla mnie więcej

warta — przyznaję — mówił". Czy z ręki Rosji? — zapytałam. „Niekoniecznie. Przynajmniej nie tutaj" — zaśmiał się. Nie wierzył, aby Niemcy były aż tak pobite. Ze strony Rosji autonomję uważał za pewną. „Na jakiej podstawie pan tak sądzi — zapytałam — czy to w nagrodę za sojusz z resztą koalicji będzie się musiała wyrzec autokracji w Polsce?" — zażartowałam zkolei. Nie odpowiedział. Zdawał się wierzyć, że Rosja nie wygra wojny. „A jakże będzie w takim razie z tem zjednoczeniem wszystkich ziem polskich, na które panowie taki kładziecie nacisk". „Niewątpliwie zbliżymy się do siebie jakoś", rzucił odniechcenia.

Opowiedziałam tę rozmowę Niegolewskiemu. Wyglądał, jakby mu to było bardzo przykre, że nie może go wziąć w obronę.

W dwa lata potem (1917 r.), gdy zamieszkałam znów na stałe w Poznaniu, przyjechała do nas córka z Warszawy z następującą sprawą. Oto powstał w pewnem kole niepodległościowem plan wydostania Piłsudskiego z więzienia w Magdeburgu i córka moja miała także być w tem pomocna. Ponieważ nie można było przewidzieć, jaką drogę wypadnie wybrać dla ucieczki, córka moja miała w dwóch punktach, t. j. w Berlinie i w Lipsku — przygotować dwa pewne schronienia w domach prywatnych b. zaufanych, oczywiście polskich. Miała Go tam w razie potrzeby zainstalować na jakiś czas. Poza tem miała zbadać, o ile ucieczka wypadłaby na Poznań, czy nie dałoby się w jakiś niezawodny sposób umożliwić Komendantowi przedostanie się do Kongresówki.

Zapytałam córkę, czy czuje się na siłach wypełnić pierwszą część planów? „Tak jest — odpowiedziała — uprzedzono mnie, że to może być połączone z pewnem niebezpieczeństwem, ale powiedziałam sobie, że gdyby nawet tak było — to cóż z tego?" Wiedziałam, że jest bardzo zaradna i że łatwo jej będzie pozyskać zaufanie. Chodziło teraz o drugą część planu.

Jednak nawet tutaj w Poznaniu, o dom bezpieczny — chętny i dyskretny — wcale nie było łatwo. Moje własne mieszkanie — wobec tego, że w akcji brała udział moja córka — nazbyt już było niekonspiracyjne. Błysnęła mi wówczas myśl. Doktór Niegolewski! — Tak, to najpewniejsze. To cóż że jest w obozie przeciwnym. Gdy się ma do czynienia z człowiekiem honoru? Miałam przeczucie, że się zgodzi. I nie omyliłam się. Związana słowem, że nie wymienię nazwiska Komendanta, prosiłam o zupełną dyskrecję. Po oczach jego poznałam, że odgadł o kogo chodzi. „Pomyślę — rzekł po chwili — to się da zrobić". Nazajutrz, gdy znów byłam u niego, rzekł do mnie: „Wie pani co, niech ten „oficer" najlepiej zajedzie wprost do mego mieszkania.

Dom jest spokojny, ustronny, komisarz policji mieszka o piętro niżej, uśmiechnął się — nikt tu nic podejrzewać nie będzie. A dalej będziemy mogli zrobić tak: mam rodzonego brata na granicy okupacji austrjackiej — posiada on tam majątek ziemski i nikt się go o przepustki nie pyta." Na tem więc narazie stanęło. Na pożegnanie szepnęłam: „Dziękuję panu". „To ja dziękuję pani" — rzekł serdecznie Niegolewski.

Później okazało się, że zasadniczy plan ucieczki był dla nieznanych mi powodów niewykonalny. Córka moja wprawdzie wyjeżdżała do Berlina i do Lipska, poczyniła tam wszystkie potrzebne przygotowania, lecz nie otrzymawszy w omówionym terminie wiadomości, powróciła.

Było to dnia 10 listopada 1918 r. w Poznaniu. Wyszłam z domu około 9-ej rano, chcąc być na zebraniu Zarządu P. P. S., gdzie miała być omawiana sprawa wyborów do Rady Miejskiej. Uderzyła mnie pustka na ulicach, za to na placu Wilhelmowskim (dziś plac Wolności) zobaczyłam dużą gromadę żołnierzy, zachowujących się z niezwykłą swobodą i ożywieniem. Wtem na chodniku w pobliżu alei ukazał się pruski oficer. Był młody. Pędem podbiegło ku niemu kilku żołnierzy, mających czerwone opaski na rękawie. Pochwycili go pod ręce, postawili pod murem kamienicy (nie opierał się) i spokojnie rozbroili, połamali mu i precz odrzucili szablę, pozrywali naramienniki i oznakę na czapce, poczem puścili go wolno. Patrzyłam na twarze tych żołnierzy. Było w nich tyleż wesołego rozradowania, co i zaciętości. Wet za wet! Dostało ci się teraz za moją poniewierkę! — zdawały się mówić ich oczy. Śmiejąc się i rozmawiając, wrócili do reszty towarzyszy. Słychać było między nimi i polską i niemiecką mowę. Byłam tą sceną głęboko wstrząśnięta, doznając najsprzeczniejszych uczuć. W głębi serca czułam, że się tu w Poznaniu zaczyna dziać coś niezwykłego, coś doniosłego w skutkach.

Widoczne i jasne było dla mnie, że w Poznaniu tymczasowe władze polskie boją się powstania i że połączenia z Warszawą nie chcą. I to mi było bodźcem, aby się choć w najskromniejszej mierze, ale zato ze wszystkich sił tej polityce panującego wówczas stronnictwa przeciwstawić. Łatwo bowiem pojąć, że nie widząc tu nic innego na politycznym horyzoncie, można było wpaść w rozpacz.

Bałam się, że moment polityczny bezpowrotnie i bez skutku mija, że żywa energja ludu bezpłodnie się rozproszy, a opieka koalicji, jak każdy dar z łaski, gdy się własnego nie przyłączy wysiłku, nie wystarczy, aby ocalić Wielkopolskę.

Zebrawszy się więc w kilku, co gorętszych towarzyszy w domu prywatnym, postanowiliśmy zwołać w Poznaniu — pierwszy po wybuchu rewolucji wiec publiczny, wiec P. P. S. W tym celu chcieliśmy też sprowadzić dobrego mówcę. Ja obstawałam za Biniszkiewiczem z Katowic, ale większość oświadczyła się za Rybickim z Berlina. Nie pamiętam już jednak z jakich przyczyn odwlekło się to aż do 29.XI, tak, że nie mogliśmy być pierwsi. Uprzedziła nas Rada Ludowa, wzywając mieszkańców Poznania na 2 wiece „informacyjne z dyskusją" do Bazaru i do sali ogrodu Zoologicznego na dzień 12.XI. Następnym miał być wiec kobiecy, zwołany przez p. Anielę Tułodziecką i p. Jadwigę Jaworowską.

Wrażenia tego wieczoru stoją mi, jak żywe, w pamięci.

Właściwą treścią przemówień było to samo hasło, które głosiła każda niemal odezwa „Cicho siedzieć! Cicho siedzieć, bo będzie źle!" Poza tem nawoływano do posłuszeństwa i kazano bezwzględnie ufać władzom. „Trudno, mówił mówca p. R., nie każdy może być mózgiem. Siedźcie cicho i bądźcie spokojni, my zapewniamy was, że Polska będzie! Będzie wolna z dostępem do morza, Polska zjednoczona. Dosyć już się krwi lało! Bądźcie tylko cierpliwi. Kto chce się dać zastrzelić na placu Wilhelma — proszę, niech idzie pod kule. Ja ostrzegam." Nie miałam przedtem zamiaru prosić o głos, to też odezwałam się poprostu z musu, nie panując już nad sobą. Gdy mówca jeszcze raz zaczął wkółko powtarzać to samo, wprost sugestjonując publiczności strach i tchórzostwo, kiedy głosem zdenerwowanym począł ją zaklinać, aby na miłość Boską nie wychodziła na ulicę, bo 15.000 wojska idzie na Poznań, że przecież po stronie Niemców są armaty, amunicja i wojsko! — Wtedy to, czując rumieniec wstydu na twarzy, zawołałam głośno: „Ale tu jest lud, co chce być wolny!!" Na to zabrał głos, jakiś następny mówca, który, odpowiadając na moje słowa, zaczął mnie pouczać łagodnie, uspokajając, że nietylko lud, ale my wszyscy chcemy być wolni.

Po długich przeszkodach, czynionych mi przez prezydjum wiecu, udzielono mi wreszcie głosu. Powiedziałam naprzód, że mówiąc o ludzie, nie przeciwstawiałam go sobie. Mówiłam lud, zamiast powiedzieć: my. Rewolucja niemiecka obaliła stary rząd nie siłą armat, tylko tem, że ma lud za sobą. Poprzedni mówca uległ może nadmiernej nerwowości w swych ostrzeżeniach przed niebezpieczeństwem, które nie jest tak wielkie, jak mu się zdaje. Ja natomiast przestrzegam, aby nie ulegać strachowi. Rząd pruski stosował do Polaków stale teror jako metodę polityczną. Chciał strachem wymóc, aby Polacy nietylko nie dążyli do wolności, ale przestali nawet o niej marzyć. To mu się częściowo udało. Dlatego występuję przeciw szerzeniu postrachu. Czegóż

mamy się tak strasznie bać? Dawne rządy, cesarz, policja znikły, a położenie obecne nie jest bynajmniej takie, aby można ni stąd ni zowąd strzelać do Polaków, jak do wróbli! Pierwszy krok do zrzucenia niewoli jest — odważyć się być wolnym! Po tych słowach zaczęto mi przeszkadzać coraz głośniej i coraz natarczywiej. Wobec tych przeszkód, przestałam mówić.

Mówił potem Korfanty: „Powiadają niektórzy, żeśmy tu za spokojni, że nie ma tu takiego ruchu, jak w Warszawie. No, tak, tam codzień tworzą się nowe partyjki". I to było wszystko, co miano do powiedzenia o Królestwie, w takiej chwili, na pierwszym wiecu, który odbywał się bez opieki policji, pod strażą milicjanta z biało-czerwoną opaską. O Galicji, o połączeniu się tych dwóch dzielnic ani słowa. O Piłsudskim — ani wzmianki. Poseł Korfanty mówił prawie godzinę i nie powiedział nic, coby było ważkie. A jednak swego dokonał. Nałożył nieznacznie i bez bólu plaster odciągający na zagrożone w jego oczach przez „rewolucję" miejsce. Odezwa, rozdawana po wiecach, posiadała dwa punkty, które wydawały się, jakby przez dziwną jakąś umieszczone pomyłkę: „1) Lud polski ma prawo już teraz do udziału w rządach, którego mu niezasłużenie dotąd odmawiano. 2) Naczelna Rada Ludowa zatwierdzi nasze żądania narodowe, tylokrotnie nieugięcie wypowiadane przez koła poselskie." A przecież żądania oderwania się od Niemiec nigdy przez polskie koła poselskie wypowiedziane nie było, zatem?... Chyba myślano tu tylko i żądaniu praw narodowościowych i samorządu zagwarantowanego.

Chwilami mnie samej te podejrzenia wydawały się zbyt potworne, a jednak myśl do nich powracała uparcie. Wielkie tu było pragnienie władzy, wielkie ambicje prowincjonalne i kompletny brak ideologji. Mimo wciąż powtarzanych słów o Polsce ludowej, unikało się starannie bliższego sprecyzowania, odkładając to na przyszłość.

Ze sprawozdań i opowiadań o wiecu kobiecym wynikało twierdzenie, że kobiety były radykalniejsze od mężczyzn, że dalej szły w swych żądaniach. Dr. Koperska podniosła konieczność solidaryzowania się z Królestwem i Galicją, pani Gruszczyńska, żona robotnika, powiedziała, że matki mają wychowywać synów tak, aby umieli bronić Polski.

Proponowałam założenie własnego, kobiecego stowarzyszenia, wielkiej organizacji w celu przeprowadzenia przedewszystkiem planowej agitacji za państwem polskiem.

Wiadomość, że władze polskie weszły w kontakt i porozumienie z Radą Żołniersko-Robotniczą, przyjęto na wiecu żywemi oklaskami.

Co władze te uczyniły z musu i niechętnie, to lud uznał za naturalne i sympatyczne.

Jednak na moją propozycję założenia owej organizacji, kobiety poznańskie nie zgodziły się.

Dziwna rzecz! Imię Piłsudskiego, choć tak skrzętnie ukrywane — tu i ówdzie odzywało się jednak echem wzruszenia i zachwytu.

„Dziennik Poznański" odbijał też korzystnie od „Kurjera Poznańskiego". Napisał on artykuł wstępny o Piłsudskim.

Ludność cała szyła sztandary, kokardki, cieszyła się! Ta radość chciała znaleźć jakieś ujście, ale czekała hasła. Samorzutnie — zrobiono tyle, że wszyscy mówić zaczęli głośno i śmiało po polsku. Ale gdy poddawałam komu myśl nie posyłania dzieci do szkoły, póki niemiecka, choćby na krótko, dla demonstracji, z potrzeby serca, to tego nie rozumiano.

Obawy wśród robotników dotyczyły rent ubezpieczeniowych na starość i od wypadku. Władze niemieckie, wypłacając rentę „pouczały", że to już ostatnia, jaką widzieć będą.

Dnia 29 listopada odbył się wiec P. P. S. Duża sala ogrodu Zoologicznego była pełna. Mówiono, że było około 2000 osób. Widoczne było zaciekawienie.

Pierwszy referent, p. Rybicki z Berlina, wniósł odrazu na salę gorącą atmosferę stolicy Niemiec. Czuło się, jak wielką radością przejął serca robotników polskich na emigracji wybuch rewolucji, jak potężnie odczuli oni zderzenie, pod którem runął cesarz, a jak sądzili — i system pruski. Nie pamiętam już poszczególnych momentów mowy, nie żyjącego już dziś towarzysza, efekt jej jednak dałby się cały zamknąć w tych najpiękniejszych słowach „Czerwonego sztandaru": „Co złe, to w gruzy się rozleci!" Przytoczył on te słowa, i po nich tu i ówdzie dość gęsto rozległy się oklaski. Stopniowo jednak oklaski słabły, aż wreszcie mówca opuścił estradę wśród ciszy. Było widoczne, że główne zainteresowanie publiczności obraca się już dokoła innego punktu. Gdy przyszła moja kolej, uprzytomniłam to sobie w mgnieniu oka, to też pierwsze słowa przemówienia, przygotowane zgóry, w moich własnych uszach zabrzmiały mi, jak w pustce.

„Wszystkie oczy obrócić dzisiaj musimy ku stolicy naszej — Warszawie. Tam bowiem mamy już rząd, nasz własny, polski i demokratyczny rząd Moraczewskiego, a na czele jego stoi Naczelnik Państwa — Józef Piłsudski. Życie jego jest nam przykładem, czego dokonać może człowiek mocny, jeżeli ma przed sobą cel wielki i jedyny, ku któremu dąży nieugięcie i niezłomnie. Tym celem była dla Piłsud-

skiego Polska. Nietylko Polska—naród, ale Polska—państwo, to znaczy dom własny, wspólny, a w nim lud wolny, oświecony, możny i zbratany w całości swojej tak, jak nim była niegdyś w Polsce jedna tylko klasa narodu. Lud, który nieśmiertelną cechą duchowej kultury swojej ma prawo do moralnego zdobycia świata.

Dalej powiedziałam, że dziś, kiedy wszystkie ludy i kraje domagają się swoich praw, Wielkopolska musi być także wolna. Na tę szalę trzeba jeszcze coś ważkiego dorzucić, aby się przechyliła na naszą stronę. Widzę dwa sposoby ku temu. Jeden — aby wejść w bezpośredni związek organizacyjny z naczelnemi władzami państwa polskiego w Warszawie; drugi to podać do wiadomości całemu ludowi polskiemu, że nie można czekać z założonemi rękami na to, co z nieba spadnie. Gdy lud będzie wiedział, jak rzeczy stoją, swiadomość ta sama znajdzie sobie wyraz w jakiejś potężnej, żywiołowej manifestacji przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

Zaproponowałam wkońcu przyjęcie następującej rezolucji:

„My, zebrani na wielkim wiecu ludowym polskim, zwołanym przez Komitet P. P. S. w Poznaniu, dn. 29 listopada 1918 r., oznajmiamy, co następuje:

1) Mając oczy i serce obrócone ku sprawie Ojczyzny naszej, przesyłamy z tego miejsca, na ręce Naczelnika Piłsudskiego, dwóm wyzwolonym już od ciemięzców i połączonym częściom Polski — Królestwu Polskiemu i Galicji, płynące z głębi dusz naszych pozdrowienie, pokłon i braterstwo.

2) Dążenie nowego Rządu Zjednoczonych Dzielnic, wyrażone w odezwie do narodu polskiego a przedrukowane w gazetach poznańskich z dn. 23-go listopada 1918 roku, podzielamy, przyjmujemy, za swoje uznajemy, oraz popierać je ze wszystkich sił naszych chcemy i będziemy.

3) Zgadzając się całkowicie z ułożonym przez Rząd Tymczasowy programem, domagamy się od tutejszych sfer miarodajnych polskich, aby jako odpowiedzialni przedstawiciele naszej dzielnicy, głosami ludu polskiego wybrani, programowi temu nie stawiali ze swej strony przeszkód. Natomiast,

4) aby nie odwlekając, przyłączyli się do wymienionego, powstałego w Warszawie Rządu polskiego i jak najprędzej z nim w dobre porozumienie weszli.

5) Zanim kongres pokojowy orzeknie *o formalnem* przyłączeniu i naszych dzielnic do państwa polskiego, oświadczamy uroczyście, że moralnie czujemy się już i dzisiaj związani

z niem na zawsze, w jedną nierozerwalną narodową i polityczną całość.

6) Wierząc narówni z pierwszym Rządem Ludowym w stolicy naszej, że z łona ludu wyjdzie ta nowa i wielka siła, co nam pozwoli w odzyskanej spuściźnie praojców gospodarzyć na sławę Polski, ku dobru całego narodu polskiego, wołamy z pełni serc naszych: Niech żyje zjednoczone i niepodległe Państwo Polskie, niech żyje lud polski, niech żyje Piłsudski!"

Rezolucję przyjęto żywemi oklaskami, dowodzącemi, że znalazła ona silny i niekłamany oddźwięk. Lecz zanim zdołano poddać ją dyskusji, wystąpił szereg mówców, potępiających w czambuł cały gabinet Moraczewskiego, jako klasowy.

Przewodniczący Naczelnej Rady Ludowej, p. Rzepecki, odradzał z naciskiem przyjęcie rezolucji, ze względu na paragraf 2, 3 i 4, prosząc zebranych, aby nie przyjmowali udziału w niczem, co osłabia zaufanie do władz *miejscowych*. Gdy zwolennicy zaczęli rezolucji bronić, część publiczności, nie zważając na przemawiających z trybuny, zaczęła rozgłośnie śpiewać pieśni narodowe — zagłuszając mówców i wywołując wrażenie, że wiec skończony. Publiczność, zahukana i przestraszona paragrafami, bądź też przekonana, że to już koniec wiecu, ze śpiewem „Boże, coś Polskę", wychodziła z sali.

Do głosowania nie doszło.

W ciągu miesiąca sytuacja się zmieniła — treść rezolucji tej przyjęto, przelewając krew w powstaniu wielkopolskiem.

Na pierwszą prowokację niemiecką, na pierwsze strzały, skierowane do ludności cywilnej, porwano za broń, by zaświadczyć o uczuciu patrjotycznem Poznania i Wielkopolski.

Michalina Świerkowka.

W WITKOWIE POZNAŃSKIM.

Mając podczas wojny światowej żołnierzy „szczeciniaków" na kwaterze, doznawałam od nich wraz z mężem wielu udręczeń. Musiałam słuchać szyderstw żołdactwa z uczuć religijnych i narodowych. Były chwile, gdy wzywałam na nich pomsty Bożej, bo z rozkazu pułkownika musiałyśmy pod groźbą kar — my, Polki - obywatelki, nosić żołnierzom pruskim obiady w pole podczas ich ćwiczeń. A wiele łez wylałam, wiele zniosłam szyderstw i obelg ze strony Niemców w dniu zdobycia Warszawy, to Bogu Wszechmocnemu tylko wiadomo. Żydzi się nam odgrażali, że jak Wilhelm wojnę wygra, to żaden Polak nie będzie miał własności, bo wszystko dostaną „die Krieger!"

Podczas całej wojny myśli nas, Polaków, były skierowane na przebieg działań na frontach wojennych. Rok 1917 przyniósł już nadzieję, że i kochana Polska wolną będzie. Schodziliśmy się więc wieczorami, radząc, jak postąpić nam wypadnie w razie, gdy Bóg wysłucha modłów naszych. Pierwszym etapem była data 12/XI 1918, kiedy zorganizowano Radę Robotniczo-Żołnierską w Witkowie; mąż mój był jej sekretarzem, z wiedzą b. proboszcza, a obecnie prałata, księdza T. Malczewskiego. Wiedząc od męża, co się w Poznaniu dzieje, werbowałam ochotników Polaków, uciekinierów z pułków pruskich. Zwerbowanych posyłałam do męża, który im, jako sekretarz R. R. Ż. wystawiał przepustki do Poznania. Pomagałam też mężowi, jak mogłam, skupowywać sprzęt i ekwipunek wojskowy dla przyszłego powstania polskiego.

Dnia 21/VIII.18 z powodu czyjejś zdrady zrobiono rewizję w mojem mieszkaniu: poszukiwano broni. Karabiny artyleryjskie, przyniesione przez męża i harcerza, Marjana Rydlewskiego, schowałam do mego łóżka i położyłam się na niem, udając mocno chorą.

(Zamki karabinów schował mój mąż w boczne poduszki kanapy). Na żądanie oficera (Schwiedera) musiałam się przenieść na łóżko męża — (na ten czas oficerowie wyszli do kuchni). Karabiny jednak przełożyłam także i znów położyłam się na nich, poczem odbywała się dalsza rewizja. Karabinów nie znaleziono. Tym sposobem uratowałam męża i wiele innych osób. Ale Prusacy nie dowierzali nam. Jak przeczuwałam, dom nasz obstawiono wartą po rewizji.

Mąż mój poszedł na dalsze obrady R. R. Ż.

Na drugi dzień, w niedzielę, dnia 22/VII.18, ponowiono rewizję. Przewrócono mi cały sklep (byłam właścicielką sklepu dewocyjno-galanteryjnego) oraz pracownię męża i składnicę szkła. Podczas tej rewizji poznałam całą ohydę pruskiego żołdactwa. To byli Hunnowie, rabusie, ludzie bez czci, zdolni do najpodlejszych czynów.

W mieszkaniu miałam rewizję, a w sali zebrań R. R. Ż. odbywał się sąd nad moim mężem. Te kilka godzin, przeżytych w straszliwym niepokoju o losy męża i innych osób starczyły, aby tem bardziej i usilniej pokochać Ojczyznę i rodaków. Modliłam się z córką gorąco i Bóg Wszechmocny wysłuchał mnie. Mój mąż był wolny i od innych niebezpieczeństwo oddaliło się również. Lecz nad mężem wisiała dalej groza aresztowań. Od pewnego Niemca dowiedziałam się, że chciano go usunąć z Witkowa i przenieść do Bydgoszczy, ponieważ jest „der gafährlichste polnische Agitator". Musiałam więc czuwać. Przyszli mi z pomocą harcerze, którzy również wiedzieli już o tem.

Nadszedł dzień 28/XI.1918. Od rana męża już nie widziałam. Znałam hasło (Orzeł) i trąbkowy alarm harcerski. Zobaczyłam wówczas na własne oczy przygotowane naboje, broń, kokardki, opatrunki, łóżka polowe i nadewszystko sztandar kochanej Polski.

Za przelane łzy, szyderstwa i urągania Prusaków dane mi było pierwszym żołnierzom polskim, legjonistom ze Słupcy, przypiąć polską kokardę i rozdać amunicję, Orła Polskiego publicznie wywiesić, a o godzinie 1.20 słyszałam na własne uszy jak, dziś już nieżyjący, porucznik Wiewiórski, ogłosił Wolną, Niepodległą, Najjaśniejszą Rzeczpospolitą Polską, którą niech Bóg Wszechmogący zachowa wolną na wieki!

PAMIĘCI
LEOPOLDA LISA-KULI

PRACE NA WSCHODZIE

Hanna Hubicka.

NA WSCHODNIEJ RUBIEŻY.

Niema chyba dotąd nikogo, ktoby potrafił odmalować wielką tragedję bezsiły polskich mas żołnierskich, wcielonych do wojska rosyjskiego czujących, że nadeszła dla nich godzina czynu i do czynu tego gotowych, lecz miotanych wciąż to w tę, to w inną stronę falami napływających zzewnątrz orjentacyj i próżno czekających na jakąś silną rękę, na władczy zew, któryby je skupił i poprowadził.

Niczyje przeżycia, żadne, ujęte piórem wspomnienia, nie mogą dać wytłumaczenia dlaczego losy chciały, by Ten, który jedyny wniósł w życie Polski niewolniczej żagiew buntu i bunt ten umiał zorganizować w kadry wojskowe —musiał wraz z pracą swą wejść w podziemia. I nikt nie wyjaśni dlaczego wtedy, gdy z jednej strony linji frontu był Wódz z garstką swych wiernych żołnierzy, po drugiej stronie tej linji były zawrotne możliwości, ludzie i materjał wojenny — ale nie było Wodza.

Nikt z nas, kto przeżył w Rosji szarpanie się z własną i cudzą nieudolnością, nie potrafi dać wiernego obrazu tego, co się tam działo. Jeśli odważam się odmalować tu tło dla wspomnień, nakreślonych w tej książce — nie sięgam przez to bynajmniej do wyżyn, na jakich stać musi historja. Chcę opisać tylko, jak mnie i tym, z którymi wówczas pracowałam, przedstawiał się teren i warunki tej pracy.

Sprawa tworzenia lub nietworzenia wojska polskiego po rosyjskiej stronie frontu stała się naprawdę realną dopiero z chwilą wybuchu rewolucji rosyjskiej.

Już w styczniu 1917 roku ciężka sytuacja Rosji, w związku z zarysowującą się już na horyzoncie politycznym świata postacią zmartwychwstającej Polski, zmusiła rząd rosyjski do wydania rozporzą-

dzenia, mocą którego tak zwana „polska brygada" (a właściwie zwykła 104 brygada pospolitego ruszenia, powstała po rosformowaniu Legjonu Puławskiego), powiększona została do rozmiarów dywizji, do której pozwolono przyjmować nietylko ochotników, lecz również Polaków, zgłaszających się z oddziałów wyłącznie rosyjskich. Między grupami i grupkami politycznemi, działającemi wśród społeczeństwa polskiego w Rosji, zaczął się wtedy ruch żywszy, w miarę rozrostu dywizji — coraz silniejszy. Czuło się w powietrzu jakieś świeże prądy, wiedziało się już, że trzeba będzie poczynić wkrótce kroki stanowcze.

Na froncie niby jeszcze wszystko szło po staremu i mało kto z frontowych oficerów, czy żołnierzy do dywizji polskiej się wybierał. Nie ufano rządowi rosyjskiemu, nie wierzono też w możliwość utworzenia istotnie polskiej formacji. Jednocześnie nienawiść do Niemców tak była wielka, że obawiano się osłabić front zamieszaniem, jakieby wywołało zbyt pośpieszne ogałacanie oddziałów frontowych z najlepszych żołnierzy, za jakich powszechnie uchodzili Polacy. Obawa ta niemałą, zresztą, odegrała rolę nawet w późniejszych już okresach i wtedy dopiero przestano z niej kuć argumenty przeciwko tworzeniu polskich formacyj, kiedy się stało jasne, że front rosyjski oddawna nie istnieje.

Na dalekich tyłach jednakże, w stolicy przedewszystkiem, a potem w Moskwie, Kijowie i Mińsku, gdzie skupiały się największe ośrodki polskie, groźne pomruki nadciągającej rewolucji były już tak wyraźne, że sprawa polskich formacyj wojskowych i ściśle z nią związana sprawa ochrony dusz polskich przed jadem zgnilizny rosyjskiej stawała się paląca.

Ale rozproszkowane w zaciekłych, a typowo emigracyjnych sporach o prawomocność mandatów „Komitetu Narodowego" czy „Komitetu Demokratycznego" grupy i grupki polskiego społeczeństwa cywilnego nie zdobyły się na żadną decyzję dopóty, dopóki rewolucja nie dotarła do linji frontu i zrazu wolno, lecz stale i konsekwentnie obezwładniać go i ogałacać z wszelkiej ochrony zaczęła.

Zaskoczone w swej bierności, nie przygotowane do żadnego czynu masy społeczeństwa polskiego i zdala dotychczas od wszelkiej polityki trzymane polskie masy żołnierskie ujrzały nagle przed sobą z jednej strony widmo nadmiernie na opuszczonem żerowisku rosyjskiem wypasionego kolosa niemieckiego, z drugiej niezmierne horyzonty dla zorganizowanej siły polskiej. Wtedy dopiero sprawa wojska polskiego w Rosji stała się naprawdę sprawą na czasie.

Na nieszczęście, hasło tworzenia armji polskiej w Rosji rzuciła Narodowa Demokracja. Już ten fakt wystarczył, aby odstręczyć od

tej akcji jednostki, identyfikujące sympatje dla samej sprawy z sympatjami dla jej patronów. Charakterytsyczne cechy obozu, zwanego narodowym, i tutaj niepoślednią odegrały rolę. Uznając potrzebę tworzenia wojska polskiego o tyle, o ile wojsko to będzie im posłuszne, przedstawiciele tego kierunku obawiali się zbytniego rozrostu tego wojska, wiedząc, że wtedy nie potrafią go opanować. Pragnęli je zatem utrzymać raczej jako demonstrację, potrzebną dla posunięć taktycznych wobec Rosji i sprzymierzonych. O rzeczywistą walkę za niepodległość, o formowanie wojska polskiego i prowadzenie go w bój z Niemcami nie chodziło. Jeden z filarów narodowo-demokratycznych pisze przecież po kapitulacji I Korpusu w urzęowm piśmie „Żołnierz Polski", iż największą łaską, jaką otrzymali od Najświętszej Panienki żołnierze I Korpusu, jest hart odmówienia sobie bohaterstwa.

Patrząc z perspektywy dzisiejszej, wydaje mi się, że podjęcie przez leaderów Narodowej Demokracji sprawy tworzenia wojska polskiego w Rosji, sprawie tej raczej zaszkodziło, niż pomogło. To właśnie było jednym z najgłówniejszych powodów, że liczne rzesze młodzieży pociągnięte zostały hasłami wrogich wojskowym formacjom polskim odłamów, zrzeszonych pod nazwą „Demokracji".

Piękna ta nazwa pociągała młodzież, tem bardziej, że pod nią ukryć można było zarówno z rosyjska pomyślane tezy postępowe, jak akademicki socjal-rewolucjonizm, a nawet wyraźny bolszewizm. Jednocześnie wysuwane przez grupy demokratyczne hasło „czekania na wolę kraju" dogadzało przywykłej do oportunizmu i nieróbstwa starszyźnie i pozwalało skupić wokoło rewolucyjnej młodzieży jak najbardziej konserwatywne ziemiaństwo i finansjerę.

Gdy w walkach wewnętrznych pomiędzy obozami emigracji polskiej w Rosji upływał drogi czas i malały szanse stworzenia naprawdę silnej armji polskiej, w szarej masie żołnierskiej budził się i potężniał duch, co tworzył legjony polskie wszystkich czasów i wzrastała świadomość, że potrzeba chwili wymaga nie mądrości politycznej, wylęgłej w przedpokojach Dumy czy ministerstw i nie zagłębiania się w teoryjki socjalno-rewolucyjne, lecz siły ducha i mocy rąk zespolonych. Więc elementy bardziej czynne i ofiarne zaczęły się skupiać i tworzyć stowarzyszenia konspiracyjne.

Przyjęto mnie do takiej organizacji w Mińsku. Stowarzyszenie nosiło nazwę: „Ligi Wolności", zaś kierownicy jego tworzyli ściślejsze grono, zwane „Armją Polską" w skróceniu „A". Organami zewnętrznemi organizacji były „Wiadomości Wojskowe" i „Towarzystwo Wiedzy Wojskowej". Celem obu stowarzyszeń była walka z Niemcami. W czasie, gdy zaczęłam pracować w obu tych organizacjach,

istniały one już od pewnego czasu i już przedwcześnie zaczęły się starzeć. Winna temu była ogromna różnorodność elementów składowych, powstała skutkiem tego, iż przyjmowano do „A" jak również i do Ligi nietylko ludzi bezwzględnie ideowych i ofiarnych, lecz również takich, którzy „byli potrzebni". Krótka i jasna ideologja organizacji wkrótce dla wielu stowarzyszonych zaczęła być zbyt niebezpieczną. Część zaprzysiężonych, piastujących już wielkie godności wśród władz tworzonych korpusów, zaczęła się czuć zanadto skrępowana. Zaszła wreszcie konieczność gruntownej reorganizacji obu stowarzyszeń. Wynikiem tej reorganizacji było rozwiązanie ich i stworzenie nowego ugrupowania, tym razem już jednostopniowego, pod nazwą „Związku Broni". Odpadła wtedy prawie cała starszyzna, skurczyły się wpływy, a raczej pozory wpływów na pracę naczelnych władz tworzącego się wojska, lecz całość organizacji zyskała niezmiernie na sile i wartości, a jeśli nie zdołała rozszerzyć swej działalności, to tylko dlatego, że reorganizacja nastąpiła zbyt późno. Wkrótce po niej Związek przestał istnieć, w związku z przyjazdem Lisa-Kuli i podporządkowaniem się Związku Polskiej Organizacji Wojskowej, a potem rozwiązaniem Związku i przyjęciu en bloc jego członków do P. O. W.

Do warunków, jakie stwarzała dla sprawy wojska polskiego sytuacja wewnętrzna społeczeństwa polskiego w Rosji, dodać należy trudności, z pewnością nie mniejsze, wypływające z ustosunkowania się do tego wojska rewolucjonistów rosyjskich, w szczególności bolszewików, kierujących losami Rosji już niemal od chwili powstania formacyj polskich. Bolszewicy nie mogli być przychylni żadnej innej, niż ich własna, zorganizowanej sile na terenie rosyjskim, nietylko dlatego, że przykład takiej, czy innej siły podziałałby zaraźliwie na inne elementy antybolszewickie, ale również dlatego, że dążenia panbolszewickie, odrazu zidentyfikowane z dążeniami panrosyjskiemi, nie mogły dopuszczać do formowania wojsk narodowościowych, które w każdej chwili mogły się obrócić przeciwko Rosji, a zarazem przeciw tym czy innym jej tymczasowym panom.

Z takiemi to złemi siłami walczyć musiał żołnierz polski w Rosji i w takich warunkach kuło się tam polski czyn zbrojny.

W kilka miesięcy po wybuchu rewolucji dywizja polska liczyła 18 tysięcy żołnierzy, zaś 12 tysięcy oczekiwało na włączenie ich do dywizji zapasowej w Białogrodzie. Siła bojowa tego wojska wyraziła się dobitnie, jeszcze przed rozstrzygnięciem sprawy przekształcenia dywizji na korpus, w kilkunastu walkach, stoczonych zwycięsko z Niemcami w niezwykle trudnych warunkach. Z bitew tych najbardziej charakterystyczną i najbardziej znaną szerszemu ogółowi spo-

łeczeństwa jest bitwa pod Krechowcami, która wsławiła pułk ułanów Mościckiego.

Zniecierpliwione daremnem oczekiwaniem na wynik zmagań się dwóch przeciwnych „orjentacyj" politycznych, masy żołnierskie tworzą tymczasem we wszystkich oddziałach rozkładającego się szybko wojska rosyjskiego „Związki Wojskowych Polaków", które wybrać miały delegatów na walny zjazd, mający na celu wszechstronne oświetlenie sprawy polskich formacyj wojskowych w Rosji i doprowadzenie do ostatecznej decyzji.

Niestety, organizacja Związków, mająca w założeniu swem na celu ułatwienie żołnierzom Polakom dostanie się do szeregów polskich, w rzeczywistości stała się siedliskiem wszelkich intryg i miejscem, gdzie żołnierz mógł tylko zatracić swe żołnierskie cnoty [1]).

Zjazd delegatów Związków Wojskowych Polaków, odbyty w Peterburgu w czerwcu 1917 roku, wypowiedział się, jak wiadomo, za tworzeniem wojska polskiego, sama jednak formuła, w którą ubrano stosowną uchwałę, była tak blada, jak bladym jest każdy kompromis. Również wyrazem najdalej idącej kompromisowości był skład obranego przez zjazd Polskiego Wojskowego Komitetu Wykonawczego. Nie kompromisową, bo jednogłośnie powziętą uchwałą była tylko jedna — wybór Józefa Piłsudskiego na honorowego prezesa zjazdu. W ten sposób po raz pierwszy w Rosji rzucono jawnie hasło niezależnej od żadnego z zaborców armji polskiej.

Zaraz po zjeździe [2]) P. K. W. wydał rozkaz do wszystkich Związków Wojskowych Polaków, nawołujący je do skupiania się w oddzielne kompanje lub oddziały. Ponieważ równolegle do P. K. W. funcjonował Zarząd Centralny Związków, wprowadzając niejednokrotnie do pracy zamieszanie, więc obie te instytucje zlały się ze sobą pod nazwą Naczelnego Polskiego Komitetu Wojskowego, zwanego w skrócie Naczpolem, a jeszcze później przekształconego na „Naczelną Radę Polskiej Siły Zbrojnej". Na skutek zwrócenia się Naczpolu do naczelnego dowództwa rosyjskiego, mianowany został przez

[1]) Przebywającej jako lekarz w czołowym oddziale chirurgicznym, udało mi się brać czynny udział w organizowaniu i prowadzeniu takiego Związku.

[2]) Brałam w tym zjeździe udział w charakterze delegatki 25 korpusu i nigdy nie zapomnę straszliwego napięcia nerwów, z jakiem pracowaliśmy tam wszyscy i ogromnego zapału, jaki w tą sprawę wkładali szeregowcy, dość licznie reprezentowani. Upamiętniły mi ten zjazd również i takie wyjątkowe dla mnie okoliczności, że byłam tam jedyną kobietą i że powierzono mi, zapewne, zresztą, przez kurtuazję, przewodnictwo komisji, mającej na celu opracowanie deklaracji w sprawie stosunku do kraju i do rewolucji rosyjskiej.

władze rosyjskie na dowódcę pierwszego formującego się korpusu polskiego generał Dowbór-Muśnicki oraz wydane zostało zarządzenie, że dwie dywizje rosyjskie mają być spolonizowane i cały ich inwentarz oddany Polakom.

Tak powstał I Korpus wschodni, a wkrótce potem formować się zaczęły korpusy drugi i trzeci na Bessarabji i w Kijowszczyźnie, a prócz nich powstawać zaczęły liczne mniejsze oddziały polskie, jak oddział odeski, brygada kaukaska w Taszkencie i wiele jeszcze innych.

Nikt, kto w pracy tej nie brał udziału, nie mógł mieć pojęcia o tem, w jakiem tempie, mimo wszelkich trudności, szło formowanie wojska i jak się wszystko załamywało dopiero tam, gdzie trzeba było jedności, zdecydowanej ręki — jednego Wodza. O Wodzu tym marzyło wojsko tak nieustannie, że niektórzy dochodzili na tem tle do halucynacyj, wciąż im się zdawało, że jedzie do Rosji Piłsudski i nawet po uwięzieniu Komendanta nie wierzono jeszcze w niemożliwość Jego przybycia.

Wreszcie przybył na tamtą stronę frontu — Haller. Nie pierwsza, ale druga brygada; przybyła zresztą za późno, aby sytuację wojsk polskich w Rosji uratować. Drugiej brygadzie legjonowej zawdzięcza jednak II Korpus wschodni, dowodzony przez obcego duchowi polskiemu generała Stankiewicza, że żołnierzom tego korpusu, połączonym z żołnierzami II brygady, danem było drogo sprzedać swą kapitulację przed otaczającymi ich Niemcami i wsławić imię II Korpusu bitwą pod Kaniowem.

Nie miały tej pociechy Korpusy I i III. III Korpus, dowodzony przez generała Michaelisa, padł ofiarą prywaty miejscowego obywatelstwa. W chwili, gdy nastroje bolszewickie względem społeczeństwa i wojska polskiego nie przedstawiały już najmniejszej wątpliwości, poszczególne oddziały III Korpusu zostały porozmieszczane po wsiach i folwarkach jako ochrona polskich dworów i w wyniku większość ich została wymordowana.

Dzieje I Korpusu zająć muszą trochę więcej miejsca, bo tak chciała historja, streścić usiłuje szkic poniższy.

W początku roku 1918 sytuacja polskich formacyj wschodnich niezmiernie była już ciężka. Poszczególne oddziały I Korpusu rozdzielone były dużemi nieraz przestrzeniami, uniemożliwiającemi szybką koncentrację, 2 największe ośrodki rozproszonych oddziałów I Korpusu: Bobrujsk i Mińsk były już od siebie odcięte pierścieniem wojska bolszewickiego, zaś od obu tych ośrodków odcięte było zkolei

centrum III Korpusu — Kijów. Nie było w tych warunkach mowy o wzajemnem porozumieniu i współdziałaniu ze sobą rozlicznych władz tego wojska. Dość wspomnieć, iż prezes „Naczpola" Raczkiewicz, wraz z całym zarządem przeniósł się wówczas do Kijowa, generał Dowbór był w Bobrujsku, zaś w Mińsku działali ad hoc do tego upełnomocnieni przez Naczpol: dr. Orgielbrandt i porucznik Romocki. Rozpoczęto już zbrojne walki z bolszewikami i coraz groźniejsze wieści o zacieśnianiu się pętli niemieckiej czyniły sytuację polskich sił zbrojnych bardzo trudną. Trzeba było śpiesznie szukać jakiegoś wyjścia, jakiejś rady.

Podwójne władze: cywilna i wojskowa, każda na własną rękę, szuka wyjścia i rady i znajduje jako wyjście... Radę Regencyjną.

Obie władze jednocześnie, choć każda oddzielnie, ślą do Warszawy posłów: Naczpol — Osmołowskiego, zaś Dowbór — Mościckiego.

Pułkownik Mościcki ginie po drodze z bolszewickiej ręki. Przed Radą Regencyjną staje zatem tylko Osmołowski.

I dzieje się rzecz dziwna.

W chwili, gdy masy żołnierza polskiego, rozsiane po przestworzach Rosji, rozpalonemi oczyma patrzą w stronę kraju, czy nie nadchodzi stamtąd Wódz, który ich do czynu poprowadzi — inne masy, tam w kraju, marzą o pomocy ze wschodu, gdzie stoi ponoć gotowe do boju 180 tysięcy żołnierza polskiego.

Przyjeżdża do Warszawy Osmołowski, a wraz z nim dwaj inni delegaci „Naczpolu" — Koziełł-Poklewski i Romocki i stają przed Radą Regencyjną. Patrzą na siebie 2 kollektywy — dwie bezsiły.

I nie znajdują żadnej drogi, nie mają sobie nic do powiedzenia, prócz ogólników o konieczności „trzymania się" i wzajemnych komplementów.

A potem p. Osmołowski jedzie do Brześcia i układa z Niemcami, 8 punktów porozumienia, które oddają Korpus komendzie niemieckiej. Stara się udaremnić to porozumienie garstka spiskowców, złączonych w Związku Broni. Wysiłkiem nadludzkim a jednocześnie pomysłowością 12 oficerów, kilkudziesięciu żołnierzy i garstki kobiet, odbiera miasto trzynastotysięcznemu garnizonowi bolszewickiemu.

Tylko trzy dni jednakże udaje się związkowcom utrzymać zdobycz w swych rękach. Na rozkaz Dowbora muszą oddać Niemcom Mińsk. Opuszczają więc miasto, unosząc ze sobą odebraną bolszewikom kasę dowództwa frontu zachodniego. Sztab spiskowców przenosi się do Bobrujska, i oddaje swe siły do dyspozycji generała Dowbora, ale czyni to po długim namyśle. Długo naradzają się, czy nie

oddać skarb, zdobyty w Mińsku. Nie ufają mu już wcale: Romocki aeroplanem przywiózł do Bobrujska 8 punktów układów z Niemcami kto wie, czy Dowbór ich nie podpisze.

Jednak większość nie wierzy w możliwość takiego rozwiązania. Zresztą, chcą być lojalni do końca, dopóki można będzie być Dowborowi posłusznym, bez ujmy dla honoru polskiego żołnierza. Dowbór chętnie napozór przyjmuje współpracę związkowców. Przyjmuje też zdobyte od bolszewików pieniądze i, jako dowód uznania, rozdaje zdobywcom amarantowe wstążeczki. Tylko kobiety nie są przez niego uznane za godne odznaki rycerskiej.

Zaczyna się nowy okres życia Korpusu i nowy okres pracy Związku Broni.

W malutkim, trzypowiatowym rejonie, zajętym przez Korpus stworzyła się cała republika. Prezydentem a raczej dyktatorem był w niej Dowbór. Przy nim funkcjonowały dwa organy pomocnicze: sztab i Zarząd Cywilny. Zarząd składał się z 2 wydziałów, odgrywających rolę ministerstw: skarbu i spraw wewnętrznych. Jeden z nich nosił nazwę aprowizacyjno - finansowego, drugi administracyjno - policyjnego. Jako autonomiczne jednostki powstały przy naczelniku Zarządu Cywilnego — Sekretarjat dla Spraw Politycznych i Biuro Prasowe. Był nawet skarb tego „państewka", niezależny od skarbu wojskowego i Izba Kontroli. Tworzyła się nawet własna waluta, oparta o zasoby kraju (głównie leśne) i o pożyczkę przymusową, zaciągniętą u miejscowych właścicieli ziemskich. Była też Komisja Likwidacyjna, zarządzająca zdobyczą, zabraną bolszewikom, był wreszcie własny teatr i pismo pół-urzędowe polskie, oraz kilka prywatnych pism żydowskich, białoruskich i rosyjskich. Nie było tylko sejmu. Brakowi temu starało się zaradzić miejscowe ziemiaństwo, zorganizowane w Radzie Mohylowskiej, na platformie: z jednej strony wchodziła w grę obawa przed bolszewikami i chęć zatrzymania jak najdłużej oddziałów polskich w pobliżu swoich majątków — u drugiej zaś, obawa przed świadczeniami na rzecz tych oddziałów. Wpływy tego „sejmu" na rząd Dowbora i rola, jaką odegrały w tragedji bobrujskiej, nie byłyby bez znaczenia dla historyka dziejów polskich formacyj wschodnich.

Przy tak szeroko zakrojonym warsztacie pracy, jakim była republika bobrujska, popularnie zwana „okupacją", nie mogło brakować pracy dla nikogo, a tem bardziej dla konspiratorów ze Związku Broni. Pomimo jednak, iż byli oni jedyną siłą zorganizowaną w Korpusie, nie zajęli w Bobrujsku stanowisk naczelnych. Oni sami tego nie pragnęli. Dowbór zaś im nie dowierzał. Związkowcy dostają się

więc tylko na pomniejsze stanowiska, skąd jednak mogą wszystko obserwować i okazywać pomoc Korpusowi.

Niedługo jednak trwa pokojowa praca związkowców. Wypadki toczą się coraz szybciej, coraz bardziej zaciska się na szyi Korpusu pętla niemiecka. W samym Bobrujsku przebywa już za zgodą Dowbora cały oddział Niemców. Lada chwila Korpus zakończy swój krótki żywot. Nie wystarcza już obserwować i pilnować Dowbora, trzeba działać. Chodzi najpierw o kontakt z krajem. — Mają go Dowbór i Naczpol — zwany już wówczas Naczelną Radą Wojskową. Muszą go nawiązać i spiskowcy. Tylko nie z Radą Regencyjną. Trafić trzeba do ludzi Piłsudskiego.

Wreszcie rozchodzi się wieść radosna: łączność z krajem ostatecznie ustalona. Z ust do ust podają sobie związkowcy nowinę: od Piłsudskiego przyjechał do nas wysłaniec. Mamy już swego komendanta!

Jest nim Lis-Kula. Młody, prawie chłopię, o przeczystych oczach dziecka, które przecież patrzeć umieją, jak oczy męża stanu. Dziwią się trochę spiskowcy, że taki młody, ale nikt mu się nie sprzeciwia. Bije odeń czar przedziwny i moc tak wielka, że starsi o wiele od niego wiekiem i rangą poddają mu się bez wahania.

Szybko padają rozkazy z ust młodziutkiego komendanta. Równie szybko spełniają je spiskowcy. Niema już „Związku Broni". Bez rozkazu Józefa Piłsudskiego, jedynie własną intuicją wiedzeni związkowcy, potrafili pracować nad stworzeniem wojska polskiego tak, jakgdyby On nimi kierował, a więc wchodzą do organizacji przez Niego zawiązanej.

Organizuje więc komendant Lis-Kula zastępy peowiaków. Nie pomija kobiet. Na wyścigi pełnią one ciężką pracę kurjerek i wywiadowczyń a pełnią ją cicho i sprawnie. Robota wre. Chodzi tu o ratowanie honoru polskiego żołnierza.

Lis najpierw w roli sekretarza kierownika Zarządu Aprowizacyjno-Finansowego, później oficera legji oficerskiej przy Korpusie pracuje dzień i noc, jest wszędzie. Praca zaczyna już wydawać poważne wyniki. Może Korpus przejdzie aż na Murman, może weźmie Moskwę... A może tylko zginie w nierównej walce z Niemcami, ale zginie chwalebnie, po rycersku. Inaczej jednak los zrządził.

Generał D. Muśnicki w Bobrujsku zapewnił wprawdzie delegację oficerów, że nie myśli o kapitulacji, ale jednocześnie pełnomocnik jego, gen. Karnicki, kapitulację tę w Mińsku podpisywał.

Późno doszła wieść o tem do spiskowców — ale przecież jeszcze dość wcześnie, aby próbować ocalić honor Korpusu, zmuszając go do walki. Jedna była ku temu droga, jeśli Dowbór nie zgodziłby się na

objęcie dowództwa nad akcją projektowaną przez spiskowców — trzeba byłoby go aresztować i na czele Korpusu postawić płk. Barthla de Weydenthal'a. Trzeba spróbować przebić się przez kordon niemiecki, a jeśli to się nie uda — twierdzę bobrujską wysadzić w powietrze i śmiercią swą ogłosić całemu światu protest żołnierzy polskich przeciwko poddaniu się Niemcom.

Dowbór nie zgodził się na żadną akcję bojową, więc zostaje aresztowany wraz z przebywającymi w Korpusie oficerami niemieckimi.

Spiskowcy uwalniają Dowbora i, zgodnie z rycerskiem swem sumieniem, chcą być przezeń aresztowani. Jednak Dowbór, bojąc się niepopularności, woli kazać im opuścić Bobrujsk. Spiskowcy udają się do Kijowa. W rękach Dowbora zostaje tylko 2 z pośród uczestników zamachu i sąd polowy obu ich uniewinnia. „Ostatnie słowo" jednego z nich — Melchjora Wańkowicza — wygłoszone na tym sądzie jest płomienną mową żołnierza, który ma być skazany za to, że nie chciał dopuścić do shańbienia munduru polskiego kapitulacją przed wrogiem.

W dn. 22/V 18 r. o g. 9 r. oddziały załogi Bobrujska stawiły się na placu koszarowym na ostatnią rewję. Dowbór wystąpił na niej z mową, tłumacząc pobudki, które go skłoniły do kapitulacji. Nazajutrz zaczęła się demobilizacja Korpusu i przekazywanie koni oraz inwentarza władzom niemieckim.

Ci, co nie mogli się pogodzić z myślą o powrocie do kraju, bez zestawienia imienia polskiego z akcją zbrojną przeciwko Niemcom, udali się wraz z Barthlem i Lisem-Kulą do Kijowa, gdzie działała Komenda Naczelna P. O. W.

Tam na dłuższy okres czasu skoncentrowała się praca i stamtąd szły transporty rozbitków ze wszystkich 3-ch korpusów daleko na Murman, gdzie skupiać się miały pod wodzą posłanego tam uprzednio generała Hallera.

Zofja Wańkowiczowa.

ZWIĄZEK BRONI.

(Kartki z pamiętnika).

Kalużański[1]) dwór był prześliczny. „Wiadomo", że ciemnemi nocami „duchy" przewracały w salonie wielkie, stare księgi, a na pewno w najjaśniejsze dni chodziły po pokojach, między staremi meblami, dawne myśli, marzenia i — tęsknota serc.

Przyjechałam do Kalużyc zaraz po ślubie i stara Alina, „panna respektowa" matki mego męża, mówiła: „Wcale za małżeństwo was nie uważam, dzieciaki się dziwaczą i tyle". Zato wieczorami, w wielkiej przyjaźni z panną Aliną, otwierałyśmy starą skrzynkę listów ojca z Syberji: listów do „matki" z długich syberyjskich lat wygnania po 63-im roku: „Straszny tu dziś wiatr w Irkucku... a może szeleści teraz liśćmi lip kalużańskich, a może dotknął i twojej sukni, Mateńko?!".

Wkrótce mieszkańców kalużańskiego domu rozwiała po świecie wojna. Zaczęły przychodzić listy. Nie było już w nich bezsilnej i nieukojonej tęsknoty syberyjskich listów z przed pół wieku. Wielkiemi bo krokami nadciągają zdarzenia i idzie Możność Czynu.

Mąż mój, Melchjor Wańkowicz, z bratem swoim Witoldem, pojechali do Piotrogrodu, do utworzonego po Zjeździe Wojskowych Polaków wszystkich frontów „Naczpola" (Naczelny Komitet Polskich Sił Zbrojnych).

Sprawa, zdawało się jasna — prosta nie była. Zjazd powziął uchwały kompromisowe i wyłonił ludzi kompromisowych. Zamiast postanowienia tworzenia wojska, wynaleziono dyplomatyczną nazwę

[1]) Kalużyce, ziemi Mińskiej.

„polskich sił zbrojnych", zamiast hasła „bić Niemców", nieszkodliwy program „skupiania się".

Z okien kałużyckiego dworu widziałam sercem prostą drogę: — bić kolejno tego najeźdźcę, który jest do bicia. Czemu to straszne czekanie na wolę kraju? Piłsudski na pewno każe formować wojsko polskie, gdzie się tylko da.

Trzeba robić, co w naszej mocy. Mąż mój odrzuca propozycję prezesa Naczelnego Komitetu, Raczkiewicza, pracy przy Komitecie w Piotrogrodzie i osiadamy w Mińsku, gdzie zaczyna się wtedy praca wojskowa: objazdy werbownicze frontów rosyjskich, gorące przemówienia do żołnierzy, tworzenie Związku Wojskowych Polaków—i długie wieczorne narady. Widziałam, że wszyscy nasi chłopcy mają twarze szare ze zmęczenia i oczy „nie z tego świata" — ale były to dla mnie ciągłe jeszcze czasy czekania: akcja rozgrywała się na froncie w wojsku rosyjskiem. Wyjeżdżali — przyjeżdżali. Czekałam w milczeniu długie wieczory, aż skończą się naradzać. Czułam, że nie mogę spytać o to, co jest „główne".

Zamieszkałam u Witoldów Wańkowiczów na Zacharzewskim zaułku, bo w tym czasie pogromy zrównały prawie z ziemią dwór kałużański, a gdy pojechałam tam po jakieś papiery ze skrytki w ścianie, zastałam wielkiego puhacza, rezydującego w sali jadalnej, a park zasypany, jak śniegiem, podartemi kartkami bibljoteki kałużańskiej.

Tymczasem praca — częściowo tylko i w zewnętrznych faktach narazie przeze mnie widziana, była to praca konspiracji wojskowej, zwanej „Związkiem Broni" i przelanej później w kadry P. O. W.

Do Komendy Głównej Związku Broni należeli: por. Tadeusz Lechnicki, Henryk Bagiński i Melchjor Wańkowicz.

Z kobiet przyjęto do Związku Broni a potem do Koła Rycerskiego trzy: Hannę Hubicką, która była potem naszą komendantką, Marję Bagińską i Zofję Wańkowiczową.

Każdą z nas przyjęto do organizacji oddzielnie. Złożyłam przysięgę w „Związku Broni":

„... przysięgam na tę Polskę, którą w sercu noszę, że wiary we mnie pokładanej nie zawiodę, prac ani tajemnic organizacji nie wydam, za towarzyszy będę murem stał, a honoru żołnierza polskiego nigdy nie splamię".

Otrzymałyśmy następnie określone zadanie: stworzenie pomocniczej roboty kobiecej. Związkowi Broni chodziło o scementowanie ideowe czynu zbrojnego. Inteligencja była ideowo rozbita, prosty żoł-

nierz bądź zmęczony, bądź kuszony hasłami rewolucji. A wszyscy razem — czuli się na emigracji bez gruntu pod nogami, bez autorytetu nad głową.

Niebawem istnieje już kilkanaście kół Polek w kilkunastu miastach. Miały one w polską emigrację w Rosji, zamkniętą lasem bagnetów wrogich od ojczyzny, nie widzącą możności samodzielnego czynu narodowego — nieść oddech narodowego instynktu, przepalić apatję, opieszałość i słabość duchową ogniem idei: postawić społeczeństwo za żołnierzem. Miały zbliżyć się do żołnierza, zamęczonego długą wojną, tak długo pozostawionego samemu sobie w szeregach rosyjskich — i pomóc budować polskiego żołnierza - obywatela.

Instrukcja była jasna.

H. Hubicka była naszym łącznikiem z Oddziałem męskim ze Związku Broni, gdyż wspólnych zebrań, ze względu na bezpieczeństwo pracy, nie było prawie nigdy — i objęła pracę jako przewodnicząca w zarządzie mińskiego Koła Polek. Całą robotę organizacyjną podjęłyśmy we dwie z M. Bagińską. Koło Polek, powstałe w Mińsku 8-go października 1917 r. (późniejsza centrala), szybko rośnie liczebnie, dosięga liczby 400 członkiń i coraz to rozszerza zakres swej pracy: w październiku powstaje sekcja oświatowa, gospodarcza i dochodów niestałych, w listopadzie sanitarna i matek chrzestnych. Do każdej sekcji wyznaczono jedną z członkiń Związku Broni, dla organizowania pracy w myśl instrukcji Związku. Do Związku Broni przyjęte zostały wtedy nowe członkinie: J. Lewińska, J. Żalińska, J. Chrostowska, I. Łowicka, M. Żmudowska i jedna jeszcze z koleżanek z Koła, której nazwiska nie pamiętam, tylko imię: Janina, a której odwaga dopomogła mi w późniejszych dziejach w komisarjacie bolszewickim w Mińsku. Później nieco przyjęto do organizacji jeszcze Marję Wańkowiczową. Po zlaniu się Związku Broni z P.O.W. w Związek Walki Czynnej, były w organizacji: Stanisława Kuszelewska, A. Roszkowska, Marta Zaleska, i A. Platerowa. Raz na tydzień miałyśmy krótką zbiórkę, na której komendantka lub ktoś przysłany od „chłopców" informował nas o pracach organizacji lub przynosił polecenia do wypełnienia. W tym czasie J. Żalińska, jadąc jako kurjerka z jakiemś poleceniem organizacyjnem, gdzieś koło Mohylowa, „wpadła" i dostała się do więzienia bolszewickiego. Jakoś sobie jednak poradziła i na którejś zbiórce u Hubickiej zjawiła się, witana przez nas „owacyjnie".

A nazewnątrz szła praca Koła Polek. Wszystkie wieczory zajęły zebrania, wszystkie dni praca w sekcjach. Współpracowała cały czas z nami Konstancja Łubieńska. Należą do Koła liczne szeregi biuralistek, nauczycielek, panien sklepowych, są w niem także

kelnerki i szwaczki, które mogły ofiarowywać ze swego dnia roboczego nie więcej niż parę godzin tygodniowo, ale z tych drobnych składek zbierał się kapitał pracy, rósł czyn społeczny, który stawał za wojskiem. Udaje się stworzyć pracę specjalnego typu, której najcenniejszą podstawę stanowią wkładki pracy szerokich demokratycznych warstw Koła Polek.

Do każdego rubla, zebranego na cele wojska polskiego, doczepiała się tam praca dziesięciokrotnej wartości. Ten system pracy okazał się też bardzo pożyteczny w późniejszych ciężkich i materjalnych warunkach, w jakich znalazł się I Korpus.

Ale tymczasem Korpus się formował, a nasza uwaga zwrócona była na sekcję oświatową, która rozsyłała pisma, broszury i ruchome bibljoteczki do poszczególnych oddziałów, kwaterujących w odludziach rosyjskich i pozbawionych zupełnie książek polskich. Nawiązujemy kontakt z Korpusem. O potrzebach żołnierzy wie najlepiej sekcja chrzestnych matek z listów żołnierskich, choć często powtarza się w nich: „niczego nam nie potrzeba, chyba tylko jednego życzliwego słowa". Często jednak żołnierze proszą o różne rzeczy, które natychmiast wysyła im Koło: więc najpierw niezliczone ilości upragnionych orzełków na czapki i tyle amarantu, ile tylko u żydków mińskich się znajdzie: trzeba przecież z obdartego szynela rosyjskiego wydobyć żołnierza polskiego. Sekcja gospodarcza wysyła to wszystko sumiennie a raz miała wiele trudności zanim wysłała upragniony w którymś oddziale ołtarz polowy.

Funduszu na te imprezy dostarczała sekcja dochodów niestałych. Przewodniczącą obu sekcyj była na początku istnienia Koła Marja Bagińska. W sekcji sanitarnej pracowała Marja Żmudowska, mająca w tym kierunku kwalifikacje zawodowe. Sekcję oświatową prowadziła Zofja Wańkowiczowa.

Największy kłopot był z książkami: księgarnie polskie były za lasem bagnetów. Wysłańcy z oddziałów po książki odjeżdżają rozgoryczeni, że dla nich nie starczyło. Wpadam na pomysł jechania po książki do rozbitych pogromami dworów polskich. Któraś z członkiń Koła Polek informuje mnie, że niedawno rozgromiono dwór w Bobowni, pani Truskolaskiej, koło Nieświeża, i że tam była piękna bibljoteka.

W Nieświeżu zwołuję organizacyjne zebranie Koła Polek[1]), otrzymuję pozwolenie pani Truskolaskiej na zabranie książek i jadę sa-

[1]) Organizuje się wtedy sekcja kół prowincjonalnych, która utrzymuje kontakt z kołami w Rohaczewie, Starym Bychowie, Mohylowie i Dokszycach. Koła tworzyły się, ginęły i znów powstawały w miarę działań i potrzeb I-go Korpusu. Powstało ogółem w Rosji około dwudziestu kół Polek.

niami do Bobowni. Jest tam w zniszczonym dworze „komitet bolszewicki". Na moją prośbę odpowiadają, że „wprawdzie palą tem w piecu", ale pozwalają zabrać „skolko ugodno". Książki do Mińska dojechały i były wysłane do oddziałów wedle spisu.

Dziś, gdy przypominam sobie wędrówkę saniami przez śnieżne przestrzenie z pakami książek, nie wydaje mi się to jednym z najrozsądniejszych czynów mego życia — ale wtedy potrzebne były książki i koniec. W Kole Polek powiedziane było wyraźnie; wszystko, co jest do zrobienia, trzeba robić zaraz, nie wolno mówić: nie mogę, gdy coś zrobić trzeba.

Wypracowało się w biegu wypadków moralne oblicze stowarzyszenia: budowała się odwaga czynu, jednostki i stowarzyszenia, wyrabiała się karność, punktualność i dokładność w pracy — cechy, które bardzo się przydały w czasie poważnych wydarzeń, które nadchodziły.

Związek Broni pracuje tymczasem nad „ubojowieniem" korpusu. Komendantem na I dywizję i komendantem pancerki „Związek Broni" jest por. Stanisław Małagowski[1]), na II dywizję por. Zdzisław Zabłocki, na III dywizję Jan Litauer. Z ramienia Związku Broni byli wyznaczeni komendanci we wszystkich oddziałach.

W Mińsku poza członkami Komendy Głównej prowadzili pracę: dr. Stefan Hubicki, Stanisław Żaliński i Witold Wańkowicz.

Skupieni w Związku Broni, krzepili się w ciężkich warunkach· bez wodza, bez oparcia politycznego, bez środków materjalnych wbrew rewolucji z jednej, wbrew rutynie z drugiej strony, przeciw bolszewikom, przeciw Niemcom, przeciw własnemu dowództwu, bawiącemu się w „staroreżimną armję", przeciw balansującemu Naczpolowi i endekującej Radzie Międzypartyjnej.

Wieści z kraju nie było. Rozchwytywaliśmy „Piłsudczyków" Kadena, książkę o legjonach Bertolda Merwina, poezje Mączki...

Jakim cudem znalazły się one w naszym ręku — nie wiem. Komenda Związku Broni z ilustracyj, jakie się znajdowały w tych książkach, porobiła przezrocza, zakupiła latarnie i rozsyłała do oddziałów. Wiem, że np. mąż mój miał w świetlicach żołnierskich kół Polek 28 odczytów o czynie legjonowym. Trzeba było teraz pracę w najwyższem napięciu wszystkich sił posuwać, bo czuliśmy, że idą groźne wypadki, które jej wyniki położą pod obuchem próby.

[1]) Por. Stanisław Małagowski poległ 25 lipca 1919 r. pod wsią Pohorelce ziemi Mińskiej jako komendant pociągu pancernego „Śmiały".

W ciągu grudnia 1917 roku ponawiają się zamachy bolszewickie, na wojsko polskie. Wkrótce rozpoczyna się otwarta wojna. Pustoszeje Mińsk, wychodzi sztab, tabory, kawalerja. Broni się osaczony Bobrujsk. Ku niemu przekrada się żołnierz polski. Sytuacja jest tragiczna; I dywizja stoi w Bychowie, gub. mohylowskiej, II dywizja w Zubcowie, gub. twerskiej, III dywizja w Jelni, gub. smoleńskiej, a artylerja w gub. witebskiej. W przededniu walk zaczynają się te oddziały koncentrować w warunkach nad wyraz trudnych. Znaczy się ta droga bohaterstwem osobistem tylu ludzi i długotrwałemi marszami, jak sławny czterystuwiorstowy przemarsz III dywizji. Wojsko bije się podczas marszu.

Związek Broni wysyła do Bobrujska Kobylańskiego[1]), który w przebraniu bolszewickiem idzie do Bobrujska i przynosi wieści o tragicznem położeniu walczących. Pamiętam zebranie w mieszkaniu Witoldów Wańkowiczów, na którem Kobylański zdaje relację. Przemawiano wtedy gorąco: przedrzeć się do Bobrujska i, o ileby się walka nie udała, wysadzić się z fortecą w powietrze na znak dla kraju, że walczymy. Komenda zadecydowała jednak wtedy nie skupienie się w Bobrujsku, ale rozesłała związkowców do poszczególnych formacyj polskich, śpieszących forsownemi marszami do Bobrujska.

Zaczynają jedna za drugą nadchodzić wieści o bijących się podczas marszu oddziałach, o pociągach, wykolejonych przez bolszewików i obstawionych karabinami maszynowemi, o ciężkiej ranie płk. Maciejewskiego, o śmierci komendanta na I dywizję Jana Litauera, rozstrzelanego pod Smoleńskiem i komendanta na II dywizję Zdzisława Zabłockiego, poległego pod Uszą. Wiadomość ta przyszła do mnie niespodziewanie w Kole Polek, gdzie wstąpiłam późnym wieczorem i zastałam rzędem siedzące na ławce, milczące, ogłuszone przejściami, żony oficerów, które wraz z dziećmi jechały temi „eszelonowemi" pociągami, które bolszewicy obstawili karabinami maszynowemi. Zajęła się nimi serdecznie, obecna wtedy w Kole, wiceprzewodnicząca, Konstancja Łubieńska.

Zaraz na drugi dzień i następnych dni zaczyna napływać do Mińska rozproszony żołnierz z rozbitych oddziałów.

Dnia 8-go lutego 1918 roku, na mocy porozumienia Koła Polek z Tow. Przyjaciół Żołnierza Polskiego, organizuje się w Mińsku „Pogotowie Wojenne", prowadzone przez wyznaczone członkinie Zw. Broni, które uruchamia 5 działów pracy: mieszkaniowy, żywnościowy,

[1]) Kobylański poległ w 1919 r., trafiony kulą w czoło, gdy prowadził żołnierzy do ataku.

odzieżowy, sanitarny i opieki nad więźniami. Zarząd „Pogotowia", związany ścisłym regulaminem wojskowym, stawia sobie jako cel: współdziałanie z akcją bojową I Korpusu. Żołnierzy, przybywających do Mińska z rozbitych, rozproszonych oddziałów, gromadzi w doraźnie urządzonych gospodach, gdzie dostają mieszkanie i jedzenie, zaopatruje w odzież i żywność na drogę tych, co chcą przedrzeć się do Bobrujska. Ukrywa oficerów po mieszkaniach prywatnych i robi dla nich skład „szyneli" i czapek, chroniących ich od śmierci. W szpitalu organizuje opiekę nad rannymi, a w więzieniu nad 108 aresztowanymi, którym dawano przez dwa tygodnie obiady, lekarstwa, bieliznę, gazety, a wreszcie pieniądze i dokumenty, potrzebne do ucieczki.

Opiekę nad więźniami prowadziły harcerki mińskie z drużynową, Stasią Kuszelewską, na czele[1]). Czasem Stasia zapraszała którąś z nas, ażeby poszła do uwięzionych żołnierzy i oficerów. Figurowałyśmy więc zwykle jako żony i narzeczone, a rolę córek spełniały skautki. Wreszcie któregoś ciemnego wieczora, przy wywożeniu więźniów z Mińska, udało się Stasi z harcerzami wyprawić ich zupełnie gdzie indziej, niż byli wysyłani „za dokumentami" w głąb Rosji. Spotkałam jednego z tych oficerów później w Bobrujsku. Opowiadał mi, że tam przyjęły ich inne koła Polek, oczywiście z własnej inicjatywy, bo o porozumieniu wtedy nie było mowy. Nie zapomnę nigdy jasnej, radosnej twarzyczki Stasi, „że się udało" i zaaferowanych dziewczynek z warkoczami, wędrujących w swojej harcerskiej służbie z „zapasami" do więzień.

Dla tych nie było nic „niemożliwego": pewnego dnia irytowałam się w biurze Pogotowia, że za mało mamy bielizny i lekarstw — same sobie mamy radzić, czy nie?! — mówię do Stasi. Na drugi dzień były w naszem posiadaniu 4 wozy bielizny, środków opatrunkowych i lekarstw: mińscy harcerze, przebrani za bolszewickich żołnierzy ze Stasią Kuszelewską[2]), jako „siostrą miłosierdzia" na czele,

[1]) Materjału o pracy harcerek mińskich udzieliła mi S. Kuszelewska.

[2]) Cały oddział opieki nad więźniami oddany został wyłącznie w ręce żeńskiej drużyny skautowej, im. Emilji Plater, która to drużyna weszła do Koła Polek, jako sekcja autonomiczna. Na czele drużyny stała druhna Kuszelewska, a prace drużyny prowadziły najdzielniej: Tejszerska Bułhakówna, Irka i Zosia Lejmbachówny, Sarnacka, Michałowska i wiele innych — młodziutki lecz wspaniały materjł ideowy, jak twierdziła drużynowa. W dwa lata później, już bez dowództwa Kuszelewskiej, większość z nich zapisała własną pracą a nawet śmiercią jak ś. p. Dziunia Tejszerska przepiękną kartę w historji mińskiego P. O. W., prowadząc robotę dywersyjną na tyłach bolszewickich pod bezpośredniemi rozkazami Sztabu Generalnego w Warszawie.

wjechali sobie do składów bolszewickich przy szpitalu, jakoś się dogadali, pokazali jakieś dokumenty — naładowali wozy i pojechali. W tych dziwnych składach nie brakło też bomb i drutów kolczastych, które skauci zabrali „na wszelki wypadek" i które potem doktór Hubicki ze Stasią zakopywali w ogrodzie.

Biuro „Pogotowia Wojennego" mieściło się na Zacharzewskiej, w sklepie Ziemianek, a że było to prawie nawprost komisarjatu bolszewickiego i sklep miał wielkie szyby wystawowe, więc bolszewicy jakoś do środka nie zajrzeli. Mówiono mi potem, że było nas kilka skazanych na karę śmierci, ale nastąpiła najpierw akcja polska, potem weszli Niemcy i do wykonania wyroku nie doszło. Zarząd „Pogotowia" stanowiły cztery osoby: trzy związkówki: Hanna Hubicka, Zofja Wańkowiczowa, Marja Wańkowiczowa i Teresa Potocka. Na czele poszczególnych wydziałów stanęły: wydział aprowizacji: Stella Kozieł - Poklewska, wydział odzieży i bielizny — Zofja Czarnocka, wydział mieszkaniowy — Zofja Dziekońska i Marja Świacka, opieki nad więźniami — Stanisława Kuszelewska, sanitarny — Wielopolska i Żmudowska. Biuro „Pogotowia", kierujące pracą prowadziły — Zofja Wańkowiczowa i Teresa hr. Potocka [1]).

Akcja „Pogotowia" staje się z każdym dniem bardziej planowa: ustanawiamy przy pomocy wojskowych i młodzieży rzemieślniczej dziesiętników i setników nad żołnierzami w gospodach i rozproszonymi po mieszkaniach prywatnych. Dziesiętnicy i setnicy pośredniczą w sprawie zaspakajania potrzeb żołnierzy między gospodami, a biurem „Pogotowia" i mają powierzoną nad nimi opiekę i wpływ. Codziennie wieczorem rozmawiamy z nimi w biurze, a nocami robimy spisy żołnierzy, znajdujących się w Mińsku, według ich przydziałów wojskowych. W ten sposób ujmujemy w swoisty plan mobilizacyjny około półtora tysiąca rozbitków — według spisów rozdawanej bielizny. Potem się ta „babska mobilizacja" w akcie obrony Mińska bardzo przydała.

Praca szła w takiem tempie, tak byłam zmęczona, wracając do swego mieszkania na Zacharzewskim zaułku, że niewiele zwracałam uwagi, co się koło mnie działo.

Byłyśmy przyzwyczajone do naszych przygodnych lokatorów, którzy, jak mówiła Marjeta, „kłaniali się nam zdaleka z zimną obojętnością", teraz jednak ludność naszego mieszkania dziwnie wzrosła. Zwróciłam też uwagę Tolowi, że za wiele broni nagromadziło się

---

[1]) Sprawozdania i cyfry podaję według pisma „Wiadomości Wojskowe", Mińsk, 1919.

w domu, czego nie należy robić, gdyż w piwnicy jest odzieżowy skład Koła Polek, a w oficynie mieści się, zakupiona przez Bagińskiego dla „Wiadomości Wojskowych" drukarnia, w której drukowały się konspiracyjne odezwy „Związku Broni". Wywozimy więc, któregoś wieczora, kilka sztuk broni do mieszkania członkini Związku Broni, Ireny Łowickiej.

19 lutego wróciłam wieczorem z biura „Pogotowia" bardzo zmęczona, bo tego dnia kilku związkowców — w tej liczbie mój mąż i Ziemomysł Zaborski — wybierało się przedzierać saniami do Bobrujska. Wyjeżdżali już, kiedy nadbiegł jeden z nich z wiadomością, że wieczorem pójdą pociągi, więc łatwiej będzie się przedostać wśród wracających z frontu żołnierzy rosyjskich. Widzę w pokoju broń porozstawianą i Mel jedzie po Mauser i karabinek, zostawiony parę dni temu u panien Łowickich. Marjeta mówi mi po cichu, że były wieści, że moc bolszewików „wali z frontu" na Mińsk i że to dziś w nocy miasto ma być brane od wewnątrz przez naszych.

Wtedy przydała się w całej pełni nasza kobieca praca „mobilizacyjna". Zgłosiłyśmy Komendzie Związku Broni adresy naszych gospód, będących punktami zbornemi, kompletne spisy przebywających w Mińsku żołnierzy wraz z przydziałami służbowemi, oraz spisy oficerów i ustanowionych przez nas „dziesiętników".

Poszłam położyć się do pokoju Marjety, rozmawiamy o tem, jaka szkoda, że nie umówiłyśmy hasła na wpuszczanie do domu, bo podobno wszędzie w domach są samoobrony. Mamy wprawdzie szafkę, pełną rewolwerów, ale to na nic, gdyby tu wpadła tłuszcza. Marjeta martwi się o śpiącego w przyległym pokoju maleńkiego Jura, ale ogromnie uspokaja ją moje tłumaczenie, że nim dojdą do Jura, to nas już nie będzie....

Leżymy więc. Czytam, potem zasypiam w ubraniu. Aż tu... bach — bach — bach na tejże ulicy Podgórnej. Zrywam się, otwieram lufcik. Tamci, czy nasi? — Dalej, panowie, dalej! Radość w duszy, choć drży zatajony niepokój o swoich. Pukanie. Otwieram: widzę ułan-związkowiec — wpadł się rozgrzać. Grzeję herbatę, wino, daję „walonki". Mówi, że arsenał wzięty — szło siedemnastu ludzi najrozmaiciej uzbrojonych.

Była to robota bojówki Zw. Broni, pod dowództwem Tola, złożonej z 10 ludzi zaprzysiężonych, która od pewnego czasu działała dywersyjnie na bolszewickich tyłach. Wzięcie arsenału dało nam odrazu 66 000 karabinów i kilkaset karabinów maszynowych. Całą noc krążyły samochody, wypełnione bronią, pomiędzy arsenałem i punktami naszego „Pogotowia", w których żołnierze od kilku dni przez nas ewidencjonowani, zbroili się natychmiast i wyruszali na miasto.

Dowiaduję się dalej, że nikt nie został ranny przy wzięciu arsenału, nad którym Mel objął komendę.

Tol z Hubickimi w Komendanturze. Komendanturę objął kpt. Matuszewski. Oddziały zajmują posterunki w mieście, sztab frontu i garaże. Żołnierze z gospód poszli. Wszystko idzie dobrze. Główną uwagę zwrócono na dworzec kolejowy, a konne oddziałki wysłano pod Mińsk.

Około 4-ej nad ranem sytuacja zaczęła się stawać groźna: do Komendantury przyszła wiadomość, że będący na dworcu sztab bolszewicki nie ewakuuje się, że załadowane transporty wojska bolszewickiego wyładowują się i że te wielotysięczne masy uzbrojone mają runąć na Mińsk.

Wtedy Mosiewicz przebrał się za pułkownika niemieckiego, wziął Zaborskiego za adjutanta, przebrał również za szofera wziętego za tłumacza Dangla, werżnął się samochodem w tłum bolszewicki i donośnym głosem kazał im się ewakuować.

Rano wpadła do mnie Stasia Kuszelewska, aby natychmiast otwierać biuro, bo harcerze czekają. Opowiada mi z rozmachem, że całą noc woziła samochodem z nimi broń i że raz warta ich zatrzymała, bo nie wiedzieli, że hasło jest „haubica — hetman".

Pędzimy do biura z radością i śmiechem. Cóż za radosny dzień: ni tamtych, co poszli, ni tych, co idą! Na ulicy, jakby z pod ziemi wyrosły bekiesze, korpusowe czapeczki, nie mające od tylu dni, jako „burżuazyjne" prawa obywatelstwa.

W biurze Pogotowia ruch: znoszą rzeczy, zgłaszają pracę. Dyżurują, jak zwykle, skautki i attaché polskiej Komendantury, którego nam dodali już przed kilku dniami. Wydział aprowizacyjny uruchamia sześć herbaciarni, czynnych dzień i noc, siedem kuchni polowych, które rozwożą jedzenie po gospodach żołnierskich, na posterunki na ulicach miasta. W Komendanturze zakłada sekcja sanitarna Pogotowia punkt opatrunkowy, działający już, zresztą, całą noc, a narazie posyłamy komendzi obiad, bo komendant Matuszewski 3 dni i 3 noce nie wychodził z Komendantury, przyjmując raporty i wydając rozkazy. Straż gmachu trzymają harcerze, w kancelarji Komendantury pracują panie z Koła Polek i harcerki pod kierownictwem Konstancji Łubieńskiej. Harcerki z workami na plecach zbierają po prywatnych mieszkaniach chleb dla żołnierzy, o który tak trudno w Mińsku. Członkinie Koła roznoszą wartom ciepłe rękawiczki i rozdają jedzenie z kuchni polowych.

W polskie ręce dostały się bolszewickie „bogactwa", prócz arsenału, kilkudziesięciu samochodów, materjału telefonicznego i telegraficznego, ogromne składy prowjantów i furażu, odzieży i około 8 miljonów rubli, zabranych na dworcu w Mińsku z wagonów, pełnych bolszewi-

ków, przez bojówkę Związku Broni, pod dowództwem Tola Wańkowicza. Pieniądze liczono w Komendanturze i wysłano do Korpusu wraz z wagonami żywności i odzienia. Trzeba było się śpieszyć, bo oczekiwany gen. Dowbor nie przyjechał, oczekiwana przez nas Legja Rycerska nie przyszła, a zbliżali się Niemcy.

Zapasów było dużo. Rekwirowałyśmy magazyny, raportując o tem Komendanturze. Miałam wtedy zabawne zdarzenie. Pędzę do biura Pogotowia ulicą Magazynową. Podchodzi jakaś nieznana pani:

— Pani mnie nie zna, ale ja o pani wiem. Pokażę zaraz tutaj duży skład rzeczy, co się żołnierzom przydadzą; nikogo niema przy tem.

Idziemy razem. Kilka sal: w jednej pełno kożuchów, butów, a na półkach bielizna, w drugiej aż po sufit zapas suchych kiełbas i sucharów. I tak kilka pokoi. Poprosiłam moją przygodną towarzyszkę, żeby tu poczekała, pilnując wejścia, a sama pędzę do Komendantury.

Kapitan Matuszewski mówi, żebyśmy sobie radziły same, gdyż nawet do składów broni ani jednego żołnierza na wartę dać nie może.

— Broń jest — niech pani da broń paniom i postawi je, gdzie trzeba.

Niema rady, wędruję zpowrotem. Ot bieda! Moje Koło-Polki z bronią obchodzić się nie umieją, jeszcze będzie wypadek (o, siostry ze Strzelca i Drużyn Strzeleckich!). Bierzemy kawałek papieru z pieczątką Koła, piszemy: „zarekwirowane przez Koło Polek" i nalepiamy na drzwiach. Takież kartki nalepiamy potem na zarekwirowanych przez Pogotowie lokalach, gdzie następnie wysyłałyśmy rzeczy z rosyjskich składów. Nie pamiętam, które z pań przy składach pracowały; migają mi w pamięci: poważna, skupiona twarz Niny Chrostowskiej i wesoła, zawadjacka Janki Łowickiej. Komendantura wysłała potem rzeczy te do Korpusu do Bobrujska, a czego nie zdążono wysłać, rozdano ludności.

Następnej nocy zbudzono mnie o 4-ej rano: przyszedł dyżurny skaut z Komendantury. Wyprostowany po wojskowemu, z błyszczącemi radością oczyma, melduje: „jest rozkaz przygotować lokale na kilkuset żołnierzy. Przyjeżdża dowódca I-go Korpusu gen. Dowbór Muśnicki". W chwilę potem z tymże raportem przyszedł do pułkownika Bzowskiego żołnierz. Zaczynam tańczyć po pokoju z radości, ubieram się i biegnę do Teresy Potockiej, która miała szczegółowe spisy wolnych w mieście lokali, znalezionych na zlecenie Pogotowia „na wszelki wypadek" przez harcerki mińskie. Ciemno jeszcze i pusto.

Idziemy z Potocką rozmówić się do Komendantury. Dowiedziałyśmy się tam wtedy o zamierzonem wejściu Niemców do Mińska.

Ale Dowbór nie przyszedł, oczekiwana Legja Rycerska nie przyszła. Zato już w południe weszli Niemcy.

Patrzyłyśmy z okien Pogotowia. Jak szara chmura — szli Niemcy równemi rzędami.

Naprzeciw nich, szpalerem z dwóch stron jechał w przeciwną stronę mały oddziałek naszych „nowych" żółtych ułanów, który sformowano natychmiast po wzięciu Mińska, żeby uspokoić ludność, że wojsko polskie już jest.

Mam w oczach ten gmach Komendantury: wielkie, szare schody i brudne małe skauciki, które już trzecią noc nie spały. Niemcy weszli, błyszczący, eleganccy. Przyjął ich komendant Matuszewski po 52 godzinach bez snu i odpoczynku w szarej, skautowskiej koszuli, słowami:

— Jeśli nie witam panów z bronią w ręku, to tylko dlatego, że nie mam na to rozkazu gen. Dowbora.

Na wieść, że na skutek porozumienia z gen. Dowborem Niemcy weszli do Mińska, skład Komendantury podał się do dymisji. Na czele Komendantury stanął, przysłany przez gen. Dowbora, płk. Biliński, który też następnie, w biegu wydarzeń, zdał zarząd miasta Niemcom.

Nocnym pociągiem pojechała do Bobrujska Marja Bagińska, zawożąc do Korpusu pieniądze.

Pogotowie Wojenne Koła Polek, wymienione w rozkazie Matuszewskiego i odezwie płk. Bilińskiego, dostało potem od Rady Ziemi Mińskiej odznakę honorową — krzyżyk metalowy z napisem „Obrońcom Mińska".

Chmurna wracałam wśród wałęsających się Niemców do domu, gdzie zastaję gwałtowne pakowanie; mąż mój wrzuca jakieś rzeczy do walizy: — nic tu po nas! wyjeżdżamy do Bobrujska!

Zawiązało się bobrujskie Koło Polek. Mińskie Koło pod kierownictwem Konstancji Łubieńskiej dzielnie współpracuje, wysyłając do Korpusu wszystko, co się tylko wysłać dało.

Przewodnictwo bobrujskiego Koła Polek obejmuje Dora Wisznicka. Pracują sekcje: oświatowa i gospodarcza dla gospód w fortecy, a sekcja sanitarna współpracuje z siostrami w fortecznym szpitalu.

Koło bobrujskie staje się centrum pracy Kół Polek. W Bobrujsku tworzy się Zarząd Centralny Kół Polek i podział pracy na okręgi: miński, bobrujski, petersburski i kijowski.

Dużo pracy mi zabiera urządzenie klubu garnizonowego. Dostajemy w fortecy jakąś stajnię po huzarach rosyjskich: oficer, zdający nam ten lokal, tłumaczył, że innego lokalu narazie niema, a ten jest brudny i zły. Zły? — bynajmniej! — obszerny. Doskonały. Zaczynamy same czyścić podłogę, ale przybiegają żołnierze: „sami zrobimy!"

Na drugi dzień podłoga była czysta i ściany bielone.

Potem powędrowałyśmy do pułku inżynierskiego: przyjęli nas nieco zdziwieni naszemi kobiecemi sylwetkami w fortecy, ale bardzo

uprzejmie i natychmiast założyli nam w klubie elektryczność, o którą prosiłyśmy.

24-go marca odbyła się uroczystość otwarcia klubu w fortecy: sala na 14 okien, estrada fornierowa, portrety ks. Józefa i Piłsudskiego, lampki elektryczne u stropu, wieńce z jedliny naokoło ścian.

Po poświęceniu orkiestra odegrała „Boże, coś Polskę". Pierwsze przemówienie miał delegat Związku Broni, wolontarjusz Basiński [1]): o walce za wolność. Po nim przemówił obecny na otwarciu gen. Dowbór.

„Imieniem Polski, dla której mamy walczyć", witałam znajomych z więzień i szpitali w ścianach własnej fortecznej gospody. „Kończąc moje przemówienie, życzę wam nie powrotu do ojczyzny, ale ojczyźnie powrotu do wolności". Była cisza, głęboka cisza w czasie mego przemówienia. Czułam wzruszenie żołnierzy.

Kiedy podniosła się kurtyna, odsłaniając wnętrze chaty polskiej, a w niej dziewczęta z polskiego gimnazjum żeńskiego w Bobrujsku przy kołowrotkach — prawdziwy krzyk tęsknoty za krajem przebiegł po sali...

Jedna z dziewcząt miała prześliczny głos i śpiewała z towarzyszeniem chóru głosów „o jabłoneczce w kwieciu", o „wierzbie na rozstaju" i o „wojence dalekiej".

Mińskie Koło urządziło pocztę między tą „wojenką daleką", a krajem — była to jedyna droga korespondencji z Bobrujska nietylko z krajem, ale i z Mińskiem. Według sprawozdania, złożonego przez sekcję pocztową, pocztą Koła Polek przesłano 4675 listów. W Mińsku byli Niemcy i transporty wygnańców. Jednym z pierwszych takich transportów sprowadziliśmy nasiona, żeby zasiać ogród koło naszego klubu w fortecy.

Przez nasze mieszkanko w koszarach przewijali się jacyś ludzie: szarzy, zakurzeni (bo też kurz był na tych koszarowych przestrzeniach!) i znów „z oczami nie z tego świata". Coś tam pośpiesznie jedli przy stole „kolejką", która czekała pod ścianami, bo niewiele było krzeseł, przyjeżdżali i wyjeżdżali, nocami gadali. Pochłonięta swoją pracą, niewiele widziałam, kto wchodził, kto wychodził, zwróciłam jednak uwagę, że byli i przybysze z dalekich stron „od samego Piłsudskiego". Poznałam wtedy Tadeusza Hołówkę i por. Korkozowicza.

[1]) Basiński, członek Związku Walki Czynnej, potem P. O. W., rozstrzelany w Winnicy przez bolszewików.

którego w Rohaczewie na dworcu witał hucznie, jako wysłannika Komendanta, por. Małagowski w asyście konnych saperów.

Na pancerce „Związek Broni" drukowało się konspiracyjnie pismo Związku Broni „Sumienie". Coraz więcej ludzi z różnych oddziałów przyjeżdżało do komendy po rozkazy. W komendzie byli wtedy: Tadeusz Lechnicki, (który potem pojechał do II-go Korpusu zebrać wieści o pomocy, która nadchodziła i walczył pod Kaniowem), Stefan Hubicki i Melchjor Wańkowicz.

Aż zjawił się w Bobrujsku Lis-Kula: zameldował się gen. Dowborowi i zaczął planową wojskową robotę. Mieliśmy wreszcie naoczną „wolę kraju".

18 maja wyjechałam do Mińska. Wiozłam rewolwery i piroksylinę, którą miały zawieźć do Warszawy Chrostowska i Łowicka, co też uczyniły transportem wygnanczym pod opieką Niemców. Miałam polecenie Lisa: przywieźć cywilnych ubrań dla wywiadowców i hektograf. Jechałam do Mińska towarowym wagonem wśród wygnańczego transportu, wracającego do kraju. Tyle małych dzieci, a tu do wagonu wpadają „jak na złość" iskry — wprost na moją piroksylinę, aż mi się płakać chce, gdyż nie wiem, jak to łatwo eksploduje, a tu tyle dzieci, gasiłam więc iskry rękami i wypaliły się dziury w płaszczu. Wreszcie, dzięki Bogu, wiatr się zmienił. Położyłam się i udaję, że śpię. A tu do wagonu podchodzą jacyś żołnierze niemieccy. „Śpię" więc dalej. Ale słyszę: — „My Poznanioki, powiedźcie tam w Korpusie, że ich Niemcy wkółko opasują".

Zacieśniał się łańcuch niemiecki.

Wyrobiłam przepustkę do Bobrujska, kupiłam hektograf i poszłam do członkini Związku Broni, Jadwigi Lewińskiej, po cywilne ubrania. Niosąc paczkę z ubraniami, spotykam jednego z kuzynów mego męża, który wyskakuje z dorożki ze słowami:

— Wiesz, I Korpus rozbrajają.

Krzyknęłam i paczka wypadła mi z rąk: to znaczy, że nasi się biją!

Była godzina 10 wieczorem. Prezes Naczpola Raczkiewicz zgadza się, abym w jego wagonie jechała do Bobrujska. Mówi, że wyjeżdża o 12-ej w nocy, wskazuje mi Nr. wagonu.

Jest już bardzo mało czasu,biegnę do domu, chwytam paczkę z cywilnemi ubraniami (hektograf najoczywiściej będzie zbyteczny) i pędzę na dworzec. Tam jakiś poczciwy, stary tragarz pomaga mi znaleźć mój wagon wedle wskazanego numeru, który stoi na szynach, gdzieś za stacją w głębokich ciemnościach i z własnej inicjatywy czeka, aż wagon oświetlą i przyjdzie przewodnik wagonu: bo i on ma syna w wojsku w Bobrujsku.

Na stacji Bobrujsk nie widać Niemców, ani też nasi nie stoją. Armat ani karabinów nie słychać... O 5-tej rano dojeżdżamy do stacji Berezyna. Wyskakuję ze swoją paczką. Ranek słoneczny, droga prawie pusta. Koło fortecy stoją na drodze nasze warty: nawet z przepustką dziś przejść przez fortecę nie wolno.

Biegnę do miasta — daleko — trudno biec, bo piasek. Miasto się budzi. Wbiegam do Hubickich, nie nocowali, o 12-ej w nocy wyszli, z nimi Stasia Kuszelewska — Matuszewska. W innych mieszkaniach to samo. Gdzie oni?

W domu na oknie znalazłam tekst depeszy Staśka do podkomendnego mu oficera: Stawić się pod rozkazy szefa sztabu Korpusu Matuszewskiego. Trzeba więc iść do fortecy, ale po drodze zaszłam do domu. Zastaję Staśka, siedzi w jadalnym na krześle pod ścianą. Obok stoi Leszek Majewski. Na środku pokoju stos ręcznych granatów, system 918, pod ścianami broń. Jacyś żołnierze wchodzą, wychodzą, a moje kwiaty, zrzucone z okna przeciągiem ciągle otwartych drzwi, leżą na ziemi w rozbitych doniczkach.

Stasiek siedzi bez ruchu: ma wyraz twarzy człowieka bardzo zmęczonego.

— Wszystko skończone.. Dowbór wypuszczony.

— Co? Dowbora Niemcy aresztowali?!

— Nie... nie chciał się bić... ty nic, kochanie, nie rozumiesz...

W tej chwili wchodzi do pokoju Mel — ma taki dziwny wyraz twarzy, potem związkowiec Kobylański z Legji Rycerskiej, blady jak ściana; od progu mówi gorączkowo, że był właśnie na rewji, którą urządził rano Dowbór... „słyszałem, co mówił..."

Wchodzi ktoś z interesem do Mela. Chłopcy wstają. Staś obejmuje za szyję maszynistę pancerki Dreczkowskiego.

— Cóż, stary, nie będziemy bili Niemców?

— Nie będziemy, panie poruczniku.

Po policzku Dreczkowskiego płyną łzy, odwracam się do okna

Po drodze widzimy jeszcze gotowe karabiny maszynowe i żołnierzy w pełnym rynsztunku, którzy nie wiedzą, że... „już wszystko skończone".

W ogrodzie p. Gieżyńskiej z Koła Polek byli: Lis, Bartha[1]), Matuszewski, Hubiccy, kilku mi nieznanych.

Lis żegnał się z chłopcami. Wtedy okazała się najdobitniej wspaniała dojrzałość Lisa, nieskończenie przerastającego nas wszystkich.

---

[1]) Przemysław Barthel de Weydenthal poległ w Odesie, osłaniając odwrót dywizji Żeligowskiego.

Opanował już nietylko rozpacz, ale nawet zdenerwowanie. Widział perspektywę przyszłości na dzień dzisiejszy. „Tu się przegrało — zaczynamy gdzie indziej od początku". Wszyscy mają rozkaz stawić się na Ukrainie.

Aresztowanego na rozkaz Dowbora Mela zabierają do więzienia garnizonowego. Pakuję różne papiery organizacyjne, których stos był w naszym pokoju, oraz broń i granaty.

Po południu poszłam do fortecy na odwach zobaczyć się w Melem. Straż uderzyła w dzwon, wyszedł dyżurny oficer z 7 pułku piechoty. Znał mnie z klubu, więc wpuścił. Na ucieczkę, proponowaną przez związkowców, Mel nie zgadzał się: chciał rozegrać sprawę do końca.

Późnym wieczorem tego dnia poszłam do Lisa, który wyjeżdżał z Barthą, zapytać, czy niema jakich rozkazów. Było ciemno: taka długa ulica do ich domu i taka gęsta, nieprzenikniona mgła. Bryczka stała przed domem. Bartha przyjął mnie krótko: „był rozkaz jechać na Ukrainę, innych niema". A „Lisek" tak po bratersku troszczył się o nasz los i mówił, by jak najprędzej się z nimi połączyć. Nie widziałam go już nigdy w życiu [1]).

Któregoś z tych dni siostry z bobrujskiego szpitala zatrzymały mnie u siebie na noc. Była tam między niemi Ziuta Wańkowiczówna, która niedawno przyjechała tu po strasznych przejściach szpitala w Cichiniczach, gdzie bohatersko wraz z kilku siostrami doglądały rannych żołnierzy w szpitalu, który dostał się w ręce bolszewików, i same grzebały cały męski personel szpitala z lekarzem na czele, który bolszewicy w ich oczach rozstrzelali.

Straszną wtedy przeżyłam noc. Obudziły mnie strzały gdzieś koło odwachu. Zerwałam się na łóżku i, modląc się, patrzyłam na jasno fosforyzujące wskazówki zegarka. Długa cisza. Potem salwa jedna i druga, gdzieś jakby pod murem i wałem fortecy. Wyobraziłam sobie, że to Niemcy nocą objęli straż fortecy, że związkowcy odbijali Mela z odwachu, że nie udało się i że oto kogoś rozstrzelali.

Pobiegłam do sypialni sióstr i obudziłam Kazię Maykowską, która mi najwięcej serca okazała.

— Kaziu, coś się tam stało! Zobacz, zobacz natychmiast.

Wróciła wkrótce, uspokajając, że nic się nie stało, potem powiedziała mi, że przywieziono do szpitala kilku poparzonych żołnierzy, którzy chcieli w powietrze wysadzać fortecę.

Za chwilę miałam spis: nie, to nie związkowcy, była to jakaś prywatna impreza zrozpaczonych, prostych żołnierzy.

---

[1]) Pplk. Leopold Lis-Kula poległ pod Torczynem na Wołyniu 6-go marca 1919 r.

W kilka dni potem nocą Mel dostał w więzieniu gorączki. Przeniesiono go do szpitala garnizonowego, a przed drzwiami stanęła straż.

Szpitalni koledzy Mela, prości żołnierze, zapytywali go w prostocie ducha, jak myśli: czy będą go rozstrzeliwać pod murami, czy pod wałem.

Nocą warta, stojąca pod drzwiami, przysłała do mnie sanitarjusza: — Czy to prawda, że siostra jest żoną tego wolontarjusza? Niech siostra go zabiera i uciekajcie. My nie przeszkodzimy, bo wiemy, że siedzi „za sprawiedliwość". Powtórzyłam Melowi. Kazał im podziękować. Ale nie może uciekać, bo musi na sądzie przemówić w obronie sprawiedliwości, jak sami o tem mówili.

Na drugi dzień był sąd. Trwał 11 godzin. Przepytano 40 świadków. W przemówieniu swem „obwiniony" napiętnował swych oskarżycieli.

Ze szpitala zabrali nas do swego dworku w Bobrujsku Wańkowiczowie z Birczy i otoczyli serdeczną gościnnością. Leżałam tam chora dwa tygodnie. Odwiedzało nas kilku związkowców, przychodził Stasiek, który zamieszkał tam z dwoma najwierniejszymi Poznańczykami: Szymanowskim[1]) i Dreczkowskim, który swój zapał patrjotyczny wyrażał niezmiennie w tej formie:

— Zaś psia krew muszę zginąć za Polskę i za pana porucznika!

Mieli tam w tym domeczku zapas broni i ćwiczyli się w rzucaniu ręcznych granatów, czekając, aż nadejdą z Ukrainy dalsze rozkazy.

A tymczasem w ogrodzie Wańkowiczów i na innych terenach Bobrujska zakopywano w ziemi broń, amunicję, karabiny maszynowe.

Późnym wieczorem zapukał ktoś do naszego okna. Zerwałam się z łóżka: ktoś z naszych z rozkazem. To ppor. Tadeusz Lechnicki przybywał z Kijowa z rozkazem wysyłki broni i ludzi na Murman. Zamieszkał w mieszkaniu Staśka, który też zaraz został wysłany ze swymi Poznańczykami do Homla dla zorganizowania transportu broni i ludzi na Murman.

Gdy wyszłam pierwszy raz po chorobie, zdziwiłam się, że to czerwiec, że liście na drzewach muszą być zielone, czego przedtem nie zauważyłam. Spotkałam Łubieńską, która z całym spokojem i dzielnością ratowała majątek Koła: „przyda się jeszcze", wykupując sprzedawane przez komisję likwidacyjną rzeczy I-go Korpusu, jak skóry, żelastwo, worki i t. p., robiąc „konkurencję" miejscowym Żydom. (Z czego osiągnięte pieniądze użyto potem dla chorych żołnierzy w szpitalu Ujazdowskim w Warszawie i na zakładanie ognisk żołnierskich w Polsce).

[1]) Żołnierz Szymanowski, związkowiec, rozstrzelany potem w drodze na Murman.

Omówiłyśmy współdziałanie z Kołem Polek w Mohylowie, które teraz mogło się bardzo przydać jadącym na Murman. Wiedziałam też, że w Kole Polek w Moskwie pracują jedne z najdzielniejszych polskie akademiczki, które bez instrukcji wiedziały, co robić dalej. Bobrujskie Koło likwidowała Dora Wisznicka, która zlikwidowany majątek Koła zawiozła do Warszawy, gdzie te pieniądze stały się zakładowym kapitałem naszej organizacji Koła Polek.

Praca kół Polek przenosi się teraz na okrąg kijowski. Na jej czele stała Anna Roszkowska.

Związek Walki Czynnej rozpoczął wysyłkę ludzi i broni na Murman. Jak strasznie męczyła mnie myśl o tych obszarach Rosji, które mają nasi chłopcy przebywać. Miałam w oczach wysyłanych dawniej związkowców: tych dwóch braci o jasnych oczach, których nazwiska nie dowiedziałem się nigdy, a którzy nie wrócili, i mińskiego harcerza, Zygmusia Grabowieckiego, w straszny sposób zamordowanego „bo prac i tajemnic" nie wydał. Starałam się wypowiedzieć por. Lechnickiemu moje racje i niepokoje. Powiedział, że ma rozkaz.

Wkrótce dowiedziałam się o rozstrzelaniu związkowca, bohaterskiego rotmistrza, Bronisława Romera, w którego śmierć długo nie wierzyliśmy, aż dopiero Józef Czapski jeździł do Piotrogrodu szukać wieści o nim i dowiedział się o jego śmierci. Stasiek wyjechał na Ukrainę, gdzie dostał rozkaz wysadzania Niemcom mostów, których też wysadził osiemnaście. Wkrótce pojechał tam i Mel. Byli tam Karol Basiński, redaktor „Białego Orła", oboje Matuszewscy, Hubiccy, Anna Roszkowska i inni, pracujący pod rozkazami Lisa-Kuli.

Korzystając z urlopu, pojechałam transportem wygnańczym na kilka dni do ojca do Warszawy, który tyle lat na nas czekał. Miałam ze sobą małą walizeczkę, cztery rewolwery i zasuniętą za bluzkę przysięgę Związku Broni. Miałam wkrótce wracać na Ukrainę „do nich" i z nimi dalej na Murman.

Stało się inaczej. Wkrótce Koło Polek zawiązywało „Pogotowie Wojenne" w pałacu Staszica na Krakowskiem Przedmieściu, obejmując niemieckie „Soldatenheimy", a brata mego Staśka wezwał gen. Rydz-Śmigły do Krakowa, gdzie objął dowództwo pociągu pancernego „Śmiały", który wyruszał na odsiecz Lwowa. W lipcu 1919 roku poległ na „Śmiałym" w dwa tygodnie po śmierci Kazika[1]) śmiercią żołnierską.

---

[1]) Kazimierz Małagowski, student architektury pol. warszawskiej, poległ 5 lipca 1919 r. pod wsią Zalesie ziemi Wileńskiej.

Oddając dziś do „Służby ojczyźnie" te wspomnienia, my, przyjęte wówczas do „Związku Broni" z miłością najgłębszą składamy wspomnienie wysiłku tych, za którymi szłyśmy wiernie i płomień ich dusz oddajemy Polsce. A żeńskiemu oddziałowi P. O. W. zdajemy raport żeńskiego oddziału Związku Broni, który pracował wtedy daleko od Was, równorzędnie z Wami, w innych tylko warunkach. Wnosiłyśmy — tak jak Wy — w polski czyn zbrojny pomocną rękę, wyciągniętą z czułością serca: „za matkę, za siostrę" i gorącość naszych dusz, dla których niema niemożliwości.

Józefa Michałowska.

Z PRACY P. O. W. W MIŃSKU LITEWSKIM.

W powodzi ukazującej się ostatniemi czasy literatury pamiętnikarskiej z czasów wielkiej wojny jakże nieliczne są wspomnienia kobiet, które w pracy nad uzyskaniem niepodległości brały czynny udział.

Jeszcze rzadziej ukazują się wspomnienia peowiaczek ze wschodu, choć właśnie ich wspomnienia mogłyby wydatnie uzupełnić szczupły materjał historyczny z tego terenu.

Ale jakże tu spisywać swoje wspomnienia, kiedy się nie ma danych, kiedy cały przeważnie materjał historyczny albo został zawczasu zniszczony, albo też po dziś dzień pozostaje przechowywany gdzieś pod ziemią, czekając, aż przyszłe może pokolenia wydobędą go z ukrycia i ukażą światu bohaterstwo bojowników wolności, często młodziutkich chłopców i dziewcząt, skautów i skautek, co życia wiosnę złożyli w ofierze dalekiej Ojczyźnie!...

Z obowiązku przekazania historji imienia jednej z takich młodziutkich bohaterek, komendantki Oddziału Żeńskiego P. O. W. w Mińsku Litewskim, Dziuni Tejszerskiej[1]) i jej nieustraszonego zastępu harcerek (później Oddziału Żeńskiego P. O. W. na Białejrusi) chciałabym choć w krótkim i niekompletnym zarysie opisać dzieje tego Oddziału.

[1]) Dziunia Tejszerska zginęła śmiercią męczeńską, rozstrzelana przez bolszewików w r. 1920.

P. O. W. na Białejrusi zaczęła realnie działać w końcu 1918 r. po opuszczeniu ziemi białoruskiej przez Niemców i zajęciu jej przez bolszewików. Przedtem, o ile mi wiadomo, odbywała się tylko rejestracja i doraźne wywiady. W tym to okresie powstał Oddział Żeński P. O. W., w przeważnej ilości składający się z miejscowych skautek, uczenic ostatnich 2 klas istniejących w Mińsku szkół polskich, pod komendą Dziuni Tejszerskiej (ob. Głóg), uczenicy 8-ej klasy szkoły p. Witwińskiej. Do starszych m. in. zaliczała się Marysia Przybytkówna (Storczyk) zastępowa w miejscowym skautingu, ja (miałam wówczas lat 18, ale skończyłam już pensję), Józia Witkowska (Wita), ob. Zofja Czernichowska (Promyk), która była bardzo poważna, bo była już aż... nauczycielką. Miałyśmy też w swojem gronie jeszcze kilka poważnych obywatelek; a więc: Jadwigę Konopacką (Matka), matkę Marysi Konopackiej (Wrzos) peowiaczki również, ob. ś. p. Zofję Łętkowską, zmarłą parę lat temu na gruźlicę, matkę 5-ga dzieci, w tem 2 jej synów, 13-to i 12-letni, też pracowało w P. O. W. (nosili rozkazy, nawiązywali łączność z oddziałami, odprowadzali na kwatery). Dalej pracowała tu ob. Aleksandra Gumińska, kierowniczka ochronki dla dzieci, która, nie zważając na grożące jej, a nawet istnieniu jej ochronki, niebezpieczeństwo, potrafiła w swoim małym pokoiku przechowywać kurjerów, w jakiś jej tylko wiadomy sposób, zdobywała dla nich, obdartych i bosych, ubrania i obuwie, dzieliła się z nimi ostatnim kęsem chleba. Do organizacji należała też ob. Anna Butkiewiczówna, żona kolejarza. W mieszkaniu jej była stara kwatera P. O. W. Ciągle ktoś przychodził i wychodził, ciągle ktoś się kręcił, ciągle odbywały się narady, a nieraz słychać było stukot maszyny do pisania, co było znakiem, że się pisze raporty do Naczelnego Dowództwa. Kto zna Mińsk z tych czasów, wie, czem to wszystko groziło.

Oto, zdaje mi się, wszystkie nasze starsze peowiaczki. Nie mówię o tych, które dorywczo udzielały swoich mieszkań na kwatery i noclegi, o tych, co przy panującym w Mińsku, strasznym głodzie dzieliły się kawałkiem chleba, czyto z członkami P. O. W., czyto z więźniami politycznymi, którymi też P. O. W. się opiekowała. Chciałabym powiedzieć tu o wszystkich wszystko, chciałabym nie zapomnieć żadnej.

Więc przedewszystkiem Dziunia. W pracy Dziunia była niezmordowana. Wszędzie była obecna. Oto w jednem miejscu przyjmowała kurjerkę z za frontu, za pół godziny była na innym krańcu rozległego miasta, miasta, które nie miało wówczas ani tramwajów, ani dorożek, i już odbierała jakieś zdobyte dane wywiadowcze, albo przenosiła gdzieś broń lub bibułę, lub dyktowała czy pomagała pisać na

Grupa P. O. W. w Mińsku Lit.

maszynie niewprawnej koleżance raport do Naczelnego Dowództwa. Tempo pracy komendanta Żywego[1]) i Dziuni udzielało się nam wszystkim i pod ich wpływem zdawało się nam, że niema dla nas nic niemożliwego. W istocie godną ona była zostać naszą komendantką. Dla peowiaczek, pracujących pod jej rozkazami, nie było nic niemożliwego; wykonywały wszystkie zadania, niczem nie różniące się od zadań powierzanych mężczyznom. Akcja zbrojna, wywiad, służba kurjerska i łączności, przechowywanie i roznoszenie broni i t. d. i t. d., oto zakres ich służby. Była ona prawą ręką komendanta Żywego (Mateusza Stefanowskiego, który był duszą i sercem organizacji. Trudno sobie wyobrazić P. O. W. na Białejrusi bez Żywego. On był osią, koło której obraca się wszystko. W tym skromnym nauczycielu szkoły sowieckiej któżby mógł odgadnąć wodza wielkiej organizacji, która szerzyła popłoch w szeregach wroga, a wśród ludności polskiej nieciła uczucie nadziei, że daleka Ojczyzna pamięta o nas. Pracująca przy boku Żywego, Dziunia Tejszerska była niezmordowana, wiecznie czynna, a choć stale śledzona i wymykająca się z zastawionych pułapek, drwiła z niebezpieczeństw, i konsekwetnie zmierzała do wyznaczonego sobie celu.

Kiedyś pytałyśmy się nawzajem: „Czegobyś najwięcej w życiu pragnęła i co ci najwięcej w życiu imponuje?". „Marzę o tem, powiedziałam nierozważnie, żeby umrzeć dla Ojczyzny!". A ona z jakąś mocą wewnętrzną mówi: „Niewieleby z Ciebie Ojczyzna miała pożytku; ja chcę żyć dla Ojczyzny, ale poświęcić dla niej wszystko, każdą moją myśl, każde moje tchnienie i jak najlepiej i jak najdłużej dla Niej tylko pracować! A najwięcej mi imponuje siła woli!"

Jak już pisałam, w Oddziale Żeńskim P. O. W. poza kilkoma starszemi obywatelkami, były przeważnie młodziutkie skautki, uczenice. Nieraz całe rodziny należały do tego zgoła wyjątkowego bractwa. Np. rodzina pp. Witkowskich, t. zw. dom Czerwonych Kapturków, gdzie ojciec rodziny, starsza córka, wspomniana Józia Witkowska, dwie jej młodsze siostry, 15-letnia Marysia i 14-letnia Ala, oraz 12-letni brat Antoś należeli do P. O. W. Nie były to wcale jakieś pionki, tylko czynni członkowie organizacji, którzy wykonywali wszelkie powierzone im, a nieraz bardzo poważne zadania.

Jeszcze z tych najmłodszych przypomnę Zochę Lejmbachównę, 15-letnią dziewczynkę z warkoczami. Obecnie jest już poważną le-

[1]) Mateusz Stefanowski rozstrzelany w Bobrujsku w połowie sierpnia 1919 r.

karką i pracuje w jednym ze szpitali warszawskich, ale dla nas pozostała ona taką samą Zochą z Mińska. Pracowała już wówczas w szpitalu i opiekowała się chorymi i rannymi jeńcami Polakami, których wtedy sporo było w szpitalach bolszewickich. Poza tem przechodziła jako kurjerka przez front.

Jeszcze jedna najmłodsza, Cesia Tabortowska, uczenica 6-tej czy 5-tej klasy. Pracowała w P. O. W. wraz z całą swoją rodziną, ojcem, matką, starszą siostrą Marysią, która też przechodziła przez front. Pamiętam Cesię, gdy przyjeżdżała do mnie, jako kurjerka do Bobrujska, dokąd wyjechałam dla zorganizowania ucieczki z więzienia naszego komendanta Żywego oraz innych więźniów. Zjawiła się ona do mnie w najokropniejszych dla mnie chwilach i była jakby zesłanniczką niebios, bo mi przyniosła to, czego najwięcej wtedy potrzebowałam — nadzieję. Biedna Cesia umarła na tyfus w 20-tym roku, podczas okropnej ucieczki z Mińska.

Ludność była już niezmiernie zmęczona panowaniem bolszewików, którzy już wówczas zaczęli odkrywać swoje istotne oblicze.

Niemcy zajęli Mińsk w marcu 1918 roku. Okazali się oni nie lepsi od bolszewików. Zuchwałe rekwizycje środków żywności, zabieranie nieraz ostatniej krowy z zagrody albo dworu, ostatniej nawet kury było na porządku dziennym. Nieraz, gdy właściciel stawał w słusznej obronie swego mienia, dotkliwa go za to spotykała kara w postaci obłożenia wysoką grzywną albo nawet pozbawienia wolności.

Dla podejrzanych zaś o jakąkolwiek styczność z P. O. W. — nie mieli żadnego pobłażania. Więziono ich i deportowano do obozów koncentracyjnych bez żadnej apelacji.

Taki był stan w Mińsku, gdy rewolucja niemiecka odwołała swych żołnierzy ze wszystkich frontów. Znów przyszli do Mińska bolszewicy. A wtedy mieli już umocnione pozycje, nie potrzebowali się nikogo obawiać i z nikim liczyć. Niemcy podali im ręce i przez rewolucję zbratali się z nimi. Polska, dopiero powstała, tyle miała do zrobienia wewnątrz kraju, że nie miała jeszcze sił na to, aby móc upomnieć się o krzywdy swoich obywateli, dręczonych na dalekich kresach. To też represje w stosunku do ludzi, wyjętych z pod praw, t. j. nie należących do partji komunistycznej, i nie zajmujących żadnych stanowisk w urzędach sowieckich — wzrastają z dnia na dzień, a jednocześnie proporcjonalnie wzmaga się stan zdenerwowania i depresji ludności polskiej. Wszyscy prawie stają się ostrożni, a nawet podejrzliwi, niechętnie usposobieni do tych niespokojnych duchów, które chcą targać oplątujące je łańcuchy.

Ciężko było pracować w takich warunkach. To też dużo mogły tu zrobić kobiety, mniej z natury rzeczy narażone na podejrzenie ze

strony wroga. Któżby podejrzewał młode dziewczęta, uczenice, tak pilnie z pozoru zajęte nauką! Były też wypadki, że przykład odwagi i poświęcenia młodej dziewczyny wyciągał rodziców z marazmu obojętności lub obawy. Zdarzało się nieraz, że naprzód tylko córka albo syn pracowali w P. O. W., a po pewnym czasie cała rodzina oddawała tej pracy swój czas, siły, pieniądze, często wolność lub nawet życie. Szczęśliwe były te rodziny! Gorzej było jednak, gdy biedna peowiaczka natrafiała na opór i sprzeciwy ze strony starszych. Wówczas musiała ukrywać się i stokroć cięższa była jej praca, nierozumiana przez najbliższych...

Halina Nowacka.

RUCH NIEPODLEGŁOŚCIOWY W KIJOWIE.

(Organizacje studenckie. Oddział żeński P. O. W.).

O Kijowie nie mogę myśleć bez wzruszenia. Urodziłam się, wychowałam i uczyłam w tem mieście. Nazywano je polskiem, ze względu na znaczną ilość inteligencji polskiej, która wywierała pewne piętno na życie kulturalne miasta, zwłaszcza podczas wojny światowej, kiedy polskie życie intelektualne doszło w Kijowie do bujnego rozkwitu.

Słyszałam wiele o tem, jak przed rewolucją 1905 r. ratowano więźniów politycznych — studentów, wykradając ich z więzienia i za cudzemi paszportami wysyłając zagranicę. Samopomoc studencka — „Bratniak" robiła też wiele wówczas obok starszego społeczeństwa.

Ruch niepodległościowy nurtował odtąd stale wśród młodzieży, a ostre prześladowanie rządu rosyjskiego było powodem częstych rewizyj i aresztowań. W ruchu tym żywy udział brała młodzież postępowo - niepodległościowa (Korporacja), i młodzież narodowa „Polonja". Były to stare organizacje studenckie.

W roku 1916 i 17, z powodu wypadków politycznych w kraju i okupacji Warszawy przez Niemców — do Kijowa napłynęła fala emigrantów - Polaków z Galicji i Kongresówki. Było wśród nich wiele młodzieży idejowej i wyrobionej organizacyjnie, która przyczyniła się do szerokiego rozwoju życia społecznego i kulturalnego w kijowskiej kolonji polskiej. Młodzież z Galicji prowadzi m. in. pracę oświatową między robotnikami.

Był to okres, kiedy szły powiewy wolności i zmiany w rządach Rosji. Kijów, oddalony od centralnych rządów, był terenem, gdzie najswobodniej stosunkowo można było poruszać się i działać.

Dzięki grupie profesorów Polaków emigrantów, w roku 1917 powstaje Polskie Kolegjum Uniwersyteckie — pierwsza wyższa uczelnia

polska na kresach — która poza swą istotną wartością kształcenia gromadzi całą młodzież myślącą i czującą po polsku, jest ogniskiem życia narodowego.

Żyliśmy wówczas na najwyższym szczycie patrjotycznego napięcia, przechodziliśmy wprost „gorączkę czynu". Nie pamiętam dnia i wieczoru zmarnowanego. Wykłady w Kolegjum, zebrania „Polonji" pochłaniały cały czas wolny poza pracą zarobkową.

Z wiosną 1918 r. następuje nowy okres, który wywołuje niezmierny entuzjazm i łączy przy pracy wszystkie organizacje młodzieży. Powstają formacje polskie na Wschodzie: Korpusy I, II i III, wyeliminowane z wojska rosyjskiego.

Wojsko Polskie! Były to słowa magiczne, na dźwięk których otwierały się wszystkie, nawet zobojętniałe serca polskie. Organizacje studenckie urządzają szereg imprez dochodowych pod bokiem Niemców, którzy wówczas okupowali Kijów i Ukrainę. Po bitwie pod Kaniowem II Korpusu — dniu 11 maja 1918 r. — powstaje, zorganizowany przez P. O. W., Związek Wojskowych Polaków i organizacje młodzieży Akademickiej, akcja ratownicza, mająca na celu energiczną i doraźną pomoc legjonistom z Żelaznej Brygady. Fakt przejścia legjonistów z Polski na Ukrainę, później bitwa i rozbrojenie ich pod Kaniowem wstrząsnął do głębi i poruszył uczucia nawet starszego społeczeństwa, a cóż dopiero mówić o młodzieży. Były to jedyne w swoim rodzaju chwile, gdy przez ulice Kijowa widziano — grupki nawpół cywilnych, nawpół wojskowych ludzi, prowadzonych przez niewiasty. Była to nasza praca, zorganizowana w ten sposób, że, oszukując czujność Niemców, wykradaliśmy im internowanych kaniowczyków, wprost wydzierając ich z rąk niemieckich. Oddawałyśmy ich w ręce organizacji, która zajmowała się dalszym ich losem. Pamiętam, jak w ciemnym przedpokoju „stołówki" akademickiej przy szczelnie zamkniętych drzwiach prałyśmy chemicznie stare paszporty, aby je wypełnić nowemi nazwiskami dla legjonistów.

Sekcja ubraniowa starała się o ubrania cywilne, zbierając je po zamożnych domach „żubrów" kijowskich. Sekcja mieszkaniowa dbała o rozlokowanie i opiekę w domach polskich. Część żołnierzy wyprawiono na Murman do oddziałów płk. Czumy, część rozproszyła się po terenie Ukrainy, gdzie, dzięki staraniom organizacji, znalazła zarobek i pracę.

W akcji tej po raz pierwszy spotkałam się z członkami P. O. W., która na terenie Kijowa istniała od r. 1915.

Wkrótce po bitwie pod Kaniowem zaproponowano nam, biorącym udział w akcji ratowniczej, wstąpić do P. O. W., co też uczyniłyśmy. Uroczystą przysięgę złożyłyśmy na ręce ob. Sulimy. Niedługo po przy-

siędze, na skutek rozdźwięku, jaki nastąpił pomiędzy Komendą Główną P. O. W. a Młodzieżą Narodową w kraju, przyszedł rozkaz z Warszawy od władz centralnych Org. Narod., ażeby „poloniści" wystąpili z P. O. W. Z pośród wszystkich członków Polonji tylko W. Langiertówna[1]) i ja oparłyśmy się temu, decydując się bezwzględnie pozostać w P. O. W., walczącej bezpośrednio o Niepodległość Polski.

Fakt ten wywołał w Polonji poruszenie. Pamiętam, jak do dwu zrewoltowanych „polonistek" przyszedł ś. p. kol. Kiernicki, ówczesny prezes Polonji i kol. Niklewicz i obaj starali się w dłuższej przemowie przedstawić całą niedorzeczność naszej niesubordynacji organizacyjnej. Rozstaliśmy się jednak już nie jako koledzy.

Znacznie później jednak, w ciężkich i tragicznych chwilach teroru i prześladowań bolszewickich w Kijowie, nastąpiło zbliżenie między P. O. W. a członkami Polonji. Kol. Kiernicki znalazł śmierć z rąk bolszewików razem z ob. Basińskim, redaktorem „Orła Białego", gazety peowiackiej.

Chwile niebezpieczeństwa zatarły różnice, stworzone przez ludzi. W obliczu wroga pozostała tylko czysta, wspólna idea polskości.

P. O. W. porwała w swe szeregi przedewszystkiem te niewiasty, które, wychowane w domu na tradycji powstań narodowych, marzyły o żywym czynie przeciwko zaborcy. Zdolne do wszelkich poświęceń wszystkie one dały dowód, że tradycja kobiety polskiej na Kresach, tej romantycznej patrjotki z doby powstaniowej — została całkowicie wskrzeszona.

Praca kobiet w P. O. W. rozpadała się na następujące sekcje: kurjerską, wywiadowczą, mieszkaniową, samarytańską, ubraniową i paszportową oraz propagandy. Poza tem peowiaczki odbywały codzienne dyżury w Komendzie Placu, pełniąc służbę łącznikową.

Naogół zaś każda z nas, znając dobrze teren Kijowa i Ukrainy robiła wszystko to, co zrobić mogła dla organizacji i czego wymagała chwila. Jako kurjerki, do których i ja należałam, jeździłyśmy do Winnicy, Białej Cerkwi, Homla, Odesy, Charkowa, Podwołoczysk i do Moskwy. Po powrocie składałyśmy raport, w którym były też wiadomości wywiadowcze, zebrane po drodze.

Był to okres przeludnienia Kijowa i o mieszkania dla przybywających z kraju oddziałów kurjerów było coraz trudniej, jeszcze go-

[1]) Wanda Langiertówna, następnie kurjerka Sztabu Naczelnego Dowództwa rozstrzelana przez bolszewików w roku 1919.

rzej było z bezpiecznem ulokowaniem Komendy Naczelnej, która często zmieniać musiała mieszkanie (przez czas jakiś urzędowano na plaży nad brzegiem Dniepru).

Przez pewien okres Komenda Naczelna zbierała się w moim pokoju. Odbywały się tu również zbiórki Oddziału Żeńskiego, na których informowano nas o ogólnej sytuacji i pracy w kraju.

Byłyśmy już o tyle wyćwiczone w konspiracji i tak ostrożne, że o dość licznych zebraniach ani wiedzieli gospodarze, Rosjanie, ludzie niezmiernie bogaci i panicznie obawiający się politycznych przewrotów. Na parokrotne pukania w zewnętrzną ścianę, wpuszczałam pocichu każdą osobę. Wszyscy podczas zebrania zachowywali milczenie.

Na zebrania Komendy Naczelnej wpuszczałam tylko pierwszą osobę, sama zaś wychodziłam do Sekcji Kurjerskiej po rozkazy na dzień następny.

Znacznie swobodniej czułyśmy się na zebraniach u kol. Iżykiewiczówien, gdzie stale było moc ludzi. Tu odbywały się zbiórki i urzędowała Komenda Placu. Komendantką Placu była przez pewien czas ob. Rudnicka (Cieszkowska).

W Sekcji Propagandy i Wywiadowczej pracowały prawie wszystkie peowiaczki. Praca w pierwszej polegała na tem, że wpływałyśmy na starsze społeczeństwo i najbliższe otoczenie w duchu ideologji P. O. W. i starałyśmy się wciągać do współpracy ludzi pewnych.

Były to wszystko prace pomocnicze, mało mające wspólnego z samą wojskowością.

Wkrótce zorganizowane zostały kursa: wywiadowczy i terenoznawczy, na którym poznawałyśmy organizację wojsk zaborczych, kurs radjotelegraficzny, samarytański i podoficerski. Ten ostatni miał najmniej słuchaczek, a ukończyły go: kol. M. Wittekówna, Iżykiewiczówna Niuta, Maciszewskie, harcerka Marja Podhorska i inne, których nazwisk dziś nie pamiętam.

Wykładowcami byli: ś. p. ob. Barski, ś. p. ob. K. Basiński, ob. Bagiński i ob. Hild. Wykłady odbywały się dzięki p. Pigłowskiej w gmachu Szkoły Handlowej, w którym wiele z nas spędziło całe lata nauki.

Po ukończeniu kursów zaczęła się „militaryzacja" oddziału żeńskiego, która wywołała liczne sprzeciwy, a nawet protesty. Wówczas nie rozumiałyśmy poprostu, poco nam musztra i nie potrafiłyśmy się nagiąć do jej regime'u.

Gdy Lis-Kula objął komendę, zechciał się z nami zapoznać. Na zbiórce u ob. Montwiłłówny ujrzałyśmy po raz pierwszy naszego komendanta. Kult dla jego dziś już legendarnej postaci, posłuszeństwo oparte na bezgranicznej wierze w jego czyny — towarzyszył mu wśród podwładnych aż do końca jego krótkiego, ale pięknego życia.

Przyjazd do Kijowa komendanta głównego Rydza Śmigłego (we wrześniu 1918 r.) podminował nas. Była to największa tajemnica danej chwili. Muszę tu podkreślić, że P. O. W. poza różnemi jej wartościami nauczyła nas przedewszystkiem sztuki milczenia. Przyjazd komendanta głównego zapowiadał, że zbliżają się ważne wypadki. Milczałyśmy jednak, pełne oczekiwania.

W tym czasie zdarzyła się pierwsza „wsypa". Nastąpił szereg rewizyj, między innemi w mieszkaniu Janki Niedźwiedzkiej, gdzie organizacja urzędowała.

Szef Sekcji Kurjerskiej, ob. Laspolski, przysłał do mnie na przechowanie wszystkie akta, okrągłe pieczęci i 3 brauningi, między któremi był mały brauning Rydza Śmigłego. Wkrótce dokonano rewizji w Sekcji Kurjerskiej i chciano aresztować ob. Laspolskiego, jednak dowodów rzeczowych nie mieli. Trzeba tu dodać, że denuncjator doczekał się w Polsce kary, stając przed sądem wojskowym za zdradę.

W końcu października 1918 r. komendant Lis-Kula wydał rozkaz mobilizacyjny, który kurjerki rozwiozły do wszystkich oddziałów. Mieli wyjść z Kijowa do Galicji Wschodniej.

Pomiędzy peowiaczkami nastąpiła konsternacja. Lis-Kula stanowczo oparł się wzięciu nas do pomocy nawet sanitarnej i zarządził zbiorkę oddziału żeńskiego. Miałyśmy mocne postanowienie prosić komendanta, aby nas zabrał. Powiedział jednak, że idą, nie wiedząc, co ich czeka i jaka będzie walka i że w tych warunkach raczej mogłybyśmy tylko przeszkadzać.

Cała nasza werwa gdzieś przepadła. Dałyśmy za wygraną. Tylko Wanda Langiertówna zatrzymała komendanta na korytarzu, błagając go ze łzami, aby ją zabrał, jednak bezskutecznie.

Oddział naszych wyszedł z Kijowa do Brodów. Dnia 8-go listopada zostali rozbici przez Ukraińców. Dostałyśmy wiadomość, że są ranni. Parę peowiaczek, które ukończyły kurs sanitarny, wezwano do Brodów. (Pracowałam wówczas z ś. p. ob. Basińskim i ob. Sarankiewiczem w redakcji „Orła Białego").

U nas zapanowała pustka i przygnębienie. Petlura zajął Kijów i na mocy układu z Komendą Naczelną pozwolił młodzieży uczącej się na swobodny przejazd przez teren Ukrainy. Korzystając z tego, wiele z nas wyjechało do kraju. Dnia 27 grudnia z kartą służbową, podpisaną przez ob Bieniewskiego — wyjechałam z ob. Strederównemi i ob. Laspolskim i Wędziagolskim jako kurjerka Oddziału II Sztabu Naczelnego Dowództwa do Warszawy.

Garść wspomnień, które skreśliłam o pracy niepodległościowej w Kijowie są słabem odbiciem drogich nam czasów. Ubiegłe lata zatarły mnóstwo szczegółów i bezpośrednie wrażenia tych chwil. Jednakże, patrząc dziś, z odległości dziesięciolecia w przeszłość, która świetlaną smugą przeszła przez nasze życie, stwierdzić należy, że peowiaczki kijowskie spełniły swój obowiązek wobec ojczyzny.

Dotyczy to zarówno tych, które legły w nierównej walce jak Wanda Langiertówna, Janina Latałłówna, Ela Sikorska, Dziunia Goszczycka, Burdonówna i Nata Iżykiewiczówna i inne, jak tych, które, po uprzedniej pracy w P. O. W. kijowskiej, pełniły do końca służbę kurjerską, bądź inną dla utrwalenia bytu odrodzonej Polski.

Marja Wittekówna.

NA SZKOLNEJ ŁAWIE.

(Tajna organizacja szkolna. P. O. W. w Kijowie).

Już w gronie koleżanek rządowego gimnazjum w Winnicy marzyłyśmy o „akcji bojowej przeciwko ciemiężycielom". Wychowywały nas matki Polki i — szkoła rosyjska. Jakże różne były ich ideały i metody wychowawcze! Nie wolno nam było w szkole rozmawiać po polsku, wymowa polska była powodem wielu przykrości, książka polska na ławie szkolnej — chociażby najniewinniejszej treści — była zbrodnią. Dlatego też od lat dziecinnych powstawała w nas chęć odwetu, która u bardziej przedsiębiorczych przeradzała się w czyn, t. j. walkę „podjazdową", złośliwą, walkę dzieci z „dorosłą" szkołą.

Od drugiej klasy należałam już do tajnego „sprzysiężenia" uczniów i uczenic Polek. Miało ono za zadanie czynić właśnie to, czego tak surowo zabraniała nam szkoła, a na co mieliśmy aprobatę i błogosławieństwo rodziców i kapelana. Miałyśmy więc: rozmawiać po polsku, czytać i kolportować polskie książki, dostawać chrypki w czasie galowych nabożeństw w cerkwi, kiedy to obowiązywał nas chóralny śpiew rosyjskich pieśni religijnych, a zwłaszcza znienawidzonego hymnu „Boże cara chrani". Wolno było w te dnie nawet „chorować", t. j. leżeć w łóżku.

Czasy te wywarły na nas niezatarty i znamienny wpływ i przygotowały grunt do późniejszego udziału w pracy niepodległościowej. Podwójna rola, jaką odgrywałyśmy względem szkoły, aprobowana przez dorosłych, przykład księdza, czyniącego rzeczy zabronione jak np.

obdarzanie nas polskiemi książkami, zwoływanie tajnych zbiórek, wrogi stosunek do polskości nauczycielek, skądinąd dobrych i miłych, a obniżających noty ze sprawowania za schwytaną książkę polską — wszystko to wytwarzało w nas zdecydowany stosunek walki ze szkołą.

Walka ta, oczywiście, nie mogła być otwarta — była jednak triumfująca z bezsilności wroga i ośmieszała w naszych oczach „dorosłych Moskali", którzy dawali się nam nabierać.

Rodziła się jednocześnie w nas odwaga, na jaką stać było dwunastoletnie dzieci — odwaga, połączona ze świadomością niebezpieczeństwa. Wiedzieliśmy, że w razie „wsypy" jedzie się na Sybir albo i dalej, ale, że jeżeli podejmiemy się „roboty" dobrowolnie — musimy być gotowi do godnego zachowania się w momencie krytycznym. Myślałyśmy nieraz o tem, jak dobrze byłoby móc być aresztowaną i umrzeć „za Polskę".

Świadomość stałego niebezpieczeństwa, możliwość rewizji książek lub mieszkania, gdzie znajdował się hektograf, na którym odbijaliśmy tajne pisemko uczniowskie, dawała nam taką pewność siebie w zachowaniu pozorów lojalności względem szkoły, że w ciągu kilku lat nie zachwiałyśmy opinji „wzorowych" uczenic. W tym samym jednak czasie nosiłyśmy wśród rosyjskich podręczników w paskach wiele „rozsadników polskiej rewolucji".

Te warunki wyrabiały w nas dużo cech dodatnich: poczucie odpowiedzialności za siebie i za nasz zespół, bezwzględny obowiązek konspiracji nietylko na terenie niebezpiecznym, t. j. w szkole, ale i w domu. Chełpliwość naszą bowiem powstrzymywała myśl o znacznie większej odpowiedzialności drogich nam osób. Dlatego też w tych domach, gdzie nie było inicjatywy starszych, nic o naszem sprzysiężeniu nie wiedziano i, jak sądziliśmy, w razie „wsypy" nie ponoszonoby za nas odpowiedzialności.

Wpływ domu starał się niwelować ujemną stronę szkoły i pod tym wpływem rodziła się świadomość nienormalności takich warunków oraz konieczności dążenia, aby naszą walkę podjazdową jak najprędzej zmienić na walkę otwartą. Do tego jednak potrzebne były wojsko i wojna, wojna o Niepodległość, wojna prawdziwa, na którą dzieci nie biorą. Trzeba więc jak najprędzej wyrosnąć, ażeby wziąć w niej udział...

Rosłyśmy więc i nabierałyśmy przekonania, że ten ogrom zła i niesprawiedliwości, jaki nagromadził się w stosunku do Polski ze strony Rosji nie może nie wywołać odwetu. Byłyśmy pewne, że sprawiedliwość zatriumfuje i że powstanie — Polska Niepodległa. Fakt ten nie podlegał żadnym wątpliwościom. Na zapytanie: kiedy — nie umiały-

śmy sobie odpowiedzieć, nie obliczałyśmy jednak na zbyt odległe czasy.

Jako wyraz tej naszej absolutnej pewności — został mi w pamięci wiersz, napisany przez Wacię Potemkowską w drugiej klasie:

...Tam od Wschodu zobaczyłam blask zorzy wspaniałej...
Ale moja od Zachodu wzejdzie krwawa Zorza,
Wzejdzie, błyśnie i oświeci świat cały zdumiony
I ukcże oczom wrogów mą Polskę wyśnioną,
Wolną, wielką, wszechpotężną...

Dalej słów nie przypominam sobie, pamiętam tylko, że do czasów peowiackich było to dla mnie Święte Tabu, wyrocznia, która spełni się niewątpliwie.

W gronie naszem istniała i potężniała tęsknota do wojny oraz głęboka ufność, iż będzie ona dla Polski wybawieniem z niewoli i pomszczeniem Jej krzywd. (Krzywdy te brałyśmy naonczas przez pryzmat naszych krzywd dziecinnych).

Wynikiem tych warunków, w jakich pracowałyśmy w latach szkolnych, był fakt, że wszystkie prawie spotkałyśmy się w pracy niepodległościowej.

Z P. O. W. zetknęłam się po raz pierwszy w końcu roku 1917, biorąc udział w pracy wywiadowczej drużyny harcerskiej; przez kilka jednak pierwszych miesięcy nie wiedziałam, że pracujemy dla P.O.W.

Byłam wówczas w 8-ej klasie Polskiego Gimnazjum Zrzeszenia Rodziców i Nauczycieli w Kijowie. W atmosferze jej wyłącznie polskiego otoczenia poczułam się, jak w rodzinie. Zbliżyłam się do tych ludzi szybko, jakbym znała się z nimi od szeregu lat. Wykładowcami tam byli prof.: Kalinowski, Ułaszyn, Drogoszewski, Kropatsch, Gindrych. Przełożoną zaś szkoły była p. Zofja Żukiewiczowa.

Nad Kijowem zbierały się chmury, do miasta zbliżali się Niemcy. Okupację ich poprzedziły ostre represje władz rosyjskich w stosunku do Ukrainy. Nie mogąc przyłapać na gorącym uczynku żadnego spisku ani organizacji, Moskale czuli jednak, że mają podminowany grunt i że gore zwłaszcza w głowach Polaków. Ruch niepodległościowy ukrywał się pod płaszczykiem pracy oświatowej, która rozwinęła się szczególnie po przybyciu młodzieży z b. Kongresówki i zaboru austrjackiego i przenikała coraz głębiej w sfery robotnicze, niosąc hasła walki o niepodległość.

W kierunku tych rzekomo oświatowych poczynań zwróciły się prześladowania rosyjskie. Śpieszono się. Rewizje odbywały się jedna

za drugą — nagłe, niespodziewane, ludzi wysyłano w niewiadomym kierunku bez rozpatrywania sprawy. Robota niepodległościowa przyczaiła się i przycichła, jak przed burzą. Uczono nas nagwałt organizacji wojska niemieckiego.

Niemcy w Kijowie zachowali narazie ostrożności, jak ci, którzy są niepewni kradzionego dobra. Szybko jednak nabrali pewności siebie. Żołnierze zdawali się o nic nie dbać, tylko współzawodniczyli ze sobą w ilości wysłanych skrzynek do „Vaterlandu". Chciwość ta wytwarzała pewną dobroduszność w ich usposobieniu, a to ułatwiało nam pracę.

Nareszcie dostałyśmy robotę! Komendant nasz, ś. p. druh B. Ostrowski, rozdał nam uroczyście na odprawie pierwsze zadania wywiadowcze. Dla mnie był to okres zdawania repetycyj przedmaturalnych. Nie powiem, abym umiejętnie godziła te dwa obowiązki. Coraz częstsze opuszczanie lekcyj wywołało nawet interwencję nauczycieli u przełożonej szkoły. Tłumaczyłam się wtedy, że mam ważne powody, których wyjawić mi nie wolno i że nie mogę, niestety, obiecać poprawy, chociażbym miała to zapłacić maturą.

Pamiętam dobrze odpowiedź p. Zofji Żukiewiczowej, naszej zacnej opiekunki, która wzięła mnie za ramiona i powiedziała serdecznie:

— Tylko bądź ostrożna, moje dziecko, bo Polsce długo jeszcze waszych rąk będzie potrzeba. Ostrożność jest takimże obowiązkiem, jak tajemnica. A maturę zrobić musisz, bo Polska nie potrzebuje ludzi, nie umiejących skończyć rozpoczętej pracy.

Po jej wyjściu myślałam niespokojnie, czy nie powiedziałam za dużo, ale wreszcie doszłam do wniosku, że widocznie przełożona jest wtajemniczona. Domysły te potwierdził fakt, że nadal moje opuszczone godziny przyjmowano jako rzecz naturalną. Zdziwionym koleżankom tłumaczyłam się koniecznością pracy zarobkowej.

A tymczasem robiłam swoje wywiady. Gorzej, lepiej, jak się powiodło. Kiepska znajomość odznak wojska niemieckiego dawała nam się we znaki.

W marcu 1918 roku przyszła tak długo oczekiwana chwila. Zawdzięczam to dwom wywiadom, które mi się dobrze udały.

Władze P. O. W. zainteresowały się tem, kto je przeprowadził i wtedy miałam, ku swej wielkiej radości, sposobność rozmawiania z prawdziwym członkiem P. O. W. Na zapytanie moje, czybym nie mogła wstąpić do organizacji, dał mi adres i hasło. Miało ono magiczny skutek.

Zapisano mnie, nie pytając o nic, prócz pseudonimu. Podałam się jako „Szaniecka". Polecono mi zaraz zgłosić się do Komendy placu „na dyżurną". Czułam wtedy, że to jest krok na drodze mego losu, krok, o którym już dawno wiedziałam, że go uczynię. Wszystko zdawało mi się proste i nie potrzebujące wyjaśnień, na które szkoda czasu.

Szkoła absorbowała mnie jednak bardzo. Nie mogłam wiele czasu poświęcać swej pracy, ale od maja, t. j. po zdaniu matury, byłam wreszcie wolna i mogłam oddać się całkowicie P. O. W., o której marzyłam od tak dawna.

Przyszłam do P. O. W. na okres gorący, bo P. O. W. była zajęta energiczną akcją niesienia doraźnej pomocy legjonistom po bitwie pod Kaniowem. Zorjentowałam się w sytuacji ogólnej o tyle, o ile wolno było nam, szeregowcom, w nią wnikać. Dopomogła mi w tem poznana w Komendzie Placu — Wanda Langiertówna, z którą późniejsze prace bardzo mnie zbliżyły.

Któregoś wieczora, korzystając z ciszy, jaka panowała w Komendzie, Wanda opowiedziała mi historję Legjonów[1]) i czynu Józefa Piłsudskiego. Pokazała mi wtedy Jego fotografję, wyciętą z jakiegoś wydawnictwa ilustrowanego. Po raz pierwszy zobaczyłam wówczas podobiznę Komendanta w szarym kożuszku i maciejówce i takim widzę Go zawsze, ilekroć o Nim myślę.

Po bitwie pod Kaniowem w naszej Komendzie Placu zawrzało. Rozkaz za rozkazem, kurjer za kurjerem. Czas dyżurów nam podwojono i potrojono. Które z nas mogły, siedziały do późna w noc. Ja, niestety, nie mogłam przekroczyć 9-ej godziny wieczorem, aby w domu nie budzić podejrzeń, tem więcej, że u nas kwaterowali Niemcy. Legitymowałam się też, jak mogłam, kilku godzinami przyjętych „korek".

W tym czasie dzięki mej pracy w punkcie centralnym, jakim była nasza Komenda, poznałam wiele członkiń P. O. W. i rodzaj ich pracy. Wszystkie peowiaczki tchnęły jednym duchem, wszystkie pragnęły gorąco pracować dla sprawy, której widomym symbolem był Wódz i Legjony. Czułyśmy się żołnierzami na posterunkach swej pracy. Pełniłyśmy ją radośnie i oddawałyśmy się jej bez zastrzeżeń.

Dla mnie po dość monotonnych dyżurach, rozpoczął się okres bardzo ciekawy: dostałam się na kurs podoficerski, na którym studjowałam gorliwie, stykając się po raz pierwszy z takiemi przedmiotami jak: nauka o broni, terenoznawstwo, radjo i nareszcie poważne wykłady o organizacji państw zaborczych. Po ukończeniu kursu, wróci-

[1]) Nie wiedziałam wówczas, że brat jej walczył i zginął w tych Legjonach.

łam, niestety, do Komendy Placu, wprawdzie już nie na dyżury, a na kierownictwo służbą łącznikową. Dostałam też sekcję w plutonie kobiecym. Ta ostatnia funkcja sprawiła mi wiele kłopotów, ale — rozkaz był wyraźny. Miałam zato tę przyjemność, że mogłam nosić pocztę do komendanta głównego, Rydza Śmigłego w czasie, kiedy przybył do Kijowa. Miałam też możność kilkakrotnego zetknięcia się z komendantem K. N. 3 — Lisem-Kulą, co było rzeczą niezwykle trudną. Ogólna sympatja i cześć, jaką żywiłyśmy wszystkie dla naszego komendanta, były przyczyną, że otrzymane od niego polecenia i możność spełnienia ich uważałyśmy nie za pracę, a za wielką nagrodę za nią.

Wieść o przygotowaniach do wymarszu naszego pierwszego oddziału do Galicji rozeszła się momentalnie pośród nas. Była to największa z wielkich tajemnic, ale dotąd zachowywana przez nas zasada: „nie wolno mi interesować się tem, co mnie nie dotyczy", nie wytrzymała. Jakże tu bowiem nie interesować się pierwszą naszą akcją bojową. Cała waga naszej dotychczasowej pracy, której oddawałyśmy się z takiem zrozumieniem jej potrzeby, — jakoś zmalała, gdzieś znikła; nie mogłyśmy jej odnaleźć, nie chciałyśmy jej szukać. Nie znaczy to, abyśmy zaniedbywały swe obowiązki, — nie, opanowała nas tylko jakaś beznadziejność, jakieś nieomylne przeczucie, że w tem najważniejszem nas nie będzie...

Nie mając absolutnej pewności (rozkaz kom. Lisa - Kuli nastąpił tuż przed marszem), przekonywałyśmy się wzajemnie, przytaczając niezbite argumenty o niemożliwości nie zabrania nas — choćby tylko paru. Które to miały być, nie wymieniałyśmy, był to bowiem dla nas temat nazbyt drażliwy. Dowiadywałyśmy się więc u chłopców, co trzeba byłoby wziąć ze sobą, niektóre nawet czyniły już przygotowania do drogi. Żadna z nas jednak nie wierzyła naprawdę w ziszczenie jej nadziei. To uczucie przytłumiało naszą radość pracy przygotowawczej, chociaż brałyśmy w niej udział gorliwie, chcąc przyczynić się jak najbardziej do powodzenia zamierzonej akcji.

Kategoryczna odmowa Lisa - Kuli wzięcia nas chociażby w charakterze sanitarjuszek, była dla oddziału żeńskiego ciosem nielada. Komendant jednak odmowę umotywował w ten sposób, że wszystkie „niezbite argumenty" pękły odrazu. Nie odrzucił on naszej prośby, a udowodnił nam jasno, że tam, dokąd my iść chcemy, możemy im przeszkodzić, a pozostając wpogotowiu, możemy im być pomocne.

Jakże przewidujące były jego słowa! Już w początkach listopada komenda kijowska wysłała kilka koleżanek z wyszkoleniem sanitarnem dla niesienia pomocy rannym z rozbitego pod Brodami oddziału.

Wieść o rozbiciu naszego oddziału podcięła nam skrzydła...

Wycofanie się Niemców z pod Kijowa, dające możność odetchnięcia spokojniej, nie ożywiło pracy. Odwrotnie, brak bezpośredniego niebezpieczeństwa i cios poniesionej straty spowodowały wielki upadek ducha. Zaczęły się wyjazdy do kraju. Przekonaliśmy się jednak rychło, że i tu, na miejscu, będziemy potrzebni naszej odrodzonej ojczyźnie.

Przyjechał nowo mianowany komendant P. O. W. ob. Żarski (Wilk Czarnocki) i zebrał rozsypane szeregi. Z koleżanek, które nie wyjechały do Polski, — nie zbrakło nikogo. Kilka z nich nawet wróciło z kraju, aby dzielić trudy organizacji, trudy ciężkie, okupione śmiercią za Ojczyznę wielu członków Komendy Naczelnej 3. Rozpoczął się nowy okres pracy.

Rena Boguszewska.

MOJA PIERWSZA PODRÓŻ KURJERSKA.

Do P. O. W. wstąpiłam w Kijowie pod jesień 1918 r. Przyznaję, że początkowo nie orjentowałam się, w jakim charakterze będę przydatna. Marzyłam wręcz o pójściu na front, zwłaszcza, że chodziły już wieści o wymarszu komendanta Lisa-Kuli i że z oddziałem odejść miało kilka koleżanek.

Narazie pełniłam służbę kurjerki w Komendzie Placu. Służba była lekka — dyżur co drugi dzień, ponadto normalne zbiórki.

Punktem zwrotnym w mojej służbie był dzień pożegnalnej zbiórki komendanta Lisa-Kuli. Miał on do nas dłuższą przemowę, w której szczegółowo omawiał rolę kobiet w dalszej naszej pracy, że spada na nas cięższa moralnie niż frontowa praca wywiadowcza, służba łączności, urabianie opinji społecznej i t. p. Jako najważniejszą określił nam pracę wywiadowczą, która wymaga specjalnej siły charakteru. Na zakończenie komendant oświadczył, że są potrzebne kurjerki-wywiadowczynie i że chętne mają się zgłosić do oddziału łączności. Po krótkim namyśle zgłosiłam się i od tej chwili charakter mojej służby był zdecydowany. Zostałam kurjerką.

W dniu, w którym Lis-Kula wyruszył na front, ja też udałam się w drogę do Moskwy. Zadaniem mojem było nawiązać zerwaną wskutek działań bolszewickich, łączność z Komendą Okręgu, przywieźć raporty i pieniądze dla Komendy Naczelnej w Kijowie.

Cała Rosja z Ukrainą była wtedy jednym wielkim ruchomym frontem. W Kijowie rządził hetman Skoropadski, w Moskwie byli bolszewicy. Jak wyglądał front między temi „potencjami", nie wiedziałam, a jeszcze słabiej orjentowałam się, jak się przez ten front przedostanę.

O tem, co mnie czeka w podróży, nie myślałam wcale, bo nie było na to czasu. Potrzebne papiery miałam otrzymać od szefa łączności, ale w ostatniej chwili dostałam tylko paszport, wystawiony przez Komitet Pomocy Ofiarom Wojny na własne nazwisko. Kupiłam więc bilet do najdalszej stacji, będącej na terenie ukraińskim, i ruszyłam pociągiem nocnym.

Dojechałam tylko do Konotopu, dalej pociąg nie szedł, gdyż tory były zajęte przez cofających się Niemców. Przesiedziałam tutaj prawie całą dobę, zanim dostałam się do pociągu towarowego, który szedł ku granicy. Tutaj los zetknął mnie z przygodnemi towarzyszkami podróży — jakąś Gruzinką, oczywiście, księżniczką o imieniu Nina, jadącą do Moskwy i młodziutką żoną oficera rosyjskiego, jadącą do Kurska. Trzymałyśmy się razem, bo było nam raźniej, a ponadto takie towarzystwo dobrze mnie konspirowało. Towarówką dobrnęłyśmy do stacji granicznej Jampol, a linję demarkacyjną przejechałyśmy końmi.

Tak więc, po obijaniu się przez dwie doby, dostałam się do pierwszej stacji bolszewickiej Chutor Michajłowskij. Dawniej duża stacja węzłowa, teraz była zupełną ruiną. Jedyna ocalona sala III klasy była przepełniona. Stoły, ławki i podłogę zalegał pokotem obdarty tłum. Zaduch panował nie do wypowiedzenia, a „przyjemną" sytuację potęgowało zachowanie się publiczności, która stosowała bolszewickie hasło „precz z fałszywym wstydem". Nasza trójka wepchnęła się w najciepłejszy kąt sali przy kotle z „kipiątkiem". Jeden, jak się później okazało, zawiadowca stacji, zainteresował się nami; wypytywał, dokąd jedziemy i poinformował nas, że pociąg do Moskwy odjedzie dopiero na drugi dzień rano. Perspektywa czekania w takiem otoczeniu do rana była niewesoła, to też chętnie zgodziłyśmy się na propozycję zawiadowcy, aby przejść do innej sali, wprawdzie zimnej, ale zato pustej, gdyż sam twierdził, że bezceremonjalne towarzystwo z sali nie było dla nas odpowiednie. Zmęczona byłam i senna, ale o wypoczynku nie było można marzyć.

Rano rzeczywiście odchodził pociąg do Moskwy, ale bilety sprzedawano tylko za przepustką. „Towarzysz zawiadowca" nie radził nam chodzić po tę przepustkę do „Czeka", sam kupił nam bilety do najdalszej stacji w kierunku Moskwy, radząc następnie kupić bilet do pierwszej lepszej stacji za Moskwą. Pomyślałam sobie, że tam przecież

trzeba będzie i tak przesiadać się, więc nikt nie sprawdzi, co będziemy robić po przyjeździe do Moskwy.

Koło południa ruszyłyśmy w dalszą drogę, zaszyte w najdalszy kąt wagonu towarowego.

W wagonie było tłoczno, ale możliwie. Na każdym jednak postoju pasażerów przybywało. Byli to powracający jeńcy, którzy wszędzie mieli pierwszeństwo. W końcu natłok był tak nieznośny, że tchu brakło. To była udręka fizyczna, ale i moralna była nie mniejsza. Pasażerowie silili się na miłą, a jędrną, typowo rosyjską pogwarkę, to też zgnębione tuliłyśmy się do siebie, gotowe się bronić przed otaczającą nas zgrają.

Wreszcie skończyło się to piekło. Służba kolejowa orzekła, że dalej mogą jechać tylko jeńcy. Wyrzucono nas na jakiejś małej stacyjce.

Znów długa noc oczekiwania, tym razem na wyjątkowo czyściutkiej i schludnej stacyjce, ogrzanej i oświetlonej, jak za dawnych czasów. Rano udało nam się uczepić stopni wagonu I klasy pociągu kurjerskego, zdążającego do Moskwy. Po opłaceniu potrójnej ceny biletu, konduktor ulokował nas w przedziale i bez przeszkód dotarłyśmy do celu.

W Moskwie rozpoczęły się nowe utrapienia.

Dostałam całą masę adresów do biur różnych instytucyj polskich, wszystkie jednak z trudem odszukane drzwi, były zamknięte i opieczętowane. Miałam jedyny adres prywatny, który pozostawiłam sobie naostatek.

Zmęczona do ostateczności, głodna, zziębnięta, z przemoczonemi nogami, bo jakby dla spotęgowania moich udręczeń właśnie tego dnia zaczęła się odwilż, idę o zmroku pod ostatni adres. Dzwonię, otwiera mi pani domu, pytam o doktorową X (nazwiska nie pamiętam). W odpowiedzi jednak usłyszałam tylko wymysły. Ona wie, że jestem z Kijowa i napewno z P. O. W. Doktorowa już trzy miesiące temu wyjechała do Petersburga, ona już dawno dawała o tem znać do Kijowa, ale tu wciąż kogoś przysyłają. Do P. O. W. należała jej przyjaciółka, doktorowa, ale ona z tem nie ma nic wspólnego i o niczem wiedzieć nie chce.

Ogarnęła mnie rozpacz. Sama w obcem mieście, a przytem nie mam żadnych dokumentów. Proszę więc ową wielce nieuprzejmą panią, by mi pozwoliła wejść do pokoju i chwilę wypocząć, bo od rana jeszcze ani na chwilę nie usiadłam. Musiałam mieć wygląd wielce żałośliwy, gdyż zmiękła, pozwoliła mi usiąść i już całkiem życzliwie zaczęła mnie wypytywać, w czem może mi pomóc, gdyż przenocować mnie w żadnym wypadku nie będzie mogła.

Pozostała mi jeszcze jedna deska ratunku. Przywiozłam list prywatny do jakiejś pani od jej brata z Lublina. Komendant wręczył mi ten list i poinformował mnie, że do adresatki mogę się z całem zaufaniem zwrócić o pomoc i informacje, w razie ostatecznym. Sądziłam, że własnie ta ostateczność nadeszła. Wlokę się więc na drugi koniec miasta poprzez długie bulwary moskiewskie, znajduję elegancką kamienicę, otwiera mi służąca i oświadcza, że pani wyszła i że wróci w nocy. Nie myśląc już o tem, co będę robić dalej, oświadczam służącej, by powiedziała pani, że przywiozłam list od jej brata i przyjdę następnego dnia rano.

Ostatnie drzwi zamknęły się za mną. Co dalej? Rozpacz zupełna. Mój paszport jest bez żadnej wartości, a bez dokumentu nie znajdę dachu nad głową (hotele w tym czasie nie istniały). Nawet na dworcu nie mogę nocować, bo o północy wszystkie dworce zamykają, a kręcących się bezdomnych zabierają do więzenia. Odsunęłam się ode drzwi, rozmyślając nad tragicznem położeniem. Najwięcej cierpiała moja ambicja. Wszak była to dopiero pierwsza moja podróż i ta ma się skończyć fiaskiem! Więc nie wywiążę się z danego mi zadania, bo nawet ludzi, którzy mi są potrzebni, nie znalazłam. Gdy tak stoję pod zamkniętemi drzwiami, słyszę nagle za sobą głos służącej, która zwraca się do mnie z propozycją noclegu. Nie wiem, jakie dobre bogi ją natchnęły, bo w chwili, kiedy z nią rozmawiałam, miałam wszak minę zupełnie obojętną.

Oczywista, propozycję tę przyjęłam skwapliwie. Dostałam dużo gorącej wody do mycia. Po tylu dniach ociérania się o brudy, niespania i nierozbierania się gorąca kąpiel!

Poczciwa kobiecina nakarmiła mnie, dała gorącej herbaty i ułożyła do czystego i wygodnego łóżka.

Rano, po śniadaniu, spożytem w miłem towarzystwie pani domu, zapytano mnie, czy, prócz listu, nie mam żadnej sprawy. Powiedziałam więc, kim jestem i poco przyjechałam.

Zapytałam też o adres ob. Szymczakówny, którą powinnam była znaleźć w jednem z opieczętowanych biur. Adresu nie znała, ale wskazała mi pana, który mógł mi go podać.

Później dowiedziałam się, że moja informatorka była zajadłą przeciwniczką P. O W., a jednak, choć obca przekonaniami, przez kilka dni udzielała mi z serca gościny. Wspominam ją z całą wdzięcznością.

Po paru godzinach łażenia po mieście, bo żadnych środków lokomocji nie było dostałam się nareszcie do ob. Zosi Szymczakówny. Sądziłam, że to już kres moich kłopotów. Niestety, Zosia nie chciała ze mną mówić i przebąkiwała o haśle. Tu już moja cierpliwość się wy-

czerpała, postawiłam się ostro i przekonałam ją wreszcie. Do komendanta jednak nie chciała mnie dopuścić i wyznaczyła mi spotkanie z nim popołudniu u siebie.

Ku mojemu wielkiemu zmartwieniu potrzebnych pieniędzy nie otrzymałam. Na raporty i przepustkę oczekiwałam cały tydzień, gdyż bolszewicy urzędować nie chcieli. Dostałam tylko list polecający do urzędnika bolszewickiego w Orle. Nie mogłam otrzymać jednak dokumentów na przekroczenie granicy bolszewicko-ukraińskiej i jedynie z dokumentem z „komitetu biedноty" udałam się do granicy, gdzie bez żadnych trudności, dzięki mamu „świadectwu ubóstwa", dostałam przepustkę graniczną, zupełnie bezpłatnie. Stąd już bez większych przykrości dobrnęłam do stacji Worożba, będącej w rękach ukraińskich.

Do Kijowa jechałam przez Charków i Połtawę. Trzeba było brnąć przez różne bandy partyzantów, bijące się ze sobą.

Miałam tutaj ciekawą przygodę. Było to gdzieś między Połtawą i Kijowem. Jechałam w wagonie towarowym. Prócz mnie jechała rodzina Łotyszów, którzy zajmowali połowę wagonu, w drugiej połowie było nas czworo osób: ja, Rosjanka jakaś i 2 byłych oficerów wojska rosyjskiego. Raptem w nocy zatrzymują pociąg w polu — rewizja. Kto ją robi i w jakim celu — nie wiadomo. Jeden z panów zwiał, drugi zaś, nie wiedząc co zrobić, uznał za stosowne schować się za mną. Miałam dość szeroki płaszcz, a że mi wzrostu pan Bóg nie poskąpił — kryjówka okazała się dobra. Wyjaśniło się wkrótce, że to oddział b. oficerów poszukuje ukrywających się mężczyzn. Teraz więc odważny oficer pobiegł czem prędzej do swoich kolegów i przez wdzięczność umieścił mnie w jedynym w tym pociągu wagonie 2-giej klasy, zajętym przez oficerów niemieckich, powracających do swego kraju.

Dostałam wygodne miejsce w przedziale oficerów rosyjskich przy oknie. Oczywiście, że „eleganccy" panowie uważali za swój obowiązek bawić mnie rozmową i dowiedziawszy się, że jestem Polką i do tego z lubelskiego, pochwalili się, że i oni „Priwiślanskij Kraj" dobrze znają, bo tam stali przed wojną i gdy skończą z bolszewikami, to znowu tam wrócą, a wdzięczne Polki będą pewno łaskawsze, niż przed wojną. Choć i przed wojną było dużych ładnych panien w Warszawie i wesoło można było się zabawić. Tu już nie mogłam dłużej wytrzymać i powiedziałam im, że w żadnym porządnym domu oficer rosyjski nie był przyjmowany, a każda panna uważałaby sobie za hańbę z takim panem pokazać się na ulicy. Widocznie to się im niepodobało, bo już mi dali spokój i szczęśliwie dobrnęłam do Kijowa.

Zmartwiona byłam strasznie, że zadania, które otrzymałam, nie mogłam wypełnić w całości, choć z przyczyn ode mnie niezależnych. Później się jednak pocieszyłam, bo okazało się, że Komenda była ze mnie zadowolona.

Kijów zastałam już w radosnym nastroju. Przyjechał z Warszawy kurjer, który przywiózł wiadomość o powrocie Komendanta z Magdeburga i że już jest prawdziwie wolna Polska!

Trudno było jeszcze z naszego dalekiego Kijowa wierzyć w to szczęście i dużo jeszcze musieliśmy przecierpieć, zanim przekonaliśmy się o tem i ujrzeliśmy na własne oczy tę wywalczoną, wolną Ojczyznę.

Marja Iżykiewiczówna.

HARCERKI KIJOWSKIE.

(Wspomnienie z lat 1916 — 1918).

Już w pierwszym roku wojny doszły do Kijowa wieści, że w kraju robi się coś dla Polski. A że dla nas, młodych dziewcząt, myśl o Niepodległości była myślą najżywotniejszą z pośród wszystkich absorbujących nas zagadnień — poczęłyśmy więc przemyśliwać nad tem, jakby przyczynić się najbardziej do odzyskania naszej wymarzonej, niepodległej ojczyzny.

Praca w kółku samokształceniowem, w którem starałyśmy się poznać dzieje ojczyste (na wykładach bowiem historji Rosji, spotykałyśmy się często z rozmyślnie fałszywie podanemi faktami, które śmiało prostowałyśmy ku oburzeniu profesora i niektórych koleżanek-Rosjanek). Praca ta jednak nam nie wystarczała; szukałyśmy czegoś innego: pragnęłyśmy czynu!

I oto jedna z koleżanek, mająca kontakt ze szkołą handlową, w której było wiele uczenic Polek — przyniosła nam wiadomość — że tam uczenice zrzeszone są w jakąś organizację, że po lekcjach lub w święta miewają zebrania, na których omawiają sprawę kształcenia charakteru. Dowiedziałyśmy się też, że one ćwiczą się w zdobywaniu różnych sprawności jak: spostrzegawczość, tropienie, wywiad i t. p. rzeczy, które mogłyby być przydatne podczas wojny. Tego właśnie było nam potrzeba. Którejś więc niedzieli zebrałyśmy się w liczbie 8-iu w mieszkaniu jednej z nas. Tu dowiedziałyśmy się o ruchu istnie-

jącym wśród młodzieży angielskiej, o skautingu i jego twórcy Baden-Powellu oraz o tem, że ruch ten został przeszczepiony na grunt polski. Skauting przeszedł również na kresy, ale tutaj musimy pracować konspiracyjnie.

Wkrótce potem nastąpiły miłe czasy zbiórek w obrębie naszego zastępu. Śpieszyłyśmy na nie z zapałem i prześcigałyśmy się w sprawnościach, ciesząc się, jak dzieci, z nowonabytych umiejętności. Praca nad kształceniem charakteru była podjęta przez nas z taką energją i z tak dużą dozą dobrej woli, że wkrótce były widoczne jej rezultaty. Wyrabiałyśmy w sobie hart woli, wytrwałość, uczynność, pogodę ducha, promieniując równocześnie na swe otoczenie. Zwróciło to uwagę tak dalece (bo nawet w szkole stałyśmy się przykładniejszemi uczenicami), że zachodziła obawa, aby nie dopatrzono się przyczyn naszej przemiany. Co do mnie, stwierdzić muszę, że skauting zmienił mnie do gruntu, odradzając mnie wewnętrznie. Była w tej pracy jakaś tężyzna, wprowadzająca między nas spoistość wskutek wspólnie dochowywanej tajemnicy. Byłyśmy jakby zaprzysiężone, zaprzysiężone sprawie polskiej.

Nie zapomnę nigdy uroczystej chwili składania harcerskiego przyrzeczenia. Byłyśmy wszystkie tak wzruszone, że słowa więzły nam w gardłach, gdy powtarzałyśmy po kochanej bardzo przez nas drużynowej (Wici Kamionkównie) słowa przysięgi:

— „Mam szczerą wolę całem życiem służyć Bogu i Ojczyźnie, nieść chętnie pomoc bliźnim i być posłuszną prawu harcerskiemu."

W roku 1917 — po wybuchu rewolucji — harcerstwo wychodzi z podziemi na światło dzienne. Zdumienie ogarnęło nas wszystkich, gdy ujrzeliśmy się wszyscy razem, stanowiąc dużą, zwartą gromadę dziewcząt i chłopców[1]). Wszyscy pracowaliśmy dotąd w ukryciu. Pamiętam z tych czasów jedną z najcudniejszych wycieczek do Kadeckiej Roszczy pod Kijowem. Była wiosna. Rozłożyliśmy wielki obóz i zajęliśmy się sprawnie wykonywaniem wyznaczonych nam czynności. Chłopcy budowali kuchnie, dziewczęta przygotowywały obiad.

„Łaziki" bez funkcji używali swobody — a małe „wilczęta" bawiły się w gry, organizowane przez starszych harcerzy. Ileż to było radości śmiechu i humoru! Przydymioną trochę zupę i nawpół surowe ziemniaki zjedliśmy z apetytem. Wreszcie gwizdek, alarm i powrót

---

[1]) 1 drużyna żeńska i 3 męskie. Razem około 200 osób.

długą szosą. Idziemy w szyku czwórkowym z chorągiewkami zastępów na przedzie i maszerując noga w nogę, śpiewamy bez przerwy do samego Kijowa. Las zrazu zasłuchany, rozbrzmiewa naszemi pieśniami i zapewne nadziwić się nie może, że słyszy polskie pieśni.

A my, idąc w popielatych i zielonych mundurach, harcerskich kapeluszach z kijami w rękach śpiewamy, co sił starczy: Hej, strzelcy wraz, nad nami orzeł biały...

Były to cudne, niezapomniane czasy... Przyszedł jednak moment, kiedy wypadło zdecydować, czy pozostać nadal w harcerstwie, które tak wiele mi dało. Było mi ono jednak tylko natchnieniem do czynu. Trzeba więc było rzeczy ważne poświęcić dla jeszcze ważniejszych. Dlatego też, gdy, wezwana na Radę Naczelną, usłyszałam z ust naczelnika harcerstwa, że wybrać muszę, wybrałam realną drogę służby dla Ojczyzny — pracę w P. O. W.

Wanda Wasilewska.

UWOLNIENIE LEGJONISTÓW Z WIĘZIENIA.

(Kijów 1917).

Najbardziej jaskrawym, uderzającym nawet powierzchownego obserwatora, skutkiem rewolucji marcowej w Rosji było odżycie i wzmożenie się tendencyj niepodległościowych wśród licznych narodów i plemion, wchodzących w skład państwa carów.

Od początku wojny Polacy na terenie Rosji byli bardzo czynni i rozwijali wprost olbrzymią działalność organizacyjną. Nie było chyba większego miasta, gdzie nie istniałyby ochronki, szkółki i komitety polskie, roztaczające opiekę nad „bieżeńcami". Całe legjony Polek pracowały w ochronkach i przytułkach, zbierając dzieci, porzucane wśród torów kolejowych, na wszystkich dłuższych postojach pociągów. Zwiedzały wszystkie podobne zakłady rosyjskie i zabierały stamtąd dzieci, częstokroć nie umiejące ani słowa po polsku, lecz żegnające się katolickim znakiem krzyża.

Rosjanie patrzyli na to przychylnie. Niespodziewana dla nich orjentacja antiniemiecka Polaków w Kongresówce wzbudziła ogromne zaufanie i — zwłaszcza na początku — coś w rodzaju wdzięczności. Przyjęli to jako dowód orjentacji rosyjskiej i chętnie pozwalali

na dość daleko idącą autonomję, uważając ją za słusznie należącą się nagrodę za lojalność.

Sami Polacy, w przeważającej większości nie wykraczali nietylko w pracy, ale nawet w marzeniach i planach poza tę autonomję. Cała działalność była zupełnie pozbawiona charakteru politycznego, była raczej filantropijną samopomocą, zmierzała do zachowania narodowości i wiary. O własnym bycie państwowym nie myślano. To też prace niepodległościowe po dawnemu były otaczane tajemnicą i po dawnemu ocierały się o więzienie i szubienicę.

Szeroki, potężny wiew wolności zmienił to niemal błyskawicznie. Skruszył nietylko zewnętrzne okowy, ale wyzwolił dusze ludzkie, tchnął w nie odwagę bycia sobą, oczyścił z zastoju, uleczył z nieśmiałości. Atmosfera odświeżyła się po letniej burzy.

Gdy, po dwumiesięcznej blisko nieobecności, wróciłam w końcu kwietnia z Petersburga do Kijowa — nie poznałam go. Na zalanych słońcem ulicach tego prześlicznego miasta wrzało potężne i radosne życie. Najbardziej rzucały się w oczy żółto-niebieskie odznaki i chorągiewki ukraińskie. Ciągłe pochody, śpiewy i zgromadzenia, zgromadzenia bez końca. Coraz to na rogu jakiejś szerszej ulicy czy placu stawał ktoś i zaczynał mówić — za chwilę miał już gromadę słuchaczy, wywiązywała się częstokroć ożywiona dyskusja. Najwięcej mówili Ukraińcy — i mówili o niepodległości bez ogródek. Jedni słuchali mówców z przejęciem się i zapalali się, jak płomień na wietrze, inni byli zaskoczeni i nawet przerażeni — to rodowici Rosjanie. Protestować przeważnie nie śmieli — nie dlatego, że się bali, tylko, że nie było to w duchu czasu. Ale naprawdę ruchu tego nie rozumieli i ze smutkiem pytali: „A nam cóż zostanie, jak się tak wszyscy oddzielą? I poco? Przecież teraz wszystkim będzie dobrze!"...

W polskiem społeczeństwie też zawrzało od pracy organizacyjnej, ale tym razem już o charakterze wybitnie politycznym, niepodległościowym. W miastach powstały komitety demokratyczne, do których należały wszystkie wybitniejsze jednostki wśród postępowej inteligencji polskiej, odżyła Polska Partja Socjalistyczna, teraz już jawna. Powstał Związek Wojskowych Polaków, który na zjeździe swoim w Petersburgu obwołał honorowym przewodniczącym zjazdu Józefa Piłsudskiego!

To też dziko i potwornie odbijał od tego tła fakt, że w więzieniu kijowskiem, t. zw. Łukjanówce, siedziało kilkunastu jeńców-legjonistów, skazanych na katorgę, jako poddanych rosyjskich.

Pierwszym czynem zwycięskiej rewolucji było uwolnienie więźniów politycznych, którzy stali się wówczas bohaterami dnia, jako ci, co tę rewolucję przygotowali swoim ofiarnym czynem. Oni to przynie-

śli wieść, że legjonistów - katorżan nie uwalniano, gdyż jako „zdrajców stanu" zaliczano ich do kryminalistów.

Natychmiast więc po otrzymaniu tej wiadomości rozpoczęto energiczne starania o ich uwolnienie. Janina Peretjatkowiczówna postarała się o widzenie i odtąd stale ich odwiedzała wraz ze swą stryjeczną siostrą Wandą, dostarczając im „wałówek". Sprawa jednak okazała się o wiele trudniejszą, niż się z początku zdawało. Rosyjski komisarz wojskowy, od którego wszystko zależało, wpadł na iście machjawelski sposób, uważając go, zresztą, za całkiem prosty i naturalny. Ponieważ więźniowie ci zostali skazani za nielojalność wobec państwa, niechże dowiodą swej lojalności wobec rewolucyjnej Rosji, wstępując jako ochotnicy do wojska. Komisarz był pełen dobrej woli i życzliwości i zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego tego nie chcą zrobić, ani też dlaczego P. P. S., w imieniu której występowała Peretjatkowiczówna, nie namawia ich do tego.

Peretjatkowiczówna dokładała wszelkich starań, aby się nie dali skłonić do tego kroku. Trzymali się bardzo dobrze i na propozycję komisarza wniesienia podania odpowiedzieli odmownie. Niebezpieczeństwo jednak groziło z innej strony. Wraz z nimi siedział niejaki I. L., nie legjonista, który jednak usiłował za wszelką cenę dołączyć siebie do tej grupy. Uwięziony był i skazany za to, że działał destrukcyjnie na tyłach wojska rosyjskiego z polecenia sztabu armji niemieckiej. Nie powieszono go odrazu tylko dlatego, że dużo wpływowych osobistości w wojsku i żandarmerji rosyjskiej było za jego pośrednictwem na żołdzie niemieckim. Ponieważ zgóry można było przypuszczać, że z chwilą wybuchu rewolucji osobistości te potracą swoje wpływy i same mogą pójść pod sąd, sytuacja L. stała się bardzo niepewna. Namawiał więc gorąco swoich kolegów więziennych, aby się na propozycję komisarza zgodzili, gdyż miał nadzieję, że i jemu uda się wraz z nimi wyjść z więzienia.

Gdy przyjechałam do Kijowa, długie i bezowocne rokowania P.P.S. w osobie Peretjatkowiczówny z komisarzem stanęły na martwym punkcie. Oświadczył ostatecznie, że nic nie może poradzić, i że uwolnić ich mógłby tylko Kierenskij, ówczesny minister wojny i faktyczny dyktator Rosji.

W niedługim czasie miał Kierenskij przejeżdżać przez Kijów na front, aby powstrzymać gwałtownie dokonywający się rozkład wojska. Miał być w Kijowie niecały dzień i trzeba było ten kilkugodzinny pobyt wykorzystać. Peretjatkowiczówna i ja, występując w imieniu kijowskiej P. P. S., — bardzo nawiasem mówiąc — wówczas nielicznej, uprosiłyśmy ówczesnego komendanta Wojennego Okręgu Kijowskiego, że doręczy Kiereńskiemu zaraz po jego przyjeździe ob-

szernie umotywowane podanie i postara się, aby je przeczytał. Audjencji jednak nie podjął się wyrobić, radząc, abyśmy same próbowały szczęścia, jak i gdzie się uda.

Trzeba więc było przedewszystkiem opracować memorjał. Zebraliśmy się w tym celu we troje: Peretjatkowiczówna, Kazimierz Domosławski, student uniwersytetu kijowskiego i ówczesny kierownik P. P. S., i ja, jako najlepiej znająca stosunki kraju, naszkicowałam plan memorjału. Podałam więc w krótkości charakterystykę Twórcy i Wodza Legjonów, Józefa Piłsudskiego, historję ideologji niepodległościowej w ciągu ostatnich kilkunastu lat i jej stopniową realizację poprzez bojówkę P. P. S., Związek Walki Czynnej, Strzelca i Legjony — podkreśliłam ich charakter demokratyczny i rewolucyjny. Stąd wniosek, że rewolucja rosyjska nie ma prawa ani podstawy uważać legjonistów za zdrajców stanu i powinna w nich uznać członków armji rewolucyjnej, która walczyła z caratem i przemocą. Na tej podstawie żądamy w imieniu P. P. S. natychmiastowego ich uwolnienia.

Memorjał ten zaaprobowali moi towarzysze i po wprowadzeniu pewnych uzupełnień i stylistycznych poprawek został przepisany przez Domosławskiego. Wieczorem, w przeddzień przyjazdu Kiereńskiego, zaniosłyśmy go i doręczyły komendantowi okręgu.

Teraz chodziło o to, by wymóc na Kiereńskim niezwłoczną odpowiedź, gdyż inaczej sprawa mogłaby się przewlekać w nieskończoność i ulec zapomnieniu. Postanowiłyśmy więc z Peretjatkowiczówną czatować na niego i w ciągu kilku godzin goniłyśmy go po całym Kijowie, dowiadując się kolejno, gdzie jest i co zamierza robić. Wreszcie udało się nam go zobaczyć i nawet dość blisko dotrzeć do niego. Stał na samochodzie czy na jakimś zaimprowizowanym pomoście i przemawiał do nieprzejrzanych tłumów żołnierzy. Miał pełne naręcze rzucanych na niego zewsząd kwiatów, mówił ogniście, z entuzjazmem, promiennie uśmiechał się i wywoływał niebywały entuzjazm. Tłum był oczarowany, zachwycony, ale wszystko to razem sprawiało wrażenie jakiejś sceny czy estrady koncertowej, na której popisuje się modny aktor czy tenor, a oszalała z zachwytu publiczność robi mu owację. Był zachwyt dla osoby, nie dla głoszonej przez nią idei.

Zrozumiałyśmy, że jeśli się nam nawet uda przepchać do samochodu, o jakiejkolwiek rozmowie z Kiereńskim niema mowy. Wycofałyśmy się więc z tłumu i postanowiłyśmy uciec się do podstępu. Poszłyśmy na stację kolejową, odszukałyśmy na bocznym torze pociąg Kiereńskiego i przedstawiłyśmy dyżurnemu oficerowi, że chodzi tu o życie kilkunastu ludzi. Zgodził się, byśmy weszły do wagonu i czekały na powrót Kiereńskiego.

Wygodnie usadowione w przedziale, czekałyśmy parę godzin na decydujący moment w zupełnej ciszy i samotności. Wreszcie zwiększający się coraz bardziej zgiełk i hałas oznajmił nam zbliżenie się Kiereńskiego. Nie zdradzałyśmy niczem naszej obecności w wagonie, czekając, aż wejdzie. Gdy był już w korytarzu, otworzyłyśmy drzwi przedziału. Ujrzałam go, jak stał z głową odchyloną i opartą o ścianę. Oczy miał zamknięte, twarz szarą i wyraz niezmiernego wyczerpania i przygnębienia.

Gdy zaczęłam mówić o memorjale i o legjonistach, otworzył oczy zupełnie zgaszone i nieprzytomne i nie odrazu zrozumiał, o czem się mówi. Po chwili potwierdził: „A tak, tak, czytałem." — „No, więc prosimy o rozkaz uwolnienia!" — „O, nad tą sprawą trzeba się zastanowić i to dobrze zastanowić". (Nado obdumat' i oczeń daże obdumat').

Słowa mego gorącego protestu przerwał adjutant, wołając, że pociąg już ruszył i że nie staje nigdzie, aż do frontu. Zaczęto naglić, abyśmy natychmiast opuściły wagon. Nie było rady. Skoczyłam pierwsza i podtrzymałam skaczącą Peretjatkowiczównę. Byłybyśmy obie upadły, gdyby nie żywy mur ludzki, który nam posłużył za oparcie. Zresztą, żaden z żołnierzy nawet nie wyciągnął ręki, by nas podtrzymać, prawdopodobnie nas nawet nie widzieli. Patrzyli, jak urzeczeni, w okno wagonu, w którem na parę ostatnich chwil ukazała się znów rozpromieniona i uśmiechnięta twarz ich bożyszcza.

Sprawa narazie utknęła. W pierwszych dniach czerwca jednak prasa przyniosła wiadomość, że w Petersburgu odbywa się Zjazd Związku Wojskowych Polaków, właśnie ten, który obwołał swoim honorowym przewodniczącym Józefa Piłsudskiego i który był mile widziany przez Kiereńskiego. Wówczas J. Peretjatkowiczówna, nie porozumiewając się z nikim, gdyż nie było na to czasu, wysłała do Zjazdu depeszę z prośbą o poparcie sprawy u Kiereńskiego. Z drugiej strony komendant kijowskiej P. O. W., Józef Bromirski, który o zjeździe miał dokładne wiadomości, przedstawił tę sprawę kijowskiemu Komitetowi Demokratycznemu, który uchwalił również wysłać depeszę do zjazdu. Ułożyłam więc wraz z Bromirskim obszerny telegram, podający krótką treść memorjału i uzasadniający konieczność interwencji.

Zjazd wydelegował kilku swych uczestników do Kiereńskiego, który tym razem nie mógł odmówić i dał telegraficzny rozkaz uwolnienia legjonistów - katorżan.

Zjawili się całą gromadą do p. Peretjatkowiczowej, matki Janiny, co już przedtem było z nimi omówione. Internat jej gimnazjum stał

pustką z powodu wakacyj i tam uwolnieni znaleźli mieszkanie oraz serdeczną opiekę.

Byli bardzo wycieńczeni. Zupełnie tragicznie odbijały ich ziemiste twarze i zapadłe oczy od ogólnego, tak wówczas radosnego tła. Należeli do większej grupy legjonistów, wziętych do niewoli w lecie 1916 roku, podczas walk nad Styrem na Wołyniu. Część z nich rozstrzelano w miasteczku Dąbrownicy, część wysłano do więzień w głąb Rosji, część do Kijowa. Skazani na katorgę, byli zakuci w kajdany, które im zdjęła dopiero rewolucja. Byli bardzo źle żywieni, siedzieli w nieopalanych, wilgotnych celach. Dwóch z nich umarło w więzieniu jeszcze przed rewolucją. Wałówki, dostarczane im w ciągu kwietnia i maja przez Peretjatkowiczówny, zrobiły im dużo dobrego, ale nie mogły zmienić warunków więziennych. Narazie byli chorzy. To też pomimo usilnych starań Peretjatkowiczówny, Bromirskiego i innych, bardzo opornie szło z wynalezieniem dla nich jakiegoś zajęcia. Sfery pracodawcze patrzały na nich nieufnie, bez żadnej wiary w ich siły robocze.

Byli to sami żołnierze, tylko dwóch podoficerów. Najstarszym rangą był podoficer Strzelecki, który miał wśród nich duży posłuch. Poza tem przypominam sobie jeszcze nazwiska: Opali, Bratka, Cichonia. Były to, zresztą, pseudonimy legjonowe.

W pierwszych chwilach byli zupełnie oszołomieni, dosyć małomówni. Kontrast ich niedawnego bytowania z tą ówczesną porewolucyjną wolnością był tak wielki, że trzeba było doń dopiero przystosować się i fizycznie i psychicznie. Powoli jednak odżyli w gościnnym domu p. Peretjatkowiczowej, dostali takie, czy inne zajęcie, lub powyjeżdżali. Podobno większość przedostała się do Polski.

W końcu czerwca wyjechałam znów na północ, by próbować przedostania się do kraju i nic o ich dalszych losach nie wiem.

Halina Trentowska (Leliwa).

PLACÓWKA W WINNICY.

Weszłam w kontakt z placówką winnicką w marcu 1918 roku. Praca ta była podówczas wybitnie etapowa, t. j. polegała na dostarczaniu noclegów, dokumentów oraz pieniędzy legjonistom, przedostającym się z terenu b. Galicji na wschód. Przez naszą Komendę przeszli wtedy m. in.: B. Miedziński, Bartha[1]), Lis-Kula, Schaetzel, J. Mączka.

Komendantem naszym był Ołtarzewski, zastępcą jego M. Krzyżanowski.

Z kobiet, należących do organizacji, nie znałam nikogo. Początkowo pracowałam w szpitalu na Skałce, gdzie pielęgnowałam rannych z III Korpusu, a później rannych z pod Kaniowa. Nie można jednak było ograniczyć się do pielęgniarstwa. Trzeba było informować wojskowych, co się naokół działo oraz zabezpieczać ich przed wywiadem niemieckim.

Po bitwie pod Kaniowem, oddział P. O. W. w Winnicy wszedł w kontakt z Agitacyjnym Wydziałem Werbunkowym III Korpusu i pracował z nim ręka w rękę.

W czerwcu i lipcu był najgorętszy okres naszej pracy. Najwięcej przyjeżdżało wtedy legjonistów. Do mnie należało wystarać się dla nich o odzież i noclegi. Zawdzięczając serdecznej pomocy niektórych życzliwie usposobionych domów, jak np. p. p. Kumanowiczów w Winnicy, dawaliśmy sobie jakoś radę, chociaż trzeba było nieraz o noclegi staczać formalne walki. Pamiętam, jak raz dostałam od płk. Polaka rozkaz, aby na godzinę piątą zdobyć ubranie dla całego transportu, który tylko na parę godzin miał zatrzymać się w Winnicy. Miałam na to zaledwie 2 godziny, ale jak rozkaz to rozkaz.

---

[1]) Płk. Jerzy Barthel de Weydenthal poległ w Odesie.

Objuczona cudem zdobytą odzieżą, udałam się na Skałkę. Dziś jeszcze stoją mi przed oczyma uczniowie gimnazjalni, którzy z radością zrzucali swe granatowe mundurki, zamieniając je na kurtki „cywilne". Niektórzy z nich wyjeżdżali na Murman, inni na Kubań.

W październiku kom. Ołtarzewski opuścił Winnicę, a jego miejsce zajął major Morawski. W tym samym mniej więcej czasie całe archiwum Wydziału Werbunkowo-Agitacyjnego II Korpusu mieściło się u mnie, bo Skałka była śledzona. Raz nawet przeprowadzono tam rewizję, ale szczęśliwie nie znaleziono nikogo, bo nawet najgrubszy z chłopców, dla którego w żaden sposób nie mogliśmy dopasować ubrania, umknął w palcie jednej z pielęgniarek.

Archiwum znalazło u mnie pewne schronienie. Byłam wówczas chora, więc umieściłam archiwum pod materacami, obliczając, że Austrjacy będą na tyle względni, że mnie z łóżka nie ruszą. Tak było rzeczywiście.

W listopadzie pojechałam do Kijowa jako kurjerka. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, wzięłam ze sobą kilkuletnią córeczkę. Z Kijowa przywiozłam transport bibuły, który miał wystarczyć na wszystkie pułki, stojące w bliskości Winnicy. Wzięliśmy się też zaraz do rozrzucania bibuły między wojsko. W krótkim czasie wojsko austrjackie opuściło Winnicę.

Przez grudzień wysyłaliśmy młodzież do kraju, a w początku roku 1919 — po przyjeździe do Winnicy ob. Bija-Gnatkowskiego — zaczęła się dla nas ciężka praca — praca wywiadowcza.

Władysława Andrzeykowiczówna.

MŁODZIEŻ NIEPODLEGŁOŚCIOWA W ŻYTOMIERZU.

Żytomierz — najbardziej polskie miasto na Kresach, liczyło około 40% Polaków; pobliskie wioski, zwłaszcza na drodze do Zwiahla, były zamieszkałe przez zagrodową szlachtę, będącą w stałym kontakcie z Żytomierzem.

Żytomierz zwano żartobliwie miastem księży, emerytów i uczącej się młodzieży. Było to poniekąd słuszne. Kurja Biskupia i Seminarjum Duchowne ogniskowały dokoła siebie ruch katolicki całej Ukrainy. Drugi element, t. zn. ludzie o zabezpieczonej przyszłości, rentjerzy, właściciele domów, spensjonowani urzędnicy cenili ponad wszystko spokój, byli też zupełnie pod wpływami kleru. Ci finansowali rozmaite szkoły i ochronki, gdzie przemycano naukę języka polskiego i historji, z tym jednakże warunkiem, żeby na protektorach nie ciążyła żadna odpowiedzialność.

Zupełnie odrębnym czynnikiem była młodzież polska, przeważnie przyjezdna, od najwcześniejszych lat wciągana do życia organizacyjnego. Młodzież ta walczyła z przemocą rządową, jak umiała, podtrzymując ducha narodowego. Najstarszemi organizacjami młodzieży były: Korporacja, założona, jak fama niosła, jeszcze przez Kraszewskiego oraz „Bratniak".

Głównym celem Korporacji były koła samokształceniowe i narodowo-wychowawcze. Korporacja posiadała własną bibljotekę, liczącą około 3 i pół tysiąca tomów. „Bratniak" pomimo, że w założeniu miał niesienie pomocy niezamożnym, subwencjonował również koła samokształceniowe i bibljotekę.

Do „Bratniaka" należeli prawie wszyscy od 2-ej kl. gimnazjalnej, wpłacając przez szkolnych skarbników swoje miesięczne składki. Młodzieży zorganizowanej było około 90%. Jeżeli weźmiemy pod uwagę ściśle konspiracyjny charakter wszystkich organizacyj i ogrom-

ną odpowiedzialność przed władzami szkolnemi w razie wykrycia przynależności do organizacyj polskich, dowodzi to wielkiego patrjotyzmu dzieci kresowych. Podejrzenie, że się należy do organizacji polskiej, wystarczało zupełnie do wydalenia ze szkoły. Przynależność udowodniona pociągała za sobą „wilczy bilet". Dla przykładu, jak były żywotne te organizacje, przytoczę fakt, który miał miejsce na parę lat przed wojną. Bibljotekę korporacyjną skonfiskowano, paru uczni wydalono ze szkół przed samą maturą, kilku z nich dostało wilcze bilety — młodzież jednak nie daje za wygraną, występuje z procesem przeciwko rządowi, podstawiając za siebie fikcyjnego właściciela. Po paru latach procesu bibljotekę odzyskano.

W charakterze naukowo - wychowawczym Korporacja przetrwała do 1917 r. do wybuchu rewolucji rosyjskiej Wtedy to powstał i został zalegalizowany „Związek Młodzieży Polskiej", jako naczelna organizacja, do której weszły wszystkie dotychczas istniejące. Zostały również otwarte gimnazja polskie, męskie i żeńskie, i nauka języka ojczystego i historji przeszła do szkół.

Związek wydawał własne pismo polityczno - literackie „Głos Młodzieży". W końcu 1913 roku przy represjach bolszewickich „Związek Młodzieży" rozwiązano.

W 1911 roku powstają „Drużyny Strzeleckie"[1]) i skauting założone przez Tadeusza Łaniewskiego i Marylę Skokowską. Ówczesna drużyna żeńska liczyła 20 członkiń, skautowa zaś dochodziła do 50 skautek. Obie te organizacje, t. j. „Drużyny" i skauting były ze sobą ściśle zespolone ideowo i miały jedną komendę. W 1914 roku Łaniewski ginie, przedostając się przez front do legjonów, a Maryla Skokowska wyjeżdża z Żytomierza na wyższe studja. Po wybuchu wojny z kraju nie było żadnych dyrektyw. Drużyny Strzeleckie przestały istnieć — całą więc młodzież grupuje się w skautingu.

Pod hasłami przygotowania żołnierza - obywatela i wyszkolenia wojskowego w 1915 r., zrzesza się na nowo młodzież, dla wzmocnienia w odpowiedniej chwili bojowej siły legjonów Piłsudskiego.

Po powstaniu w Kijowie K. N. 3, oddział żytomierski nawiązuje z nimi kontakt, podporządkowując się organizacyjnie i organizując Komendę Okręgową P. O W. (K. O. D.), liczącą początkowo 60 członków ćwiczących. Liczba ta dochodzi w krótkim czasie do 150 ćwiczących, i około 300 zaewidencjonowanych.

---

[1]) Ideologja „Drużyn Strzeleckich" w Żytomierzu odpowiadała ideologji związków strzeleckich w Galicji.

Młodzież niepodległościowa w Żytomierzu.

W tym czasie zostają zorganizowane miejscowe komendy w podległych organizacyjnie miastach: Berdyczowie, Zwiahlu i Radomyślu. Skauting do końca 1916 roku był stale pod wpływami P. O. W. Istniałyśmy wtedy, jako koło sympatyczek, pomagające w wyciąganiu jeńców - legjonistów z niewoli. Dopiero w lutym 1918 r. powstaje oddział żeński P. O. W.

Wszystkie wyżej wymienione organizacje nie wprowadzały do swej pracy pierwiastka politycznego poza hasłami niepodległościowemi. Fatalny wpływ na życie młodzieży i pierwszy rozłam między skautingiem i P. O. W. wprowadziła w 1917 r. grupa endeckich emigrantów galicyjskich. Opowiadali oni, że P. O. W. jest robotą „niemiecką" i t. p. oszczerstwa. Zaczynają też agitację wśród starszego społeczeństwa, by i tą drogą osłabić wpływy P. O. W. na młodzież i zgnieść organizację przez zupełne odosobnienie jej i wyeliminowanie ze społeczeństwa. Udaje się im o tyle, że skauting odrywa się od P.O.W. i dostaje się pod wpływy endecji, przeprowadzającej nawet czasowy bojkot peowiaków. Dzięki jednak dużemu wyrobieniu ideowemu i organizacyjnemu poszczególnych komendantów P. O. W. i ogromnej karności, jaka panowała w organizacji, ostatnia wychodzi zwycięsko. Pomocną organizacji jest wyżej wspomniana grupa sympatyczek, które 20 lutego 1918 r. zostały zaprzysiężone w liczbie siedmiu. Były to: Andrzeykowiczówna Władka, Bołdokówna Marja, Gorczyńska Antola, Kieszniewska Marysia, Maciejewska Marychna, Wisznicka Zosia i jeszcze jedna, której nazwiska nie pamiętam. Następnie w ciągu paru miesięcy wstąpiły do organizacji: Bogucka Marysia, Kańska Ira, Niewiarowska Wela, Skrzycka Marysia i Ziemiańska Bronka.

W ten sposób powstał oddział żeński, liczący 12 członkiń. W porównaniu z oddziałem męskim był nieproporcjonalnie nieliczny. Zupełnie jednak odrębny charakter oddziałów męskiego i żeńskiego, inne też stawiał wymagania przy wciąganiu nowych członków. Oddział męski prowadził prawie wyłącznie ćwiczenia wojskowe, w których mógł brać udział każdy dobry Polak, umiejący dobrze trzymać język za zębami i który wierzył, że niepodległość powinniśmy sami zdobyć z bronią w ręku, nie licząc na obcą pomoc i przyjaźń. Do oddziału żeńskiego wciągane były jedynie dziewczęta wyrobione, poważne, pełne poświęcenia, o zupełnie skrystalizowanych poglądach politycznych, które posiadały wpływy w starszem społeczeństwie a zwłaszcza kobiecem, oraz które umiały milczeć. Komendantami Okręgu Żytomierz (D) byli kolejno: Łaniewski T., Czechowski St., Wisznicki K., Lisowski A., Jasiński oraz najdłużej pracujący w organizacji komendanci Zgorzelski Jan i Szczekowski Władysław.

Początkowo praca O. Z. polegała głównie na zdobywaniu pieniędzy, kolportażu i urabianiu opinji.

Zorganizowałyśmy więc w ciągu zimy parę koncertów i przedstawień teatralnych, co miało powodzenie i dało sporo gotówki. Oprócz tego pomagałyśmy w urządzaniu wieczorków propagandowych, t. zw. „strzeleckich", których program muzykalno - wokalny, poświęcony był specjalnie poezji i pieśniom legjonowym. Czar piosenki wojskowej często silniej przemawiał do serc i wyciskał łzy z oczu, aniżeli słowo wstępne, poprzedzające zwykle koncert. Kolportaż bibuły, a więc odezw i komunikatów, otrzymywanych z kraju, odbywał się w następujący sposób: po odbiciu na powielaczu dostatecznej ilości, rozdawało się na jarmarkach i odpustach między znajome i zaufane kobiety, do rozdania między sąsiadów. Najżywszy udział brała w tem dawna wychowawczyni Bronki Ziemiańskiej, p. Marja Gorzejewska.

Jeżeli chodzi o urabianie opinji była to doprawdy najcięższa i najniewdzięczniejsza praca, była to bowiem stała walka polityczna ze znacznie bardziej wyrobionym i mającym bezwzględnie większe poparcie u ogółu przeciwnikiem. Jednak nie dawałyśmy się.

W roku 1917 powstaje z inicjatywy galicyjskich endeków „Patronat nad Młodzieżą". Przeforsowaliśmy tam swoich przyjaciół: pp. Surynową i Szczekowską oraz pp. Duszyńskiego i Wisznickiego. Pomimo to organizacja miała ze strony Patronatu wiele przykrości i utrudnień. Powstaje też w 1917 roku gimnastyczne t-wo „Sokół" o zabarwieniu wyraźnie endeckiem, w celu odciągnięcia młodzieży od P. O. W. Aby temu przeciwdziałać, cała organizacja wstąpiła do „Sokoła", zmieniając tem samem jego charakter; wprowadziła też paru swych członków do zarządu.

Po rozbrojeniu II i III Korpusu, a kapitulacji I napływa fala żołnierzy Polaków różnego autoramentu; zaczyna się gorączkowa praca przy rozlokowywaniu ich, zdobywaniu dla nich ubrań, dokumentów i środków na wyjazd do kraju. Klęska korpusów poruszyła całe społeczeństwo, więc z rozlokowaniem i ubraniem żołnierzy nie miałyśmy trudności. Nie było prawie podówczas domu poskiego w którymby nie goszczono żołnierzy tułaczy. Dzięki tej opiece, którą dawały szczególnie kobiety, oraz moralnemu poparciu, wielu z żołnierzy Polaków, oparłszy się agitacji bolszewickiej, wróciło do kraju.

Najbardziej ofiarne w przechowywaniu i goszczeniu żołnierzy, gdzie przez czas całej wojny mieli schronisko wyciągani z obozów jeńcy legjoniści, rozmaici kurjerzy, żołnierze i t. p. były domy pp Wisznickich, p. Kieszniewskiej, p. Ziemiańskiej i ks. Fedukowicza, prefekta szkół męskich, jednego z najbardziej zasłużonych kapła-

nów, wielkiego patrjoty, przyjaciela młodzieży, jej doradcy, człowieka, który doskonale rozumiał jej dążenia, ideały i żył jej życiem.

U niego też zamieszkał po zajęciu przez wojsko polskie Żytomierza Marszałek Piłsudski w 1920 r. Po ustąpieniu wojska polskiego, ks. Fedukowicz, więziony przez bolszewików w Czeka, torturowany w bezprzykładny sposób moralnie i fizycznie podpisał podsuniętą przez bolszewików odezwę. Wypuszczony z więzienia, w strasznej depresji moralnej oblał się benzyną i spłonął w okropnych męczarniach. Za życia jeszcze odznaczony krzyżem „Virtuti Militari".

Na jesieni 1918 r. nastąpiła pierwsza w czasie okupacji niemieckiej wsypa. Niemcy przyłapali cały transport karabinów, przewożony końmi przez 3 koleżanki: Helę Oczepowską, Antolę Gorczyńską, która sobie do pomocy ściągnęła siostrę swoją i przez kolegów Majdanowicza i Baranowskiego.

Dziewczęta i Baranowski, korzystając z ciemności uciekli. Majdanowicz zaś, główny kierownik transportu, został zaaresztowany, groziło mu rozstrzelanie. Zwróciliśmy się do Patronatu o pomoc i o poparcie naszych starań u Niemców — otrzymaliśmy jednak tylko obietnice, i jedynie dzięki rewolucji w wojsku niemieckiem udało się go jakoś wydostać.

Do utrzymywania kontaktu z Kijowem i podległemi komendami były też czasami używane dziewczęta w charakterze kurjerek.

W Berdyczowie mniej więcej w tym samym czasie, co i w Żytomierzu, zorganizowany był O. Ż. o bardzo podobnej pracy, członkiniami jego były: Dębicka Zofja, Dzierżyńskie Wanda i Władysława, Godlewska Anna, Neteska Zofja, Podobalska Julja, Stęslowska Janina i Wasilewska Janina, w Radomyślu pracowała tylko jedna Stenia Czarlińska - Piekarska.

W listopadzie wyrusza Oddział męski, zmobilizowany przez Lisa-Kulę, pod Radziwiłłów, padło tam sporo naszych chłopców, że wspomnę tylko o niektórych, jak Karol Wisznicki, jeden z najdawniejszych i najczynniejszych członków organizacji, były komendant placówki, Jerzy Kieszniewski, Tadeusz Paszkowski, Tadeusz Kostanecki i inni, których nazwisk nie pamiętam. My, na wyraźny rozkaz Lisa, zostałyśmy wszystkie na miejscu. Robota zostaje chwilowo przerwana, dopiero na początku 1919 r. znów się ożywia. Do pracy stają przeważnie kobiety, zaczyna się praca, prowadzona w bardzo ciężkich warunkach, bardzo odpowiedzialna, pociągająca za sobą dużo krwawych ofiar.

My jednakże, które wyszłyśmy z tej walki z życiem, zostałyśmy wynagrodzone tysiąckrotnie, widząc, że choć w części przyczyniłyśmy się do ogólnej pracy nad odzyskaniem Ojczyzny.

Irena Kańska.

Z ŻYTOMIERZA DO WINNICY.

(Listopad 1918 r.).

Dziwne to były czasy. — Cisną się wspomnienia na Ukrainie przeżytych chwil, promieniejących nadzieją ziszczenia marzeń i tęsknot całych pokoleń, a równocześnie grozą swoją przypominających czasy Chmielnickiego.

Praca nad budzeniem narodu i przygotowaniem go do idącej już wielkiemi krokami chwili radosnej wyzwolenia istniała pod ziemią. Organizacja tajna, oparta na hasłach najdroższych każdemu sercu polskiemu, założona przez uwielbianego Komendanta, rozsiana po wszystkich ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, znalazła i na Ukrainie wśród zawsze ofiarnych, i gorąco miłujących Ojczyznę kresowców, — tysiące gorących dusz i zapalnych serc.

I Żytomierz nie pozostał wtyle. W lutym 1918 roku powstała sekcja żeńska P. O. W. Wzięłyśmy się raźno do pracy: propaganda, kolportaż odezw, pomoc przy przewożeniu i ukrywaniu broni, przepisywanie i odbijanie różnych instrukcyj i regulaminów wojskowych dla oddziału męskiego, — wszelka t. zw. praca „pomocnicza", zależna od rozwoju wypadków — oto ogólny program działania sekcji żeńskiej.

A gdy na Ukrainie znaleźli się bojownicy o wolność tej miary, co Lis-Kula i inni, którzy mieli szczęście pracować poprzednio pod bezpośredniem kierownictwem Komendanta, zapał do pracy ogarnął młodzież i starszych i kadry organizacji powiększały się stale. A nie była to praca łatwa. Niemcy i Austrjacy węszyli i tępili wszelkie objawy jakiejkolwiek polskiej organizacji. O P. O. W. mieli specjalne instrukcje z b. Kongresówki i z Małopolski, jako o organizacji skrajnie im wrogiej, którą należy bezwzględnie tępić. Po Niemcach i Austrjakach przyszły jeszcze gorsze czasy rządów, a raczej bezrządów przeróżnych władz ukraińskich, przeplatane odwiedzinami bolszewików. Nieszczęsna Ukraina przechodziła z rąk do rąk, a każdy nowy władca, mimo odmiennych programów społecznych i politycznych, podobny był do swego poprzednika: grabił i nienawidził wszystko, co polskie. W tych ciężkich czasach zahartowały się dusze i serca na stal i żaden wróg już nie był nam straszny.

We wrześniu 1918 roku, po ukończeniu gimnazjum, wyjechałam z Żytomierza do Kijowa na dalsze studja. Jednocześnie z komendy żytomierskiej P. O. W. dostałam kartę służbową, skierowującą mnie na kurs ewidencyjno - wywiadowczy, organizowany w Kijowie przez Naczelną Komendę. Wyjazd ten ucieszył mię tem bardziej, że dawał mi możność zetknięcia się z głównymi kierownikami pracy na terenie Ukrainy.

Trafiłam na okres wzmożonej działalności P. O. W. Każda godzina przynosiła bezmała wieści. — Trzeba było być w gotowości.

Oddałam się całkowicie pracy na kursie; wykładane przedmioty pochłaniałam z zapałem, rozumiejąc, że wszystkie wiadomości, a szczególnie z zakresu wywiadu w ówczesnych warunkach będą mi bardzo potrzebne.

Nie dane mi było jednak ukończyć tego kursu. W pierwszych dniach listopada została zarządzona mobilizacja P. O. W. Większość uczestników kursu została użyta do rozwiezienia rozkazów mobilizacyjnych do poszczególnych okręgów i miast. Mnie polecono udać się do Winnicy.

Z jakąś nieznaną mi przedtem radością i jasnością w duszy nie szłam, ale biegłam prawie w mglisty i cichy poranek listopadowy na dworzec kolejowy w Kijowie. Czułam ważność swojej funkcji; od skrupulatnego wypełnienia powierzonego mi zadania zależeć będzie gotowość naszych współtowarzyszy w oznaczonym terminie.

Wbiegłam na dworzec zdyszana i spostrzegłam się, że niepotrzebnie zwracam na siebie uwagę ludzi, wśród których nie jedna, na pewno, para oczu należała do szpiegów. Opanowałam się szybko. Kupiłam bilet i wsiadłam do wagonu nabitego ludźmi tak, że o znalezieniu miejsca siedzącego mowy być nie mogło. Wciśnięta w kąt korytarza wagonu, zadowolona byłam, że mam przynajmniej oparcie. Oczekiwałam z niecierpliwością na odjazd pociągu. Nareszcie ruszył, nabrał ślimaczego rozpędu, by monotonnie rzucać poza siebie leniwie przepracowane kilometry.

Do Winnicy przyjechałam dopiero około g. 10-ej wieczorem, zmęczona niesłychanie całodziennem staniem w tłoku przepełnionego pasażerami pociągu. Miałam zameldować się z przywiezionemi papierami u komendanta, ob. Trentowskiego, o którym wiedziałam tylko, że pracuje w jednem z biur rosyjskich. Znałam tylko umówione hasło. Musiałam więc czekać do rana, a ponieważ nie znałam adresów znajomych, przebywających w tym czasie w Winnicy, musiałam więc noc spędzić na dworcu i nazajutrz dopiero wybrać się na poszukiwania. Tak też zrobiłam. Noc całą przesiedziałam w poczekalni kolejowej i z radością powitałam szary poranek listopadowy. Pierw-

szym tramwajem pojechałam do miasta. Po dość długich poszukiwaniach odnalazłam biuro, w którem pracował ob. Trentowski, nie mogłam się jednak z nim zaraz zobaczyć, ponieważ był nieobecny i dopiero około południa doręczyłam mu przywieziony rozkaz. Zadowolona z wypełnienia rozkazu udałam się na poszukiwanie znajomych. Zapomocą biura adresowego odnalazłam mieszkanie dawnych naszych przyjaciół i sąsiadów ze wsi, pań Baranowskich. Uradowana, że będę miała gdzie odpocząć, udałam się do nich z postanowieniem spędzenia tam reszty dnia i wyjechania wieczornym pociągiem do Kijowa. Stało się jednak inaczej. U p. Baranowskich, po długiem niewidzeniu, zagadałyśmy się tak o różnych przejściach, że czas niepostrzeżenie zleciał do wieczora. Ogarnęło mnie takie zmęczenie, że na propozycję z ich strony, żeby nie jechać wieczorem a zostać i przenocować, nie miałam siły oprzeć się nęcącej pokusie i zostałam, tem więcej, że po wykonaniu powierzonego mi zadania, nie miałam określonego terminu powrotu. Nie przypuszczałam wtedy, że to będzie powodem rozmaitych przejść w drodze powrotnej.

Następnego dnia wczesnym rankiem pojechałam na dworzec. Tu jednak dowiedziałam się, że pociągi nie chodzą normalnie i że najbliższy odejdzie prawdopodobnie dopiero wieczorem. Wróciłam do pp. Baranowskich i tam spędziłam cały dzień. Wieczorem Ira Baranowska odprowadziła mnie na dworzec, aby w razie niemożności odjazdu zabrać mnie zpowrotem do siebie. Na dworcu zastałyśmy tłumy ludzi, których ta nieprzyjemna sytuacja kolejowa zaskoczyła w Winnicy. Według zapewnień urzędników kolejowych pociąg miał odejść niebawem. Wśród oczekujących znajdowała się grupka ludzi, składająca się z 3-ech mężczyzn i 2-ch kobiet, z któremi towarzyszka moja serdecznie się przywitała i mnie z nimi zaznajomiła. Jak się okazało, byli to legjoniści z II Brygady, którzy po bitwie pod Kaniowem ukrywali się czas jakiś w Winnicy i teraz zdążali na Murman wraz z towarzyszącemi im sanitarjuszkami. Zadowolona, że będę miała towarzystwo do Kijowa, przyłączyłam się do nich.

Po długiem oczekiwaniu nadjechał wreszcie pociąg — jeden z tych pociągów, które później stały się normalnem zjawiskiem tamtejszych kolei. Był złożony z wagonów osobowych i towarowych, nieopalany, bez światła. Stopnie wagonów i dachy były wprost oblepione żołnierzami, powracającymi z rozmaitych frontów. O dostaniu się do któregoś z wagonów mowy nie było. Postanowiliśmy jednak za wszelką cenę pociągiem tym wyjechać, ponieważ nie można było wogóle spodziewać się nadejścia pociągu normalnego. Po długich pertraktacjach z konduktorem, popartych zastosowaniem niezawodnej w Ro-

sji metody — łapówki, otrzymaliśmy „miejsce" w ostatnim wagonie towarowym tego pociągu, naładowanym prawie pod dach workami jabłek. Miejsce nie było zbyt wygodne, bo trzeba było przez cały czas leżeć na twardych, zimnych i wilgotnych workach. Zadowoleni jednak byliśmy z tej jazdy, bo o wygodach w tej chwili nie myśleliśmy wcale.

Po dość długim postoju, ruszyliśmy i, zdawało się, że, prędzej czy później, dotrzemy jednak do Kijowa. Mimo zimna i niezbyt wygodnych „materaców", ukołysani jednostajnym turkotem kół wagonu, usnęliśmy. Skostniała z zimna, obudziłam się w nocy, zaniepokojona bezruchem pociągu i ciszą panującą dokoła. Nie zdając sobie sprawy, ile czasu upłynęło i jak daleko jesteśmy od Winnicy, wyjrzałam z wagonu i zobaczyłam widniejące zdala budynki stacyjne. Od przechodzącego kolejarza dowiedziałam się, że to Koziatyn, że pociąg nasz stoi tu już dość długo bez lokomotywy, i że ruszymy dalej, gdy tylko inna lokomotywa będzie gotowa do drogi. Wyszliśmy z wagonu, by zasięgnąć informacyj. Na dworcu dowiedzieliśmy się, że przyczyną wstrzymania normalnego ruchu pociągów jest powstanie atamana Petlury przeciwko hetmanowi Skoropadskiemu, rezydującemu wówczas w Kijowie. Robiono nam nadzieję, że pociąg nasz pójdzie jeszcze dalej, niewiadomo jednak, jak daleko zajedzie. I, rzeczywiście, po kilkugodzinnym postoju jakaś lokomotywa ulitowała się nad naszym pociągiem i dowiozła nas do Fastowa. Tu był kres naszej podróży. Pod Kijowem toczyły się podobne walki i pociąg dalej iść nie mógł. Trzeba było zrezygnować z dalszej jazdy i pomyśleć nad sposobem przeczekania tej kłopotliwej sytuacji.

Po krótkiej naradzie wybraliśmy się do miejscowego proboszcza, spodziewając się, że ułatwi nam wynalezienie jakiegoś mieszkania. Ksiądz zatrzymał chłopców chwilowo u siebie, nas zaś skierował do miejscowych aptekarzostwa, zapewniając, że znajdziemy tam życzliwe przyjęcie. Rzeczywiście, udzielono nam gościny, oddając do naszej dyspozycji wielki salon. Pani domu wraz z dziećmi od dłuższego już czasu chorowała, miałyśmy więc możność wywdzięczyć się za przyjęcie nas pod swój dach, opiekując się chorymi przez cały czas naszego tam pobytu.

Pokój, sąsiadujący z naszym, zarekwirowany był przez władze wojskowe i zajmowało go kilku Niemców z miejscowej komendy placu. Postanowiłam to wyzyskać dla zasięgnięcia informacyj o sytuacji ogólnej oraz w celu ewentualnego ułatwienia mi podróży do Kijowa.

Poza tem odbywałam codzienne wyprawy na dworzec kolejowy po wiadomości, kiedy jaki pociąg wyruszy w kierunku Kijowa.

Wiadomości jednak były stale beznadziejne.

Sytuacja moja stawała się z dniem każdym bardziej niewesoła. Wysłana do Winnicy na jeden dzień tylko — nie mogłam się spodziewać, że podróż ta zajmie mi kilka tygodni czasu. W jesiennym kubraczku i pantofelkach bez zapasowej bielizny i bez pieniędzy przy zbliżającej się ostrej, ukraińskiej zimie — znalazłam się w warunkach nie do pozazdroszczenia. Rozważałam możliwość przedostania się do Kijowa pieszo lub końmi. Niestety, mój ekwipunek letni i brak pieniędzy nie pozwalały mi na odbycie takiej wyprawy w mróz i po śniegu, który w tym roku wcześnie spadł i w dużej ilości. Nie pozostawało nic innego, jak w dalszym ciągu codziennie, regularnie odwiedzać dworzec kolejowy i dowiadywać się, czy jakiś pociąg do Kijowa nie odejdzie.

Po tej trzytygodniowej przymusowej „kwarantannie", któregoś dnia z rozmowy z Niemcami dowiedziałam się, że w najbliższych dniach ma być zawarty kilkunastogodzinny rozejm pomiędzy petlurowcami i wojskiem hetmana i że wtedy prawdopodobnie pójdzie pociąg do Kijowa, będzie to jednak pociąg tylko dla wojskowych — Niemców i nikt z „cywilów" nie będzie się mógł do niego dostać. Na prośbę moją, aby mi ułatwił dostanie się do tego pociągu — Niemiec odmówił kategorycznie, twierdząc, że pociąg ten będzie ściśle strzeżony przez Ukraińców. Przez kilka dni następnych starałam się wpłynąć na mego sąsiada, aż wreszcie uzyskałam obietnicę, że poleci mnie wyjeżdżającemu tym pociągiem sierżantowi, który dopomoże mi do odbycia tej podróży, pod warunkiem jednak, że sama przedostanę się do pociągu.

Zgodziłam się, oczywiście, na ten warunek i w oznaczonym dniu i godzinie stawiłam się na dworcu. Tu okazało się, że dostanie się do pociągu nie będzie łatwe. Koło każdego wagonu stał żołnierz ukraiński i wpuszczał Niemców, sprawdzając ich dokumenty podróży. Tylko zmyliwszy czujność jego, można się było dostać do środka. Szczęśliwy przypadek pomógł mi do pokonania tej, zdawało się, nieprzezwyciężonej trudności.

Do żołnierza, stojącego przed wejściem do jednego z wagonów, podeszła jakaś kobieta, która zaczęła z nim o czemś rozmawiać z wielkiem ożywieniem. Pochłonięci rozmową oddalili się o kilka kroków. Skorzystałam z tego i wskoczyłam do wagonu.

Wagon zajęty był przez Niemców, wśród których moje zjawienie się wywołało duże zdumienie i zaciekawienie. Po chwili wszedł do wagonu sierżant, który jeszcze na dworcu był uprzedzony przez oficera o moim zamiarze dostania się do pociągu, a w razie gdyby mi się to udało, miał mi podróż ułatwić. Wiedziałam, że zdecy-

dowany mój krok zrobił na nim wrażenie dodatnie. Wyrażając podziw dla mojej zręczności i odwagi, wprowadził mnie do jednego z przedziałów, zapełnionego żołnierzami, którym polecił zrobić mi miejsce. Usiadłam przy oknie i, wciśnięta w kąt, czekałam z bijącem sercem na sygnał odjazdu. Ponieważ była obawa, że ktoś przez okno lub też służba kolejowa mogłaby mnie spostrzec, jeden z żołnierzy zawiesił nade mną swój płaszcz, za którym się ukryłam, wyglądając tylko od czasu do czasu dla zaczerpnięcia powietrza i dla zobaczenia, co się wkoło mnie dzieje. Za chwilę pociąg ruszył.

Cieszyłam się niewypowiedzianie, że wreszcie skończył się ten przymusowy pobyt w obcem mieście i beznadziejność czekania na okazję wyjazdu. — Zdawałam sobie jednak sprawę, że nie wszystkie trudności zostały pokonane: mogli mnie znaleźć eskortujący pociąg żołnierze ukraińscy lub służba kolejowa, a wtedy w najlepszym wypadku, podróż moja skończyłaby się na zatrzymaniu mnie na jakiejś małej stacyjce w warunkach gorszych jeszcze, niż poprzednio. Trzeba było w jakiś sposób możliwości tej uniknąć. Nie namyślając się długo włożyłam na siebie płaszcz i czapkę wojskową i udawałam Niemca. Dało mi to dużą swobodę ruchu, nie potrzebowałam kryć się, mogłam obserwować swobodnie wszystko, co się wkoło działo, a nawet nawiązać rozmowę z Niemcami dla zdobycia wiadomości o ich dyzlokacji i ruchach. Korzystając z chwilowego przychylnego nastroju dla mnie moich niezwykłych opiekunów, wypytywałam ich o potrzebne mi wiadomości, prowadząc rozmowę, jakgdyby dla zabicia czasu.

Mimo częstej kontroli ze strony Ukraińców, dojechałam szczęśliwie do Kijowa, gdzie na stacji wywołałam niesłychane zdumienie wśród Niemców i służby kolejowej, którzy nie spodziewali się, aby tak pilnie strzeżonym pociągiem mógł przejechać ktoś z osób cywilnych.

W Kijowie pozostałam do połowy grudnia, t. j. do czasu wyjazdu mego do rodziny na święta do Żytomierza, gdzie z powodu warunków domowych zmuszona byłam pozostać już na stałe.

Pracowałam tu w P. O. W. aż do czasu, kiedy wraz z zajęciem Ukrainy przez bolszewików zaczął się najcięższy okres próby dla P. O. W. Przyszła i na mnie kolej. Aresztowana w Żytomierzu pewnej pamiętnej nocy przez czekistów bolszewickich na podstawie poszlak przynależności do P. O. W. miałam tam powrócić dopiero po rocznem blisko oderwaniu od rodziny i najbliższych i po przebyciu całego piekła bolszewickich sądów, indagacyj, tułaczki więziennej od Żytomierza do Moskwy i to w obliczu ciągłej grozy śmierci.

Irena Kosmowska.

Z TAMTEJ STRONY FRONTU.

Do mozaiki wspomnień i obrazów, ilustrujących udział kobiet w pracy niepodległościowej na różnych odcinkach polskiego życia i walki z okresu roku 1915, mogę dorzucić tylko garść wrażeń z tamtej strony frontu. Tam bowiem rzuciły mnie losy.

Z początkiem 1915-go roku władze rosyjskie „nakryły" centralne ognisko pracy zaraniarskiej. Poszli do więzienia członkowie redakcji pisma ludowego „Zaranie" i 50-ciu najczynniejszych działaczy-chłopów. Półroczna, przymusowa bezczynność — potem ewakuacja władz rosyjskich z Warszawy, obejmująca w ostatniej chwili i więzienie. Pono to był ostatni, wychodzący z Warszawy pociąg, którym odjeżdżała „ochrana", z garstką „politycznych" z więzienia ratuszowego. Byłam wśród nich. Pociąg ten znalazł się w chaosie ustępującej armji. Był parokrotnie ostrzeliwany. Aż po Lublin i Kowel — stojąc często w polu — oczekiwano z godziny na godzinę odejścia. Kobiet aresztantek wśród całej rzeszy „ochranników" policjantów, było tylko trzy. „Zwiać" nie było można. Minąwszy linję, pociąg po dziewięciu dniach stanął w Moskwie. Odstawiono mnie do więzienia. W kilka miesięcy później, dzięki staraniom kolonji polskiej w Moskwie, byłam zwolniona, za kaucją. Osiadłam na stałe w Petersburgu. Przebyłam tam przeszło dwa lata, pracując w Centrali Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny.

Ustępujące wojsko rosyjskie wepchnęło wielotysięczne rzesze Polaków z „priwiślanskawo kraja" i z „zachodnich gubernij" na bezkreśne przestrzenie swego imperjum.

Rozbita armja rosyjska, cofając się i niszcząc wszystko po drodze z bezmyślną zawziętością, gnała przed sobą wynędzniałą ludność ze spalonych osiedli. Wiodła ją jakby w ów przedwieczny tatarski jasyr. Lecz ta, wpędzona w głąb Rosji, rzesza polskich wygnańców nie zginęła. Znalazła oparcie o serca braci.

Przed wojną większe ośrodki rosyjskiego życia przemysłowego przyciągnęły do siebie spory zastęp polskich fachowców, którzy tam znaleźli pracę. Polaków na stanowiskach liczono wtedy w Rosji około 2 tysięcy. Pod nakazem potrzeb chwili oni przedewszystkiem zorganizowali doraźnie szeroką akcję ratowniczą dla t. zw. „bieżeńców" z Polski.

Dzieje tej służby obywatelskiej, pełnionej ofiarnie „z tamtej strony frontu" przez kolonję polską w Rosji mało są naogół znane. Zagłuszyły ją echa tych przewrotów, co wstrząsnęły Rosją, sięgając do trzew ludzkiej zbiorowości. Wiedzieć jednak warto, że bolszewicki komisarjat polski, obejmując władzę w zakresie przyznanej mu kompetencji, zastał: 1430 polskich szkół ludowych, 701 przytułków, 36 szkół rzemieślniczych dla starszej młodzieży — ogółem 2167 zakładów polskich, niosących pomoc i oświatę. W ciągu dwu lat tej pracy rzucono w masę wygnańców przeszło 100 tys. egzemplarzy aktualnych polskich wydawnictw (broszury, kalendarze, podręczniki szkolne, jednodniówki z wiadomościami o kraju) poza krążącemi po ogniskach bibljoteczkami, które czerpały z dawniejszych zasobów księgarnianych.

Zaraz na wstępie — polska akcja ratownicza w Rosji dokonała rzeczy bardzo ważnej: nie dopuściła do rozproszenia rzesz wygnańczych i obroniła je przed masowem przerzuceniem na daleki wschód, co było zamiarem władz carskich. W dalszym ciągu konsekwentnego działania przeprowadzony został plan mobilizacyjny powrotu.

Kto to byli ci Polacy w Rosji, co usłyszeli wezwanie życia: „ratujcie braci!" Różnorodność typów ludzkich była bardzo wielka. Krytyczny stosunek do „romantyzmu myśli niepodległej" topniał nie w atmosferze rozczulenia, — jeno w pozytywnem rozumowaniu rozbudzonych w tem środowisku zainteresowań politycznych. Z luźnej gromadki Polaków, zarobkujących na obczyźnie, kolonja polska w Rosji w latach 1915 — 17 stała się ośrodkiem życia narodowego, świadomie i czynnie uczestniczącego w dziejowym momencie zmartwychwstania. Wyraźna postawa zwartej grupy Polaków w Rosji przyczyniła się niewątpliwie do tego, że rząd Kiereńskiego — rzucając w świat słowa pierwszego rewolucyjnego manifestu — postawił w nim sprawę niepodległości Polski jako sprawę moralnie przesądzoną.

Obok czołowych działaczy i organizatorów brały czynny i serdeczny udział w akcji ratowniczej szerokie rzesze dawniej osiadłych lub przez wojnę tam przygnanych pracowników różnych zawodów. Ewakuowani przymusowo urzędnicy, wśród nich liczne zastępy kolejarzy,

inteligenci oraz deportowani w różnych latach, — wśród nich najmłodszy zastęp peowiaków. Ci przenikali w dalsze od życia środowiska i nieśli „nowinę".

Przypomina mi się w tej chwili rozmowa, którą miałam wnet po mojem osiedleniu w Petersburgu z jednym kolejarzem polskim, siedzącym już na emeryturze, we własnym domku w Łudze. Ten domek z ogródkiem był umiłowanym owocem pracy całego życia, spędzonego na dalekiej, północnej stacyjce kolejowej. Opowiadałam mu, co się dzieje tam... nad Wisłą, i co się ma stać. Milczał — długo coś sobie ważył. Wreszcie zawołał: „Czort bierz dorobek, jeśli Polska ma być".

Wnet potem przywiózł córkę swoją do prowadzonej przeze mnie szkoły dla nauczycielek ludowych, aby się uczyła braciom służyć, jak wróci do kraju. On już nie powrócił. Ona po skończeniu rocznego kursu pracowała bardzo dzielnie w Mohylowszczyźnie, w tej najstraszniejszej gehennie polskiego wychodźtwa.

Nie potrafię mówić o tych skarbach ofiarnego trudu i cichego zapału, które były rozsiane po ochronkach i szkółkach polskich w Rosji przez zastęp młodych pracownic, szamocących się w nędzy, wśród wrogości obcego otoczenia — tylko z myślą o tem: że Polska będzie. Zjazd nauczycielski w Moskwie w początku 1917 r. był jednym wybuchem tej wiary i silniejszej nad wszystko radości, że i my jesteśmy wśród bojowników J u t r a.

A cała masa wygnańcza? Wśród niej utrzymała się do końca zupełna obcość w stosunku do środowiska rosyjskiego. Poczucie przymusu i czasowość pobytu głuszył wszelkie zainteresowanie przejawami otaczającego życia. Był to nastrój podróżnego, czekającego na odległej, pustej stacji, kiedy spóźniający się pociąg wreszcie nadejdzie i zawiezie.... zpowrotem.

Wydawnictwu, przeznaczonemu dla szerokich mas wygnańczych (rodzaj kalendarza na rok 1916), dano tytuł „Powrócim", bo to słowo jedynie miało dostęp do dusz zmęczonych i tęskniących.

Całe napięcie psychologiczne wygnańca polskiego skupiało się w jednym wewnętrznym nakazie: przetrwać, żeby wrócić, bo tam..... pono teraz wolność się rodzi!

Marzenie o Polsce dalekiej straciło kontury wspomnień o realnych warunkach, od których się odeszło, gdy wyganiała z domu wojny złowroga siła. Marzenie to przyjęło w duszach kształt obrazu, podobnego do betlejemskiej stajenki, w której rodzi się Zbawienie.

Zapatrzenie w ten obraz sprawiło, że o duszę polskiego wygnańca obiły się bezsilne fale obcych wpływów i powrócił wierny do Ojczyzny.

Halina Chełmicka.

DO POLSKI!

Uciekać! — było pierwszą moją myślą, gdy mnie powtórnie aresztowano. Miało to miejsce w kwietniu 1915 roku, w okresie największego napięcia naszej pracy konspiracyjnej; czułam się potrzebną i pożyteczną, chciałam żyć i walczyć, a więzienie stawiało mnie poza nawiasem życia; w perspektywie, gdyby śledztwo wykazało, że jestem członkiem Oddziału Lotnego P. O. W. — groziła mi szubienica.

Zawiodły jednak wszelkie próby ucieczki z więzienia w Warszawie. Mijały miesiące, śledztwo przeciągało się w nieskończoność. Tymczasem do aresztowanych zaczęły się przedostawać wiadomości o pogromie Rosji, groźny huk wystrzałów armatnich przenikał poprzez mury więzienne i budził w nas utajone nadzieje, że Warszawa zostanie wzięta lada dzień, a władze rosyjskie nie zdążą przeprowadzić ewakuacji więzień.

Nadzieje nasze jednak się nie spełniły...

Pewnego dnia otrzymaliśmy rozkaz, aby pakować manatki i wychodzić z cel.

Gdy w cudny lipcowy dzień wyprowadzono mnie na ulicę, czułam się jakby odurzona; od kilku miesięcy nie byłam na dworze, raziła mnie jasność słońca i świeżość powietrza; nie śmiałam podnieść oczu i głębiej odetchnąć. Wieziono nas przez ulice Warszawy otwartemi dorożkami. Przez chwilę błysła mi nadzieja, że może odbiją nas w drodze, może ułatwią ucieczkę przy przejeździe na dworzec, napróżno jednak rozglądałam się po obojętnym tłumie przechodniów, znikąd nie było sygnałów i znaków porozumienia. Strażnicy, konwojujący nas, natomiast śledzili bacznie każde spojrzenie, każdy ruch aresztowanych. Na dworcu Wschodnim, podzielono nas na partje, po kilkanaście osób „do każdego wagonu wołowego".

Siadłam w najciemniejszym kącie czarnego pudła, oparłam głowę na rękach i zagryzłam wargi, aby nie wybuchnąć płaczem. Rozległ się gwizdek, stuknęły osie—i pociąg ruszył. W wagonie zapanowała zupełna cisza. Żołnierze, oparci o karabiny, ponuro spoglądali na nas, z więźniów nikt nie odzywał się; każdy zdawał się być pogrążony w swoim bólu i myślach, choć wszyscy w tej chwili myśleliśmy o jednem i przeżywaliśmy jedną tragedję: odrywano nas przemocą od ziemi polskiej, za którą walczyć chcieliśmy doostatka; wywożono nas do dalekiej, wrogiej Rosji, w chwili, gdy jutro, lub pojutrze do Warszawy wkroczą Legjony.

Pociąg nasz wlókł się bardzo powoli, gdyż tor zajęty był transportami wojskowemi i pociągami, ewakuującemi różne artykuły rządowe, urzędników i ich rodziny. Czasami zatrzymywaliśmy się na jakiejś stacji, lub w szczerem polu po kilkanaście godzin. Po kilku dniach drogi, gdy przeszło pierwsze oszołomienie, zaczęłam oceniać trzeźwo sytuację i postanowiłam uciec w czasie etapu, nie czułam już przygnębienia, palił mnie jedynie wstyd, że daję się wywozić, jak baran. Porozumiawszy się z więźniami, którzy jechali w tym samym wagonie i uzyskawszy ich zgodę, na jednej ze stacji, w okolicy Lidy, korzystając z prawa wychodzenia po wodę, zmyliłam eskortującego mnie żołnierza i uciekłam. Minąwszy zabudowania stacyjne, dostałam się do otaczającego ową stacyjkę lasu i puściłam się pędem przed siebie. Dogonił mnie wkrótce ś. p. Jerzy Essigman, którego w czasie drogi poznałam i który zdecydował się również na ucieczkę. Biegliśmy kilka godzin bez wytchnienia, ja już tchu złapać nie mogłam i Jurek mię ciągnął za rękę. Las się skończył. Przystanęliśmy, by się naradzić, w jakim kierunku dalej uciekać, wtem, z za krzaków, wychylił się żołnierze. Huknął strzał, z kilku stron nadbiegać zaczęła pogoń, żołdacy dopadli nas i wśród przekleństw i wyzwisk zaczęli bić kolbami i kopać; nawpół żywych odstawiono nas z powrotem do wagonu.

Po dwóch tygodniach uciążliwego etapu, tułania po więzieniach w Mińsku i Smoleńsku, dowieziono nas do Moskwy. Kobiety osadzono w więzieniu na Butyrkach, mężczyzn w Tagance. Poza grubemi murami Butyrek poczułam się, jakby odcięta od świata; z powodu fatalnego odżywiania zaczęłam chorować i tak opadłam z sił, że całemi dniami leżałam na swojej pryczy. Nie czekałam już na nic i niczego nie pragnęłam.

Jakież było moje zdziwienie, gdy któregoś dnia niespodziewanie otwarto drzwi i dozorczyni zawołała w progu: „Chełmickaja z wieszczami na swobodu". Nie ruszyłam się z miejsca, nie dowierzając własnym uszom. Dopiero, gdy Ludka Lutyńska i Hela Chłopicka, sie-

dzące w jednej celi ze mną, zaczęły mnie ściskać, całować i pakować gorączkowo moje manatki, a dozorczyni naglić do pośpiechu, zrozumiałam, że mam się istotnie z celi wynosić.

Gdy przechodziłam przez więzienne podwórze, w oknach ukazały się z poza krat blade twarze aresztantek — to Hela i Ludka zdążyły tymczasem rozsygnalizować, że wychodzę z więzienia. Nie bacząc na następstwa, aresztantki wołały do mnie jedna przez drugą, tak znane mi z etapu, jak i nieznane, osiadłe tu katorżanki, dawały jakieś polecenia i adresy. Przystanęłam, aby coś zrozumieć i zapamiętać. Wartownik gwizdnął trzykrotnie na alarm i głowy znikać zaczęły za kratami. Zdążyłam wykrzyknąć: Nie zapomnę o was! i, pchnięta przez rozwścieczoną dozorczynię, poszłam dalej. W kancelarji więziennej czekał na mnie p. K. Lenc, przyjaciel mojej rodziny, i, pogroziwszy mi palcem, powitał mnie słowami: „No, udało mi się panią znów wydostać z więzienia, ale to już ostatni raz!"

Dzięki opiekunom moim, a w pierwszym rzędzie dzięki p. Lencowi, Lednickiemu, Wyszkowskiej i dr. Hryniewskim, w sanatorjum których przebyłam około 2-ch miesięcy, zaczęłam odzyskiwać zdrowie, a wraz z siłami i chęć do pracy. Zachowując wszelkie środki ostrożności (byłam wypuszczona za kaucją i znajdowałam się pod nadzorem policji) nawiązałam kontakt z polską młodzieżą filarecką i zaczęłam brać udział w jej pracach, nie porzucając jednak myśli ucieczki do kraju. Uważałam bowiem, że miejsce naszej młodzieży polskiej jest nie w Rosji, ale tam na ziemi polskiej — w szeregach, walczących pod rozkazami Piłsudskiego.

Przedostanie się przez front było wtedy niemożliwe, ze względu na ustalenie się pozycyj dwóch walczących stron droga przez Torneo, z której kilku naszych ludzi skorzystało, ostatnio była „zasypana", pozostała jeszcze możliwość ucieczki przez Finlandję, przez morze do Szwecji, drogi tej jednak nikt jeszcze nie wypróbował. Stosunków na południu Rosji obóz niepodległościowej emigracji polskiej, z którym komunikowałam się, nie posiadał wtedy zupełnie. Po rozpatrzeniu wszystkich możliwości, wybrałam więc drogę przez morze.

W końcu lipca 1916 r. wyjechałam do Petersburga, gdzie znalazłam gościnne oparcie w domu p. p. Filipkowskich. Oprócz mnie na ucieczkę decydowali się redaktorostwo Malinowscy i Leszczyński. W połowie sierpnia wyruszyliśmy w pięcioro do Helsingforsu — towarzyszyła nam p. Jadwiga Dziubińska — ten prawdziwy anioł opiekuńczy Polaków, znajdujących się na wygnaniu w Rosji. W Helsingforsie ułatwili nam nawiązanie stosunków z rybakami fińskimi, zajmującymi się przemytnictwem przez morze, miejscowi rewolucjoniści fińscy, których adresy otrzymaliśmy w Petersburgu. Nienawidzili oni

Rosji i z życzliwością odnosili się do Polaków, prześladowanych przez władze rosyjskie. Pożegnawszy serdecznie p. Dziubińską, z Helsingforsu pojechaliśmy już z przewodnikiem, który szczęśliwie dowiózł nas do zapadłej wioski fińskiej, położonej o kilka mil od brzegu morza. Gospodarz nasz, Anders, u którego ukryliśmy się w stodole, udał się w kierunku wybrzeża morskiego w celu nawiązania pertraktacyj z rybakami, niestety, powrócił z niepomyślną wiadomością, że narazie nikt wyjechać łodzią na morze nie chce, gdyż noce jeszcze są zbyt jasne, a morze burzliwe. Po tygodniu daremnego oczekiwania, że a nuż jednak rybacy zdecydują się i dadzą nam o tem znać — musieliśmy wracać do Petersburga, gdyż dalsze przebywanie u Andersa mogło nas rozkonspirować i sprowadzić rosyjskich żandarmów, ciągle odwiedzających okolice. Smutny był nasz powrót. Ja jednak nie dawałam za wygraną, wyszukałam nowego towarzysza podróży ob. Kola, który uciekł z więzienia w Omsku i nie liczył się z żadnem niebezpieczeństwem.

Wyjechaliśmy z Petersburga 1 września, trzymając się dawnej marszruty. Obecnie wiozłam raport do Komendanta Piłsudskiego od P. O. W. w Rosji, więc tem bardziej zależało mi na jak najszybszem przedostaniu się do kraju. Trzecim towarzyszem podróży był poseł fiński, który przyłączył się do nas w Helsingforsie i który również chciał za wszelką cenę natychmiast uciekać do Szwecji. Gdy dotarliśmy do Andersa, uprzedzonego już o naszym przyjeździe, ten oświadczył nam, że wszystko jest do ucieczki przygotowane i rybacy zdecydowali się jechać choćby zaraz, gdyż noce były dość ciemne, a morze wyjątkowo spokojne. Anders natychmiast zawiadomił rybaków, że przyjechaliśmy, że jesteśmy gotowi jechać i że nazajutrz w nocy do nich przybędziemy.

W oznaczonym dniu, skoro świt, udaliśmy się z naszym gospodarzem w dalszą drogę. Około północy dotarliśmy do niewielkiej wioski rybackiej. Przewodnik nasz zapukał do jednej z chat ze szczelnie zamkniętemi okiennicami. Wpuszczono nas do środka: w zadymionej izbie pełno było ludzi: kilkunastu wielkich, obrosłych drabów i dwie domowe kobiety. Wszyscy spoglądali na mnie z ciekawością i niedowierzaniem, takiego pasażera jeszcze nie mieli! Po godzinie narad i przygotowaniach, mężczyźni jeszcze raz sprawdzili broń i, nakazując zupełne milczenie i ostrożne stawianie nóg, kazali nam iść za sobą. Stąpając gęsiego, krok za krokiem cicho i ostrożnie, aby nie poruszyć piętrzących się na drodze głazów, weszliśmy na urwistą skałę nadbrzeżną. U podnóża jej prowadziła ścieżka, na której wartowali rosyjscy strażnicy. Po godzinnem skradaniu się, zaczęliśmy

opuszczać się na dół i mijając głazy, dotarliśmy wreszcie do brzegu zatoki. Tu przewodnicy nasi znaleźli ukrytą łódź, do której weszliśmy my, trzej zbiegowie oraz dwaj rybacy. Gdy łódź zaczęła powoli oddalać się od brzegu, ogarnęła mnie radość niewysłowiona i wzruszenie. Za mną została Rosja — ten kraj wrogi mi i obcy — przede mną otwierała się droga do Ojczyzny.

Wymijając sterczące z pod wody skały, łódź nasza posuwała się zwolna. Rybacy umyślnie omijali łatwiejszą drogę, idącą wzdłuż wybrzeża. Gdy zaczęło świtać, zaszła obawa, że możemy być dostrzeżeni z nadbrzeżnej wieży wartowniczej, wobec tego ob. Kol ukrył się na dnie łodzi pod kocami, ja zaś włożyłam chustkę na głowę i manipulowałam koło sieci rybackiej. Szlak był najeżony podwodnemi skałami, ale zato mało uczęszczany i pewniejszy. Rybacy sądzili że uda się nam uniknąć bezpośredniego zetknięcia z łodziami straży granicznej, gęsto patrolującej wzdłuż wybrzeża. Około południa łódź nasza zbliżać się zaczęła do jednej z większych wysepek. Gdy przybiliśmy do brzegu, rybacy pozostali w łodzi, polecając nam iść aż do pierwszej spotkanej „niebieskiej wody", nad brzegiem której miał na nas czekać mężczyzna z żółtą teczką.

Pożegnawszy serdecznie rybaków, ruszyliśmy we wskazanym kierunku i istotnie, po kilkunastu minutach ujrzeliśmy przed sobą małe jeziorko, nad brzegiem którego przechadzał się samotny jegomość z teczką. Przywitał nas gniewnie, gdyż czekał na nas od rana, zamienił kilka zdań z naszym Finem i, nie wdając się w dalszą rozmowę, poprowadził w głąb wyspy do rybackiej chaty. Podano nam obiad: kaszę i suszone ryby. Byłam jednak tak znużona przebytą drogą, że nic nie jedząc, położyłam się zaraz spać. Spałam jeszcze w najlepsze, gdy zbudził mnie Kol, mówiąc, że w czasie rozmowy przy obiedzie dowiedział się, że gospodarz chaty jest ścigany przez Moskali, że za głowę jego naznaczono 40 tys. rubli, że na wyspie robią częste rewizje i że wobec tego bezpieczniej byłoby opuścić chatę i przeczekać do wieczora w zaroślach. Zła byłam, bo bolały mnie wszystkie kości, ale przyznałam mu słuszność i udałam się wraz z mymi towarzyszami w głąb wyspy.

Zaszyci w gęstwinie, gwarzyliśmy swobodnie, zbierając maliny. Nagle posłyszeliśmy trzask gałęzi; z za drzew wyłonił się zziajany chłopak — syn gospodarza, dając nam zdaleka znaki, abyśmy zamilkli. Okazało się, że w chacie są żandarmi rosyjscy i grożą, że przetrząsną całą wyspę w poszukiwaniu zbiega — właściciela chaty. Zaszyliśmy się więc w najdzikszej gęstwinie i, nie mówiąc do siebie, nawet szep-

tem, doczekaliśmy się nocy. Było już zupełnie ciemno, gdy posłyszeliśmy nawoływania i umówione sygnały. Wyszliśmy z ukrycia i przyłączyliśmy się do rybaków, którzy, torując nam drogę przez zarośla, przeprowadzili nas na przeciwległy brzeg wyspy. Tu siedliśmy do małej, płaskiej łódki. Naokoło pełno było podwodnych skał, o które łódź nasza ciągle zawadzała; kilkakrotnie przechyliła się tak silnie, że o mało nie powpadaliśmy do wody. Po godzinie tej uciążliwej drogi dojechaliśmy do jednej z większych skał, u której podnóża ukryta była dość duża łódź motorowa. Ładunkiem łodzi, były cielęce skóry, które przemycano z Rosji do Szwecji i my trzej pasażerowie.

Załogę łodzi stanowiło kilkunastu mężczyzn, wszyscy prawie uzbrojeni w karabiny i brauningi. — „To rozumiem, taka łódź, — możnaby na niej i do Ameryki uciekać, a siedzenie miękkie, jak w I klasie" żartował wesoło Kol, sadowiąc się wygodnie na skórach. Narazie i ja czułam się doskonale i bardzo pewnie, w miarę jednak, jak motorówka zaczęła się oddalać od brzegu wyspy i kołysanie stawało się coraz silniejsze, zaczęłam doznawać dotkliwego bólu głowy, rozsadzało mi czaszkę, była to zapowiedź morskiej choroby, której doznali wkrótce i dwaj moi towarzysze podróży, również jak ja, nowicjusze na morzu.

Gdy wyjechaliśmy na pełne morze, zapalono latarnie i zdwojono szybkość łodzi. Noc była ciemna, od północy zerwał się silny wiatr, który w pewnej chwili skręcił nagle naszą łódź, tak, że zaczerpnęła pełno wody. Mężczyźni rzucili się do kubłów i do steru, by zmienić kierunek łodzi i dla uniknięcia zalewu jej od fal, bijących z boku, musieliśmy jechać pod wiatr i pod falę, chociaż zboczyliśmy przez to z drogi.

Tymczasem nawałnica stawała się coraz silniejsza, deszcz lał potokami, czarne ściany wody, wyglądające w nocy, jak groźne potwory, piętrzyły się przed nami, podrzucając łódź z góry na dół. Ryk bałwanów zagłuszał nawoływania przewoźników i nasze jęki, wiliśmy się bowiem wśród niewysłowionych męczarni.

Przemoczona docna, trzęsłam się z zimna, wkońcu osłabłam zupełnie i straciłam przytomność. Gdy ocknęłam się, nie zdawałam sobie zupełnie sprawy, gdzie jestem. Świtało. Ze zdziwieniem rozejrzałam się dokoła siebie: obok mnie leżeli Kol i poseł, bladzi i sztywni, jak nieżywi. Przewoźnicy z odkrytemi głowami śpiewali modlitwę poranną. Jeden z nich, dostrzegłszy, że otworzyłam oczy, uśmiechnął się do mnie przyjaźnie i, zataczając ręką dookoła, powiedział: „szwedzkie morze".

Uniósłszy głowę, ujrzałam piętrzące się szmaragdowe zwały wody. Z piersi wydrzeć mi się chciał krzyk radości, ale głosu nie mogłam wydobyć i opadłam bezwładnie na rozmokłe skóry.

Około południa łódź nasza przybiła do wąskiego, skalistego półwyspu szwedzkiego. Nie pamiętam zupełnie okoliczności wylądowania, żywo mi stoi natomiast w pamięci obraz wnętrza schludnej chaty rybackiej i pięknej młodej kobiety w barwnym stroju ludowym, troskliwie nachylonej nad łóżkiem, w którem mnie ułożono.

Na drugi dzień rano wyruszyliśmy w dalszą podróż, na naszej motorówce, aby dojechać do Umeo, najbliższego, większego miasta nadbrzeżnego. W Umeo na przystani, oczekiwał nas zarząd miasta i policja szwedzka. Oświadczono nam, że jesteśmy gośćmi Szwecji, sfotografowano nas na naszej motorówce wraz z całą załogą i, po spisaniu protokółu w jakimś urzędzie, zaprowadzono na obiad do restauracji. Zachęceni tak serdecznem przyjęciem, pełni otuchy i nadziei, wyjechaliśmy na drugi dzień rano do Sztokholmu.

Sztokholm zrobił na mnie wrażenie pogodne i radosne, tyle tu było przestrzeni, zieloności, nikt nas nie śledził, nie gnębił badaniami, sprawdzaniem dokumentów, których, zresztą, nie miałam. Ulokowawszy się w jakimś skromnym hoteliku, zaraz po przyjeździe, udałam się na miasto w celu odnalezienia osób, adresy których otrzymałam w Petersburgu.

Najbardziej życzliwy okazał się dla mnie ksiądz M. z „Komitetu Polskiego". Dowiedziawszy się, dla jakich celów pragnę przedostać się do kraju, poruszył wszelkie dostępne mu sprężyny i w ciągu tygodnia wyrobił mi pozwolenie na przejazd mój i Kola. Z wyjątkiem przykrego incydentu w Berlinie, gdzie z polecenia niemieckiego Sztabu Generalnego chciano nas aresztować i wymusić zeznania — oczywiście, bezskutecznie — o sytuacji w Rosji, podróż przez Niemcy, trwająca razem dwa dni, przeszła nam bez większych przygód i wrażeń. Po przejechaniu granicy niemieckiej, nie odchodziliśmy od okien wagonu. Jakże cudnemi wydały mi się smutne polskie ugory jesienne, jak drogą każda twarz i usłyszana na stacjach mowa ojczysta... Nie mogłam już zupełnie zapanować nad wzruszeniem, gdy na peronie w Kamińsku dojrzałam na stacji wynędzniałego chłopca w mundurze strzeleckim, w owijakach na nogach, powiązanych sznurkami. Dopiero teraz po dwu przeszło latach od wybuchu wojny sądzone mi było ujrzeć żołnierza polskiego!

Gdy dojechaliśmy do Piotrkowa, taż sama historja, co w Berlinie z Niemcami, powtórzyła się teraz z Austrjakami, którzy nas aresztowali zaraz na dworcu. Dopiero dzięki interwencji płk. Sikorskiego otrzymałam pozwolenie na wyjazd do Zakopanego, gdzie znajdował

się Piłsudski, Kol zaś udał się w Kieleckie do domu. Jechałam pod eskortą. W Zakopanem na posterunku żandarmerji odebrano mi dokument podróży, wystawiony w Piotrkowie, i wydano pozwolenie na dwudniowy pobyt w Zakopanem.

Nie tracąc czasu, pojechałam zaraz do sanatorjum dra Dłuskiego, gdyż tam mieszkał Komendant. Gdy weszłam do pięknej willi, w przedpokoju spotkałam panią Dłuską, która oświadczyła mi, że Komendant je obecnie obiad, a natychmiast po obiedzie wyjeżdża na stację i zobaczenie się z nim jest niemożliwe. Dopiero, gdy oświadczyłam p. Dłuskiej, że przyjechałam z Rosji i że mam do Komendanta pilne zlecenia, obiecała zameldować mnie i poprosiła, abym tymczasem zaczekała w przyległym salonie.

Pozostałam sama, serce biło mi jak młotem. A więc jestem u kresu tej niezwykłej drogi, za chwilę może ujrzę — Komendanta. Gdy stałam tak niepewna i wzruszona, otworzyły się drzwi od przyległego pokoju i stanął w nich Piłsudski.

— Jestem Chełmicka.

— A, przerwał mi Komendant, pamiętam, narobiła nam pani kłopotu z tem aresztowaniem na granicy w 1913 r. Proszę, o co chodzi?

Chciałam odpowiedzieć, ale słowa ugrzęzły mi w gardle, w tej chwili znikła gdzieś cała moja odwaga, odporność, spokój nie zawodzący mnie w opresjach i, tracąc panowanie nad sobą, rozpłakałam się jak dziecko.

W tej chwili zapukano do drzwi i do salonu wszedł uśmiechnięty oficer ułanów, pobrzękując dziarsko ostrogami.

— Konie już czekają — zameldował.

— To niech czekają, tymczasem dajcie mi drugą filiżankę kawy — powiedział Komendant.

— To już trzecia, sprostował Wieniawa, patrząc na mnie z uśmiechem, jakby chciał mi dodać otuchy.

Ja tymczasem opanowałam się zupełnie i w krótkich słowach zdałam raport o pracach P. O. W., opowiedziałam też pokrótce o ogólnej sytuacji w Rosji, przebiegu ostatnich strajków i nastrojów kolonji polskiej. Komendant zadał mi kilka pytań, polecił mi wszystko powtórzyć raz jeszcze i złożyć raport Sokolnickiemu. Następnie powierzył mnie opiece miejscowych pań i odjechał na dworzec. Wszyscy mieszkańcy willi pp. Dłuskich i ja wraz z nimi pojechaliśmy tam również.

Na dworcu czekały już tłumy publiczności. Wiedziano, że Komendant jedzie rozstrzygać wielkie sprawy...

Niebawem opuściłam i ja Zakopane, udając się do Warszawy, aby stanąć do dalszej pracy.

PAMIĘCI ZMARŁYCH.

TYM, KTÓRE ODESZŁY...

Ostatnie karty „Służby Ojczyźnie" poświęcamy tym, których między nami już niema, oddając hołd, należny ich pamięci.

Odeszło ich wiele... Staruszki, kobiety w sile wieku i młode, zaledwie dorosłe, dziewczęta. Jedne z nich zginęły od kuli wroga, inne padły ofiarą zakaźnych szpitali, inne znowu zmarły z choroby, wynikłej z trudów wojennych. Cicho poszły w zaświaty, spełniwszy pracę, jaka przypadła im w udziale.

Z pośród zmarłych bojowniczek idei niepodległości — na karty „SŁUŻBY OJCZYŹNIE" dostało się dziesięć nazwisk — nazwisk symboli. Piszemy o nich zbiorowe wspomnienia, mając w myśli długi szereg innych, nie wspomnianych tutaj, niemniej często ofiarnych. Wszystkim im teraz oddajemy jednaką cześć i ślemy ostatnie pożegnanie. Niechaj odpoczywają w spokoju...

WALERJA GOLIŃSKA

(BABCIA).

Dla młodego pokolenia okresu przedwojennego i czasów wielkiej wojny była „Babcia" żywym łącznikiem ze wspomnieniami 1863 roku. W jej wiecznie młodej duszy przy schorowanym i zmęczonym życiem organiźmie — łączyło się w dziwnie harmonijną całość wszystko to, co było dążeniem do niepodległości.

Przeszła pracę ofiarną w Polskiej Partji Socjalistycznej. W swych rozmowach z młodszem pokoleniem mówiła często, iż dla niej najbardziej godnym czci symbolem jest biały orzeł powstańców na tle czerwonego sztandaru P. P. S.

W latach 1905 — 1907 „Babcia" zasłużyła się sprawie ojczystej, przychodząc z pomocą więźniom politycznym. W eleganckim jej sklepie na placu Teatralnym była przez czas dłuższy centrala pomocy dla więźniów. Tenże sklep służył za składnicę broni oraz biuro informacyjne P. P. S. Ścigana przez policję, Babcia zmuszona była w 1908 roku schronić się do Krakowa. Od tej pory zaczyna się praca jej społeczna — jawna. Na terenie „Uniwersytetu Ludowego" prowadzi czytelnię pism, która skupia żywioły niepodległościowe i gdzie uchodźcy z Królestwa znajdują serdeczne przyjęcie i zainteresowanie się ich losem. Kilkakrotnie też przewozi bibułę i broń przez kordon graniczny.

W chwili wybuchu wojny „Babcia" — staruszka już 65-letnia — staje do służby dla wyzwolenia Ojczyzny. Wybiera sobie jedną z najcięższych. Wyrusza bowiem — sama jedna — do Warszawy, wioząc przez front dynamit dla Oddziału Lotnego. Pomimo niebezpieczeństwa, grożącego jej zarówno od Rosjan, jak Niemców — dowozi swą przesyłkę szczęśliwie do Warszawy. W październiku 1914 roku wraca na teren akcji legjonowej po trzytygodniowej podróży wraz ze spotkaną w drodze kurjerką O. W. wśród rozwijającej się błyskawicznie ofensywy rosyjskiej.

W styczniu 1915 r. jedzie znów do Warszawy w warunkach dla siebie moralnie ciężkich. Nie może opanować zmartwienia, że nie wiezie tym razem dynamitu i że ograniczyć się musi do roli „organizacyjnej" Babci dla kierującej wyprawą kurjerki. Warunki podróży wśród skonsolidowanego już frontu są nad wyraz ciężkie. Nękana chroniczną astmą, umie nad swemi dolegliwościami zapanować — pełna ogromnego poświęcenia i odwagi — wobec konfliktu z żandarmami — myśli jedynie o ratowaniu pieniędzy organizacyjnych, przewożonych przez front.

Po odbyciu tej podróży, „Babcia" zostaje w Warszawie, spełniając prace pomocnicze dla P. O. W. Ani myśli jednak ograniczyć się do służby względnie bezpiecznej. Odbywa znów swe podróże z transportami dynamitu. W jednej z nich zostaje aresztowana i zesłana w głąb Rosji. Wraca już do Polski niepodległej i do ostatnich chwil pracuje dla Ojczyzny. Zmarła w Puławach w r. 1922.

„Babcia" była dla nas symbolem niespożytego ducha, przykładem, jak służyć Ojczyźnie do ostatniego tchnienia. Cała jej służba była dla niej czemś prostem, koniecznem, rozumiejącem się samo przez się... Cicha, skromna, usuwająca się w cień, nie pragnęła nigdy władzy ani znaczenia. Kto znał ją powierzchownie, nigdy nie mógł przeczuć, jakie bohaterstwo kryło się w jej sercu... I jakże wielką byłaby jej radość gdyby za Jej życia doszło do niej najwyższe odznaczenie wojskowe — przyznany jej po śmierci krzyż Virtuti Militari...

MARJA DULĘBIANKA.

Malarka o nieprzeciętnym talencie, odznaczona na wystawie paryskiej złotym medalem, rozpoczęła pochód ku sławie — zatrzymała ją jednak ofiara, jaką złożyła ze swego talentu talentowi Konopnickiej, która potrzebowała oparcia. Im bardziej bowiem w życie szła wielka poetka, tem większej żądała dla siebie wyłączności.

Żyjąc w okresie niewoli, boć jedynie schyłek jej życia opromienił Świt Zmartwychwstania Ojczyzny, Dulębianka każdem swem słowem, każdym czynem walczyła o Niepodległość. Jako urzędniczka Magistratu lwowskiego, ryzykując swe stanowisko, nie złożyła przysięgi rządowi austrjackiemu. Protestowała przeciw oderwaniu Chełmszczyzny, protestowała (na różnych kongresach europejskich) przeciw skreśleniu Polski z rzędu niezależnych państw.

Po utworzeniu Oddziału Żeńskiego przy Związku Strzeleckim (1912) Dulębianka mimo podeszłego wieku, bierze udział we wszystkich wykładach i ćwiczeniach, będąc najlepszą strzelczynią z brauninga i mausera. Uczestniczy też w pracy niepodległościowej we wszelkich jej przejawach. Kilkakrotnie przewozi broń i bibułę na teren zaboru rosyjskiego.

Po wybuchu wojny, Marja Dulębianka z całem oddaniem się pracuje nad zaopatrzeniem wyruszających w pole strzelców. Zgłasza się też do pracy wywiadowczej — uniemożliwionej jednak dla niej wskutek zajęcia Lwowa przez Moskali.

Nigdy może nie wystąpiły tak wyraźnie walory jej wielkiej duszy, jak w tym ciężkim okresie. Stanąwszy przy Rutowskim, ówczesnym prezydencie miasta, strzeże linji praw narodu w stosunku do najeźdźcy. Była dobrym duchem Lwowa, duchem-rewolucjonistą.

Po powrocie Austrjaków — Dulębianka protestuje przeciw uwięzieniu legjonistów w Huszt — przeciw uwięzieniu Komendanta, prze-

ciw lojalności N. K. N-u. Nic nie zdołało jej odwieść od zajmowanego stanowiska.

W ciężkiej chwili — inwazji Ukraińców — Marja Dulębianka nie waha się w wyborze drogi. Pacyfistka z przekonań, jak najliberalniej ustosunkowana do Rusinów, stanęła po stronie praw Polski do Lwowa. Przez cały czas obrony pracuje wytrwale w Komitecie Obyw. Polek. Wyznaczona do Komisji dla badania warunków życia w obozie dla jeńców w Mikulińcach, zaraża się w barakach tyfusem. Zmarła we Lwowie 7 marca 1919 r.

Służyła również Ojczyźnie i swą pracą społeczną. Za inwazji rosyjskiej zorganizowała opiekę dla ubogiej ludności Lwowa. Wielbiły ją rzesze za wielkie serce. Uwielbienie to znalazło wyraz w owym tysiącznym tłumie nędzarzy, odprowadzających ją na miejsce wiecznego spoczynku.

Obdarzona wysokiemi walorami charakteru, w swych przemówieniach, odezwach i broszurach nawołuje do przebudowy moralnej narodu. Domaga się też wprowadzenia etyki do życia politycznego. Do spełnienia tej przebudowy wzywa kobietę, dla której walczy o prawa.

Podczas swych wycieczek zagranicę uczestniczy we wszystkich Zjazdach Kobiecych, reprezentując na nich Polskę. Walczy o prawa wyborcze dla kobiet do Sejmu i Rady Miejskiej.

Zmarła w chwili, gdy marzenie Jej życia stawało się jawą. Nie dożyła otrzymania przez kobiety praw w Sejmie polskim. Nie dożyła tego, co było gorącem pragnieniem całego jej życia...

MARJA TURZYMA-WIŚNIEWSKA.

Marja z Prus Głowackich-Wiśniewska urodziła się w Lubelszczyźnie, w patrjarchalnej i konserwatywnej rodzinie, wśród której ona jedna tylko posiadała ideały postępowe, a nawet wręcz rewolucyjne. Silne tradycje z epoki napoleońskiej i 1863 r., przechowywane w jej rodzinie, stały się podłożem jej późniejszej działalności. Czworo swych dzieci — dzieci powstańca — wychowuje w atmosferze patrjotyzmu.

Po roku 1891, zamieszkała na stałe w Krakowie, Marja Turzyma ogniskuje w swym domu koła literackie „Młodej Polski" z Przybyszewskim i Wyspiańskim na czele. Wówczas to Turzyma nawiązuje kontakt z P. P. S. D. Jest to epoka początkowej działalności jej na polu politycznem i literackiem. Wydaje wówczas tom nowel i dramat p. t. „Matka Polka", grany na kilku scenach. W krótkim jednak czasie przechodzi do działalności społecznej. Walczy głównie o równouprawnienie kobiet.

Po roku 1902 udział Turzymy w życiu politycznem staje się coraz żywszy. Redaguje ona wówczas tygodnik równouprawnieniowy „Nowe Słowo", który wydaje niemal własnym kosztem. W tym czasie pisze i wydaje książkę p. t. „Wyzwalająca się kobieta". Bierze również udział w zbiorowem wydawnictwie feministycznem „Głos Kobiet w kwestji kobiecej". Jej zasługom zawdzięcza swe powstanie „Związek Kobiet", stowarzyszenie o charakterze wybitnie postępowym.

W czasie rewolucji 1905 r. Marja Turzyma, uważając za najważniejsze zagadnienie — walkę o niepodległość — wchodzi w kontakt z P. P. S. b. zaboru rosyjskiego.

W ostatnich latach przed wojną Turzyma mieszka we Lwowie. Mimo rozwijającej się wady serca, nie ustaje w pracy społecznej. Działa stale na gruncie równouprawnienia oraz bierze udział w „Sek-

cji Zagranicznej" P. P. S. Jest w obozie walczącej o niepodległość frakcji rewolucyjnej i przewozi kilkakrotnie broń i bibułę przez kordon graniczny. Po zorganizowaniu Oddziału żeńskiego przy Związku Strzeleckim bierze czynny udział w jego pracach do lata 1914 r.

Po wybuchu wojny, Marja Turzyma udaje się do Krakowa i zgłasza się do służby strzeleckiej. W pierwszych dniach sierpnia żegna mężnie ukochanego syna-jedynaka, który w oddziale Trojanowskiego wyrusza na front. Sama podejmuje się trudnej pracy politycznej i wywiadowczej. Jeździ początkowo na terenie objętej akcją strzelecką kielecczyzny, następnie przebija się przez front do Warszawy, z której szczęśliwie wraca do Kielc. We wrześniu — znów przez front — udaje się na dłuższy pobyt do stolicy, aby tam w ciężkich warunkach konspiracyjnych prowadzić pracę propagandową ideologji strzeleckiej.

Po zajęciu Warszawy przez Niemców, zarządza lokalem klubu politycznego, zorganizowanego przez A. Dębskiego i W. Sławka.

Po ukończeniu wojny poświęca się wyłącznie pracy pedagogicznej w szkołach już Niepodległej Polski.

Marja Turzyma była od dzieciństwa aż do śmierci idealistką i entuzjastką o głębokim mistycyzmie, pełna wiary w piękne życie pozagrobowe, ku któremu życie ziemskie jest tylko doskonalącym etapem. Umiała nietylko wierzyć w ideały, ale wzbudzać wiarę i ufność w nie oraz krzepić ludzi w chwilach przygnębienia i pesymizmu.

Zmarła nagle dnia 21 sierpnia 1922 roku. Po śmierci jej cudownie odmłodzona twarz z błogim, pełnym młodości uśmiechem była skończenie piękna i wywarła na wszystkich, co ją wówczas widzieli, potężne wrażenie, a dzieciom swym kazała uwierzyć, że nie omyliła się w swem przeczuciu życia piękniejszego, niż tu na ziemi.

MARJA DOMAŃSKA.

Starsza była od nas, studentek, oddających się przed wojną pracy w Związkach Strzeleckich — ale wielką była jej gorliwość i oddanie się temu ruchowi.

Obarczona ciężkiemi warunkami materjalnemi, zmuszona do zarobkowania igłą, aby dać utrzymanie staruszce matce, dwojgu słabowitym dzieciom i sobie — znajduje zawsze jeszcze dość czasu dla pracy ideowej.

Z chwilą powstania Oddziału Żeńskiego Zw. Strz. we Lwowie — staje odrazu do pracy z tak wielkiem umiłowaniem idei strzeleckiej, że pozostaje mu wierną aż do ostatniej chwili życia. Przez dwa lata pracy w Związku, należy do tych najpilniejszych, najbardziej oddanych, dla których nie było ważniejszych obowiązków, niż praca w Związku. Poza pełnieniem funkcji sekcyjnej, poza zwykłemi zajęciami obowiązującemi nas, strzelczyń — zabiega zawsze o zajęcia dodatkowe — bierze ich jak najwięcej, pełniąc je zwykle razem z Br. Tynikówna. Robią zadania wywiadowcze, ćwiczenia terenoznawcze i sygnalizacyjne — aby kiedyś jak najbardziej być pożytecznemi w walce o niepodległość. Do walki tej sposobi także swego dwunastoletniego syna, Staszka. Z zapałem bierze on udział we wszystkich dowolnie pełnionych ćwiczeniach. Z myślą o służbie wywiadowczej, uczy się sam języka rosyjskiego.

Po wybuchu wojny, Marja z całą energją bierze się do pracy pomocniczej dla oddziałów strzeleckich, przygotowujących się do wyjścia na front. Mimo, że marzy, jak my wszystkie, o pracy frontowej— pozostaje na posterunku, pełniąc niestrudzenie służbę ciężką przez miesiąc, poprzedzający inwazję Moskali. Ona to wraz ze swemi pomocnicami organizuje intendenturę strzelecką oraz szwalnię w Domu Techników przy ul. Issakowicza. Ona myśli o wyżywieniu strzelców, których wskutek ofensywy rosyjskiej ściągało tak wielu, że trzeba

było dla nich gotować dzień i noc. W tej skomplikowanej i gorączkowej pracy Marja nie traci równowagi i z całą umiejętnością pełni swą rolę kierowniczą.

W chwili odwrotu ze Lwowa — Marja wraz z oddziałem strzelczyń czuwa nad załadowaniem zapasów, nagromadzonych w ciągu ostatnich dni. Z tym transportem jadą do Krakowa. Nie wahając się — Marja staje do pracy w kuchniach polowych w Oleandrach. Od tego zajęcia odwołuje ją we wrześniu rozkaz Kwatery Głównej w Kielcach, wzywający ją do pracy wywiadowczej. Wyjazd do Kielc zostaje jednak wstrzymany wskutek odwrotu strzelców.

W grudniu tegoż roku jedzie do Warszawy wśród ciężkich warunków ustalonego już frontu, przedzierając się niemal przez linję okopów, tąż samą drogą wraca szczęśliwie do Zagórza, miejsca pobytu Oddziału Wywiadowczego I Brygady. Wiosna 1915 r. zastaje Marję w Piotrkowie przy pracy niepodległościowej. W czerwcu po ustąpieniu Moskali wraca do Lwowa w najwyższej trosce o mieszkające tam dzieci — z których Staszek spał już snem wiecznym na cmentarzu Łyczakowskim.

We dwa lata później Marja przenosi się do Włoszczowy, gdzie mimo stale towarzyszącej jej biedy jest opiekunką i podporą wszystkich biedaków, tak licznych w czasach okupacji. Wierna idei niepodległościowej — urządza zebrania chłopskie, na których mówi o odradzającej się Polsce, o Komendancie i Legjonach.

W Polsce Niepodległej — z radością wita odrodzenie Związku Strzeleckiego i pracuje dlań prawie do końca życia. W latach ostatnich mieszka w Lublinie, stały utrzymując kontakt z miejscowym Oddziałem „Strzelca" i ucząc młodych starej ideologji strzeleckiej. W przedostatniej kadencji jest członkiem czynnym Zarządu Głównego. Uczestniczy we wszystkich zjazdach legjonowych; na ostatni tylko zjazd w Wilnie przybyć już nie mogła.

Lata trudów i niedostatku przedwcześnie wyczerpały jej siły. Zmarła pod Bochnią w październiku 1928 r.

Była zawsze cicha i skromna, to też, prócz tych, którzy znali ją osobiście, mało komu wiadome były jej czyny, pełne zapomnienia o sobie. Leżało bowiem w jej naturze, aby wszystko oddać dla sprawy, a nic nie zostawić dla siebie.

MARJA PRZYJEMSKA.

Któż z nas, pracujących w Warszawie w dobie walk o niepodległość — i później w czasach pracy nad utrwaleniem bytu odrodzonej Polski — mógł nie znać Marji Przyjemskiej?

Drobna, szczupła, zawsze pogodna i uśmiechnięta i stale ruchliwa mimo podeszłego wieku — zawsze jednako rada była choćby najuciążliwszej, najmniej interesującej robocie, byleby tylko miała związek ze sprawą Ojczyzny. Pracuje dla niej od tak dawna. Tajne nauczanie, praca wśród ludu na tle Zarania, a przedewszystkiem krzewienie czytelnictwa wśród najbiedniejszych i dziatwy.

Pracując w bibljotece „Kultury", całą duszą wierzyła w posłannictwo książki. Po zamknięciu Tow. Kultury — przez Moskali, jej to opiece powierzono z największem zaufaniem cały księgozbiór. Strzegła go, jak oka w głowie — jako własności społecznej, pilnie bacząc przytem, aby książki były jak najbardziej pożyteczne. Szły więc wszystkie pokolei do rąk młodzieży wiejskiej i miejskiej — do rąk niezamożnych uczniów i uczenic. Szły w czasie pobytu Moskali, za okupacji niemieckiej i w Polsce Niepodległej.

Po wybuchu wojny Marja Przyjemska zdwaja swą pracę, dzieląc się między swą starą placówkę a pracę niepodległościową. Oddaje się sprawie całkowicie i w pierwszym roku wojny, w Warszawie przepełnionej żandarmami rosyjskiemi i wojskiem — i w latach okupacji niemieckiej. Wtedy to czytelnia na ul. Sadowej 14 staje się punktem koncentracyjnym ruchu niepodległościowego. Centralny Komitet Narodowy i Zaranie, P. O. W. i Liga Kobiet oraz inne ugrupowania mają tu stale zapewniony przytułek i opiekę. A nazewnątrz idzie bez przeszkód zwykły ruch czytelniany — bilbjoteczki jadą, jak dawniej, w świat, tylko... wśród dawniejszych książek znajdują się teraz zbiórki pieśni legjonowych, „Piłsudczycy" i „Mogiły" Kadena i inne wydawnictwa o pracy strzeleckiej.

Nie było dla niej zbyt uciążliwej pracy, jeśli chodziło o „chłopców", walczących na froncie. Wiele czasu poza czytelnią zajmuje jej Liga Pogotowia Wojennego. Wysyła niezliczoną ilość paczek — zabiega niestrudzenie o zdobycie ich zawartości, a wszystko to spełnia z jednakiem oddaniem się i gorliwością. Służy też chętnie P. O. W., przechowując broń i bibułę.

Po odzyskaniu Niepodległości Marja Przyjemska nie ustaje w pracy dla Ojczyzny. Poza pracą w czytelni — i dorywczo pełnioną pracą w księgarni—jest czynnym członkiem P. O. W. (Wolności). Zbiórki, wiece, odczyty i uroczystości, kolportaż ideowych wydawnictw pochłaniają ją w zupełności. Nie liczy się ze swym wiekiem ani z mocno nadwyrężonym stanem zdrowia. Gniewa ją każda niemoc, która utrudnić może jej pracę. Jak też ciężką musiała być dla niej długotrwała choroba, która odebrała jej możność czynu i skończyła się wreszcie śmiercią.

Odeszła cicho — tuż przed Wielkanocą — w r. 1927. Przed śmiercią — zdając sobie już sprawę, że dni jej są policzone — pokazywała swym przyjaciołom swój największy skarb, na który, jak mówiła, pracowała przez całe życie — portret umiłowanego Wodza z własnoręcznym dla niej podpisem.

STEFANJA Z JASTRZĘBOWSKICH SŁAWIŃSKA

(OKRZEJOWA).

Dawno już niema jej wśród nas. Któż jednak z naszej gromady, zarytej w owe czasy w rzetelną pracę konspiracyjną, mógłby zapomnieć Okrzejową? Mało kto zna jej dzieje. Małomówna i niezwykle skromna, rzadko komu opowiadająca o sobie. Zrównoważona spokojna i wytrwała, pozwalała przypuszczać, że spokój ten wyniosła ze szczęśliwego dzieciństwa. Jakże to jednak było dalekie od prawdy!...

Od wczesnej młodości Okrzejowa wprzęga się do pracy konspiracyjnej w Warszawie. Służy jednocześnie P. O. W. i P. P. S. — oddając całą siebie dla sprawy. A przytem rozsypuje dokoła siebie skarby dobroci. Jest pocieszycielką każdego, komu ciężko i źle. Podtrzymuje wszystkich, co duchem są słabsi, ratuje sercem, dobrem słowem, ostatnim wreszcie groszem, którego jej samej starcza ledwie na suchy chleb.

Trudno niezmiernie odgrzebać w pamięci wszystkie jej czynności — tem więcej, że w dokumentach znaleźć ich niesposób. Wiosna i lato 1915 roku oddane są Oddziałowi Lotnemu P. O. W. Okrzejowa mieszka i pracuje w laboratorjum materjałów wybuchowych, „Wsypa" równa się śmierci. Dla zachowania jak najgłębszej konspiracji Okrzejowa miesiącami nie wychodzi z mieszkania. Czerwona pelargonja w oknie trzeciego piętra mówi wtajemniczonym, że droga bezpieczna. Bez tego znaku nikt do niej wejść się nie odważał.

Po wejściu Niemców — Okrzejowa obejmuje Sekretarjat Ib Okręgu P. O. W. Wynajmuje dla biura, na swoje imię, mieszkanie w Al. Ujazdowskich. Po godzinach gorączkowego urzędowania, bieganiu po mieście, późnym wieczorem, wraca do swej samotni, w której częstokroć daje przytułek którejś z bezdomnych koleżanek.

W grudniu tegoż roku, w epoce ścisłej konspiracji P. O. W. Okrzejowa wynajmuje nowy lokal — znów służąc swem nazwiskiem i osobą dla organizacji. W mieszkaniu na Wareckiej mieści się

biuro C. K. N., Składnica Wydawnictw P. O. W., Stacja pocztowa i Administracja „Rządu i Wojska". Mieszkanie to — odwiedzane codziennie przez wielu ludzi — ulega rewizji. Okrzejowa cudem uniknęła aresztowania i wysyłki do obozu. Kilka dni ukrywa się w Warszawie, ale gnębi ją bezczynność. Wreszcie udaje się do Lublina, gdzie dzieli swój czas między Pogotowie Wojenne P. P. S., gospodę robotniczą i, jak zawsze, P. O. W. Tu także, jak w Warszawie — gromadka podobnych jej rozbitków — znajduje u niej radę i pomoc. Sama tułając się „po ludziach" udziela swego mieszkania innym, a przymierając głodem — wydaje swe drobne grosze na papierosy dla robotników z Pogotowia i gospody.

W pracy nie ustaje do końca — w epoce gorączkowej rozbrojenia Austrjaków i tworzenia Rządu Lubelskiego, służy wiernie idei Niepodległości. W ostatnie swoje godziny — wyrzucała sobie jednak to, że przeżyć już nie zdołała — śmierci ledwie przed paru tygodniami zaślubionego męża — że służbę sprawie raz jeden w życiu splotła ze szczęściem własnem.

Cześć Jej jasnej, niezapomnianej dla nas postaci.

WANDA SZAFIRÓWNA,
ZOFJA SZAFIRÓWNA-KIERZKOWSKA.

Dwie siostry — dwa zgoła odmienne typy. Różne było ich podejście do życia, różne jego rozumienie — jedno było tylko wspólne i jednakie: chęć służenia Polsce.

Zośka Szafirówna przyszła do P. O. W. wprost z harcerstwa. Wchodząc, zresztą, do organizacji nie zrywała kontaktu z harcerstwem, pozostając na stanowisku drużynowej chorągwi żeńskiej w Warszawie. W P. O. W. pracowała, jak każda z nas, w kilku odrazu działach; jako adjutantka komendy, w kolportażu, skarbie, w Kole Pomocy dla Legjonistów, nawet w kantynie „Piechura". Dziś — po tylu latach — gdy jedynym często dokumentem naszej pracy są tylko wspomnienia, trudno jest wymienić to wszystko, co robiła Zośka. Miała doskonałe warunki zewnętrzne: patrząc na tę śliczną, pełną uroku dziewczynę, trudno było przypuścić, iż jest ona solidną pracowniczką konspiracyjnej organizacji wojskowej. Była nią jednakże. Wielka obowiązkowość i ambicja pracy — to są jej cechy charakterystyczne. Skoro „ob. Krysta" podjęła się czegoś, można było być pewnym, że będzie to niechybnie i w terminie wykonane.

Od chwili wstąpienia do P. O. W. pozostała w pracy do końca, jedynemi przerwami były wyjazdy: na obóz i kurs harcerski. Po rozbrojeniu okupantów pracuje w Oddziale II Naczelnego Dowództwa. W kilka miesięcy później, w okresie pierwszego powstania śląskiego, widzimy ją pracującą w sztabie powstańczym. Po zawarciu pokoju bierze udział w pracach Związku Strzeleckiego w pierwszych latach jego istnienia. Obowiązki jednak macierzyńskie i długotrwała choroba odrywa ją od pracy. Wytrącona z czynnego życia, śledzi bacznie prace Związku, biorąc w nim udział w miarę możności; przykuta na stałe do łóżka, pisuje jeszcze artykuły do „Strzelca".

Odeszła cicho, po przepracowanych kilkunastu latach.

Wanda Szafirówna, był to żywy płomień serca, który dążył, aby w umiłowanej przez siebie pracy spalić się bez reszty.

Do P. O. W. wchodzi późno, mimo, że całem sercem rwała się do tej pracy. W lutym 1918 roku wstępuje do Centralnego Oddziału Lotnego. Wywiad, przenoszenie i przechowywanie broni oraz materjałów wybuchowych, jak zwykle... Odważna w pracy, rwie się do czynnego udziału w akcji dywersyjnej. Po rozbrojeniu okupantów, znalazła się odrazu tam, gdzie łatwo było o narażenie głowy: w powstaniu sejneńskiem. Przyjęta do wojska, dosłużyła się w krótkim czasie stopnia plutonowego. Ziściły się jej marzenia — wzięła bezpośredni udział w walce. Bierze na siebie najbardziej ryzykowne zadanie w akcji dywersyjnej, marząc o śmierci żołnierskiej.

Zginęła w czasie walk na Suwalszczyźnie.

BRONISŁAWA ZIEMIAŃSKA

(NAGANOWSKA).

Bronka Ziemiańska, jak większość kresowej młodzieży, wcześnie bardzo rozpoczyna pracę konspiracyjną, oddając się jej z cichym, ale uporczywym entuzjazmem.

Pochodziła z rodziny, w której między starszem a młodszem pokoleniem panowało zupełne porozumienie w sprawie służenia idei narodowej. Po ukończeniu gimnazjum, studjuje na kursach Baranieckiego w Krakowie, pracując jednocześnie na polu społecznem. W 1913 roku składa przysięgę harcerską, a jednocześnie należy do Związku Młodzieży Wojskowej. Jest łącznikiem między Krakowem a Żytomierzem, przewożąc rozkazy, raporty, bibułę i broń. W 1914 roku organizuje w Żytomierzu I i II drużynę harcerek oraz drużynę chłopców. W roku 1915 kończy Instytut Wychowania Fizycznego „Bohatyr" w Petersburgu i nawiązuje kontakt z miejscową drużyną harcerską.

W roku 1917 wraca do Żytomierza na swą dawną placówkę. W r. 1918 odbywa przeszkolenie w obozie harcerskim w Kijowie. W tymże roku wstępuje do Polskiej Organizacji Wojskowej i składa przysięgę w Kom. Nacz. 3. Przydzielona do Okręgu Żytomierz (D), poświęca się wyłącznie pracy w P. O. W. Pełni służbę w Komendzie Placu, jest kurjerką, łącznikiem, archiwarjuszką Komendy Okręgu i prowadzi wywiad na terenie okręgu. Nie obcą jest jej również praca sanitarna. Pracując w szpitalu ziemskim, jako siostra miłosierdzia — szerzy propagandę P. O. W. W roku 1919 zostaje odkomenderowana do Komendy Naczelnej, gdzie pełni służbę w adjutanturze. W listopadzie, z rozkazu Kom. Nacz., udaje się do Żytomierza, by nawiązać stałą łączność z Komendą Okręgu. Jedzie tam wśród okropnych warunków — lekko odziana przy 20-sto parostopniowym mrozie i nawałnicy śnieżnej.

Wanda Szafirówna, był to żywy płomień serca, który dążył, aby w umiłowanej przez siebie pracy spalić się bez reszty.

Do P. O. W. wchodzi późno, mimo, że całem sercem rwała się do tej pracy. W lutym 1918 roku wstępuje do Centralnego Oddziału Lotnego. Wywiad, przenoszenie i przechowywanie broni oraz materjałów wybuchowych, jak zwykle... Odważna w pracy, rwie się do czynnego udziału w akcji dywersyjnej. Po rozbrojeniu okupantów, znalazła się odrazu tam, gdzie łatwo było o narażenie głowy: w powstaniu sejneńskiem. Przyjęta do wojska, dosłużyła się w krótkim czasie stopnia plutonowego. Ziściły się jej marzenia — wzięła bezpośredni udział w walce. Bierze na siebie najbardziej ryzykowne zadanie w akcji dywersyjnej, marząc o śmierci żołnierskiej.

Zginęła w czasie walk na Suwalszczyźnie.

BRONISŁAWA ZIEMIAŃSKA

(NAGANOWSKA).

Bronka Ziemiańska, jak większość kresowej młodzieży, wcześnie bardzo rozpoczyna pracę konspiracyjną, oddając się jej z cichym, ale uporczywym entuzjazmem.

Pochodziła z rodziny, w której między starszem a młodszem pokoleniem panowało zupełne porozumienie w sprawie służenia idei narodowej. Po ukończeniu gimnazjum, studjuje na kursach Baranieckiego w Krakowie, pracując jednocześnie na polu społecznem. W 1913 roku składa przysięgę harcerską, a jednocześnie należy do Związku Młodzieży Wojskowej. Jest łącznikiem między Krakowem a Żytomierzem, przewożąc rozkazy, raporty, bibułę i broń. W 1914 roku organizuje w Żytomierzu I i II drużynę harcerek oraz drużynę chłopców. W roku 1915 kończy Instytut Wychowania Fizycznego „Bohatyr" w Petersburgu i nawiązuje kontakt z miejscową drużyną harcerską.

W roku 1917 wraca do Żytomierza na swą dawną placówkę. W r. 1918 odbywa przeszkolenie w obozie harcerskim w Kijowie. W tymże roku wstępuje do Polskiej Organizacji Wojskowej i składa przysięgę w Kom. Nacz. 3. Przydzielona do Okręgu Żytomierz (D), poświęca się wyłącznie pracy w P. O. W. Pełni służbę w Komendzie Placu, jest kurjerką, łącznikiem, archiwarjuszką Komendy Okręgu i prowadzi wywiad na terenie okręgu. Nie obcą jest jej również praca sanitarna. Pracując w szpitalu ziemskim, jako siostra miłosierdzia — szerzy propagandę P. O. W. W roku 1919 zostaje odkomenderowana do Komendy Naczelnej, gdzie pełni służbę w adjutanturze. W listopadzie, z rozkazu Kom. Nacz., udaje się do Żytomierza, by nawiązać stałą łączność z Komendą Okręgu. Jedzie tam wśród okropnych warunków — lekko odziana przy 20-sto parostopniowym mrozie i nawałnicy śnieżnej.

Z końcem listopada 1919 r. w czasie strasznej epidemji tyfusu, Ziemiańska zgłasza się do epidemicznego szpitala. W ówczesnych warunkach kijowskich, wśród szerzącego się głodu, otacza swych chorych iście macierzyńską opieką i zdobywa dla nich żywność. Zarażona tyfusem, nie zdaje sobie z tego sprawy, nie chce też opuścić swego chorego. Wstydzi się poprostu swego „zmęczenia", aż wreszcie zupełnie wyczerpana pada na łóżko, z którego już wstać nie miała. Ma tę jeszcze świadomość, że zdołała uratować życie koledze z P. O. W. Choroba postępuje szybko. Tuż przed samą śmiercią prosi swą przyjaciółkę, aby powiedziała matce, iż jest szczęśliwa, umierając na posterunku. W pogrzebie jej brała udział cała kijowska organizacja P. O. W.

Mamy wszyscy w pamięci postać Bronki, jej drobną, pogodną twarzyczkę i oczy niebieskie o wyrazie naiwno-dziewczęcym. Jej sposób bycia nieśmiały, jakby niezaradny — małomówność i skromność wydają się niewspółmierne z jej wielkiem wyrobieniem i siłą charakteru oraz mocą ducha. Pozostało po niej jasne, niezapomniane dla nas wspomnienie.

MARJA Z KRZYMUSKICH IWANOWSKA

(THERESITA).

Niepospolicie zdolna, oryginalna i niezależna duchowo jest w obrębie działania „Młodej Polski". Drukuje swe nowele o wielkiej wartości artystycznej w „Życiu" i „Krytyce", biorąc żywy udział we współczesnym ruchu umysłowym. W roku 1910, po powrocie z Ameryki, wygłasza szereg zajmujących odczytów o Polonji amerykańskiej na terenie poznańskiego. Kontynuuje również swoją działalność literacką. (U źródeł, pow. 1912).

Wojna zastaje ją w Warszawie. Z całym entuzjazmem Theresita bierze się do pracy. Prowadzi propagandę na rzecz ideologji strzeleckiej i pracuje w Lidze Kobiet pod kierunkiem p. J. Marcinowskiej. Oddaje też swoje mieszkanie na usługi konspiracyjnej P. O. W. Mieszkają tam ukrywający się przed wojskiem rosyjskim przyszli legjoniści, odbywają się tajne zebrania, w wielkiej wreszcie otomanie mieści się „fabryka" dokumentów. Po wejściu Niemców — Marja Iwanowska pracuje w dalszym ciągu dla sprawy. Na dzień 19 marca 1917 r. pisze płomienną „In memoriam", nowelę na tle wspomnień z 1914 roku. Odrodzenie Polski przeżywa z całym entuzjazmem, któremu daje wyraz w szeregu pięknych artykułów.

Od lipca 1920 roku pracuje na Górnym Śląsku w czasie akcji plebiscytowej. Słuchana jest z ogromnem zainteresowaniem przez ślązaczki. Na olbrzymim wiecu kobiet w Katowicach — wbrew intencjom prezydjum — podnosi okrzyk na cześć Józefa Piłsudskiego. Po ukończonym plebiscycie wraca z zaczątkami gruźlicy, na którą zgasła, po dwuletniej blisko chorobie w dn. 6 maja 1923 roku.

Rzadka jej inteligencja w połączeniu z płomiennem uczuciem wywierała przedziwny czar. Była to natura głęboko religijna — mistyczna - poetka.

JANINA Z PRZYBYSZEWSKICH PAKULSKA.

Już od 1905 roku zaprzęga się do pracy społecznej. Początkowo nauczanie tajne w kompletach w Płocku, później na placówkach kulturalno - oświatowych w Sosnowcu i Dąbrowie Górniczej.

Od chwili wybuchu wojny staje do ofiarnej pracy pomocniczej dla ruchu legjonowego i szerzy ideę Niepodległości. Wątła fizycznie i delikatna — promieniuje ze siebie hart moralny i wielką słodycz wśród swego otoczenia. Z jednaką prostotą i pogodą ducha spełnia wszelkie powierzone jej czynności: jest kurjerką, mówczynią, opiekunką chorych w szpitalach, pracuje w gospodzie żołnierskiej. Niema dla niej roboty gorszej i lepszej — istnieje tylko ostateczny cel. Pracowała więc stale, na jakim bądź była terenie. Znało ją Zagłębie, znał Gostynin i Płock. Znało ją koło płocczan w obozie w Szczypiornie, któremu wraz z paczkami przesyłała słowa otuchy; znali uciekinierzy z obozu jeńców, dla których umiała zawsze wystarać się o przytułek i ubranie. Pamiętają ją zapewne i ci żołnierze, których z narażeniem życia kryła w swym domu w czasie obrony Płocka w 1920 roku. Pamiętają ją wreszcie dzieci legjonistów, o które troszczyła się z całą pieczołowitością.

Była jedną z najpracowitszych członkiń Ligi Kobiet w Płocku, Gostyninie i Dąbrowie Górniczej. Była również czynną członkinią organizacji niepodległościowej w Płocku.

Zmarła w styczniu 1923 r.

SKOROWIDZ NAZWISK.

Józef Piłsudski 2, 9, 11, 12, 18, 22 31—8, 49, 56, 58—9, 61, 67—8, 77—8, 80, 83, 85, 93, 96, 107—109, 112, 117, 127—8, 145, 150, 153—154, 156, 158, 160, 161, 163—4, 169, 170, 174, 176, 181, 189, 201, 202, 204, 205, 215, 220, 221—2, 228, 258, 287, 290, 291, 297, 299, 300, 303, 305, 311, 315—16, 319, 322, 333—4, 354, 361, 364, 366—7, 312, 376—7.

Ambroziewiczowa St. 165.
Ancówna B. 230, 278—9, 280.
Anczyc St. 129, 156, 176, 179.
Anczycówna St. 10, 11, 128.
Andrzeykowiczówna p. Piechowska.
Arciszewski T. 171, 175, 200.

Baden Powell 326.
Bader 102.
Bagińska M. 322, 324, 332.
Bagiński H. płk. 322, 348.
Bagiński K. 104.
Bandurski ks. biskup 145.
Baranowski 379.
Barski 348.
Barthel de Weydenthal Jadwiga 78, 80, 85, 96, okł.
Barthel de Weydenthal P. płk. 320, 335—6, 369.
Bartlowa 129, 153.
Bartsch 16.
Bartwińska 154.
Basia p. Leniecka.
Basiński K. 333, 338, 348—9.
Baumgarten M. 171.
Beligny gen. 205.
Benedekówna p. Kowalska J.
Bepa P. 264.
Berbecka Z. 165.
Beseler 163.
Bieniedzka J. 262.
Bieniewski 349.
Bieńkowski rtm. 257.
Biernacka Z. 90—1.
Biesiekierska M. 186—7.
Bij-Gnatkowski 370.
Bilczewski, arcybiskup 149.
Bilińska Z. 103.
Biliński płk. 332.
Biłyk A. mec. 169.
Biniszkiewicz 301.
Bitschan J. 232, 244.
Bitnerówna M. 84.
Blumentalowna 114.
Błaszczykówna M. 43—4.
Bobak dr. 46.
Bogna p. Niedbalska A.
Bogdanowicz K. 177, 179.
Bogdanowiczowa J. 153—4, 177
Bogucka M. 374.
Bogucki K. ppor. 254.
Bogusławski Al. 104.
Boguszewska p. Szeligowska.
Bohuszewiczowa J. 173—4.
Bołdokówna M. 374.
Borkowska M. 173.
Bormanówna M. 110, 112.
Bortnowski 204.

Boruta p. Janiszewska.
Braciszek 216, 219.
Bratek 368.
Bromirski J. 367.
Broniowski L. 112, 204.
Brzeska p. Barthel de Weydenthal.
Brzoskówna Z. 90.
Brzoza mjr. 52, 55, 59.
Budzińska p. Biernacka.
Budzińska-Tylicka J. 82.
Bujalski por. 252—3.
Bujwidówna p. Jurgielewiczowa.
Bułhakówna 293, 327.
Burdonówna 350.
Burska J. 263.
Butkiewiczówna A. 340.

Cabertówna J. 88.
Celina ob. 98.
Chanecka 95.
Chełmicka H. p. Jaroszewiczowa.
Chmieleńscy 173.
Chmieleńska M. 165, 173.
Chodowiecka J. 90.
Cholewianka 112.
Chorzewska M. 165.
Chrabąszczewskie M. i K. 62.
Chrostowscy 27.
Chrostowska J. 323, 331, 334.
Chrzanowska L. 262, 264.
Chrzanowski Z. 102.
Ciąglińska, p. Stefanowska H.
Cichoń 368.
Csesznakówna p. Uklejska.
Czajkowska p. Hemplowa.
Czaky J. 123, 209.
Czapski J. 338.
Czarkowski B. 170—1.
Czarlińska-Piekarska St. 376.
Czarnocka Z. 328.
Czarnocki J. 171.
Czarnocki-Wilk 356.
Czarski 221.
Czartoryski W. ks. 213.
Czartoryski 267.
Czechowiczówna E. 262.
Czechowiczówna H. 262.
Czechowski St. 374.
Czerkas 12.
Czernecka J. 262.
Czernichowska Z. 340.
Czerszyk-Bąkowska 155.

Daniłowski G. 175.
Daszyńska-Golińska Z. dr. fil. 148, 160.
Daszyński I. 203, 214—15.
Dawidowska E. 293.
Dawidowska L. 293.
Damroschówna M. 83.
Danielkiewiczowa I. 374, 377.
Daszkiewiczówna-Kepisz L. 43, 45, 46—8.
Dąbal mjr. 215.
Dąbrowski M. mjr. 112.
Dehnelowa M. 110.
Dekańska M. 155.
Dembowscy 99.
Dembowska H. 173.
Dębicka Z. 376.
Denhof-Czarnocka W. 38, 80, 83, 100, 107, 108.
Denhof-Czarnocki W. kpt. 39, 253.
Diamand 128.
Długoszowa p. Macieszyna.
Dmochowska E. 286.
Dobiecka M 261.
Dobijanka Z 279.
Dobrowolska p. Czaky.
Dobrzycka M. 155.
Dolińska M. 153.
Domańska M. 126, 405—6.
Domaszewska M. 10, 129, 152.
Domaszewscy 272.
Domosławski K. 366.
Doniec 188.
Doręgowski M. 52.
Dowbór-Muśnicki gen. 316 — 20, 331—2, 335—6.
Downarowicz M. 174, 182.
Dragonówna M. 263.
Dreczkowski 335, 337.
Dreszer J. 177.
Dreszer R. 177.
Dreszerowa 165.
Długoszewski 352.
Drwęscy 23.
Drużbacki 443.
Dudzińska M. 110.
Dulębianka M. 155, 176, 229, 230, 233, 401—2.

Durski ppor. 45.
Duszyński 375.
Dybicz G. 210.
Dzieduszycki por. 254.
Dziekońska Z. 328.
Dzierdziejewska Z. 182.
Dzierżyńskie W. i Wł. 376.
Dziubińska 388.

Eysymontowa H. 165.
Essigman J. 387.

Fabierkiewicz W. 33.
Fabierkiewiczowa H. 33, 84, 128.
Fedorowski M. 82.
Fedukowicz ks. 375—6.
Fela chorąży 64.
Feldsteinowa 155.
Felsztyn R. 126.
Filipkowska p. Pełczyńska.
Filipkowscy 388.
Filipowicz T. 80, 180—1.
Flekówna St. 85—6, 88, 105, 107, 125.
Francka M. 84.
Frankowski Al. 177.
Freireichówna 123.
Frenklówna J. 129.

Gaładykówna p. Zygadłowa.
Gałkówna H. 123.
Gepnerówna p. Śliwowska.
Gertzówna W. 49, 53, 83—4, 90.
Gerzabkowa M. 148.
Gibas 43.
Gibowska J. 129, 248—9.
Gieysztor M. 78, 80, 86, 102.
Giężyńska 335.
Gindrych 352.
Głąbiński St. 250.
Głogowski 268, 270
Głowacki 21.
Godlewska A. 376.
Goetzówna M. 110, 113.
Gołębiowski W. 88, 97, 99.
Gołębiowski 292.
Gorczyńska A. 374, 376.
Gordon 99.
Gorzechowska M. 182.
Gorzejewska M. 375.
Goszczycka D. 350.
Górecki 120.
Górecki P. 64.
Górska H. p. Liljenfeld-Krzewska.
Górski L. 37.
Grabowiecki Z. 338.
Grabska E. 264.
Grabska L. 262.
Greffnerówna Wł. 10, 129, 152.
Grodecka H. 78, 80, 97, 120, 174
Grodecka K. 165.
Gruszczyńska I. 80, 82.
Gruszczyńska 302.
Grzędzińska B. 165.
Grzymała-Siedlecki Ad. 47.
Grzymkowska J. 88.
Gulbinowa E. 288.
Gulińska J. 297.
Gulińska Z. 220.
Gumińska A. 340.
Gumplowiczowa 26.
Gutowska 104.
Guzikówna E. 110.

Haller gen. 316, 320.
Hankiewicz M. 178.
Hausner A. 177.
Heider R. 254, 255.
Hellerowa A. dr, 129, 266, 270.
Hemplowa Z. 83, 100, 107, 108.
Herburtówna M. 9—11, 129, 129, 226, 258.
Herfurtowa Z. 31, 84.
Herfurt T. mjr. 33.
Hesinkówna Br. 110, 116.
Hild 348.
Hofmanówna W. 199, 202.
Hołówko T. 214, 333.
Hołubianka Z. 129.
Hozerowa 156, 229.
Hubicka H. dr. 311, 322—3, 328—9, 334—5, 338.
Hubicki St. dr. gen. 325, 328—9, 334—5, 338.
Hutten-Czapski 36.

Ildefons p. Gołębiowski.
Iskra-Hnatkiewicz J. 95.
Iwanowska M 78, 415.
Iwaszkiewicz gen. 276.
Iżykiewiczówna M. 348, 361.
Iżykiewiczówna N. 350.

Jabłońska W. 122—4.
Jadwiga p. Jaworowska.
Jadzia B. 264.
Jaklicz kpt. 275—6.
Jakliński L. dr. 242.
Janczurowiczówna E. 184—6.
Janczyszynówna M. 10, 126.
Janicka M. 110.
Janiszewska Z. 60, 84, 99, 165 173—4.
Janiszewski Z. dr. 126, 176—8.
Jankowski P. dr. 31—2.
Jarecki 201.
Jaremczykówna J. 264.
Jarosław p. Jarecki.
Jaroszewiczowa H. 199, 220, 386.
Jaroszówna E. 262, 264.
Jaroszyńska H. 84.
Jasińska M. 233.
Jasiński płk. 235.
Jasiński W. dr. 32.
Jasiński 374.
Jastrzębowska St. 80, 95, 99, 100, 107, 199, 409—10.
Jastrzębowska 100.
Jaśkiewiczowa St. 23, 118.
Jaworowska J. 23, 170, 172, 180.
Jaworowska J. 301.
Jaworowski R. 170, 200.
Jaworska J. 126, 279, 280.
Jaworska M. 126, 155, 176—7, 179, 229, 279—80.
Jaworski 204.
Jeleniewska I. 114.
Jeleńska 285.
Jeziorkowska St. 36, 80.
Jędrzejewicz J. mjr. 36, 105.
Jędrzejewicz W. 120.
Jędrzejewiczowa E. 152.
Jędrzycki B. 21.
Jędza p. Kamińska.
Jodko-Narkiewicz W. dr. 172.
Jurgielewiczowa H. 10, 11, 126, 128, 230, 248, 259.
Jurgielewicz 96.

Kadenacówna H. 293.
Kaden-Bandrowski J. 22, 325.
Kakowski ks. kard. 72.
Kaleński 68.
Kalina dr. 267—8.
Kalinowski 352.
Kamińska J. 78, 90, 103.
Kamiński J. 106.
Kamiński kpt. 250.
Kamionkówna W. 362.
Kańska p. Danielkiewiczowa.
Kaplicki T. dr. 61.
Karaszewicz-Tokarzewski M. gen. 228.
Karczmarkowa D. 182.
Karkowski 188.
Karnicki gen. 319.
Karny p. Rokicki.
Karska M. 109.
Kasprzycki T. 96.
Kaufmann H. dr. 217.
Kazimierska 97, 100.
Kelles-Krauzowa M. 155, 165, 177, 179, 229.
Kelles-Krauzówna N. 153.
Kepisz St. p. Daszkiewiczówna.
Kerntopfowie 82.
Kierenskij 365—7.
Kiernicki 347.
Kierszniewski por. 51.
Kierzkowska Z. 84, 136, 411.
Kieszniewska 72.
Kieszniewska M. 374—5.
Kieszniewski J. 376.
Kiewliczowa M. 293—4.
Kinklówna J. 62.
Kipowa L. 125, 129.
Kirtyklis St. 99.
Klein dr. 13.
Klinger kpt. 52.
Klott M. 171.
Kmita mjr. 242.
Knichowicki Cz. 21.
Kobylański 326, 335.
Koc Ad. 83, 210, 221—2.
Kol 310.
Kolbuszewska p Pawłowska.
Konopacka J. 340.
Konówna 95.
Konrad p. Tuszyński.
Koperska dr. 302.
Korczak J. 199, 201.
Kosmowska I. 384.
Kordjan-Zamorski 204.
Korfanty 302.
Korkozowicz por. 333.

Korniłowiczówna M. p. Strońska.
Korolewicz-Waydowa J. 114, 154.
Koskowski Wł. dr. 267—8.
Kosowska L. 110.
Kossobudzka J. 165.
Kostanecki T. 376.
Koszkówna M. 109.
Koszutska 60.
Kościałkowska A. 83.
Kościałkowski M. mjr. 36.
Kościelniakowski W. ks. 218.
Kotliński kpt. 51—2.
Kowalska J. 18, 84, 120, 199.
Kowalska p. Piwońska.
Kozieł-Poklewska 328.
Kozieł-Poklewski 317.
Kozłowska L. 165.
Kozłowski J. 181—2.
Köhlerówna p. Mozołowska.
Krajewska Z. 126, 279.
Krakowska Z. 83, 107, 108.
Krasuska St. 83, 180.
Kron 250.
Kropatsch 352.
Krukowska H. p. Samsonowiczowa.
Krzaczyński mjr. 48, 68, 118, 221.
Krzewska-Liljenfeld M. 80.
Krzymuska A. 110.
Krzyżanowski 369.
Kudelska St. 78, 80, 84, 118.
Kuhnke I. 90.
Kuhnke M. T. 96.
Kuhnke M. 97—8.
Kujawa 135.
Kulawiakówna 62.
Kulesza 191.
Kuleszowie 189.
Kuliczówna J. 264.
Kumanowiczowie 369.
Kunowski W. 172.
Kurkiewiczowie 82.
Kurkiewiczówna M. 182.
Kurkiewiczówna Z 99.
Kurowska M. 171
Kuryłowiczówna M. 279—80.
Kuszelewska p. Rayska.

Lambert 99.
Landau M. por. 248.
Langiertówna W. 347, 349, 350, 354.
Lanżanka M. 126.
Laskowniczka 155
Laskowska 62.
Laspolski 349.
Latałłówna J. 350.
Laudyn F. 182.
de Laveaux H. płk. 130, 248—50.
Lazarusówna F. 153.
Lebensbaumówna A. 109.
Lechnicki T. por. 322, 334, 337—8.
Lechowin Wanda 232, 238, 240, 244—5.
Lejmbachówna I. 327.
Lejmbachówna Z. 327, 342.
Leniecka 267—8, 272—4, 276.
Lerchenfeld 36.
Lewińska J. 323, 334.
Liljenfeld Sz. 120.
Lineman p. Durski.
Lipińska Sarowa 186—7.
Lipińska D. p. Wyszyńska.
Lipiński W. mjr. 249, 252, 254, 256—8.
Lis-Błońska J. 327, 339.
Lis-Kula L. ppłk. 309, 314, 319, 320, 334—6, 338, 348—9, 355—6, 369, 376—7.
Lisiewicz, poseł 156.
Lisiewicz Ad 126.
Lisowski A. 374.
Litauer J. 325—6.
Lubomirska Zdz. ks. 221.

Łaniewski 372, 374.
Łętkowska J. 340.
Łopattowa Z. 165.
Łopuska A. 165.
Łosiowa H. 102.
Łowicka I. 323, 328.
Łowicka J. 331, 334.
Łubieńska K. 323, 326, 330, 332, 337.
Łukaszewiczowa H. 80, 102, 103.
Łukowski Orlik kpt. 45.

Maciejewiczowa 286.
Maciejewiczowa 286.
Maciejewska M. 374.
Maciejewski płk. 326.
Maciesza A. 102.
Macieszyna Sł. 220.
Maciszewscie M. i J. 348.
Maj 43.
Majchrowiczówna M. 262.

Majdanowicz 376.
Majewski L. 335.
Makowska A. 285.
Malczewski T. ks. 306.
Malinowska E. 22.
Malinowski M. 171.
Małagowski K. 338.
Małagowski St. por. 325, 334—5, 337—8.
Manterys 188.
Mańkowski L. 201.
Marchlewski 293.
Marcinowska J. 33, 86, 159, 160, 164—5.
Markowa A. dr 148.
Markowska J. 148.
Marta p. Rychterówna.
Masłowski 191, 193.
Matczyński dr. 46.
Matuszewska p. Rayska.
Matuszewski płk. 330, 332, 335, 338.
Mazurkiewicz por. 52.
Maxowa Z. 110, 112, 171.
Maykowska K. 336.
Mayzner T. 173.
Mączewski J. 32.
Mączka J. 325, 369.
Mączyński kpt. 248, 250.
Merwin B. 22, 325.
Meyer dr 114.
Michaelis gen. 316.
Michałowska p. Lis-Błońska.
Mickiewicz Ad. 7.
Miedziński B. 212. 369.
Minkiewiczowa St. 36, 83, 99, 172.
Minkowska A. dr. 67, 220.
Młodzianowscy Cz. 182.
Modzelewska L. 202.
Modzelewski St. 202—4.
Mohlówna 285.
Mokłowska Lili p. Hellerowa.
Mokłowski ppor. 64.
Mond B. por. 254, 256ö8.
Montwiłłówna 248.
Moraczewska Z. 143, 148, 165.
Moraczewski J. 177—8, 203, 214, 303.
Morawska J. 124.
Morawski mjr. 370.
Mosiewicz 330.
Mościccy Ign. 129
Mościcka M. 152, 154, 176—7, 179, 229.
Mościcki Ign. 156, 176—7.
Mościcki Fr. 258.
Mościcki płk. 315. 317.
Mozołowska J. 121. 126, 129
Munkówna P. 109.
Munkówna M. 96, 109.
Murawjew 286.
Muszyńska 279.
Mycielski I. 176, 179.

Nadratowska Jaga 49, 50.
Nadratowska Julja p. Bohuszewiczowa.
Nagrodzka M. 293.
Nakonieczni pp. 87.
Napadiewiczówna 2, 155.
Nawarecki por. 233-4.
Neteski Z. 376.
Niedbalska A. 99.
Niedziałkowski M. 171.
Niedźwiedzka J. 349.
Niegolewski F. dr. 297-9.
Niemojowski 36.
Niewiadomska J. 110.
Niewiarowska W. 374.
Nocznicki P. 211, 215, 217
Nowacka H. 345.
Nowacka 262, 264.
Nowiówna 262, 264.
Noworytowa 279.
Nowosielski E. 100.

Obarscy 22.
Obmińska I. 152.
Oczepowska 376.
Ogibowska J. 264.
Ogińska ks. 285.
Okrzejowa p. Jastrzębowska.
Oltarzewski 364, 370.
Ola p. Piłsudska Al.
Oleńka p. Różycka.
Olszański por. 254.
Olszewski Ant. ppor. 254.
Opala 368.
Opieliński - Wojsznar J. 26-7, 74 80, 94-6, 216, 217, 219.
Opieńska 262.
Orgielbrandt dr. 317.
Osmołowski 317.
Ostrowski B. 353.

Ostrowski J. 216, 217.
Ottawowa 154.

Packan 202.
Paleolog H. 242.
Paleolog St. 232-3, 237, 279.
Paliwodzianka H. 262.
Paschalski Fr. 172.
Paszkowski-Krok płk. 64, 204.
Paszkowski T. 376.
Pawlewska H. 151, 229.
Pawlewski rektor 156.
Pawlikowska M. 165, 180.
Pawłowiczówna H. p. Zarembina.
Pawłowska D. 245.
Pechkrancowa J. 109.
Pelczar biskup 149.
Pełczyńska W. 165, okł.
Peretjatkowiczowa 367-8.
Peretjatkowiczówna J. 365-8.
Peretjatkowiczówna W. 365, 368.
Perl F. dr. 170-2.
Perlowa T. 170.
Petlura 349, 380.
Petzoldówna Z. 10, 126, 129.
Piątek 130.
Piechowska Wł. 371, 374.
Piątkowska 348.
Piekarska W. 36, 83, 107.
Pieracki ppłk. 250.
Pietraszkiewiczówna St. 286.
Pillichowa 83, 96.
Piłsudska Al. 3, 105, 108-9, 165, 170, 172—4, okł.
Piotrowska I. 262, 264.
Piotrowska F. 60.
Piwońska H. 122-3.
Piwowarowa H. 165.
Platerowa A. 323.
Pochmarski B. 177.
Podgórski P. 32.
Podhorska M. 348.
Podobalska J. 376.
Pohoska H. dr. 34, 83, okł.
Polak por. 47.
Polkowski por. 64.
Poniatowski J. 32, 65, 217, 219.
Porębianka J. 264.
Potemkowska W. 352.
Potocka T. hr. 328, 331.
Potkańska J. 293.
Potkańska W. 293.
Prauss 24, 214.
Praussowa Z. 165.
Prażmowska W. 137.
Prokopowiczówna p. Wierzbowska.
Pruszkowska Z. 182.
Przybycień 188, 195.
Przybyszewska J. 416.
Przybyszewska L. 18, 23.
Przybytkówna M. 340.
Przyjemska M. 82, 165, 180—3, 407—C.
Puławska G. 84.

Raczkiewicz 317, 322, 334.
Radlińska H. 103, 148, 209
Rajdecka K. 165.
Rakowiecka p. 84, 173.
Rapacka H. 165.
Rawicz 191-3, 195.
Rayska St. 323, 327-8, 330, 335, 338.
Rayzacherowa 171.
Robak p. Modzelewski.
Rodziewiczowa 286.
Rodziewiczówna M. 236.
Roja gen. 205.
Rokicka p. Niedbalska.
Rokicki J. 99.
Romanowiczowa Z. 151.
Romanowska p. Flekówna.
Romanowska 120.
Romer Br. 338.
Romer M. 51.
Romocki 317-18.
Rostworowski St. 221.
Roszkowska A. 323-38.
Rotwandowa M. 182.
Rożen gen. 59, 252.
Różycka H. 216.
Rudnicka E. 10.
Rudnicka M. 165.
Rudnicka 384.
Rudzki W. dr. płk. 116.
Rusiecka Z. 109.
Ruszczycówna L. 293.
Rutkowski A. 178.
Rybczyńska W. 36-7.
Rybicka H. 36-7, 80, 83-4, 96, 174.
Rybicki kpt. 120.
Rybicki 301, 303.

Rychterówna M. 282, 85, 91, 169, 172, okł.
Rydlewski M. 306.
Rydz-Śmigłowa M. 323.
Rydz-Śmigły E. gen. 128, 213-15, 217, 338, 349, 355.
Ryglówna J. 126, 129.
Rzepecka p. Pohoska H.
Rzepecki 305.

Samsonowiczowa H. 80.
Sagańska J. 262.
Sapieha biskup 149.
Sarankiewicz 349.
Sarnacka 327.
Sawicka Al. 108.
Sawicka H. 84.
Sawicka M. p. Stachiewiczowa M.
Schaetzel płk. 369.
Schwieder 307.
Sewer p. Kirtyklis
Schrenzlówna K. 65.
Schultze 183.
Sczanieccy 22—3.
Scholtz dr. 44.
Scholtzowa M. 43.
Siegmajerówna p. Dehnelowa.
Siemieńska M. 110.
Sieroszewski W. 178, 217.
Sikorska dr. 49.
Sikorska E. 350.
Sikorski W. gen. 250.
Skarbek Al. hr. 250.
Skokowska M. 372.
Skoropadski 357, 380.
Skowrońska p. Rybicka.
Skowroński 43.
Skrzycka M. 374
Skwarczyński Ad. 97, 105, 119, 125, 127, 172.
Sławek W. ppłk. 64, 105.
Sławska 98.
Smorońska H. 182.
Smulikowski J. 178.
Sobierańska 266.
Sobierański dr. 266.
Sobieski J. 66.
Sokolnicki M. 35—6, 103.
Sokołowska p. Dembowska.
Sokołowscy 100.
Sokołowski mjr. 202—3.
Sołomowiczówna 82, 109.
Sołowijowa H. 83.
Sosnkowski K. gen. 36—7, 181, 222.
Stachiewiczowa M. 80, 84.
Stachiewicz J. gen. 128, 204.
Stamirowska 72.
Stamirowski 221.
Staniszewski 68.
Stankiewicz gen. 316.
Stankiewiczowa 153.
Stańska p. Stattlerówna.
Stapiński 214.
Starck kpt. 272.
Starczewska H. 80, 82, 84.
Starkiewicz St. 192, 195.
Stary p. Skwarczyński.
Staszewska E. 110, 117.
Stattlerówna H. 78, 80, 84, 120.
Stefanowska H. 36, 78, 80, 82—3, 95.
Stefanowska M. 80, 83, 85, 138, 165.
Stefanowski A. dr. 68.
Stefanowski M. 342—3.
Stembartówna 267.
Steynówna Z. 138.
Stęslowska J. 376.
Stodolska p. Krzewska.
Straszewicz B. 170.
Straszewiczówna p. Łukaszewiczowa.
Straszewski W. 171.
Strederówny 349.
Strońska M. 78, 97, 122—4.
Strońska M. 180.
Strzelecka 87.
Strzelecki 368.
Strug A. 105.
Styczeń 216.
Sujkowska H. 165.
Sulecińska 62.
Sulima 346.
Sulimirska F. 242, 281.
Sulimirski kpt. 233—5, 240—1.
Sulkiewicz M. 170.
Suprenowicz E. 32.
Surynowa 375.
Syniewska J. 262.
Szafarkiewiczówna 23.
Szafirówna W. 412.
Szaynok Wł. 176, 178—9.
Szczawińska W. 165.
Szczekowska 375.
Szczerbińska p. Piłsudska.

Szczęścikiewiczówna I. 264
Szeligowska E. 183—4.
Szeligowska R. 356.
Szmalówna A. 126.
Szpotański T. 102.
Sztark E. 62.
Sztarkówna p. Maruszewska.
Szturm de Sztrem p. Herturtowa.
Szultze 38, 183.
Szumowska 182.
Szutkówna J. 62.
Szymak 26.
Szymanowski dr. 48.
Szymanowski 337.
Szymańska p. Jasińska.
Szymczakówna Z. 354.
Szymońska J. 83, 216.

Śliwińska L. 17, 165, 180.
Śliwiński A. 172, 212.
Śliwiński H. 214.
Śliwowska H. 138—9, 264.
Śluzkowska 84.
Świacka M. 328.
Świdnicka 62.
Świerkowska M. 306.
Świeżyński J. 213.
Święcicki T. 102.
Świdowa 286.
Świrski mjr. 222.
Świtalski Ad. 254.
Świtalski K. dr. 176—7, 179.
Świtek p. Miedziński.

Tabor 188.
Taborowska C. 343.
Tacikowska R. 165.
Tarłówna p. Rybicka.
Tatar 216, 218.
Thugutt St. 102, 120, 217.
Tejszerska J. 327, 339, 340, 342.
Terlecki 216.
Tomaszewska L. 165.
Tomicka J. 151.
Tomicki J. 156, 176—7, 179.
Tomorowiczowa M. 165.
Topór-Kisielnicka 153.
Torosiewiczówna I. 262, 264.
Trentowska H. 369.
Trentowski 378—9.
Trojanowski kpt. 45—6.
Truskolaska 324.
Truszczyńska 184.
Truszkowska M. 292—3.
Trzcińska E. 262, 264.
Tułodziecka A. 301.
Turowicz F. 170.
Turzyma-Wiśniewska M. 405—4.
Tuszkówna E. 181.
Tuszyński 217, 218.
Twardo St. 182.
Twardowie 82.
Tynikówna Br. 126, 129, 246, 258, 268.
Tyszka dr. 267.
Tyszkiewicz hr. chor. 45.
Tyszkowa L. 262.

Ujejski K. 6.
Uklejska M. 261, 263.
Ułaszyn 352.

Walewska C. 103.
Waniczkówna A. 279.
Waniczkówna H. 151, 177, 230, 276.
Wańkowicz M. 320—2, 334, 336—8.
Wańkowicz W. 322, 325—6, 331.
Wańkowiczowa M. 328.
Wańkowiczowa Z. 321—2, 324, 328.
Wańkowiczówna J. 336.
Waroczewska St. 80, 85—6, 89, 90, 91, 93.
Warszawska Z. 83, 101, 107, 108.
Wasilewska J. 376.
Wasilewska S. 264—5.
Wasilewska W. 363.
Wasilewski L. 35, 87.
Wasiutyńska I. 82.
Wądołkowski B. 119, 120.
Weinkranzówna J. 90, 99.
Wexler mec. 252.
Weychert-Szymanowska Wł. 24, 148, 165.
Wędziagolski 349.
Węgrodzka 83.
Węsławska E. 285.
Wiatr J. 124.
Wieleżyńscy por. 44.
Wielopolska 328.
Wieniawa płk 393.
Wieniewska I. 177.
Wierzbowska M. dr. 11, 126, 129, 267, 272—4, 276.

Wiewiórski por. 307.
Więckowski M. ppłk. 123—4, 202.
Wiktor gen. 24.
Wilson 221, 286.
Wiskowski Wł. 180.
Wisznicka D. 332 338.
Wisznicka Z. 374.
Wisznicki K. 374—5.
Witkowscy 342.
Witkowska A. 342.
Witkowska H. 5.
Witkowska p. Zahorska.
Witkowska M. 342.
Witkowski A. 342.
Witold p. Koc. Ad.
Witos 214—15.
Wittekówna M. 348, 350.
Witwińska 340.
Włodkówna J. 262.
Wocalewska M. 131.
Wojciechowska Br. 199.
Wojciechowska H. p. Sołowijowa.
Wolfkowiczówna E. 83, 97, 99, 174.
Wolfkowiczówna Z. p. Janiszewska.
Wolfówna E. 136.
Woliniewska L. 199.
Wołkowicz 199, 201.
Wołkówna W. 90.
Wołoszynowska p. Scholtzowa.
Wójcik 176.
Wójcikowska 2, 165.
Wróblewska E. 165.
Wróblewska J. 84, 90.
Wyszyńska D. 15, 83, 163, 165, 186, okł.

Zaborski Z. 329.
Zabłocki Z. por. 325—6.
Zaczkiewiczówna J. 174.
Zagórska Al. 229, 238, 240—1, 244.
Zahorska J. 340.
Zahorski B. 2, 32.
Zakrzewska 62.
Zakrzewska J. 90.
Zaleska p. Rydz-Śmigłowa.
Zalewski P. p. Błaszczykówna.
Zamojski ppor. 64.
Zarembina H. 110.
Zawiszanka Z. 188.
Zdanowicz p. Opieliński.
Zdanowska 165.
Zdobnicka A 262.
Zdobnicka M. 262.
Zduńczykówna J. 262.
Zdziarska M. 264.
Zelcerówna F. 83.
Zelwerowicz A. 182.
Zgorzelski J. 374.
Zielan 204, 205.
Zieliński gen. 274.
Ziemiańska Br. 374—5.
Ziemiańska (matka) 375, 413—14.
Ziemięcki Br. 171, 174, 214.
Zitta 267.
Zdziarska M. 138—9.
Zgórska 153.
Zwoliński G. 21.
Zwierzyński P. 103.
Zwierzyński-Sław kpt. 103.
Zygadłowa H. 80, 90.

Żalińska J. 323.
Żaliński St. 325.
Żarska M. 101, 163, 165.
Żeligowski gen. 335.
Żmudowska M. 323—4, 328.
Żuchowicz K. p. Gertzówna W.
Żukiewiczowa Z. 352—3.
Żulińska Ina 110, 113.
Żuławska Br. 97, 100.
Żywy p. Stefanowski.

3292

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
28343/2